PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIĄTY. — TOM XIX.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1888.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1888.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	191	*zamiast:*	(ciąg dalszy)	*czytaj*	(dok.)
„	200 w. 1 od dołu	„	Klombo do Bombayu. (C. d. n.)	„	Kolombo do Bombayu
„	221	„	(ciąg dalszy)	„	(dok.)
„	230 (w przyp.) w. 2	„	Davout	„	Davoust
„	230 (w przyp.) w. 5	„	Je	„	J'ai

CO SĄDZIĆ O WNIOSKU KS. LIECHTENSTEINA?

Pierwszy to raz, od smutnej pamięci austryackich praw majowych, co postawioną została w parlamencie wiedeńskim kwestya zasadnicza. Stąd nic dziwnego, że tyle zamieszania i popłochu wywołała i że stronnictwa, ugrupowane około bieżących interesów swych narodowości, a nieoswojone z takiemi pociskami, straciły na razie oryentacyę.

Ale zamiast stronnictw politycznych zoryentowały się natychmiast przekonania w szerokich kołach społeczeństwa. Żywioły „liberalne“ czyli bezwyznaniowo-centralistyczno-żydowskie zrozumiały od razu, że to mina podłożona pod ich najdroższy gmach praw majowych, pod warownię ich przeszłości i przyszłości — i to w punkcie najniebezpieczniejszym, w kwestyi szkół ludowych; — i w mgnieniu oka uderzyły na alarm i wznieciły taką wrzawę, że cała Austrya zatrzęsła się w posadach, a echa odbiły się w najdalszych krajach. Prasa ich, która nas oddawna oswoiła z tonem gwałtownym, tym razem nie znała granic. „Ks. Liechtenstein, wołała *N. Fr. Presse*, „sam nie wie jak straszne jabłko niezgody rzucił dziś w parlamen„tarnej izbie. Dlatego bez odwłoki, pierwszego zaraz dnia wręcz „mu oświadczamy: gdyby przyjść miało do ostateczności, gdyby „rząd nie okazał się dość silnym i nie mógł przeszkodzić temu „zamachowi na wszystko co jest cennem, drogiem i świętem dla „Austryaka, natenczas bądź co bądź zamachowi temu przeszkodzi opozycya“... Jeszcze namiętniej odzywała się *Deutsche Zeitung*: „Książęcy rewolucyonista Liechtenstein zuchwałą ręką rzucił tlejącą „głownię w istniejące ustawodawstwo szkolne; a czarni jakobini

„w habitach i frakach tańczą dokoła ognia rozkoszną karmaniolę. „Nietylko całe dzisiejsze szkolnictwo przybraćby musiało odmienną „postać w skutek tej liechtensteiniady, lecz cała Austrya dzisiejsza, „mocarstwo jakkolwiek przynajmniej duchowi czasu odpowiadające, „zmieniłoby się w zapleśniałe państwo konkordatowe!“. W tym samym dytyrambowym tonie wtórzył cały chór większych i mniejszych, wiedeńskich i peszteńskich i prowincyonalnych gazet tej kliki. Za głosami prasy szły uchwały rad miejskich „przeciw poddaniu państwa pod jarzmo Kościoła“ [1], demonstracye uliczne, wiece, adresy i t. d.; — żaden środek agitacyi nie był pominięty.

Z drugiej strony wytrawni i oświeceni katolicy innych prowincyj austryackich, zwarli prędko szeregi około wniosku Liechtensteina, i choć mniej gwałtownie jak tamci, jednak nie mniej stanowczo zajęli się jego popieraniem. Wybitni mężowie na przodzie różnych partyj narodowych stojący, jak sam ks. Liechtenstein, hr. Egbert Belcredi, ks. Ernest Windischgraetz i inni, ułożyli wymowne i niemal rzewne adresy, jeden od mężczyzn, drugi od matek katolickich, w których dali wyraz niepokojom i żądaniom od dawna tlejącym w ludności katolickiej Austryi; powiedzieli, że „źle się dzieje z wzrastającymi obecnie pokoleniami, źle pod względem religii, sumienności, obyczajów, nawet wśród żeńskiej płci, która ma stanąć na straży ogniska domowego, że chęć używania pochłania wszystkie inne aspiracye młodego wieku, że liczba zbrodniarzy między podrostkami wzrasta przerażająco — a że przyczyna tego złego tkwi w złej szkole, mianowicie w jej charakterze bezwyznaniowym i uchyleniu opieki Kościoła“. Po różnych prowincyach powstały natychmiast komitety celem zbierania podpisów. W samej niższej Austryi 191 burmistrzów oświadczyło się za szkołą wyznaniową; w Czechach i w Morawii liczba petentów, dorosłych mężczyzn, dochodzi już do wielkich rozmiarów; nie mówię nic o Tyrolu, który jak jeden mąż domaga się szkoły katolickiej, i żali się na wstrętny, narzucony sobie system.

Cały ten ruch katolickich ludów opisaliśmy obszerniej w łamach *Przeglądu* pod rubryką „Sprawy Kościoła“ [2], nie będziemy więc powtarzać. Zwrócić jednak na to musimy uwagę, że Namie-

[1] Uchwała rady miejskiej Wiednia.

[2] Ob. *Przegl. Powsz.* zeszyty z marca, kwietnia i maja b. r.

stnik Chrystusowy, przemawiając do pielgrzymów austryackich w kwietniu, nie dwuznacznie poparł swą najwyższą powagą ich usiłowania o szkołę wyznaniową, mówił o pieczy jaką Kościół mocą posłannictwa swego otacza dziatwę, i wyraził „polecenie dla tych, co piastują władzę, by mądremi prawami zapewnić się starali wzrastającym pokoleniom wykształcenie i wychowanie prawdziwie chrześcijańskie".

Takie faktyczne ugrupowanie ludzi i zdań, za i przeciw wnioskowi Liechtensteina, dużo już daje do myślenia o absolutnej jego wartości. Gdyby ten wniosek nie był dyametralnie przeciwny programowi partyi żydowsko-liberalnej, czyby cała ta partya tak jednomyślnie przeciwko niemu stawała? Gdyby choć ten wniosek był mało znaczący, niepotrzebny dla zapewnienia wyznaniowego charakteru szkoły w Austryi, czyby tak namiętne *tolle* przeciwko niemu podnoszono? A z drugiej strony, gdyby tenże wniosek nie wynikał logicznie z zasad i praw Kościoła, gdyby nie był niezaprzeczonym warunkiem utrzymania i rozwoju katolicyzmu wśród ludów Austryi, czyby katolicy z tak różnych partyj, centraliści razem z federalistami i narodowcami, zszeregowali się ku jego obronie?[1] czyby przynajmniej Ojciec św. nie był przemilczał tej sprawy? — A jeśli ten wniosek jest istotnie takim wyrazem idei katolickiej, jakież względem niego mamy zająć stanowisko, my, którzy jesteśmy warstwą przewodnią, „inteligencyą" narodu z gruntu katolickiego?

Przyznać trzeba, że w Galicyi może najmniej się przejawił zmysł katolicki, *sensus catholicus*, w tej kwestyi. Mieliśmy złe *praecedentia*. W sejmie krajowym między 1870 a 1874 r. odzywały się zdania najskrajniejszego wiedeńskiego liberalizmu — i ostatecznie te zdania przeważyły. Chełpiono się tem, że Galicya pierwsza i jeszcze przed Wiedniem użyła swej autonomii szkolnej, by strącić Kościół z jego posady, i postawić na równi rabina z księdzem w szkołach krajowych. Od tego czasu, Bogu dziękować, kraj nasz nie mało otrzeźwiał z liberalizmu, nieco postąpił w rozumie-

[1] Wniosek osobny centralisty Lienbachera nie różni się od wniosku ks. Liechtensteina w głównym punkcie, co do charakteru wyznaniowego szkoły, ale różni się tylko co do charakteru autonomicznego i narodowego, który Lienbacher odrzuca.

niu swych moralno-religijnych interesów; wiele przemówień w nowym gmachu sejmowym naprawiło perory wypowiedziane w starym. Ale dotąd jest u nas wiele uprzedzeń w tej kwestyi, wiele niejasności w pojęciach i przekonaniach. A gdy grono Liechtensteina podniosło sztandar zasady, niespożytego prawa Kościoła do szkoły, po wielkiej części nie zrozumiano o co idzie.

Mówiono, że dzisiejszej szkole nic nie brakuje pod względem wymagań religijnych „kiedy uczą w niej religii i nawet od pacierza lekcye zaczynają!“ Mówiono, że za dawnych czasów pod nadzorem duchowieństwa były złe szkoły, więc nie można do tego systemu wracać. Wyrażano obawę, że w pewnych stronach duchowieństwo nadużyje szkoły we własnych celach ze szkodą religii i państwa. Podnoszono przeciw wnioskowi rozmaite uboczne trudności i trudnostki: nowy kłopot dla rządu — podburzenie namiętności religijnych — jeśli szkoła wyznaniowa, to sankcya dla chajderów, tych uczelni fanatyzmu! — A co robić w miejscach gdzie panują różne religie? czy dzieci pewnego wyznania będą zmuszone uczęszczać do szkoły noszącej znamię wyznania im obcego? i t. d. [1].

W kwestyach tak pierwszorzędnej doniosłości jak szkoła ludowa, nie zaczyna się od drobiazgowych trudności i zawikłań, ale zaczyna się od wielkich zasad — bo tym tylko sposobem można dojść do jasnych poglądów i trwałych, bo na prawdzie opartych instytucyj.

Żeby sobie wyrobić pojęcie o szkole wyznaniowej, trzeba najprzód wiedzieć co to jest religia, a w szczególności religia katolicka, która jest niemal powszechną i panującą w Austryi. Religia katolicka nie jest tylko uczuciem, przekonaniem, zbiorem pewnych nauk i przepisów, ale ukonstytuowana jest w organizm społeczny, który Kościołem katolickim nazywamy. Jestto postać religii, w pe-

[1] Pomijam, że i u nas znalazły się pisma, co się zespoliły z celem i nawet z gwałtownym tonem prasy centralistyczno-żydowskiej. — Kiedym ten zarzut uczynił *N. Reformie*, odesłała mię do aktów sejmów galicyjskich z przed kilkunastu laty. Odpowiedź niestety trafna, ale nie uchylająca bynajmniej prawdy tego, co już wówczas mówiłem: że zły to znak, kiedy w kwestyi tak doniosłej dla religii i narodowości, jak szkoła ludowa, dzieli się to samo zdanie z największemi wrogami wiary i narodu naszego.

wnem znaczeniu zewnętrzna, ale istotna, i od samego wyznania absolutnie nierozdzielna. Ten sam Chrystus, który religię nam podał, nadał tej religii postać społeczności, bo ustanowił jedną hierarchiczną zwierzchność, z posłannictwem nauczania wszystkich narodów, i z władzą stanowienia praw i rządzenia w sferze interesów religijnych — a wszystkich ludzi obowiązał do podlegania tej zwierzchności i przyjmowania jej nauk i duchownych rządów.

Stąd wynika, jak magistralnie wykazuje Leon XIII w encyklice o ustroju państw, że nie jedna, ale „dwie są najwyższe władze, między któremi rozdzielił Bóg rządy ludzkości". My katolicy jesteśmy jednocześnie obywatelami dwóch społeczeństw, mamy nad sobą dwie zwierzchności, kościelną i państwową, z których każda ma swój zakres i jest w tym zakresie najwyższą i niepodległą, jak to Ojciec św. w tejże encyklice obszernie tłumaczy. Z tej dwoistości władzy mogą wyniknąć, przy ułomności ludzkiej, rozmaite starcia i zamieszki, ale ona jest dla każdego katolika zasadniczym pewnikiem, do jego wiary należącym — i ona jest dla społeczeństw przez Chrystusa odrodzonych podstawą i rękojmią wolności sumienia i godności człowieczej, jakiej nie znał poganizm [1].

Stąd dalej wynika — co do naszej kwestyi — że dzieci, przychodząc na świat w chrześcijańskiem społeczeństwie, dostają się pod moc i opiekę dwóch władz, kościelnej i państwowej, a oraz bezpośrednio, prawem natury, zależą od trzeciej — rodzicielskiej.

Zatem szkoła, a w pierwszym rzędzie szkoła ludowa, która wychowuje dzieci, z natury rzeczy zależna jest od trzech władz pomienionych.

Władza rodzicielska stoi niżej od tamtych dwóch; choć od nich nie pochodzi i jest w swojej sferze samoistną, może jednak, w razach jawnych nadużyć, być od nich do swych obowiązków znagloną. Ale ta władza jest najbliższą dziecku, jej prawa są najpierwsze, najnietykalniejsze; sam Kościół uchyla swą najwyższą władzę przed ich nienaruszalnością, i sam potępił niegdyś zbytnią gorliwość

[1] Wyłożyłem to nieco obszerniej w artykule: „Encyklika *Immortale Dei*", w VIII tomie *Przeglądu powsz.* Zeszyt grudniowy 1885.

tych, którzy małe dzieci przemocą porywali Żydom, aby je ochrzcić i po chrześcijańsku wychować[1]. „Ojcowie rodzin, jak powiedział Mallinkrodt w obec parlamentu niemieckiego, są i zawsze zostaną nieodwołalnymi nadzorcami szkoły".

To prawo rodzicielskie wymaga: 1) żeby rodzice mieli, (o ile materyalne warunki pozwalają) wolny wybór szkoły — a więc niesłusznym i krzywdzącym jest dla rodzin monopol państwowy w szkole; a więc należy się równo-uprawnienie szkół prywatnych z publicznemi, i nawet z domową edukacyą skonstatowaną egzaminem.

Prawo rodzicielskie wymaga 2): żeby przymus szkolny nie rozciągał się dalej niż sięga istotna potrzeba dziecka. W obecnym stanie cywilizacyi, za ściśle potrzebne uważać można, oprócz religii, powszechne środki udzielania myśli, tj. czytanie, pisanie, rachowanie — może jeszcze elementarne pojęcia o przyrodzie. Odmówienie tych wiadomości dziecku, jest istotną i na całe życie doniosłą krzywdą, i dlatego można zmusić rodziców do dania dzieciom tego stopnia wykształcenia. Co nad to, to może być korzystnem lub nie, ale do uznania rodziców należy. Można, w miarę dobrobytu państwa, ułatwiać szersze kształcenie dla ludu, można lud do niego zachęcać, ale nie można zmuszać, bo jakość kształcenia dzieci należy do przyrodzonego prawa rodziców[2].

Druga władza — państwo, — ma też względem szkoły prawa i obowiązki, nie żeby dla niego rodzili się i wychowywali ludzie,

---

[1] Sprawa sławnego Mortary, którego Pius IX wbrew woli rodziców po chrześcijańsku wychował, tem się różni, że Mortara choć nie pełnoletni, był już do tyla rozwinięty, że rozróżniał doskonale religie, i sam błagał Piusa IX żeby mu zabezpieczył wychowanie katolickie. A w rzeczy religii nie legalna pełnoletność, ale rozeznanie daje prawo stanowienia o sobie.

[2] Jak np. w wychowaniu fizycznem dzieci, może państwo, jako najwyższy nadzorca, karać rodziców, którzyby odmawiali dzieciom pokarmu lub powietrza niezbędnego do życia, ale nie może im przepisywać, żeby te lub owe wygódki lub potrawy dzieciom swoim dawali — tak samo w wychowaniu umysłowem, państwo może narzucić to co jest ściśle potrzebnem, ale nic więcej; w jednym i drugim przypadku, jest ta sama zasada, że władza rodzicielska w zakresie wychowania jest samoistną i niezależną, ale w razie niewątpliwych nadużyć, władza wyższa ma prawo interwencyi.

ale że ono jest dla ludzi — na to, by było stróżem i obrońcą ich praw przyrodzonych.

Do państwa zatem należy: 1) starać się aby były szkoły. Gdzie inicyatywa prywatna temu w zupełności zaradza, jak w Stanach Zjednoczonych i w Anglii do niedawnych czasów, tam już państwo nie powinno się tem obarczać. Kiedy inicyatywa kościelna tę potrzebę społeczeństwa opatruje, jak to było w przeszłych wiekach, wówczas również państwo nie potrzebuje się o to troszczyć. Indziej, gdzie nie ma lub nie dosyć tej inicyatywy, państwo ma zakładać szkoły, w duchu społeczeństwa którem rządzi, uwzględniając ogólne wymagania rodzin, i jak się wyżej powiedziało, nie przywłaszczając sobie monopolu, nie zabijając inicyatywy prywatnej, którąby chciała z nim współzawodniczyć.

2) Nadto we wszystkich w ogóle szkołach, państwo ma dozorować: *a)* żeby moralność i spokój publiczny nie były zakłócone — bo to zawsze do niego należy; *b)* żeby konieczna doza nauki była dana; *c)* żeby wszystkie dzieci w niej udział miały.

I ten dozór nie koniecznie musi być jednaki: z natury rzeczy potrzebniejszy jest w szkołach czysto prywatnych, tudzież w szkołach religijnych takich wyznań, których miejscowy kierownik żadnej wyższej nie podlega kontroli, albo których doktryny są wątpliwe i zamglone. Kiedy zaś idzie o szkoły prowadzone przez taką instytucyę jak Kościół katolicki, który ma naukę notoryczną, hierarchię zcentralizowaną, który historycznie dowiódł swej zdolności do wychowania, który więc (choćby się nie wierzyło w jego boskie posłannictwo) najzupełniejszą daje pod względem pedagogicznym gwarancyę, wtedy sam rozum dyktuje, że państwo nie potrzebuje się troszczyć o nadzór.

Trzecia władza, Kościół, ma również niewątpliwe prawo do szkoły. Prawo to nie na tem tylko polega, co często powtarzają, że Kościół szkołę w społeczeństwach chrześcijańskich stworzył i wypielęgnował. Nie jest to tylko prawo historyczne, jak starej arystokracyi do przywilejów i pretendentów do tronów. Ale Kościół ma prawo do szkoły dlatego, że jest rzeczywiście drugą, najwyższą i niepodległą władzą, a szkoła należy do tych rzeczy

obejmujących całego człowieka, które do obu władz koniecznie należą i w których obie harmonijnie godzić się muszą.

Co więcej, szkoła, a zwłaszcza ludowa, więcej i w szczególniejszy sposób do Kościoła należy: bo szkoła ludowa wychowuje — wychowanie jest kształceniem w pierwszym rzędzie moralnej, w drugim umysłowej strony dziecka — moralność stoi na religii, a religia z Bożego ustanowienia należy do Kościoła. Wiemy, że pozytywiści usiłują zbudować moralność poza religią, ale oni sami przyznać muszą, że ich dzieło nie jest dokonane; sami nawet przyznają, że ich dzieło nie jest dla ludu; a żaden na świecie rozsądny pedagog nie marzył o moralności bezwyznaniowej dla dzieci. Dla tego nawet dziś obowiązująca ustawa dla szkół ludowych z r. 1869, choć przez liberałów i z tendencyą antyreligijną ułożona, postawić musiała na wstępie §. 1-go zasadę, że „zadaniem szkoły jest wychowywać dzieci obyczajowo-religijnie“.

Kościół jest urodzonym wychowawcą, bo on uczy podstawowych prawd życia, i dlatego wszelka nauka w pewnej mierze podlega jego nadzorowi, aby nie stanęła w sprzeczności z temi zasadami; ale w szkole ludowej, gdzie dziecko własnym rozumem bronić się od fałszu nie może, gdzie zadanie szkolne daleko mniej obejmuje nauk świeckich, a daleko więcej na wychowaniu religijno-moralnem polega, w tej szkole Kościół ma największą misyę, największe prawo, za którym zawsze obstawał i którego w żaden sposób zrzec się nie może.

Stąd wynika, że Kościół ma prawo:

1) uczenia i zakładania swoich szkół — a prawo to posiada nie od państwa lecz równorzędnie z niem;

2) we wszystkich w ogóle szkołach ma prawo uczenia religii, oraz dawania i odbierania misyi kanonicznej duchownym czy świeckim, którzyby religii uczyli;

3) we wszystkich również szkołach ma prawo nadzorowania całej nauki i jej personalu, z punktu religijno-moralnego.

To wszystko może się bardzo niepodobać legistom dawnego stylu, i teologom ze szkoły Febroniusza, którzy jedną tylko najwyższą władzę znają, a Kościół chcą uważać za organ w państwie według swego adagium *Ecclesia in statu;* ale powinni byli ci panowie odradzać Chrystusowi Panu, by Kościoła nie ustanawiał,

albo by tylko założył kościoły narodowe. Lecz skoro Chrystus Pan, nie radząc się ich i mimo mogących nastąpić kolizyj z państwami, ustanowił Kościół jako społeczność powszechną, zcentralizowaną na opoce Piotrowej, uposażoną w niezawisły cel i niezależne od nikogo prawa i środki działania — to trzeba albo z Chrystusem i katolicyzmem wojować, albo się pogodzić z tym stanem rzeczy i jego następstwami [1].

Dziś kiedy wielu ignoruje boską instytucyę Kościoła katolickiego, i kiedy inne wyznania zdobyły sobie faktycznie prawo bytu w społeczeństwie, wynika stąd pewna komplikacya w kwestyi szkolnej, gdyż nie idzie już tylko o pogodzenie praw państwa i Kościoła, ale też zarazem pretensyj innych wyznań, które domagają się równego prawa. Komplikacya ta nie wynika z natury rzeczy ani z instytucyi Chrystusa Pana, gdyż z natury rzeczy jedna jest tylko religia i Chrystus jeden tylko Kościół ustanowił — ale wynika jedynie z ludzkiej ułomności i ślepoty. Jednak, skoro taki stan rzeczy istnieje, trzeba szukać takich sposobów wyjścia, któreby nie czyniły gwałtu ani przekonaniom ani nabytym prawom. A to, jakkolwiek trudne, da się jednak w pewnej mierze, choć sztucznie osiągnąć.

Otóż tym wszystkim wymaganiom, które logicznie wypływają z praw Kościoła, państwa i rodziny do szkoły, czyni w ogóle zadość wniosek Liechtensteina.

Artykuł I. zakreśla w 9-ciu paragrafach ogólne „zasady, na „których ma się opierać wychowanie i nauka w szkołach ludowych".

Prawa rodziny uznaje najwymowniej §. 1-szy w samem określeniu zadania szkoły ludowej: „Szkoła ludowa ma to zadanie, aby

[1] Pius IX w Syllabusie potępił następujące zdanie, pod l. 47:

„Dobry stan państwa wymaga, żeby szkoły ludowe, do których mają przystęp dzieci z wszelkich klas ludności, tudzież publiczne zakłady, przeznaczone do uczenia literatury i nauk ścisłych i do wychowania młodzieży, wyjęte były z pod wszelkiej władzy, kierownictwa i ingerencyi Kościoła, a poddane zupełnie cywilnej i politycznej władzy, stosownie do woli rządów i do wymagań powszechnej opinii czasu".

Z potępienia tej tezy wynika oczywiście zatwierdzenie nauki diametralnie przeciwnej; którą też naukę Pius IX. wyłożył obszerniej w Liście do arcybiskupa Fryburskiego: *Quum non sine*, 14 lipca 1864.

„wraz z rodzicami i w zastępstwie rodziców wychowywać dzieci „według przepisów ich religii, i pouczać je i kształcić tak w tychże „jak w innych, niezbędnych w życiu elementarnych wiadomościach".

Prawo rodziców do wolnego wyboru szkół, czyli równo-uprawnienie szkół prywatnych z publicznemi, zabezpiecza §. 2-gi: „Szkoły prywatne mają być zupełnie na równi postawione z publi- „cznemi szkołami ludowemi, a przeto mogą zastąpić publiczną „szkołę ludową, kiedy tylko odpowiadają przepisom wydawanym „dla publicznych szkół ludowych".

§. 5-ty obowiązuje rodziców do dawania dzieciom potrzebnej nauki, ale szanuje ich przekonania religijne. „Rodzice, lub ich za- „stępcy, nie mogą swych dzieci lub pupilów zostawić bez wy- „chowania lub nauki przepisanej ustawami dla szkoły ludowej. „Nie mogą jednakże być zmuszani poddawać dzieci w szkole ta- „kiemu wychowaniu i takiej nauce, które się nie zgadzają z prze- „pisami ich religii".

Dalej §. 3-ci odróżnia bardzo trafnie w szkole ludowej dwa oddziały. Pierwszy obejmuje naukę elementarną, dla wszystkich potrzebną, z 6-cioletnim kursem, po 5 dni nauki w tygodniu, (o dwa lata mniej niż według ustawy dziś obowiązującej). Drugi oddział przechodzi niejako w sferę zawodową, i rozgałęzia się na następujące szkoły: „*a)* wydziałową, *b)* fachowo-przemysłową, *c)* fachowo- „rolniczą i *d)* szkołę uzupełniającą".

Jakie przedmioty objęte być mają w oddziale elementarnym, to określa bardzo szczęśliwie §. 1-szy, mianowicie: „religia, czyta- „nie i pisanie, rachunki, nauka języka w mowie i piśmie, śpiew. „Przyczem nauka czytania ma się w ten sposób odbywać, aby przez „nią, przy zastosowaniu środków pomocniczych poglądowych, naby- „wały dzieci najważniejszych dla siebie wiadomości z historyi po- „wszechnej i opisu ziemi, z historyi naturalnej i nauki o przyrodzie".

Wreszcie §. 4-ty stanowi, że do szkoły elementarnej obowiązane są uczęszczać wszystkie dzieci umysłowo i fizycznie zdrowe, z wyjątkiem tych, które w domu odpowiednią naukę otrzymują; co do wyższego zaś oddziału, wybór zostawiony jest rodzicom. Jednakże te dzieci, które nie mają iść do szkół średnich, ani do innych szkół fachowych, obowiązane są uczęszczać do

szkoły uzupełniającej. — Ten ostatni przepis, jeśli się nie mylę, czyni już uszczerbek autonomii rodzin; ale to szczegół łatwy do sprostowania.

Prawa państwa do szkoły wypowiedziane są w §. 7-ym. „Pań„stwo wykonywa najwyższe kierownictwo i nadzór nad systemem „wychowania i nauczania w szkole ludowej, za pomocą minister„stwa oświaty".

Nakoniec prawa Kościoła do szkoły uznane są w §. 6-ym, mianowicie: prawo wyłączne uczenia religii i prawo nadzoru nad całą szkołą: „Udzielanie religii, kierownictwo i nadzór nad nauką „religii i praktykami religijnemi w szkołach ludowych i w semina„ryach nauczycielskich, jest zadaniem Kościoła — względnie od„nośnego zgromadzenia religijnego.

„Wykonywa też Kościół — względnie odnośne zgromadzenie „religijne — skutkiem wychowawczego zadania szkoły, wspólny nad„zór nad całą szkołą".

Nadto §. 8-my zastrzega wyraźnie, że nauczyciel musi być tego samego wyznania co dzieci, i musi mieć missyę kanoniczną. „Posady nauczycielskie w szkołach ludowych i seminaryach nau„czycielskich są zarówno dla wszystkich austryackich obywateli do„stępne, o ile nieposzlakowanem jest ich życie moralne, o ile ich „wyznanie religijne zgadza się z wyznaniem dzieci, mających być „przez nich wychowywanemi i nauczanemi, i o ile przy obejmo„waniu posady w publicznej szkole udowodnią nadto jeszcze swe „pedagogiczne uzdolnienie do nauczania, według istniejących w tym „celu ustawowych przepisów; względnie do nauczania katolickiej „religii wykażą także wymaganą *missio canonica*". (W myśl tego paragrafu władza duchowna może nie tylko dać ale i cofnąć missyę kanoniczną, podczas gdy dziś wymagają dania, ale nie uznają cofnięcia takowej).

Takie są ogólne zasady szkoły ludowej postawione w artykule I.

Artykuł II zakreśla na tle tych zasad najszersze pole dla ustawodawstwa autonomicznego czyli poszczególnych krajów. Temu ustawodawstwu krajowemu zastrzega się „z zachowaniem powyższych „zasad, wydawanie wszystkich ustawowych przepisów, zdążających:

„*a)* do zakładania, utrzymania, urządzenia, kierownictwa i nad-

„zoru publicznych szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich, „jako też do regulowania ich stosunków międzywyznaniowych;

„*b)* do uregulowania prawnych stosunków osób stanu nauczy- „cielskiego;

„*c)* do ustalenia potrzebnych na cele szkolnictwa ludowego, „a zatem i nauki religii, wydatków i sposobu pokrycia tychże;

„*d)* do układania przepisów o prywatnych szkołach ludowych „i prywatnych seminaryach nauczycielskich".

Art. III zastrzega i zostawia *in statu quo* osobną autonomię szkolną galicyjską:

„Niniejsza ustawa nie narusza regulaminu wydanego w skutek „najwyższego postanowienia z d. 25 czerwca 1857 roku, odnoszącego „się do założenia krajowej rady szkolnej dla królestw Galicyi i Lo- „domeryi z W. Ks. Krakowskim. Zmiana tego regulaminu nie może „być uchwaloną jak tylko przez odnośny sejm".

Artykuły IV, V i VI omawiają tylko formalne warunki wprowadzenia w życie ustawy.

Taki jest wniosek ks. Liechtensteina. Możemy się nie zgodzić na pewne jego szczegóły, prawnicy mogą w nim upatrzyć pewne wadliwości formy; od tego są debata parlamentu i prace komisyi parlamentarnej żeby te szczegóły i formalności poprawić; — ale substancya tego wniosku jest niezawodnie ideą katolicką, logiczną dedukcyą z prawa natury i z instytucyi Kościoła, a uchylenie któregokolwiek z tych paragrafów zasadniczych byłoby istotnem pokrzywdzeniem bądź Kościoła, bądź familii lub społeczeństwa w ich prawach przyrodzonych.

Na pytanie więc: co sądzić o wniosku ks. Liechtensteina?, odpowiadam stanowczo: każdy katolik powinien być za nim. Niech każdy osądzi, czy ta konkluzya logicznie wynika z przesłanek. Każdy katolik, mówię, powinien być za tym wnioskiem, co do jego istoty, rozumie się — i właściwie tego tylko chcą wnioskodawcy. Idzie im o to — i nam wszystkim o to iść powinno — żeby się idea katolicka przebiła w ustawodawstwie, i żeby w tej reformie szkół, której wszyscy potrzebę czują, ona przewodniczyła — bo ona jest nieśmiertelnym pierwiastkiem odrodzenia.

Należy się jeszcze słowo odpowiedzi na zarzuty. Tu różne mogą być zdania. Czy trudności z błędów ludzkich wynikające dadzą się w ten lub ów sposób rozwiązać, lub czy wcale rozwiązać się nie dadzą, w każdym razie zasady i prawa najwyższe stać muszą. — Zresztą, w podniesionych zarzutach nie widzę nic tak nierozwiązalnego. Co się tyczy w ogóle mnogości wyznań w jednym kraju: w miastach mogą być zwykle osobne szkoły dla każdego z nich; po wsiach, ogromna większość ludności w Austryi jest jednowyznaniowa; gminy wiejskie rzeczywiście podzielone na kilka wyznań stanowią chyba rzadkie wyjątki — jednostki tylko Mojżeszowego wyznania rozsiane po wioskach chrześcijańskich; a niesłuszną byłoby rzeczą, żeby ustawa, dla uchylenia trudności w wyjątkowych razach, poświęcała interesa i prawa ogółu ludności.

Co mówią, że szkoły dawnego autoramentu stały bardzo nisko, że dozór księży był opieszały — stąd nic wnosić nie można. Być może, że duchowieństwo w Austryi nie dosyć było na tym punkcie gorliwe, ale czy też państwo zawsze w swym zakresie było sprężyste? mianowicie co czyniło dawniej aby podnieść szkołę? jaka część grosza publicznego szła ongi na szkoły ludowe, w porównaniu z tą, która dzisiaj idzie? Kościół jest z natury konserwatywnym, zatem wydarza się, że niektóre jego organa posuwają konserwatyzm aż do przesady — w kwestyi szkolnictwa jest to mniejsze zle niż ta żyłka ciągłych reform i prób, która w niektórych organach świeckich się przejawia, bo dzieci nie są *anima vilis* do eksperymentowania — ale Kościół nie jest zacofańcem, i doświadczenie pokazuje, że chętnie się zastosowuje do ulepszeń w takich rzeczach, jak szkoła, skądkolwiekby impuls do tych ulepszeń przyszedł, od państwa czy od społeczeństwa.

Ale duchowieństwo, mówią niektórzy, może nadużyć wpływu na szkoły; są miejsca, gdzie ksiądz, użyje szkoły do szerzenia agitacyi niekatolickiej. — Ten zarzut uważam za najniesłuszniejszy. Czy nauczyciel państwowy, pytam, będąc wolny od dozoru miejscowego księdza, nie może w tych samych kierunkach, a nadto jeszcze w kierunku socyalizmu, szkoły nadużywać? Nadużycia są zawsze możliwe, a ze strony księży, jak każdy nawet liberał przyzna, rzadziej się zdarzą niż z jakiejkolwiek innej. Zresztą, jak doskonale powiedział

na tem samem miejscu p. Jan Popiel[1], jeśliby miejscowy dusz pasterz chciał szerzyć w swej parafii idee separatystyczne lub nienawiści rasowe, to i po za szkołą ma na to tysiąc sposobów; na co mu zamykać szkołę kiedy mu się kościoła nie zamknie? Nic w tej mierze tak szkodliwem być nie może, jak dowody niezaufania.

Zarzucają jeszcze, że za szkołą wyznaniową idą chajdery, które utrzymują odrębność i fanatyzm Żydów, gdy tymczasem zadaniem szkoły wspólnej jest zlać element żydowski z narodem. Gdyby uczęszczanie Żydów do wspólnych szkół z nami miało ich przerobić na chrześcijan, to zgoda najzupełniejsza! Ale kiedy od 4000 lat, tyle różnych narodów i tyle wielkich potęg wszelkich próbowało sposobów, ażeby odebrać Żydom ich odrębne znamię — począwszy od Egipcyan, którzy ich topili w Nilu — a Żydzi jak byli tak są Żydami — to i austryackie prawo szkolne tego nie zmieni. Szkoły bezwyznaniowe, wspólne z chrześcijanami nie odbiorą Żydom ich semickiej odrębności, ale odbiorą im (i już im odbierają) tę trochę wiary i religijności, któreby z chajderów wynieśli, uczynią ich bezwyznaniowemi, zatem niemoralniejszemi i szkodliwszemi dla chrześcijańskiego społeczeństwa niż są. Sami to poważni Izraelici uznają. A każdy wytrawny nauczyciel, każda nauczycielka z ręką na sumieniu przyzna, że dzieci żydowskie są plagą szkół galicyjskich, posiewem niemoralności, niesumienności i obojętności religijnej. Można chajdery dozorować, żeby uchylić w nich możliwe nadużycia, ale kasować je, jestto zła przysługa i dla samych Żydów i dla chrześcijańskiej społeczności.

Mówią wreszcie — i to się nawet w Kole polskiem dało słyszeć — że obecna szkoła w Austryi czyni zadość religijnym wymaganiom, bo nie jest bezwyznaniowa, ale „wszechwyznaniowa". Wszechwyznaniowość jest pojęciem sprzecznem, *contradictio in adjecto*, więc ani w Austryi istnieć nie może. We Francyi szkoła jest dziś anti-wyznaniową, bo dąży pozytywnie do tępienia religijności — u nas nie jest ona antiwyznaniową, bo nie ma tej wrogiej dążności, ale jest bezwyznaniową, bo wedle ustaw zasadniczych stoi niezawiśle od religii i usuwa nadzór Kościoła, który jednak jest z istotą katolicyzmu ściśle związany. Proboszcz uczący kate-

[1] W *Przeglądzie powsz.* Kwiecień b. r.

chizmu w szkółce wiejskiej, jest tam, w myśl ustawy, podwładnym nauczyciela jako kierownika szkoły, i może być przez niego z pedagogicznych względów napominany. U nas wiele dobrych rzeczy się utrzymuje, a wiele złych i niedorzecznych następstw się uchyla dobrą wolą poczciwych ludzi, i dla tego nie dosyć czujemy zła, jakie tkwi w pewnych zasadach i pewnych ustawach, z któremi się oswajamy. Ale wpływ zasad i ustaw powoli przerabia społeczeństwo. W niektórych prowincyach austryackich ten wpływ bezwyznaniowych zasad, zwłaszcza w szkolnictwie, już daleko dotkliwiej daje się czuć niż u nas, i dlatego tam katolicy z wielkim zapałem podpisują adresy i rezolucye za wnioskiem Liechtensteina. I u nas zmiana politycznego kierunku może kiedykolwiek przyspieszyć i wyzyskać zło, które tkwi w instytucyach, jeżeli się nie postaramy póki czas o ich sprostowanie. Patrzmy co się dzieje ze szkołą ludową w Księstwie Poznańskiem, gdzie rząd wrogi Kościołowi i narodowi wyzyskuje logicznie zasadę, że szkoła do państwa należy *das Schulwesen ist politicum*. Tam fakta nam pokazują, jaka tyrania mieści się w tej zasadzie, i jak wiele na tem zależy, żebyśmy nie poprzestawali na stosunkach faktycznie jako tako poczciwych, lecz przykładali rękę do przeprowadzenia zasadniczo stosunków normalnych, tj. zależności szkoły od trzech władz: Kościoła, państwa i rodziny.

Ostatecznie, jakiebykolwiek były trudności i względy oportunistyczne, tu idzie o zasadę: idzie o zrobienie wyłomu w prawodawstwie majowem, które było przeciwko Kościołowi ukutem; idzie o przyznanie Kościołowi jego prawa do szkoły, które mu w zasadzie zostało zaprzeczonem. Czy w tej formie, którą ks. Liechtenstein przedłożył, czy w innej, czy w tej kadencyi parlamentarnej, czy dopiero po latach wysiłków, w każdym razie ciągle i zbiorowe parcie katolików zasadę przeprowadzić potrafi. A kiedy podnoszą sztandar katolickich zasad, każdy katolik przy nim stanąć winien — stańmy przy nim bez wahania. Przy tym sztandarze znajdziemy solidarność z wszystkimi ludźmi zasad — i znajdziemy błogosławieństwo: *caetera adjicientur vobis*.

Ks. M. Morawski.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

W pierwszej połowie w. XVI, do lipca r. 1552, wcale ruchliwy, choć zresztą spokojny prowadził żywot w Krakowie, pracując wedle sił i możności dla dobra ogółu i bliźnich, czynny jako kapłan w kościołach bożych i jako profesor w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wisneczanin ks. dr. Leonard.

Syn mniej niż niezamożnego kmiecia Wawrzyńca z małej wioszczyny Wisnki, przezwanej później Wistką, pod Pajęcznem w Sieradzkiem [1], urodził się przyszły magister filozofii i dr. św. teologii około r. 1480. Najpierwszych wiadomości elementarnych w nauce czytania i w piśmie, w rachunkach, śpiewie kościelnym i w początkach języka łacińskiego, nabył prawdopodobnie w szkółce parafialnej w oddalonem zaledwie o pół mili drogi miasteczku Pajęcznie, do którego parafii razem z leżącą w sąsiedztwie Białą i innemi wioskami pobliskiemi, osada Wisnka z dawien dawna należała [2], poczem w półroczu letniem r. 1494, dnia 29 kwietnia, a musiał już wtenczas co najmniej mieć skończonych 13 lat życia [3], uiściwszy prawem wymaganą taksę wstępną, wpisał się w poczet uczniów

[1] Pawiński, Wielkopolska, II 207 i 282.

[2] Łaski, Liber beneficiorum archidyecezyi gnieźnieńskiej, wyd. ks. dr. Korytkowski, I 529 i n.

[3] O wydawnictwie Liber diligentiarum krakowskiego wydziału filozoficznego, str. 9.

Uniwersytetu krakowskiego. Odnośna o nim zapiska w dochowanej dotąd szczęśliwie w zbiorze rękopisów biblioteki Jagiellońskiej pergaminowej Metryce uniwersyteckiej [1], uskuteczniona własną ręką ówczesnego rektora Uniwersytetu, dra i prof. św. teologii, ks. Jana Sakrana z Oświęcimia, brzmi dosłownie: „Lleonardus Llaurencij de Vijsnka penultima Aprilis (1494) soluit totum".

Kto ubogiego z pod kmiecej strzechy podrostka z Wisnki na dalszą w tym roku pchnął naukę do oddalonego o całą prawie dobę jazdy Krakowa, i kto tytułem wstępnego całą za niego przy wpisie taksę zapłacił, nie jest wprawdzie wiadomo, ale mniej więcej z łatwością w przypuszczeniu odgadnąć się daje. Wszak dla tych, co mieli sposobność wszechstronniej się zaznajomić z starożytnymi Metrykami Uniwersytetu Jagiellońskiego i bliżej w ich zawartość wniknąć, dostatecznie znaną jest rzeczą, że obok synów mieszczańskich z Krakowa i większych miast i miasteczek polskich, jak Lwowa, Poznania, Lublina, Warszawy, Wilna i innych, a dalej obok garstki sąsiednich Węgrzynów i Szlązaków i stosunkowo nielicznych dzieci podupadłej szlachty drobnej, główną rdzeń ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie stanowili przeważnie synowie małomieszczan i kmieci z licznych w Polsce owoczesnej dóbr arcybiskupich i biskupich, kapitulnych i kolegiackich, klasztornych i w ogóle duchownych [2]. Zawsze znalazła się w tych miejscowościach poczciwsza jakaś i o dobro kościoła i przyszłych narodu pokoleń dbalsza osoba duchowna, snadź już wtenczas przeświadczona o pewniku, że tylko inteligencyą stoją społeczeństwa, która od czasu do czasu tego i owego mniej zamożnych rodziców chłopaka, co talent i ochotę do nauki zdradzał, a miejscową lub pobliską szkołę parafialną z pomyślnym ukończył był skutkiem, na studya uniwersyteckie do ławek Almae matris szkolnych w stolicy państwa wyprawić zdołała.

---

[1] Metricae studiosorum Universitatis Cracoviensis pars I, rękopis bibl. Jag. nr. 258, str. 397.

[2] Poruszałem już po kilkakroć w tym sensie sprawę na posiedzeniach wydziału filolog. Akademii umiej., 5 listopada r. 1883 w odczycie „Wacław de Brodnia Ubogi i jego rękopisy", i 5 maja, 9 czerwca i 6 listopada r. 1885, omawiając przygotowany do druku Liber diligentiarum.

A nasza Wisnka, czyli jak ją już dzisiaj zowią Wistka? Toć przecie już od początku w. XV posiadłość uniwersytecka, razem z kilkoma probostwami, jak św. Andrzeja w Olkuszu i św. Leonarda w Pajęcznie, i razem z niektórymi innymi dobrami królewskimi w Łęczyckiem, Poznańskiem i Sieradzkiem, oddana przez króla Władysława Jagiełłę na własność kolegiacie św. Floryana na Kleparzu pod murami Krakowa, z tem jednak zastrzeżeniem, żeby do uposażonych w ten sposób za wolą i łaską królewską kanonij i prebend kolegiackich wyłącznie tylko magistrowie filozofii i doktorowie trzech innych w Uniwersytecie wydziałów, teologicznego, jurydycznego czyli kanonicznego i medycznego, przystęp mieć mogli[1]. Jakoż tylko rozdawnictwo najpierwszego w kolegiacie dostojeństwa, nominacyą jej proboszczów, zachował był król Odnowiciel dla siebie i swoich następców, którzy też godność tę i połączone z nią dochody ulubieńcom swoim, zazwyczaj podkanclerzym koronnym lub przybocznym lekarzom królewskim nadawali. Inne natomiast dostojeństwa kolegiackie, jak drugie z rzędu dziekana, trzecie kustosza, czwarte kantora[2], i kilka pomniejszych kanonij i prebend obsadzała kolegiata sama, łącznie z rektorem Uniwersytetu, drami prawa, medycyny i św. teologii, i łącznie ze starszymi na wydziale artystycznym magistrami, a jako tako uposażone jej beneficya — jak się wyraża zmarły przed laty a około dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego bardzo zasłużony pisarz[3] — były odtąd „jedynym celem gorących życzeń i usiłowań ubogich wydziału filozoficznego profesorów".

Na wiosnę też r. 1494, kiedy się Wawrzków syn z Wisnki na wydział artystyczny w poczet uczniów Uniwersytetu zapisywał, piastował od dłuższego już czasu dygnitarstwo proboszcza kolegiaty ulubieniec królewski, mąż światły i zasłużony, dr. prawa i podkanclerzy koronny, Grzegorz Deitarus z Lubrańca Lubrański, który

---

[1] Długosz, Liber beneficiorum dyecezyi krakowskiej, I 477 i nn.

[2] Długosz, l. c., przez pomyłkę wyliczył godności te w porządku następującym: „Praepositura prima dignitas in ecclesia s.. Floriani... decanatus secunda dignitas... cantoria tertia dignitas... custodia quarta dignitas...". Kustodya w kolegiacie św. Floryańskiej szła zawsze przed kantoryą.

[3] Muczkowski, Mieszkania uczniów krakowskich, str. 11.

właśnie na rok przedtem, w r. 1493, istniejącą od stuleci przy kolegiacie szkołę parafialną staraniem swojem z muru był odbudował[1]. Wzorem innych krakowskich szkół parafialnych stanowiła wówczas szkoła św. Floryańska zarazem bursę czyli bezpłatne dla ubogich uczniów uniwersyteckich mieszkanie[2], a czynem tym wyjątkowo zapisał proboszcz z r. 1493 trochę lepiej pamięć swoję także w dziejach kolegiaty i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Inni jej proboszczowie bowiem, zadowoleni tytułem i pobieranymi z kolegiaty dochodami, mało co zresztą o jej przyszłość i dalsze troszczyli się losy[3], które prawie zawsze i prawie wyłącznie w rękach spoczywały każdorazowych dziekanów i kustoszy, zwłaszcza że i czwarty jej z rzędu dygnitarz, kantor kolegiacki, jako urodzony pleban olkuski, co od połowy w. XV z kantoryą zawsze szło w parze, stale w Olkuszu mieszkać był obowiązany, a kapłańskie za niego w kościele św. Floryana powinności mianowany z ramienia jego ksiądz zastępca, wicekantorem zwany, wypełniać musiał. Na wiosnę zresztą r. 1494 urzędy te i godności następujący sprawowali profesorowie, doktorowie i bakałarze prawa i św. teologii: dziekanem był Andrzej Łabiszynius z Łabiszyna[4], kustoszem ówczesny rektor

[1] Długosz, Liber benef., I. 481: „scolam muratam aedificavit dnus Greg. de Ludbrancz, regni Poloniae vciecancellarius et praepositus ejusdem ecclesiae a. d. 1493“. W każdym razie dodatek ten nie pochodzi od samego Długosza († r. 1480), wtrąciła go w Liber benef. ręka inna, r. 1493 lub nawet później.

[2] Muczkowski, Mieszkania, str. 42.

[3] Po Lubrańskim, którego synowiec Jan, biskup płocki a potem poznański, założeniem r. 1519 kolegium Lubrańskiego w Poznaniu, także pamięć swoję niezatartymi w dziejach narodu zapisał literami, byli między innymi krócej lub dłużej proboszczami kolegiaty św. Floryana: Andrzej Krzycki, Piotr Gamrat, Samuel Maciejowski, fizyk królewski Andrzej Italus de Valentinis Mutinensis, dr. medycyny Bartłomiej Sabinka Regiopontanus z Mostów królewskich na Stradomiu w Krakowie, podkanclerzy koronny Jan Przerębski, ks. Rafał Wargawski i dr. med. Piotr Poznanita z Poznania. Dopiero za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego dostało się z czasem Uniwersytetowi krak. także prawo prezenty do probostwa św. Floryana. Żeg. Jak. Pauli, Series praepositorum et canonicorum ecclesiae collegiatae s. Floriani extra muros Cracovienses in Kleparz, rękopis.

[4] Mylnie o nim w rękopisie bibl. Jag. pod nrem 2579 ręka późniejsza, ob. Szujski, Statuta i matrykuły wydziału teolog. Uniw. Jag., str. 19, zanotowała: „1489 mortuus“. Powinno być „1498 die 10 Julii mortuus“, jeszcze bowiem w latach 1496 i 1497 był i dziekanem św. Floryańskim i po trzykroć

Uniwersytetu, Jan Sacranus z Oświęcimia; na pomniejszych zaś kanoniach siedzieli: Maciej Szydłowita z Szydłowa, Jan Staniszowicius ze Staniszowic, Piotr zwany Świętopełkiem ze Zembrzyc alias de Nieznanowice, Marcin Łysy z Krakowa [1], i prawdopodobnie Marcin Krajewita z Krajewic [2], sami mieszczanie lub synowie ubogich kmieci.

Ścisły zatem — jak widzimy — Wisnkę ówczesną łączył stosunek z Uniwersytetem krakowskim: stanowiła ona już od czasów króla Jagiełły bezpośrednią kolegiaty św. Floryana własność, którą albo sam dziekan, albo w imieniu kolegiaty jeden z jej kanoników, z tytułem prowizora lub prokuratora dóbr kolegiackich, odpowiedzialny przed jej dziekanem i całą kapitułą stale zarządzał, a zarazem należała do probostwa w Pajęcznie, którego prawo prezenty także kolegiata św. Floryańska wspólnie z rektorem Uniwersytetu, jego doktorami i starszymi magistrami bez przerwy wykonywała. Niestety, który z wymienionych co kanoników pełnił właśnie na wiosnę r. 1494 obowiązki prokuratora dóbr kolegiackich, i kto z ówczesnych magistrów lub doktorów krakowskich był wtenczas proboszczem w Pajęcznie, a tylko ci dwaj mogli byli podrostkowi wisneckiemu ułatwić drogę do Krakowa i rozpoczęcie tam studyów uniwersyteckich, nie dochowały nam współczesne źródła rękopiśmienne. Nie dochował się w nich także wyraźniejszy ślad, jakie właściwie chłopię nasze nosiło rodowe po ojcu nazwisko, a poczet proboszczów pajęckich, choć nie ze wszystkiem dla sprawy naszej wyczerpujący, dopiero mniej więcej od samego schyłku w. XV jako tako śledzić się daje.

W tym czasie właśnie, ale w każdym razie dobrze już w drugiej połowie r. 1494 lub nawet trochę później, był tu proboszczem dr. prawa, ks. Leonard Cracovita z Krakowa, osobiście jednak w Pajęcznie nie mieszkał, i owszem zastępować się tam dawał

---

rektorem Uniwersytetu. Metrica studiosorum, I 409 i nn.; Pauli, Codex diplomaticus Universitatis Cracoviensis, III 244.

[1] W tym porządku, podług piastowanych godności, wylicza prałatów i kanoników kolegiackich pergaminowe „Statutum de vicarijs nouiter ecclesiam intrantibus“, uchwalone die Martis 20 Maji a. d. 1494, przechowane dotąd w archiwum probostwa św. Floryana w Krakowie.

[2] Pauli, Series, j. w.

w obowiązkach duszpasterskich przez wikarych, a sam jako profesor na wydziale jurydycznym stale przebywał w Krakowie[1]. Następcą jego, od lata r. 1514, był starszy magister krakowski, ks. Marcin Wolborita z Wolborza[2], wśród jakich wszakże okoliczności, dlaczego i kiedy ustąpił, nie jest wiadomo. W lecie r. 1529 siedział już na probostwie tamtejszem młodszy wprawdzie stanowiskiem, ale widocznie starszy wiekiem, ks. mgr. Maciej Przedborius z Przedborza, całkiem krótko wszakże, umarł bowiem albo przy końcu t. r. albo w kilka tygodni później[3], dlaczego też już w Wielką środę, 13 kwietnia r. 1530, obrała kolegiata, na której czele stali właśnie drowie i prof. św. teologii, dziekan ks. Bernard Episcopius z przedmieścia krakowskiego Biskupie, i kustosz Michał Wratislawita z Wrocławia, następcę jego w osobie dra i prof. św. teologii, ks. Stanisława Łowiciusza z Łowicza, polecając mu zarazem, ażeby osobiście w parafii swojej zamieszkał. W sam też dzień Wniebowzięcia N. Panny Maryi, 15 sierpnia t. r., objął nowy proboszcz opiekę nad parafialnym św. Leonarda kościołem w Pajęcznie i nad należącym do niego i tuż obok położonym drugim kościółkiem drewnianym pod wezwaniem N. Panny Maryi, a czynność swoję rozpoczął od szczegółowego zbadania tak stanu obydwóch kościołów, jak i ich kosztowności, przyborów, ksiąg kościelnych i obrazów, które niezwłocznie malarzowi Marcinowi z Krakowa odnowić polecił i z których jeden, mianowicie stary N. P. Maryi obraz, niebawem w okolicy, czego poniżej kilka przykładów przytoczyć nadarzy się sposobność, cudami zasłynął.

[1] Muczkowski, Liber promotionum philosophorum ordinis, str. 89 i 97. — Według Liber diligentiarum, str. 397, w półroczu ziwowem r. 1492, t. j. do Wielkanocy r. 1493, jako extraneus, a więc całkiem młody jeszcze mgr., wykładał na wydziale artystycznym t. zw. Arystotelesa Parva logicalia; † w pierwszych dniach lutego r. 1514.

[2] Łaski, Liber benef., I 529. — Podług Liber dilig., str. 526, w półroczu letniem r. 1514 jako collega major wykładał jeszcze na wydziale filosof. Arystotelesa Topica, które po czterech lekcyach przerwał: „4 lectiones faciendo cessavit".

[3] Podług Liber dilig., str. 479, jeszcze do Wielkanocy r. 1529 jako collega minor wykładał na wydziale artystycznym Donata; w półtora zaś roku później, 16 września r. 1530, stają już przed sądem rektorskim: „executores testamenti olim Venerabilis mgri Mathie de Przethborz, plebani in Payeczno". Actorum rectoralium Universitatis Crac. pars I ab a. 1469—1536, rękopis bibl. Jag. nr. 3804 (16), str. 1169.

Rozpoczął czynność swoję nowy proboszcz także od tego, że zaraz w jesieni r. t. w osobnej księdze, która się dotąd szczęśliwie w zbiorze rękopisów biblioteki Jagiellońskiej [1] dochowała, zapisywać począł własnoręcznie, choć nie bardzo systematycznie, najprzód na r. 1531 a potem także na lata następne, przychody i rozchody swego probostwa, do którego oprócz miasteczka Pajęczna wchodziły jeszcze wioski i osady okoliczne: Biała, od której zasłużony nasz dziejopisarz i poeta XVI w., Marcin Wolski, pisał się także Bielskim, Dworyszewice, zwane dzisiaj Dworszowicami, Dylów, Gawłów, Jajki, Wola jajkowska, Siedlec czyli dzisiejsze Siedlice, Wisnka, dzisiaj już Wistką zwana, i Wręczyca. Szacowna też to bardzo pod każdym względem ta jego księga. Uzupełniana w późniejszych latach już to przez wikarych ks. dra Łowiczanina już przez jego następcę, sięga do r. 1551 włącznie, a już jej początkowe karty, obejmujące w rubryce „Percepta ecclesie parochialis in Payączno“ wykaz przychodów na r. 1531, między któremi na sam przód wysunięta zapiska: „Inprimis decima in Byala vendita pro sex marcis ibidem Nobili dno Ioanni Byelsky et soluta“, niezwykłe budzą zaciekawienie. Niżej poznamy z niej nieco bliżej i tego Jana, niewątpliwie ojca naszego pisarza i poety Marcina, jego matkę, poznamy prawdopodobnie i teściową Siemkowską i pierwszą jego z Siemkowskich żonę. Ale i w tej chwili już, ze względu na rodzinę naszego Wisneczanina, wcale ciekawych dostarcza księga danych; znajdujemy w niej bowiem w sześciu różnych miejscach spis zamieszkujących Wisnkę w latach 1533—1547 rodzin kmiecych, które jużto dziesięcinę, już tytyłem poczesnego inne daniny kościelne, jak meszne, godowe czyli kolendę i śmigus wielkanocny [2] proboszczowi pajęckiemu płacić obowiązane były. I tak zamieszkiwali wioszczynę naszę w owym czasie:

[1] Liber expensorum pro famulitio in bonis Universitatis ab a. 1531 ad a. 1551, nr. 4029 (262), z którego szczegóły powyższe wzięte, i do którego także niżej jako na Percepta ecclesiae parochialis in Pajęczno częściej się odwołuję.

[2] „Missalia, strena, galli a benedictione paschali“. Percepta, str. 21 i indziej.

Visnka 1533:	*Wysnka 1534:*	*Wisnka 1537:*
Fflorianus Kvkla	Karpik	Flor. Cvkla
Carpyk	Tribusek	Carpyk
Tribusec	Vilicus Baran	Tribvsek
Vilicus Baran	Marschalek	Baran
Marszalek	Tthworek [1]	Szymek Iaskovycz
Bernath	Byernath	Marszalek
Cosmider	Kosmyder	Cosmider
Baranczyk	Baranczyk	Baranczyk
Iaszek	Iasyek	Iassyek
Myczek	Mijczek	Myczek
Rospanth	Iadamova	Rospanth
Iadomova	Rospvnth [2]	Iadamova
Skowronek	Molendinator Skowronek	Molendinator Cvna Iacob

Vijsnka 1539:	*Visnka 1544:*	*Visnka 1547:*
Fflor. Cvcla	S. Carpyk	Carpik
Carpyk	Simon Iaskovycz	Ioan. Bayorek
Tribvsek	Mat. Trybvsek	Tribussek
Baran	Nic. Baran	Baran
Marszalek	Ioan. Marszalek	Marszalek
Bernath	Fflor. Cucla	Stan. Gagatek
Cosmider	Bernardus	Kuklyna
Cvna Baranczyk	Ioan Cosmider	Byernath
Iassek	Iac. Cvna, Baijor [3]	Cosmider
Myczek	Iassyek	Bayor
Rospanth	Stan. Miczek, Gagatek [4]	Iassek
Iadamova	Vidua Myczkova	Myczkova
Iaskovycz	Ioseph Rospanth	Rosponth
Molendinator	Vidua Kvklina	Greglova [5]
	Molendinator	Simon molendinator.

[1] Przy innej sposobności, l. c. pod r. 1536, str. 226, pisany „Thvorek".
[2] „Rospvnth", tak!
[3] „Baijor" inną dopisany ręką.
[4] „Gagatek" także inną dodany ręką.
[5] „Greglova", tak!

Wyprowadzać z cennego tego choć skąpo rzuconego wykazu kmiecych rodzin wisneckich rodowe po ojcu podrostka Leonarda nazwisko, byłoby naturalnie, w braku innych wyraźniejszych danych, rzeczą i zbyt śmiałą i trochę może niewłaściwą. Lakoniczne te wykazy są przytem i o 50 lat z okładem młodsze od chwili urodzenia się naszego Wisneczanina, i o dobrych lat 40 późniejsze od dnia i roku, gdy jako słuchacz wydziału artystycznego w poczet uczniów uniwersyteckich się wpisywał, a przypuszczać się nawet godzi, że z czasem, gdy na wielkim i szerokim świecie — jak niżej usłyszymy — wcale zaszczytnego i intratnego dobił się stanowiska, na którem i siebie i najbliższych swoich krewnych wcale dostatnio mógł był wyżywić, najpierwsi mu po ojcu Wawrzyńcu bracia i bratanki, zamiast i nadal ciężko na niewdzięcznej pracować roli, za nim pomału w mury podążyli miejskie. W wykazach tych zresztą, choć zaledwie jedno obejmują piętnastolecie, dostrzegać się dają pewne, choć nie bardzo znaczne zmiany w szczupłem tem gronie zamieszkujących Wisnkę rodzin kmiecych, a na zmiany takie, nawet wcale znaczniejsze, natrafimy jeszcze później, w miarę jak się zbliżać będziemy do roku, w którym właściciel sąsiedniej Białej, wspomniany już dziejopisarz i poeta, Marcin Bielski, razem z drugą żoną swoją, Heleną z Piotraszowskich Abdankówną, wioszczynę naszę i dziesięciny kilku osad pobliskich, między innymi także Niwiski, od kolegiaty św. Floryana brać będzie w dzierżawę. Zmiany takie zajść więc tu musiały i na lat 50 przedtem, licząc wstecz od r. 1533, a najbliższych po mieczu w kmiecem tem gronie krewnych Leonarda prawdopodobnie już niema. Z tem wszystkiem, co z drugiej znowu strony także zaprzeczyć się nie da, to samo tu między borami i piaskami, co przed 50 laty, panować musiało życie wewnętrzne i te same stosunki wiejskie, wśród jakich do 14 roku życia przyszły mgr. filozofii i dr. św. teologii wychowywał się i wzrastał, a nieliczni ci Karpikowie i Trybuski, Barany i Barańczyki, Marszałki, Tworki i Kośmidery, Bajory i Bajorczyki, Gagatki, Skowronki i inni, jeżeli nie po mieczu, toć niechybnie po kądzieli bardzo bliscy syna Wawrzkowego powinowaci, dla których w bliższym lub dalszym stopniu był jużto kumotrem lub strykiem, już swakiem lub ujkiem [1].

[1] W nazwach tych, jak wiadomo, lud prosty wielkiej różnicy ani nie zwykł był robić, ani nie robi.

Bądź jak bądź rodowe po ojcach chłopięcia wisneckiego miano, jak dotąd przynajmniej, kryje się jeszcze gdzieś w falach zapomnienia, i dopiero kiedyś później może przy szczęśliwszej jakiej sposobności na wierzch wypłynie. Nazwisko to zresztą według obowiązującego wówczas i od dawna już w prywatnych i publicznych stosunkach przyjętego zwyczaju nie na wiele mu się przydać mogło lub powinno było, a wyjawiać go czyto publicznie czy prywatnie, nigdzie, przed nikim i nigdy nie był obowiązany. Jakoż gdy na początku r. 1494 czyto w towarzystwie ówczesnego prokuratora dóbr św. Floryańskich, czy też w towarzystwie nieznanego z imienia ówczesnego proboszcza pajęckiego, do Krakowa przybył i 29 kwietnia przed urzędem rektorskim się stawił, wystarczało z jego strony podanie przy wpisie w poczet uczniów uniwersyteckich tak swego jak i ojca swego imienia chrzestnego, nazwanie miejscowości, z której pochodził, i wykazanie się, że już co najmniej trzynasty rok życia ukończył i biegle czytać i pisać po łacinie umie[1]. Po załatwieniu zaś tych formalności i uiszczeniu wstępnego położyło chłopię dwa prawej ręki palce na rozłożoną na stole Metrykę pergaminową, wykonało przysięgę na wierność kościołowi i na posłuszeństwo przepisanym ustawom uniwersyteckim, a gdy rektor Sacranus do tejże Metryki zaraz potem wpisał „Lleonardus Llaurencij de Vijsnka penultima Aprilis soluit totum“, od tej chwili z pędziwiatra i próżniaka wiejskiego zdradzający talent i ochotę do nauki Leonardek stał się już uniwersyteckim Almae matris scholarem, albo jak wówczas podobnych jemu u nas studentów ubogich zwano, żakiem czyli żebrzącym pauprem krakowskim.

Jakie też odtąd życie tu prowadził, łatwo sobie przedstawić[2]. Przedewszystkiem więc, do czego przecież jako syn niezamożnego kmiecia z należącej do św. Floryana Wisnki miał niezaprzeczenie pierwszeństwo, zamieszkał w odmurowanej właśnie na rok przedtem przez proboszcza Lubrańskiego szkole św. Floryańskiej, która — jak się już rzekło — zarazem rodzaj bursy czyli bezpłatne dla ubo-

[1] Innych wiadomości od wpisujących się na wykłady artystyczne kandydatów niewymagano wówczas.

[2] Muczkowski, Mieszkania, str. 32 i nn.; Teliga, O stosunku między probostwem kościoła św. Floryana na Kleparzu a szkołą przy tym kościele i Uniwersytetem Jag., str. 3 i nn.

giej młodzieży uniwersyteckiej stanowiła mieszkanie. A jak i z czego tu żył, i czem grzeszne okrywał ciało? Ano, odwdzięczając się prałatom i kanonikom kolegiackim a swoim dobrodziejom za udzielenie łaskawego pod dachem szkolnym schronienia, czyścił im odzież i buty, palił w piecach, nosił wodę, biegał na posyłki, służył im do mszy św., razem z drugimi żakami a kolegami i towarzyszami swoimi, wyśpiewywał pacierze, jutrznie i nieszpory w kościele, brał udział we wszystkich procesyach i pogrzebach, a w wolniejszych od tych zajęć i nauki, dla żołądka zaś przykrzejszych chwilach, idąc za innymi żakami żebrzącymi, chodził od mieszkania do mieszkania z garnkiem po prośbie, skąd jaja, chleb i inne jadło, a niekiedy także pieniądz, przechodzoną jaką odzież lub nie całkiem jeszcze zużyte obówie do domu przynosił. Z czasem naturalnie, gdy w lata wzrastając, większej biegłości w rachunku nabywał, ręka zaś do prędszego pisania jako tako mu się ułożyła była, wysługiwał się dobrodziejom swoim także pisaniną różną, a w tym i owym domu mieszczańskim małe dzieci do poznawania liczb i liter, ich składania i zgłoskowania zaprawiał.

Wśród takich też fizycznych i umysłowych zajęć i trudów, przerywanych uczęszczaniem na wykłady filozoficzne i braniem udziału w sobotnich dysputach publicznych, upłynęły mu uniwersyteckie na wydziale artystycznym lata szkolne, nie całkiem wszakże, jak się przedtem zdawać mogło, z pomyślnym dla niego skutkiem. Zamiast bowiem, na co ówczesne Uniwersytetu Jagiellońskiego przepisy zezwalały [1], poddać się egzaminowi na bakałarza nauk wyzwolonych już po upływie pierwszego dwulecia, egzaminowi zaś na magistra filozofii po drugiem dwuleciu czyli razem po upływie lat czterech, wisnecki nasz podrostek, jużto dlatego, że nie dosyć może wystarczające ze szkoły parafialnej wyniósł był przygotowanie do słuchania wykładów artystycznych, już też z przyczyny, że za wiele czasu na wysługiwanie się swoim dobrodziejom i na inne uboczne zajęcia tracić musiał, złożył egzamin bakałarski dopiero za dziekaństwa mieszczanina z rodu i pochodzenia, Mikołaja Mikosza z Krakowa, w połowie sierpnia r. 1498, egzamin zaś na magistra filozofii dopiero po Trzech królach r. 1504, gdy właśnie urząd i godność

[1] O wydawnictwie Liber diligentiarum, str. 7 i nn.

dziekana wydziału syn kmiecy, mgr. i bakałarz św. teologii, Jan Leśnicensis z Leśnicy z pod Szadku [1], sprawował.

Zamiast więc już w ciągu lat czterech uporać się z egzaminami, a zdolniejsza i do innych zajęć ubocznych nie tyle przymuszana młodzież, w rzeczy samej tylko tyle do nich potrzebowała czasu [2], dopiął żak Leonard upragnionego celu dopiero zaledwie po upływie prawie całego dziesięciolecia od chwili rozpoczęcia nauk filozoficznych. A czego się w tym czasie uczył tu i nauczył? Ano, czego owoczesne ustawy szkolne wymagały, i o czem ze znanego już dzisiaj Liber diligentiarum wydziału artystycznego z lat 1487—1563 mniej więcej dokładne wyrobić sobie można wyobrażenie [3]. Słuchał zatem i uczył się, uzupełniając najprzód i rozszerzając nabyte w szkółce parafialnej elementarne wiadomości, siedmiu nauk wyzwolonych czyli t. zw. średniowiecznego trivium i quadrivium, a mianowicie: gramatyki, retoryki, dyalektyki, arytmetyki, muzyki, geometryki i astronomii czyli astrologii, co w owych czasach na jedno wychodziło. Uczęszczał dalej na wykłady autorów rzymskich, Cycerona, Horacego, Ovidego, Valeriusa Max., Vergilego i innych, a wreście i przedewszystkiem, co główną było ówczesnego wykształcenia szkolnego podstawą i główny na dysputach sobotnich stanowiło przedmiot, bez czego nawet o egzaminie na bakałarza, a tem mniej na magistra ani pomyśleć można było, słuchał wykładów najrozmaitszych partyi z całokształtu filozofii wielkiego myśliciela greckiego, Arystotelesa, naturalnie nie wedle oryginału greckiego, lecz podług najbałamutniejszych tłómaczeń i scholastycznych przeróbek i objaśnień w skażonej łacinie średniowiecznej.

A w dodatku wszystkich owych nauk wyzwolonych i tych innych wykładów słuchać musiał według drobiazgowej i nużącej, iście scholastycznej a umysły co otwartsze wprost zagważdżającej metody Skotystów, i uczyć się tego wszystkiego „ad mentem subtilissimi dris, Joannis Duns Scoti“, jak wówczas powszechnie metodę tę zwano, a która od dłuższego już czasu, ze szkodą dla do-

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 125 i 138: Leonardus de Wyszuka i L. de Visuka, naturalnie przez nieświadomość lub pomyłkę, zamiast de Wyszuka, Visuka.

[2] O wydawnictwie Liber dilig., str. 7.

[3] Kraków, 1886, w 8-ce, str. XV i 544.

bra nauki i jej postępu, wszechwładnie prawie w owym okresie na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego panowała[1]. Jako niedorosłego scholara wszakże, który na metodzie uczenia nie wiele mógł się rozumieć, nie bardzo też ona obchodzić mogła. Inna okoliczność, a w szczególności skład grona czytających i uczących na wydziale artystycznym profesorów, którzy się w tem dsiesięcioleciu przed nim przesuwali, bardziej go jako paupra od św. Floryana i jako syna kmiecego zajmywać i więcej zastanawiać musiały.

I tak[2] czytało i krócej lub dłużej w niedługim tym stosunkowo czasie, od wiosny r. 1494 do stycznia r. 1504, uczyło tu ni mniej więcej, tylko 100 magistrów, młodsi, stósownie do ówczesnej wydziału organizacyi, jako docenci nadzwyczajni czyli bezpłatni „extranei“, inni zaś jako członkowie mniejszego i większego kolegium, albo jak ich wówczas mianowano: „collegiati Collegii minoris“ i „collegiati Collegii majoris“. Między nimi zaś było przedewszystkiem aż 13 mieszczan krakowskich: bracia lub bliscy kuzyni Jan i Piotr Aurifabrowie, inaczej także Lubartami[3] zwani, Erazm Beck, Marcin Bełza, Jan Cracovita, Bernard Episcopius[4] Mikołaj Kij alias Scipio, Jan Kunasz, wspomniany już Mikołaj Mikosz, Stanisław Selig, Jan Tratkop, Wincenty Zelczar i Leonard Myszkowski de Cracovia alias de Bestwina. Liczbę zresztą magistrów pochodzenia krakowskiego z owego dziesięciolecia można nawet podnieść do 16, za Krakowian bowiem uważali się także: dwaj Kazimierczyki, Stanisław Bargiel i Stanisław Śrolla, i Kleparzanin Stanisław Malek.

Uczyli tu dalej mieszczanie z rodu i pochodzenia: dwaj Ilkuszczyki, Marcin Biem z Olkusza, i bliski powinowaty jego po kądzieli, Stanisław Bylica z Olkusza; dwaj niewiadomego po ojcach nazwiska Lwowianie, Jan Leopolita i Michał Leopolita; dwaj Neo-

[1] O wydawnictwie Liber dilig., str. 8 i n.

[2] Liber dilig., str. 27 i nn., 374 i nn.

[3] Jednego z nich, Piotra Aurifabra Lubarta, przekształcił już w naszym wieku Sołtykowicz, w dziele O stanie Akademii krak., str. 609, na szlachcica Złotnickiego.

[4] Pisał się albo de Cracovia albo de Biskupie, pochodził bowiem, jak już zauważyłem, z predmieścia krakowskiego Biskupie, położonego tuż za murami miasta między Kleparzem a Garbarami.

politani z Nowego miasta na Rusi, Stanisław Biel alias Biły lub Albinus i Michał Neopolitanus; dwaj Przemyślanie, Jan Przemysliensis i Szymon Przemysliensis; dwaj nieznani z nazwiska właściwego Szadkowczycy, Jakub Szadkovius i Jan Szadkovius de Szadek; dwaj Szamotulczycy, wielki przyjaciel ubogiej młodzieży szkolnej, Wojciech Krypa z Szamotuł[1], i Marcin Szamotulianus; i dwaj Wrocławczycy, Bernard Wratislawita i Michał Wratislawita.

Uczyli mieszczanie, małomieszczanie i synowie ubogich kmieci: Marcin Andrzejowita z Jędrzejowa, Bartłomiej Bregensis z Brzegu, Wit Brunensis z Berna morawskiego, Andrzej Brzana z Chorążyc, Stanisław Budnensis de Budno, Piotr Chotkowita z Chotkowa, Mikołaj Czepel z Poznania, Stanisław Dąbrówka z Dąbrówki, Marcin Dobrogost alias Dobergast z Leżajska, Jan Drężnanus de Drężno, Jan Głogowita z Głogowa, Stanisław Górkanus alias Ziska z Górki[2], Jakub Gostyninus z Gostynia, Jakub Iłżanus z Iłży, Piotr Idzikowita de Idzikowice, Maciej Kobylinko z Kobylina, Jan Kośmider z Ostrzeszowa, Marcin Kułap z Tarnowca, Maciej Lasanus de Lasy, Szczęsny Laszkianus z Laszek[3], wspomniany już Jan Leśnicensis z Leśnicy, Jan Leuczowianus z Lewoczy, Bartłomiej Lipnicensis z Lipnicy, Jan Lubelczyk z Lublina, Szczepan Łukowita z Łukowa, Bernard Neopolitanus z Neustadu, Tomasz Obiedzinius z Obiedzina[4], Bartłomiej Oraczowita z Oraczowa, Piotr Paradisius z Paradyża, Michał Parisiensis z Bystrzykowa[5], Marcin Pausemus z Ośnicy, Mikołaj Pilczanus de Pilcza, Wojciech Piotrkowita z Piotrkowa, Wojciech Pniewita de Pniewy[6], Zygmunt Przewodowita de Przewodów, Jan Sandomirita

---

[1] Pauli, Codex Univ. Crac., IV 8.

[2] = Ziżka? tyle co Dzieżka? albo raczej = Żiżka? tyle co Cocles lub Monoculus, Jednooki? Tak nazwany jest w rękopisie bibl. Jag. z początku w. XVI., nr. 3859 (69) str. 32: „Item de testamento mgrj Stanislai de Gorka alias Zijska datus est...".

[3] W naszych już czasach przerobiony na szlachcica Łaskiego lub Laskowskiego; był później drem praw i kanonikiem przemyskim. Muczkowski Liber promot., str. 135.

[4] Przez potomnych przezwany Obiedzińskim.

[5] Także później na Paryskiego przeinaczony; współcześni zwali go Parisiensis, ponieważ stopień mgra filozofii otrzymał był w Uniwersytecie paryskim.

[6] Obecnie już przez niektórych Pniewskim nazywany.

z Sandomierza, Marcin Seeburgensis z Seeburga, Szymon Sieprcius ze Sierpca [1], Jan Słup de Słupca, Jan Sommerfeld-Aesticampianus, Michał Sternberg de Lgota Olsnensis, Minoryta zakonu oo. Bernardynów Jan Stobniczka ze Stobnicy, Wojciech Swodziszowicius de Swodziszowice, Wojciech Szczawinius ze Szczawina, Jakub Szydłowita z Szydłowa, Andrzej Tessinensis z Cieszyna, Bernardyn krakowski Leonard Vitreator z Trzemeśni pod Dobczycami [2], Jerzy Werdung de Zittavia, Mikołaj Wielicius z Wieliczki, późniejszy, od r. 1514, proboszcz pajęcki Marcin Wolborita z Wolborza, Hieronim Wronowita z Wronowa i Paweł Zakliczowus z Zakliczowa.

Czytali tu także obok nich i uczyli w owym okresie, choć krótko tylko, zaledwie po jednym semestrze lub po kilka półroczy, Węgrzynie: Maciej Agriensis z Erlau alias de Agria, Jerzy Garanus, Jan Nagolt [3], Franciszek Pestinensis, Emeryk Pronensis [4], Walenty Regiomontanus, Urban Szegedinensis, Melchior Varadinensis i Franciszek Węgrzyn de Dengelek, wszyscy z pochodzenia mieszczanie.

A szlacheckiego rodu magistrowie? Tych niestety na 100 czytających i uczących w owem dziesięcioleciu było zaledwie siedmiu: Jakub z Erdzieszowa herbu Rola Arciszewski, Stanisław de Białków seu de Białkowice Białkowski, Jan de Gromadzice Gromadzki, Jan de Michałów sive de Michałowice Michałowski, bracia Jan i Łukasz z Noskowa h. Nałęcz Noskowscy, i Michał de Rusocice Rusocki.

Ale tylko ostatni z nich, Zadorczyk h. Płomień Rusocki, był, jak się zdaje, z pochodzenia także trochę zamożniejszy [5], i nie tak

---

[1] Od czasów Sołtykowicza uchodzi już także za szlachcica Sierpskiego.

[2] Późniejsi zakonu oo. Bernardynów pisarze nazywają go po polsku Szklarzem, inni, za Sołtykowiczem, przerobili go na Dobczyckiego.

[3] Węgrzyn?

[4] Jedyny Węgier, który przez lat 20, od r. 1492—1512, i to wcale pilnie na wydziale artystycznym wykładał; pochodził de Prona theutonicali alias de Német Prona.

[5] Syn Jana z Rusocic, właściciela tej wioski i kilku pomniejszych w sąsiedztwie posiadłości ziemskich, zapisał się w poczet uczniów Uniw. Jag. w lecie r. 1489. Metrica studiosorum, I 364.

bardzo mu dlatego na nauce szkolnej i na promocyi w tym kierunku zależeć co mogło. To też zaledwie po Trzech królach r. 1496 został magistrem [1], i zaraz w najbliższem półroczu letniem, po Wielkanocy r. t., jako docent bezpłatny czyli extraneus, z katedry wykładać i drugich nauczać począł [2], traktował wykłady swoje a razem z nimi i sobotnie dysputy publiczne, w których wszyscy na wydziale filozoficznym czynni magistrowie udział brać obowiązani byli, z fantazyą iście szlachecką. Aż do półrocza zatem letniego r. 1505, po którym się z fakultetu, niewiadomo dokąd, ulotnił, jako taki extraneus na dysputach sobotnich albo „nunquam fuit", albo „tantum 2" lub nawet rzadziej na nich się jawił, wykładów zaś albo wcale nie miewał, albo innym je za siebie czytać polecał, ale sam albo rzadko je czytał „raro legit", i wcale ich nie kończył, „non finivit", albo też wprawdzie takowe „inceperat quidem, sed non finivit", lub „perfunctorie discontinuavit"! Inni natomiast szlacheckiego rodu koledzy jego z owego dziesięciolecia to wcielona nędza ówczesna, to wszystko synowie podupadłej szlachty drobnej, którzy z konieczności, zaciągnąwszy się w szeregi ubogich żaków krakowskich, w zawodzie nauczycielskim jaką taką dla siebie przyszłość zabezpieczyć usiłowali.

Zdolniejsi z nich, bracia Jan i Łukasz Noskowscy [3], ucząc do r. 1508 jako magistrowie na wydziale artystycznym, słuchali równocześnie na wydziale medycznym, jako zwykli fakultetu tego studenci [4], nauk lekarskich, poczem, dzięki szczęśliwszemu jakiemuś zbiegowi okoliczności, wyjechali za granicę do Włoch, a uzupełniwszy tam nabyte w kraju wiadomości, powrócili w r. 1517 i 1518 z stopniami drów medycyny do Krakowa, gdzie po mału, jużto jako profesorowie na wydziale medycznym, już jako praktykujący w mieście lekarze, niemałego z czasem poważania i wcale znacznego dorobili się majątku [5]. Nieźle wyszedł zdolniejszy także Arci-

---

[1] Stopień bakałarza uzyskał był już w połowie września r. 1493. Muczkowski, Liber promot., str. 115 i 122.

[2] Liber dilig., str. 486.

[3] Tamże, str. 460 i n.

[4] O wydawnictwie Liber dilig., str. 11.

[5] Oettinger, Rys dawnych dziejów wydziału lekarskiego Uniw. Jag., nr. 100 i nn. — Obydwaj zresztą za powrotem z Włoch pożenili się zaraz

szewski [1]. Wykładając jako magister na wydziale filozoficznym, słuchał równocześnie prawa, został r. 1501 drem dekretów, a z czasem profesorem prawa na wydziale jurydycznym, gdy zaś stan świecki na duchowny zmienił, wyszedł niebawem na kanonika katedralnego, został nawet generalnym wikaryuszem krakowskim, a Uniwersytet Jagielloński od r. 1515 do 1533 po siedemkroć obierał go swoim rektorem [2]. Inni wszakże stanowisk takich dobić się już nie zdołali. Białkowski [3] uczył na wydziale artystycznym do wiosny r. 1525, a słuchając zarazem wykładów teologicznych, był już w maju r. 1517 bakałarzem św. teologii i proboszczem kościółka pod wezwaniem św. Piotra i Pawła za murami miejskimi [4], ale co się później z nim stało, niewiadomo. Gromadzki [5] wykładał jako magister na wydziale tylko do wiosny r. 1498 i był już od r. 1490 altarzystą przy ołtarzu p. t. Bożego ciała w kolegiacie św. Floryańskiej [6], jaki go los wszakże później spotkał, także niewiadomo. Michałowski wreście [7] uczył na wydziale filozoficznym do wiosny r. 1508, równocześnie zaś słuchał wykładów teologicznych, uzyskał z czasem stopień dra św. teologii, jako taki został też później profesorem tego przedmiotu na wydziale teologicznym [8] i kanonikiem u św. Floryana.

Taki zatem od końca kwietnia r. 1494 do stycznia r. 1504

---

w Krakowie, Jan w lutym r. 1519 z mieszczanką Kuglówną, Łukasz zaś w miesiącu wrześniu t. r. z Benigną Regulanką, córką zmarłego 30 września r. 1515 dra i prof. medycyny i po kilkakroć rektora Uniw. Jag., Jana Regulanina de Reguły. Zapiski współczesne o tych zaślubinach ich w drukowanym kalendarzu Andrzeja Perlacha, którego egzemplarz p. t. „Almanach super anno Christi 1519“, znajduje się w bibl. Jag., brzmią: „5 Februarii: dr. Ioannes Noskowski contraxit sponsalia cum Kvgla“; „13 Februarii: Nupcie Ioannis Noskowski“; „19 Maij: Die 19 mensis istius dr. Lucas Noskowski, medicus, contraxit matrimonium cum Benigna virgine, filia dris Ioannis Regulis, olim medici“; „5 Septembris: Nupcię dris Luce Noskowski cum virgine Benigna Regula“.

[1] Liber dilig., str. 375.

[2] † jako rektor 31 lipca r. 1533. Pauli, Codex, IV 186.

[3] Liber dilig., str. 381.

[4] Pauli, Codex, IV 60.

[5] Liber dilig., str. 416.

[6] Pauli, Codex, III 156 i nn.

[7] Liber dilig., str. 452.

[8] Szujski, Statuta i matrykuły, str. 21; Pauli, Series, j. w.

był mniej więcej, gdyż co półrocza zaledwie po trosze tylko się zmieniał, skład czytających i uczących „ad mentem Scoti“ na wydziale artystycznym Uniwersytetu krakowskiego magistrów, których nasz żak od św. Floryana, Wawrzków syn z Wisnki Leonard, znać musiał, którym się przypatrywał i przysłuchiwał każdego tygodnia w czasie publicznych dysput sobotnich, i których wykładów w części przynajmniej słuchać był obowiązany. Na 100 zatem magistrów zaledwie między nimi siedmiu, a względnie tylko sześciu, z podupadłej szlachty drobnej, reszta zaś, to jeden w drugiego sami mieszczanie, małomieszczanie lub kmiecego, przeważnie z dóbr duchownych, pochodzenia wiara uboga. Ale jeżeli już tym nielicznym z pośród nich szlacheckiego rodu magistrom tak uporczywie szła sprawa zapewnienia sobie przyszłego w zawodzie nauczycielskim i przez ten zawód losu, o ileż trudniej i wśród okoliczności o wiele przykrzejszych o przyszłość tę, w obec warunków ówczesnego ustroju społecznego, dobijać się musieli ubodzy pochodzenia miejskiego i kmiecego magistrowie, którzy z konieczności, niemając innych dróg przed sobą, zdolności swoje i siły wyłącznie na usługi Almae matris oddać zmuszeni byli? Majętniejszych, którzyby wykładów na wydziale filozoficznym słuchali i o stopnie magistrów starali się byli wyłącznie w tym celu, żeby się czegoś nauczyć i stopień naukowy otrzymać, z wyjątkiem chyba synów kilku mieszczan krakowskich, prawie między nimi nie było. A tej wielkiej ich rzeście, do której teraz, od Trzech króli r. 1504, należeć miał także Wisneczanin Leonard, jakież korzyści i widoki pod opieką i skrzydłami swoimi zapewnić mógł i zapewniał Uniwersytet?

Jużci korzyści takie i widoki były, choć jak na początek w. XVI stosunkowo bardzo już jednostronne i nikłe. Przedewszystkiem więc, kto został na wydziale artystycznym magistrem, co się dzisiejszej maturze czyli egzaminowi dojrzałości w gimnazyach równało [1], nie potrzebował już odtąd należeć do żebrzących żaków krakowskich, ani też wspólnie z nimi, chodząc od domu do domu z garnkiem po prośbie, żyć i okrywać się z łaski możniejszych. Jako magister bowiem, niepotrzebując żadnym już innym poddawać się egzaminom, mógł już każdy sam na wydziale czytać i z katedry

[1] O wydawnictwie Liber dilig., str. 7.

młodszych pauprów uczyć, z początku naturalnie jako docent bezpłatny czyli extraneus bez żadnego wynagrodzenia, ale trochę później, gdyż miejsca na tym fakultecie wcale prędko się opróżniały, jako collegiatus kolegium mniejszego a potem większego, co mu już jakie takie, chociaż bardzo skromne, zapewniało utrzymanie. Jako magister mógł zresztą otrzymać, i jeżeli tylko tego pragnął, otrzymywał z ramienia władz uniwersyteckich kierownictwo z tytułem rektora szkoły, albo skromną posadę nauczyciela przy której kolonii akademickiej w większych miastach polskich, gdzie z wyjątkiem filozofii Arystotelesa tych samych mniej więcej uczono przedmiotów [1], co na wydziale artystycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozumie się także według tej samej metody: „ad mentem et de via communi Scotisantium". Jako magister mógł dalej zapisać się w charakterze zwykłego słuchacza, do czego właśnie uzyskany dyplom na magistra filozofii nieodzownym był warunkiem [2], na jeden z trzech właściwych Uniwersytetu fakultetów, na teologią, prawo lub medycynę, mógł zwykłych na wydziałach tych słuchać wykładów i dobijać się na nich pomału o stopnie doktorskie, a nawet, o ile się opróżniały, o katedry profesorskie [3]. Dla starszych magistrów wreście którzy przywdziawszy suknie kapłańskie stan świecki zamieniali na duchowny, miał Uniwersytet także w zapasie zapewnionych kilka plebanij w dobrach swoich, jak n. p. wzmiankowane już wyżej probostwo w Pajęcznie, miał dla nich także kilka altaryj w kościołach krakowskich, kilka nader skromnie uposażonych kanonij przy ko-

---

[1] W niektórych wszakże koloniach męczono młodzież także wykładami lżejszych partyj z Arystotelesa. Do najlepiej zorganizowanych przy końcu w. XV i na początku XVI należały kolonie uniwersyteckie w Chełmnie, Lwowie i Płocku. Łukaszewicz, Historya szkół, III 372 i nn.

[2] O wydawnictwie Liber dilig., str. 7.

[3] Wyjątkowo tylko wyświęconym już starszym zakonnikom i księżom świeckim, choćby nie byli przedtem uczniami wydziału artystycznego i egzaminu na magistrów nie mieli, wolno było jako zwykłym słuchaczom zapisywać się na fakultet teologiczny i na wydziale tym doktoryzować się, czego niżej kilka zobaczymy przykładów. L. c., str. 7 i 18. — Na wydziale lekarskim w ciągu w. XVI tylko raz szczególny w r. 1536 i to wyjątkowo, niemając egzaminu na magistra, otrzymał stopień dra medycyny starszy już latami Feliks Chojnowski z Szamotuł: „vir gravis, maturus, in moribus honestus, in artibus quoque, quarum auditor per multos annos fuit, bene fundatus et eruditus". Oettinger, Rys, nr. 149.

legiacie Wszystkich św. w Krakowie [1], miał posadę stałego kaznodziei polskiego w katedrze na Wawelu [2], i kilka pomniejszych w innych miastach i stronach prebend i beneficyów kościelnych.

Jednostronne też te i nieszczególne korzyści i widoki, jakie Alma mater w owym czasie ubogim magistrom swoim zapewnić mogła, stanowiły o przyszłym ich losie i wskazywały im już z góry drogę, którą w dalszem życiu kroczyć powinni byli. Jakoż ci z nich, co albo wcale właściwych kursów uniwersyteckich słuchać nie mieli zamiaru, albo dla innych jakich przyczyn ubocznych, jak dla chwilowego przepełnienia, wyraźniejszych na razie dla siebie widoków nie mieli, ani też gdziekolwiek przy Uniwersytecie zawiesić się nie mogli, przyjmowali w pierwszej chwili miejsca guwernerów do dzieci jużto w możniejszych domach szlacheckich, już u majętniejszych mieszczan krakowskich, albo jak się wówczas wyrażano [3], bywali „interdum praeceptores, paedagogi". Takich wszakże było stosunkowo najmniej jeszcze, szlachcie bowiem wystarczali wówczas do początkowej nauki o stopień niżsi i naturalnie nie tyle kosztowni uniwersyteccy bakałarze nauk wyzwolonych, którym dzieci swoje na wsi pod swoim bokiem i pod swoim dozorem czytać, pisać, rachować i początków języka łacińskiego uczyć kazała [4]. Inni znowu wstępowali do zakonu [5], albo wracali, jak wtedy mawiano, do „ojczyzny", do miast, miasteczek i wiosek, skąd byli rodem lub skąd pochodzili, i tam „in patria" z czasem stanowiska pisarzy miejskich albo urząd wikarych i proboszczów miejscowych obejmowali. Reszta natomiast, w każdym razie bardzo nieznaczna [6], zapi-

[1] Pauli, Codex, III 144 i nn.

[2] „Officium praedicationis perpetuum in polonico idiomate", od czasów kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, r. 1454. Pauli, Codex, II 140 i nn.

[3] O wydawnictwie Liber dilig., str. 10.

[4] Jeden z nich, miejskiego pochodzenia Mikołaj Zapartek z Łęczycy, promowowany na bakałarza w grudniu r. 1523, doczekał się po swojej śmierci od kogoś znajomego takiego w Liber promot., str. 177, nekrologu: „Nicolaus de Lanczycza, Zapartek dictus, vir clarus et linguarum gnarus, obiit in Kloczow, oppido Majoris Poloniae, ex hydropisi pedum, dum multos Nobilium pueros liberaliter et methodice institueret, 1550".

[5] Najliczniej stosunkowo do oo. Bernardynów, którzy wtenczas i w Krakowie i w całej Polsce wielkim cieszyli się mirem.

[6] O stopień magistra filozofii nie tak łatwo było wówczas, dlaczego też zaledwie kilku lub kilkunastu bakałarzy mogło go co roku uzyskać. Podług

sywała się na właściwe fakultety uniwersyteckie, na wykłady teologiczne, jurydyczne i medyczne, choć ostatnie stosunkowo najmniej jeszcze ubogich magistrów do siebie nęcić mogły z tej prostej przyczyny, że Uniwersytet Jagielloński do końca w. XV tylko jednę zwyczajną na wydziale lekarskim katedrę profesorską posiadał, a do połowy wieku XVI tylko dwie takie miał katedry. Wpływać na to mogła zresztą i ta nie mniej ważna okoliczność, że z niezbadanych dotąd należycie powodów Alma mater dopiero od lutego r. 1527 wychowanków swoich na doktorów medycyny promowować poczęła[1], przed tym czasem zaś każdy bez wyjątku po wysłuchaniu kursów medycznych w Krakowie, dla dalszego wykształcenia się w zawodzie lekarskim za granicę, do Uniwersytetów włoskich, udawać się musiał, skąd po kilku latach z dyplomem dra medycyny do kraju powracał, a na taką wyprawę zagraniczną nie każdemu pauprowi krakowskiemu stosunki jego i położenie materyalne pozwalały. Nieznacznej tej reście zatem, co po ukończeniu wydziału artystycznego i po uzyskaniu świadectwa na magistrów filozofii właściwym studyom uniwersyteckim z konieczności poświęcić się pragnęła, nie pozostawało nic innego, jak udawać się na teologią lub prawo. Ale jak i z czego tu w czasie kilkuletnich na tych wydziałach studyów uniwersyteckich utrzymać się, z czego żyć i skąd taksy opłacać? Pytanie to zadawać sobie musiał nie jeden z świeżo egzaminowanych magistrów, a i Wawrzków syn z Wisnki w pierwszych tygodniach r. 1504 niechybnie niem także głowę sobie był zaprzątnął.

Liber promot. w wydaniu Muczkowskiego, str. 129 i nn, w ciągu pierwszego dziesięciolecia na początku w. XVI zostało magistrami bakałarzów: 12 r. 1501, 16 r. 1502, 16 r. 1503, 20 r. 1504, 12 r. 1505, 13 r. 1506, 7 r. 1507, 10 r. 1508, 11 r. 1509, 9 r. 1510. A jeżeli część z tych, dla braku pomieszczenia i utrzymania, udawała się na guwernerkę, część zaś wstępowała do zakonu lub wracała „in patriam", iluż z nich rocznie zapisywać się mogło na fakultety teologiczny, jurydyczny i medyczny?

[1] Przedtem można było w Krakowie otrzymać tylko stopień bakalarza lub licencyata medycyny. Pierwsi trzej, którzy ostatniego lutego r. 1527, za rektorstwa prof. medycyny i fizyka królewskiego, dra Łukasza Noskowskiego, doktorat „in sacratissima medicina". w Uniwertytecie Jag. otrzymali, byli: szlachcic mgr. Mikołaj z Sokolnik Sokoliński, inaczej także Sokolnickim zwany, i mieszczanie: mgr. Adam Brzezinius z Brzezin i mgr. Szymon Szamotulianus z Szamotuł. Muczkowski, Liber promot., str. 104; Oettinger, Rys, nr. 100.

Owoż przyznać należy, że władze uniwersyteckie okoliczność tę jako tako zawsze na względzie miały, usiłując wedle sił i możności nielicznym tym magistrom młodszym przyjść w pomoc. I tak od dawna już weszło było w zwyczaj, że posady rektorów, moderatów i nauczycieli przy parafialnych szkołach miejscowych, jakich wówczas, począwszy od najstarszych i najznaczniejszych, jak szkoła św. Stanisława na zamku królewskim, szkoła P. Maryi na rynku i św. Floryańska za murami miasta, było co najmniej dwanaście[1], otrzymywali tacy właśnie magistrowie, zwłaszcza jeżeli dalszym oddać się chcieli studyom uniwersyteckim, i na wydziale artystycznym rozpoczynali wykłady filozoficzne jako extranei bez wynagrodzenia. Powierzano im również dozór nad mieszkającymi w kilku bursach miejscowych żakami[2] z tytułem seniorów tych zakładów, a tak seniorat ten, jak i kierownictwo szkół parafialnych[3], zapewniały, przynajmniej niektórym z nich, obok bezpłatnego w bursach i szkołach tych mieszkania, także jakie takie na razie utrzymanie, zanim po kilku półroczach nie zdołali jako członkowie wejść do kolegium mniejszego a potem większego. Jeżeli zaś i te posady, nawet przy tak nieznacznej magistrów liczbie, nie zawsze wszystkim potrzebom wystarczyć mogły, mieli magistrowie krakowscy, na mocy różnych, dawniejszych i nowszych fundacyj, jeżeli tylko rok 24 życia skończyli byli i suknie kapłańskie przywdziewali[4], pierwszeństwo do różnych altaryj w kościołach miejscowych i do połączonych z nimi dochodów, za co też, w braku innych przed sobą widoków, czego

---

[1] Muczkowski, Mieszkania, str. 42.

[2] Muczkowski, l. c., str. 32 i nn.

[3] Wyjątkowo, albo w zupełnym braku mgrów, albo w braku odpowiednych między nimi kandydatów, nadawano posady rektorów pomniejszych szkół parafialnych, n. p. szkoły św. Szczepana, także starszym latami bakałarzom nauk wyzwolonych; wyjątkowo także obierano seniorami burs starszych już mgrów, należących do Collegium minus.

[4] Żeby zostać księdzem w w. XV i w pierwszej połowie w. XVI, wystarczało mieć skończony r. 24 życia i wykazać się przed miejscową władzą biskupią prawością i nieskazitelnością obyczajów, znajomością łaciny w słowie i piśmie, znajomością śpiewu kościelnego i obrzędów kościelnych i jaką taką biegłością w Piśmie św. Innych warunków, n. p. pewnych nauk teologicznych, lub ukończenia uniwersyteckich studyów teologicznych, nie wymagano wówczas od kandydatów do stanu duchownego

przykład widzieliśmy wyżej na szlacheckiego pochodzenia mgrze Gromadzkim z r. 1490, radzi nie radzi chwytać musieli.

Takie też tylko mniej więcej utrzymanie znajdowali dla siebie ubodzy magistrowie krakowscy w pierwszych po odbytym egzaminie latach, i na takie skazany był także początkowo — jak zaraz zobaczymy — mgr. Leonard Wisneczanin. A jakie widoki dalsze mogło im zapewnić w przyszłości uzyskanie z czasem doktoratu św. teologii lub prawa, albo choćby niższego jakiego na tych wydziałach stopnia, jak bakałarstwa lub licencyatury, jeżeli się o nie dobijać zamierzali? I tu naturalnie bez pewnych korzyści być nie mogło, choć w stosunku do włożonego na uzyskanie tych stopni kapitału mozolnej pracy umysłowej i drogiego czasu widoki te całkiem już jednostronnie i bardzo nikle przedstawiać się muszą. Ani król bowiem, ani rządząca nawą państwową można oligarchia szlachecka, traktując Uniwersytet Jagielloński i jego potrzeby w całem znaczeniu po macoszemu [1], nic już prawie od końca w. XV o losy jego nie dbali, ani też nie pomyśleli nigdy o tem, ażeby właśnie kończącym tym studya uniwersyteckie doktorom poważniejsze w ówczesnym ustroju społecznym i nabytej przez nich nauce i wiedzy odpowiedniejsze zapewnić stanowiska, ażeby po prostu siły ich intelektualne w należyty dla dobra narodu, dla dobra kościoła i państwa, wyzyskać sposób, ażeby tem samem i znaczenie samego Uniwersytetu w opinii podnieść społeczeństwa, a razem i szlacheckiej i nieszlacheckiej młodzieży większego i właściwego dodać bodźca, żeby się z żywszą do studyów uniwersyteckich garnęła ochotą i należycie do nich przykładała.

I tak doktorowie św. teologii jednę tylko mieć mogli drogę przed sobą, zdążać pomału do katedr na tym fakultecie profesorskich, o ile się takowe opróżniały, innych zaś korzyści państwo i społeczeństwo ówczesne bynajmniej im nie zapewniały, ani też żadnych innych nie nastręczały im widoków, nikt bowiem do ich doktoratu nie przywiązywał żadnej, choćby najmniejszej wagi. Jako profesorowie zaś lub ich zastępcy, w zamian za swoje mozoły umysłowe, za pracę i trudy, zapewnione mieli oprócz dziekanii i kustodyi kilka lepiej uposażonych kanonij w kolegiacie św. Floryań-

[1] O wydawnictwie Liber dilig., str. 9.

skiej, jaką między innymi otrzymał był z czasem wspomniany już szlacheckiego rodu mgr. Michałowski, a dalej probostwo u św. Mikołaja za murami miejskimi, probostwo u św. Anny [1], kilka innych probostw pomniejszych, i wreście w najpomyślniejszym dla nich razie, po wielu a bardzo wielu latach pracy i zasług, gdy fizyczne i duchowe ich siły ze wszystkiem się już stargały były, niby „panis bene merentium“ kanonią przy katedrze krakowskiej.

A nieinaczej się rzecz miała i z doktorami praw, których z mozołem uzyskany stopień naukowy za bajbardzo sobie i ówczesne czynniki państwowe i tłumy rzeszy szlacheckiej ceniły. W kancelaryach królewskich, po sądach i innych urzędach świeckich o takie tytuły nikt w owych czasach ani nie dbał, ani nie pytał, tam stanowiły o wszystkiem nie studya uniwersyteckie i doktorat praw obojga, lecz nabyte latami w palestrach, u adwokatów i notaryuszów publicznych praktyka, spryt i obrotność, które licznym Temidy adeptom szeroki rozgłos i wcale dostatni byt zapewniały. I doktorom praw Uniwersytetu Jagiellońskiego nie pozostawało zatem nic innego, jak także zdążać pomału do katedr na tym fakultecie profesorskich, za co znowu, ale tylko pod warunkiem, jeżeli stan świecki na duchowny zmieniali [2], zapewnione mieli, jak i ich koledzy z wydziału teologicznego, kilka kanonij w kolegiacie św. Floryana, kilka innych probostw i po wielu latach pracy i wysług kanonią katedralną krakowską, którą tylko taki dr. prawa, jak wzmiankowany już szlachcic z Erdzieszowa Arciszewski, niebędąc nawet przedtem kanonikiem św. Floryańskim, w stosunkowo prędszym mógł otrzymać czasie.

To też takimi a nie innymi szli już drogami od końca w. XV

---

[1] Zamienione w r. 1535, dzięki zapisanym na ten cel funduszom przez miejskiego rodu magistra i dra praw, ks. Michała Lubelczyka z Lublina, na kolegiatę. Pauli, Codex, IV 140 i nn.

[2] W zasadzie i w myśl pierwotnych statutów fundacyjnych mogli byli medycyny, prawa a nawet i przedmiotów teologicznych uczyć ludzie świeccy, byle tylko doktorowie. W naszym Uniwersytecie wszakże, gdy go państwo i oligarchia szlachecka opuszczać i po macoszemu traktować zaczęły, wyrodziły się stosunki pomału w ten sposób, że już od końca w. XV na wydziałach teologicznym i jurydycznym wyłącznie sami tylko wykładali księża, a i na fakultecie medycznym odtąd czasami posady profesorskie duchownego stanu zajmowały osoby.

nieliczni owi miejskiego i kmiecego rodu ubodzy magistrowie krakowscy, którzy z konieczności tylko, niemając innych przed sobą widoków, jako zwyczajni zapisywali się słuchacze na właściwe fakultety uniwersyteckie, na teologią, prawo i medycynę, ażeby po uzyskaniu na wydziałach tych stopni doktorskich lepszą sobie na starsze lata zapewnić przyszłość, którą tylko jako profesorowie św. teologii lub prawa w kolegiacie św. Floryańskiej, tym „jedynym celu gorących ich życzeń i usiłowań", i na kilku innych probostwach znaleść mogli. Do nauk wszakże medycznych najmniej jeszcze pociągu czuć mogli, nie każdy z nich bowiem na szczęśliwszy dla siebie mógł liczyć zbieg okoliczności, któryby mu później wyjazd za granicę ułatwił i uzupełnienie w Uniwersytetach włoskich nabytych na gruncie krakowskim wiadomości lekarskich. Zapisywali się więc na teologią i prawo, gdzie nie świeccy uczeni, lecz wyłącznie już tylko uczyli księża, i sami wcześnie, ukończywszy zaledwie 24 rok życia, ażeby sobie dalszą ułatwić drogę, suknie przywdziewali kapłańskie. Właściwe też Almae matris fakultety uniwersyteckie, choć to nie mogło być i nie było pierwotnym jej założyciela, Kazimierza W., i jej odnowiciela, króla Władysława Jagiełły, zamiarem, szczególniejszy już z tego powodu w owym czasie przedstawiają obraz. Jeżeli wydział artystyczny z swoimi słuchaczami, między którymi wszakże niewiele było dziatwy podupadłej szlachty drobnej, a między którymi liczni mieszczan, małomieszczan i kmieci synowie głównie i przeważnie rej wodzili, i ze swoimi magistrami, którzy z bardzo nieznacznym wyjątkiem, także wyłącznie prawie z samych składali się mieszczan i kmieci, przezywanych pogardliwie przez współczesnych „plebeji" lub „personae contemptibiles", jeżeli wydział filozoficzny wobec tego w całem znaczeniu już na mieszczańsko-włościański zakład szkolny wyglądał [1], to czemże były fakultety teologiczny, prawniczy a poniekąd także medyczny? Chyba wcale już ówczesnym potrzebom narodu nieodpowiadającymi wyższymi zakładami duchownymi, na których katedrach starsi latami i godnością kanonicy, na ich ławach zaś młodsi wiekiem i stanowiskiem zasiadali księża!

---

[1] O wydawnictwie Liber dilig., str. 13.

A im dalej w XVI wiek, tem wyraźniej jeszcze ten na poły klasztorny charakter wydziałów teologicznego i jurydycznego coraz bardziej występuje, zanim w nich ostatecznie w całej nagości swojej, przy zupełnej na losy Uniwersytetu ze strony głównych czynników państwowych obojętności nie zapanował. Ale nie tylko obojętnie na chorobliwy ten stan jego, z którego ani dla dobra społeczeństwa, ani dla kościoła, ani dla dobra nauki i jej postępu, nic pomyślnego urość już nie mogło, spoglądał król i oligarchowie szlacheccy. Do obojętności tej i to w sposób przynoszący ujmę powadze majestatu królewskiego, pozwolił sobie w r. 1535 dorzucić jeszcze król Jegomość, Zygmunt Stary, sporą dozę uszczypliwej ironii, podpisawszy pod dniem 11 sierpnia t. r. własną ręką przywilej dla Uniwersytetu naszego[1], w którym wszystkim doktorom, profesorom i magistrom, co bez przerwy przez lat 20 z katedr jego wykładali[2], szlachectwo nadawał, a razem przywilej ten i jego następstwa także na ich „ex legitimo matrimonio conceptam prolem“ rozciągał, jakby właśnie ci księża, ci kanonicy od św. Floryana i proboszczowie od św. Anny, św. Mikołaja i innych plebanij, mogli byli jakiekolwiek zawierać „matrimonium“ i ze związku takiego mieć kiedykolwiek „legitimam prolem“!

Ale wracajmy do mgra Leonarda z Wisnki. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

---

[1] Pauli, Codex, IV 138 i nn.

[2] „qui per viginti annos continue lectioni publicae operam dederint“.

O MASONII W POLSCE

NA ŹRÓDŁACH WYŁĄCZNIE MASOŃSKICH.

(Ciąg dalszy).

II.

Masonia polska mniej przewrotna ale szkodliwa. — Przyszła do nas dwoma drogami z Francyi i Rosyi. — Kodeks masoński z r. 1743. — Drugi kodeks z r. 1769. — Nowa organizacya masonii 1783 i 1783 r. — Loże adopcyjne.

Masonia polska, w gruncie rzeczy i w szpiku kości nie była lepszą, ani mniej niebezpieczną, jak każda inna. Dwie okoliczności łagodziły jej szkodliwość; raz że trafiła na społeczeństwo polskie, rdzennie katolickie, z prześliczną przeszłością dziejową a nawskróś chrześcijańską; przyjęła się więc tylko na jego powierzchni, do mas nawet inteligencyi nie dotarła, czasu miała zbyt skąpo, wszystkiego razem zaledwo 20 lat, i prawie w zawiązkach rozwoju swego złamaną została nieszczęściami politycznemi i katolickim instynktem narodu. Powtóre, że z wyjątkiem stu najwyżej braci Masonów Polaków, wtajemniczonych do najwyższych stopni rytu szkockiego za granicą i z właściwą dążnością masonii dobrze obznajomionych, ogół masonii Polskiej należał do trzech niższych stopni symbolicznych, które nosząc na sobie cechę humanizmu, prawiąc wiele o miłości bliźniego, o rozumie i cnocie, zawracały chwilowo głowę, ale z właściwych tajemnic masonii adeptom swoim nic nie odkrywały, i dlatego nie demoralizowały tak bardzo. W najświetniejszej dobie, 1820 r, masonia narodowa polska liczyła 40 lóż, z tych 33 symbolicznych a tylko 7 lóż kapitularnych, to jest czterych stopni

wyższych. Wszelako i te wyższe stopnie nie wtajemniczały do właściwego znaczenia i celu masonii. Loże bowiem polskie rządziły się prawie wszystkie rytem Różanego krzyża Rose-Croix, o siedmiu stopniach. Otóż siódmy, najwyższy stopień tego rytu, „kawaler Rose-Croix", stopień ten miał nasz król Stanisław August, odpowiada zaledwo 18-mu stopniu rytu szkockiego i jest od najwyższego stopnia szkockiego o 15 stopni niższy, a tem samem o 15 stopni mniej wtajemniczony w właściwe arkana masońskie. Wprawdzie „Ustawa Wol. Mularstwa" twierdzi, że w tych siedmiu stopniach podany jest cały sekret masonii, ale temu wierzyć naprawdę nie można. Dosyć przeczytać uważnie naukę do 7 stopnia „kawaler różany", (patrz rozd. III). Powiedziano tam wyraźnie: „Trzy główne cele stanowią nieograniczoność wiadomości Wolno mularskich; z połączenia tych celów wynika to, czego każdy prawdziwy Mularz szuka: prawda. — Cele te są: Metafizyka, Moralność i Fizyka; zasady wszelkich wyższych nauk jakoteż i od tychże pochodzących umiejętności zawierają się w pierwszych trzech niższych stopniach" i t. d. Czy można uwierzyć aby metafizyka, moralność i fizyka, były ostatecznem celem masonii? Polscy Masoni obrali sobie właśnie ten ryt „Różanego krzyża" głównie dlatego że był krótszy, chociaż i tak wydał się im za rozwlekły i za banalny, i r. 1819, próbowali go skrócić i przerobić po swojemu z wybitną barwą narodowo-polską, ale Wielki Wschód Francyi, pod którego dependencyą stała ostatecznie masonia polska, licząc się snać z miękością i dobrodusznością charakteru polskiego, wolał braciom polskim powierzyć tylko połowę arkanów masońskich i ryt „Różanego krzyża" im polecił. To też Polscy bracia Masoni wcale nie wyglądają tak strasznie ani tak bezbożnie; warto się zastanowić jak oni pojmowali swój zakon. Użyję tu słów Regulaminu loży Tarcza północna[1], który służyć miał za direktywę wszystkim innym lożom. W rozd. I. tytuł, o religii czytam: „Zakon masoński stara się połączyć wszystkich ludzi węzłami ludzkości i pokoju; każdy kto wierzy w jakiego Boga, jakąkolwiekby go nazwą mianował i jakikolwiekby mu kult oddawał, ma prawo aspirować do szczęścia,

[1] *Reglemens pour une Loge particuliére rédigés par Ordre de la L.: et P: L.: (juste et parfaite Loge) du Bouclier du Nord- a l' Orient de Varsovie 5.784.*

być przyjętym do jego tajemnic. Tym sposobem loża może być złożoną z ludzi najrozmaitszych między sobą opinij co do nieskończoności kwestyi ich wiary i dlatego fundamentalne prawa zakonu zapobiegły zamieszkom mogącym wyniknąć z dyskusyj zawsze niebezpiecznych w tym przedmiocie i zabroniły Masonom rozprawiać w ich warstatach o jakiejkolwiek kwestyi religijnej".

Pod tytułem: Cel masonii czytam: „Celem masonii jest udoskonalenie człowieka pod każdym względem: w porządku socyalnym ćwicząc go w cnotach obywatelskich i naginając jego wolę do przyzwoitości i rozsądnej karności; w porządku moralnym rozwijając jego zdolności umysłowe i zmysłowe. Świateł, których jest skarbnicą, udziela stopniowo z przyborem alegoryi, pożytecznej tajemniczości i z majestatem symboliki. Rozwija zdolności człowieka dostarczając mu sposobności ćwiczenia ich; w tym celu urządza czynności loży w ten sposób, że do prac czysto masońskich łączą się inne prace zdolne wykształcić dobry smak i talent. Wszystkie nauki, wszystkie sztuki, wszystko co piękne i uczciwe, może być omawianem w loży i ma prawo do jej studiów i badań".

Nie można wyraźniej przyznać się do bezwyznaniowości i pogańskiego humanizmu; polscy jednak Masoni nie zrywali z katolicyzmem, imponowała im cnota masońska:

Wspierać bliźniego w potrzebie,
Dobrze działać nawet skrycie,
Kochać braci tak jak siebie,
Przekładać wolność nad życie,
A nad wolność kochać cnoty:
Oto są godła Mularza.
Kto te połącza przymioty
Ten u nas godzien ołtarza.

śpiewają bracia Polacy zjedoczeni na wschodzie Warszawy na cześć swego mistrza Augustyna Glińskiego. 28 sierp. 1818 r.

W notatkach brata mistrza Konstantego Macewicza członka loży *Astrea* pod wschodem Warszawy czytam: „Główniejsze a każdemu sprawiedliwie myślącemu człowiekowi przyjemne cele wolnomularskie były i być powinny:

1. Zbliżać do siebie ludzi godnych, których sobie igrzysko losu i nierówność stanu obcymi uczyniło a którzy tak połączeni

i razem ogółowi użyteczniejszymi być mogą i nauczą się poznawać, że tylko dobre przymioty prawdziwą godność nadają.

2. Zwracać uwagę człowieka, co jako istota moralna winien sobie, społeczeństwu i Twórcy swemu.

3. Ażeby każdy okazujący się godnym członkiem narodu i religii w której żyje, był postawiony na tym trzecim stopniu, z którego poznaje, że pełniąc obowiązki ojczyzny i religii, pozostaje mu jeszcze zgodnie z temiż obowiązkami wpływ na dobro bliźnich w ogólności, a tak cnotliwi, którychby opinie wyznania i narodowości rozłączyły, jeszcze jako ludzie nie są dla siebie wzajem straceni; stąd też wierność ojczyźnie, rządowi i religii najściślej w Mularstwie jest zalecona.

4. Ażeby każdy przez osiąganie wolnomularskich stopni, stósownie ile możności do wieku nowe nauki i wyobrażenia pobierał, które go oraz wewnątrz szczęśliwym i społeczności użyteczniejszym uczynić mogą.

5. Ażeby pod tarczą ustaw, którą się Wolni Mularze jako towarzystwo rządzą, uczył się posłuszeństwa prawu i zwierzchności, porządku, łagodności, miłości braci i powszechnego dobra, zgoła, aby w całem postępowaniu działał dobrze dlatego, że jest dobre i bez nadziei i bez trwogi".

I w ten napozór bardzo szlachetny sposób pojęta masonia, jakkolwiek poleca cześć dla religii wogóle, usuwa ją w istocie i siebie stawia na jej miejscu jako mistrzynią cnoty. Chrystyanizm, tembardziej Kościół katolicki ignoruje ona najzupełniej, a siebie stawia na jego miejscu i występuje nie jako zwykłe stowarzyszenie, ale jako zakon mający na celu „udoskonalenie człowieka pod każdym względem". Czy wielebny brat Macewicz a z nim szlachetniejsza część polskich braci, zastanawiali się nad tym poganizmem swego zakonu? O tem wątpić należy.

Dodajmy, że jak wszędzie tak i w Polsce znalazło się wielu, którzy zapisywali się do loży bezmyślnie, za namową kolegi, lub pod presyą zwyczaju i mody. Wstąpiwszy, nie zadawali sobie pracy zgłębić początki tem mniej doktrynę masonii. „Daremną byłoby pracą, mówi w swym okólniku do lóż z d. 5 kwietnia 1784 w. mistrz w. Wschodu, Andrzej Mokronowski, w grubej ciemnych wieków zasłonie początku wolnego mularstwa dociekać.

Z skutków dochodząc przyczyny, prawdziwym ludzkości przyjaciołom przyznać go należy w pierwiastkach czasu, gdy licznym niebezpieczeństwom wystawiony człowiek, postrzegł, że potrzebuje człowieka i łączył się w społeczność. Lecz ta wkrótce przemocą, dumą, chęcią szczególnego użytku i miłością własną jednych skażona, stała się uciskiem dla drugich. Dlatego niektórzy wyższym umysłem obdarzeni, założyli towarzystwo mające na celu cześć dla w. Budownika świata a miłość dla ludzi. Do tego towarzystwa przypuszczali tylko wypróbowanych cnotą mężów — kamieniem węgielnym, milczenie, czyli sekret, ołtarzem, cnota. Trzebaż aby pierwiastkowe towarzystwa naszego dzieje wiadomości naszej ukryte były! Z jakążby to każdy Mularz czytałby je rozkoszą. Nie jest w mocy naszej żałosną nagrodzić stratę; czując ją wszyscy zarówno, puśćmy pasmo tych wieków, dajmy raczej dokładną znajomość teraźniejszego stanu i t. d.“

Tak jak niedociekał bardzo polski Mason początków masonii, tak też niedopytywał się bardzo o jej dogmatyczną doktrynę. Wypowiada to otwarcie Ignacy Chodźko, który sam był Masonem IV. stopnia w wileńskiej loży Gorliwy Litwin, w swoich Obrazach litewskich w przypisie do tomu II. „Cokolwiek tylko dostojniejszego w jakiejkolwiek klasie towarzystwa po całej Litwie liczyć się mogło (prócz Żydów) wszystko się to ubiegało o chlubne natenczas imię Masona, a które wszakże nie zbyt łatwo się otrzymało... Większa część, ba, największa liczba braci wyższych i niższych stopni, najmniej nie łamała sobie głowy trudnem rozgmatwywaniem ciemnych symbolów, obrzędów i dwulicowych nauk i eksplikacyj, w które jak we splątany kłębek, obwiniętem jest słowo tej Salomonowej zagadki“. I nie mogło być inaczej. Natura polska dziwnie leniwa do myślenia; literatura nasza nie może wykazać jednego potężnego myśliciela filozofa; Trentowski i Libelt przerabiali niemieckich filozofów teorye. Dla tego też lenistwa do myślenia nowinki religijne XVI. w. z szaloną szybkością ogarniały kolejno społeczeństwo szlacheckie; zmieniano wiarę jak rękawiczki, Radziwił Czarny zmienił ją na cztery zawody, hetmanowa Mielecka uczyniła tak samo; za przykładem panów szła szlachcka rzesza. Płytkość umysłowa, ożeniona z ciekawością, oto cecha charakterystyczna dysydentów polskich XVI w. Zaspokoiwszy ciekawość, z równą łatwością wracali, skąd wyszli, do kościoła kato-

lickiego. Tak też było z masonią polską. Rzucono się do niej jako do rzeczy nowej, mającej wzięcie za granicą, w Francyi zwłaszcza; nowość osłoniona tajemniczością zaostrzała ciekawość. Wstąpiwszy do loży szukał polski brat Mason przedewszystkiem nowości, odsłonienia tajemnicy, zaciemnianej naumyślnie bałamutną symboliką i bałamutniejszą jeszcze legendą masońską. W całym rytuale siedmiu stopni, który dosłownie w części III. przytaczam, trudno się domacać jakiejkolwiej rzeczy nowej, nieznanej, prawdziwego *arcanum scientiae*. Okoliczność ta powinna była zniechęcić myślący umysł, ale polski brat Mason „nie myślał“ wiele. Nie domacawszy się tajemnicy tak prędko, jak tego pragnął, wmawiał w siebie, że ona jest, ale tak wzniosła i szczytna i tak głęboko ukryta, że on jej odszukać nie umie. Uspokoiwszy w ten sposób siebie, siedział dalej w masonii, dopokąd go z niej ukaz aleksandrowy nie wypędził.

Bałamuciło do reszty umysły to, że mowy publiczne i pisma masońskie polskie oddychają pewną, czysto naturalną wprawdzie, ale uczciwą dążnością do cnoty i wyrobienia prawości charakteru; że pojęcie honoru i osobistej godności śrubują wysoko; że miłość bliźniego, lubo już dawno w ewangielii Chrystusa jako obowiązek nakazana, postawiona w nich jako prawo i zakon. Napaści na katolicyzm lub inne chrześciańskie wyznanie, żadnych tam niema i sekciarskiego fanatyzmu anti-religijnego dopatrzeć się trudno. Wprawdzie ogólnikowe słowa: „przesąd, ciemność, błąd, fanatyzm, występek, potępiały niewyraźnie, ale zrozumiale każdą objawioną wiarę, każdy gorętszy objaw pobożności, każde delikatsze sumienie i każde oglądanie się na surowe zasady moralności chrześciańskiej, na powagę i przepisy kościoła katolickiego; wprawdzie każdy mógł się domyśleć co znaczy „zwalczać przesądy, rozpraszać ciemności, obalać fanatyzm, deptać występek“ — jednak nie każdy uważał za swój obowiązek najprzód ignorować a potem wyszydzać katolicyzm; i nie każdy zrozumiał, że właśnie to systematyczne ignorowanie i zupełne zapoznanie chrystyanizmu, będące jak już nadmieniłem, charakterystyką ustaw i regulaminów, jest także znamieniem mów i wszelkich pism masońskich. Mniej bystrego albo leniwego umysłu, polscy „bracia“ nie zastanawiali się nad tem no-

wem pogaństwem, szerzonem przez lożę; przeważały też u wielu z mlekiem matki wyssane uczucia i tradycye katolickie.

Stąd ta sprzeczność usposobień w polskich braciach Masonach; w loży są poganami, poza lożą katolikami choć w części. Tak np. Hipolit Falkowski, jenerał wojsk polskich był już 1803 r. bratem masonem IV stopnia w paryskiej loży Wiek złoty i pozostał nim aż do śmierci 1821 roku, to mu jednak nie przeszkadzało wcale, żeby po powrocie do kraju 1814 r. nie był afiliowany do przywilejów i zasług zakonu Bożogrobców w Miechowie, i dekorowany krzyżem Miechowitów „za swoje nabożeństwo do grobu Pańskiego“ [1].

Umarł w Warszawie dnia 1-go grudnia 1811 roku wielki mistrz wielkiego Wschodu polskiego, prezes senatu Ludwik Gutakowski. Zwyczajem masońskim, odbywa się obrzęd żałobny w wielkiej loży warszawskiej dnia 17 stycznia 1812. Wielki mowca wielkiego Wschodu, brat Tadeusz Matuszewicz minister skarbu, opowiedziawszy „braciom“ przebieg „światowego“ życia nieboszczyka tak dalej mówi: „Lecz czas już dotknąć jeszcze tej części, w której się zamyka dla nas zdrój czysty pociechy, sławy i zachęceń do nieustannych w właściwych nam pracach wytrwałości... Niech świat, jeżeli chce, wraca do mylnych o nas uprzedzeń, byle się tylko cnota krzewiła, byle wzrastało dobro ludzkości, prace nasze tę jedyną, której pragniemy, otrzymują nagrodę. Pięćdziesiątletnie liczył brat Gutakowski w zakonie naszym zasługi i t. d.“ [2]. W kilka zaledwie lat potem ten sam „brat“ Matuszewicz, tłumaczy na polskie złotą książeczkę „O Naśladowaniu Chrystusa“ i zostaje pobożnym katolikiem.

Podobny obrzęd żałobny obchodziła i krakowska loża „Przesąd zwyciężony“ dnia 24 stycznia 1812 roku. Po skończonym obrzędzie, loża na wniosek przewiebnego mistrza katedry Sotera Darowskiego, uchwaliła na uwiecznienie dnia śmierci najwspanialszego, najpotężniejszego, wielkiego Mistrza Gutakowskiego płacić dnia 17 stycznia przez trzy lata po 500 złp. jałmużny, dla kogo?

---

[1] Z zbiorów Juliusza Falkowskiego. Na dokumencie podpisany ks. Tomasz Nowiński, proboszcz generalny Stróżów grobu Jerozolimskiego, w Miechowie 24 czerwca 1814 roku.

[2] Akt ogłoszenia Ustawy WW.

dla Panien Miłosierdzia w szpitalu św. Łazarza „na wsparcie cierpiącej ludzkości [1]. W. mistrz Stanisław Kostka Potocki okólnikiem z dnia 12 listopada 1814 roku wzywa wszystkie loże do corocznej składki. Na co? Na organy do jednego z kościołów warszawskich, „przy którymby utworzone Towarzystwo muzyczne poświęcało prace swoje gwoli upowszechnieniu w kraju tej szlachetnej sztuki". Roku 1821 i 1822, rozwiązano wszystkie loże na rozkaz rządów; w loży „Przesąd zwyciężony" na wschodzie Krakowa zostało w kasie 1600 złp, uchwałą loży rozdano tę sumę Towarzystwu Dobroczynności, Siostrom Miłosierdzia, Braciom Miłosiernym i prezydentowi miasta dla ubogich.

Do tejże loży należały wszystkie niemal bardziej znane osobistości miasta Krakowa i okolicy, razem w chwili zamknięcia loży, braci 382, różnych stanów i warstw, nawet rosyjscy wojskowi jak Piotr Czełajew i Piotr Jermołow tam się znaleźli [2]. Otóż jak to mam z ust naocznych świadków tej epoki, bardzo wielu braci lożowych modliło się przykładnie na mszy św. w kościele Panny Maryi lub śpiewało oficium *de Beata* w kupieckiej konfraternii w kościele św. Barbary, a prawie wszyscy na łożu śmierci wzywali kapłana i przyjmowali sakramenta św. przykładnie.

Dowodzi to tylko, że wielu Polaków było masonami niekonsekwentnymi (jak wielu jest dzisiaj katolikami niekonsekwentnymi), ale nie dowodzi wcale, żeby i taka masonia nie wywarła szkodliwego wpływu na religijne usposobienie społeczeństwa polskiego. Przysięga ucznia brała na świadectwo Boga, ale cała treść jej była nawskróś niemoralną i cały rytuał, jakto już nadmieniłem, nietylko że nie ma nic, coby choć z daleka przypominało chrystyanizm, ale nawet wygodnie obchodzi się bez Boga. On wielki Budownik świata, był ideą elastyczną; jeden w nim rozumiał osobowego Boga, drugi eona, inny siłę twórczą natury. Rozum wyzwolony przez loże z „niewoli księży, z przesądu i fanatyzmu", jak się wyrażano z lubością, nie miał już siły trzymać na wodzy złe instynkta

[1] Księga budownicza (protokół) loży krak. II str. 2.

[2] Ms. bibl. Jagiel. p. l. 438, 439. Wykaz zaległości s. d. loży „Przesąd zwyciężony" na wschodzie Krakowa. Bracia zalegali z wypłatą taksy za stopnie i innych. R. 1821 na 352 członków było zaległości 27.868 złp.

woli i serca, a doktryna masońska, głosząca kult natury, rozwalniała do reszty sumienia. Z dogmatu katolickiego nic nie pozostało krom nazwy, z moralności chrześcijańskiej tylko szumne frazesy miłości bliźniego „uszczęśliwienia ludzkości“ i sentymentalnego humanizmu. Stąd nie bez słuszności głos ludu stawiał wtenczas jak stawia dzisiaj wyraz „framason“ na równi z bezbożnikiem, i każdego niedowiarka lub cynika w obyczajach piętnował nazwą framasona.

Pomyślmy teraz, że do masonii polskiej wstępowali ludzie przeważnie wpływowi, dygnitarze, urzędnicy, obywatele, wojskowi, dyrektorowie instytucyj, właściciele majątków, ojcowie rodzin, wreszcie autorowie ksiąg uczonych, jak Feliks Bentkowski, i pism publicznych redaktorowie, księgarze i kupcy — a zrozumiemy łatwo, jak szkodliwym być musiał wpływ jej na religijno-moralny ustrój narodu. To też rzeczywiście złota era masonii w Polsce była najsmutniejszą dobą dla Kościoła. Rząd polski w Warszawie wyprzedził roboty innych zaborczych rządów w wypędzeniu Benonitów w 1808 roku, w niszczeniu majątku kościelnego, kasowaniu prastarych, pamiątkowych klasztorów na sejmie 1819 r. pod pozorem dotacyi dwóch nowych biskupstw, sendomirskiego i podlaskiego, w połamaniu kanonicznego prawa, w czem szef masonii polskiej „najwspanialszy, najpotężniejszy wielki mistrz wielkiego Wschodu Narodowego“, Stanisław Potocki, jako minister oświaty i wyznań i prezes senatu brał główny udział. „Oto, najjaśniejszy Panie, pisze z żalem arcybiskup Raczyński, do księcia warszawskiego, Frydryka Augusta, wiara św. katolicka i nauka jej cierpi wzgardę i shańbienie. Młodzież zasadza umiejętność swoją na wyszydzaniu obrządków kościelnych, na bluźnierstwie i wyśmiewaniu tajemnic wiary, i z tem się jawnie popisuje. W starszych jakaś nieczułość względem Boga... obowiązków religii zupełne zaniedbanie, w kościołach publiczne i gorszące nieuszanowania,... cudzołostwa osób bezślubnych, mieszkania z sobą bezkarne, wolność zdań wierze i obyczajom przeciwnych, książek bezbożnych sprowadzanie i czytanie... pokrzywdzenia kościołów... uciśnienie duchowieństwa i jego spodlenie... między nauczycielami (szkół) mieszczą się libertyni, księża i zakonnicy apostaci... wychowują też uczniów takich, jakimi oni sami są, bez religii i moralności... Nie masz nakazu uczyć w szkołach początków wiary św., więc też chyba gdzie po kątach uczą jej osoby

zakonne“ [1]. Nie lepiej jeżeli nie gorzej działo się potem w Królestwie kongresowem, a śluby cywilne i rozwody kodeksem Napoleona uprawnione, skaziły do reszty ognisko rodzinnego życia. Nie można całej winy zwalać na masonią wyłącznie, ale miała ona w tem znaczny swój udział.

Dodawać nie potrzebuję, że taki religijno-moralny stan warstw inteligentnych, za który w wielkiej części odpowiedzialną jest masonia, przygotowywał wybornie grunt do wszelkiego rodzaju konspiracyj politycznych i spisków, które też rzeczywiście po r. 1822 siecią swoją całą Polskę ogarnęły i, obok utraty resztek samodzielności, o ruinę majątkową kraj przyprowadziły.

Zaznaczywszy w ten sposób właściwy charakter i cel tej instytucyi — zobaczmy teraz jakiemi drogami przyszła masonia do Polski, jakie przebywała fazy, do jakiego stopnia ogarnęła społeczeństwo polskie i jakie przyniosła mu owoce.

Wiadomo z historyi, że po t. z. Sejmie niemym 1717 r. Polska układała się do snu politycznego. Na zewnątrz bez wpływu i znaczenia, w myśl króla swego Fryderyka Augusta II. przeznaczona czterokrotnie na rozbiór pomiędzy sąsiadów; wewnątrz zaś anarchiczna dla zrywanych ustawicznie sejmów a nawet trybunałów, bez skarbu, bez wojska, bez rządu i bez wymiaru sprawiedliwości, szarpana niezgodą możnych rodów, butą i swawolą szlachty, wrzeszczącej w niebo głosy: „nierządem Polska stoi, Polska potrzebna do równowagi europejskiej, za króla Sasa jedz, pij, i popuszczaj pasa“ — stała się „domem zajezdnym, karczmą“ dla sąsiadów, dla awanturników i obieżyświatów całego Zachodu. Król jej Sas I., pragnąc naśladować świetność dworu Ludwika XIV, otaczał się chętnie przybłędami francuskimi, i każdy wyskok fantazyi wersalskiego dworu znalazł odgłos na dworze warszawskim. Czynili tosamo magnaci polscy za obydwóch Sasów, przyjmując francuskich awanturników na swe dwory w roli sekretarzów, guwernerów, tancmistrzów, dworzan. W pułkach wojska „obcego autoramentu“ służyło wielu oficerów przybłędów z Francyi i Niemiec. Panięta pol-

[1] Sześcioletnia korespondencya władz duchownych z rządem świeckim Księstwa warszawskiego, str. 7, 8.

skie, synowie magnatów i możniejszej szlachty, wyjeżdżali tłumnie za granicę, do Paryża zwłaszcza, po rozum i naukę, której w ciemnej Polsce znaleść nie mogli. Nawet kilku możnych panów zamieszkało czas dłuższy we Francyi. Tylu więc drogami naraz przypływał do Polski zwyczaj i obyczaj francuski, a z nim i francuskie nowinki towarzyskie i socyalne, temi też szlakami przybłądziła do Polski i masonia, z Paryża a nie z Londynu.

Przypominamy sobie z rozdz. I. że 1717 r. ukonstytuowała się angielska masonia w „wielki Wschód Anglii“ i zaraz w pierwszej dobie od 1717—1826 r. rozwinęła gorączkową działalność, rozsyłając swoich „braci delegatów“ do wszystkich niemal krajów Europy, do Ameryki nawet, w celu zakładania lóż, kapituł i warsztatów. Otóż pod koniec panowania Sasa I. napotykamy na dworze tego króla i w Warszawie kilka towarzystw tajnych, które noszą nazwę „loży“. Masoński podręcznik *Allgemeiner Handbuch der Freimaurerei* t. II. str. 591 nic o nich powiedzieć nie umie, jak tylko to, że pod naciskiem bulli Klemensa XII. *In eminenti Apostolatus specula* z r. 1738, potępiającej wszelkie tajne związki masońskie, i polskie loże rozwiązać się musiały.

Bliższych szczegółów o tych „dworskich“ lożach nigdzie doszukać się nie mogłem, zapytywałem listownie historyka tej epoki, ś. p. Jarochowskiego; odpisał mi, że tej kwestyi specyalnie się nie oddawał i nic o niej pewnego powiedzieć nie umie.

Za to w lat kilka potem 1742 r. Stanisław Mniszech, chorąży w. lit. wraz z Jędrzejem Mokronowskim i księciem Konstantym Jabłonowskim urządzają lożę staroszkocką (o 27 stopniach) w Wiśniowcu na Wołyniu, a kilku przedniejszych obywateli kraju zapisuje się do niej. Wnet potem 1744 francuski brat mason, Longchamp, założył dwie loże francuskie jedną „Trzech Braci“ w Warszawie, a drugą 1747 r. „Trzech Bogiń“ we Lwowie. R. 1750 pułkownik w wojsku polskim, francuski mason Jan de Thoux de Salverte założył i znakomicie rozwinął warszawską lożę „Dobrego Pasterza“, a inny jenerał francuski, brat Le Fort, odkrył lożę w Dukli, majątku w. marszałka nadw. Jerzego Mniszcha. Tak więc z śmiercią Fryderyka Augusta III. 1762 r., liczono w Polsce zaledwo kilka lóż masońskich, dependujących od w. loży we Francyi,

które słabe tylko oznaki życia dawały, a rekrutując się przeważnie z cudzoziemców, pozostały bez wpływu na ogół społeczeństwa.

Jak cała podówczas masonia, tak i te polskie loże rządziły się konstytucyą angielską, przepuszczoną przez alembik francuski. Ze zbioru niegdyś hr. Kuropatnickiego, kasztelana bełzkiego, dostało mi się jedno z najpierwszych wydań tej masońskiej konstytucyi, „przeznaczonej na użytek wspólny wszystkich lóż na powierzchni świata istniejących", a drukowanej w Frankfurcie nad Menem 1742 [1]. W drugiej części tej arcyciekawej książki „o obowiązkach Framasona" i w przedmowie, która ją poprzedza, wypowiedziana najwyraźniej myśl, że masonia ma zastąpić dotyczasowy Kościół i chrześcijańską cywilizacyę, i umoralnić człowieka, i społeczeństwo na podstawie czysto ludzkiej, naturalnej.

Statut z r. 1721 zawiera 39 rozdziałów. Trzy pierwsze opisują władzę w. mistrza i mistrzów katedralnych. Dalsze rozd., od 4—11, podają warunki należenia do loży, bywania na niej i oddalania się z niej. Większość braci lożowych ma prawo informowania lub napominania mistrza i dozorców; zresztą jednostajność regulaminu ma być we wszystkich lożach przestrzeganą. Rozd. 12, wielką Lożę składają: w. mistrz, w. namiestnik, w. dozorca, mistrze katedralni i dozorcy lóż zwyczajnych. Uchwały zapadają większością głosów; w. mistrz ma dwa głosy. Rozd. 13—21 określają bliżej władzę w. Loży w różnych wypadkach choroby lub śmierci w. mistrza i w. dozorców. Rozd. 22—32 wyznaczają dzień św. Jana na posiedzenie wspólne wszystkich lóż i w. Loży, a przynajmniej tej ostatniej w celu wyboru w. mistrza, jego namiestnika i dwóch w. dozorców, określają władzę intendenta i komitetu dla urządzenia tego festynu, oraz zachowanie się braci w tej uroczystości. Rozd. 33—38 określają bliżej co czynić należy, gdy w. mistrz uzna za stosowne dzierzyć w. młotek na rok następny, albo gdy wybór w. mistrza padnie na nieobecnego na sesyi brata, i zostawiają każdemu bratu zupełną wolność słowa na tej sesyi walnej.

---

[1] *Histoire, Obligations et Statuts de la très vénérable Confraternité des Francs-Maçons, tirez (sic) de leurs archives et conformes aux traditions le plus anciennes: approuvez de toutes les Grandes Loges et mis au jour pour l' usage comun des Loges rependuës sur la surface de la terre. A Francfort sur le Meyn, 1742* w 8ce, str. 382.

Ostatni rozdział upoważnia każdoroczną w. Lożę do zmiany konstytucyi, pod warunkiem wszelako, że projekt dotyczącej zmiany będzie pierw dany pod rozwagę każdego brata masona, i dopiero gdy większość braci zgodzi się na niego, wniesiony będzie pod obrady w. Loży. Dodany do statutu bardzo treściwy program założenia nowej loży.

Takim statutem rządziła się nieliczna masonia polska za królów z domu saskiego, aż zawitała dla niej świetniejsza dola za rządów króla Stanisława Augusta, którego też polscy bracia masoni nazywali swoim protektorem.

Tymczasem, obok dawnego źródła z Francyi, otworzyło się dla niej nowe źródło z Rosyi, z którą łączyła podtenczas Polskę „przyjaźń Semiramidy północnej", Katarzyny II. i opieka jej ambasadorów Repnina i Stakelberga, poparta wojskiem rosyjskiem. Katarzyna II, jako kobieta liberalna, popierała masonię w Rosyi, w rok po swojem na tron wstąpieniu 1763, r., ogłosiła się jej protektorką; w r. zaś 1784 wybudowała własnym kosztem lożę *l'Imperiale* w Petersburgu. Pod jej egidą szef masonii rosyjskiej ex-major, drukarz i dziennikarz, Mikołaj Nowikow, rozwinął olbrzymią działalność, rekrutując „braci" przeważnie z sekty martynistów, i jeżeli wierzyć mamy Waleryanowi Krasińskiemu, kalwinowi, „z najprzedniejszych mężów Rosyi, z najwyższych urzędników, uczonych, kupców, drukarzy; nawet kilku wielkich dygnitarzy cerkwi i zwykłych księży należało do loży" [1]. Od r. 1763—1787 liczono według *Roczników niderlandzkiej Framasonii z r. 1852* (str. 35) — 145 lóż w Rosyi, na całym zaś świecie miało być 3.216 lóż. Cyfra widocznie przesadzona, gdyż według tychże „Roczników", miało być w tymże r. 1787 w Polsce lóż 75, było ich zaś rzeczywiście ledwo kilkanaście. Bądźcobądź jednak masonia prosperowała w Rosyi pod egidą imperatorowej aż do wybuchu wielkiej rewolucyi. Wypadki zaszłe we Francyi otworzyły jej oczy, poczęła nie ufać masonom swoim, a gdy się dowiedziała, że szef ich Nowikow nawet jej syna, następcę tronu, Pawła I, do loży wciągnąć próbował, zawrzała gniewem. Z jej roz-

[1] *Histoire religieuse de peuples slaves. Paris 1853.*

kazu osadzono Nowikowa w Schlüsselburgu, trzej inni masońscy koryfeusze, książęta: Łopuchin, Mikołaj Trubecki i Turgenjew internowani do swoich majątków; wielu dygnitarzy i dworzan, skoro pierwszych objawów nieufności carowej dostrzegli, wypisali się z loży, o czem pod r. 1794 tak pisze „brat" Thory w swoich *Acta Latomorum ou Chronologie de la Franc-Maçonnerie* t. I. str. 195. „W roku tym loże masońskie wydały się cesarzowej Katarzynie podejrzanemi. Wmówiono w nią, że w lożach Moskwy (sic.) przeciw dworowi i ministrom intrygują. Okoliczność ta, niemniej jak przewroty rewolucyi i wielkie podówczas w Europie wykonane atentaty, które robotom tajnych związków przypisywano, stały się przyczyną, że zakonu masonii już nie broniła więcej. Pozostałe loże oddano śledztwu policyjnemu". Paweł I. lubo jako wielki książe miał być „bratem" masonem, zostawszy carem, zakazał osobnym ukazem 1797 wszelkich towarzystw tajnych, a w szczególności masonii, i hersztów jej wygnał ze stolicy i kraju.

Rzecz jasna, że ustawiczna styczność króla Stanisława i panów polskich z Petersburgiem, pobyt wielu znacznych Rosyan w Warszawie i przy wojsku rosyjskiem włóczącem się po Polsce, dodało polskiej masonii nowego bodźca, i pomnożyło jej szeregi. Duszą tych robót masońskich był August Moszyński, stolnik w. k., syn Jana, podskarbiego w. k. i hrabianki Cosel, naturalnej córki Augusta II., człowiek lekkomyślny, alchemik zagorzały, który znając doskonale skandaliczne sekreta dam warszawskiego świata, bawił się wobec nich w wróżbitę. Pomagał mu w tej masońskiej pracy, brat Besson, który później 1810 r. był wielkim mówcą wielkiego Wschodu narodowego. Przy jego pomocy podzielił Moszyński r. 1767 zreformowaną 1766 r. przez hr. Brühla lożę „trzech Braci" na niemiecką „drei Brüder", francuską „Parfait Silence" (doskonałego milczenia) i polską „Cnotliwego Sarmaty". Oprócz trzech lóż warszawskich istniało na prowincyi 6 lóż innych, wszystkie razem stanowiły „wielką Lożę polską", której on, Moszyński, był wielkim mistrzem. O czem tak się wyraża *le Monde Maçonnique*. „Roku 1767 brat Moszyński zaprowadził masonię w Polsce, i założył wielką lożę „trzech Braci", której on sam był pierwszym wielkim mistrzem. Miał on dziewięć lóż pod swoim zarządem, które wyznawały ryt dawnych masonów wolnych i przyjętych i ścisłej obserwancyi (t. j. ryt staroszkocki

o 27 stopniach). Cel tej instytucyi był filantropiczny, lecz ogół jego członków, złożony z szlachty i klas wykształconych, był niesłychanie krępowany. Łatwo to zrozumieć: zwyczaje i obyczaje życia, jakie wtenczas prowadzono w Polsce, stan polityczny kraju, a przedewszystkiem wpływ zazdrosny a wszechwładny Jezuitów, nie dozwoliły rozwinąć się duchowi tej instytucyi i dotrzeć do mas. Wobec takich trudności zarząd zakonu masonii ujrzał się zanadto ścieśnionym i nie mógł się tak ustalić, jak to się stało w tejsamej epoce w wielu innych cywilizowanych krajach".

Myli się *le Monde Maçonnique*. Wielką Lożą polską nie była loża „trzech Braci" ale loża „Cnotliwego Sarmaty". Mam autentyczny statut tej wielkiej Loży w francuskim rękopisie z r. 1769, 4-to, str. 41 przesłany do użytku loży „Przyjaźń na wschodzie Białegostoku 1770 r." Statut ten zawiera: prawa kardynalne, prawa lóż pojedynczych, obowiązki urzędników lożowych, rytuał loży przyjęcia do stopni masońskich i loży bankietowej, wreszcie grzywny i kary za wykroczenia[1].

Konstytucya ta ogłoszoną została 4 Sierp. 1769 w wielkiej Loży warszawskiej.

Masonia polska w tej dobie wyznawała nagi deizm, pod względem politycznym skłaniała się raczej do monarchizmu jak do republiki. Organizacya jej była taką: najwyższy rząd i władzę sprawowała wielka Loża warszawska „Cnotliwego Sarmaty", złożona z mistrzów i dozorców lóż podwładnych i z wielkich urzędników swoich; na jej czele stał mistrz wielki. Nad czystością dogmatu i ceremoniału masońskiego czuwała loża „spraw", później wielką kapitułą nazwana, złożona z dygnitarzy wielkiej Loży. Pod tą wielką Lożą stały loże symboliczne krajowe, rządził niemi mistrz katedralny przy pomocy urzędników loży; nad zachowaniem dogmatu i ceremoniału masońskiego w lożach czuwał wizytator z ramienia w. mistrza wysyłany.

Dla zainaugórowania „wielkiej Loży polskiej", urządził w.

---

[1] *Codes de Statuts approuvés par la Grande ☐ (loge) du Vertueux Sarmate de Varsovie. Le 21. 7bre de l'ére maçonnique 5769.* Ms. in 4-to. Dokładną treść tego kodeksu podam w osobnej książce o masonii w Polsce, która opuści prasę w wrześniu b. r.

mistrz Moszyński wspaniały festyn w dzień św. Jana 24 czerwca 1770, którego opis podaje nam naoczny świadek, nuncyusz Durini:

„Biskup poznański, Młodziejowski, składa coraz to wymowniejsze dowody swego kościelnego usposobienia. Jako biskup Warszawy i wielki kanclerz polski powinien był przeszkodzić niesłychanemu i niezmiernemu skandalowi, jaki miał miejsce w tym Babylonie (Warszawie) na dniu 24 czerwca 1770 r. w uroczystość św. Jana Chrzciciela. Na tym dniu zebrali się wszyscy obecni w Warszawie masoni w domu hr. Moszyńskiego, w. stolnika koronnego, i dozorcy królewskich budynków, stamtąd udali się do zbudowanej przez niego loży, w środku której stał fantastyczny ołtarz z napisem: *Virtuti, Sapientiae et Silentio sacrum* t. j. cnocie, mądrości i milczeniu poświęcony przybytek. Tapicer opowiadał, że kazano mu pierwsze wejście obić czarno, ale do wnętrza loży zaglądnąć nie dozwolono. Budynek ten ma okna jak w naszych kościołach, a zwyczajem polskim otoczony jest parkanem, który obwieszono suto czerwonem suknem, aby ciekawi przez szpary ceremoniom poświęcenia przyglądać się nie mogli. Wewnętrzne i zewnętrzne oświetlenie, którego ukryć nie było można, takie sprawiało wrażenie, że całe miasto było w poruszeniu. Liczono na tym dniu 150 osób w własnych powozach, oprócz tych, którzy pieszo przybyli. Zjawiło się tam i dwu przebranych zakonników, także i dwie damy pierwszych rodzin[1]... Gdy im niejakie trudności w tem czyniono, odpowiedziała jedna z nich, księżna Lubomirska, żona marszałka w. k. cioteczna siostra (Base) króla, że właśnie niedawno wpisaną została do masonek angielskich, nie widzi więc, dlaczego by nią być nie mogła w Polsce, w swojej ojczyźnie. Nie umiano jej na to odpowiedzieć. Cała Warszawa mówi o tem. Bezwstyd doszedł do tego, że publicznie chełpią się z tego mówiąc: byłoby szaleństwem ukrywać się z lożą, jak to się dzieje w innych krajach. Błazeńskie swoje odznaki noszą publicznie na szyi, ozdobione złotem i dyamentami obok orderu św. Stanisława. Powszechne jest mniemanie, że król wydał 2000 złr. na wieczerzę, że prymas Podoski nietylko na tę stypę pożyczył swych sreber stołowych, ale *incognito* jako „dobry brat“ sam w niej uczestniczył. Biskup poznański, Młodzie-

[1] Marszałkowa Lubomirska i hetmanowa polna Rzewuska.

jowski, proszony o to, aby zgorszeniu zapobiegł, miał odpowiedzieć: ja mam co innego do roboty. I w samej istocie, jakżeby się mógł sprzeciwiać sprawie, która wyszła od króla, od prymasa, całej familii Poniatowskich, od najznakomitszych Rosyan i wogóle od całej rosyjskiej partyi, sam przecie przyznał się, że tę rzecz najgorliwiej popierał“ [1]. Zkądinąd wiemy, że król sam wpisał się 1777 r. do loży niemieckiej Rose-Croix, złożył przysięgę warunkową wprawdzie co do wypełnienia obowiązków, ale bezwarunkową co do chowania tajemnicy, nosił masońskie imię *Salsinatus*, otrzymał siedem stopni za co zapłacił 66 $^1/_2$ # [2].

Tą razą jednak tryumf masonii był przedwczesny. Wojna domowa z konfederacyą barską, pierwszy rozbiór Polski, roboty delegacyjnego sejmu, intrygi na dworze króla, wprowadzenie nowego a narodowi wstrętnego porządku rzeczy pod egidą rosyjskiego posła Stakelberga, wszystko to nie sprzyjało rozwojowi masonii w Polsce. O całem jedenastuleciu od 1772—1783, to tylko wiemy, że po Jerzym Moszyńskim objął wielki młotek Józef Hylzen, uczeń jezuity, Wyrwicza, wielce wykształcony za granicą, kasztelan inflancki a potem od r. 1769 wojewoda mścisławski; że loże wlokły swój żywot, jedne mniej drugie więcej bezczynny; jakiejkolwiek działalności na zewnątrz dopatrzeć się trudno; nie mogłem dotąd odszukać ani okólników w. Loży, ani „obrazów“ braci, słowem ani świstka więcej nad to, co tu przytoczyłem.

Pomyślniejsza dola dla masonii zawitać miała, ale tylko na lat kilka, w drugiej dobie rządów Stanisława.

Do restauracyi podupadłej masonii w Polsce zabrał się szczerze brat mason wysokich stopni w. Loży angielskiej [3], Ignacy Potocki, członek komisyi edukacyjnej, później marszałek rady nieustającej czyli prezes ówczesnego polskiego rządu. Dobrał sobie do pomocy grono starych braci dobrze koło masonii za granicą i w kraju zasłużonych jak: de Heyking, Baltazar Treter, Feliks Nowicki,

---

[1] Theiner, t. I. str. 463.

[2] Kalinka: Ostatnie lata panow. St. Augusta, t. I. str. LXI.

[3] Oryginalny dyplom nominacyi na ten wysoki stopień mam pod ręką. Pisany jest na pergaminie częścią po łacinie, częścią alfabetem masońskim, którego odcyfrować ani w Krakowie ani w Rzymie nie potrafiono dotąd.

jenerał baron le Fort, Ignacy Tański bardzo uzdolniony urzędnik w biurze marszałka w. k. Lubomirskiego, de la Casa, exjezuita, poeta Franciszek Kniaznin, de Glaire, Wielhorski, zwolennik encyklopedystów, przyjaciel Russa, patryota republikanin, Jan Kayserling, Jerzy Wilczewski, a przedewszystkiem „brat Douville, sekretarz wyższych stopni, który dotąd otrzymywał z kasy wspólnej pensyę 5 # miesięcznie za czas, który poświęcił i poświęci jeszcze dla zakonu w ogólności“ [1]. Z grona tych weteranów masonii wybrał Ignacy Potocki, jako mistrz wielki, w styczniu 1783 komisyę złożoną z piętnastu członków. Zadanie tej komisyi określone w instrukcyi w. mistrza Potockiego z d. 13 stycznia 1783 r.

„Oznajmiamy, że na mocy przysługującego nam prawa i uchwały wielkiej Loży z d. 13 stycz. 1783, przepisujemy niniejszem program komisyi, przeznaczonej do ułożenia kodeksu *da la police* wielkiego Wschodu i lóż poszczególnych. Mianowicie:

1. Porządek zewnętrzny lożowych obrad, z wyjątkiem tego co się do dogmatyki i wyższych stopni odnosi.

2. Ułożyć wskazówkę czyli program i wydrukować go tak dla prac zwyczajnych wielkiego Wschodu, jak dla lóż istniejących w stolicy.

3. Oznaczyć miejsca wielkich urzędników i deputatów, reprezentujących zagraniczne Wschody i loże naszej jurisdykcyi.

4. Urządzenie uczt (lóż biesiadnych) odpowiednio do nowego kodeksu.

Oto przedmiot troskliwości tej komisyi, której przewodniczyć będzie jako wielki deputat w. mistrza baron de Heyking, a członkami będę najpoważniejszy wielki mistrz ceremonii i bracia mistrze ceremonii lóż tego Wschodu, i bracia przez nich przeznaczeni.

O wszystkiem stanowi większość głosów, a wynik pracy (komisyjnej), która ma się ukończyć we dwóch miesiącach od dzisiejszej daty poczynając, ma być przedłożony w. mistrzowi.

Prezes komisyi wyznaczy miejsce, godzinę i dzień na sesyę komisyi, która dwa razy w tygodniu ma się odbywać.

Prezes komisyi poruczy któremukolwiek z braci obowiązki sekretarza“ [2].

---

[1] Teki archiw. loży „Tarcza północna“, tom I. r. 1783.

[2] Teki archiw. loży „Tarcza północna“, t. I.

Równocześnie z tą komisyą policyjną wyznaczył Potocki komisyę finansową z trzech członków: Ignacy Tański w. skarbnik w. Wschodu, de la Casa skarbnik w. Wschodu, exjezuita poeta Franciszek Kniaźnin sekretarz komisyi. Ta wygotowała śpiesznie swoje czynności i już 17 marca 1783 przedłożyła je w. mistrzowi. Z raportu tego stan finansowy polskiej masonii 1783 tak się przedstawia: dochód 567 # 16 złp. 8 gr.; wydatki: 558 # 2 złp. 16 gr.; między wydatkami figurują odnowienie loży, i portret króla w niej zawieszony; pozostało w kasie 9 # 13 złp. 22 gr. i zaległość u trzech lóż warszawskich: „Świątynia Izy“, „Tarcza północna“, „Bogini Eleusińska“ w kwocie 136 # 6 złp. Oprócz tego te trzy loże, dalej „Dobroczynność“ adopcyjna, loża poznańska i grodzińska zapłacić miały 120 # za 6 egzemplarzy tymczasowej konstytucyi masońskiej. Wielki Wschód dłużen był berlińskiej loży *la Royale Jorck* (królewski Jork) 126 # za 7 egzemplarzy tymczasowej konstytucyi i za sprowadzenie *via* Petersburg-Berlin, wielkiej karty londyńskiej, na podstawie której opracował Ignacy Potocki konstytucye i ustawy dla masonii polskiej.

Projekt tej konstytucyi odczytano na nadzwyczajnej sesyi w. Wschodu d. 15 kwietnia 1783 r. Protokół tej ważnej sesyi zawiera 15 punktów, z których przytaczam główniejsze. 1. „Loża w. Wschodu zwołana nadzwyczajnie pod prezydencyą namiestnika w. mistrza (był nim baron de Heykink) w sposób zwykły. Najpoważniejszy brat mowca (Stanisław Potocki) miał mowę budującą na temat ogłoszenia nowego kodeksu praw sporządzonego przez najpotężniejszego w. mistrza (Ignacego Potockiego), którego upełnomocniły wszystkie loże w. Wschodu warszawskiego. Przyklaskiwania jednogłośne nastąpiły po tej mowie, która na żądanie wszystkich braci złożoną będzie w archiwum w. Wschodu“. Określono pieniężne wkładki, które pojedyncze loże na utrzymanie w. Wschodu corocznie wnosić ofiarowały się. Wspomniono o projekcie komisyi w celu propagandy masonii — projekt nie przyszedł do skutku. Najpoważniejszy brat deputat, Krzyżanowski, oznajmił, że poznańska loża „Stałość uwieńczona“ prosi o drugi egzemplarz konstytucyi, gdyż zamierza podzielić się na dwie loże, druga powstać ma we Wschowie. Najpoważniejszy brat hrabia Wielhorski, prezes ko-

misyi dla uregulowania prac loży adopcyjnej, złożył elaborat swej komisyi do odczytania w lożach.

Zanim elaborat ten arcyciekawy podam w dosłownym przekładzie, zapytać się godzi, jaki jest początek lóż adopcyjnych czyli sióstr masonek?

Kiedy papież Klemens XII bullą z r. 1738 potępił masonię i pod klątwą wstępu do niej zabronił, wtenczas książe arcyb. elektor koloński, Klemens August, chcąc ujść cenzur kościelnych a dogodzić swemu uwielbieniu dla czci pięknej, zawiązał w Wiedniu zakon Mopsic, *l'ordre des Mopses*, bez żadnych stopni i bez przysięgi dochowania tajemnicy. Ciekawa ta nazwa stąd ma swój początek, że ceremoniał przyjęcia nakazuje wstępującej damie pocałować woskową lub wypchaną figurkę pieska mopsa pod zadarty ogonek (patrz rozdz. III). Niebawem zakon Mopsic rozszerzył się w Niemczech i we Francyi zwłaszcza za rządów Ludwika XVI, i przemienił się w formalną lożę o trzech stopniach i z przysięgą dochowania tajemnicy. Prace tej loży zwano zabawą tajemniczą, *amusements mistérieux*, a nazwy lóż były zawsze aluzyą do miłości. Wykwintna rozwiązłość, która gościła zrazu w tych lożach, wnet przemieniła się w orgie tak dalece, że skoro wybuchła rewolucya wielka, to tłum uliczny rzucił się na t. zw. małe domki, *petites maisons* Paryża i zrównał je z ziemią.

Polskie „doskonałe siostry“ masonki, adoptowane były do francuskiej loży „Tarcza północna“ i do połączonej z nią loży polskiej „bogini Eleusis“, loża ich nosiła nazwę „Dobroczynności“. Pieczęć tej loży wielka, mosiężna, przedstawia świątynię na siedmiu stopniach i dwóch kolumnach opartą, z kopuły jej bucha ogień miłości. We wnętrzu świątyni, między kolumnami, cyrkiel, młotek, kielnia i napis *à la vertu*. Po bokach stopni akacye, do koła pieczęci napis: *Sceau de la G. L. de la Bienfaisance au G. O. de Varsovie*, to znaczy: pieczęć wielkiej loży „Dobroczynności“ na w. Wschodzie Warszawy. Służyć zaś miały te doskonałe siostry dla uprzyjemnienia lożowego życia, dla zabawy doskonałym braciom, i dla zapomogi lożowej kasy. „Masoni w pierwszych ustawach, powiada masońskie źródło, za punkt fundamentalny położyli sobie nie przyjmować kobiet, przez bojaźń wygadania sekretów. Potem niektóre loże-matki zaczęły się dyspensować w tem, chcąc przez

kobiety uprzyjemnić masonię, jako z siebie nudną i przykrą; toż powiększyć kasę z opłat i ofiar kobiet, zjednać oraz lepszą dla masonii opinię, i pomyślniejszy bieg w interesach za wpływem kobiet. Zaczęto je więc przyjmować, lecz ich nie uczą znaków, dotknięcia, haseł i tajemnic masonii męzkiej, lecz wcale odmiennych. Także, iż dając im pozór rządzenia się same w lożach siostrzańskich, rzeczywiście bracia rządzą niemi, wybierając w loży męzkiej wielebnego (mistrza katedry) dla kobiecej, gdzie on jest wielkim pomocnikiem, nauczycielem i sternikiem, oraz dalszych urzędników asystentów, którzy umieją sobie dać wyższość nad siostrami. Nareszcie, iż bracia w męskiej nie kobiecej loży uczą się wszelkich znaków, haseł i obrzędów siostrzańskich wprzód, niż której siostrze ofiarują się za asystenta. Wiedzą więc bracia co się dzieje w loży u sióstr, lecz te nie wiedzą co się dzieje w loży u braci.... Tak bracia będąc bezpieczni o swe sekreta, potrafili zrobić sobie często rozrywkę w loży sióstr, zwiększyć kasę i liczbę przyjaciół, zjednać dobrą opinię i pomyślny bieg interesów cywilnych. Za lożami-matkami poszły loże-córki, i teraz loża kobiet jest w każdem większem mieście w Europie i w Stanach zjednoczonych.

„Do masonii kobiet są wprowadzone dzieje, figury, obrazy z biblii, aby kobiety wierzące widziały w masonii coś poważnego i świątobliwego nawet, a tak nie miały trwogi sumienia i religiantkom zalecały masonię; filozofki zaś i deistki, aby tam widziały coś lekceważącego biblią, a stąd zalecały masonię współfilozofkom“ [1].

Biedne siostry masonki! doskonali bracia wyzyskiwali nielitościwie swobodę ich i wolność, uczciwość i honor, kieszeń i religijne nawet uczucie, a one mniemały, że czegoś nadzwyczajnego dokonały, idąc na ten lep przewrotności masońskiej.

Statut, którym się te „doskonałe“ masonki rządziły, wyszedł z pod pióra „najpoważniejszego“ brata Wielhorskiego i komisyi *ad hoc;* oto jego dosłowny tekst.

„Sprawozdanie złożone na w. Wschodzie z pracy komisyi zamianowanej przez w. mistrza d. 13 stycznia, roku masońskiego 5783, z obowiązkiem przedłożenia mu planu loży adopcyjnej i świąt uroczystych.

---

[1] Framasonia mężczyzn i kobiet, skrócone z francuskiego, 1810 r. str. 170—173.

„Rzeczona komisya uważała za stosowne rozpocząć swe czynności przez skonstatowanie istnienia loży adopcyjnej i określenie łączności z. w. Wschodem; wtem celu ułożyła następujący plan:

„Wielki Wschód narodowy zobowiązuje się uważać lożę Dobroczynności pracującą w adopcyi, jako lożę adopcyjną, sprawiedliwą i doskonałą, złożoną z prawdziwych, dobrych i wiernych masonek, a to pod temi warunkami:

1. Loża adopcyjna zależną jest od w. Wschodu polskiego jak inne loże regularne, imię jej zapisane będzie na tablicy w rzędzie innych.

2. We wszystkiem co się ceremoniału jej prac tyczy, jak: rytuał, godła masońskie, katechizm, sposób odbywania festynów i biesiad, przybor innych ceremonii — pracować będzie według instrukcyi w. Wschodu, jaką przyjęły lub przyjmą inne loże, jako regułę prac swoich.

3. Co do wewnętrznego zarządu, co do użycia swoich funduszów, rządzić się będzie własnemi światłami; doradza się jej tylko, aby przyswoiła sobie zwyczaje lóż innych, dla zachowania, o ile można, jednolitości pomiędzy wszystkiemi łożami.

4. Ona sama mianuje swoich urzędników z pośród urzędników w. Wschodu narodowego Polski, i dlatego dany jej będzie spis wszystkich jego członków.

5. Urzędnicy ci będą: 1. mistrz katedralny (wielki Mops), 2. namiestnik, 3. dozorca pierwszy, 4. dozorca drugi *(depositaire)*, 5. mowca, 6. sekretarz, 7. skarbnik, 8. mistrz ceremonii, 9. wielki sędzia, 10. jałmużnik, 11., 12. dwóch stuardów [1].

6. Nie wolno jej tej liczby powiększyć, albo zmienić nazwę. Artykuł ten uważać należy za integralną część rytuału.

7. Może zakładać loże adopcyjne we wszystkich stronach kraju, należących do w. Wschodu Polski z warunkiem nadania im swoich prac i regulaminu i niedozwalania zmian żadnych.

8. Listy okólne i inne tablice (pisma), wychodzące od niej, rozpoczynać się będą tą formułą: „Na chwałę Stwórcy, pod opieką

---

[1] Obok „braci“ dygnitarzy były „siostry“, najsławniejsza wielka Mopsa, najpoważniejsza mistrzyni obrzędów, najpoważniejsza siostra depozytorka, o których w części III. w rytuale będzie mowa.

najwspanialszego, najpotężniejszego wielkiego mistrza, pod imieniem najsławniejszej wielkiej mistrzyni".

9. Wolno jej afiliować wszystkich braci składających w. Wschód narodowy; ale nie przypuści nigdy obcych (masonów), nawet jako odwiedzających (gości), chyba żeby to był brat, który dla krótkości swego pobytu otrzymał już pozwolenie bywania na pracach lóż innych, nie będąc do nich afiliowanym.

10. Wszyscy bracia w. Wschodu narodowego mogą ją odwiedzać.

11. Przyczyni się do kosztów utrzymania w. Wschodu dobrowolnym datkiem, który potem sama oznaczy.

12. Jeżeli pracuje w loży (w lokalu) wspólnej czterom lożom warszawskim, ponosić będzie koszta w równej części z innemi lożami. W lożach zaś t. zw. policyjnych, złożonych z członków lóż czterech, zajmie swe miejsce przez swoich braci członków.

13. Nie będzie utrzymywać stosunków ani korospondencyi z lożami zagranicznemi, jeno za przyzwoleniem w. mistrza.

14. Wrazie sporu jakiego, apelacya od sędziego idzie do komisyi nadzwyczajnej, mianowanej przez strony spór wiodące, pod prezydencyą w. mistrza, a wyrok ten jest bez odwołania.

15. We wszystkich pracach adopcyjnych prywatnych i publicznych, wielka mistrzyni i jej siostry urzędniczki kierują tylko siostrami; mistrz katedralny i urzędnicy kierują braćmi.

16. Damy loży adopcyjnej złożą w ręce komisarza wysłanego na to przez w. Wschód następującą przysięgę, (istną parodię przysięgi ślubnej małżeńskiej): „My mistrz i mistrzyni katedralni, urzędnicy i dygnitarki, bracia i siostry składający tę sprawiedliwą i doskonałą lożę adopcyjną, przysięgamy na honor, cnotę, dobroczynność i przyjaźń, i przyrzekamy wielkiemu Wschodowi Polski wiarę, uległość (homage) i wierność na zawsze. Poddajemy się warunkom, które nam dopiero co odczytano, i które są podstawą naszej z nim jedności. Przyrzekamy, że nie uczynimy żadnej zmiany bez jego przyzwolenia, i uważać go będziemy jako jedyny skarbiec światła, mogącego nas oświecić, i jako zwierzchność, której winniśmy słuchać. Na dowód czego podpisaliśmy akt niniejszy, wszyscy i każdy, aby służył na zawsze za zakładnika naszej wierności".

Szczegółowe urządzenie lóż i reguły dla pojedyńczych urzę-

dników i dygnitarek przekazuje komisya w. mistrzowi, Ignacemu Potockiemu, i wskazuje mu na pomoc „wielkich świateł“ z Szwecyi, w której „prace lóż adopcyjnych muszą być bardzo interesujące“ [1].

Regulamin przyjęcia i rytuał pierwszych trzech stopni ułożył także Ignacy Potocki w języku francuskim: *Réglemens des Francs-Maçonnes.*

Loża adopcyjna „Dobroczynność“ ukonstytuowała się rzeczywiście 1783 r. Wielką Mistrzynią była Teresa Tyszkiewicz, przedniejszemi masonkami: księżna marszałkowa Lubomirska i hetmanowa polna Rzewuska—więcej nazwisk „doskonałych sióstr“ masonek podać nie umiem, bo katologu loży adopcyjnej doszukać się nie mogłem. „Dobroczynność“, a przedewszystkiem wesoła nie krępowana towarzyskiemi względami zabawa — oto cel adopcyjnej loży. Wielka powódź, która podówczas nawiedziła Warszawę, podała myśl tej „Dobroczynności“ masońskiej, zamierzano bowiem urządzić szpital dla starców i kalek, i zebrać fundusz rezerwowy dla wsparcia ubogich. Inicyatywa wyszła od starego brata jenerała le Fort, który będąc bardzo podeszłego wieku, nie mógł przybywać na sesye loży, ale za to w mieszkaniu swojem przyjmował wielu braci i sióstr i podsunął im projekt zawiązania dzieła dobroczynności, „który przynosi honor miłości chrześcijańskiej“. „Wiadomo jest, pisze w swym liście z d. 16 grud. 1784 do mistrza kat. loży Tarcza północna; wiadomo jest, że zająłem się tem i zrobiłem z tego słodki obowiązek ostatnich lat mego życia, wydoskonalić to dzieło i poświęcić mu wszystkie me starania“ i dlatego prosi, aby całą składkę, która się podczas nadchodzącej uroczystości św. Jana w zimie zbierze, na to dzieło dobroczynności przeznaczyć. Berlińska loża główna „królewski Jork przyjaźni“ wystosowała z tego powodu list gratulacyjny na ręce „przewielebnego brata Schultza“ do polskich masonów. „Cześć, jaką czcigodna nasza loża składa dzisiaj wspaniałym i dobroczynnym działaniom waszym, jakiemi użyźniliście i podtrzymali budynek dobroczynności, dźwignięty przez najczcigodniejszego i najzacniejszego brata jenerała barona le Fort, jest wyrazem uwielbienia, jakiem natchnąłeś nas, najczcigodniejszy i najdroższy bracie, jako mason i jako obywatel. Jako masoni, dzielimy się tą chwałą, jaką bracia nasi we wszystkich częściach świata zdobywają

[1] Teki archiw. loży „Tarcza północna“, t. I.

sobie, ile razy wypełniają tę miłość bliźniego tak uroczyście poleconą nam duchem i istotą zakonu naszego, i z pośpiechem chwytamy się sposobności złożyć im hołd należny. Jako ludzie, z zadowoleniem i niewypowiedzianem uczuciem patrzymy na usiłowanie obywatela, którego ręka śpieszy usunąć gniotący ciężar nieszczęcia i nędzy, pod którym jęczy tylu nieszczęśliwych. Racz najczcigod. i najdroż. br. przyjąć z tego podwójnego tytułu hołd nasz objawiony tym listem. Braterstwo ci je składa równie jak ludzkość".

Takie same górnobrzmiące uznania dla jenerała le Fort i tych, którzy go w tem dziele dobroczynności wspomagali. Podpisano: Delagiranére w. mistrz, de Massow namiestnik, L. Baudesson, mistrz kat. Siebmann namiestnik, le Bold de Nans w. sekretarz i mowca. Pieczęć owalna, z gwiazdą i literą G i trzema gałązkami pośrodku; dokoła liściowy wieniec i napis: *Hic virtuti prodest otium* [1].

Tenże sam „najpoważniejszy brat" Wielhorski z komisarzami: Stanisławem Potockim, Baltazarem Treterem, Janem Kaiserlingiem i Glayre'm ułożyli „regulamin świąt zwykłych i nadzwyczajnych, bankietów lóż żałobnych i innych ceremonij publicznych" [2].

W imieniu loży adopcyjnej „Dobroczynność", przyjęli te ustawy br. Aleksander Szembek i br. Tański [3]. (C. d. n.)

Ks. St. Załęski.

---

[1] Teki archiw. l. T. P. t. I. l. 15.

[2] Dosłowny tekst regulaminu wyjdzie w osobnej mej książce o masonii w Polsce.

[3] Teki archiw. loży „Tarcza północna", t. II.

FOTOGRAFIA W SŁUŻBIE ASTRONOMII.

II.

Najnowsze postępy w zastósowaniu fotografii do celów astronomicznych. Bracia Henry.

Tak więc, jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, stały rzeczy w zastósowaniu fiotografii do celów astronomicznych, aż do ostatnich omal czasów. Pokonywując mniej lub więcej szczęśliwie, różne nastręczające się ciągle trudności i przeszkody, jakoteż często brak doświadczenia, próbowano ją spożytkować do wszystkich w ogóle zjawisk, tak codziennych jak okolicznościowych, bo w r. 1882 Dr. Gill nie zaniedbał jej użyć nawet do zdjęcia obrazu komety, co też rzeczywiście w 110 minut mu się udało. Wszystko to jednak były usiłowania, można powiedzieć luźne, na ochotnika robione, bez ścisłego związku i wytkniętego planu, bez racyonalnego rozdziału pracy, jakbądź poważnej swą treścią i ogromem, — były to jakby przygotowawcze studya do zamierzonego dzieła o szerszych ramach. W ostatnich dopiero czasach zakreślili sobie, jak wspomnieliśmy, Dr. Gill, Gould i bracia Pickering, szczuplejszy wprawdzie stosunkowo, ale i okrąglejszy horyzont działania, jakąś całość tworzący, postanowiwszy na razie iść systematyczną drogą w zbieraniu widoków najłatwiej i najkorzystniej dla nich dostępnych części nieba, i tym sposobem zostawić pamiątkową i pożyteczną księgę dla przyszłości. Ta ich myśl, chociaż ograniczona do skromniejszych na oko rozmiarów, a przecież przechodząca omal siły jednego człowieka, zrodziła prawdopodobnie inną, rozleglejszą nieporównanie

i powołującą do współdziałania wszystkich chętnych i doświadczonych na tem polu pracowników, a dającą pełną rekojmię, że viribus unitis do skutku doprowadzoną zostanie. Tą myślą i zamiarem był projekt wykonania mapy fotograficznej całego sklepienia niebieskiego, rozszerzony aż do najsłabszych gwiazd jego, — zamiar wcale kolosalny i monumentalnego znaczenia. I znowu była to Francya, która oddawszy światu odkrytą przez się sztukę do użytku publicznego, i pozwoliwszy się następnie wyprzedzić innym narodom w zastósowaniu jej do astronomii, stanęła nie tylko w szeregu pracujących, ale nawet dała stanowczy impuls i podnietę do rozpoczęcia powyż wspomnianego przedsięwzięcia. Zasługa to braci Henry'ch, od których też tę rzecz zacząć nam wypada.

Paweł i Prosper Henry, dziś adjunkci obserwatoryum paryskiego, w r. 1871 rozpoczęli na swojem prywatnem obserwatoryum w Neuilly kontynuacyę mapy ekliptycznej Chacornac'a, która aż do jego śmierci w r. 1873 tylko do połowy, obejmującej 16 kart, doprowadzoną została. Zawezwani następnie przez Le Verrier'a, ówczesnego dyrektora obserwatoryum w Paryżu, do tego zakładu, prowadzili tu dalej swoją pracę, a jej owocem było 16 nowych kart, jakoteż kilka asteroid przy tej sposobności przez nich odkrytych. Karta ekliptyczna według planu pierwotnego ich autora, Chacornac'a, ma przedstwiać wszystkie gwiazdy aż do 13 i 14 wielkości, leżące w pasie 5-stopniowym po obu stronach ekliptyki. W tej pracy, zbliżywszy się z obserwacyami swemi do drogi mlecznej, natrafili na taki gąszcz gwiazd tu rozsianych, że nie podobno im było się zoryentować, i wtedy to postanowili się uciec do fotografii, która już poniekąd za granicą dobre wydała owoce, a obznajomiwszy się ze zdobyczami gdzieindziej osiągniętemi, zrozumieli dobrze, jakie znaczenie może mieć ona dla kartografii nieba, przez nich i ich poprzednika tak długo i mozolnie dotychczas prowadzonej. Zajęli się więc tym przedmiotem starannie i z wielką przezornością we wszystkich kierunkach, a ich usiłowaniom, wspomaganym i zasilanym przez obecnego dyrektora obserwatoryum, Contradmirała E. A. B. Mouchez, udało się otrzymać rezultaty, które cały astronomiczny świat w wysokim stopniu zadziwiły. Z końcem 1886 roku admirał Mouchez kazał zrobić kopie z niektórych fotografij przez Henry'ch otrzymanych, a mianowicie grupę gwiazd z gromady Perseusza, i rozesłał takowe do

różnych obserwatoryów. Początkowo wiadomości o nader skutecznych pracach braci Henry'ch przyjmowano z niedowierzaniem, a nim o metodzie ich operacyj i ulepszonych przez nich środkach się dowiedziano, uważano omal za rzecz niemożebną, tak ostre i czyste obrazy przedmiotów niebieskich otrzymać, bez przyczynienia się do tego ręki ludzkiej. Teraz te powątpiewania całkiem już znikły, sukcesa osiągnięte przez braci Henry'ch stały się publiczną własnością wraz z wszystkiemi tajemnicami do nich prowadzącemi, a w fotografii widzimy dziś potężny środek do astronomicznych badań i przedsięwzięć. Ale bo też rzeczywiście bracia Henry, przy swych zdolnościach i ogromnej wytrwałości, stali się w tym kierunku badań artystami, a to tem snadniej, że na wzór astronomów wieków przeszłych, wszystkie chwile wolne od pracy z niebem, poświęcali szlifowaniu i polerowaniu wielkich szkieł optycznych, a objektywy ich własnej roboty co do optycznej doskonałości z najlepszymi dziś o pierwszeństwo rywalizować mogą.

Zobaczmyż teraz, w czem leży rzeczywista zasługa braci Henry'ch i ta skuteczna przewaga ich prac ponad innemi dotychczasowemi, która skłoniła astronomów do podjęcia wielkiego zadania.

W poprzedzającym rozdziale poznaliśmy już przynajmniej ogólnikowo niektóre trudności i przeszkody, jakie stają na drodze do skutecznego zastósowania fotografii przy badaniach astronomicznych. Przeszkody te w ogóle rozdzielić można na 2 klasy, tj. na wewnętrzne i zewnętrzne. Pierwsze leżą w istocie samego procesu fotograficznego, a usuwanie ich odbywało się ciągle w czasie, w którym ta sztuka od dagerotypii wznosiła się do tego stopnia doskonałości, w jakim ją dziś znajdujemy. Niepowodzenia pierwotne astronomów na tem polu były więc w pierwszym rzędzie naturalnem zupełnie następstwem tego, że w wielu kierunkach fotografia długo niedomagała, tak jak i dziś jeszcze nie da się stanowczo powiedzieć, czy ona ostatnich już wyżyn możliwej doskonałości dosięgła, i czy z odkryciem korzystniejszych niż dzisiejsze odczynników chemicznych, praktyka jej obecna do rzędu historycznych wspomnień o jej rozwoju nie zajdzie. Drugiego rodzaju trudności i przeszkody, a któreśmy zewnętrznemi nazwali, leżą już po za sztuką fotograficzną, w pomoc astronomii wezwaną, a nad ich usunięciem pracować musi astronom, jeżeli umiejętne jej zastósowanie

do swych celów pragnie osiągnąć. Przeszkody te, a które się już od pierwszych prób zastósowania fotografii astronomowi nastręczały, są głównie następujące:

1. Ruch ziemi dzienny, czyli wirowy, który, jak wiadomo, sprawia, że pozornie sklepienie niebieskie wraz z swemi gwiazdami nie spoczywa, lecz że gwiazdy wszystkie, wschodząc na wschodzie opisują na niebie koła różne co do wielkości, zależnie od tego, czy one bliżej lub dalej od równika niebieskiego lub bieguna leżą. Ten pozorny ruch nieba musi być zniesiony przez rzeczywisty ruch lunety, jeżeli ona bądźto przy obserwacyi wprost czyli przy użyciu do niej oka ludzkiego, bądź też przy operacyi fotograficznej, w którymto razie ona płytą fotograficzną w miejsce soczewki ocznej jest opatrzoną, ma ciągle na jeden i ten sam przedmiot nieba, i to dłużej lub krócej, w miarę potrzeby, być skierowaną, czyli, jeżeli przedmiot nieba przez nią obserwowany lub fotograficznie zdejmowany ma ciągle w polu widzenia lunety zostawać. Luneta, krótko mówiąc, musi iść za ruchem gwiazd, co przy połączeniu jej z aparatem fotograficznym osiągniętem zostaje sposobem mechanicznym, zapomocą t. zw. aparatu zegarowego, który w swym ruchu udzielającym się lunecie, regulowanym bywa przez zegar pendułowy, według czasu gwiazdowego idący, a regulowanym tak, iżby w czasie ekspozycyi fotograficznej obraz gwiazdy z dokładnością jak największą w tym samym punkcie pola widzenia czyli na tem samem miejscu płyty fotograficznej ciągle pozostawał.

Dotychczas osiągnięta dokładność, z jaką większe lunety idą za pozornym biegiem gwiazd zapomocą rzeczonego aparatu zegarowego, jest wprawdzie bardzo wielka, mimo tego przecież rzadko odpowiada temu, czego się przy operacyach fotograficznych wymaga. A chociażby nawet i tak było, to wchodzi znów w drogę inna okoliczność, która omal niedostrzegalna i pozornie drobna, tem trudniejszą jest do zwalczenia i przez żadne automatyczne przyrządy usuniętą być nie może. Jest nią załamywanie się promieni światła w naszej atmosferze (refrakcya) i to jeszcze niestałe, lecz zmieniające się wraz z zmianą wysokości gwiazdy nad poziomem. Że zaś w czasie długiej ekspozycyi fotograficznej, a przy zdjęciach drobnych gwiazd potrzebnej, zmienia się wysokość okolicy fotografowanej, i wraz z nią zmienia się refrakcya, a więc także i miej-

sce gwiazdy na płycie. Prócz tego niektóre ciała niebieskie, jak np. księżyc lub komety, zbaczają z powodu ruchu własnego od ogólnego kierunku pozornego ruchu gwiazd, a to zbaczanie musi zapomocą osobnych przyrządów przy lunecie będących (t. zw. kluczy) ciągle być poprawianem.

Zważywszy, że lunety astronomiczne są to dziś po większej części kolosy o wielkim ciężarze (ciężar np. wiedeńskiego refraktora wynosi około 8 tysięcy kg.), dalej, że ruch lunety jest kierowany przyrządami nie mającemi bezwzględnej matematycznej ścisłości, to łatwo pojąć, że astrofotograf nie może się spuścić wyłącznie na przyrząd zegarowy, zwłaszcza gdy, jak powiedzieliśmy, przy zdjęciach fotografij bardzo słabych gwiazd lub mgławic, matowem światłem tylko świecących, potrzeba czasu ekspozycyi nie na minuty, lecz na godziny się liczącego. Dlatego też już oddawna przybrano oko ludzkie przy fotograficznych zdjęciach do pomocy, a jego obowiązkiem jest, ciągle kontrolować ruch instrumentu kierowanego aparatem zegarowym, jakoteż i inne przeszkody, a między niemi i wpływ atmosferycznej refrakcyi promieni światła usuwać.

Otóż przeszkodom wszystkim tego rodzaju zapobiedz udało się najzupełniej braciom Henry'm. Zadanie to zaś rozwiązali oni w ten sposób, że zamiast jednej, użyli dwóch wielkich lunet o zupełnie równych wymiarach, a za pomocą stałego połączenia jedną całość z sobą tworzących, tak że obie równocześnie jak najdokładniej te same i jednakowe ruchy wykonywać muszą. Ich osie optyczne są do siebie równoległe, obie więc także zawsze i współcześnie tę samą stronę i okolicę nieba w polu widzenia zajmują. Przy jednej z nich miejsce soczewki ocznej zajmuje fotograficzna ciemnica (camera) z płytą czułą, przy silnie zaś powiększającej drugiej lunecie, czyli przy drugiej połowie tego samego narzędzia, zasiada obserwator, którego cała uwaga z największem natężeniem na to jest skierowaną, iżby w czasie ekspozycyi fotograficznej pewną w polu lunety będącą gwiazdę ciągle w tem samem jego miejscu, i na tej samej marce, wskazanej n. p. przez punkt przecięcia się dwóch prostopadłych do siebie nici pajęczych w lunecie wyciągniętych, utrzymać. Jeżeli więc w czasie ekspozycyi w automatycznym ruchu całego narzędzia lub też skutkiem refrakcyi, znajdzie jakieś choćby najmniej-

sze zboczenie, a które natychmiast przez usunięcie się owej gwiazdy z pod wspomnianej marki obserwatorowi zdradzonem zostaje, wtedy za pomocą kluczy przy lunecie będących, i ruch odręczny tejże ułatwiających, natychmiast on także pierwotne jej nastawienie przywraca i tym sposobem pozorną a konieczną nieruchomość przedmiotu fotografowanego względem aparatu fotografującego otrzymuje. Luneta ta druga czyli kontrolująca, w porównaniu do głównej czyli fotografującej nie może być o znacznie mniejszych wymiarach. Jeżeliby bowiem w powiększeniach lunet była znaczna różnica, to obserwator zajęty przy pierwszej nie byłby często w stanie spostrzedz z jakiegokolwiek powodu powstałego zboczenia lunety od pierwotnego jej nastawienia, podczas gdy ono na fotograficznej płycie już by się szkodliwie uwidocznić mogło. Tak więc np. bracia Henry swoją fotograficzną lunetę o 34 cm. otworu połączyli z drugą, mającą 25 cm., za pomocą której ruch aparatu zegarowego jak najdokładniej kontrolować mogli.

Co się tyczy lunety głównej, to zadanie jej i proces fotograficzny za jej pośrednictwem się odbywający, są bardzo proste i zwyczajne. Obraz przedmiotu, mającego być fotografowanym, a powstały w ognisku za pomocą soczewek przedmiotowych, bywa chwycony na matowo szlifowanej płycie szklannej, która jest utwierdzoną w camerze przyszrubowanej do lunety; następnie za pomocą trybu okularowego zostaje ten obraz ostro i wyraźnie nastawiony, a wreszcie celem ekspozycyi matowa szyba usunięta i przez kasetkę z fotograficzną płytą zastąpiona. Między camerą a objektywem lunety musi się w tej ostatniej znajdywać klapa łatwo poruszalna od zewnątrz, czyli zasówka, która służy do tego, aby przed rozpoczęciem ekspozycyi żadnego obcego światła do płyty fot. nie dopuszczać. Przy ekspozycyach mających słońce za przedmiot fotografii, a gdzie wystarcza mały ułamek sekundy na ten cel, w miejsce takiej klapy używanem bywa, t. zw. błyskawiczne zamknięcie, które, jak z nazwy widoczne, nadzwyczaj szybko funkcyonować musi.

2. Drugą przeszkodą, dotkliwie czasem przy fotografowaniu jak w ogóle także i przy wszystkich innego rodzaju obserwacyach ciał niebieskich czuć się dającą, jest nasza atmosfera, a to tem więcej, że przeszkody tej unikać czasowo i chwilowo możemy, ale usunąć jej stanowczo nie jesteśmy w stanie. Ona to sprawia, że

obraz gwiazdy w lunecie zdaje się tańcować, zaś obraz ciała o większych rozmiarach, jak słońce lub księżyc, na swym obwodzie i brzegach jakiemuś falowaniu podlega. Przy obserwacyach bezpośrednich, tj. zapomocą oka i lunety robionych, unika się tych rzeczy, wybierając ku temu czas najspokojniejszy, — płyta atoli fotograficzna, raz już eksponowana, zrobić tego nie może, i obraz przez nią dostarczony, staje się niewyraźny i zamazany, a robota daremną. Tej okoliczności uniknąć można, albo 1) urządzając obserwatorya na wysokich górach, lub jeszcze lepiej na wysoko położonych płaszczyznach, albo też 2) skracając czas ekspozycyi. Pierwsza rada nie tak łatwo wykonalna, i dopiero w ostatnich czasach zaczęto ją przy budowie nowo fundowanych obserwatoryów brać pod uwagę (tak np. świeżo założone obserwatoryum na górze Hamilton w Kalifornii, a w którego programie prac znajduje się także fotografia nieba, znajduje się na wysokości 1480 metrów p. n. poziomem morza); druga zaś, przez czujną na wszystkie postępy fotograficznej sztuki astronomię bywa we wszystkich kierunkach wyzyskiwaną i stósowaną.

3. Trzecia przeszkoda leży w samej lunecie do celów fotograficznych użytej. Dla zrozumienia jej musimy rzecz małem wyjaśnieniem poprzedzić.

Światło nasze słoneczne trojakie skutki wywołuje, tj. optyczne czyli świetlne, termiczne czyli cieplikowe i chemiczne. O istocie ich i różnicy między niemi przekonać się można, puszczając promień słoneczny na jednę ze ścian pryzmatu ze szkła t. zw. flintowego, i powstałe stąd widmo słoneczne (spectrum) na opodal ustawionym cienniku obserwując. Widzimy tam 7 barw (tęczowych), na które białe światło słoneczne rozszczepionem zostaje, począwszy od czerwonej aż do fioletowej (pośrednie jak wiadomo, idąc od czerwonej są: pomarańczowa, żółta, zielona, błękitna i granatowa). To są promienie optyczne, najsilniej zaś między niemi uwydatnione jest światło w barwie żółtej. Badania tego widma słonecznego przez różnych fizyków, a pod względem rozdziału w niem cieplika uskutecznione, wykazały, że najmniejszą zdolność ogrzewania posiadają promienie fioletowe, rośnie zaś ona w miarę posuwania się ku czerwonemu końcowi widma, a nawet maksymum jej poza tymże końcem, w niewidzialnej już części widma leży. Wreszcie, na działa-

nie widma słonecznego wystawiając niektóre na światło czułe preparaty chemiczne, a do których należy także używany przy fotografowaniu bromek srebra i kollodyon, przekonać się znów można, że najsilniej i najsnadniej zabarwiają się one pod działaniem fioletowych promieni widma (np. papier zwilżony bromkiem srebra, czernieje), podczas gdy z przeciwnej strony widma promienie czerwone omal już żadnego skutku nie wywołują. I co więcej znów, że te skutki tuż poza promieniami fioletowemi, gdzie oko już żadnego światła w przedłużeniu widma nie dostrzega, bywają często szybsze aniżeli w każdem innem jego miejscu. Zbierając to wszystko razem porównawczo, możemy więc powiedzieć, że we widmie słonecznem maksymum światła, ciepła i chemicznego działania nie leży w tem samem miejscu, lecz na skrajnym czerwonym jego końcu koncentruje się ciepło, w żółtych promieniach światło, zaś w fioletowych chemiczna działalność.

Rozszczepianie się światła białego przechodzącego przez pryzmat ze szkła flintowego, na poszczególne barwy, można usunąć, jak z fizyki wiadomo, ustawiając obok pierwszego drugi pryzmat ze szkła koronnego. Barwy bowiem widma słonecznego powstałe po przejściu promienia światła przez pierwszy z nich, skutkiem nierównej siły rozszczepiającej w obu pryzmatach, jako złożonych z różnych względnie części składowych, zostają przez drugi pryzmat połączone, poczem występują z niego zupełnie bezbarwne. Taki układ pryzmatów zowie się achromatycznym czyli bezbarwnym.

Tak jak z pryzmatami, dzieje się ze soczewkami, użytemi na szkła przedmiotowe czyli objektywy w lunetach. W każdej z nich pojedyncze barwy widma mają oddzielne ogniska czyli punkty, w których się zbierają i koncentrują. Tak więc np. promienie fioletowe (najwięcej łamliwe) schodzą się najbliżej soczewki, czerwone zaś najdalej, inne wreszcie pośrednie — pośrodku. Okoliczność ta bardzo szkodliwa dla czystości obrazów przez soczewkę utworzonych, usuwaną bywa w lunecie przez stósowne i naprzód obliczone połączenie soczewki wypukłej ze szkła koronnego z drugą wklęsłą ze szkła flintowego. Taka soczewka zowie się achromatyczną, — w niej ogniska promieni różnobarwnych schodzą się dokładnie z sobą w jeden punkt, czyli w jej jednem wspólnem ognisku otrzy-

mujemy obraz przedmiotu uważanego, wolny od zabarwienia. Jak atoli to ognisko jest niem tylko dla promieni optycznych nie zaś współcześnie dla promieni termicznych i chemicznych, tak również i luneta jest achromatyczną, ale tylko dla promieni optycznych. To też, jeżeli taki achromatyczny układ soczewek zastosujemy jako objektyw do ciemnicy fotograficznej celem zdjęcia obrazu jakiegoś przedmiotu, to chociaż dobrze nastawimy szkła aparatu, tj. tak, że obraz przedmiotu naszego rzeczywiście będzie w ognisku optycznem, czyli będzie ostro i wyraźnie widziany, przecież w to miejsce wsunąwszy następnie płytę fotograficzną, nie otrzymamy również ostrego i wyraźnego obrazu na fotografii. Chcąc zaś takowy otrzymać, to ponieważ, jak powiedzieliśmy, promienie chemiczne najskuteczniej działające (tj. fioletowe, jakoteż ciemne pozafioletowe) koncentrują się najbliżej soczewki, ogniska więc chemicznego tamże szukać wprzód trzeba, następnie w niem płytę fotograficzną na działanie światła wystawić, a nie w ognisku optycznem.

Ta to więc ostatnia okoliczność, a mianowicie że nasze refraktury są tylko achromatyczne dla części widma słonecznego czułych dla oka, ale nie dla chemicznych pozafioletowych promieni, czyli że ich ognisko optyczne jest gdzieindziej, aniżeli chemiczne, a równocześnie one optycznie i chemicznie achromatycznemi być nie mogą, jest rzeczywiście wielką przeszkodą przy fotografowaniu ciał niebieskich. Skutkiem jej bowiem na płytach fot. odbija się każden świetlny punkt jakby mała tarcza, żaś obrazy rozciągłych przedmiotów wypadają niewyraźne. Na fotografię gwiazd stosunkowo ma to mały wpływ, a nawet gdyby tego nie było, wypadałoby zdjęcia robić poza ogniskiem, iżby nader drobne, jakby igiełką robione punkty, będące obrazami gwiazd, cokolwiek powiększyć i tym sposobem na płytach dla oka przystępnymi uczynić.

Pytanie teraz, w jaki sposób tę trzecią a tak ważną przeszkodę w praktyce, jeżeli nie zupełnie usunąć, to przynajmniej zmniejszyć lub obejść się udało. W Anglii, gdzie zwłaszcza prywatni astronomowie w reflektorach czyli lunetach zwierciadlanych się kochają, ominięto łatwo tę trudność, używając ich także przy fotografowaniu nieba, gdyż jak wiadomo, przy takich lunetach nie ma rozszczepiania barw, a tem samem także różnica między optycznem a chemicznem ogniskiem nie istnieje. Pierwszym tu był Warren de la Rue,

który, jak to już wspomnieliśmy, celem uniknięcia nieczystego i mglistego powietrza Londynu, urządziwszy sobie obserwatoryum w swojej posiadłości Cranford, używał od r. 1856 newtonowskiego reflektora do zdjęć fotograficznych obrazów słońca, księżyca i planet. Poza Anglią atoli, gdzie lunety zwierciadlane mało są w użyciu, bo one pod wieloma a przeważającymi względami są niekorzystniejsze od soczewkowych, starano się w mowie będącym trudnościom w różny sposób zaradzić.

Znajomy nam już Rutherfurd pierwszy na nię zwrócił uwagę, gdy w r. 1857 swoją 28 c. metrową lunetą próbował fotografować księżyc. Z prób swoich w tej mierze czynionych znalazł, że chemiczne ognisko jego lunety leżało $1^3/_4$ cm. poza optycznem, i że fioletowe promienie, zamiast gromadzić się w jednym punkcie, rozpraszały się w małem kole, przezco obrazy niewyraźne i zamazane wypadały. Po licznych i dokładnych badaniach, próbując rozmaicie zmieniać krzywiznę soczewek przedmiotowych, udało mu się wprawdzie osięgnąć chemiczny achromatyzm, stało się to jednak kosztem achromatyzmu optycznego. Tą lunetą, specyalnie możliwą już tylko do fotograficznych celów, otrzymał też obrazy księżyca i planet, nie pozostawiające nic do życzenia, a udało mu się tym sposobem także skrócić znacznie czas ekspozycyi, gdyż teraz chemiczne promienie przedmiotu świecącego lepiej i silniej w jeden punkt zebrane zostały. Sposób ten, połączony z postępami powiększającemi czułość płyt kollodyonowych, dozwolił mu już w r. 1864 robić udatne zdjęcia gwiazd aż do 9 wielkości. Że zaś znów taki fotograficzny objektyw daje pod względem optycznym tylko bardzo złe i nie achromatyzowane obrazy, i dla zwyczajnej, tj. okiem i lunetą robionej obserwacyi jest nieprzydatny, próbował więc dalej Rutherfurd achromatyzm zwykłej lunety dla promieni chemicznych osięgnąć przez ustawianie przy fotograficznych pracach innej zapasowej soczewki przed objektywem swej zwykłej lunety, czyli próbował skonstruować lunetę, którąby według potrzeby i do fotograficznych i do bezpośrednich obserwacyj służyć mogła. Po wielu daremnych próbach udało mu się to wreszcie osięgnąć w r. 1867 przy użyciu soczewki wklęsło-wypukłej.

Innego sposobu chwycono się znów w Wiedniu. Tu przy zamówieniu wielkiego refraktora u optyka Grubba w Dublinie, zażą-

dano, idąc za wynikami otrzymanemi z badań czynionych w tej mierze przez prof. H. C. Vogla, dyrektora obserwatoryum astrofizykalnego w Potsdamie, aby obie soczewki, składające objektyw, były przesuwalne, gdyż zapomocą zmiany ich wzajemnego oddalenia, zmienia się achromatyzm lunety dla promieni chemicznych, a mianowicie na korzyść achromatyzmu przy zwiększaniu tej odległości. Spodziewano się w taki pozornie najprostszy sposób otrzymać przyrząd i do fotografowania i do obserwacyj bezpośrednich dobry. Atoli wzgląd na mechaniczne trudności w przesuwaniu dwóch wielkich stosunkowo soczewek, których ciężar tam wraz z osadą około 150 kg. wynosi, nie pozwolił znów daleko tej myśli wyzyskać bez szkody w t. zw. ich scentrowaniu, i skończyło się ostatecznie tylko na tem, że odległość między obiema soczewkami da się tam tylko w granicach 2 cm. zmieniać, co niezawsze wystarcza. I w ogóle można powiedzieć, że przy lunetach większych, a przeznaczonych także do obserwacyj ocznych, i gdzie tylko kosztem achromatyzmu optycznego zyskiwany bywa achromatyzm chemiczny lub przeciwnie, sposób ominięcia tej trudności nie jest bardzo praktycznym, a z korzyścią może być użytym przy lunetach mniejszych lub tam, gdzie tylko od czasu do czasu przychodzi jeden achromatyzm na drugi zamieniać, czyli gdzie tylko od czasu do czasu obserwacye oczne na fotograficzne lub nawzajem, bywają zmieniane. Idąc za przykładem Rutherfurda, aby wielkich a częstych zmian przy lunecie nie robić, postanowiono i dla wiedeńskiego refraktora w ostatnich czasach u optyka Steinheila w Monachium obstalować soczewkę korekcyjną czyli zapasową, któraby dozwalała zastósować lunetę, bez zmiany jej optycznego achromatyzmu, także do prac fotograficznych. Do dziś ta rzecz nie wykonana, — tymczasowo z dobrym bardzo podobno skutkiem używają w Wiedniu, według wskazówek prof. Edera, t. zw. płyt orthochromatycznych, tj. takich, które przez zwilżanie różnemi materyami barwnemi, dla całkiem specyalnych gatunków światła są bardzo czułe, i tak np. płyty żelatynowe skąpane w rozczynie erythrosinu, które eksponowane nawet w optycznem ognisku, dają zadawalniające obrazy.

Zanim spełnią się nadzieje nawiązywane po części do nowych w Jena wyrabianych gatunków szkła, które użyte na objektywy

do lunet zniosą może kiedyś różnicę między optycznem a chemicznem ogniskiem, i wszystkie stąd powstałe trudności usuną, nie pozostało obecnie nic innego na razie, jak trzymać się jednej z metod przez Rutherfurda wskazanych. Wszystkie inne sposoby są dopiero na drodze prób i doświadczeń. Bracia Henry swoje sławne fotografie otrzymali pierwszą metodą, tj. przy użyciu lunety achromatyzowanej wyłącznie dla promieni chemicznych, — podczas gdy znów w nowo zbudowanem obserwatoryum w Lick dla ogromnej tamecznej lunety obrano drugą, tj. używanie soczewki korekcyjnej.

Dowiedzieliśmy się powyżej, w jaki sposób skuteczny poradzili sobie bracia Henry, aby przy swych pracach fotograficznych ujść przeszkodom z dziennego obrotu ziemi wynikającym. Że jednak używanie przez nich wprowadzonej podwójnej lunety, z jednej strony zapewnia dobry i pomyślny skutek pracy, z drugiej wymaga wielkiej cierpliwości i wytrwałości astrofotografa, większej z pewnością, aniżeli przy obserwacyach bezpośrednich, łatwo zrozumieć. Podczas gdy bowiem przy tych ostatnich może on sobie od czasu do czasu wybierać chwile odpoczynku, potrzebne dla skrzepienia oka, nie narażając się mimo tego na utratę poprzedniej swej pracy, — przy tamtych, a zwłaszcza przy zdjęciach gwiazd drobnych, jeżeli nie chce, by zrobiwszy ekspozycyę, praca jego była daremną, musi siedzieć całemi godzinami z wytężonem okiem przy lunecie kontrolującej i uważać, aby wszelkie nieregularności, pochodzące z błędów aparatu zegarowego, uderzeń i t. p. natychmiast usuwać. A zresztą najlepsze nawet regulatory i mechaniczne przyrządy, jakie dziś do ruchu instrumentów posiadamy, nie zastąpiłyby w tej mierze oka obserwatora; wystarcza bowiem pyłek prochu na trybie, albo inna jakaś lokalna a niedostrzegalna nieregularność szruby, aby instrument na dłuższy czas z prawidłowego położenia wyprzeć i fotografię obrazu zepsuć. Oko więc jego musi ciągle stać na straży przy drugiej lunecie, aby przy najmniejszej dojrzanej zmianie położenia cały aparat nazad do właściwego kierunku przywieść, a i z tego powodu jest to jeszcze koniecznem, że, jak to już mówiliśmy, przy dłuższej ekspozycyi zmienia się także astronomiczna refrakcya, skutkiem której obrazy gwiazd kształt okrągły tracą, a przyjmują formę podłużną. I tym więcej znów ta cierpliwość i wytrwałość są tu potrzebne, że według metody braci

Henry'ch każde zdjęcie fotograficzne potrójnego nakładu czasu i pracy potrzebuje, co świadczy tylko o wielkiej ich w tej mierze przezorności, na doświadczeniu opartej.

Z obawy bowiem, że przy zdjęciach fotograficznych drobnych bardzo gwiazd, między punkciki będące ich obrazami, mogą się zaplątać i takie, które pochodzą z nieczystości lub niedokładności preparowanej ku temu płyty fotograficznej, a co tylko zamieszanie przy wielkiej mnogości tych obrazów sprowadzićby mogło, a często nawet trudnemby było ocenić, czy punkt na płycie fotograficznej pochodzi z jej zanieczyszczenia, czy też jest rzeczywiście obrazem gwiazdy, postawili oni sobie za regułę, każdorazowo nie jedno, lecz bezpośrednio po sobie 3 różne zdjęcia na tej samej płycie robić, a mianowicie, po pierwszem z nich przestawiając instrument o mały odstęp (5″ łuku), a następnie po otrzymaniu drugiego obrazu, powtarzając znów toż samo. Tym sposobem otrzymane bywają na płycie 3 obrazy gwiazd, podczas gdy punkty z przypadkowej lub niedojrzanej niedokładności płyty fotograficznej na tejże się jawiące, tylko raz występują. Każden więc punkcik na kliszy, który się jako troisty nie pokaże, nie pochodzi od gwiazdy, czyli nie jest jej obrazem, i tym sposobem dokładność zdjęcia fotografij zostaje sprawdzoną. Ponieważ wspomniane przesuwanie instrumentu każdorazowo jest stosunkowo bardzo małe, 3 zdjęcia zatem każdej gwiazdy wypadają bardzo blisko siebie i gołemu oku przedstawiają się wszystkie razem jakby jeden punkt; jaka taka atoli lupa wystarcza, aby mały trójkąt mniej więcej równoboczny przez nie utworzony poznać, a pod mikroskopem widzieć można wyraźnie od siebie oddzielone 3 punkciki. Na kliszach szklannych przedstawiają się te punkty tak ostro, że wszystkie pomiary względnego położenia gwiazd odfotografowanych zapomocą mikrometru mogą być wykonane. Przy gwiazdach jaśniejszych, z powodu że ich obrazy trochę większe wypadają, zbiegają się z sobą takie 3 punkty, w każdym jednak razie dają jeszcze na tyle kształt trójkąta, iż je od przypadkowych i znaczniejszych błędów płyty fotograficznej odróżnić można. Tylko przy bardzo jasnych gwiazdach, z powodu znów za wielkiej stosunkowo średnicy ich obrazów, nie można już trójkątnej formy ich rozłożenia rozpoznać, ale też już w takim razie, tj. przy tak wielkich obrazach, wątpliwości o ich pochodzeniu nie ma.

Jedyny zarzut, jaki przeciw rzeczonej właśnie metodzie Henry'ch podnieśćby można, jest, że potrzeba tu rzeczywiście prócz cierpliwości, także wielkiej wprawy i zręczności, aby np. przy zdjęciach fotografii gwiazd drobnych, gdzie czas na każdą z trzech ekspozycyj potrzebny godzinę lub nawet więcej wynosi, w ciągu 3 godzin ekspozycyjnych utrzymać bez zmiany oś lunety dokładnie na tym samym punkcie nieba, a co jest niezbędnem do otrzymania koniecznej czystości w obrazach gwiazd bardzo małych. Drugi zaś pomniejszy i nie tyczący się obserwatora zarzut może być ten, że przy bardzo wielkiej u nas, i w ogóle w okolicach pozazwrotnikowych, liczbie nocy i wieczorów częściowo tylko pogodnych, nie można sobie wcale rościć często nadziei na 3 godzin wytrzymałej pogody, czyli że może być robota często zaczynana, a rzadko skończona. Na oba te zarzuty można atoli odpowiedzieć, że podwajając średnicę objektywów lunet fotograficznych, skrócić można o $^3/_4$ długość czasu ekspozycyjnego, a następnie, że bezwątpienia z czasem czułość płyt fotograficznych będzie jeszcze dalej zwiększoną, tak, że trwanie całkowite 3 ekspozycyj zredukuje się może i do $1^1/_2$ godziny. (Dok. nast.)

Dr. Wierzbicki.

ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH.

(Ciąg dalszy).

IV.

Indye portugalskie. — Podróż z Bombaju do Pangim. — Przybycie do Pangim, przyjęcie tamże. — Podróż do Goa. — Grób św. Franciszka Ksawerego. — Otworzenie trumny zawierającej święte zwłoki. — Goa jest w gruzach.

Stanęliśmy wreszcie na ziemi katolickiej, skąd chrześcijanizm rozszedł się po Wschodniej Azyi, na ziemi świętego Franciszka Ksawerego. Podróż nasza jednakże z Bomboju do Goa nie odbyła się bez różnych przygód.

Okazało się naprzód, że parowiec Towarzystwa „British India“, który odchodzi stąd w każdą środę i objeżdża wybrzeża, był już przepełnionym. Wszystkie kajuty były pozajmowane, obiecano nam jednak, że drugi parowiec jadący do Kalkutty i Raugvon, odejdzie we środę wieczór. Godzimy się na tę zamianę, spakowaliśmy nasze rzeczy, i właśnie gdyśmy mieli wejść na pokład, oświadcza nam dyrektor owego Towarzystwa, że „Nevasu“ nie może wyruszyć wcześniej, jak we czwartek, o drugiej popołudniu... czekamy cierpliwie. W południe mówią nam znów, że to nie może nastąpić pierwej jak o szóstej! Dobrze. Wreszcie, wsiedliśmy szczęśliwie na ów parowiec, lecz o rzeczach naszych nie można tego samego powiedzieć. Winda parowa podnosiła właśnie tryumfalnie jeden z mych kufrów w górę, gdy nagle trzask! sznur się przerywa, a nieszczęsny mój tłumoczek wpada prosto do wody

Trzech poczciwych Indyan wyciągnęło go wprawdzie natychmiast stamtąd, lecz ponieważ nie był zrobiony z materyału nieprzemakalnego, przemókł przeto na wskróś. Na szczęście, znajdowała się w nim tylko bielizna i kilka książek, do których nie przywiązywałem wielkiej wartości. Biedny mój Francesco miał co rozkładać i suszyć przez cały dzień!

Na domiar złego zapowiedziano nam, że parowiec wyruszy dopiero w piątek o szóstej zrana, ułożyliśmy się tedy do spoczynku. O spaniu jednak nie było mowy. Winda, która się dała we znaki memu kuferkowi, zgrzytała całą noc. Nazajutrz zrana ruszamy przecie, lecz znowu się zatrzymujemy przed arsenałem, by zabrać jakiś ładunek kartaczy, przeznaczony dla angielskiej załogi w Raugvon; było już dobrze po dziewiątej, gdy nareszcie podniesiono kotwicę, tym razem na prawdę.

Pogoda była prześliczna, morze spokojne, choroba morska nie zawitała do nas w ciągu całej przeprawy, słowem wiodło nam się zupełnie. Z podróżnych cudzoziemców, prócz nas, był jeden tylko Anglik, małomówny i nieprzystępny. Kajuty były urządzone wykwintnie i wygodnie, i wszystko nam się podobało, prócz kapitana. Zrobił on na mnie odrazu bardzo złe wrażenie, ubrany był po cywilnemu, dlaczego nie miał na sobie uniformu, jak wszyscy kapitanowie okrętowi? zresztą małe jego oczy, zmrużone i niespokojne, nie zapowiadały nic dobrego, zachowanie się jego jednak było uprzedzające.

Pierwszą stacyą, na której mieliśmy złożyć ładunek, było Mormugao, my zaś mieliśmy wysiąść w Aguado, milę przed Marmugao, w posiadłościach portugalskich. Wytłumaczyłem to kapitanowi wyraźnie i dobitnie dobrą angielszczyzną... „Oh! *yes* — odpowiedział mi na to — przecież to głównie dla ks. delegata apostolskiego wyjechaliśmy w piątek, zamiast czekać do przyszłej środy. Nietylko że wysadzę Wasze Eminencye na ląd w Aguado, ale nadto odprowadzę Je aż do Goa". Uścisnąłem mu serdecznie rękę za te tak przyjacielskie słowa i żałowałem, żem go z początku niesłusznie posądzał o nieprzychylność.

W sobotę rano byliśmy niedaleko wybrzeża... można już było dostrzedz gołem okiem port, fortecę i kilka zabudowań. Miałem dobre przeczucie, że należało nam było skręcić na lewo i Mgr.

Ajutti był tego samego zdania, lecz okręt nasz płynie spokojnie dalej. Zwracam się z zapytaniem do kucharza okrętowego: „Co to za twierdza, którą tam widać?“ — „To Aguado, mój Ojcze“. — „A ten budynek tamże?“ — „To pałac gubernatora w Goa“. — „A więc dokądże płyniemy?“ — „Wprost do Mormugao, proszę Ojca“. Biegnę co tchu do kapitana, ale skrył się on przed nami, jego zastępca był także niewidzialny, i w kwadrans potem wpływamy do portu, czegośmy sobie wcale nie życzyli. Tak więc zadrwił sobie z nas ów kapitan niecnota, czem usprawiedliwił najzupełniej przeczucia moje; postanowił on zawieść nas do Mormugao i tam przesadzić na mały parowiec, któryby nas dowiózł do Aguado, a stąd do Goa... Znaczyło to nadłożyć jeszcze dwie godzin drogi i nie byłoby nam wcale chodziło o to, gdyby nie ta okoliczność, że władze portugalskie oczekiwały przybycia naszego statku w Aguado.

Na szczęście, gubernator w Goa przewidział zapewne co zajdzie, wysłał był poprzedniego już dnia swego kapitana portowego do Mormugao w celu powitania ks. delegata w jego imieniu, w razie gdyby losy przeciwne zaprowadziły go w tamte strony... Niebawem też oficer portugalski w pełnym uniformie galowym ukazał się na naszym pokładzie, za nim postępowało dwóch innych oficerów, a w tej samej chwili usłyszeliśmy świst piszczałki i przez lornetę dojrzeliśmy, nad słupem pary i dymu, banderę królestwa portugalskiego. Był to mały parowiec, który ciągnął za sobą wielką szalupę i wiózł na swym pokładzie sekretarza gubernialnego, jałmużnika patryarchy i adjutanta gubernatora goańskiego. Zniesiono rzeczy nasze na parowiec, my zaś weszliśmy na ową szalupę, starożytnego kształtu, obitą ponsowym adamaszkiem. Dwudziestu wioślarzy w kurtkach szkarłatnych, w czapkach czerwonych, srebrem wyszywanych, znajdowało się tam dla parady chyba, bo szalupa płynęła za parowcem. Szalupa ta była zabytkiem historycznym, pamiątką po dawnych wicekrólach portugalskich w Indyach... Była ona piękna to prawda, ale przytem nader drażliwa na wały morskie, trzęsła się ciągle i kołysała na wszystkie strony. Jałmużnik patryarchy uległ morskiej chorobie, ułożył się na pół żywy na ławce; adjutant, zielony jak niedojrzała cytryna, walczył

z nią mężnie, jak na syna Marsa przystało, spłacając od czasu do czasu dług chorobie. Ja trzymałem się dzielnie przez całą pierwszą godzinę, ale nakoniec musiałem kapitulować. W Aguado dawano z twierdzy potężne salwy armatnie, w powietrzu rozlegał się dźwięk dzwonów, a my cierpieliśmy niewymownie od nieznośnego kołysania się naszej paradnej szalupy.

Nareszcie przybyliśmy do Goa, nie do rzeczywistego, słynnego Goa, lecz do Pangim, do Nowego Goa. Niezliczone tłumy zalegają małą zatokę, wojsko uszykowane pod bronią. Gubernator, patryarcha i kler najwyższy przyjmują ks. delegata i odprowadzają go do gmachu arcybiskupstwa, gdzie po zwykłem, obowiązkowem przedstawieniu, rozeszli się wszyscy do swych pokojów, ja zaś korzystając z kilku godzin spokoju nakreśliłem te słowa.

Na pokładzie parowca Nevaso znajdowało się liczne towarzystwo krajowców. Zaledwie odbiliśmy od brzegu, młody Indyanin, mogący mieć 19 lub 20 lat, wdał się ze mną w rozmowę. Sądziłem zrazu, że był chrześcijaninem, ale dowiedziałem się niebawem, że jest poganin, lecz pobierał nauki u OO. Jezuitów w Bombayu, w kolegium św. Franciszka Ksawerego. Młodzieniec był wykształcony, nie miał nienawiści ku chrześcijanom, jak inni poganie, cieszył się nawet z nadarzonej sposobności zetknięcia się z duchownym. Jestto bardzo ważny objaw, świadczący, że wpływ chrześcijański zaczyna wydawać pożądane owoce. Nie ulega wątpliwości, iż przedewszystkiem trzeba się starać o rozkrzewianie wiary św. między biedniejszą warstwą ludności, gdyż tam właśnie żniwo Pańskie wydaje najobfitsze plony, ale szkoła jest uzupełnieniem nauki chrześcijańskiej; szkoła ją utrwala.

W tutejszych szkołach tak poganie jak i muzułmanie obowiązani są ustawą być obecnymi na wykładzie religii chrześcijańskiej i katechizmu; czynią to bez wstrętu, owszem, są bardzo ciekawi poznać zasady wiary naszej zblizka, i korzystają z tych wykładów o tyle przynajmniej, iż mogą się przekonać, że owe bajki wierutne i potwarze, miotane przez misyonarzy protestanckich na wiarę katolicką, są kłamstwem. Straszne to, a jednak prawdziwe, że pastorowie protestanccy nie zadają tu sobie wcale trudu nawracania pogan, (słyszałem to twierdzenie z ust protestantów, osób

zajmujących wysokie stanowiska i przeto dokładnie poinformowanych) dla wiary swej nic nie robią, co im nie przeszkadza jednakże w stawianiu przeszkód misyom katolickim. W tymto celu opowiadają oni biednym łatwowiernym poganom niestworzone bajki i największe niedorzeczności o wierze katolickiej; odgrzewają oni w ogniu nienawiści i zazdrości dawne, przestarzałe, nieprzyjazne nam wersye i płaskie dowcipy z czasów Lutra i Wolteryanizmu! Ileż to dusz przyprawili oni przez to o zgubę!...

Wyjeżdżamy z Pangim o 4-tej popołudniu na tej samej szalupie dawnych wice-królów, na której tu przyjechaliśmy wczoraj zrana. Płynęliśmy rzeką szeroką i wspaniałą; na prawym brzegu zieleniał las, ożywiony gdzieniegdzie ubogiemi chatami krajowców; wznosił się tam również kościół, którego wschody dochodzą aż do wybrzeża; po lewej stronie rozciągają się rozległe plantacye kokosowe, oraz liczne wsie, gęsto zaludnione, które od wylewów rzeki chroni tama z kamieni ciosowych, ciągnąca się dziesięć kilometrów wzdłuż i łącząca Pangim z Ribaudorą. Po godzinie jazdy ujrzeliśmy przed sobą zachwycający krajobraz: na sinem tle dalekiego pasma Ghats rysowała się urocza dolina, porosła lasem palmowym, nęcącym oko świeżą zielonością, z pośród którego wynurzało się sześć wspaniałych kościołów i wieża zczerniała od starości... Ileż wspomnień wiąże się do tego miejsca!... Jeszcze pół godziny tylko,... tymczasem staramy się odgadnąć, w którym z tych kościołów znajduje się grób św. Franciszka Ksawerego; wreszcie zawijamy do brzegu.

Mnóstwo ludu nagromadzonego przed katedrą, przybyłego ze wsi okolicznych, ożywiło umarłe miasto. Wojsko, uniformy władz cywilnych i wojskowych, wszystko to przeniosło myśl naszą w owe czasy, kiedy władza świecka łączyła się z władzą duchowną, w celu rozszerzania wiary Chrystusowej... W owym czasie władza świecka była poważaną, naród poddawał się chętnie pod jej rozkazy, słowa te: socyalizm i anarchia, nie były jeszcze znane podówczas, nie zabijano ani wypędzano wtedy królów, gdyż rządzili z „łaski Bożej“ i panowali w „imię Boga“. Gdy rządy zbuntowały się przeciw Bogu, narody zbuntowały się przeciwko nim, było to naturalne i nieuniknione następstwo. Jakąż powagę może mieć władza, która obala zasady wszelkich powag i zwierzchności? Już od pół wieku

sili się ludzkość rozwiązać palącą tę kwestyę: w jaki sposób możnaby przywrócić równowagę wewnętrzną w państwie, utrwalić pokój wewnątrz... przytłumić socyalizm, zniszczyć anarchię i wszelkie propagandy rewolucyjne, które są nieszczęściem i bolesną raną wieku naszego? Mylą się ci, którzy usiłują rozwiązać tę zagadkę zapomocą żandarma; niebawem i żandarm nie pomoże.

W chwili gdyśmy przybyli przed katedrę, patryarcha otoczony licznem duchowieństwem wyszedł na spotkanie delegata apostolskiego; na rynku przed kościołem delegat ucałował krucyfiks według zwyczaju, gubernator ukląkł przed delegatem i pocałował go w rękę, poczem weszliśmy procesyonalnie do kościoła.

Jestto wspaniała świątynia, trzy długie nawy i wielki ołtarz drewniany, rzeźbiony i malowany, podobnie jak norymberski lub krakowski u Panny Maryi, lecz w odmiennym guście, świadczą o dawnej świetności tego zamarłego grodu. Odśpiewano uroczyście Te Deum; cała ceremonia w katedrze trwała tak długo, że było już ciemno, gdyśmy wychodzili, i niepodobna już było odwiedzić grobu św. Franciszka Ksawerego. Przyrzekliśmy sobie nagrodzić to niebawem.

Wieczorem tegoż dnia odbył się obiad galowy u patryarchy. Patryarcha posiada w Goa wspaniały pałac przytykający do katedry, lecz nie zamieszkuje go z powodu grasujących tu zimnic, które wyludniły ten piękny gród Vasco de Gama. Zwykłą jego rezydencyą jest Pangim, gdzie obecnie rząd portugalski ma zamiar wystawić mu pałac. Tymczasem zaś mieszka w małym wiejskim domku, nad kanałem, w bardzo pięknem położeniu.

Przepędziliśmy cały dzień w Goa. Co za straszliwe spustoszenie! Nędzny Pombalu! Twoja to nienawiść i przewrotność zamieniła w stos gruzów kwitnącą twą ojczyznę i przerwała pasmo świetnych jej dziejów!

Goa było prawdziwą chlubą i chwałą Portugalii, a dzisiaj z potężnej tej i bogatej stolicy nie pozostał nawet kamień na kamieniu, gdzie spojrzę, gruzy i gruzy zczerniałe, które bujna przyroda zwrotnikowa przystroiła w cudną szatę zieloności... Las kokosowy oplecionу powojami, palmy mangowe, tu i owdzie cudne storczyki, których giętkie, wątłe łodygi kołyszą się z wdziękiem w powietrzu, z kwiatem podobnym do motyla, ożywiają

smutne to pustkowie, które nawet ptaszęta opuściły zupełnie. Gdzie niegdzie można jeszcze widzieć ślady ulicy; drzwi kamienne rzeźbione lub drewniany rzeźbiony szczątek wskazuje, że w tem miejscu wznosił się niegdyś pałac; kopiąc w trawie można odkryć fundamenta i ściany. Nadaremnie jednak starałbyś się dociec, kto tu mieszkał, jak się nazywał, pałac runął w gruzy, a z nim zatarły się wszelkie wspomnienia o tych, co tu żyli, działali, panowali... Widziałem Pompeję, zwiedzałem ruiny Agrigentum, i miejscowości gdzie stał niegdyś Ilion, ale nigdzie nie doznałem tak bolesnego wrażenia jak tutaj.

Wśród tego zwrotnikowego lasu wznosi się tylko kilka wspaniałych kościołów, i trzeba przyznać na pochwałę duchowieństwa goa'ńskiego, że są bardzo starannie utrzymane. Ono to zachowało ojczyźnie kilka tych pomników, świadków dawnej sławy i wielkości, ono uratowało je od zniszczenia, na które nieprzyjaciele Boga skazali wszystkie pamiątki i zabytki historyczne, wiernie przechowali słynne te pomniki architektoniczne, przypominające Portugalczykom, że ojcowie ich byli niegdyś panami znacznej części świata.

O świcie przybyliśmy do Goa i zaraz udaliśmy się do kościoła Pana Jezusa, w którym znajduje się grób św. Franciszka Ksawerego.

Co się działo w sercach naszych, jaki nawał myśli i uczuć cisnął się nam do głowy i serca, gdyśmy klęczeli u grobu Apostoła Indyi, tego pióro ludzkie nie odda należycie! Grób świętego jestto okazały pomnik z marmuru włoskiego, z pięknemi płaskorzeźbami bronzowemi, w srebrnej, drogocennej oprawie, prześlicznej florenckiej roboty, pochodzącej z XVI. wieku. Znajduje się on w kaplicy po prawej ręce i jest otoczony czterema ołtarzami, na których odprawiliśmy Mszę św. Mgr. Agliardi, patryarcha, Mgr. Ajutti i ja. Podczas bezkrwawej Ofiary poleciłem mu wszystkich ukochanych, krewnych, przyjaciół i tych bałwochwalców nieszczęsnych — Indyan, których on tak ukochał.

Ciało św. Franciszka Ksawerego spoczywa w trumnie zamkniętej na trzy zamki. Jest ona opieczętowana, a trzy srebrne i pozłacane klucze od niej są złożone: jeden u patryarchy, drugi u gubernatora, a trzeci u proboszcza katedralnego. Od czasu do czasu,

ale bardzo rzadko, otwierają trumnę i wystawiają ciało świętego celem uczczenia na widok publiczny. Niegdyś jeden z tych kluczy znajdował się w Lizbonie i trzeba było uzyskać pozwolenie królewskie na wystawienie ciała. W tym wieku dopiero po raz trzeci z powodu przybycia delegata apostolskiego, zezwolił patryarcha na otwarcie grobu, zawierającego święte szczątki wielkiego Apostoła Indyi.

Należało to uczynić prywatnie, z cicha, inaczej bowiem napływ ludności byłby tak wielki, że trzebaby było kilku dni, by zadowolnić naiwną ich pobożność, a do takiej uroczystości nie było nic przygotowane. O dziewiątej zrana udałem się do kościoła z księżmi, którzy mieli wydobyć trumnę z srebrnej oprawy; otworzono drzwi kościelne i uderzono w dzwony, by zwołać przynajmniej mieszkańców okolicznych siół. Odkryto wierzchnie wieko. Trumna z drogiego drzewa przykryta była srebrną oponą; nadto zasłona z jedwabnej fioletowej materyi okrywała całość; zdjąwszy zasłonę ponieśliśmy ciało w uroczystej procesyi i złożyliśmy je na ołtarzu. Następnie nadszedł patryarcha z delegatem apostolskim w otoczeniu całej kapituły i duchowieństwa. Odjęto pieczęcie, podniesiono wieko trumny. Patryarcha zdjął białą zasłonę pokrywającą ciało świętego, i wtedy mogliśmy się przypatrzyć śmiertelnym szczątkom tego skromnego zakonnika, którego imię słynie w całych Indyach, i może godnie zająć miejsce obok imienia św. Tomasza, jednego z dwunastu wybrańców Jezusa Chrystusa.

Był on ubrany w jedwabny czerwony ornat, haftowany perłami. Twarz i lewa ręka spoczywająca na piersiach miała barwę brązową, lecz rysy twarzy były tak znakomicie zakonserwowane, że wydawały się jak żywe. Musiał to być piękny mężczyzna, czoło wysokie, pięknie sklepione, nos orli, usta małe i delikatnie zarysowane, a co dziwniejsza, oczy, które pierwsze zwykle ulegają rozkładowi i zapadają się w głąb, były wypukłe i wyglądały jakby do snu przymknięte. Powieki były spuszczone, ale pod niemi oko zdawało się drgać jeszcze.

Twarz świętego robiła wrażenie człowieka, który zmarł przed kilku godzinami dopiero, i wyrażała spokój i błogość nie dającą się opisać. Ręka i obydwie nogi były również doskonale zacho-

wane, szczególniej zaś lewa noga, na której można było rozróżnić wszystkie żyły i muszkuły.

Blisko godzinę podziwialiśmy to święte ciało; wiadomość o wystawieniu jego rozeszła się piorunem po okolicznych wioskach, mnóstwo ludu napłynęło i cisnęło się do ukochanego patrona. W nogach trumny stała gromadka tych poczciwych dzieciaków goańskich, które tak serdecznie kochał św. Franciszek, i któremi się tak chętnie posługiwał w swych pracach, a nawet i cudach; ustąpiłem im miejsca, by mogli się zbliżyć do swego patrona i opiekuna. Podawali oni różańce swoje biskupom, by je potarł o ciało świętego. I ja także poszedłem za ich przykładem. Gdym odjeżdżał do Indyi, otrzymałem od kardynała Ledóchowskiego medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawsze nosiłem na piersiach, podałem go patryarsze, który go potarł o głowę św. Franciszka. Lud całował pobożnie stopy świętego; między odwiedzającymi było także wielu pogan. Biedni ci ludzie mają wielkie nabożeństwo do św. Franciszka Ksawerego, uważają go za Boga.

— „Jeżeli go macie za Boga, to dlaczegóż nie chcecie przyjąć religii, której nauczał?“.

— „Ponieważ mamy już swoją własną“ odpowiadali na to.

Zamknięto trumnę, przyłożono pieczęcie i umieszczono ją znów w bogatej srebrnej oprawie.

Na ołtarzu przed grobowcem znajduje się statua jego z drzewa, pomalowana, ale bardzo ordynarnej roboty. W ręku trzyma laskę, jedną z tych, które św. Franciszek nosił za życia; ozdobiono ją złotą gałką. W tym kościele nowo mianowany gubernator obejmuje urzędowanie i przyjmuje inwestyturę z rąk św. Franciszka, arcybiskup bierze laskę z rąk statuy świętego i daje ją nowemu dostojnikowi. Do rąk zaś statuy kładą laskę po byłym gubernatorze. Między ludem krąży podanie, że bogatsza laska przynosi niechybnie szczęście w ciągu sprawowania rządów, mniej zaś bogata nie posiada podobno tej cudownej własności. Ucieszyłem się bardzo, dowiedziawszy się, że teraźniejszemu gubernatorowi, Don Augusto Cardoso Carvalho'wi, dostała się bogatsza laska. Trzecia laska, której używał nasz święty za życia, spoczywa obok niego. Pobożni Goańczycy ozdobili ją złotą gałką, wysadzaną szmaragdami.

Kościoły w Goa są piękne. Kościół św. Franciszka z Asyża

posiada, tak jak katedra wspaniały ołtarz rzeźbiony w drzewie, pięknie wyzłacany. Przy kościele św. Moniki był dawniej klasztor żeński PP. Augustyanek; liczba zakonnic musiała być znaczną, sądząc po stallach, których jest 100 w chórze. Wypędzono je w imię wolności. Największą nikczemnością, jakiej się dopuszczają bezbożni sekciarze, jest wyrzucanie na bruk i skazanie tym sposobem na największą nędzę, na życie bez jutra, biednych tych kobiet, szukających w zaciszu klasztornym spokoju i odosobnienia od zgiełku światowego, a robiących przytem tyle dobrego z miłosierdzia chrześcijańskiego nieznającego granic. Poczciwa staruszka otworzyła nam drzwi. Do klasztoru wstąpiła mając lat czternaście i była właśnie nowicyuszką, gdy wypędzono biedne zakonnice; od pięćdziesięciu lat nie opuszcza na krok opustoszałego klasztoru; oprowadziła nas po wszystkich jego zakątkach i naopowiadała nam mnóstwo starych podań i legend o tymże.

Kościół św. Kajetana, przy dawnym klasztorze Teatynów, dalej na wzgórzu kościół Braci św. Jana Bożego, walący się od starości, z kościoła Augustyanów pozostała tylko ogromnych rozmiarów facyata. Nader miłego uczucia doznałem na widok kościoła Matki Boskiej Różańcowej, gdzie św. Franciszek przemawiał z ambony i gdzie zgromadzał dzieci z całego miasta, by je osobiście uczyć katechizmu.

Według pisarzy współczesnych, dzieci kochały bardzo tego dobrego świętego, to też gdy rano obchodził wszystkie ulice, dzwoniąc małym dzwoneczkiem, zbiegały się wszystkie do niego; on zaś prowadził je do kościoła Matki Boskiej Różańcowej, uczył je i kazał im śpiewać pieśni katechizmowe. Był to jeden z tych prostych, a tak skutecznych sposobów, jakiemi się zwykle posługiwał św. Franciszek, i za pomocą którego dokazywał istotnych cudów. Układał on pieśni, których treścią były zasady katechizmu. Dzieci lubią śpiewać, to też biegając po ulicach, lub pracując w polu albo w chatce rodzinnej, śpiewali młodzi Goańczycy ten rymowany katechizm, od nich uczyli się inni tych samych pieśni, i tym sposobem słowo Boże utrwalało się w pamięci i sercu Indyan.

Pielgrzymka nasza do Goa zakończyła się zwiedzeniem ruin kolegium św. Pawła, którego fundatorem niejako był św. Franciszek, i gdzie lubiał odpoczywać po trudach, dalekich i męczących

podróżach. Z całego budynku pozostały dziś jedynie piękne drzwi, reszty nie można nawet nazwać ruiną, gdyż kamienie znikły gdzieś bez śladu! Tylko maleńka kapliczka, wyrestaurowana kosztem arcybiskupa, bieleje wśród palm kokosowych. Tutaj modlił się zwykle św. Franciszek, tam widziano go w zachwyceniu; o kilka kroków znajduje się cysterna, w której gasił pragnienie. Rama, służący nasz, poganin, powiedział nam, że w tej cysternie widział na własne oczy krzyż i złoty kielich (podanie to utrzymuje się w tej okolicy). Kapliczka ta i te drzwi są to jedyne ślady, iż istniało tu niegdyś kolegium św. Pawła, zostające pod zarządem OO. Jezuitów, z którego na całe Indye portugalskie rozchodziły się promienie wiary i cywilizacyi. Wypędzenie zakonu Jezuitów zadało śmiertelny cios tej potężnej kolonii. Gdyby nie to, Indye portugalskie byłyby dziś katolickie a i w angielskich Indyach liczba katolików byłaby dwa razy większa. Zniesienie zakonu Jezuitów zadało również śmiertelny cios panowaniu portugalskiemu, misyom Indyjskim, które teraz dopiero zaczynają się znów podnosić. Goa jednak nie podniosła się już z upadku!... Wyszedłem z tego zamarłego miasta z sercem przepełnionem boleścią i myślałem sobie, że jeżeli widok tych ruin napełnia mię takim smutkiem, to cóż dopiero musi cierpieć patrząc na te gruzy zczerniałe każdy Portugalczyk, miłujący ojczyznę swoją?... Kamień nie został na kamieniu z tego miasta, którego mieszkańcy zbuntowali się przeciwko Bogu... chcieli oni obalić religię tu i w całym kraju, to też miasto skazał Bóg na straszną zagładę; kwitnące i bogate prowincye przeszły w ręce Anglików, kościoły jedynie ocalały, by zachować pamięć o minionej sławie i wielkości Portugalii!...

Chrześcijanizm wywiera jak najlepszy, najzbawienniejszy wpływ wszędzie, gdzie się tylko zaszczepi i zakorzeni; to też Goańczycy są o wiele więcej ucywilizowani, niż inne ludy Indyjskie. Zachowując język ojczysty i obyczaj narodowy, są oni tak przywiązani do Portugalii, że jak się wyraził sam gubernator, są oni lepszymi Portugalczykami, niż sami Portugalczycy. Dowiedli tego niedawno, gdy się rozstrzygała sprawa patronatu Portugalskiego nad kościołem indyjskim. Patronat ten tak daleko sięgający w dawnych czasach doznał przeszłego roku znacznego ograniczenia w skutek konkordatu zawartego między Ojcem św. a królem Ludwikiem I.

Było to dotkliwe naruszenie i zmniejszenie przywileju, będącego w posiadaniu Portugalii od tylu wieków, ale wymagało tego niezbędnie dobro chrześcijaństwa, odkąd okoliczności polityczne i kościelne uległy tak radykalnej zmianie! Nie można było myśleć o ustaleniu hierarchii katolickiej w Indyach bez naruszenia praw historycznych tego patronatu... Król Ludwik dobrze to zrozumiał i zgodził się na niekorzystne dla siebie zmiany, podpisał konkordat, a jednak pomimo tego, bolało to niewymownie prawowiernych Goańczyków.

Przywiązanie do patronatu, które się objawiło na całem terytoryum Indyi, jest bijącym w oczy dowodem mądrości, z jaką Portugalczycy rządzili niezmiernemi krajami podbitemi. Zatykając godło krzyża, jako symbol władzy w ziemiach zawojowanych, umieszczając na swych sztandarach imię Jezusa Chrystusa, darząc pogańskie te ludy chrztem i wiarą św., uczynili ich braćmi, wiernymi przyjaciołmi swymi i nowe te światy spoili węzłami miłości i wdzięczności z wielką i sławną ojczyzną swoją; to też dzisiaj chrześcianie Goańscy nie cofnęli by się przed żadnem poświęceniem, gdyby ich chciano pozbawić zwierzchnictwa prawowiernego króla *(du roi très fidèle)*.

Mówią nieraz o nadużyciach i okrucieństwach portugalskich zdobywców. Sądzę, że sumienna krytyka historyczna byłaby w stanie wykazać, iż zarzuty te są po największej części bezzasadne, kłamliwe, i dowieść, że są złośliwym wymysłem protestantów. Holendrom zależało bardzo na zdyskredytowaniu Portugalii w Indyach, szło im bowiem o obalenie tegoż królestwa, a przytem tak tu, jak i w Kanadzie znana ich nienawiść do katolicyzmu była przyczyną, że przedstawiali w najczarniejszych barwach wszystko, co tylko było katolickie.

Nie myślę twierdzić stanowczo, jakoby Portugalczycy nie dopuszczali się nadużyć i to licznych. Czyż trzeba na to lepszego dowodu, jak listy św. Franciszka, w których święty ten żali się na złe postępki oficerów i kupców portugalskich, do tego stopnia, iż chciał nawet opuścić Indye swe ukochane i obrać sobie inne pole działania... Ale niechaj mi kto powie, czy przy podbojach dalekich krajów obeszło się kiedykolwiek bez gwałtów i okrucieństw, zwłaszcza, tak dalekich, że trzeba było płynąć pół roku, a nieraz

i rok cały, by się do nich dostać z ojczyzny? Przypatrzmy się w jaki sposób dokonywały się podboje innych krajów? Co się stało z pierwotnymi mieszkańcami Ameryki Północnej? Australii?... zaledwie ślad tylko pozostał z owych ludów, tak licznych dawniej!

Tutaj w Indyach portugalskich cała ludność jest pierwotna, pochodzenia indyjskiego. By zaś utrzymać się w posiadaniu tych podbojów, nie potrzebuje rząd portugalski uciekać się do środków militarnych, nie potrzebuje utrzymywać licznej, kosztownej armii; co więcej, nie potrzebuje się obawiać buntu ni wojen o niepodległość... Jest to wynik rozsądnej i uczciwej gospodarki, rządów pełnych ludzkości i łagodności, a więcej jeszcze owego duchowego pokrewieństwa, które się wywiązuje między tym, który chrzci, a poganinem, który przyjmuje z rąk jego największe dobro — wiarę świętą...

(C. d. n.)

Ks. Władysław Zaleski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pius IX i Jego Pontyfikat. Napisał *Ks. Dr. Józef Pelczar* etc.

Wnet po śmierci nieodżałowanego Papieża, podjął się ks. dr. Pelczar, znany profesor wszechnicy Jagiellońskiej, mozolnej bardzo ale wdzięcznej pracy, zbierania szczegółów wszystkich, tego tak świętego a nam Polakom tyle cennego życia. W roku 1881 puścił autor w świat trzytomowe dzieło „Pius IX i Jego wiek". Dzieło to doczekało się w roku zeszłym nowego wydania, pod zmienionym tytułem „Pius IX i Jego Pontyfikat", znacznie powiększone i świetniejsze od poprzedniego pod względem formy i treści.

Autor przejęty uczuciem synowskiej miłości dla zmarłego Papieża, zebrał podówczas do pierwszego wydania liczne wiadomości, jakich dostarczyć mu mogły dziennikarskie notatki i poważniejsze także publikacye, o żywocie i działalności Piusa IX, dodał do tego sporo wspomnień własnych, z czasów kiedy pobierał w Rzymie nauki teologiczne, i w ten sposób przedstawił nam uroczą a bardzo przyciągającą wszystkich postać zmarłego Papieża.

Ile przypomnieć sobie mogę, dzieło ks. dr. Pelczara nabrało w krótkim czasie znacznego bardzo rozgłosu, i w całem tego słowa znaczeniu było dziełem popularnem. Nie tylko wszyscy prawie kapłani polscy posiadali je i czytali z przyjemnością; w świeckich domach i w dostojniejszych chrześcijańskich rodzinach można je było widzieć w rękach wszystkich.

Jak zwykle, tak i tutaj nie obeszło się bez pewnych zarzutów.

Prawie wszystkie były one niesłuszne, skierowane więcej przeciw osobie samego autora, niżeli przeciw jego dziełu, a że stawiane były bez zachowania względów literackiej godności, potępiły same siebie, i wspominać o nich nie warto.

Znalazł się może zarzut jaki na pozór słuszniejszy. Nie podobało się niektórym panom recenzentom, że dziełu swemu nadał autor za szumny nieco tytuł: „Pius IX i Jego wiek". Słyszałem przytaczane z tego powodu słowa: *Fortunam Priami cantabo et nobile bellum.* Czy miano słuszność? Dzisiaj po kilku latach, łatwiej niż wtedy możnaby o tem sąd jakikolwiek wydać. Dzieło ks. dr. Pelczara nie stanęło zapewne na równi ze sławnem: „Piotr Skarga i jego wiek", ś. p. Maurycego hr. Dzieduszyckiego. I nikt nie myśli, ani by miał prawo z tego powodu niżej pod względem literackim cenić autora Piusa IX, od autora Skargi. Ale z natury rzeczy wypływała konieczność tych braków nie znanych zapewne, w dziele o Piusie IX i nieodpowiedność nadanego mu podówczas tytułu. Dzieduszycki miał już przed sobą całe prawie trzy wieki, miał niezliczoną ilość publikacyj, monografij historycznych, miał i świetnie opracowane dzieje Polski, czy to ogólne, czy z tego właśnie okresu. Jego zasługa polega na zestawieniu i uporządkowaniu tych źródeł, na trafnym sądzie, jaki o Skardze i jego wpływie na stusunki współczesne potrafił sobie wyrobić i wydać.

Warunki, w jakich ks. dr. Pelczar jął się swojego dzieła, przedstawiają się nam niekorzystniej o wiele. Miał wprawdzie autor przed sobą znakomite dzieło hrabiego de Maistre, ale to jedno wystarczyć jeszcze nie mogło. Wiemy jakiem jest społeczeństwo francuskie, jego zachowanie w kwestyach religijnych i we wszystkiem, co Kościoła dotyczy. Tam przy całem moralnem zepsuciu i rewolucyjnych ideach narodu, zachowuje się zawsze rodowa tradycya szlachty i arystokracyi, tradycyjne przywiązanie do głowy Kościoła i Stolicy św. Hr. de Maistre pisał swe dzieło przedewszystkiem dla wyższych warstw francuskiego społeczeństwa. Pius IX i Jego wiek ks. dr. Pelczara nie mogło być czystem przerobieniem lub naśladowaniem tamtego. U nas lud więcej poczciwy i goręcej wierny, a na szlachtę i panów nie mógł autor tak bardzo rachować; nie dlatego, broń Boże, jakoby tym zasady religijnej albo przywiązania do Stolicy św. brakło, ale przez wzgląd na obojętność

naszą, i jakieś, że tak powiem, lenistwo w zajmowaniu się temi sprawami.

Prócz wspomnianej publikacyi hrabiego de Maistre, miał autor pod ręką tylko sprzeczne dziennikarskie wiadomości, i jakieś często stronniczo, a nie przedmiotowo i nie wyczerpująco pisane broszurki o sławnym Papieżu.

Więc należało zapewne zaniechać szlachetnego zamiaru podania Polakom żywotu Piusa IX, aby nie narazić się szanownym panom krytykom, których my w Polsce mamy więcej niżeli pisarzy, a w każdym razie więcej, niż by to dla rozwoju literatury zwłaszcza poczciwej, katolickiej i dla popierania jej, przydatnem być mogło.

Autor pisząc to dzieło nie mógł się liczyć wyłącznie z tą klasą przemądrzałych krytyków liberalnego nastroju, ale wzgląd mieć musiał i na tych, którym przedewszystkiem przedstawić chciał uroczą postać papieża Piusa IX, rozgrzać ich i pobudzić do miłości i wdzięczności dla tego Ojca i opiekuna Polaków. Książka to nie dla dyplomatów albo polityków i uczonych wielkiego świata, ale dla chrześcijańskich, katolickich rodzin, dla ludzi, którzy, choć im brak może dokładnego wykształcenia historycznego i głębokich poglądów, umieją jednak odczuć piękno i myśl głębszą i szlachetną, jeżeli ta w przystępnej podaną będzie formie, książka to, mówmy szczerze, nie chce i nie może z grona swych czytelników wyłączać nawet i prostego poczciwego ludu.

W tych warunkach tytuł nie odpowiadał może w zupełności treści, ale treść dzieła została tak dobraną i w taki sposób złożoną, że bezwarunkowo przewyższyła nawet same autora nadzieje.

Nadto, nowemu wydaniu, chociaż ono jest głębsze i obszerniejsze swą treścią niżeli poprzednie, nadał autor skromniejszy, i teraz już przynajmniej wcale odpowiedni tytuł, jeżeli nie za skromny nawet. „Pius IX i Jego Pontyfikat“ to już dzieło nie tylko dla ludu. Ktoby zechciał w przyszłości skreślić czasy pontyfikatu Piusa IX, czy dzieje Kościoła w 19 wieku, będzie się musiał zawsze na dzieło ks. dr. Pelczara oglądać, i zaczerpnąć z niego nie tylko pojedyńcze fakta, ale i częściej jeszcze trafne i głębokie poglądy.

Nie chciałbym tu zbyt obszernie zastanawiać się nad treścią dzieła, a to już z kilku powodów. Najpierw, że ramy, w których

mieścić się musi skromna recenzya nie dozwalają poświęcić treści dzieła dość miejsca, ażeby ją dostatecznie i w należytem świetle przedstawić, zaś miałem nieraz sposobność przekonać się o tem czytając drobne recenzye, że treść podana zbyt krótko, a skutkiem tego często niedokładnie, albo i dowolnie w niczem się do wyrobienia dokładnego o samem dziele pojęcia przyczynić nie może. Pomijam także streszczenie pojedyńczych działów z tego powodu, że pierwsze wydanie jest już czytelnikom *Przeglądu* dostatecznie znanem, zmiany zaś w drugiem wydaniu poczynione przez autora dość są znaczne, ażeby dziełu nowego uroku i nie mało wartości przysporzyć, ale w krótkiem sprawozdaniu straciłyby swą barwność, a przynajmniej wydałyby się o wiele mniej cennemi, niżeli są w rzeczywistości, jak się o tem czytelnik, porównywając oba wydania ze sobą, niebawem przekona.

Zresztą treść dzieła z natury rzeczy musi każdemu chociaż pobieżnie być znana. Żywot Piusa IX-go od lat jego najmłodszych, aż do końca chwalebnego pontyfikatu, wielkie i szlachetne czyny nieodżałowanego Papieża, walki, które staczał z wrogami Kościoła i swojego państwa, cierpienia, które mężnie znosił, przedstawia ks. dr. Pelczar w ujmującej formie.

A jednak nie zbiór faktów, choć dokładny a bardzo sumienny stanowi wartość tego dzieła i jego główną zasługę. Pius IX i jego pontyfikat wychodzi z pod pióra kapłana wcale wyższej miary, przejętego duchem prawdziwie chrześcijańskim. To też i w dziele całem tego charakteru ściśle katolickiego pominąć nie podobna. Sam przedmiot nadaje się wprawdzie, ale nie mniejsza przezto jest w tem autora zasługa. Pisarz sumienny, historyk wprawny, nie mógłby Piusa IX przedstawić inaczej jak Papieżem godnym, człowiekiem dziwnie szlachetnym i świętym, i prawdziwym Ojcem Kościoła. Ale ks. dr. Pelczar poszedł o wiele dalej i wyżej. W całem dziele znać, że Pius IX jest niby okazya dla autora, jego żywot jest podstawą, na której autor buduje wzniosły gmach zasad ducha i uczuć serca katolickiego prawdziwie. Znać, że autor, biorąc za pióro do skreślenia tego żywotu, powodował się miłością naszego ludu i pragnieniem podniesienia go religijnie, nie mniej jak szczerą chęcią zapoznania nas z samym żywotem Piusa IX, i spłacenia w ten sposób synowskiego długo wdzięczności dla Pa-

pieża, przy którego boku wykształcił się i wyrósł na męża takiej wiedzy, i takiej powagi kapłana. Pius IX u ks. dr. Pelczara przestaje być człowiekiem, a staje się ideałem, ideałem świetności i cnoty, poświęcenia dla Kościoła, miłości dla Boga i powierzonej sobie owczarni. Kto odczytał już ostatnią kartę jego żywotu, ten nie śmie być więcej obojętnym dla Papiestwa i Rzymu, ten musi uznać, że w papiestwie jest dla nas jedyna nadzieja jakiejś lepszej, doczesnej nawet przyszłości.

A umiał ks. dr. Pelczar połączyć i pogodzić uczucia religijne z prawdziwą miłością ojczyzny. Pius IX jest ojcem, przyjacielem, obrońcą Polaków. To niezmierna zasługa nowego wydania, że w czasie kiedy Polacy rozżaleni nieco, i zdaje im się, że obrażeni w uczuciach swych patryotycznych, ks. dr. Pelczar w drugiem wydaniu wiele poświęca miejsca na udowodnienie życiem zmarłego Papieża, że papiestwo jedno dba prawdziwie o Polaków, a ich narodowe uczucia po bożemu podtrzymuje i żywi, po bożemu to się rozumie, boć bez uszczerbku dla wiary i religijnych tradycyj.

Pius IX jest męczennikiem i więźniem piemonckim. O panowanie doczesne Papieża staczał walki krwawe z odwagą bohatera, a uległ z taką godnością, na jaką tylko święty i namiestnik Chrystusa zdobyć się może.

Tym chwilom bolesnym w życiu Piusa poświęca autor wiele kart w swem dziele, kreśli je dokładnie i z namaszczeniem, widać odczuwa całą boleść Papieża pozbawionego swego państwa, państwa należącego świętem prawem boskiem i ludzkiem do całego Kościoła,— i to współczucie pragnie autor przelać w czytelników. Czy to bez wyższego celu? Sądzę, że tak nie jest. Czyż nie widzimy tutaj wielkiej analogii, której druga strona jest nam aż zbyt dobrze znaną. Jeżeli dzisiaj znajdują się Polacy, którzy gotowi w sądzie swoim o zaborze Państwa kościelnego przechylić się na stronę zaborców, jeśli się ważą potępiać stolicę świętą, że okazuje się nieugiętą i nieubłaganą w stwierdzaniu swoich praw nieprzedawnionych, to przez to samo, chociaż bezmyślnie zapewne, uprawniają i inne zabory, a zrzekają się prawa do współczucia dla siebie, i uprawniają wszystkie anneksye, wszystkie fakta dokonane. Jakie takiego sądu wyniki, to każden Polak odpowiedzieć sobie może. Naszym obowiązkiem religijnym i patryotycznym jest występować przeciw nie-

prawnemu zaborowi Rzymu, i głośno oburzenie swoje wypowiadać wszędzie.

Pomijam tutaj ustępy poświęcone stosunkom stolicy św. do innych mocarstw ościennych, nie wspominam też o nader zajmującem przedstawieniu sekty karbonaryuszów, która Kościołowi więcej niż każda inna w naszych czasach szkody przyniosła. Są to ustępy zajmujące bardzo dla czytelnika i pouczające, i również w drugiem wydaniu z większą dokładnością skreślone niżeli w poprzedniem.

Dość powiedzieć, że dzieło ks. dr. Pelczara „Pius IX i Jego Pontyfikat“ zasługuje być pomieszczonem zarówno między książkami treści religijnej i duchownej, jak między najpoważniejszymi utworami naszej literatury historycznej. Kto je przeczyta z uwagą, nie pożałuje pewnie swego czasu, bo książka napisana stylem bardzo płynnym i wspaniałym językiem polskim, o czem już samo autora imię przekonywa; książka ta, mówię, czyta się z przyjemnością w chwilach wolnych, nawet po nużącej umysłowej pracy, a zawsze wzbogaca umysł nowymi faktami i jasnym poglądem na nie, serce zaś podnosi, obudza w niem chęć poświęcenia się dla dobra Kościoła, miłość dla stolicy apostolskiej, cześć dla zmarłego wielkiej pamięci Papieża.

Z duszy też i serca dziękujemy autorowi za to nowe wydanie, któremu niejedną poświęcić musiał godzinę drogiego czasu, a życzymy czytelnikom, by z przeczytania tego dzieła odnieśli korzyści, jakie każdemu nieuprzedzonemu, a przynajmniej nie niechętnemu z góry i zepsutemu przynieść ono może, a nawet powinno.

Takich dzieł nam więcej i jak najwięcej potrzeba, to też kończymy te krótkie uwagi życzeniem dla autora: Szczęść Boże w dalszej a podobnej pracy dla Kościoła pożytecznej, dla narodu zbawiennej, a dla autora zaszczytnej.

Ks. S. K.

Nad Niemnem, powieść w trzech tomach przez *Elizę Orzeszkową*. Warszawa 1888. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Zaledwie w ostatnim numerze zwrócił *Przegląd* uwagę czytelników na tom nowel wyszłych z pod pióra Orzeszkowej; a już nie krótkie opowiadanie, nie szereg drobnych nowel, ale gruba trzy-tomowa powieść tejże samej autorki — jakby zaprzeczając słowom recenzenta o „pozostającej w tyle, starej formie kilkutomowej powieści“ — w handlu księgarskim i na bardzo podobno

licznych biórkach i stolikach się znalazła. Czy autorka, choć bez wątpienia w niezwykłej mierze utalentowana, pisząc tak wiele i szybko, nie napisała za szybko swej powieści; czy nowy ten utwór będzie dalszym krokiem na pięknej i jeśli nie zupełnie jeszcze dobrej, to przynajmniej nieszkodliwej drodze, którą od pewnego czasu iść zaczęła? Na pytania te dać może sobie szczęściem czytelnik zadowalniającą odpowiedź; naturalnie nasuwające się powątpiewania pierzchają po odczytaniu już pierwszego tomu, z niewieloma i niewielkiemi obawami i zastrzeżeniami przenosimy się w tak pozornie ciche, nadniemnowe wioski, poznajemy i współczujemy z ich mieszkańcami, żyjemy ich życiem, zapewne że ukrytem i wąskiem, ale za to głębobiem korytem płynącem...

Na treść powieści składają się współczesne dzieje starego szlacheckiego dworu Korczyńskich, możnego niegdyś, dziś ratowanego twardą pracą od ostatniej ruiny; i dzieje w koło licznie rozsianej zaściankowej szlachty, dobrze pamiętającej o swym szlacheckim klejnocie, lecz nie leniącej się do pracy, nie wstydzącej się ani sierpa, ani pługa. Na pierwszym planie stoi uboga Justyna, kuzynka Korczyńskich, o postaci wyniosłej a smutnej, bo czuje dobrze swe nie do zazdroszczenia położenie, celu przed sobą w życiu nie widzi, radaby pracować, ale nie wie jak i jakiej ma się jąć pracy; — i zakochany w Justynie Janek Bohatyrowicz, dzielny, piękny, roztropny młodzieniec. Janek ledwie śmie pomyśleć, żeby „panna z wielkiego dworu“ zechciała oddać swą rękę pół-szlachcicowi, pół-wieśniakowi, żeby dla jego miłości mogła się zdecydować na znojną pracę w polu i w oborze. Ale Justyna myśli inaczej; ma przed sobą żyjący przykład starej krewnej, która wzgardziwszy dawniej szczerą miłością, dlatego że płynęła z niskiego dworku, a nie z wysokiego dworu, zmarnowała i przebolała całe życie; zna dosyć ludzi, aby wiedzieć, że prawdziwe szczęście, a nawet prawdziwa zamożność nie koniecznie z pięknemi meblami i modnemi strojami w parze chodzi; odrzuca też bez wahania pozornie świetną partyę, przez którą „dla jej szczęścia“ z żyjącym trupem związać ją chciano, a rękę i serce oddaje Janowi.

Oto w paru słowach treść, choć nie treść, zwłaszcza w parowierszowem streszczeniu wcale nie oryginalna, — ale wprowadzenie w stosunki, w domy i w domki nadniemeńskie, styl barwny, często poetyczny, stanowią wartość i krasę tej powieści. Bez zarzutów ona nie jest. Dworki szlachty zaściankowej oświeca autorka jasnem, południowem słońcem; do dworów większych prowadzi nas zawsze niemal o zmierzchu, w którym tylko ujemne strony widać, dodatnie skryły się bez śladu. Pani Andrzejowa Korczyńska ma być, a w każdym razie urosła jakoby na typ ascetycznej chrześcijanki; tymczasem jest to może pogańska matrona rzymska, o właściwym chrześcijańskim duchu, o chrześcijańskich zasadach nie ma wyobrażenia Czy autorka istotnie w ten sposób chrześcijańskie, pobożne kobiety sobie przedstawia? W takim razie nie trudno sobie wytłumaczyć wiele ustępów, zwłaszcza z pism jej dawniejszych; trudniej natomiast pojąć, dlaczego lepiej i bliżej prawdziwych ideałów chrześcijańskich nie starała się poznać, bo gdyby je poznała, nie wątpimy, żeby je ocenić, pokochać i w pismach swych przedstawić właściwie potrafiła. Bądź co bądź *Nad Niemnem* jest krokiem naprzód od złego ku dobremu; wielka byłaby szkoda i dla czytających w ogóle i dla literatury naszej, a najbardziej może

dla piszącej, uposażonej tak pięknym, wyrywającym się z natury rzeczy do dobra i piękna talentem, gdyby ten krok miał być ostatnim.

B.

Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej. Wyjątek z obszernej pracy jeszcze nie wydanej. Napisał *Filograf.* Warszawa 1887 roku. Większa 8-ka. Str. VI. 65.

Broszura ta nie jest bynajmniej nowym jakimś systematem pisowni, wnoszącym w nią nowe różnice, a stąd nowy nieład, ale istotnie daje tejże pisowni coś praktycznie pożytecznego.

A mianowicie „praktyczny ten sposób" zawiera się w idei ortograficznego konserwatyzmu, jednak nie tak ciasnego, żeby wszelkich w ogóle zmian zabraniał. Zasada ta, którą autor nazwał prawem pragmatycznem, zależy głównie na tem, aby takie tylko sposoby pisania reformować, które jako błędne uznaje nie pojedyńcza jakaś powaga lingwistyczna, ale ogół uczonych, i o których mylności można każdego wykształconego człowieka na oko przekonać. I szanowny Filograf, chcąc swój *praktyczny* sposób nie tylko w *teoryi* dać poznać — stosuje go zaraz do dziesięciu spornych sposobów pisania.

Rozbierając niektóre z nich, mianowicie te, w których mamy coś do zarzucenia szan. autorowi, — zdarzy się i nam sposobność skorzystać z jego własnej zachęty, tj. aby i profani w umiejętności lingwistycznej zdanie swoje co do pisowni wyrażali. W rzeczy tak obchodzącej ogół piszących zdaje nam się taka zachęta bardzo trafną, gdyż i wykształcona publiczność ma do tego niejakie prawo, i sama rzecz może na tem wiele skorzystać. Uczony bowiem specyalista mimo wiedzy i woli nawet, zapatruje się na tę sprawę ze stanowiska teoryi i systemu naukowego, jakiemu hołduje, z punktu zaś praktyki, albo wcale nie, albo tylko drugorzędnie.

I tak między innemi każe pisać autor (bardzo słusznie) *imię* a nie *jimię, kolei* a nie *koleji* i t. p. A na uczone wywody zwolenników ks. Malinowskiego bardzo trafnie odpowiada, że choć istotnie w tych razach słychać raczej *ji* niż *i*, to jednak nie idzie zatem żeby i pisać *ji* a nie *i*. A to dla tej prostej przyczyny, że polski język głoskę *i* wymawia w tych okolicznościach jak *ji*. Bo czemużby nasz język miał być gorszy od innych, które zwyczajne głoski łacińskie wymawiają, każdy podług swego, a nieraz bardzo dziwnego sposobu. Lecz co do innych wywodów autora o jocie, a mianowicie, że nawet w takich połączeniach głoski *i* jak: *miły, miasto, wiek*, brzmi ona jak *j*, to zdaje nam się, że w nich cokolwiek za wielka doza jotacyzmu. Trzebaż bo odróżnić *jotowanie* od *spieszczania*, tak charakterystycznego polszczyznie. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć zdanie pewnego znajomego mi Horwata. Ten zacząwszy się uczyć po polsku od wsłuchiwania się w mowę Polaków między sobą, powiada raz do mnie: „Już mam klucz do języka polskiego: trzeba mówić po horwacku, tylko pieszczotliwie, jak niańka z małemi dziećmi, a będzie polska mowa". Myślę, że w tem jest wiele prawdy, choć naiwnie wyrażonej. Wszakże prawie wszystkie nasze spółgłoski są podwójne: twarde i miękkie? Dziwne to doprawdy zjawisko, żeby takie nawet spółgłoski jak *w, b*, mogły być jeszcze miękczone. A zjawisko to już zupełnie naturalnie wywołuje drugie, zamało może w nauce wyzyskane, tj. że jeśli po tak pieszczotliwej

spółgłosce następuje samogłoska, to ona musi się także spieścić, czyli być wymówioną zmniejszonemi, jakoby dziecięcemi ustami. Nic dziwnego, że taką spieszczoną samogłoskę, jak zresztą i każdą inną, trudno jest wymówić oddzielnie od spółgłoski, i stąd to, gdy takiego wymówienia zachodzi potrzeba, opieramy samogłoskę zwykle (bezwiednie i mimowoli) na półdźwięku ъ. Niekiedy jednak my Słowianie lubimy ją opierać na jocie (Jadam, Jewa), a zwłaszcza gdy chodzi o wymówienie oddzielne samogłoski spieszczonej. Dlatego też powodu, tj. dla tej potrzeby opierania samogłosek spieszczonych na *j*, wcale nam się nie zdaje, żeby kombinacyj takich jak *ji*, a nawet *je*, *ja*, i t. p. nie można było uważać za pojedyńcze samogłoski *cienkie* (czyli spieszczone) obok *grubych*; a, e, y ... choć autor nazywa to „rzeczą zupełnie chybioną i rozpaczliwym wysiłkiem". Kto się dobrze wsłucha w rozmaite kombinacye rosyjskiego я, ю, ѣ — temu się to bynajmniej nie wyda chybionem. Weźmy np. słowo: царя, царю, царѣ — czyż te głoski nie brzmią tu jakoś dziwnie delikatnie? A jeśli nie mają tej delikatności w abecadle, pochodzi to stąd, że tam idzie głównie o nazwę litery a nie o oddanie dokładnego jej dźwięku; jotujemy je więc silnie dla łatwiejszego samodzielnego wymówienia. Gdy zaś te samogłoski, uważane w rozmaitych zgłoskach, opierają się nie na *j*, ale na innej miękkiej spółgłosce, wtenczas ich brzmienie spieszczone możemy zrozumieć i bez jotowania. Np. zgłoski *nie*, *bie*, *cie*, *nia*, *bia*, *cia* i t. d. dla Polaka są łatwe i zrozumiałe. Niemiec zaś trudno żeby je wymówił czysto, ale brzmią u niego *nije*, *bije*, *cije*, lub *ne*, *be*, *ce*, bo w swoim języku zna on tylko *e* twarde albo jotowane, a o spieszczonem nie ma pojęcia.

Ta dygresya była potrzebna, aby wykazać, iż autor, choć mówi, że dziś jotacyzm już nie tak popłaca jak dawniej, jednak zdaje się że mu jeszcze zbytecznie hołduje.

W takich wyrazach jak *opinia*, *racya* i t. p. już nie tylko co do sposobu dowodzenia, ale i co do samej pisowni, trudno nam się zgodzić z autorem. Chce on bowiem bezwzględnie wyrugować sposoby *yja*, *ija* i *ja* z poprzedzającą spółgłoską. Najprzód zdaje nam się, że nie można tych sposobów pisania *(ija yja, ńja cja)* uważać za tak nowe i niebywałe jak np. *jich* lub *szedszy*, zamiast *szedłszy*; zdobyły one już sobie pewne prawo obywatelstwa, a przynajmniej *quasi domicilium* w świecie literackim. A pierwszy sposób tj. *ija yja* ma nawet za sobą taką powagę jak Akademia Umiejętności, która, chociaż go nie ogłosiła za uznany przez siebie, ale w wydawnictwach swoich go używa. Trzeba się z tem rachować. Z tego więc względu ono prawo pragmatyczne, o ile się opiera na konserwatyzmie, traci w tym razie nie mało na sile. Chcąc tedy usunąć sposób *yja* i *cja* a zachować jedynie: *ia* i *ya*, trzebaby wykazać naukowo gruntowną jego konsekwencyę a nieloiczność tamtych. Autor też usiłuje to uczynić, ale, zdaje nam się, bez powodzenia. Nie tu miejsce zbijać szczegółowo dowody szan. Filografa, powiemy tylko, że mylnie się w nich opiera na etymologii. Etymologia wprawdzie bardzo ważną w pisowni odgrywa rolę; dla niej to piszemy *wchód* a nie fonetycznie *fhut*, — ale jestto etymologia swojska. Autor zaś bierze etymologię łacińską (ratio, opinio), a wyprowadza z niej wnioski podług prawideł etymologii polskiej. Jeżeli takie słowa jak *racya*, *manija* i t. p., język przyswaja sobie z obczyzny, to zapomina już o ich pisaniu i wymawianiu w tejże obczyznie, a nadaje im pełne prawo obywatelstwa polskiego. Któż np. chciałby pisać: *burstyn*, lub

bernsten zamiast „bursztyn“, albo Macieja pisać *Matthej*, a Piotra *Petr*, dlatego, że taka pisownia byłaby bliższą ich etymologii niemieckiej, hebrajskiej czy łacińskiej? Przyczyna tej oczywistości prosta: język przyswoił sobie te wyrazy na wzór rodowitych, jakie uważał za najbliższe brzmieniem tych przybyszów; tak np. bursztyn — Krotoszyn, Maciej — dobrodziej (lub bliższy: niechciej) — Piotr — wiatr, (jest wprawdzie bliższy: łotr, ale i ten już urobiony z *latro*). A więc tak samo racyja — na wzór szyja; linija, manija — na wzór żmija lilija. Język ludowy i stary klasyczny daje takim słowom nawet akcent na przedostatniej zgłosce; a jeżeli język współczesny literacki cofa ten akcent na trzecią od końca, wskutek czego przedostatniej mało co słychać, to jednak stąd nie może wynikać, żeby ją należało nawet z pisowni wyrzucać; chyba że chcemy pod tym względem całkowicie zerwać, i z naszą przeszłością i z ludem.

Zapominają widocznie adherenci każdego z tych 3 sposobów (*ya yja ja*), o jednym bardzo ważnym względzie, tj. że wszelka choćby najpraktyczniejsza zasada, jeśli ją zbyt absolutnie w praktykę wprowadzamy, okazuje się niepraktyczną. Tak np. zastósowanie pisowni *ya* do słowa *dyabeł*, jak to chce mieć autor, jest co najmniej niepraktyczne. Co innego takie wyrazy obce, które są dopiero jakoby gośćmi a nie obywatelami w naszym języku, jak np. *scherzo*, *cicerone*, *ouvrier*, *Staatsomnipotenz* i t. p. — takim trzeba zostawić ich rodzimą ortografię, dopóki albo nie znikną z języka, albo się z nim nie zleją. Inne jak: dyakon, dyament, racya, Szwecya, i t p. już zupełnie przyswojone, w których jednak, jakeśmy wspomnieli wyżej, etymologia łacińska nie może rozstrzygać, należałoby pisać fonetycznie, tj. jak się mówi, a nikt chyba nie mówi dy-akon ale *dyjakon*; przeciwnie wyraz try-umf wszyscy prawie tak wymawiają, a nie try-jumf i t. p. Pisownia ostatecznie ma być jakimś obrazem wymawiania, jak to i sam szan. Filograf przyznaje, lecz w pisaniu np. *mania*, jak chce autor, a wymawianiu *mań-ja* lub *mani-ja* — nie wiem, czy się można tego obrazu dopatrzyć. Żeby jednak tę wolność pisania *ya, yja* lub *ja* (lecz nigdy *ia*) nieco ograniczyć, możnaby postawić taką zasadę: gdzie zgłoska *yj* lub *ij* przez odmiany gramatyczne może być ujawnioną, tam i w 1-ym przyp. l. p. i mn. niech panuje; a więc: *racyja* gdyż jest i *racyjka* — linija, bo linijka i t. d. — ale *kurjer*, *warjat*, a nie *kuryer*, *waryat*, ani też *kuryjer waryjat* i t. p. bo *yj* w żadnej odmianie się tu nie pokazuje.

Innych propozycyj autora nie rozbieramy, gdyż, z bardzo małemi poprawkami, na wszystkie zgoda.

Co do całości zrobić jeszcze można tę uwagę, że napisana jest ze zbytnią jak na taką treść werwą. Dodaje to wprawdzie interesu w czytaniu, ale też wprowadza na słuszne podejrzenie, że autor przy takim zapale nie mógł być całkowicie objektywnym sędzią rozmaitych ortografij. Jeśli do tego dodamy wielką erudycyę filologiczną i lingwistyczną, jaką autor *pro* i *contra* niektórych sposobów pisania rozwija, to zrozumiemy, że w czytelniku nie tak bardzo obznajomionym z temi naukami rodzi się pewna nieufność. Na zakończenie czyni jeszcze autor bardzo trafne uwagi o nowoczesnym fonetyzmie, tylko niestety znów zbyt energiczne, i robi ostateczny następujący wniosek: „Widzimy stąd, że przesadzony fonetyzm ortograficzny nowej szkoły nie jest bynajmniej lepszym od tego systemu, jakim się rządzi tradycyjna, fonetyczno-etymologiczna pisownia zwyczajna. A zatem... należy ogólnemu duchowi szkoły ultrapostępowej niedowierzać, a mocno trzymać się w ogóle starego sy-

stemu pisowni, bez zmiany; w szczegółach zaś czynić w nim takie tylko poprawki, których naukowa słuszność okaże się na pewno, stanowczo dowiedzioną".

My zaś kończymy dziękując szanownemu Filografowi za ogólne zasady i kierunek jego broszury, i za sposobność, jaką nam dał do wyrażenia naszych własnych zapatrywań, *salvo* jednak *meliori judicio*.

Ks. H. P.

Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej. Napisał *Teodor Jeske-Choiński*. Warszawa 1888. Str. 225.

Lat dwadzieścia pięć temu nastąpił w beletrystyce naszej zwrot bardzo jaskrawy. Fantastyczny motyl idealizmu odrzucił barwne skrzydła i zasklepił się w poczwarce trzeźwego „pozytywizmu". Na rumowisku starych ideałów stanęły ołtarze Mammona i Minerwy, na nagich drzewcach odartych z dawnych sztandarów uczucia i wiary, zabłysły nowe hasła: *wiedzy i używania*.

Nowinki Zachodu, jak niegdyś w XVI. w., tak i dzisiaj znalazły oddźwięk na naszej ziemi. Prąd rzekomego postępu ujawnił się w literaturze naszej, która z gorączkowym pośpiechem zaczęła rzezbić *pozytywne* ideały. P. T. Jeske-Choiński, mimochodem tylko rzucając słowo literackiej oceny tych pozytywistycznych utworów, przedstawia głównie ich ideały, bądź uosobione w typowych postaciach powieści, bądź zawarte w refleksyach samychże autorów, co najzupełniej odpowiada założeniu dziełka p. Choińskiego, i daje trafny pogląd na genezę, rozwój i ostateczne przeobrażenie pozytywnej beletrystyki polskiej. P. Jeske-Choimski, to umysł bystry i pochwytny, wyborny polemik, a w wysłowieniu się dosadny i treściwy. Krótkie sprawozdanie o „Typach i Ideałach" zalety te choć w części uwydatni. Prewodyrką i chorążym pozytywnych haseł jest *Eliza Orzeszkowa*.

Bohaterami jej powieści są rozważni, spokojni i praktyczni ludzie: kupcy, inżynierowie, lekarze, fabrykanci, przyrodnicy. Ideałem ich dobrobyt materyalny— karyera. Wyższe uczucia są im obce, nie masz w nich nawet prawdziwego zamiłowania wiedzy, nie masz między nimi ani jednego mędrca. Miejscami wplecione deklamacye na cześć nauki i wynalazków nie wkładają na czoło bohaterów Orzeszkowej prawdziwej aureoli,lecz owszem czynią z nich po prostu niesmaczne karykatury. Czytając apoteozę maszyn parowych lub entuzyastyczny panegiryk na cześć inżynierów wygłoszony, rodzi się podobne uczucie, jak np. po przeczytaniu bombastycznej reklamy hamburskich losów, lub szwajcarskich pigułek Brandt'a. Główna to wada i zaleta autorki: wada, bo pierwszorzędne jej postacie stają się przez to karłowate i ckliwe; zaleta, bo w jej powieściach znajdujemy wierne echa naszego pozytywizmu. Do zalet też Orzeszkowej zaliczyć należy bezstronność w charakterystyce różnych stanów naszego społeczeństwa, oraz tę surową dziewiczość pióra w obrazowaniu i opisach, która wszelkie moralne kałuże ominąć potrafi, ani ich nie poruszając, ani nie złocąc kolorytem idealnych rozkoszy. Rozum i obowiązek, to dwa główne motory w powieściach Orzeszkowej.

Dziwna to jednak, że mimo takich zasad, głównym przedmiotem jej sympatyi są Żydzi. Znać to i w jej broszurze „O Żydach i kwestyi żydowskiej" i w trzech powieściach „Eli Makower", „Meir Ezofowicz" i „Mirtala". Orzeszkowa zna dobrze wady Izraela, ale je zupełnie uniewinnia, zalety zaś idealizuje

z przesadą i entuzyazmem godnym lepszej sprawy, stawiając chimeryczne postulata o braterstwie i zlaniu się naszego społeczeństwa z Żydami.

Kontrastem Orzeszkowej jest druga z kolei pozytywna czyli postępowa powieściopisarka: p. Walerya Marrene (Morzkowska). Namiętność płciowa w różnych odcieniach, to jej ulubiony temat. Typy mężczyzn są w jej powieściach prawie wyłącznie ujemne, typy niewiast dodatnie. Miłość jej bohaterów i bohaterek nie ma poczucia obowiązku, szał to namiętny, zmysłowy, niczem nie pohamowany. Marrenowa należy do obozu pozytywnego, bo w powieściach jej rozsiane tu i ówdzie sentencye liberalne oraz obrona rozwodów małżeńskich dowodzą, że p. Marrenowa umiała się wznieść po nad poziom „starych przesądów".

Teodor Tomasz Jeż w społecznych swych powieściach występuje zrazu jako rzecznik „kwestyi włościańskiej". Bohaterowie tego działu powieści Jeża są to postacie iście posągowe, dorastające miary olbrzymów. Niestety, okres takich powieści trwał krótko, bo tylko po rok 1863. Odtąd Jeż porwany prądem młodych postępowców, którzy filantropijną swą pracę zaczynali krytycyzmem i negacyą wszystkiego, zboczył na inne już tory. Nie znając zgoła ni miejscowych, ni społecznych stosunków, kreślił piórem maczanem w żółci i sadzach karykatury charakterów szlacheckich, często wprost chimeryczne, byleby tylko duchowieństwo i szlachtę obrzucić błotem, zbryzgać pomyjami i tak nasycić swą tendencyjną nienawiść. Co do formy beletrystycznej, Jeż, jak dobrze mówi p. T. J. Choiński, nie ma najmniejszego poczucia techniki artystycznej".

Michał Bałucki to najwierniejsza podobizna Orzeszkowej, nawet w kwestyi żydowskiej, choć tu już postąpił o krok dalej, bo broniąc Żydów, potępił Chrześcijan. W osobnej powieści kreśli Bałucki ideał księdza („Siostrzenica księdza proboszcza"). Jest nim kapłan liberał, rzemieślnik, który „nie prawi ludowi o niebie, nie straszy go karami piekielnemi, ale uczy, jak żyć na ziemi; który nie zapala imaginacyi, ale przemawia do rozsądku, i poświęca dla miłości i pracy drobiazgowe ceremonie kościelne". Taki ideał mógłby p. Bałucki łatwo znaleść w pośród racyonalistycznych niemieckich pastorów, takim idealnym kapłanem mógłby być pierwszy lepszy Żyd, albo Turek, byleby zamiast teologii przeczytał choć jedną powieść p. Bałuckiego.

Bolesław Prus, mistrz w drobiazgowem spostrzeganiu, a krótkowidz w szerszych poglądach, jest ciepłym, serdecznym przyjacielem wszystkiego, co słabe, upośledzone i biedne. Bohaterami jego, to ubodzy, kaleki, dzieci, uliczniki, wieśniacy i t. d. Nie lubi Prus i wyśmiewa wszystkich rodowych czy majątkowych potentatów. Może dlatego zaliczył go p. Choiński do rzędu pozytywnych pisarzów, bo zresztą, jak to sam wyznaje, Prus „chodzi luzem własnemi drogami, jak młode źrebię puszczone samopas".

Adolf Dygasiński, to pozytywny pesymista. P. Choiński streścił filozofię jego w tych kilku słowach. „Samolubstwo jest najwyższem prawidłem żyjącego stworzenia, a jedynem źródłem jego czynności — walka o byt. Kto wierzy inaczej, tego trzeba nazwać wstecznikiem, zacofańcem, obskurantem średniowiecznym". W powieściach jego niema ani jednego jaśniejszego promyka, wszędzie tylko okrucieństwo, podłość i rozpacz. Za to dziewczęta zna p. Dygasiński doskonale i maluje je po mistrzowsku; chłopca jednak nie podpatrzył on dobrze, gwary jego nie podsłuchał, ale sam sztucznie urobił. Tej więc zalety, wbrew zdaniu p. Choińskiego, zaprzeczyć mu musimy.

Drugorzędne miejsce w beletrystyce pozytywnej zajmują pp. *Marya Szeliga* (Jerzy Horwat) i *Zofia Urbanowska*. Pierwsza niepochwytnej barwy łączy w sobie romantyzm z pozytywizmem. Zasadniczym tonem jej powieści jest miłość *à la* Walerya Marrene. Druga, choć mniej płodna, za to jasnością myśli, formą i oddaniem charakterów stoi bez porównania wyżej, lubo i u niej, jakkolwiek zręczne idealizowanie niskiej, pospolitej pracy, musi budzić niesmak w każdej duszy, nie wyzutej z wrodzonych praw estetyki. Było jeszcze wiele innych epigonów Orzeszkowej i Bałuckiego, ale tych p. Choiński pomija, jako nie zasługujących na osobny rozbiór krytyczny. Były to tylko iskry świecące przez chwilę nad zgasłą rakietą. Bo pozytywizm, jak rakieta, przebiegłszy swój krąg, gdy mu zabrakło sił i paliwa, spadł na ziemię, z której wyszedł, pozostawiając tylko czarny niedogarek pesymizmu.

„Programy idealne pisze p. Choiński, oparte nie na krytycyzmie, nie z negacyi wysnute, choć nie trwają wiecznie, podlegając ogólnym prawidłom wszystkiego, co od człowieka pochodzi, wytrzymują jednak dłużej. Czasami kwitnie w ich jasnych blaskach kilka pokoleń, a jeżeli nie więcej, to jedno przynajmniej wyrasta wspaniałe na wzór dla potomnych. Romantyzm zmarniał wprawdzie w naszych warunkach bardzo prędko, lecz wydał cały legion postaci świetlanych... Pozytywizm warszawski posiadał bardzo mało ideałów dodatnich, a i poza temi hasłami, jakoby przyszłości, czychał ordynaryjny materyalizm, szukający jedynie *„w ziemi i na ziemi“* światła i wskazówek. Zaczajony wyczołgał się niebawem z ukrycia. Cuchnący jego oddech zakaził owoce twórczości artystycznej. Pozytywizm nie wystarczył nawet dla jednego pokolenia. Jego wychowańcy i główni zwolennicy znajdują się dopiero w pełni sił męskich, a odstąpili już swego mistrza, niepewni w którą teraz zwrócić się stronę. Niezmiernie szybko zestarzał się ten kierunek, kończąc swoją działalność złodźwięcznym pesymizmem“. (str. 147).

Już Prus i Sienkiewicz zaczęli węglem szkicować życie, a za nimi stanął „cały legion płaczek literackich“. Wybitne miejsce między niemi zajmuje p. Wila Zyndram-Kościałkowska, znająca genezę pesymizmu i pojmująca całą jego doniosłość. Charaktery jej powieściowych postaci są „bez charakteru“, niepoczytalne, bo „coś je pcha“ jak „iskry biegające po topielisku“.

Ten sam fatalizm snuje się i w nowelkach *Ostoi* czarną nicią pesymizmu. Nędza i podłość sucho, przedmiotowo odmalowana — to zwykła treść jej obrazków.

Hajota, sprytna w dyalogach, ale zresztą płytka, powierzchowna, bez wyższego talentu, „zamyka szereg pesymistek, które mają jeszcze jakieś prawo do pisania“. Pozytywizm obok pesymizmu w teoryi musiał spłodzić i najgrubszy naturalizm w życiu, ten zaś, jak wszystkie prądy społeczne, odzwierciedlił się w beletrystyce. Technika realistyczna, dopóki służy do uwydatnienia piękna, cennym jest przymiotem powieściopisarza, lecz kiedy zaczyna rzeźbić, malować, uosabiać brzydotę, wtedy staje się zbrodniarką, podającą zatruty pokarm własnemu dziecięciu. Boć pióro bardziej jeszcze niż pędzel, dłuto lub lutnia, powinno jak tęcza ziemię z niebem wiązać, nie pełzać po ziemi i mącić cuchnące kałuże. Na Zachodzie Balzac był ojcem realizmu, Zola przeszedł swego mistrza, nie cofając się przed żadnem błotem, przed żadną nagością. Powieści jego, to nie zamknięte przyrządy Talard'a. Wśród przeszło tysiąca postaci, które puścił

w świat, nie ma nawet owych pięciu sprawiedliwych, potrzebnych do ocalenia Sodomy".

Ta zaraza Zachodu, zakaziła w części i naszą beletrystykę. Prus, choć w technice realista, „umie być jednak dyskretnym". Dygasiński zaś tak lubi wszystko co cuchnie błotem, że stałby się u nas drugim Zolą, gdyby znał choć odrobinę psychologii człowieka. Najlepszym może w technice naśladowcą francuskiego naturalizmu jest p. Antoni Sygietyński, choć czytając go nie podobna nie spostrzedz, że od początku do końca powieści wszystkie władze jego duszy ciężko pracowały nad wykonaniem technicznem. Gabryeli Śnieżko-Zapolskiej nie nazywa p. Choiński naturalistką, ale tylko „nowelistką, która lubi przedmioty wysoko podkasane, lubieżne, ordynaryjne".

Nie zapomniał p. Choiński i o *poezyi* wyrosłej na glebie pozytywizmu. Hasło dał głównie p. J. Ochorowicz w wierszu „Naprzód". Na jaką nutę brzmieć ma pieśń pozytywna, nie trudno odgadnąć:

„O! bo pieśń nasza, to nie ta łzawa
I słodka melodya niebieskich ptaszyn,
O! bo pieśń nasza — to ludów wrzawa,
Huk młotów i turkot maszyn!
Nasza modlitwa, to nie to mgliste,
Tęskne za lepszym światem wzdychanie...
Nasza modlitwa — to wiekuiste
Łączne miłości z wiedzą działanie".

Ale ten, co jeden z pierwszych wyśpiewał lutnią pozytywne hasła, pierwszy też „zatrąbił do odwrotu". „Młodzież nasza, pisał w *Niwie* t. VIII, str. 551: zestarzała się, pokolenie, które wystąpiło do walki ze starym porządkiem idei... rozprysło się w walce o byt"...

Hasła pozytywne zapaliły w niejednem sercu iskrę poetyckiego zapału, lecz słomiane to paliwo gasło w oka mgnieniu, zostawiając w duszy noc zwątpienia, lub rzucając poetów na inne tory. *Asnyk* stoi na pośredniej drodze między pozytywizmem a pesymizmem w poezyi. Zato *Marya Konopnicka* występuje jako najjaskrawsza pesymistka z lutnią pełną polotów i siły, pełną twórczego natchnienia, płynącego dźwiękami najpiękniejszych rytmów. Jednakże genialny ten umysł na straszne wszedł bezdroża! Paszkwile wrogów Chrystusowych biorąc za dobrą monetę, przedstawia Konopnicka w swych poematach światło Ewangelii jako ciemnotę i fanatyzm, a w ciemnościach pogaństwa ukazać chce dobroczynne słońce szczęścia i prawdziwej oświaty. „Jakże nie mieli bezwyznaniowcy przyklasnąć głosicielce takich przekonań, pisze p. Choiński, nienawidzili przecież chrześcijaństwa różni Hellenowie w rodzaju Heinego i cała gawiedź żydowsko-liberalna, której etyka Chrystusowa nie pozwalała uwielbiać „pięknego ciała" pogańskich Greków". (str. 193).

Konopnicka uwielbia profonacyę grobów, Husem i inkwizycyą rzuca Kościołowi w oczy, choć dziś pierwszy lepszy studencik zarzuty takie przyjąłby z uśmiechem politowania. Nie mniej i w teoryi pesymizmu dochodzi Konopnicka aż do nienawiści krzyża, aż do obrony najohydniejszych zbrodni, aż do jawnego bluźnierstwa. Tak np. przemawia ona do Boga w wierszu „Z dni smutku":

„O dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,

I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy, i niech Bóg słucha!
Czy Tobie Boże imię: grom i burza,
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie Boże imię: błyskawica,
Że mu miecz nagi przyświeca?
Czy Tobie imię: śmierć i wytępienie,
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą Ci prysła z źrenicy?
Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
Łzą z oczu padła Ci Boże?...
Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną
Gdyś wydziedziczył myśl własną?...

Myliłby się jednak, ktoby ją posądzał o jakieś stałe, choćby najfałszywsze zasady; chaos to, wśród którego jedynym panem: chwilowe wrażenie. „Czemże ona właściwie jest?“ pyta p. Choiński. „Pozytywistką, ateistką, materyalistką, socyaliską, konserwatystką? Wierzy w potęgę wiedzy i nie wierzy, oskarża Boga i korzy się przed nim, prawi o przyrodzie, która sił swoich nigdy nie roni, ale je w wiecznym utrzymuje ruchu, i majaczy jak najpowiewniejsza romantyczka, płacze nad niedolą maluczkich i wychwala sielankę cichej wioski“. (str. 208). Czemże więc jest Konopnicka?... Grobowym pomnikiem pozytywizmu, ruiną wieży Babel, sterczącą na świadectwo tej prawdzie, że wszelkie ludzkie reformy bez Boga i przeciw Bogu podjęte, w gruzy rozsypać się muszą, a człowiek póki nie zwróci się do krzyża po rozwiązanie zagadki,

„... wiecznie wśród istnień gromady
Z okiem utkwionem w dalekim błękicie
Stać będzie człowiek samotny i blady
Pytając: co to jest życie?“
(M. Konopnicka).

B. Jasieńczyk

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Les origines de l'Eglise. Saint Pierre et les premières années du Christianisme par l'Abbé *C. Fouard.* Paris Librairie Victor Lecoffre.

W pierwszych miesiącach i latach po ukazaniu się niecnych pamfletów Renana, zebranych dziś pod tytułem „Początki chrześcijaństwa“, chrześcijańscy pisarze, dla zapobieżenia pierwszej, gwałtownej potrzebie zmuszeni byli w polemicznej formie poddawać krytyce rozdział po rozdziale, niemal kartkę po kartce, tych niestety zbyt rozszerzonych dzieł, wykazywać liczne a dobrowolnie popełnione nieloiczności i fałsze, na każdej kartce znajdujące się;

dowodzić jak na dłoni, że nigdyby Renan nie doszedł do potwornych swych wyników, gdyby z brakiem głębszej nauki nie połączył w nierówni jeszcze większym stopniu, braku dobrej wiary. Ale same polemiczne prace, samo burzenie fantastycznego gmachu, zbudowanego przez francuskiego akademika, nie wystarczyło; naprzeciw gmachu zlepionego z fałszów, należało wystawić, a raczej w właściwem tylko świetle okazać wspaniały tylko gmach chrześcijaństwa, którego sama cudowna budowa i niespożyta trwałość najwyraźniej świadczy, że nie ręką ludzką został zbudowany; należało wszechstronnie i gruntownie wyświecić historyę początków Kościoła, stosując się do wymagań najściślejszej krytyki historycznej, nie zaniedbując żadnej umiejętności, żadnego świadectwa, które choć najsłabszy promyk na tę najważniejszą epokę dziejów ludzkości rzucićby mogło.

Potrzebę takiego dzieła czuli wszyscy; nie jedna też książka potrzebie tej odpowiedzieć się starała i w większej lub mniejszej mierze jej odpowiedziała; nikt wszakże dotąd nie podjął tego zadania na równie szerokie rozmiary i nikt może równie dobrze mu nie sprostał, jak znany już dziś i głośny w uczonym świecie ks. Fouard w cyklusie dzieł opatrzonych wspólnym tytułem „Początek Kościoła“. Pierwsze z tych dzieł w dwóch grubych tomach zawarte: „Życie Jezusa Chrystusa“, jest najlepszą odpowiedzią na „Życie Jezusa“ Renana; drugie, które obecnie mamy przed oczyma: „Św. Piotr i pierwsze lata chrześcijaństwa“ jest w myśli autora i w rzeczywistości wałem wzniesionym przeciw „Apostołom“. Ks. Fouard w bezpośrednią polemikę nigdy się prawie nie zapuszcza; z nazwiskiem Renana ledwie parę razy i to w przypiskach się spotykamy; ale kto przeczyta jego książkę, ten, poznawszy współczesny świat i najważniejsze rysujące się na nim postacie, wie już doskonale co sądzić i o ile ufać można opowiadaniom i wrzekomej ścisłości mniejsza o to francuskich, niemieckich czy polskich niedowiarków: Straussów, Renanów a tem bardziej stąpających zdaleka ich śladami Havetów lub Radlińskich.

Historyę św. Piotra, a mówiąc dokładniej historyę Kościoła w pierwszych latach po Wniebowstąpieniu Boskiego jego założyciela rozpoczyna autor wprowadzając nas do wieczernika, w którym zgromadzeni Apostołowie oczekiwali zesłania obiecanego Du-

cha św. Pod wpływem natchnionych słów Piotra, zawiązała się w Jerozolimie w dzień Zielonych Świątek pierwsza gmina chrześcijańska; jak wyglądała w pierwszych zwłaszcza latach istnienia swego ta gmina, z jakich żywiołów się składała, jaki duch ją ożywiał, jaki wpływ w około wywierała; na ważne te a tak ciekawe pytania nie można należycie odpowiedzieć, nie skreśliwszy sobie wprzód, o ile można, dokładnego obrazu żydowskiego społeczeństwa, krążących w niem prądów, jego marzeń i nadziei. Autor daje nam ten obraz nakreślony w bardzo szerokich rozmiarach; nie zatrzymując się w samej Palestynie, oprowadza nas po żydowskich koloniach, licznie rozsianych po całym świecie, wylicza mnogie ich a ważne przywileje, które nieraz odrębne z nich państwa w państwie tworzyły. Czytając te dzieje, zdawałoby się czasami, że mamy przed sobą kartę współczesnej historyi: na wszystkich większych targach krzątają się żydzi, przeprowadzają pieniężne interesa, zakładają formalne banki, tuczą się lichwą, pełnią rolę dyplomatycznych ajentów, nieraz wychodzą na prawdziwych pieniężnych magnatów i monarchów. Czasami ludność pogańska jawniejszą jakąś krzywdą rozżalona rzuca się na dzielnicę żydowską, pali i morduje; ale gwałtowny ten wybuch trwa krótko, a ledwie lat kilka minie, żydzi wychodzą z ukrycia i dawne wzmocnione jeszcze zajmują stanowisko. Ta tylko kardynalna różnica między ówczesnymi a dzisiejszymi stosunkami, że wówczas wywierali żydzi bądź co bądź wpływ podnoszący; serca oburzone okropnościami pogaństwa krzepili wiarą w jednego Boga i życie przyszłe; ściągali do swych synagog zwłaszcza kobiety, których sercom wystarczyć nie mogły zimne obrzędy greckie, a wschodnie orgie słuszny wstręt budziły. Te też po wszystkich miastach spotykamy mnóstwo prozelitów, a zwłaszcza prozelitek żydowskich, i w tych to sercach spragnionych prawdy, pogaństwem już brzydzących się a nie przywiązanych jeszcze fanatycznie do dawnej Jerozolimy, nasienie chrześcijańskiej nauki najpiękniej i najbujniej wschodziło.

Na ogólnem tem tle zarysowują się wspaniałe postacie pierwszych rozszerzycieli nauki chrześcijańskiej wśród ludu żydowskiego: św. Szczepana i Filipa, a dalej staje mały wzrostem, olbrzymi rozumem i sercem, cudownie przed bramami Damaszku nawrócony Paweł. Po krótkim pobycie w Arabii, zmuszony do ucieczki z Da-

maszku, spotkał się Paweł z Piotrem w Jerozolimie i tutaj dwaj ci apostołowie, których pamięć w dziejach całego Kościoła, w jego świętach i modlitwach najściślejszymi węzłami ze sobą złączona, cały świat niejako pomiędzy siebie rozdzielili. Ale kiedy Paweł przygotowuje się jeszcze do apostolskiego życia i przez pierwsze osiem lub dziesięć lat po swem nawróceniu (od 37 do 46 r.) podrzędne niejako w Kościele zajmuje stanowisko, Piotr ustanawia hierarchię, ustala liturgię, rozwiązuje dogmatyczne trudności, oddziela ostatecznie Kościół od synagogi, sprawuje rządy najwyższego pasterza w Antiochii i w Rzymie.

Autor idąc ślad w ślad za swym bohaterem odsłania przed nami kolejno społeczeństwo antiocheńskie i rzymskie, jak poprzednio odsłonił społeczeństwo jerozolimskie, jego zwyczaje i obyczaje, niedostatki i choroby. Obie te wielkie stolice, które poniekąd panowanie nad wschodem i zachodem pomiędzy siebie rozdzieliły, ginęły w rozpuście równie moralnej, jak umysłowej; prześliczna Antiochia, licząca około pół miliona mieszkańców, słynęła jako gniazdo zepsucia podsycanego niecną czcią Baala i Astarty; stolica świata, Rzym, prawdziwy Babilon, jak go św. Piotr nazywa, tonął we wschodnich misteryach, a zapomniawszy zupełnie o dawnej surowości obyczajów, staczał się coraz niżej i szybciej, równie w publicznem, jak i w prywatnem życiu. Upadek kobiety, podłość licznych legionów klientów, gotowych na rozkaz swych panów za lichy grosz największych zbrodni się dopuścić; wstrętne łowy za dziedzictwami stanowią charakterystyczne cechy wiecznego miasta w tym smutnym czasie. Stoicy rzymscy, o wiele zresztą niżsi od greckich swych mistrzów, zastanawiają się przynajmniej nad wyższemi zagadnieniami, od których rozwiązania całe życie człowieka i wartość jego zależy; ale jakże smutna, w rozpacz wprawiająca ich nauka! Czy opatrzność Boża nad światem czuwa, czy dusza do nieśmiertelności stworzona nieśmiertelność i w jakich warunkach osiągnie? — Stoicy stawiają sobie te pytania, próbują na nie odpowiedzieć, ale niejasne te gorzkim sceptycyzmem zarażone odpowiedzi wykazują tylko dobitniej jeszcze, w jakich ciemnościach najszlachetniejsze nawet względnie umysły błąkają się, jeśli światło z góry ich nie oświeca.

Światło to zaniesione do stolicy Cezarów przez ubogiego ga-

lilejskiego rybaka, zajaśniało najprzód między tymi, którzy z dóbr ziemskich wyzuci, przez pyszne, samolubne pogaństwo niemal do rzędu zwierząt zniżeni, tem bardziej dóbr i pociech niebieskich potrzebowali: między niewolnikami, niewiastami, tłumem biednych rzemieślników i wyrobników. Rzym pogański odpychał niewolników od swych obrzędów; chrześcijańska nauka przypuszczała ich do wszystkich tajemnic, głosiła równość wszystkich dusz krwią Zbawiciela odkupionych, łączyła niewolników z panami w wspólnych agapach i pocałunku miłości. Kobiety stawiał chrześcijanizm nie jako niewolnice, lecz jako towarzyszki mężczyzny; uszlachetniał ich serca; podnosił i kierował wrodzonemi uczuciami i popędami, które dotychczas, nie mogąc się zadowolnić zimnymi obrzędami pogańskiego Rzymu, szukały dla siebie pokarmu w egipskich tajemnicach lub w żydowskich synagogach. Ewangelia głoszona przez św. Piotra najprzód w żydowskich *ghetto*, później w ubogich dzielnicach, na końcu jak niesie tradycya i w kilku pałacach rzymskich, była prawdziwie głosem Bożym, dla tych serc spragnionych prawdy. Nic też w tej chwili rozszerzaniu prawdy nie stało na przeszkodzie: urzędnicy rzymscy, uważając chrześcijaństwo za jednę z sekt żydowskich, nie odmawiali chrześcijanom praw i przywilejów udzielonych żydom; widząc w chrześcijanach najlepszych i najwierniejszych poddanych, za wierność tę płacili tolerancyą, nie jak później męczeństwem. Spokój ten nie miał trwać długo; za niewiele miesięcy zabłysnąć już miały straszne pochodnie Nerona; wszcząć się miało ogólne prześladowanie, tylekrotnie przez Chrystusa i uczniów jego przepowiadane; tymczasem jednak swobodnie mógł jeszcze Piotr i między żydami i między poganami opowiadać Jezusa Ukrzyżowanego i stolicę pogańskiego świata przemieniać w stolicę katolickiego Kościoła.

W pracy tej miał mu być najważniejszym pomocnikiem od Boga wybrany, cudownie nawrócony Paweł. Działalność wspólną obu Apostołów, wielką zwłaszcza postać *Apostoła narodów* nakreślić nam pragnie autor w następnych księgach monumentalnego swego dzieła; którem sądząc po znanych nam dotąd tomach, prawdziwie nieocenioną dobrej sprawie oddał przysługę. Fałsze Renana znalazły do nas przystęp; czy nie byłoby rzeczą dobrą i pożyteczną, aby na tę truciznę podać lekarstwo, jeśli już nie przez

tłumaczenie, to przynajmniej przez obszerniejsze streszczenie dzieł ks. Fouarda. Może się mylimy, ale zdaje nam się, że takie streszczenie, byle rozumnie i poprawnie dokonane, znalazłoby dla siebie bardzo odpowiednie miejsce w którejbądź z naszych peryodycznie wychodzących „Bibliotek“ i opłaciłoby się nie tylko moralnie, ale i materyalnie.

B.

Henry VIII and the English monasteries (Henryk VIII i angielskie klasztory) przez *O. Gasquet.* 1888.

Wydawnictwo archiwalne — do panowania Henryka VIII zeszło się z publikacyą, która czytelnikom podaje, nie już surowy materyał, lecz opracowane źródła dziejowe. Pod przytoczonem wyżej tytułem O. Gasquet, z zakonu św. Benedykta, wydał tom pierwszy poważnego dzieła, rozświecającego świadectwem samychże nieprzyjaciół Kościoła cienie przez nich samych nagromadzone niegdyś w około domów Bożych i przybytków zakonnych. Uczony autor, sumienny badacz dokumentów, postanowił oczyścić istniejące w chwili reformacyi klasztory angielskie z oskarżeń, które na nich od trzech wieków zaciążyły. W tym celu sprawdził wartość i wiarogodność przywiedzionych świadków i świadectw. Streścił zaś podjęte przez się zadanie w owych pamiętnych słowach sławnego mowcy i męża stanu Anglii, Edmunda Burki: „Nie wiele daj wiary temu, który źle mówi o tych, których zrabować zamierza. Przypuszczam, iż winy musiały być zmyślone lub przesadzone, ilekroć z kary ma wyniknąć zysk dla karzącego. Nieprzyjaciel podejrzanym bywa świadkiem, złodziej jeszcze podejrzańszym“.

Wstęp do pracy Ojca Gasquet wyjaśnia nam okoliczności, które ułatwiły Henrykowi VIII dokonanie tylu gwałtów. Morowe powietrze, które w Anglii połowę ludności zmiotło na 150 lat przed panowaniem Henrykowem, zgotowało w części idący przełom, odmianą wewnętrznych stosunków państwa. Z jednej strony brak duchowieństwa na pokoleniach zaciężył niedostatkiem religijnej posługi i wykształcenia, z drugiej brak robotnika zniszczył większych właścicieli, przewaga szlachty runęła, i król mógł łacniej po samowładzę sięgnąć, opierając się na nowej klasie urzędników, która wzrastała po części z awanturników i karyerowców, żądnych szybkiego wzbogacenia.

Praktyka ta rozwiązywania klasztorów nie była obcą monarchom angielskim. Nie jeden poprzednik Henryka VIII posunął się był do tego kroku, zawsze atoli za ostatecznem upoważnieniem stolicy świętej. Inne teraz zabrzmiały hasła: skarb królewski świecił pustkami, nie było lepszego środka wypełnienia próżni jak zrabowaniem dóbr klasztornych, tem bardziej iż były one natenczas bardzo znaczne, rosnąc od wieków z ofiar pobożnych, z pokutnych zadośćuczynień grzeszników, z jałmużn serc dobroczynnych. Miało ich być do tysiąca i trzecia część gruntu do nich należała, ku powszechnemu zadowolnieniu czynszowników. Lepiej im być pod pastorałem, aniżeli pod lancą, staro-angielskie mawiało przysłowie. I rzeczywiście, ile było klasztorów i opactw, tyle ognisk czynnego miłosierdzia. Nie brakło i wtedy ubóstwa w Anglii, boć

wszędzie życie przynosi z sobą odmiany losu, majątku i zdrowia. Ale wiara, uznająca braterstwo chrześcijańskie w cierpiących członkach Kościoła, łagodziła nierówności ludzkich przeznaczeń. Czemu nie podołały klasztory, to uzupełniała działalność litościwa świeckiego duchowieństwa, biskupów, i wszystkich wiernych jednym duchem miłości ożywionych. Z łupieżą Kościoła i klasztorów rozpoczął się właściwy okres ubóstwa i społecznych, nie rozwiązanych w Anglii zagadnień. Źródło miłosierdzia wyschło wraz z wygaszeniem tych ognisk przewodnich. A słusznie powiedziano, iż nie tyle Kościół, ile biedni ucierpieli na dokonaniu rabunku.

Niepodobna w doraźnem sprawozdaniu przytoczyć wszystkich dowodów zebranych przez Ojca Gasquet celem uniewinnienia ówczesnych klasztorów od potwarzy rzekomo usprawiedliwiających ich zniesienie. Niegodziwość i chciwość wizytatorów jaskrawo występuje na mętnem tle epoki, poznajemy wartość narzędzi używanych do zaprowadzenia t. zw. reformy, zmierzamy nacisk wywarty z góry, aby bądź co bądź upozorować konfiskatę dóbr klasztornych, z odrazą poznajemy knowania i pokusy nasuwane podstępnie, aby zgubić zakonne osoby, a zdumiewamy się stałością i wytrwałością powołań, gdy bowiem gwałt otworzył furty klasztorne, z tego mnóstwa Bożych domów i licznego zastępu zakonników i zakonnic, zaledwie znalazło się pięćdziesięciu mężczyzn i dwie kobiety — gotowe opuścić regułę i porzucić mniszą szatę. „Znając dzisiejsze siostry angielskie, zakonnice z XVI stulecia, powiada kardynał Manning, „domyślić się możemy, iż i tamte przeszły bez skazy przez ogień prześladowania i pokusy". Prasa katolicka z największem uznaniem powitała księgę uczonego Benedyktyna, a najpoważniejsze w Anglii głosy stwierdziły wysokie znaczenie historyi opactw i klasztorów za Henryka VIII.

M.

Le procès de Galilée et la Théologie par *J. B. Jaugey*, prêtre. Paris 1888, p. 128.

Kiedy w r. 1877 P. de l' Epinais wydał oryginalne akta procesu Galileusza, zdawać się mogło, że ostatnie słowo w tej kwestyi stanowczo zostało wyrzeczone, i że odtąd nowe polemiczne książki i broszury o Galileuszu należeć będą co najmniej do rzadkości. Stało się wręcz przeciwnie; ludzie najmniej często do tego odpowiedni użyli i nadużyli ogłoszonych materyałów, a czytając umieszczony w przedmowie cennej rozprawy ks. Jaugeya długi szereg dzieł i rozpraw o Galileuszu ogłoszonych w ostatnich dziesięciu latach, mimowoli nasuwa się pytanie: Czy nie należałoby tu zastósować naszego przysłowia: *Szkoda czasu i atłasu?* Przeciwnicy Kościoła idąc za radą Woltera powtarzają wciąż te same kłamstwa i tem samem zmuszają obrońców prawdy do powtarzania tych samych dowodów: niezbędna to praca, której tem szczersze należy się uznanie, im mniej sama z siebie ponętna. Autorowi broszury wymienionej w nagłówku tem większe należy się uznanie, że na niewielu stronnicach jędrnie a zajmująco obznajamia czytelników z całą tą sprawą, wyprowadza z niej właściwe wnioski, nie nuży a jednak wszystkim, mniej nawet wykształtonym, daje w ręce broń wystarczającą przeciw licznym oszczerstwom w tej mierze na Kościół miotanym. W szczególności zastanawia się autor, czy i jakie zarzuty możnaby podnieść z procesu Galileusza przeciw nieomylności papieskiej?

Dawniej cały ten proces i ostateczny wyrok starano się złożyć wyłącznie na karb kongregacyi Indeksu i Inkwizycyi, uchylając papieżów od wszelkiej odpowiedzialności. Dziś niewielu już tylko w tej przynajmniej formie broni tego zdania; natomiast rzeczą jest oczywistą, że równie Paweł V w r. 1616, jak Urban VIII w r 1623 podpisali wyłącznie dyscyplinarne dekrety, nie jednoczące w sobie bynajmniej warunków, po których, wedle wyjaśnienia Watykańskiego soboru, rozpoznać można nieomylne orzeczenia papieża, pouczającego wiernych z mocy i w imię poruczonego sobie urzędu. Można się więc zastanowić, czy nie byłoby może właściwiej dekretów tych nie podpisywać; ale kto kuje z nich broń przeciw nieomylności papieskiej, ten pokazuje tylko, że albo nie zna tekstu dekretów, okoliczności wśród których zostały wydane i celu do którego zmierzały; albo o samej istocie nieomylności papieskiej z gruntu fałszywe ma wyobrażenie.

Najlepiejby bez wątpienia było, aby niefortunny zarzut przeciw Kościołowi z procesu Galileusza raz wreszcie stanowczo z placu ustąpił; kiedy to zdaje się niepodobnem, cieszyć się przynajmniej należy, że książki i rozprawy w rodzaju broszury ks. Jaugeya energicznie w obronie prawdy występują.

B.

Grundriss der Patrologie, oder die ältern christlichen Litteraturgeschichte, von *Dr. Johannes Alzog.* Vierte, verbesserte Auflage. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1888.

Ostatnie wydanie dzieła Alzoga ukazało się w r. 1876. Od dłuższego już czasu dała się czuć potrzeba nowego, zupełnie przerobionego wydania. Przerobienie to jednak nie przyszło dotąd niestety do skutku; a ponieważ uczący się nie mają w ręku odpowiedniego podręcznika, bo książeczka Schmida jest niewystarczająca, a nowe choć rzeczywiście wyborne dzieło Nirschla odstrasza od siebie trzema grubymi tomami; dlatego dla zadośćuczynienia gwałtownemu brakowi zdecydowano się na ponowne wydanie Alzoga z niewielu tylko i nieznacznemi poprawkami. Ogłoszone w Insbruku w r. 1850 przez biskupa Fesslera *Institutiones Patrologiae* nie doczekały się również nowego, do dzisiejszych potrzeb zastósowanego wydania. Dzieło Alzoga jest bezsprzecznie nader cennem; pomimo to jednak domaga się koniecznie pewnych zmian, nad któremi nie mamy potrzeby bliżej się rozwodzić, tem bardziej że sami wydawcy konieczność ich czują, i w następnem (piątem) wydaniu obiecują je przeprowadzić.

A.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pomnik Giordana Bruno. — Manifestacye przeciw rzymskiej radzie miejskiej. — Nowy kodeks karny. — Protesty biskupów. — Alokucya papieska. — Rozprawy w parlamencie. — Święto statutu. — Encyklika do biskupów brazylijskich. — Zniesienie niewolnictwa w Brazylii. — Niewolnictwo w Afryce. — Kardynał Lavigerie. — Pocieszające fakta.

Kiedy przed kilkunastu miesiącami jawnem już było, że dni papieskiego jubileuszu będą dniami wspaniałego tryumfu papiestwa po świecie całym, wtedy włoscy wolnomularze, nie śmiejąc czy nie mogąc wprost tryumfowi temu przeszkodzić, postanowili urządzić przynajmniej kontrmanifestacyę, występując z wielkim hałasem z projektem wystawienia w Rzymie posągu „ofierze papieskiego okrucieństwa“, Giordanowi Bruno. Sprawa ta zbyt długo się ciągnąca, propagowana i podsycana tysiącznemi broszurami i artykułami, ulicznymi burdami i w ulicznym stylu przy pełnych kielichach wygłaszanemi mowami, doczekała się wreszcie epilogu w miejskiej radzie rzymskiej, i to wbrew jawnemu naciskowi ze strony rządu i ulicy, epilogu rozumnego. „Pomnik ten, przedstawił jasno kwestyę radca miejski, „Santucci, ma być w myśli swych zwolenników, hołdem złożonym „negacyi wszelkiej objawionej wiary, publicznem przyznaniem się „do niedowiarstwa wedle programu dzisiejszych wolnodumców. „Z taką myślą i z taką manifestacyą rada miejska nic wspólnego „mieć nie może, ponieważ obywatele, których przedstawia, są kato-

„likami; ponieważ w samychże miejskich szkołach 15,000 dzieci „pobiera katolickie wychowanie; wreszcie ponieważ żadne zgroma- „dzenie tego rodzaju, co nasza rada, nie ma prawa poddawać pod „dyskusyę projektu, będącego zatwierdzeniem walki z powagą Naj- „wyższego Pasterza rezydującego w Rzymie, a którego prawo uznaje „i broni. Wolno wam stawiać wedle upodobania posągi i pomniki, „ale nie możecie żądać, aby Rada miejska powagą swą uświęcać „miała manifestacyę, noszącą na sobie piętno niezgodne z uczuciami „mieszkańców naszej stolicy". Niezbite te, w imię wolności i tole- rancyi dla praw i uczuć katolickich wygłoszone argumenty, trafiły do przekonania Rady, która też 36 głosami przeciw 29, oświadczyła się przeciw postawieniu pomnika.

Względnie więc pomyślnie zakończyła się ta wstrętna kome- dya; najęci ulicznicy hałasowali wprawdzie głośno i długo w noc: „Precz z klerykalną Radą! Precz z gwarancyami! Precz z Waty- kanem!"; nazajutrz przeciągały po ulicach gromadki studentów wo- łając: „Niech żyje Giordano Bruno!"; kilku studentów na rozmaitych zebraniach wygłosiło mowy, a raczej długie litanie zniewag i obelg, które zmiażdżyć miały: „klerykalnych radców", „fałszywych libera- łów", „gasicieli cywilizacyi", „gniazda os i jaszczurek watykańskich"; inni a między nimi profesor rzymskiego uniwersytetu, Labriola, wyrażali pobożne życzenia: „aby Watykan został jak najprędzej skon- fiskowany na własność narodu", — ale krzyki te i burdy były osta- tecznie tylko wyrazem bezsilnej złości, wyborną ilustracyą, jak libe- rali szanują wolność słowa i majestat przedstawicieli ludu, kiedy ci wbrew z góry danemu hasłu, istotnie wolę ludu odważą się speł- nić. Biorąc pochop z tych sztucznie urządzonych manifestacyj, dzien- niki radykalne nie tracą nadziei, że wystawienie pomnika „wrogowi papiestwa" zostało tylko odroczone, i dziś już szumnie zwracają się do ludu, aby przy następnych wyborach umiejąc rozróżnić między swymi przyjaciołmi a nieprzyjaciołmi, tym tylko głosy oddawał, którzy z góry oświadczą się za statuą dla Giordana Bruno. „Czy „to nie szczyt śmieszności? pyta w słusznem zniecierpliwieniu ul- „traliberalna *l'Italie*. Nowy Rzym zadziwia cudactwami, dawny „brudami. Najgłówniejszem zadaniem mieszkańców Rzymu jest wy- „brać do rady ludzi zdolnych, energicznych, mających dość silną „rękę, aby pchnąć naprzód tę niezliczoną armię municypalnych le-

„niuchów, którym drogo płacimy za każdą godzinę wygodnego le-
„niuchowania. I oto nastręcza się sposobność do wypełnienia tego
„obowiązku, wybory do rady miejskiej się zbliżają; czy może my-
„ślicie, że w wyborach tych wolno nam będzie mieć wzgląd na
„zdolności i przymioty ubiegających się? Zabawne pytanie! — jak
„gdyby komu chodziło o przekształcenie Rzymu w miasto piękne
„i wygodne, w prawdziwą stolicę! Obecnie chodzi o to, czy mnich,
„Giordano Bruno, zmarły przed kilkuset latami, a którego 368,000
„na 370,000 Rzymian zna i to wcale nie od dawna li tylko imię, bę-
„dzie czy nie będzie mieć posągu w pośrodku marchwi na *Campo*
„*de' Fiori*"

To komedya — przykra, ale w gruncie bardziej jeszcze śmie szna i twórców swych ośmieszająca, niż szkodliwa; o wiele smutniejszym faktem jest uchwalenie nowego *Kodeksu karnego*, którego ostrze, jak w majowym zeszycie wykazaliśmy, wręcz, bez żadnego już wstydu przeciw Kościołowi i papiestwu jest zwrócone. Niezmiernie ważne kwestye w nowym kodeksie despotycznie rozstrzygnięte, niejasna stylizacya otwierająca pole tysiącznym nadużyciom domagały się gwałtownie, dla zadośćuczynienia choćby tylko pozorom wyczerpujących rozpraw, mnogich poprawek, jakiegoś przynajmniej usprawiedliwienia ze strony rządu, dlaczego do tak gwałtownych, z elementarnem pojęciem wolności sprzecznych kroków się ucieka. Dyskusya taka poważna, wszechstronna nad rządowym projektem była, zdawałoby się, niezbędna, zwłaszcza w obec głębokiego zaniepokojenia, jaki projekt ten wywołał w całych Włoszech, a można powiedzieć w całej Europie. Biskupi neapolitańscy, toskańscy, umbryjscy ogłosili z kolei zbiorowe protesty przeciw kodeksowi, i wnieśli petycye do parlamentu, piętnując nowe prawo jako dzieło sekty, jako narzędzie nie sprawiedliwości, ale zaciekłości fanatycznej względem Kościoła katolickiego. Nie inaczej wyraził się sam papież w alokucyi na konsystorzu z dnia 1 czerwca, wyłącznie przedmiotowi temu poświęconej. Streściwszy w krótkich słowach nowe prawa, ich złość i widoczny cel, aby w ten sposób odjąć Kościołowi, pod groźbą srogich kar, wszelką wolność słowa, czynów i życia, oświadczył Leon XIII, że obowiązek nakazuje mu do walki stanąć i uroczyście przeciw nowemu temu, największemu bezprawiu zaprotestować:

„Obowiązkiem naszym jest podnieść głos apostolski i jawnie,

„jako teraz to czynimy, oświadczyć, że wymienione prawa sprzeci-
„wiają się kościelnej władzy i prawom; zgodzić się nie mogą z wol-
„nością niezbędną w rządzeniu Kościołem; uwłaczają w wysokim
„stopniu godności biskupów, całego duchowieństwa, a przedewszy-
„stkiem stolicy apostolskiej; tak iż ustanawiający je, broniący i po-
„twierdzający wprost bezprawia się dopuszczają. Nie dlatego zaś
„żale nasze w tym względzie wynurzamy, jakobyśmy obawiali się
„grożącej i zbliżającej się cięższej jeszcze niż dotychczas walki.
„Kościół na inne już burze patrzył, a zawsze z nich nie tylko zwy-
„cięsko, ale silniejszy i piękniejszy wychodził. Moc Boża zabezpie-
„cza przed ludzkimi zapędami. Znamy biskupów, znamy duchowień-
„stwo włoskie; wiemy co uczynią, kiedy jedno z dwojga wybierać
„będą musieli: narażenie się ludziom, albo sprzeniewierzenie się
„najświętszym swym obowiązkom. Ale to nas serdecznie boli, że
„właśnie we Włoszech Kościół i papiestwo na największe wysta-
„wione jest prześladowanie, choć Włosi, z niewieloma wyjątkami,
„czczą i szacują Kościół i papiestwo z podziwienia godną stałością;
„choć właśnie za pośrednictwem Kościoła i papiestwa niezliczone
„dobrodziejstwa zawsze na Włochy spływały. Trwożą nas niemniej
„wszystkie te zabiegi i środki, użyte stósownie do woli *sekt*, w celu
„odłączenia od Kościoła ludu tego, na macierzyńskim jego łonie
„wykarmionego i wychowanego; bolejemy, że wedle z góry powzię-
„tego planu, coraz bardziej zajątrza się i przeciąga nieszczęsny spór
„z Kościołem, który pragnęlibyśmy z całego serca i dla dobra Ko-
„ścioła i z miłości względem ojczyzny, w niczem jednak sprawie-
„dliwości i prawom stolicy świętej nie uwłaczając, raz wreszcie
„zakończyć. Kto chce wciąż z Kościołem walkę toczyć, nierozumnie
„sobie postępuje, a samemuż państwu najbardziej szkodzi; do wszy-
„stkich krajów się to stosuje, ale do włoskiego najbardziej. Dla-
„tego, innych środków w ręku nie mając, błagamy bez przestanku
„Boga, aby nad nami się zlitował i lepsze dał nam czasy; w szcze-
„gólności zaś błagamy dla ludów włoskich, aby za pomocą Boską
„zawsze wiernie i bez skazy zachowały wiarę katolicką, złączoną
„z miłością dla stolicy św., i aby dla zachowania tych dóbr, wszy-
„stko znieść i wycierpieć były gotowe".

Uroczysty protest papieski, protesty biskupów włoskich, krzycząca wreszcie niesprawiedliwość nowych praw, wywarły za grani-

cami Włoch, nawet w kołach bynajmniej o sympatye dla Kościoła katolickiego i papiestwa nie podejrzanych, wielkie a dla twórców kodeksu bardzo nie pochlebne wrażenie. Protestancki *Journal de Genève* nazywa nowy kodeks wielkim taktycznym błędem, śmiałem wypłynięciem na morze awantur, którego Depretis ostrożnie i roztropnie unikał, ale które dzisiaj dla gwałtownego a niezgrabnego sternika państwowej nawy włoskiej widoczny ma powab. Nowy kodeks, wnioskuje radykalna *Pall-Mall Gazette*, zmusi papieża w niedługim przeciągu czasu do opuszczenia Włoch; czy to dla Włoch będzie korzystnem, o tem Crispi i jego koledzy najlepiej podobno wiedzą. „Czy to dobre, czy to dla Włoch korzystne, pyta „również *Saturday Review*, nie sądzimy. Dobrze znający dzisiejsze „Włochy i stan ich moralny, nie wahają się przypisywać opłaka„nych stosunków, w których kraj ten się znajduje, zbyt już dłu„giej walce toczącej się między państwem a Kościołem, walce pod„trzymywanej przez ateuszowską prasę i przez emisaryuszów niezli„czonych tajnych stowarzyszeń, które po całym kraju rozszerzone „podkopują jego instytucye". Walka antyklerykalna wrze we Włoszech, cieszy się *Voltaire*; do wzmocnienia Włoch to się nie przyczyni, a w danym razie inne proroctwa mają wyborną sposobność do ujęcia się za papieżem i przytarcia rogów niegrzecznym sąsiadom. „Szczególne to prawodawstwo, pisze wiedeńska *Correspon„dance de l'Est*, któremu podobnego historya wskazać nie umie, „elastyczne i nieokreślone, daje rządowi w ręce olbrzymią dyskre„cyonalną władzę przeciw papieżowi, biskupom, katolikom i du„chowieństwu. Ile razy mu się tylko spodoba, może przeszkodzić „ogłoszeniu mowy papieża, kazania, lub jakiegobądź aktu biskupa „czy proboszcza, artykułu katolickiego dziennika, o ile akty te „i dokumenty odnoszą się do praw i instytucyj państwowych, lub „do kwestyi rzymskiej. Względem Kościoła i papiestwa ogłoszono „stan oblężenia. Papieżowi zostawiono jedynie do wyboru: poddać „się, lub abdykować". Nawet włoskie liberalne i radykalne dzienniki, które nie będąc na żołdzie Crispiego zupełnie jeszcze wstydu się nie wyrzekły, rumienią się za to barbarzyńskie dzieło, niegodne cywilizowanego narodu. „Trudno pojąć, odzywa się *Perseveranza*, „dla czego pewna kategorya obywatelów ma mieć przywilej pono„szenia kar i prześladowania za czyny, które żadnej nie podlegają

„karze, jeżeli dopuszczają się ich obywatele do kategoryi tej nie „należący". *Fanfulla* znowu występując przeciw *Koelnische Zeitung*, która choć z pewnemi zastrzeżeniami stanęła w obronie kodeksu, „bardzo słusznie zauważa, że „kto zniósł *kulturkampf* u siebie, „w tego ustach dość dziwnie brzmią pochwały *kulturkampfu* u in„nych"; a polemizując z *Riforma* pyta: „Czyżby istotnie rząd „miał tylko na myśli ukuć wygodną broń przeciw Kościołowi, „stworzyć prawo sekciarskie?".

Naiwne pytanie dowodzące tylko, że żyją jeszcze we Włoszech dawnej daty liberali, wierzący po dziś dzień w głośny, dziś z pogardą przez organa Crispiego odrzucony aksyomat: „Wolny Kościół w wolnem państwie". Ale i tych nie wielu niepoprawnych, wierzących po staremu w zdobycze „liberalnej ery" i w zbawczą potęgę parlamentaryzmu, rozczarować chyba musiały pospieszne, jakby dla nieopuszczenia do niczego zresztą nie obowiązującej ceremonii przedsięwzięte rozprawy nad zaprowadzeniem nowego kodeksu. „Kodeks przejdzie w izbach prawie bez dyskusyi" zapewniał z góry *Diritto*, a choć z początku twierdzenie to wydawało się niemożliwem i wprost potwornem, przebieg dyskusyi wykazał, że *Diritto* bardzo dobrze był poinformowanym. Przeciw najbardziej krzyczącym paragrafom kodeksu nie wielu tylko mowców wystąpiło, i to raczej w imię oportunistycznych, niż zasadniczych względów. Stary szermierz liberalizmu, dawny minister Bonghi, dowiódł w dłuższem przemówieniu, że kodeks Crispiego jest negacyą niezniesionych dotąd bynajmniej praw gwarancyjnych; a elastycznością swą i niedokładnością pojęć i wyrażeń dać musi powód do tysiącznych nadużyć. Nieco energiczniej wystąpił radykał Bovio i Chimirri przeciw „zgnieceniu wolności myślenia i wolności zebrań"; książe Odescalchi zwrócił uwagę, że ksiądz, który będzie się chciał ściśle zastósować do żądań kodeksu, przestanie tem samem być księdzem katolickim, a straciwszy swą godność i charakter żadnej rzeczywistej usługi nie będzie w stanie oddać społeczeństwu; paru innych posłów odważyło się zalecić ministrowi kilka łagodzących poprawek. W odpowiedzi na te bardzo zresztą, w ogóle mówiąc, słabo uczynione zarzuty i żądania, minister sprawiedliwości Zanardelli zapewnił izbę, nie wiedzieć z większą ironią czy lekceważeniem: „Część kleru poświęcająca się ćwiczeniom du-

„chownym, niczego od tych rozporządzeń obawiać się nie potrze-„buje. Ale wyznając wielki szacunek dla wolności sumienia i reli-„gii, powinniśmy zarazem silnie i wytrwale bronić nowych prero-„gatyw. W ten sposób oddamy prawdziwą usługę lepszej części „kleru, której szeregi wzmacniać nam bez przestanku należy, po-„nieważ część ta zrozumiała, że polityczna epoka dziejów Kościoła „raz na zawsze została zamkniętą. Rozporządzenia nowego kodeksu „dozwolą duchowieństwu stanąć z usprawiedliwioną dumą po za „areną stronnictw; w razie zaś gdyby kto usiłował namówić lepszą „tę część kleru do zajęcia przeciwnego stanowiska, w kodeksie „znajdzie ona siłę do oparcia się tym namowom". Otóż i wszystko, co powiedziano dla obrony barbarzyńskich rozporządzeń kodeksu; ale Crispi i Zanardelli, znając dobrze skład oddanego sobie służalczo parlamentu, nie myśleli się silić na pozorne nawet odparcie uczynionych zarzutów i naglili tylko, aby izba jak najprędzej przystąpiła do głosowania. Istotnie izba przeszła jednogłośnie nad petycyami biskupów do porządku dziennego, a po kilku ledwie godzinach dyskusyi, zdawszy się na łaskę Zanardellego, który półgębkiem przyobiecał, że starać się będzie złagodzić niektóre zbyt surowe paragrafy, wymierzone przeciw duchowieństwu, przyjęła cały kodeks 245 przeciw 67 głosom. Przepowiednia *Diritta* sprawdziła się, ale trudno również nie przyznać racyi słowom wielu włoskich, francuskich i niemieckich gazet, że dawno już parlamentaryzm tak ciężkiego ciosu nie poniósł i tak jawnie, jak przy tej okoliczności, w komedyę a raczej w niewesołą, kuglarską sztuczkę się nie przemienił.

Jakby dla dania przedsmaku, jaka niewola czeka katolików, a jaka swawola dozwoloną będzie wszystkim wrogom Kościoła pod nowym kodeksem, wystąpili wolnomularze rzymscy w dzień *Święta statutu* a zarazem rocznicę śmierci Garybaldego, z brutalnemi mowami przeciw papiestwu, zupełnie bezkarnie, mimo istniejących jeszcze praw gwarancyjnych, wygłoszonemi a następnie rozszerzonemi w gazetach. Prezes uroczystości, generał Serafini, nie przebierając w wyrazach, mówił: „Wierność dla statutu zyskała do-„mowi Sabaudzkiemu koronę włoską; podczas gdy książęta zdrajcy, „obietnic swych niedotrzymujący narazili się na niecześć i wygna-„nie. Choć mieszka jeszcze między nami jeden z tych złożonych

„książąt, który oszukuje katolików, zbierając pieniądze i podarunki „i ciągnąc korzyści z przesądów; mamy jednak tę pociechę, że ża- „den z tych wiarołomców mieszać się obecnie nie może do spraw „włoskich“. Serafiniemu nikt naturalnie mowy nie przerwał, ale gdyby mu ją przerwał, kto wie czy wedle ustaw nowego kodeksu nie naraziłby się na dożywotnie więzienie, jako „dopuszczający się „czynu zmierzającego do naruszenia jedności państwowej“.

Kiedy rząd włoski coraz cięższe kajdany na papieża nakłada, Leon XIII wstępując w ślady swych poprzedników nie zaniedbuje żadnej sposobności, aby wprowadzając w wykonanie wspaniały program przez chrześcijaństwo w świat wprowadzony, prawdziwą wolność, chrześcijańską równość i braterstwo ogłaszać i rozszerzać. Z okazyi jubileuszu papieskiego, chcąc Ojcu św. przynieść i przynosząc rzeczywiście dar najwspanialszy, zniósł ostatecznie rząd brazylijski niewolnictwo w olbrzymiem swem cesarstwie, obdarzając wolnością około pół miliona dorosłych mężczyzn i kobiet, gdyż dzieci zrodzone od r. 1871 już poprzednio były za wolne uznane. Papież dziękując za ten dar, któremu jak już poprzednio oświadczył, żaden inny nie sprostał, wydał encyklikę do biskupów brazylijskich, omawiającą szeroko kwestyę niewolnictwa, nieśmiertelne zasługi Kościoła w tej mierze i najgłębszą swą radość z ostatniego prawa, stanowczo znoszącego niewolę. Ale ciesząc się z szczęśliwego tego wydarzenia, Ojciec św. zwraca się myślą w stronę Afryki, gdzie hańbiąca ród ludzki niewola w całej pełni, z barbarzyńską srogością kwitnie i domaga się od rządów i ludów użycia odpowiednich środków na zapobieżenie złemu.

„Sprzedaż ludzi, pisze Leon XIII, ustała wprawdzie na mo- „rzu, ale na lądzie stałym, zwłaszcza w pewnych okolicach Afryki, „wciąż na bardzo szeroką skalę i z niesłychanem barbarzyństwem „się rozwija. Mahometanie uważają mieszkańców Etyopii i inne są- „siadujące z nimi szczepy za istoty zaledwie w czemkolwiek od „zwierząt wyższe, a stąd nie trudno, choć z żalem niezmiernym po- „jąć, z jakiem okrucieństwem, na żadne względy nie zważając, „z nimi się obchodzą. Niespodzianie i gwałtownie, niby złodziejska „szajka wpadają do prowincyj etyopskich; zajmują niszcząc i łu- „piąc miasta, wsie i wioski; uprowadzają ze sobą łatwą zdobycz: „mężów, kobiety i dzieci, i pędzą ich siłą na bezecne targi. Hanie-

„bne te wyprawy wyruszają z Egiptu, z Zanzibaru i z pewnych „okolic Sudanu; nieszczęśliwi łańcuchami obciążeni przebiedz mu„szą długą drogę, ledwie nie mrąc z głodu, jęcząc pod razami; „słabsi na śmierć pewną z góry są skazani, silniejsi stają na targu „jak bydło, aby dostać się w ręce okrutnych a bezwstydnych ku„pców. Wszyscy w ten sposób sprzedani i oddani na pastwę, na„rażeni są na opłakania godne rozłączenie z żonami, dziećmi, ro„dzicami; dostają się pod władzę panów twardych i srogich, któ„rzy zmuszają ich nawet do przyjęcia religii mahometańskiej. „Szczegółów tych dowiedzieliśmy się dawniej z wielką boleścią na„szą, od naocznych świadków tych okropności, a ostatni badacze „równikowej Afryki w zupełności potwierdzają te opowiadania. „Świadczą oni, że liczba Afrykańczyków sprzedawanych w ten „sposób i traktowanych jak bydlęta dochodzi rokrocznie do 400.000, „z których mniej więcej połowa ginie w drodze pod razami i z nę„dzy tak, że podróżnicy — smutno to powiedzieć! — idą, niby „wytkniętą drogą, za śladami niepogrzebanych kości ludzkich. Ko„góż nie wzruszy myśl o tylu nieszczęściach! My z naszej strony „zastępując miejsce Chrystusa, wybawcy i pełnego miłości Zbawi„ciela wszystkich ludzi, napełnione mając serce radością z powodu „tylu a tak chwalebnych zasług Kościoła położonych, względem „wszelkiego rodzaju nieszczęśliwych, zaledwie wypowiedzieć mo„żemy, jakiem współczuciem przejęci jesteśmy dla tych ludów, „z jaką niezmierną miłością ręce do nich wyciągamy, jak gorąco „pragniemy zjednać im wszelką możliwą pomoc i opiekę, aby wy„swobodzeni jednocześnie z niewoli ludzkiej i z niewoli przesądów, „mogli nakoniec wejść w służbę jednego, prawdziwego Boga, pod„dać się słodkiemu jarzmu Chrystusowemu i z nami stać się ucze„stnikami dziedzictwa Bożego. Dałby Bóg, aby wszyscy, którzy „zabezpieczyć pragną prawa ludzi i ludzkości całej, lub szczerze „pracują nad rozwojem religii, aby wszyscy, słuchając naszych próśb „i zaklęć, pracowali z zapałem nad powstrzymaniem, usunięciem „i wytępieniem tego nad wyraz haniebnego i bezecnego handlu!...“

W dwa tygodnie po podpisaniu encykliki do biskupów Brazylijskich stanęło przed papieżem, pod przewodnictwem kardynała Lavigerie, około trzydziestu Murzynów i Arabów, staraniem misyonarzów z niewoli wykupionych, aby Ojcu św. podziękować za pra-

wdziwie ojcowską miłość i opiekę nad swymi nieszczęśliwymi ziomkami. Z pielgrzymką Afrykańską stanęła przed tronem Ojca św., wypełniając dawniej powziętą, piękną i szczęśliwą myśl, pielgrzymka złożona z 400 mieszkańców Lugdunu, „który, mówiąc słowami kar„dynała Lavigerie, od pół już wieku żywi głównie i podtrzymuje „Apostołów przez dzieło Rozkrzewienia Wiary.

„Afrykańczycy nasi, mówił świętobliwy kardynał-misyonarz, z których jedni pochodzą od dawnych chrześcijan, co za pasterzów mieli Cypryanów, Augustynów, Optatów, Fulgencyuszów, a drudzy przedstawiają biednych murzynów, pragną wyrazić Ci dziś, Ojcze święty, uczucia głębokiej czci a pełne wdzięczności. Tu w Rzymie odczytali oni wspaniałą encyklikę, skreśloną przez W. Świętobliwość do biskupów brazylijskich. Przekonali się, że przyspieszywszy słowami swemi i modlitwami zniesienie niewoli w jednem z wielkich chrześcijańskich mocarstw, w którem do tego czasu jeszcze istniała, nie zapomniałeś i o ojczystej ich Afryce... To, coś Ojcze święty przypomniał i napiętnował z taką wymową, to historya życia tych murzynów u stóp Twych klęczących. Wszyscy oni, bez wyjątku, są świadkami i ofiarami tych bezecności. Wszystkich porwano gwałtem i gwałtem odłączono od rodzin, od ojców, od matek, których zazwyczaj w oczach ich mordowano. Wszystkich wleczono po tych targach wnętrza Afryki, po tych strasznych drogach, które W. Świętobliwość w tak czarnych, a jednak prawdziwych kolorach maluje, po drogach naznaczonych kośćiami niewolników. Wszyscy wreszcie zostali sprzedani, jako podłe bydło; a gdyby misyonarze wysłani do nich przez Ciebie przed dziesięcioma latami, w pierwszych zaraz dniach Twego papiestwa, nie byli ich wykupili w imieniu Kościoła środkami dostarczonymi przez święte dzieło świętego dziecięctwa, — dziś jeszcze staliby pod jarzmem i razami niemiłosiernych paszów, lub kośćiami swemi zasialiby piaski naszych pustyń. Ale ci szczęśliwi pozostawili cały lud, własny swój lud w takiej nędzy przerażającej; sto milionów ludzi, wedle rachunku dziś przez badaczów tych krajów przyjętego, sto milionów mężczyzn, kobiet i dzieci skazanych na takie życie i na śmierć taką!...

Papież w dłuższej odpowiedzi streścił i rozwinął nauki i polecenia zawarte w encyklice do biskupów brazylijskich. „Polecamy, „powtórzył z naciskiem, wszystkim misyonarzom, którzy w tych „stronach opowiadają świętą ewangelię, aby wszystkie swe siły i ży„cie nawet poświęcili wzniosłemu temu dziełu uwalniania niewolni„ków, za przykładem chwalebnego Piotra Klawera, któremu tytuł „świętego niedawno temu uroczyście przyznaliśmy. Misyonarzom „tym polecamy niewolników wedle możności wykupywać, a przy„najmniej przynosić im wszelkie ulgi i pociechy, jak przystało na „pełnych najczulszej miłości ojców i apostołów. Lecz przedewszy„stkiem w Tobie ufność pokładamy, Mości Kardynale, że doprowa-

„dzić potrafisz do pożądanego skutku trudne dzieło misyj afrykań-„skich. Znamy twą gorliwość czynną a rozumną; znamy Twe do-„tychczasowe prace, i ufamy, że nie ustąpisz z pola, zanim prze-„prowadzić zdołasz wielkie swe zamiary".

Ojciec św., jak donoszą zazwyczaj bardzo dobrze poinformowane rzymskie dzienniki, nie zadawalniając się dotychczasowymi krokami, a pragnąc uwieńczyć chwalebne dzieło przez dawnych papieżów rozpoczęte, zamyśla niebawem zawiązać półurzędowe rokowania z wszystkiemi państwami europejskiemi, które założyły swe kolonie w Afryce, a mianowicie z Belgią, Niemcami, Francyą, Hiszpanią i Anglią w celu ułożenia wspólnego planu działania i popierania usiłowań kardynała Lavigerie i jego misyonarzów. Sam kardynał zawsze, mimo podeszłego wieku i dwudziestoletniej ciężkiej pracy dla Afryki, pełen młodzieńczego ognia, a teraz bardziej jeszcze słowami papieża rozpalony, z niewyczerpaną energią najśmielsze snuje plany i nie wątpi, że nakoniec zbliża się godzina, w której wybije dla Afryki era zupełnej wolności równie dla ciał z więzów oswobodzonych, jak i dla dusz chrztem z grzechów obmytych.

„Namiestnik Chrystusowy, czytamy w liście kardynała, skreślonym zaraz po uroczystem posłuchaniu u papieża do jednego z najbliższych przyjaciół, poruczył nam w imieniu Boga sprawę ludzkości, wolności chrześcijańskiej, sprawiedliwości. Nie zadziwisz się więc zapewne, że na czas pewien, spełniając dane rozkazy, jedynie i wyłącznie urządzeniem takiej krucyaty się zajmę. Sądziłem, że będę musiał na czas pewien wrócić do Afryki. Obecnie spieszę do Paryża, nie w celu zbierania zwyczajnych składek, ale aby wypowiedzieć i ogłosić nakoniec to, co wiem o zbrodniach, bez nazwy pustoszących wnętrze naszej Afryki, i aby wydać wielki okrzyk, coby wzruszył aż do głębi duszy wszystkich, którzy godni są nazwy ludzi i chrześcijan. Zresztą zadaniem mem jest tylko wyświecić to, co Leon XIII napisał o niewolnictwie w Afryce... Gdzie pisać będę, gdzie mówić będę? Nie wiem jeszcze. Ale o tem jestem przekonany, że domagając się położenia tamy tylu bezecnym nadużyciom; głosząc wielkie zasady chrześcijańskie: ludzkości, miłości, wolności, równości, sprawiedliwości, nie znajdę ani we Francyi, ani w całym świecie chrześcijańskim ani jednego umysłu, ani jednego serca, któreby mi odmówiło swojego poparcia".

Serce rośnie, słuchając tych gorących słów tego sędziwego bohatera i pioniera chrześcijańskiej wiary i oświaty. Jednocześnie, jakby dla pokrzepienia wśród ciężkich walk, które Kościół zwłaszcza we Włoszech przechodzi i które go jeszcze czekają, nadchodzi z róż-

nych stron świata cały szereg pocieszających wieści. W Waszyngtonie założono 24 maja, z nadzwyczajną uroczystością w obecności Clevelanda i najwyższych dostojników kamień węgielny pod uniwersytet katolicki; w Konstantynopolu udało się patryarsze ormiańskiemu, Azarianowi, ugasić zbyt długo już żarzącą się schyzmę kościelną i pogodzić ostatecznie Hassunistów z Antihassunistami; świeżo zawiązana w Paryżu Liga przeciw ateizmowi choć smutno świadczy o dzisiejszym stanie Francyi, wydać może jednak z czasem pożyteczne owoce; w Irlandyi, po pierwszem sztucznie wywołanem wzburzeniu, umysły uspokajają się; w Belgii wreszcie katolicy, wbrew powszechnym oczekiwaniom, odnieśli przy ostatnich wyborach zwycięstwo, świetniejsze jeszcze niż w 1884 r.

Ks. Jan Badeni.

Listy z nad Bałtyku.

XV.

Miejska biblioteka ryska. — Starożytne księgi i rękopisy. — Dziesięciotomowy rękopism Brotzego. — Bomba Piotra W. i jej literatura. — Dzisiejszy stan biblioteki. — Dzieła polskie i o Polsce. — Dział „Livonica“. — Biusta, portrety, obrazy zdobiące bibliotekę. — Geograficzne położenie Rygi. — Jej okolice i przedmieścia. — Kościoły i gmachy miejskie. — Zarząd miasta. — Liczba mieszkańców wedle wyznania i narodowości. — Szkoły i uczniowie. — Księgarnie i czasopisma. — Stowarzyszenia, kluby, instytucye. — Ogrody publiczne. — Handel ryski. — Historyczna przeszłość Rygi.

Z olbrzymiego krużganku, ciągnącego się w czworobok, a oświetlonego otwartymi arkadami od strony wewnętrznego wirydażu starodawnego tumu ryskiego, który nas w liście ostatnim przeważnie zajmował, — wiele drzwi i tuż za nimi ukrytych schodów prowadzi do rozlicznych obszernych lokalów. Z nich dotąd zaledwie jeden odpowiednio jest zużytkowany, stanowi bowiem odwieczne schronienie bogatych księgozbiorów ryskiej biblioteki miejskiej. Nieopodal takież schody z tegoż krużganku wiodą do niemniej rozległego lokalu, który od lat kilkudziesięciu mieścił w sobie obszerną drukarnię Hackera, usuniętą stąd zaledwie przed kilku miesiącami do osobnego gmachu, żadnej z tumem ryskim niemającego łączności.

Takiż los gotuje nader ruchawy związek *Dombauverein* i wszystkim innym mieszkaniom prywatnym (predykantów, kisterów itp.) wychodzącym na tenże olbrzymi i prawdziwie charakterystyczny krużganek tumu, a które oczywiście zajmowane były niegdyś przez kapitułę ryską. Dąży bowiem słusznie ten związek do tego, ażeby wszystkie te lokale z czasem mogły być obrócone na użytek publiczny, a mianowicie na muzea rozmaitych zbiorów, rozproszonych obecnie w pojedyńczych lokalach tutejszych Towarzystw naukowych, dla ogółu publiczności nie zawsze przystępnych.

Projektom i planom opracowanym w tym celu przez budowniczego pana Neuburgera, a przedstawionym na sesyach i zebraniach licznych ryskich Towarzystw naukowych przyklaśnięto ogólnie.[1] Bo też istotnie trudnoby w Rydze znaleść bardziej odpowiedne miejsce na przechowywanie zbiorów bądź archeologicznych, bądź historycznych, numizmatycznych, etnograficznych i w ogóle muzealnych. Te bodaj nawet i ze wszystkich części krajów nadbałtyckich ściągnięte dałyby się tutaj z łatwością skupić w jednę poważną całość, której tylko cząstkę stanowiłaby *Bibliotheca civitatis Rigensis*, pomieszczona już od roku 1545 w salach dawnego kapitularza, odtąd wraz z przyrostem księgozbioru kilkakrotnie przebudowywanych, a zwłaszcza w latach 1778—1786 znacznie rozszerzonych.

Ponieważ początek tego obecnie wcale poważnego księgozbioru stanowiły dzieła w roku 1523 pozostałe po wydaleniu z Rygi OO. Franciszkanów i innych Zakonów katolickich, znajdujemy tu księgi i rękopisy stare niezwykłej wartości, dotąd w kościołach polskich całkiem nieznane, a z którymi czytelników waszych pragnąłbym choć w części zapoznać.

W oddziale biblioteki, przechowującym jej skarby najcenniejsze napotykamy przeważnie rękopisy średniowieczne treści religijnej, wykonane misternie na pargaminie. Patrząc na te księgi do-

---

[1] Przytaczamy tu dosłownie tytuł tej pracy drukiem jeszcze nie ogłoszonej: „Pläne zum Ausbau der an den Krenzgang der Rigaschen Domkirche „stossenden Räumlichkeiten, welche den wissenschaftlichen Gesellschaften hie„siger Stadt als Vereinigungspunkt und ihren Sammlungen als Unterkunft die„nen sollen, entworfen und erläutert vom Architekten Carl Neuburger“.

skonale zachowane, świeże i czyste, zapomina się o kilku wiekach, jakie nas od ich powstania dzielą. Psałterze i mszały ilustrowane dawnej kapituły ryskiej są główną tego oddziałału ozdobą. Pismo w nich pyszne, tu i owdzie ozdobione wielkiemi malowanemi kartami, przedstawiającemi bądź Świętych, bądź ukrzyżowanego Chrystusa. Cały artyzm średniowieczny występuje na jaw w tych przepysznych księgach pargaminowych, zdobnych miniaturami, mających w każdej literze starannie i pracowicie wykonane dzieło sztuki. Niektóre z nich oprawne w drzewo zadziwiają ogromem rozmiarów. Kilka rzadszych, od XIII aż do XVI wieku, tworzy piękny zbiór, na którym można studyować wybitne cechy każdej epoki. Miniatury we wszystkich równie żywymi wykonane barwami, choć oczywiście z postępem czasu znać widoczne doskonalenie się form i rysunku.

Z pismem dzieje się przeciwnie.

Wielkie artystyczne litery, jakie nas uderzają w wieku XIII i XIV, ustępują miejsca pismu mniej ozdobnemu, pośpieszniejszemu, używającemu licznych skróceń.

Do najstarszych rękopisów w tym bogatym zbiorze należy psałterz łaciński w formacie *in folio majori* z glossami, tworzącemi wspaniałe obramowanie, przybierające coraz to inne kształty na każdej stronnicy olbrzymiego psałterza. Sięga on XIII stulecia. Oprawnym jest w drzewo pokryte skórą brunatną, a pargamin, jakiego użyto do tego prawdziwego arcydzieła dawnej kaligrafii, zadziwia wszystkich znawców swoją niezwykłą delikatnością.

Niemniej podziwianymi bywają oprawne również w drzewo „parabole Salomonowe,“ niegdyś własność klasztoru ryskich OO. Franciszkanów, czytamy bowiem u dołu pierwszej stronnicy: *Quinque libri Salamonis in glossa Fratrum Minorum in Ryga.* Wspaniała ta księga, w XIV stuleciu na pargaminie ozdobnie spisana, zwraca na siebie uwagę głoską początkową *P, (parabolae Salamonis filii David regis)* stanowiącą istne arcydzieło sztuki średniowiecznej.

Bardziej jeszcze zasługuje na uwagę olbrzymi pontyfikał (jak go błędnie zarząd biblioteki miejskiej zwykł nazywać) a raczej mszał z XV wieku, przepysznie na pargaminie pisany, oprawny w drzewo pociągnięte skórą, a należący niegdyś do ołtarza św. Krzyża w dawnym ryskim Kościele kapitulnym. Mszał ten zdobi ciekawy wize

runek ukrzyżowanego Chrystusa całą stronę *in folio majori* zajmujący. Wiemy ze źródeł wiarogodnych, że nietylko ten obraz umierającego Zbawiciela i otaczających go Świętych, ale i cały rękopis mszału w Rydze był wykonanym. Poprzedza go nadzwyczaj piękny kalendarz, pisany w ozdobnem obramowaniu, które jak w tryptyku dzieli stronnice na trzy części i zawiera notaty o rocznicy śmierci arcybiskupów i pojedyńczych członków kapituły ryskiej.

Dziwnem zdawać się może czytelnikom Zachodniej Polski, że w czasach tak późnych malarstwo i ozdabianie rękopismów jeszcze istnieje w grodzie naddźwińskim; skoro jednak przypomnimy sobie, że promienie zachodniego światła dochodzą tutaj później, że dopiero w lat kilkadziesiąt po utworzeniu biblioteki miejskiej ryskiej, a mianowicie w r. 1588 powstaje w Rydze pierwsza drukarnia za staraniem znanego i w kołach polskich uczonego Dawida Hilchena (połączonego, jak wiadomo, ścisłymi więzami przyjaźni z Janem Zamojskim, który swój Zamość takąż opatruje drukarnią), zrozumiemy, że dawna praca od Benedyktynów naśladowana, kwitła tu jeszcze na początku XVI stulecia, i nie będziemy się dziwić owemu pracowitemu wykończeniu i delikatnej piękności, jakie mają te dzieła ryskich miniaturzystów w przededniu całego gorączkowego ruchu pism i wydawnictw, wywołanego przez tak zwaną reformacyę.

Dział nowszych manuskryptów z XVIII i XIX stulecia zawiera cenne zbiory rękopiśmienne: *Schivelbeina, Vegesacha, Szwarca, Bucholca*, a przedewszystkiem *Jana Krzysztofa Brotzego*, o którego już niemal stuletnim, a dotąd jeszcze nieogłoszonym dziesięciotomowym rękopiśmie *in folio* p. t.: *Sammlung livländischer Monumente etc.*, stanowiącym cenny unikat tej biblioteki, zdobny w tysiące ciekawych ilustracyj, jużeśmy w innym liście wspominali. Te ilustracye nader charakterystyczne odznaczają się wiarogodnością i podwójnie zajmują widzów, skoro zwrócą uwagę na tekst, którym sumienny Brotze każdy swój rysunek zwykł opatrywać.

Przytaczam z nich jeden, jako próbkę stylu uczonych tutejszych z końca zeszłego stulecia.

Rysunek przedstawia łotewską mleczarkę wiejską i skromny jej wózek. Pod tą akwarelą czytamy: *Ein unteutsches Weib aus der Nähe der Stadt, die des Morgens mit Milch nach der Stadt fährt. Sie sitzt in einem Korbwagen. Dieser Art von Wagen ist*

es so ergangen, wie Gellert's Hut; sie ist von den Teutschen nachgeahmt und nach und nach immer verbessert worden.

Jeszcze zabawniejszym jest opis wózka, zwanego „flondrą“ cyli „die Butte“. Podaję go dosłownie dla lubowników ciekawości tego rodzaju: *Ein in Riga allein gewöhnliches, vielleicht von den alten Liven auf die Teutschen gekommener Sommer- und Winterfahrzeug, eine Butte genannt. Die Bauern verfertigen dergleichen und bringen sie nach der Stadt zum Verkauf. Die Bretter sind von aussen am Feuer schwarz gebrannt und alsdann allerley Figuren hineingeschnitten worden. Ehemals bediente man sich dieser Fahrzeuge häufig, und selbst Rathsherrnfrauen fuhren damit gewöhnlich nach der Kirche und zu Visiten; jetzo aber, da die Kutschen häufiger geworden sind, bedienen sich nur die Handwerksfrauen derselben bey schlechten Wetter.*

Tenże cenny rękopism zawiera wierne podobizny ówczesnych gmachów publicznych, kościołów i zamków wszystkich części prowincyi nadbałtyckich nie wyłączając Inflant polskich, do których niejednokrotne odbywał wycieczki ten zbieracz niezmordowany, podający przy każdem rysunku opis wyczerpujący, czem dla badaczy przeszłości istotnie niepożyte położył zasługi.

Do najstarszych *druków* biblioteki miejskiej należy olbrzymi tom oprawny w drzewo a wydany w Moguncyi roku 1470. Są to listy św. Hieronima *Sancti Hieronymi epistolae*, drukowane na pargaminie przez słynnego w dziejach drukarstwa Piotra *Schoiffera*. Wartość ich jest niezwykłą; bo komuż z uczonych bibliografów nie jest wiadomem, że we Francyi i Anglii nawet pomniejsze druki pargaminowe tegoż Piotra *Schoiffera* tysiącami franków zostały opłacone.

Nie mniej ciekawym jest mszał w roku 1500 również na pargaminie drukowany, a wydany w Lubece przez Stefana Arndesa. Zawiera 232 stronnic *in folio majori*. Druk ten rzadki nie znany jest dotąd bibliografom. I w tym mszale wszystkie głoski początkowe ręką wprawnego miniaturzysty starannie są wykonane.

W tymże dziale starych druków napotykamy cenne dzieło: *Joh. Petr. de Ferrariis practica nova*, drukowane w Sztrasburgu bez oznaczenia roku wydania, — odznacza się ono kolorowanemi sztychami śrótowanymi, czyli t. zw. *Schrotblätter*.

Bliżej jeszcze nas atoli obchodzi inny unikat tejże biblioteki. Jest to brewiarz ryski z początku XVI stulecia: *Breviarium secundum ritum et usum sanctae Rigensis ecclesiae. Cura ac impensis Guillermi Korver bibliopolae Amstelredamensis.* 1513 in 8-vo. Kazał go drukować w Amsterdamie odnowiciel słynnego Maryenhauskiego zamku (wzniesionego wśród jeziora w Inflantach polskich w pobliżu granicy pskowskiej), znany w dziejach inflanckich arcybiskup Kasper Linde. Jedyny egzemplarz, a więc unikat w całem znaczeniu tego wyrazu, przechowany szczęśliwie w Rydze, tem większego jest znaczenia, iż historya sztuki drukarskiej — dotąd przynajmniej — tak wczesnego utworu prasy amsterdamskiej nie zdołała zaznaczyć.

Brewiarz ten dla nas jeszcze i z innego względu nader jest ciekawym. Znajdujemy w nim oznaczone święta *wyłącznie* inflanckie. Najważniejszem pomiędzy niemi *(festivitas primae classis)* był dzień podwyższenia Świętego Krzyża, stanowiący równocześnie pamiątkę wiekopomnego zwycięstwa pod Pskowem przez mistrza prowincyonalnego, Waltera Plettenberga, w roku 1502 odniesionego *contra schismaticos et haereticos ruthenos nec non tartaros*, jak wygłasza dobitnie ten jedyny w swoim rodzaju brewiarz *secundum ritum et usum sanctae Rigensis ecclesiae* w roku 1513 przez Wilhelma Korwera w Amsterdamie wydany.

Za najdawniejszy druk dokonany w Rydze uchodzi dotąd przynajmniej z wielkiem staraniem w bibliotece miejskiej przechowywany wierszyk łaciński przez Anzelma Boccio w roku 1588 wydany, a którego tytuł: *Carmen gratulatorium de Sigismundi Tertii Regis Poloniae Coronatione* (15 kart in 4-to).

Pomiędzy bogatym zbiorem dawnych kalendarzy miejscowych zwraca na siebie uwagę badaczy kalendarz wydany w trzecim roku panowania w tym kraju króla naszego Zygmunta Augusta. Oto jego tytuł dokładny: *Schreibcalender auf das Jahr nach Christi unseres einigen Erlösers und Heilands Geburt 1565, gestellt durch L. Zachariam Stopium Vratislaviensem Ertzstifftlichen Rigischen Phisicum,* ogółem kart 14 w 4-ce.

Zważywszy, że do głównych znamion kultury przez samych Niemców zaliczane bywają powszechnie kalendarze i drukarnie, zważywszy zaś, że te oba znamiona kultury pojawiły się w Rydze

za panowania tutaj królów polskich, Zygmunta Augusta i Zygmunta III, — wypływa stąd oczywiście wniosek, iż tutejsi *kulturtregerzy*, tak dumni ze swojej kultury zachodniej, otrzymali ją właściwie dopiero przez cywilizacyjny wpływ Polski, którego atoli dostatecznie cenić nie umieli, jeśli się opierali wprowadzeniu tutaj za króla Stefana Batorego poprawnego gregoryańskiego kalendarza, za którym obecnie po 300 leciech nadaremnie tęsknić poczęli.

Główną dwupiętrową salę biblioteczną do zbytku przeładowaną pułkami a przebudowaną wcale pokaźnie za czasów carowej Katarzyny II., której podobiznę w klasycznym stroju Minerwy przedstawia wśród bogatej ornamentyki sztukatura na suficie wcale udatna, — otaczają do koła słupy falsz-marmurowe, pięknie wykonane *en stuc marbré*, podtrzymujące galeryą przeładowaną również półkami, gnącemi się obecnie pod księgami. Przypomina ona znaną zapewne niejednemu z czytelników waszych salę biblioteczną ordynacyi Zamojskich w Warszawie, z tą atoli różnicą, że ścianę jej północną zajmuje olbrzymi fresk symboliczny, okalający bombę z tej ściany groźnie wyzierającą, a którą car rosyjski Piotr I osobiście miał wrzucić do Rygi w roku 1710 przy oblężeniu tego podówczas szwedzkiego grodu. Bomba ta posiada osobną literaturę, z której najczęściej przytaczaną bywa książka in 4-to, wydana w roku 1787 pod tytułem: *Die Bombe Peters des Grossen in der Stadtbibliothek von Riga, eine Denkschrift von J. C. Berens*, chociaż pisaną jest ona nietylko w ówczesnym napuszonym stylu panegirycznym, ale mówiąc nawiasem, właściwie nic nie zawiera oprócz szumnych frazesów *ad majorem gloriam* Piotra I i jego następców, a te odczytane uważnie przy obecnem usposobieniu Niemców nadbałtyckich *ne jurant que par Bismarck et Moltke* już nie ckliwe, ale prawdziwie pocieszne wywierają wrażenie, zwłaszcza jeśli się przedtem zajrzało do przechowywanej starannie w tejże bibliotece „apologii rady miejskiej ryskiej“, ogłoszonej drukiem w roku 1622 na chwałę rządów polskich i poniewolnego poddania się Szwedom, której to obszernej pracy tytuł, jako w kołach waszych mało znany, niech mi będzie wolno tutaj przytoczyć: *Epistolae IV De expugnatione civitatis Rigensis, Livoniae metropolis*, Ryga roku 1622, z dołączeniem miedziorytu, dającego dokładny obraz ówczesnej Rygi i jej okolic.

Nie chcąc nużyć czytelników waszych wyliczaniem zawartości biblioteki miejskiej ryskiej, ograniczę się na uwadze, że z jej 17 działów najbogaciej jest przedstawionym dział jurysprudencyi, którego obszerne katalogi ogłasza drukiem zarząd biblioteki co lat kilka.

Niepoślednie miejsce zajmuje i dział historyczny, a w nim zwłaszcza historya krajowa, pod którą tu rozumieją dzieje krajów nadbaltyckich. Dział historyczny dzieli się w tej bibliotece na 27 podziałów głównych *(Hauptabtheilungen)* i 70 podpodziałów *(Unterabtheilungen)*, co już daje miarę jak systematycznie urządzone tu są katalogi.

O dziale filologicznym wystarczy powiedzieć, że samych gramatyk hebrajskich liczą w nim przeszło 70. Równie dobrze przedstawia się i dział filozoficzny. Natomiast dział nauk przyrodniczych coraz bardziej się w tym księgozbiorze zaniedbuje, odkąd przed laty 25 otwartą została w Rydze szkoła politechniczna baltycka z odpowiednią tej szkole wyższej biblioteką, której pierwszy zawiązek stanowiły duplikaty dzieł przyrodniczych z biblioteki miejskiej, ofiarowane politechnice ryskiej przez miejscową radę miejską.

Na dowód, że nie braknie bibliotece miejskiej i dzieł traktujących o Polsce już to w języku łacińskim, już to polskim, niemieckim i francuskim, przytoczyć ich muszę chociażby po kilka z każdego stulecia.

Z wieku XVI mają tu: „Corpus Polonicae historiae“ (wydanie z r. 1532), Martinus *Cromerus* (wyd. z r. 1555 i 1584), Aleks. *Guagninus* (wyd. z r. 1584), *Heydenstein* (wyd. z r. 1590).

Z wieku XVII: *Okolski* (wydanie z r. 1641), *Petrejus* (wyd. z r. 1642), dzieła Stanisława *Łubieńskiego*, biskupa płockiego (wyd. z r. 1643), *Wassenbergiusza* (wyd. z r. 1644), Jana Dymitra *Sulikowskiego* (wyd. z r. 1647), Jakóba *Sobieskiego* „Bellum Chotimense“ (wyd. z r. 1646), *Kojałowicza* (wyd. z r. 1650), Andrzeja Maksymiliana *Fredry*: „Gest. pop. Poloni sub Henrico Valesio“ (wyd. z r. 1652), *Pastorius* „Bellum Scytho-cosacicum“ i cała serya innych dzieł jego (wyd. z r. 1664—1680), Stanisława *Kobierzyckiego* „Historya Władysława IV“ (wyd. z r. 1655), Andrzeja *Olszewskiego* „Censura candidatorum sceptri poloni“ (wyd. z r. 1669), *Hartknocha* dzieła (wyd. pomiędzy r. 1678 i 1690), Mikołaja Chwal-

kowo-*Chwalkowskiego* dzieła (wyd. z r. 1686—1694), Samuela *Węcławskiego* prace o Gosiewskim (wyd. z r. 1691), *Zawadzkiego* dzieła (wyd. w r. 1699).

Z dzieł wydanych w XVIII stuleciu wymienię najprzód *Długosza* „Opera omnia“ (wyd. z r. 1712, a więc jedno z najpierwszych, oraz najnowsza tychże dzieł edycya wydawana w Krakowie w latach 1867—1887), *Starowolski* (wyd. z r. 1732), *Rudawski* (wyd. z r. 1753), *Dogiela* wszystkie tomy. Z tegoż wieku mnóstwo pism i broszur dysydenckich a także manifestów konfederacyj Rzpltej moc wielka.

Nakoniec z dzieł wydanych w wieku bieżącym wymienię: *Stryjkowskiego*, następnie *Rhulière* „Histoire des demembrements de la Pologne“, dzieła *Lelewela*, pamiętniki *Albertrandiego*, dzieła Edw. *Raczyńskiego*, wszystkie tomy wydawanego w Inflantach polskich w pierwszej połowie b. w. zbiorowego pisma polskiego pod t. „Rubon“, dalej: prace historyczne *J. I. Kraszewskiego*, *Balińskiego*, Leona *Rogalskiego*, *Zeissberga*, *Roepella*, *Caro*, *Bielowskiego* „Monumenta“, *Przezdzieckiego* „Jagiellonki polskie w XVI wieku“, i „Wzory sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce“.

Prace nowszych naszych historyków dlatego nie są w tym księgozbiorze przedstawione, gdyż posiada je biblioteka „Towarzystwa historycznego“, które w stałym pozostaje stosunku z krakowską Akademią Umiejętności. Jedyny bodaj wyjątek stanowią: ogłoszony w r. 1881 w Paryżu tom I „Żywota ks. Adama Jerzego Czartoryskiego przez Bronisława *Zaleskiego* oraz wydany w r. 1882 „Codex epistolaris Vitoldi“ Antoniego *Prochaski*, które to dzieła posiada także biblioteka miejska.

W dziale beletrystycznym spotykamy tu dotąd tylko dzieła kompletne *Mickiewicza*, *Krasińskiego* i *Słowackiego* w polskim oryginale, a „pamiętniki Soplicy“ *Rzewuskiego* i kilka powieści J. I. *Kraszewskiego* w nieudolnem tłumaczeniu niemieckiem.

W dziale „Geographica“, nie poślednie zajmują miejsce wydane dotąd tomy „Słownika geograficznego ziem polskich“, a ciąg dalszy tego pożytecznego dzieła zbiorowego jak wszędzie tak i nad Bałtykiem z upragnieniem jest wyglądany.

Aczkolwiek ogólna liczba ksiąg biblioteki miejskiej ryskiej

obecnie nie daje się zupełnie ściśle określić, przekracza ona atoli o wiele poważną cyfrę 70.000 tomów.

Co do zawartości bogatego działu „Livonica“ bądź w bibliotece miejskiej, bądź w bibliotece rycerstwa insflanckiego, bądź też w księgozbiorze Towarzystwa historycznego *Gesellschaft für Geschichte und Alterthumskunde der Ostseeprowinzen,* odsyłamy ciekawszych czytelników do obszernego dzieła byłego dorpackiego profesora dr. Edwarda Winkelmana pod tytułem: *Bibliotheca Livoniae historica* (Berlin 1878 r.), wykazującego dzieł i rękopismów kilkanaście tysięcy. Z tych ostatnich część niemała znajduje się w licznych archiwach Estonii i Kurlandyi a także w archiwach miejskich Rewla i Rygi. O archiwum piltyńskiem w Kurlandyi ogłosiła „Biblioteka warszawska“ niedawnemi czasy[1] studyum, które z załączeniem ciekawej mapy t. zw. ziemi Piltyńskiej przez ryskiego księgarza Kymmla w osobnej odbitce zostało wydane. Dalszy ciąg cennego dzieła prof. Winkelmana opracowuje obecnie i zamierza niebawem wydać Towarzystwo historyczne baltyckie. Zbytecznem byłoby dodawać, że wszelkie prace polskie zarówno historyczne jak krajoznawcze, ilekroć w jakimbądź związku stoją z dzisiejszymi prowincyami nadbaltyckiemi, wchodzą w skład wspomnianej publikacyi, na którą i badacze przeszłości polskiej coraz baczniejszą poczynają zwracać uwagę.

Zanim opuścimy lokal biblioteki miejskiej ryskiej zaznaczyć mi jeszcze wypada, że na ścianach i szafach głównej dwupiętrowej sali bibliotecznej a także otaczających obydwa jej piętra bądź większych, bądź też mniejszych gabinetów, umiejętna ręka rozstawiła już to biusta po części nader ciekawe, już to portrety i malowidła najrozmaitsze, odnoszące się do przeszłości kraju i miasta.

W sali głównej napotykamy dwie cenne mozaiki rzymskie. Jeden z gabinetów wyższego piętra zdobi piękne malowidło na drzewie z wieku XVII, wyobrażające ukrzyżowanego Chrystusa a u stóp krzyża pobożną rodzinę niejakiego rajcy miejskiego, złożoną z osób kilkunastu najrozmaitszego wieku. Tamże dostrzegamy kilkadziesiąt

---

[1] Obacz „Biblioteka warszawska“ tom I z roku 1884 (ogólnego zbioru tom 173) a mianowicie stronnice 169—193 i 429—441.

tablic bądź ze scenami z historyi biblijnej, bądź z herbami dawniejszych patrycyuszów ryskich, które tu niegdyś odtworzono misternie w mozaice drewnianej. Tak herby i sceny z historyi biblijnej, jako też wspomniane malowidło na drzewie zdobiły niegdyś tum ryski, skąd je jeden z bibliotekarzy miejskich od ostatecznego zniszczenia uratował wraz ze szczątkami dawnych malowideł na szkle wcale udatnych, które tamże jakiś przypadek uchronił od obrazoburstwa spowodowanego przez prądy pseudo-religijne już w poprzednich listach naszych dotykane.

Powitawszy radośnie piękny projekt połączenia zbiorów przeszłości krajowej w dawnych gmachach kapitulnych otaczających krużganek odwiecznego tumu prastarej Rygi, która od najdawniejszych czasów była ogniskiem każdego ruchu cywilizacyjnego krajów nadbałtyckich, a obecnie z wyjątkiem jednego Petersburga stanowi najznaczniejsze miasto portowe nad Bałtykiem — musimy dla uzupełnienia obrazu dodać jeszcze, chociażby tylko w ogólnych zarysach, cośkolwiek o położeniu i ustroju tej wiekowej metropolii prowincyj tutejszych, gdyż każdy czytelnik *Przeglądu powszechnego* szukający informacyi w znanej ogólnie *Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda*, tylko najmylniejsze o Rydze powziąść może wyobrażenie.

Artykuł bowiem o tym grodzie ogłoszony we wspomnianem dziele zbiorowem na str. 588 - 591, tomu 22-go (Warszawa 1868 r.) nazywa Rygę miastem gubernialnem gubernii *estlandskiej* (sic!) założonem przez biskupa Bertołda (sic!) w roku 1196 (sic!), liczącem nie więcej jak 30.285 mieszkańców (sic!), posiadającem bibliotekę miejską złożoną z 32.400 tomów (sic!) i t. p.

Tymczasem Ryga jest miastem stołecznem gubernii inflanckiej czyli ryskiej, leży w oddaleniu kilkuset kilometrów od gubernii estońskiej, w której ją umieszcza niefortunny artykuł *Encyklopedyi powszechnej*, a w oddaleniu 15 kilometrów od wymienianej w każdym podręczniku geograficznym odnogi ryskiej morza Bałtyckiego, na prawym brzegu Dźwiny, przez której szerokie źwierciadło wód prowadzi nietylko dawny most pływający, ale i rzucony śmiało w latach 1871—72 przeszło 600 sążniowy żelazny most stały kolei żelaznej rysko-mitawskiej. Ujścia strumienia do Bałtyku broni znana w przeszłości polskiej twierdza Dyament (po niem. *Düna-*

münde), w pobliżu której od roku 1872 wznoszą się potężne tamy przystani Bolderaa, broniące ten port od gwałtowności bałwanów morskich.

Przystań Bolderaa łączy z Rygą kolej żelazna bolderaska *(die Bolderaa-Eisenbahn)*, z drugiej zaś strony przyłącza się do Bolderaa obszerny *port zawarty*, w którym zimują okręta; obok niego roztacza się stanowisko do budowania lub naprawiania statków, i tamże wznosi się fabryka maszyn okrętowych.

O 10 kilometrów poniżej miasta, na prawym brzegu Dźwiny przy ramieniu strumienia łączącego Dźwinę z wypływem jeziora *Stintsee* znajduje się druga znakomicie urządzona przystań, nosząca nazwę *Mühlgraben*, a którą już przed laty osobna gałąź kolei żelaznej rysko-dyneburskiej połączyła nietylko z Rygą, ale i z wewnętrznymi guberniami cesarstwa.

Oprócz wspomnianych już dwóch gałęzi kolei żelaznych, *Bolderaa-Bahn* i *Mühlgraben-Bahn*, wychodzą z Rygi jeszcze trzy inne: 1 do Dyneburga, 2 do Mitawy i 3 do Tukumu w Kurlandyi. Ta ostatnia, zwłaszcza w lecie bardzo bywa uczęszczaną, prowadzoną jest bowiem wzdłuż wybrzeża morskiego. To też kilka jej pierwszych stacyj (a mianowicie: *Bilderlingshof, Edinburg, Majorenhof, Dubbeln, Karlsbad* i *Assern*) łączy w jedną przeszło całomilową wieś tysiączne wille wynajmowane przeważnie gościom kąpielowym, a ludność tej części wybrzeża morskiego dosięga w lecie poważnej cyfry 70,000 osób.

Dawniej otaczały Rygę fosy głębokie i wały o basztach olbrzymich, które zaledwie w latach 1857—1863 zrównane zostały. Przed kilkunastu laty zniesiono ostatecznie nawet i cytadelę ryską, położoną na północnym krańcu miasta, tak iż obecnie wszelkie ślady dawnej twierdzy najzupełniej już są tu zatarte.

Właściwe miasto otaczają trzy przedmieścia. Jedno z nich noszące miano *mitawskiego*, oddziela całkowicie od miasta rozległe zwierciadło wód Dźwiny, leży ono bowiem na lewym brzegu rzeki, dwa zaś inne przedmieścia — *petersburskie* i *moskiewskie* — przedzielają od dawnej Rygi znakomicie urządzone ogrody spacerowe czyli tak zwane plantacye *(Gartenanlagen)*, które wśród pięknie utrzymanych jasno-zielonych trawników zrasza szeroki kanał umajony tu i ówdzie uroczymi grupami najróżnorodniejszej zieleni, iż

nie znać po nim zgoła, że niegdyś fosę twierdzy stanowił. Kilka mostów przez jego wody rzuconych, a zwłaszcza całe jego teraźniejsze otoczenie, nadają mu cechę parku. To też te plantacye umiejętnie zaprowadzone na miejscu dawnych fortyfikacyj a zdobne w trawniki i drzewa, w kwiaty i krzewy, nadzwyczaj przypominają słynne spacery w podobnychże warunkach urządzone w polskim niegdyś Wrocławiu, gdzie znany czytelnikom waszym wyniosły a pięknie ocieniony *Ziegelbastion* odpowiada ryskiemu *Basteiberg*, a uroczy *Tauentienplatz* spacerom rozdzielającym ryski plac teatralny od płaszczyzny zajmowanej przez politechnikę baltycką i jej otoczenie.

Do najpoważniejszych gmachów miasta należą: opisany powyżej tum starodawny z roku 1202 z wielką starannością od lat kilku odnawiany i opatrzony w organy o 124 głosach, 6800 dudach, a 174 rejestrach, wykonane w Ludwigsburgu — w okolicy Stuttgartu, — następnie gotycki kościół farny św. Piotra, założony w roku 1408 a zarówno jak kościół ryski katedralny już od przeszło trzech stuleci zamieniony na zbór protestancki, w którym Ryżanie najbardziej podziwiają jego przed dwustu laty na nowo przebudowaną, obecnie bezkształtną a nawet dosyć potworną wieżę, mającą atoli 140 metrów wysokości, a więc właśnie tyle ile liczy wieża św. Szczepana w Wiedniu; dalej mamy do zaznaczenia gmach ratuszowy, w którym się mieszczą miejskie sądownictwa, tudzież bogate archiwum miejskie, ostatnimi czasy umiejętnie odnowiony starodawny dom „Czarnogłowców ryskich", którego niezwykłą facyatę zdobi dotąd olbrzymie popiersie króla naszego Stefana Batorego, zamek rozległy założony tu w roku 1515 przez inflanckiego hermistrza Plettenberga a odtąd kilkakrotnie przebudowywany, niegdyś rezydencya Jana Hieronima Chodkiewicza, kardynała Jerzego Radziwiłła i innych z kolei namiestników polsko-królewskich, później generał-gubernatorów szwedzkich a od roku 1721 rosyjskich, od lat kilkunastu po zniesieniu generał-gubernatorstwa zajęty już tylko przez najrozmaitsze sądownictwa i biura rządowe a w części i przez inflanckiego gubernatora.

Na placu zamkowym wzniesiono po wojnie 1812—1814 roku kolumnę granitową z posągiem *Zwycięstwa*, jako pomnik na cześć

Aleksandra I. Od lat kilkunastu otacza ten pomnik *square* nie koniecznie angielski, lecz wcale odpowiedni.

Dalej wspomnieć musimy gmach rycerstwa inflanckiego z wielkim smakiem w stylu pałaców florenckich wzniesiony, izbę kupiecką *(Grosse Gilde)*, o której poważnych salach już w innym liście mieliśmy sposobność wspominać, izbę przemysłową *(Kleine Gilde)* w tymże rodzaju, ale na mniejszą skalę wykonaną, szpital św. Jerzego, bursę czyli gmach giełdowy z niemałym przepychem urządzony, oraz wznoszący się naprzeciw niego gmach giełdowego banku *(Boersen-Bank)* a także położone nieopodal gmachy komory celnej; następnie pięknie obmyślany zakład gazowy uroczo wśród kanałów i spacerów położony, tudzież wzniesiony tu w roku 1861 gmach teatralny, który po pożarze, co go w dniu 14 czerwca roku 1882 był pochłonął, wewnątrz najzupełniej musiał być odbudowanym i opatrzonym przy tej sposobności w najrozmaitsze ulepszenia odpowiadające ściśle najnowszym wymaganiom teatralnym jako to: oświetlenie elektryczne, wentylacya udoskonalona, kaskady orzeźwiające, naturalne w miejscu dawnych malowanych na płótnie i t. d.; zaledwie w roku bieżącym na nowo został otwartym.

W pobliżu teatru wznosi się rozległy gmach politechniki bałtyckiej i w ciągu lat ostatnich kilkakrotnie rozszerzany; nieopodal gimnazyum miejskie, zakład oftalmiczny, niemiecka szkoła wyższa żeńska, szkoła realna miejska, wspaniały gmach szkoły elementarnej miejskiej, nowo erygowana cerkiew katedralna prawosławna, gimnazyum rządowe rosyjskie, a w dawnych częściach Rygi: gimnazyum rządowe niemieckie i nowo-otwarta szkoła realna rosyjska.

Pomiędzy budowami przedmieścia petersburskiego zasługują na uwagę: zbór noszący nazwę *die St. Gertrudkirche* lubo dla niewierzących w istnienie św. Gertrudy protestantów zaledwie w drugiej połowie bieżącego stulecia został on dopiero wzniesiony [1], kąpiele rzymskie dr. Kroegera, zakład wód mineralnych i pawilony w otaczającym go parku wermańskim, dom Dobroczynności *(das Nicolai-Armenhaus)*, rozległy szpital miejski, a po za granicami

[1] W tej okolicy przedmieścia istniał kiedyś kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Gertrudy.

przedmieścia: dom obłąkanych, czyli t. z. *Rothenburg* i obszerny szpital wojenny: *das Alexander-Hospital.*

Na przedmieściu moskiewskiem zaznaczamy: dworzec kolei żelaznej rysko-dyneburskiej a nieopodal tegoż dworca jedyny w swoim rodzaju kwartał zajmowany wyłącznie przez murowane magazyny składowe, zwane *die Ambaren*, dalej wielką synagogę wzniesioną na obraz i podobieństwo takiejże w Berlinie, gmach Dobroczynności imienia Sadownikowa a nakoniec olbrzymi wodociąg, z którego woda przechodzi rurami do wszystkich domów miasta i przedmieści.

Na przedmieściu mitawskiem mamy tylko do zaznaczenia nowo-erygowany gmach żeglarzy *(das Seemannshaus)*, położony malowniczo nad samem zwierciadłem wód dźwińskich.

Ten „dom żeglarzy" zarówno jak przeważna większość nowoczesnych gmachów tutejszych już to publicznych, już prywatnych wykonany w pięknym stylu odrodzenia.

Całe szeregi wspaniałych domów w tymże stylu wzniesionych zdobią liczne bulwary ryskie, roztaczające się do koła wspomnianych już rozległych plantacyj, które zrasza kanał niegdyś forteczny. Do najokazalszych należą: *Theater-boulevard*, *Bastei-boulevard*, *Thronfolger-boulevard*, *Alexander-boulevard* oraz część *Todtleben-boulevard* niedotykająca placu „Esplanadą" zwanego.

Bruk z ciosowego kamienia układanego po większej części ukośnie na sposób berliński oraz starannie utrzymywane chodniki asfaltowe nadają metropolii prowincyi nadbaltyckich cechę wielkomiejską miast zachodnich.

Od czasu wprowadzenia tu w roku 1878 ogólnie obowiązującej w obrębie cesarstwa rosyjskiego ustawy miejskiej powszechnej, administracya komunalna przeszła i w Rydze na wybieranych z grona mieszczan opłacających podatek aż 72 deputowanych miejskich, zasiadających w radzie municypalnej oraz ich delegacyą *(das Stadtamt)* czyli urząd miejski, na czele którego stoi prezydent miast *(das Stadthaupt)*.

Co zaś do istniejącej tu już od roku 1226 rady miejskiej, która aż do roku 1878 za pomocą izb kupieckiej i rzemieślniczej, z udziałem całego mieszczaństwa sprawowała administracyę miejską — to, do czasu mającej tymi laty nastąpić całkowitej reorga-

nizacyi baltyckiego sądownictwa, pozostawionym jej został już tylko zarząd sprawiedliwości w mieście oraz jego obwodzie patrymonialnym, a także zawiadowanie kilku bardzo podrzędnymi gałęziami administracyi miejskiej.

Ryga liczy obecnie przeszło 170.000 mieszkańców. Spis ludności z dnia 31 grudnia 1881 r. wykazał tu 169.329 głów. Podług religii dzieliła się ta ludność jak następuje: 10.095 katolików rzymskich, 104.633 wyznania protestanckiego sekt rozmaitych, a więc: augsburskiego, helweckiego, anglikańskiego i t. p. 24.000 wyznania prawosławnego, 10.488 starowierców czyli roskolników, a 20.113 wyznania mojżeszowego. W życiu towarzyskiem używało języka polskiego 3.197, niemieckiego 66.775, łotewskiego 49.974, rosyjskiego 31.976, a reszta innych języków.

Miasto Ryga posiada obecnie kościół parafialny rzymsko-katolicki 1, oraz 2 kaplice, a w zawiązku 1 kościół filialny, do którego erekcyi już przystępuje zawiązany w tym celu komitet, zborów luterskich 8, helwecki 1, anglikański 1, cerkwi prawosławnych 10, dom modlitwy rozkolników 1, kaplicę anabaptystów 1, a synagog żydowskich 3.

O oświatę starało się miasto zawsze z gorliwością. W r. 1887 liczono tu szkół wyższych, średnich, niższych i elementarnych, ogółem 142. Od lat 25 istnieje tu szkoła wyższa politechniczna *das baltische Politechnikum*, podzielona na 7 szkół fachowych, czyli wydziałów specyalnych, a mianowicie:

a) wydział inżynieryi *„ponts et chaussées“ (Bau-Ingenieur-Abtheilung)*,

b) wydział mierniczy *(Feldmesser-Abtheilung)*,

c) wydział inżynieryi mechanicznej *(Maschinen-Ingenieur-Abtheilung)*,

d) wydział budowniczy *(Architekten-Abtheilung)*,

e) wydział chemii i technologii *(Chemisch-technische-Abtheilung)*,

f) wydział rolniczy *(Landwirthschaftliche Abtheilung)* i

g) wydział handlowy *(Handels-Abtheilung)*.

W roku 1887 liczba uczniów we wszystkich wydziałach politechniki baltyckiej wynosiła 802. Tegoż samego roku uczących liczono w tym zakładzie wyższym ogółem 44, w tej liczbie 16 pro-

fesorów a 28 docentów, asystentów, lektorów i docentów prywatnych.

Nie brak w tem mieście i szkół średnich. Niepoślednie miejsce zajmują gimnazya; jest ich ogółem 5, z tej liczby 3 wybornie uorganizowane z językiem wykładowym niemieckim, a 2 nowe, w których wszystkie nauki wykładane bywają po rosyjsku.

Są tu także szkoły przemysłowe nietylko niższe i średnie ale i wyższe; szkoła żeglarska *(die Navigationsschule)* oraz wyższa szkoła żeńska *(die höhere Töchterschule)* zasługują na powszechne uznanie. Od niejakiegoś czasu istnieje tu nawet seminaryum duchowne prawosławne. Nad szkołami ludowemi bądź pospolitemi, bądź wydziałowemi w liście niniejszym niepodobna nam się rozwodzić.

O bibliotekach jużeśmy powyżej mówili, zwracając zwłaszcza uwagę na liczne i cenne inkunabuły, tudzież rzadkie rękopisma w bibliotece miejskiej.

Posiada także Ryga 12 wielkich a kilka pomniejszych drukarni, z których 2 najstarsze założone zostały za panowania tu polskiego. Księgarni większych liczą w Rydze 15, a czasopism wychodzi w tem mieście ogółem 26, w tej liczbie niemieckich 13, łotewskich 9, rosyjskich 2, rosyjsko-niemiecko łotewskie 1 oraz 1 estońskie. Do najbardziej czytywanych dzienników miejscowych należą: *Rigasche Zeitung, Zeitung für Stadt und Land* i *Rigacz Tageblatt.*

Stowarzyszenia zajmują ważne miejsce w obrazie ryskiego życia i rozwoju społecznego. To też może nie będzie bez interesu dla czytelników waszych przyjrzeć się onym chociażby w części.

W roku 1887 liczono ich ogółem dwieście kilkadziesiąt. Dla lepszego przeglądu dzielimy je podług ich celu na ośm kategoryj:

Kategorya pierwsza obejmuje te, których celem jest kultura umysłowa, więc krzewienie oświaty, specyalnych gałęzi nauk, tudzież sztuk pięknych. Należą tutaj: Towarzystwo pedagogiczne, Towarzystwo historyczno-archeologiczne, Towarzystwo noszące nazwę *Literärisch-praktische Bürgerverbindung* mające swój własny organ w tak zwanych *Rigasche Stadtblätter,* Towarzystwa: techniczne, prawnicze, lekarkie, przyrodnicze, Towarzystwo łotewsko-literackie, o którego niezmordowanej, kilkudziesięciuletniej pożytecznej działal-

ności wspominaliśmy w jednym z pierwszych listów naszych, Towarzystwo sztuk pięknych i aż 17 Towarzystw muzycznych najrozmaitszych jużto instrumentalnych, jużto wokalnych, już instrumentalno-wokalnych. Pomiędzy nimi nie braknie i *Wagnervereinu* stojącego w polarnem przeciwieństwie z tak zwanem *Bachvereinem.*

Druga kategorya obejmuje stowarzyszenia mające na celu podniesienie gospodarstwa krajowego: Towarzystwo gospodarczo-rolnicze dla Inflant południowych, Towarzystwo ogrodniczo-sadownicze *(Gartenbauverein)*, Towarzystwa ku podniesieniu chowu koni, wyścigów i t. p.

Trzecia kategorya obejmuje czytelnie i kasyna najrozmaitsze, pomiędzy którymi istnieje od niejakiegoś czasu nietylko klub rosyjski oraz łotewski, ale nawet i litewski *(Auszra)*, Towarzystwo czeladzi rzemieślniczej, Towarzystwo przemysłowe, w którego wielkiej sali artyści pierwszorzędni zwykli tu dawać swoje koncerta, Stowarzyszenie młodzieży handlowej, Towarzystwo „Mussą“ zwane, posiadające obok znacznego wyboru dzienników i pism peryodycznych we wszelkich językach, także i księgozbiór nader bogaty, czytelnie pojedyńczych korporacyj młodzieży politechnicznej, pomiędzy którymi są i dwie wyłącznie polskie, a mianowicie *Arkonia* i *Welecya*. Pierwsza z nich posiada obok kilkudziesięciu czasopism także i wcale poważny księgozbiór z kilku tysięcy tomów złożony, a znakomicie utrzymywany.

Czwarta kategorya obejmuje najrozmaitsze stowarzyszenia wzajemnej pomocy; piąta, pod różnymi nazwami hebrajskiemi, stowarzyszenia dobroczynne i religijne, rozszerzającego się i tutaj coraz groźniej żydowstwa; natura ich jest w ogóle dosyć ciemną, a w każdym razie całkiem odrębną; z celami dobroczynności i wzajemnej pomocy wiążą się tu bardzo ściśle i wybitne cele wyznaniowe.

Szósta kategorya obejmuje liczne tutejsze Towarzystwa Dobroczynności. W roku 1887 liczono ich w Rydze aż 74! W tej liczbie nie braknie i rzymsko-katolickiego Towarzystwa Dobroczynności, mającego swą własną ochronkę, oraz parę szkółek elementarnych dla dziatwy płci obojga.

Siódma kategorya obejmuje Towarzystwa i instytucye dla podniesienia kredytu, handlu i przemysłu. Na czele ich stoi komi-

tet giełdowy *(das Rigasche Boersen-Comité)* i podwładny mu bank *(die Rigasche Boersen-Bank)* obracający wielu milionami. Ów *Boersen-Comité* jest sercem portowego i handlowego miasta Rygi. Za jego to inicyatywą powstały i powstają wszystkie instytucye dla podniesienia żeglugi, handlu i przemysłu, on to otoczył Rygę siecią kolei żelaznych, telegrafów i telefonów, on dał inicyatywę do założenia tu nietylko szkół nawigacyjnych i przemysłowych, ale nawet szkoły wyższej politechnicznej, on to przeważnie przyczynia się do podniesienia kredytu rozwijając i na tem polu głęboko sięgającą a niezmordowaną działalność.

Nad kredytem wyłącznie ziemskim czuwa natomiast Towarzystwo kredytowe inflanckie *(das livländische Credit-System)* mające swe siedlisko w Rydze a obracające także milionami. Są tu i trzy rozmaite towarzystwa wzajemnego kredytu, Towarzystwo hipoteczne, bank komercyjny, bank rządowy, a także wiele pomniejszych stowarzyszeń kredytowych oraz instytucyj od nich zależnych.

Przechodzą nakoniec do kategoryi ósmej. Obejmuje ona stowarzyszenia nie należące do żadnej z powyższych kategoryj. Z pośród nich wymieniam: Towarzystwo strzeleckie (w którego salach urządzane bywają najpiękniejsze ryskie bale, a którego obszerne i pięknie utrzymane ogrody służą za upragnione miejsce wypoczynku tym wszystkim, co unikają zgiełku ogrodów publicznych), Towarzystwo żeglarskie, klub wioślarzy, Towarzystwo gimnastyczne, *Turnverein* posiadające piękny gmach zwany *Turnhalle*, Stowarzyszenie łyżwiarzy, stowarzyszenie welocypedystów, Stowarzyszenie pracy kobiet, Towarzystwa ochrony zwierząt, Towarzystwa spożywcze *(Consum-Vereine)* i t. d.

Prawie wszystkie te stowarzyszenia ogłaszają drukiem sprawozdania ze swoich czynności.

Oprócz wspomnianych już wyżej plantacyj na miejscu splanowanych wałów dawnej twierdzy ryskiej i ogródków zamiejskich *(Aleksanderpark* i *Hagensbergerpark)* oraz rozległego parku Towarzystwa strzeleckiego utrzymywanego umiejętnie przez Towarzystwo *Gartenbauverein* — posiada Ryga jeszcze tylko dwa ogrody publiczne aż do zbytku przez wszystkie klasy ludności miejskiej uczęszczane.

Jednym z nich jest t. zw. park wermański *Wöhrmann's Park*, położony niemal w punkcie środkowym głównego ruchu pomiędzy miastem i przedmieściami petersburskiem i moskiewskiem, do których dwie jego części przytykają, drugim: leżący na północnym krańcu przedmieścia petersburskiego t. zw. ogród cesarski *Kaisergarten*, którego olbrzymie aleje mają w sobie coś przypominającego wnętrze środkowej nawy wspaniałych gmachów gotyckich.

Z uwag o działalności komitetu giełdowego już dostrzedz musiał czytelnik, iż Ryga jest główną stacyą handlową prowincyi nadbaltyckich. Tu więc tylko dla uzupełnienienia obrazu dodamy, że przedmiotami jej handlu wywozowego są przewaznie len, pieńka, siemię lniane, zboże i drzewo.

Przedmiotem dowozu są natomiast: sól, śledzie, węgiel kamienny, soda, wino, surowa bawełna, żelazo, kawa, żywica, drzewo korkowe oraz najrozmaitsze wyroby fabryczne i rękodzielnicze.

Wywóz w roku 1884 stanowił 62,114.796 rubli, dowóz zaś wynosił 32,615.446 rubli. Okrętów i statków większych wchodzi i wychodzi stąd corocznie przeszło 3000.

Zaznaczyliśmy już w swojem miejscu, że na czele instytucyj popierających handel i przemysł miejscowy stoi komitet handlowy, wybierany przez izbę kupiecką z grona głównych przedstawicieli kupiectwa i noszący nazwę *das Boersen-Comité*, a jak wcześnie rozwijał się tu przemysł za staraniem Niemców i na wzór niemiecki, o tem pisaliśmy obszerniej w liście XI., kładąc nacisk na to, iż na rozwój przemysłu wpływały w Rydze korzystnie liczne przywileje nadawane cechom, tudzież czuwanie władzy miejskiej nad dobrocią wyrobów.

Ze znaczniejszych obecnie zakładów fabrycznych urządzonych na wielką skalę wymieniamy: 15 tartaków parowych, 12 browarów, 9 fabryk maszyn i tyleż pracowni wyrabiających przedmioty z lanego żelaza, 7 fabryk rumu, likieru i rosolisów, 6 fabryk tektury do pokrywania dachów, 5 fabryk cygar i tytoniu, 4 fabryki korków, 4 fabryki papieru, 4 smarowidła powozowego tudzież maszynowego, 4 drutownie i tyleż fabryk ćwieków drutowych, 4 fabryki skór, 4 fabryki sukna oraz wyrobów wełnianych, 2 wyrobów bawełnianych, 3 fabryki mydła, 3 fabryki kafel wyrabianych po części nader artystycznie, 2 olearnie, 1 fabrykę cementu, 1 wyrobów fajan-

sowych, a nakoniec znakomitą i powszechnie znaną w Europie baltycką fabrykę wagonów, zajmującą cały kwartał przedmieścia moskiewskiego.

Kończąc ten pobieżny rzut oka na metropolią prowincyj nadbaltyckich streszczamy jej niemal średniowiekową przeszłość tymi krótkimi słowy:

Ryga założoną została przez biskupa Alberta I de Appeldern, niegdyś prałata przy katedrze bremeńskiej, w roku 1201 u ujścia rzeczki Rygebach do Dźwiny [1], w krainie do której wraz ze światłem wiary już w roku 1159 przenieśli kulturę zachodnią szlachetni misyonarze holsztyńscy i żeglarze bremeńscy.

Tenże biskup Albert I zakłada tu w r. 1202 zakon kawalerów mieczowych *Fratres militiae Christi*, który w r. 1237 zjednoczył się całkowicie z zakonem krzyżacko-niemieckim i przyjął jego regułę, oraz strój zakonny z nazwą *Fratres domus Tentonicorum per Livoniam*. Ten zakon krzyżaków inflanckich do połowy XVI wieku wspólnie z arcybiskupem ryskim władał Inflantami a w części i Rygą aż do r. 1561, w którym Rosya na kraje inflanckie coraz silniej nacierać poczęła, skutkiem czego Estonia już w r. 1560 dostała się Szwedom, całe zaś Inflanty z Rygą na czele w dniu 28 lutego 1561 roku poddały się dobrowolnie królowi polskiemu Zygmuntowi Augustowi, który ostatniemu hermistrzowi inflanckiemu, Gotardowi Kettlerowi oddał na prawie lennem część ich (składającą dawne biskupstwo kurońskie) zwaną odtąd Kurlandyą.

W taki sposób dostała się Ryga pod berło polskie, wyżebrawszy sobie w czasie układów z roku 1561 dwadzieścia lat niezawisłości czyli tak zwane *20 Freiheitsjahre*.

Szwecya, po długich i krwawych z Polską wojnach, opanowała wreszcie w roku 1621 orężem Gustawa Adolfa wielką część Inflant wraz z Rygą, która blisko stulecia ciężkie jarzmo szwedzkie znosiła.

W roku 1700 oblegały Rygę wojska saskie króla polskiego Augusta II, ale przybył tu na odsiecz Karol XII i oblegających

[1] Nazwę swą bierze *Ryga* od uchodzącego do Dźwiny strumyka *Rygebach*, nad którym to miasto pierwotnie założono, a który mocno zasklepiony i po dziś dzień płynie spokojnie pod brukiem. Rzeczkę tę obecnie pokrywa przeważnie ulica Staromiejska małoznacząca, zwana *Risingstrasse*.

Sasów odparł zwycięsko w dniu 18 lipca 1701 roku. Z tego mianowicie czasu przechowuje biblioteka miejska ryska krzesło olbrzymie, wykonane w kształcie tronowego, skórą czy też kurdybanem obite, z którego ciemnego tła występuje potężny monogram tego awanturniczego króla szwedzkiego bogatymi otoczony laurami.

Atoli po słynnej klęsce Karola XII pod Połtawą, uległa Ryga zwycięskim wojskom rosyjskim i po uporczywem oblężeniu poddała się carowi Piotrowi I roku 1710 w dniu 4 lipca, gdy ten władca rosyjski zachęcając oblegających do nowego szturmu, wrzucił osobiście do Rygi aż trzy bomby, z których, jak już wiemy, jedna i dotąd zostaje przechowywaną w tejże odwiecznej bibliotece miejskiej, której pobieżnemu przeglądowi list niniejszy przeważnie został poświęcony.

Gustaw Manteuffel.

Druk ukończony dnia 25 czerwca 1888 r.

PIEŚŃ DEBORY.

Parafraza białym wierszem, przez śp. ks. Zygmunta Goliana.

Ś. p. ks. Zygmunt nie tylko za młodu, ale i w późniejszem życiu lubił się zajmować poezyą. Kajecik z jego wierszami, które pisał jako kleryk, znajduje się wśród manuskryptów biblioteki Jagiellońskiej. Kilka wierszów późniejszych drukował *Przegląd Lwowski*. Wielki i podniosły umysł przebija z tych prób jego literackich jak z wszystkiego, co wyszło z ust jego lub z pod jego pióra. Wśród rękopismów po nim pozostałych znaleźliśmy parafrazę pieśni Debory, napisaną białym wierszem, którą jako pamiątkę po znakomitym mężu tu zamieszczamy.

Debora żyjąca za czasów Sędziów w Izraelu dla ducha prorockiego tak wielkiej była powagi u ludu izraelskiego, że zbiegano się do niej zewsząd po rozsądzanie sporów. Sądy te odbywały się pod palmą na górach Efraim.

Ciężkie to były czasy dla Izraela. Za ich przeniewierstwo zesłał Bóg na nich króla chananejskiego Jahina, który ich srodze uciskał. Modlitwą i pokutą starał się Izrael przebłagać Boga, który jak zawsze, tak i tą razą dał się ubłagać. Z natchnienia Bożego każe Debora Barakowi zebrać 10.000 walecznych i uderzyć na Sisarę, wodza chananejczyków, który przy potoku Cison stał na czele ogromnego wojska, mając ze sobą 900 wozów wojennych.

Rozgromione wojska pogańskie nagłym napadem Izraela w ucieczce szukały ratunku, a Sisara wódz naczelny zeskoczywszy z wozu schronił się do namiotu Habera Cynejczyka z pokolenia Neftali, gdzie go przyjęła Jahel, żona Habera. Ale kiedy znużony Sisara usnął, Jahel gwoździem przebiwszy skroń jego, dopełniła zwycięstwa ludu izraelskiego. Uradowana Debora w hymnie dziękczynnym składa Bogu podziękę za świetny tryumf nad wrogiem ludu wybranego.

Autor chciał ująć tę parafrazę w rytm heksametru, na kształt Powieści Wajdeloty: „Skąd Litwini wracali?...“

Który mścił krzywdy swoje twem wiarołomstwem zrządzone
I kark twój jarzmem okiełznał, ten dziś mścicielem krzywd twoich,
A ty mu teraz błogosław, gdy jego posłuszny natchnieniu
Oddałeś w ofierze życie w dziele twych własnych wyzwolin.

Słuchajcie mocarze ziemi — słuchajcie na których przymierzu
Bezbożni gruntują nadzieje, słuchajcie komu me pieśni
Ja śpiewam — czyj tryumf w Izraelowem zwycięstwie!

Panie! gdy lud stał w puszczy, a Mojżesz na Synai wstępował
Widziano, jakoś od wschodu z Seir zstępował straszliwy,
I po przez Edom dziedziny kroczyłeś majestatyczny:
W obłokach i błyskawicach, w ogniach i w trąbach, i w burzach!

Po przez pustyni bezdroże niosłeś nam Twoje przymierze,
A pod stopami Twojemi trzęsły się ziemi posady,
Na widok chwały Twojej w rosę topniały niebiosa
A góra przed Tobą struchlawszy jak wosk topnący spłynęła,
Synai, z której Ty lud Twój darzyłeś Twoim Zakonem.

Tameś nam, Panie, pokazał, z kim lud Twój wchodził w przymierze,
A gdy przymierzu niewiernych skarałeś jarzmem tyranów
Tutaj, już nie nam tylko, ale wszech ziemi potęgom
Objawiasz, jak umiesz bronić lud Twój nawrócon do Ciebie!

Zwycięzco wielki! ta góra, z której na wrogie zastępy
Całym dziś spadła ciężarem moc twoja w obronie zdeptanych,
Owę nam górę pustyni na wdzięczną pamięć przywodzi.
Tabor brzmi echem ogromów na szczycie Sanai zjawionych.

Z Synaju gdyś poszedł przed nami, była nam droga przez puszcze,
A obiecana nam ziemia bezdrożną pustynią się stała;
Nie dla nas bite gościńce, którzyśmy zeszli z Twej drogi,
Uciekać nam tylko było, lecz gdzie uciekać manowcem?

Na nic i Samgar olbrzym lemieszem kładący zastępy,
Na nic i dłoń Jaheli tak siłą i zdradą potężna,

Żadne uciekającym warownie przytułku nie dadzą
I próżno czekać rycerzy, którym za mur starczy męstwo.

Aleś ty ufał o ludu! Pan mocnych nie potrzebował,
Olbrzymem ziemskiego męstwa on wzgardził, ale niewiastę,
Która jak pszczółka umiała zbierać miód z kwiatów zakonu,
By nim osłodzić twą dolę, Deborę on podjął łaskawie,
I jej się sercem posłużył, podniósł ją Matką dla Ciebie,
A Matkę natchnął swą myślą i żądzą twoich wyzwolin.

Boga gdyś wzgardził prawego, a obrał kłamstwa za bogi,
Nie tylkoś zwyciężon w polu, gdzie nic przed zgubą nie broni,
Lecz nawet w miasta się chroniąc w ich bramach trupem padałeś;
A gdyś się zwrócił do Pana, wnet twoje zmieniły się losy,
I nie dość że po bezdrożach wróg rażon twym mieczem ucieka,
Lecz w bramach jego warowni chwytasz go, gromisz, zwyciężasz.

Odnowionemu pokutą cudowne natchnął Pan walki,
Skąd cię gromiły tyrany, tam dzisiaj przez cię zgromione,
Gdy brakło wodza wśród mężów, Bóg natchnął serce niewiasty,
Na czele hufców bezbronnych łagodną postawił Deborę;
Ani wy miecza, ni włóczni, ni tarczy nie mieliście w ręku,
Bo tyran zwycięski żelaza ledwie na lemiesz pozwolił,
A Pan czterdzieści tysięcy przed chwilą bezbronnych żołnierzy
Uzbroił i mieczem, i tarczą, i włócznią z rąk wrogów wydartą.

Ani was ziemska potęga, ni ziemski zdobił majestat,
Aleście piękni w mych oczach pięknością boskich rycerzy,
A serce moje im żywiej wdzięcznością ku Bogu wzniesione,
Tem w was, książęta, goręcej jest teraz rozmiłowane.
Wy, coście życiem wzgardzili zbiegłszy się na głos Debory,
Coście się dali ofiarą, teraz błogosławcie Panu.

I wy, którzy na świetnych i silnych osłach jedziecie,
I wy, przedniejsi ludu, co zasiadacie tron sądu,
I wy, którzy dla zysków wzdłuż i wszerz ziemię zbiegacie,
Spieszcie, bo wolne już drogi — przyjdzcie i sławmy wraz Pana

Tam gdzie z kosistych wozów pogruchotanych już leżą
Szczątki porozrzucane na zgubę i hańbę swych Panów,
Gdzie trupy mnogich zastępów przed chwilą jeszcze straszliwych,
Gdzie miejsce wojennych okrzyków śmiertelne zaległo milczenie,
Tam niech się wzniesie pieśń nasza, śpiew chwały dla sądów Pana.

Niech sławi i sprawiedliwość i miłosierdzie Jehowy,
Który gotowych do ofiar męstwem napełnił i siłą,
Że oto przed ich obliczem stopniała potęga tyranów;
A lud, który się wierzy ludem wybranym od Boga,
Niech kroczy w bramy zdobyte, niech bierze i wolność i chwałę.

Powstań, ach powstań Deboro, ty duchem Bożym owiana,
Porwij się Abinoema synu, natchniony Baraku,
A sam dziś wolny w moc Pańską, bierz śmiało dawnych twych panów.

Niech się i ci nie cieszą, którzy w twe ręce nie wpadli,
Im także hańba ściganym, jak chwała ścigającemu;
Że u Cisona rozbici jak potok z pod Tabor płynący
Przez Efraima szerokie ścigani pędzą krainy,
I próżno w Benijamina ziemi zatrzymać chcą stopy,
Bo nie odetchną dopóki poza tej ziemi krańcami
Do twoich, o Amaleku, pogańskich nie wpadną rojów.

Pogromco! dziel z szlachetnymi zwycięstwa twojego chwałę,
Niech promień twej sławy odpocznie na czołach walecznych braci;
Niech się Manasses rozjaśni w potomstwie swego Machira,
Neftali, Zabulon! tobie tem cząstka piękniejsza przypadła,
Im dzielniej twoi rycerze stawiali czoło w dniu walki.
O Zabulonie! tyś równo rylcem potężny i mieczem,
Boś rylcem spisał zastępy — mieczem je rwałeś do boju.

Izachar! Ty Zabulona piękny od wschodu sąsiedzie!
Izachar! Ty Manassesa od wichrów północy zasłono!
Izachar! Twój zastęp był zawsze najbliższy przy sercu Debory,
Twoi rycerze najdzielniej w Baraka pędzili ślady,
Gdy z pochyłości Taboru spadał jak w przepaść na wroga!

A ty Rubenie gdzieś bywał w tej walce o wolność narodu?
Tyś walczył ale sporami; czy twoich ramion potęgą
Podeprzyć tych, którzy dusze swe bez namysłu oddali, —
I namyśliłeś się wreszcie wygodnie używać twej hańby!

Aby ofiarą spokoju wolność wywalczyć, tyś na to
Zgody nie zdobył na sobie, wolałeś wsławić się za to
Zgodą na spokój sromotny!... Nad szczęk oręża, nad jęki
I braci i nieprzyjaciół, sam w sobie haniebnie zamknięty
Wolałeś pieścić twe uszy bekiem twych stadów, Rubenie!

A wy tam po za Jordanem o grzbiet Galadu oparci
Gadyci! czyż na to tam was wódz z woli Bożej zostawił[1],
Abyście pogan bogactwy przez handel utywszy zmarnieli
I z cząstką synów Manassy[2] w niesławnym gnili spoczynku?

Od wschodu głos mojej piersi na progi zachodu przenoszę
I pytam: gdzieś był o Danie, którego w godzinę śmierci
Błogosławiący Ojciec mianował, że będziesz przy drodze
Wężem broniącym, by rumak wrogów nie deptał tej ziemi?
Morskiej ty drogi pilnując ładujesz swoje okręty.
Aser, też brat twój na to zaległ północny brzeg morza,
By walczył przeciwko wodom Sydonu i Tyru portami,
Nie zaś, jako przystało, by bronił swą piersią pierś ludu.

Wstyd wam, że kiedy bracia dla wielkiej sprawy narodu
Z pogardą własnego życia rycersko do boju stanęli —
Z Taboru jak piorun spadając na straszne wrogów zastępy,
Wyście dla nędznych swych zysków woleli pozostać w domu!

Strach was powstrzymał! Bo Jahin miał mocne króle w przymierzu,
Bo za Sisarą potężne z wojskiem kroczyły hetmany

---

[1] Jozue.

[2] Część pokolenia Manassesa z pokoleniem Gad została na wschodniej stronie Jordanu.

Lecz nad wodami Mageddo zawyły zbrojne ich szyki,
I hańbę tylko w zysku odniósłszy zbiegli do domu.

Bo niema przeciwko niebu ni męstwa, ani przymierza!
A kiedy w sprawie Pańskiej wyście przymierza nie zdolni,
Nam sprzymierzeńców nie brakło, z strop niebios jak świetni rycerze
Gwiazdy walczyły za nami rażąc swych ostrzem promieni
Synów ciemności, co chcieli pokonać światłości synów
Straszliwym chrzęstem i blaskiem swych sześćset wozów kosistych!

Wraz z niebem potok Cisonu wsparł dzielnie nasze zastępy,
Wezbrał niezwykle swe wody i rzucił się niemi w te roje,
Które nas miały uśmiercić — i walczył swemi nurtami,
Żywcem i trupem rwał pogan niepowstrzymanym swym pędem,
Cison! który się odtąd zwać będzie zwycięzców potokiem.

O duszo moja! Ty siłą wprost tobie daną od Boga
Walczyłaś. Teraz się nasyć pięknych twych zwycięstw rozkoszą,
Jak się nasyca niebo widokiem swych pięknych rycerzy,
A jak ten potok druzgocze, jak rumak w cwały pędzący
Zwalone zastępy Sisary, — tak ty swej pieśni potęgą
Wielbiąc moc Boga-Zwycięscy — jego tryumfem depcz wrogi.

Depcz tych co chcieli zdeptać w twym ludzie majestat Pana,
Co uzbroili żelazem swe wozy, swych koni kopyta,
Aby nas zżętych jak siano, na śmieci, na gnój podeptać.
Depcz twarde karki złośników własną ich pychą zdeptane —
I gradem podków lecących wraz z kopytami ich koni,
Pieśni radości i chwały, grzmij teraz klątew tonami,
Bo ten sam Anioł, co tobą tak wdzięcznie natchnął mą duszę,
Każe przeklinać — zatem — przeklinam natchniona:
Mieszkańcy Meroz słuchajcie, wy coście byli tak blisko
A nie spieszyliście w pomoc rycerzom walczącym za Pana,
Słuchajcie! Wam z hańbą innych, niebios przekleństwo w udziale.

Ludu wyzwolon, wodzowie i wy waleczni rycerze,
Coście prawicy Pańskiej narzędziem wyzwolin służyli,

Tą samą myślą natchnieni uczujcie jedno z Deborą
A błogosławiąc Panu tem samem sercem i usty
Zwróćcie się ze mną ku Meroz, gdzie lud bez serca dla Pana,
I ze mną krzyknijcie wszyscy: ten lud niech będzie przeklęty!

Lecz jeśli między ludami walecznych zastępów lud bratni
Przeklęty za to, że nie wsparł cudownie wspartych od Pana,
To ta, która wzgardziła przymierzem zawartem z wrogami,
Choć to przymierze zawarł mąż jej, Cyneów przywódzca,
Niech będzie błogosławiona nad wszystkie niewiasty świata,
I niech się chlubi jak żadna ni matka, ni siostra, ni żona
Nigdy się nie chlubiła czy z męża czynów, czy z syna,
Z ojca, czy z brata — niech ona tak będzie błogosławiona,
A ty namiocie, coś świadkiem był czynu wielkiej Jaheli,
Przyjm dla niej błogosławieństwo, by z niem na wieki mieszkała!

O wodę błagał ją nędznik, ona mu w kubku podała
W kubku książęcym nie wody, lecz mleka najprzedniejszego;
A gdy zasycon legł zaraz pogonią zwycięzców zmęczony,
Ona w lewicę ująwszy nie miecz — lecz jeden z tych gwoździ,
Któremi Haber Cynejczyk do ziemi przytwierdzał namioty,
A w prawą młot pochwyciwszy, ponad ujętym snem twardym
Schylona szukała skroni — znalazła — i zimne żelazo
Do zlanej potem zbliżywszy, podniosła w górę młot ciężki
I uderzyła potężnie, aż gwóźdź po przez kość skroni
Wtargnął do mózgu i spoił ze snem Sisary, sen śmierci.

I leżał u nóg niewiasty i wił się w bólach konania
I duszę wyzionął, i trupem u stóp się wyciągnął Jaheli.

Tymczasem w domu Sisary przez otwór tajemny niewiasta
Patrzy się w stronę gdzie walczą, i ledwie ócz nie wypatrzy!
Matka to! sercem jej miota z nadzieją walcząca trwoga
I szarpie strasznem przeczuciem, więc jęcząc nieszczęsna pyta,
Czemuż się spóźnia?! Dlaczego chrzęstu kół jego nie słyszę?

Aż dowcipniejsza z niewiast jasno tłomaczy dlaczego
Syn tryumfalny swój powrót do domu zwleka; bo pewno

Odniósłszy świetne zwycięstwo zebrane łupy rozdziela!
Więc matka jęcząc powtarza: Oh pewnie on łupy rozdziela!
On czeka, aż z najcudniejszych cudną wybiorą mu brankę,
Aż z najświetniejszych zdobyczy świetną wydzielą mu cząstkę,
Aż mu z klejnotów ułożą koronę, naszyjnik, manele,
Aż mu ustroją z królewska głowę i piersi i ręce!

Tak niech zaginą wrogi chcący Cię zwalczyć o Panie!
A miłośnicy twoi walczący w twej świętej sprawie
Jak słońce w pogodnym ranku majestatycznie wschodzące
Niech cię rozjaśnią blaskiem twoich tryumfów i chwały!

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

Zostawszy po Trzech królach r. 1504 magistrem filozofii i nauk wyzwolonych, a mógł już wtedy co najmniej 24-ty rok życia liczyć, sam to czuć musiał dobrze, że dla niego, syna mniej niż niezamożnego kmiecia, nie pora już wracać, po dziesięcioletnim w stolicy państwa pobycie, do pługa i roli, do borów i piasków wisneckich, między tamtejszych kumotrów i stryków, między swaków i ujków. Nie po to zresztą przed dziesięciu laty czyto ówczesny proboszcz pajęcki, czy prokurator dóbr kolegiaty św. Floryańskiej, przywieźli go byli do Krakowa, w szkole ulokowali parafialnej i jako słuchacza Uniwersytetu na wydział zapisali artystyczny; uczynili to raczej w celu, żeby zdradzający talent i ochotę do nauki podrostek kmiecy, dla dobra kościoła i społeczeństwa, pomału na wzorowego wyuczył się księdza i stale służbie poświęcił się bożej. Niedługo też wobec tego powinien się był teraz wahać w wyborze dalszej drogi, którą mu pójść należało, drogę tę bowiem paczące się już wówczas stosunki uniwersyteckie same przez się i jemu i kolegom jego jak najwyraźniej zakreślały. Jeżeli zatem o chłodzie i głodzie, prowadząc życie ubogiego między żakami krakowskimi paupra, zdołał po tylu latach dobić się świadectwa na magistra filozofii i w dojrzalszy już wiek wstępował, o ileż ponętniej teraz i milej przedstawiać mu się musiała dalsza jego przyszłość, jeżeli

tylko zdrowie swoje, siły i zdolności odda na usługi Almae matris, jeżeli zaraz w najbliższym po Wielkanocy kursie jako nadzwyczajny extraneus z katedry na wydziale artystycznym wykłady rozpocznie, i jeżeli się zgodzi na to, żeby z czasem suknie przywdziać kapłańskie. Czyto jako rektor lub moderator której z miejscowych szkół parafialnych, czy jako senior której bursy, znajdzie już jakie takie, w każdym razie o wiele od dotychczasowego lepsze utrzymanie [1] i o wiele poczesniejsze w hierarchii miejscowej stanowisko. A potem? Potem, gdy już będzie księdzem, otrzyma może jaką altaryą, a zresztą posunie się przecież pomału na członka kolegium mniejszego, a z czasem i większego, zostanie — jak wówczas mawiano — collegiatus Collegii minoris, a potem majoris. Później zaś, w najgorszym dla siebie wypadku, po wielu latach wysług i pracy, jeżeli się jaka plebania opróżni, jako długoletni i zasłużony Uniwersytetu magister, otrzyma z ramienia jego intratne jakie probostwo, lub wróci może do „ojczyzny“ na proboszcza pajęckiego, ku wielkiej wszystkich swoich powinowatych i krewnych radości. Jeżeli zaś poszczęści mu się lepiej i zdoła kiedyś, po wysłuchaniu kursów na właściwych fakultetach uniwersyteckich, z egzaminami uporać się doktorskimi, kto wie, Opatrzność przyszłość człowieka przed nim zakryła, może zostanie kanonikiem od św. Floryana, a może nawet posunie się z czasem na takich luminarzy i potentatów uniwersyteckich, jak dziekan i kustosz kolegiaccy! O kanonii katedralnej prawdopodobnie ani nie zamarzył nawet. Wprawdzie niedawno jeszcze własnymi patrzył oczyma, jak były kustosz św. Floryański i rektor Uniwersytetu z r. 1494, dr. i prof. św. teologii, ks. Jan Sacranus z Oświęcimia, przed którym 29 kwietnia t. r. pierwszą w życiu na wierność kościołowi i posłuszeństwo ustawom uniwersyteckim wykonywał przysięgę, został proboszczem od św. Mikołaja i kanonikiem katedralnym krakowskim [2], i jak w kilka

---

[1] Płace i wynagrodzenia rektorów szkół parafialnych z owego czasu nie są w szczegółach znane; przypadkowo tylko pokazuje się, że pod koniec w. XV i na początku w. XVI rektor szkoły św. Floryańskiej pobierał rocznie 8 marek: „mgro schole 8 marce“. Rationes antiquae capituli s. Floriani, rękopis bibl. Jag., nr. 3968 (177), str. 94.

[2] Był nim już r. 1496. Pauli, Codex III 7.

lat potem kanonią podobną otrzymał także nauczyciel jego na wydziale artystycznym, dr. prawa ks. Arciszewski [1]. Ale były to wyjątkowej natury wypadki, o jakie nie każdemu magistrowi krakowskiemu marzyć się godziło. Za Sacranem bowiem, wielkim erudytem i nadwornym teologiem króla Olbrachta [2], przy posunięciu go na tak zaszczytną i wysoką według wyobrażeń ówczesnych godność, przemówiły niewątpliwie obok niepospolitych jego i wieloletnich zasług także przypadkowe względy królewskie, za Arciszewskim zaś, obok niezaprzeczonych zdolności, widocznie także pochodzenie jego szlacheckie.

Co innego natomiast dwa wyższe dygnitarstwa u św. Floryana, dziekania i kustodya, co innego i niższe kanonie kolegiackie, których razem i więcej było, które już z tego samego względu i prędzej się opróżniały, i które, z nic nieznaczącym wyjątkiem, w braku szlacheckiego rodu kandydatów, wyłącznie prawie samym tylko miejskiego i kmiecego pochodzenia dostawały się magistrom, o ile naturalnie, po ukończeniu właściwych kursów uniwersyteckich, jako doktorowie i księża prawu się oddawali lub św. teologii. Dziekan kolegiacki, wiekiem i długoletnią pracą umysłową stargany starzec, szedł tu zazwyczaj, gdy miejsce się opróżniało, na kanonika katedralnego, robiąc po sobie miejsce kustoszowi, za którym znowu w równej mierze niżsi na wyższe stopnie posuwali się kanonicy. Pierwszy też taki wypadek opróżnienia i posunięcia się na szczebel wyższy wydarzył się za czasów Leonarda z Wisnki w r. 1496, gdy z pominięciem ówczesnego dziekana, kmiecia Andrzeja z Łabiszyna Łabiszyńczyka, posunął się na kanonią katedralną wspomniany co kustosz, małomieszczanin Sacranus, a kustodyą po nim objął także małomieszczanin, dr. i prof. św. teologii, ks. Maciej Szydłowita z Szydłowa [3]. Po raz drugi przyszło do zmiany podo-

---

[1] Według Liber dilig., str. 375, był już w r. 1501 drem praw, w kilka lat później zaś, r. 1507, piastował już nietylko godność kanonika katedralnego, ale pełnił także równocześnie obowiązki generalnego wikaryusza krakowskiego. Pauli, l. c., IV 7 i nn.

[2] Około r. 1500 ogłosił drukiem pracę p. t. „Elucidarius errorum ritus ruthenici“, a później kilka innych treści teologicznej i pedagogicznej dziełek.

[3] Pauli, Series, jak wyżej.

bnej w lipcu r. 1498, po śmierci Łabiszyńczyka[1]. Wiekiem już pochylony Szydłowita[2], jak się godziło, został wtenczas za wolą kapituły i Uniwersytetu dziekanem kolegiackim, kustoszem zaś po nim dr. i prof. św. teologii, mieszczaninu ks. Marcin Łysy z Krakowa. Po raz trzeci wreście zaszła tu zmiana r. 1502, gdy i wiekowy Szydłowita na katedralnego posunął się kanonika. Godność i urząd dziekana po nim, jak znowu przystało, objął teraz po słuszności dotychczasowy kustosz Łysy, opróżnioną zaś po nim kustodyą były nauczyciel Leonarda z Wisnki na wydziale artystycznym, a obecnie już sam dr. i prof. św. teologii, syn kmiecy, ks. Mikołaj Pilczanus z Pilczy[3].

Pierwszy też to był w ogólności magister, którego wykładów przed laty słuchał Wisneczanin, a który teraz, zanim jeszcze nasz pauper od św. Floryana z egzaminami zdołał się uporać artystycznymi, już aż do tak wysokiego w kolegiacie urósł był dygnitarstwa. Wiele mu to dało prawdopodobnie do myślenia, tem bardziej, gdy równocześnie patrzył także, jak i inni jego z wydziału filozoficznego nauczyciele, po ukończeniu studyów uniwersyteckich, jako księża i drowie praw lub św. teologii, jedni po drugich na kanonie kroczyli kolegiackie. I tak z byłych magistrów jego w chwili, gdy sam w pierwszych dniach r. 1504 został magistrem, byli już kanonikami św. Floryańskimi, lub niebawem potem posad tych dobili się księża: Biel alias Albinus z Nowego miasta[4], Biem z Olkusza,

---

[1] Ob. wyżej; mylnie go zresztą piszą niektórzy dzisiaj Łabiszyńskim, szlachcicem nie był.

[2] Łętowski, Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, IV 123. — Według Liber promot. w wydaniu Muczkowskiego, str. 65, był już od początku r. 1468 mgrem filozofii.

[3] Wykładał na wydziale filozoficznym jako collega major do wiosny r. 1498. Liber dilig., str. 470. — Po śmierci Łysego w r. 1507 został dziekanem kolegiackim. Pauli, Series, j. w. — Nim zresztą został drem św. teologii, słuchał także wykładów na wydziale lekarskim, który wszakże ze stopniem bakałarza medycyny później porzucił. Szujski, Statuta i matrykuły, str. 20.

[4] Od r. 1507 kustosz, od r. 1515 zaś, po śmierci Mikołaja z Pilczy, dziekan kolegiacki i po kilkakroć rektor Uniwersytetu; † jako kanonik katedralny krakowski w r. 1541. Pauli, Codex, IV 13 i nn. — Jako Stanisław Albinus ogłosił zresztą r. 1520 u Unglera w Krakowie podręcznik do użytku szkolnego p. n. „Exordia epistolarum“.

ujek jego Bylica z Olkusza, Episcopius z Biskupiego alias de Cracovia [1], Jak. Gostyninus, Piotr Idzikowita, Jak. Iłżanus, Kobylinko z Kobylina, Kułap z Tarnowca, Jan Leopolita, Jan Leśnicensis, Bartł. Lipnicensis, Malek z Kleparza, Michałowski, Mikosz z Krakowa, Parisiensis z Bystrzykowa, Wojciech Piotrkowita, Wojciech Pniewita, Selig z Krakowa, Sternberg Olsnensis i Michał Wratislawita — sami mieszczanie, przedmieszczanie i kmiecie, z jednym, jedynym tylko wyjątkiem szlachcica Michałowskiego, którego szlachectwo wszakże przy ubóstwie jego, nawet we własnych jego oczach nie wiele już było warte, sam bowiem nie wiedział już naprawdę, skąd właściwie przychodził do niego, czy z Michałowa czy z Michałowic, gdyż i tak i owak pisał się naprzemian, raz „de Michałów", to znowu „de Michałowice" [2].

Postanowił więc w najbliższem po Wielkanocy półroczu letniem jako extraneus rozpocząć na wydziale artystycznym wykłady, zapisać się zaraz lub trochę później na wydziały jurydyczny lub teologiczny, przywdziać z czasem suknię kapłańską, a resztę zdać na wolę Wszechmocnego. Taką też tylko a nie inną mógł był ostatecznie powziąć decyzyą świeżo stopniem magistra zaszczycony ubogi Wisneczanin, w nadziei, że na drodze tej poważniejszego przecież na starsze lata między ludźmi dobije się stanowiska, że kiedyś może zostanie dziekanem, lub przynajmniej kustoszem albo kanonikiem kolegiackim, w najgorszym zaś razie otrzyma z ramienia Uniwersytetu intratne probostwo jakie, a choćby tylko pajęckie w ojczyźnie. Na postanowienie to zresztą, żeby zaraz w najbliższem półroczu letniem wykłady rozpocząć, wpłynął niewątpliwie także przykład zachęcający ze strony jego kolegów, którzy razem z nim po Trzech królach r. 1504 stopnie magistrów otrzymali.

Było ich t. r., jak rzadko kiedy przedtem lub potem [3], razem 20. O niektórych z nich nie da się naturalnie nic bliższego powiedzieć. Co mianowicie zrobili ze sobą właśnie wtenczas magistrami miano-

---

[1] Po mianowaniu Biela w grudniu r. 1519 kanonikiem katedralnym krak., w latach 1520 i nn. dziekan kolegiaty św. Floryańskiej i po kilkakroć rektor Uniwersytetu; † w kwietniu r. 1531. Pauli, l. c., IV 186.

[2] Liber dilig., str. 452.

[3] Muczkowski, Liber promot., str. 137 i n.

wani: Jan Augustanus de Augusta, Jan Bortman de Kottbus, Walenty Francfordiensis z Frankfurtu, Paweł Panyithensis de Panyith, Jan Reichenbachius z Reichenbachu i Szczepan Varadinensis z Waradynu, sami zresztą cudzoziemcy, nie jest wiadomo; powrócili prawdopodobnie do ojczyzny, lub poszli jako „praeceptores“ i „paedagogi“ szczęścia próbować na guwernerce w możniejszych szlacheckich i mieszczańskich domach, dlaczego też ślad po nich, jak dotąd przynajmniej, całkiem zaginął. Dwóch innych losy trochę już lepiej są znane. Ambroży Gedanensis z Gdańska po promocyi na magistra powrócił „in patriam“, ożenił się tam niebawem i pełnił potem w rodzinnem mieście obowiązki notaryusza publicznego, Dominik zaś Swidnicensis de Svyednycz za powrotem do ojczyzny zmienił stan świecki na duchowny i został z czasem kanonikiem gnieźnieńskim[1]. Inni natomiast w liczbie 11, niemając innych przed sobą widoków, postanowili dalej studya uniwersyteckie kontynuować, a dla zabezpieczenia sobie jakiej takiej egzystencyi tymczasowej rozpocząć wykłady na wydziale filozoficznym. Wprawdzie jeden z nich[2], Maciej Brzezinius de Brzeziny, rozpoczął je dopiero w jesieni r. t., drugi zaś, Mikołaj Ilkussius z Olkusza, dopiero w jesieni r. 1507, inni wszakże rozpoczęli je zaraz po Wielkanocy r. 1504, a mianowicie: późniejszy dr. i prof. św. teologii, kustosz a potem dziekan św. Floryański, wreście też kanonik katedralny krakowski, Jakub Fridel alias Fredolicius z Kleparza; późniejszy dr. medycyny, Jakub Grzywna alias Pellifex z Krakowa[3]; późniejszy dr. praw obojga i kanonik włocławski, Jakub Longus alias Biały z Krakowa; późniejszy dr. i prof. św. teologii i kustosz św. Floryański, Grzegorz Stawiszynius ze Stawiszyna; późniejszy dr. medycyny i autor

[1] Wszystko podług zapisek w Muczkowskiego Liber promot., l. c. Korytkowski w dziele „Prałaci i kanonicy katedry gnieźnieńskiej“ nie przytacza go w rędzie kanoników ani pod Dominikiem ani pod Świdnicą.

[2] Liber dilig., str. 374 i nn.

[3] Według Liber dilig., str. 416, wykładał na wydziale artystycznym do lata r. 1512; Acta rectoralia Universitatis Cracov., rękopis bibl. Jag. nr. 3804 (16), I 883, mienią go już pod dniem 27 sierpnia r. 1518 „dr. medicine“. Podług Kalendarza ks. dra Mikołaja Wieliciusa z Wieliczki na rok 1524, rękopis bibl. Jag. nr. 2482, przeniósł się w lutym r. t. z Krakowa do Koszyc na Węgrzech, gdzie też stale jako lekarz praktykujący osiadł: „23 Februarii 1524: dr. Iacobus Grziwna ivit in Cassoviam cum uxore ad manendum“.

kilku astronomiczno-astrologicznych dziełek, Mikołaj Tuliszek z Tuliszkowa; późniejszy kaznodzieja poznański, autor kilku dzieł i zasłużony tłumacz „Zołtarza“ Dawidowego, Walenty Wróbel alias Passer z Poznania. Zaczęli także zaraz po Wielkanocy r. 1504 wykładać: Węgrzyn Błażej Macranus de Macra, i Jan Ołomunicensis z Ołomuńca. Rozpoczął także, ale dopiero w rok później, jesienią r. 1505, najzdolniejszy z nich wszystkich, małomieszczanin Jan Paterek z Szamotuł, który w pierwszej chwili, w styczniu r. 1504, po otrzymaniu stopnia mgra filozofii, wstąpił był do zakonu oo. Bernardynów, który wszakże po rocznej próbie opuścił, ażeby właściwe pokończyć studya uniwersyteckie, a w szczególności słuchać prawa i nauk teologicznych. Po kilku też latach, uporawszy się z egzaminami, został drem prawa i św. teologii, czego nie każdy wówczas tak łatwo i nie tak prędko mógł był dostąpić, uzyskał niebawem potem jakieś probostwo, prawdopodobnie w Pobiedrze [1], a równocześnie z fundacyi kardynała Oleśnickiego posadę kaznodziei polskiego w katedrze krakowskiej. Z lat też tych, w każdym razie nie wcześniej jak z jesieni r. 1510, dochował się do naszych czasów po nim poważny zbiór w języku polskim „Kazań o Maryi Pannie czystej“, niepospolity wielkiej jego erudycyi i wymowy ówczesnej owoc [2]. Niestety, tak pięknie rozpoczętej karyerze młodego jeszcze i zdolnego ks. dra i kaznodziei położył koniec szlachcic Rusocki, bodaj czy nie ów wspomniany wyżej h. Płomień Michał, b. mgr. i extraneus krakowski, z którym w sporze zostawał o dziesięciny kościelne, i który go też 9 stycznia r. 1519 w okrutny i zdradziecki sposób, zadawszy mu ran 28, we własnym domu w Rusocicach zamordował [3].

---

[1] Długosz, Liber benef., I 64 i n.

[2] Sprawozdania Komisyi językowej, I 161—294.

[3] Niezużytkowane dotąd zapiski współczesne o dokonanem na Paterku morderstwie mieszczą się w przytoczonym wyżej Almanachu Perlacha na r. 1519, mianowicie: 1. „Die nona mensis istius (9. I 1519) Ioannes Paterek de Shamotuli, iuris canonici et s. theologie dr., multis, 28, wlneribus confossus, interijt, tribus miliarijs a Cracouia. Interfectus est per quendam Nobilem Rvssoczki, cum quo litigabat pro decimis parrochialis sue, ob cuius occisionem interdicta est Cracouia die 14 mensis eiusdem, sed relaxata die xx propter regis adventum“; 2. „18 Ianuarij: rex Sigismundus intrauit Cracouiam ante horam xix hac die 18“; 3. „Bona, Polonie regina, enixa est Cracouie

Aż ośmiu zatem kolegów naszego Wisneczanina, promowowanych razem z nim w pierwszych dniach stycznia r. 1504 na magistrów: Fridel, Grzywna, Longus, Macranus, Ołomunicensis, Stawiszynius, Tuliszek i Wróbel, postanowiło wykłady na wydziale artystycznym rozpocząć zaraz po Wielkanocy r. t., i w rzeczy samej jako extranei je rozpoczęli. Zachęcający też ten z ich strony przykład nie mógł nie oddziałać i na mgra Leonarda, jakoż i on jako extraneus młodszych wiekiem pauprów krakowskich zaraz po Wielkanocy z katedry filozoficznej nauczać zaczął. Gdzie zaś i przy czem sam w pierwszej chwili, dla zapewnienia sobie na razie jakiej takiej egzystencyi, zawiesił się, czy objął jako senior dozór i opiekę nad którą bursą miejscową, czy też jako rektor kierownictwo której z ówczesnych szkół parafialnych, nie powiadają współczesne źródła rękopiśmienne; najprawdopodobniej jako b. żak od św. Floryana, pochodzący w dodatku z kolegiackiej Wisnki, został teraz rektorem szkoły św. Floryańskiej lub jego pomocnikiem i jako rektor lub pomocnik w szkole tej zamieszkał. Bądź co bądź wszakże, na podstawie znanego już dzisiaj Liber diligentiarum z owego okresu tak czas pobytu jego na wydziale artystycznym, jak i wieloletnia jego na nim działalność w wyraźniejszych już o wiele zakreślić się dają rysach.

I tak przedewszystkiem [1], jak rzadko który z ówczesnych ma-

---

filiam die 18 mensis huius circa horam 4 noctis sequentis, cui nomen impositum est Elizabet alias Isabella, baptisata est in ecclesia catedrali Crac. per episcopum eiusdem ecclesie, dnum Ioannem Conarski, die penultima eiusdem"; 4. „21 Ianuarij: dr. Paterek sepultus in ecclesia b. Virginis in Arena" (na Piasku u oo. Karmelitów). — Niedrukowane dotąd Acta actorum capituli cathedralis ecclesiae Cracoviensis, znajdujące się w archiwum kapitulnem krak., II 330 v. i 336 v., świadczą za tem, że kapituła katedralna, rezultatem takim niezadowolona, dalsze czyniła kroki w celu przykładnego, o ile to wówczas możliwe było, ukarania rozzuchwalonego mordercy. Uchwaliła więc na posiedzeniu 4 lutego t. r., aby jej delegat, ks. dr. Arciszewski, który właśnie wybierał się na synod generalny do Piotrkowa, wniósł tam sprawę zamordowania ks. Paterka; na posiedzeniu zaś 1 lipca ponownie „dni prelati et canonici non aliter Nobilem Ruschoczky, olim dris Paterek occisorem, absoluendum fieri voluerunt, nisi tunc, cum se ad publicam publici delicti penitenciam subdiderit, et ecclesie se in ducentis florenis obligauerit".

[1] Liber dilig., str. 530 i n.

gistrów[1], był nasz Wisneczanin czynny na wydziale, brał udział w dysputach sobotnich i wykładał z katedry publicznie od Wielkanocy r. 1504 do Wielkanocy 1527 włącznie, t. j. razem okrągło i bez przerwy przez lat 23 czyli przez 46 semestrów szkolnych. Przeszedł też w tym czasie, podobnie jak i inni przez czas dłuższy na wydziale czytający magistrowie, wszystkie ówczesne tego fakultetu szczeble hierarchiczne. Był więc aż do półrocza letniego r. 1510, czyli przez lat 7 albo 14 semestrów, czynny jako extraneus bez żadnego wynagrodzenia, z początku, do jesieni r. 1507, jako extraneus „simpliciter seu de non habentibus facultatem", od 5 października wszakże r. 1507, gdy przez wydział „ad facultatem assumptus" został, jako extraneus „de faculatate seu facultatem regens", co jednak bynajmniej położenia jego materyalnego nie polepszało, cała korzyść jego bowiem w tem tylko zależała, że mógł go był teraz wydział obrać dziekanem fakultetu, i w rzeczy samej na półrocze letnie r. 1510 dziekanem go swoim obrał. Odtąd też aż do półrocza letniego r. 1518, czyli przez lat $7^1/_2$ albo przez 15 semestrów należał już do kolegium mniejszego, był „collegiatus Collegii minoris"; od półrocza wreście zimowego r. 1518/19 aż do półrocza zimowego 1526/27, czyli przez lat $8^1/_2$ albo przez 17 semestrów, należał do kolegium większego, był „collegiatus Collegi majoris". A co wykładał i czego młodszych żaków uczył w tym czasie?

Jako extraneus rozpoczął mgr. Leonard w lecie r. 1504 wykłady od partyi z całokształtu filozofii Arystotelesa, zwanej „Priora", które w dalszym ciągu czytał także w następującem półroczu zimowem z r. 1504 na 1505, a nawet je sobie zaraz potem w zimie z r. 1508 na 1509 jeszcze raz powtórzyć pozwolił. Oprócz tego jako extraneus do lata r. 1510 wykładał jeszcze z filozofii Arystotelesa, naturalnie zawsze „de via communi Scotisantium": 3 razy „De generatione", raz „Parvulum philosophiae" raz „Physica", raz „Topica", raz „Veterem artem seu primam partem logicae"[2], a wreście także 2 razy Euclidesa „Elementa geometriae" i raz „Theoricas planetarum". Wykładał zaś, w ogóle biorąc, wcale przy-

[1] O wydawnictwie Liber dilig., str. 19.

[2] Co o tych partyach różnych z filozofii Arystotelesa sądzić należy, wyjaśniłem w rozprawie: O wydawnictwie Liber dilig., str. 7 i 18.

kładnie, przy trzech tylko bowiem odczytach dali mu ówcześni dziekanie malam, jeżeli się tak wyrazić godzi, notam: w lecie r. 1505 przy „Theoricas planetarum“ zanotował dziekan Szymon Sieprcius, że Wisneczanin wykład ten „neglexit 11“ razy i że go „non finivit“; w półroczu zimowem z r. 1507 na 1508 przy „De generatione“ dodał mu dziekan Stobniczka, że wykład „neglexit 8“ razy i że „saepe negligenter principium horae legit“; wreście też w semestrze zimowym z r. 1509 na 1510, także przy „De generatione“, zanotował dziekan Sternberg, że mgr. Leonard „allegavit infirmitatem“ i że pod pozorem słabości wykład ten „neglexit 2“ razy.

Nie inaczej też wyglądają jego wykłady także z czasu, gdy należał do kolegium mniejszego, czyli od zimy r. 1510 do lata r. 1518, granicy bowiem między tem, co extraneus, a tem, co collega minor lub major czytać był obowiązany, nie było żadnej. Wykładał zatem i w tym przeciągu z filozofii Arystotelesa: 3 razy „De coelo et mundo“, raz „De generatione“, raz „Elenchos“, raz „Parva logicalia“, 2 razy „Parva naturalia“, 2 razy „Priora“, 2 razy „Posteriora“, 2 razy „Veterem artem“, a wreście także raz Donata „De octo partibus orationis“, raz Piotra Hiszpana „Septem tractatus seu summulas logicae“, raz humanisty Nigra „Epistolas“, i raz, w lecie r. 1517 „post caniculares“, Horacego „Carmina“.

Podobnie przedstawiają się nakoniec także i wykłady jego z trzeciego okresu, gdy w sierpniu r. 1518 na miejsce Tomasza Obiedzińczyka wszedł jako członek do kolegium większego[1]. Jako collega major, od jesieni r. 1518 do wiosny r. 1527 czyli przez 17 semestrów, czytał więc z filozofii Arystotelesa: 5 razy „De anima“, raz „De coelo et mundo“, raz „De generatione“, raz „Elenchos“, raz „Meteorologica“, raz „Novam logicam seu secundam partem logicae“, raz „Parva naturalia“, 3 razy „Physica“, raz „Politica“,

[1] Tomasz Obiedzinius zostawszy kantorem płockim, już od lata r. 1505 nie wykładał osobiście na wydziale artystycznym, lecz zastępować się dawał w obowiązkach swoich innym mgrom, dlaczego też na mocy wyroku królewskiego w sierpniu r. 1518 kolegiatury pozbawiony został. Mimo to piękną i długotrwałą po sobie w Uniwersytecie zostawił pamięć, z funduszów bowiem, które na ten cel w r. 1517 przeznaczył, wybudowana została w Collegium majus osobna na pomieszczenie biblioteki sala, do dzisiaj tradycyjnie zawsze jeszcze salą Obiedzińskiego nazywana. Pauli, Codex, IV 71 i n.; Bandtke, Historya biblioteki Jag., str. 31 i n.

2 razy „Posteriora“, 2 razy „Priora“, raz „Topica“, 7 razy „Veterem artem“, a oprócz tego 4 razy Donata i raz Piotra Hiszpana „Septem tractatus“.

Niema zresztą w tym wykazie czytanych przez niego wykładów nic zgoła nadzwyczajnego, te same przedmioty i także „de via Scoti“ czytali przecież także nauczyciele jego w latach 1494—1504, których wykładów przez całe dziesięciolecie, zanim został magistrem, słuchać był obowiązany. To samo mniej więcej czytali zresztą teraz, od wiosny r. 1504, także i inni magistrowie, którzy krócej lub dłużej, do wiosny r. 1527, obok niego i z nim razem na wydziale artystycznym, jużto jako extranei, już jako członkowie kolegium mniejszego lub większego czynni byli. A wcale ciekawy przedstawiają widok ci jego koledzy, razem zebrani i razem obok siebie zestawieni, których poczet, co łatwo przypuścić, w całem znaczeniu poważny był i ciekawy. Jeżeli bowiem już w dziesięcioleciu od r. 1494 do 1504 fakultet filozoficzny czynnych w gronie swojem okrągło 100 magistrów liczył, toć spodziewać się, że w następujących 23 latach liczba ta prawie w dwójnasób urość musiała. Jakoż w rzeczy samej tak było.

Przedewszystkiem więc kolegowało z nim teraz i razem z nim na wydziale młodszych uczyło pauprów wielu z byłych jego nauczycieli, wielu z owych 100 magistrów, którzy gdzieindziej zaopatrzenia dla siebie jeszcze nie znaleźli byli, i dlatego jużto jako extranei, już jako „collegiati Collegii minoris“ lub „majoris“, przy wydziale artystycznym zawsze jeszcze wisieli. A mianowicie byli tu jeszcze, niektórzy krócej inni zaś dłużej, czynni: Piotr Aurifaber, Bargiel, Bełza, Białkowski, Biem, Bregensis, Czepel, Dąbrówka, Dobrogost, Głogowita, Idzikowita, Iłżanus, Kij, Krypa, Kułap, Kunasz, Laszkianus, Jan Leopolita, Leśnicensis [1],

[1] Czytał na wydziale artystycznym tylko do wiosny r. 1507, jak długo zaś jako dr. i prof. św. teologii i jako kanonik św. Floryański wykładał na wydziale teologicznym, ściśle oznaczyć się nie daje. Według ks. Korytkowskiego Prałaci i kanonicy, II 432 i n., objął przy końcu r. 1511, na wezwanie arcybiskupa Łaskiego i kapituły gnieźnieńskiej, kanonią gnieźnieńską i posadę prof. teologii przy tamtejszej szkole metropolitalnej, gdzie też r. 1526 życie zakończył; podług zapiski zaś w Perlacha Almanachu na r. 1519, usunął go go Uniwersytet krakowski z posady dopiero w maju r. 1519: „die 9 mensis

Lipnicensis [1], Łukowita, Malek, Michałowski, Mikosz, Nagolt, Michał Neopolitanus, bracia Jan i Łukasz Noskowscy, Obiedzinius, Parisiensis, Piotrkowita [2], Pronensis, Szymon Przemysliensis, Przewodowita, Rusocki, Jan Sandomirita, Szymon Sieprcius, Sternberg, Stobniczka, Swodziszowicius, Leonard Vitreator, Wielicius, późniejszy od r. 1514 proboszcz pajęcki Wolborita, Michał Wratislawita, Zakliczowus i Zelczar — razem mgrów 47.

Kolegowali z Wisneczaninem teraz także byli koledzy jego z ław szkolnych, co z nim razem — jak się już powiedziało — po Trzech królach r. 1504 stopień magistrów filozofii osiągnęli byli, a obecnie z katedry innych już nauczali: Maciej Brzezińczyk, Fridel, Grzywna, Mikołaj Ilkuszczyk, Longus, Macranus, Ołomunicensis, Paterek, Stawiszyńczyk, Tuliszek i Wróbel — razem magistrów 11.

---

istius (Maji) dr. Ioannes de Lesnicza priuatus est collegiatura sua et canonicatu s. Floriani propter absenciam".

[1] Także do końca życia kanonikiem św. Floryańskim nie był, otrzymał bowiem później od biskupa krakowskiego niedaleko ojczystej Lipnicy probostwo w Uszwi. Osobiście wszakże w parafii swojej nie mieszkał, owszem zastępował go tam w obowiązkach duszpasterskich ks. wikary, sam zaś przebywał w Krakowie, oddany duszą i ciałem nagromadzonej już od 150 lat prawie bibliotece w Collegium majus, którą wedle sił i możności porządkował. Ażeby losy jej także na przyszłość zabezpieczyć, z własnych, długoletnią pracą mozolną uzbieranych funduszów, ustanowił dla niej 13 lipca r. 1538 posadę stałego kustosza, którym miał być zawsze jeden z magistrów krakowskich i którego obowiązki w potwierdzonym przez króla Zygmunta I dokumencie erekcyjnym w następujący określił sposób: „singulis diebus per duas horas, in aestate a 19 hora usque ad 21 horam, in hyeme vero ab hora 20 usque ad 22, librariam in Collegio majori artistarum reseratam et apertam custodiat per se vel per alium fidelem idoneum, quo liceat studere et legere volentibus sub eo tempore ingredi eandem librariam...". Kopia tej jego erekcyi, w której dla siebie do końca życia posadę pierwszego biblioteki kustosza zastrzegł, znajduje się w rękopisie bibl. Jag. pod nrem 3838 (48) str. 562—574, gdzie nosi napis: „Erectio altaris tituli passionis Domini nostri Jesu Christi, Virginis Mariae Deiparae et b. Bartholomaei secundi ministerii in medio ecclesiae parochialis ejusdem s. Mariae versus meridiem in circulo Cracoviensi, cum onere custodiae librariae in Collegio majori".

[2] Razem z Tomaszem Bedermanem z Poznania, według zapiski w Perlacha Almanachu na r. 1519, został w styczniu t. r. licencyatem, w lutym zaś drem św. teologii: „16 Ianuarij (1519): Licenciatura in theologia dnorum mgrorum Alberti Piotrkovita et Thome Bederman de Posnania"; „7 Februarij (1519): dni Albertus Piotrkovita et Thomas Bederman de Posnania creati in doctores theologie ad s. Annam".

Oprócz nich zaś wykładali tu teraz młodsi już od nich magistrowie, którzy dopiero po Trzech królach r. 1505 lub w latach następnych stopnie magistrów otrzymali byli, a mianowicie:

Krakowianie, Kazimierczyki i Kleparzanie: późniejszy kanonik i kustosz św. Floryański, rodzony brat Piotra, Stanisław Aurifaber alias Lubart, późniejszy kanonik św. Floryański Andrzej Burcardini alias Burkat, późniejszy kanonik św. Floryański Stanisław Cieśla alias Carpentarius, Gabryel Cracovita, Jan Cracovita, późniejszy kanonik św. Floryański Marcin Garbarz alias Cerdo aut Cerdonius, Maciej-Mateusz[1] Garbarz, także po łacinie Cerdo zwany, Franciszek Haller[2], Jan syn Pawła Kaufmann, inaczej Paulkofman nazywany, Jan Kazimirita z Kazimierza, Jakub Klepardiensis Junior z Kleparza[3], Maciej-Mateusz Magnus alias Cantrifusor, Adam Matła, Stanisław Mazaniec, Erazm Morsztyn[4], Erazm Mydlarz alias Smigmator[5], Melchior Pechman, Maciej

---

[1] Pod wpływem łaciny średniowiecznej, która, na co Liber dilig., str. 450 i n., kilka wcale ciekawych dostarcza przykładów, prawie żadnej nie robiła różnicy między Mathias a Matthaeus, nie odróżniała także stara polszczyzna Macieja od Mateusza. Ewangelistę św. Mateusza nazywano u nas pospolicie św. Maciejem: „svyat Macyey popyssal“ w ewangelii, powiada o nim n. p. kaznodzieja polski z w. XV, jak czytamy w Sprawozdaniach Komisyi językowej, I 147. Toż i dla biskupa krakowskiego Zebrzydowskiego w połowie XVI w., był ewangelista Mateusz zawsze jeszcze po dawnemu „Macziek“. Acta historica, I str. 481.

[2] Syn bogatego drukarni właściciela, Jana Hallera, był później, według Muczkowskiego Liber promot., str. 160, drem medycyny i notaryuszem krakowskim. Podług Kalendarza dra Wieliciusa na r. 1524, ożenił się t. r. w styczniu: „19 Ianuarij 1524: dr. Franciscus Haller contraxit (matrimonium) cum vidua Agnete Iorgeblova post horam 16“; podług zapiski zaś w drukowanych Efemerydach Stoefflera na r. 1527, znajdujących się w bibl. Jag.: „12 Augusti 1527: dr. Haller obijt“.

[3] Jak się właściwie po ojcu pisał, nie jest wiadomo, dla odróżnienia od Jakuba Fridla z Kleparza nazywali go współcześni Jac. Klepardiensis Junior; na wydziale filozoficznym uczył tylko do r. 1511, później zaś był drem medycyny, kanonikiem łowickim i proboszczem skierniewickim. Według zapiski w Perlacha Almanachu na r. 1519 wrócił w jesieni r. t. jako dr. medycyny z Włoch: „1 Nov. 1519: dr. Iacobus de Cleparz, medicus, et dr. Michael Paczanow, iurista, redierunt ex Italia die 1 mensis huius“.

[4] Syn zamożnego mieszczanina krakowskiego, † w kilka lat później we Włoszech, gdzie się dla dalszego wykształcenia był udał. Muczkowski, Liber promot., str. 140.

[5] Był później opatem w Mogile; Starowolski w dziele „Vitae antistitum

Przybyło alias Auctus [1], Stanisław Ursinus, Stanisław Widawski de Cracovia, Jan Wiewiórka [2] i Erazm Wonsam [3] — razem magistrów 22.

Uczyło tu dalej obok niego i razem z nim w przeciągu owych 23 lat: 5 Poznańczyków, Antoni Bederman, Sebastyan Bederman, Tomasz Bederman [4], Wojciech Misellus z Poznania, inaczej także Basa, Oman, Saxo lub Sierotka nazywany, i Stanisław Poznanita; 5 Szamotulczyków, Maciej-Mateusz Cichosz alias Mittis [5], Grzegorz Szamotulianus, Maciej Szamotulianus II [6], Marcin Szamotulianus i Szymon Szamotulianus [7]; 4 Lwowian, Andrzej Berger de Leopoli, Franciszek Leopolita, Sebastyan Toczka de Leopoli i Stanisław

---

Cracoviensium", str. 227, przekręcił pierwszy nazwisko jego na Vitellius-Ciołek i pod tą nazwą przeszedł też do potomności, n. p. w publikacyi K. Hoszowskiego, Obraz życia i zasług opatów mogilskich, str. 31 i nn., Acta historica, I 1 i nn. Wszędzie też Vitellius-Ciołek należy poprawić na Smigmator-Mydlarz, pochodził bowiem z polskiej rodziny krakowskiej „Midlarzów". Muczkowski, l. c., str. 148 i 153; Liber dilig., str. 495.

[1] Później dr. praw i medycyny, z Włoch powrócił w sierpniu r. 1519: „5 Augusti 1519: mgr. Mathias Auctus Cracoviensis redijt ex Italia". Perlacha Almanach.

[2] Według Almanachu Perlacha: „18 Maij 1519: mgr. Vieviorka iuit in Italiam die 18".

[3] We wrześniu r. 1524, jak o nim i o dwóch innych mgrach w Kalendarzu swoim zanotował ks. dr. Wielicius, został drem praw: „22 Sept. 1524 creati sunt in dres iuris canonici mgr. Mathias de Shamotuli (Cichosz), Erasmus Vonsam de Cracovia et Sigismundus de Stazicza".

[4] Podług zapiski w Perlacha Almanachu: „2 Nov. 1519 mgr. Antonius Bederman de Posnania, adolescens, mortuus est peste"; Sebastyan B. był później „medicius"; Tomasz B. zaś, o czem już była wzmianka, został razem z Piotrkowitą 16 stycznia r. 1519 licencyatem, a 7 lutego t. r. drem św. teologii.

[5] Wydał u Hallera w Krakowie r. 1522 „Joannis de Sacrobosco Sphaericum opusculum", gdzie na wstępie wyraźnie Mittis Szamotuliensis się nazwał; we wrześniu r. 1524, o czem wyżej, razem z Wonsamem i Stężyczaninem został drem praw, † r. 1529 „peste". Nazwisko jego miejskie Cichosz poszło już obecnie w niepamięć, jedni przerobili go, a razem z nim i innych Szamotulczyków, na szlachtę Szamotulskich, inni przekręcili lacińskie jego Mittis na Kmitę z Szamotuł!

[6] Nazwisko tego drugiego Macieja Szamotulczyka, wykładał zresztą na wydziale tylko w jesieni r. 1524, nie jest znane; prawdopodobnie pisał się Krypa: Mathias Alberti „Crippa" de Szamotuły. Metricae studiosorum pars II, rękopis bibl. Jag. nr. 259, str. 9.

[7] Ostatniego lutego r. 1527, o czem już była wzmianka, otrzymał w Krakowie stopień dra medycyny.

Mienda de Leopoli; 3 Grodziszczan, Wojciech Grodziskanus, Marcin Grodziskanus i późniejszy kanonik św. Floryański Stanisław Grodziskanus de Grodzisko; 3 Rawitów, Jan Rawensis[1], Marcin Rawensis i Paweł Rawensis de Rawa; 3 Vitreatorów z Trzemeśni pod Dobczycami, Jan Vitreator, Mikołaj Vitreator[2] i Stanisław Vitreator; 2 Kościańczyków, Jan Kostensis i Maciej-Mateusz Kostensis a Kościan; 2 Koźmińczyków, późniejszy kanonik i kustosz św. Floryański a potem kanonik katedralny krakowski Benedykt Koźminius[3] i Grzegorz Koźminius a Magna Koźmin; 2 Kraińczyków, Wojciech Krainius de Kraina i Maciej Lis de Kraina[4]; 2 Lubelczyków, Erazm Lublinensis i Franciszek Lublinensis z Lublina; 2 Lwoweczan, Marcin Lwowecensis i Mikołaj Lwowecensis de Lwowek; 2 Opolczyków, Jerzy Opoliensis i Klemens Opoliensis de Opole; 2 Sandeczan, Jan Sandecensis i Wojciech Sandecensis de Nova Sandec; 2 Wiśliczan, Jan Wiśliciensis a Wiślica i późniejszy kanonik, kustosz i dziekan św. Floryański Michał Wiśliciensis, pospolicie Wiśliczką zwany; i 2 Wrocławczyków, Bartłomiej Wratislawita i Jakub Wratislawita. Razem więc magistrów 41.

Uczyli i wykładali mieszczanie, przedmieszczanie, małomieszczanie i synowie ubogich kmieci: poeta Rudolf Agricola Wasserburgensis, Tomasz Baczkowicius de Baczkowice, inaczej także Sclavus nazywany, Ambroży Baruthensis de Baruth, Ambroży Bolemowita z Bolemowa, Adam Brzezinius a Brzeziny[5], Andrzej Budweissensis

---

[1] Później dr. medycyny; według Kalendarza Wieliciusa w lutym r. 1523 wrócił z Włoch: „9 Febr. 1523: dr. Ioannes Rava redijt ex Italia".

[2] Później także „dr. medicine, Venecijs peste perijt". Muczkowski, Liber promot., str. 160.

[3] Przy końcu życia legował Uniwersytetowi wcale znaczny fundusz na zakupno i oprawę ksiąg dla biblioteki Collegium majus. W ogólności zawdzięcza biblioteka Jagiellońska organizacyą swoję w w. XVI wyłącznie miejskiego i kmiecego pochodzenia mgrom: Obiedzińczyk buduje dla niej osobną salę, Lipniczanin ustanawia stałego kustosza, Koźmińczyk zaś zapisuje fundusze na zakupno dla niej ksiąg i na ich oprawę.

[4] Obydwaj, Wojciech i Lis, byli później „medici"; ostatni wielki dobrodziej biblioteki Jag., której księgozbiór swój zapisał, osiadł w Krakowie iako lekarz w lutym r. 1524: „In hoc mense (Februario) dr. Mathias Craina, medicus, venit Cracouiam ad manendum". Wielicius w Kalendarzu na r. 1524.

[5] Obecnie już na Brzezińskiego przeinaczony; ostatniego lutego r. 1527, o czem już była mowa, otrzymał w Krakowie stopień dra medycyny.

de Budweiss, późniejszy kanonik św. Floryański Marcin Ciężkowita z Ciężkowic, poeta Leonard Coxus z Anglii, Bartłomiej Czystodębinensis de Munda quercu, Mikołaj Giełczewita de Giełczów, Jan Gneznensis z Gniezna, Jan Grodek z Sanoka, Sebastyan Hallensis de Hallis, Wacław Hirschberg-Anthraceus, Maciej-Mateusz Holnstein de Bolesławiec [1], Jakób Iłżanus Junior de Iłża, Maciej Kleczowita z Kleczowa, Mikołaj Kobylinius z Kobylina, Marcin Kołaczek z Pokrzywnicy [2], Stanisław Koza z Lubochni, Maciej Krawiec alias Sartor z Olkusza [3], Paweł Krosnensis-Gruellus z Krosna, Stanisław Kuroszanus de Kurosza, Jerzy Libanus z Lignicy, Jan Łancutiensis z Łancuta, Paweł Łobżenicensis z Łobżenicy, Stanisław Łowicius Senior z Łowicza [4], Jerzy Lubaszensis de Lubasz, Jan Mstowita de Mstów, późniejszy kanonik, kustosz i dziekan św. Floryański Antoni Napachanius a Napachanie, Łukasz Neopolitanus z Nowego miasta, Walenty Neuenburgensis z Nowego, Hilary Nissanus de Nissa, Piotr Obornicius de Oborniki, inaczej także Wedelicius, Quittemberg albo Vitirbek nazywany, Andrzej Pakostensis z Pakości, Walenty Pilznensis z Pilzna, Andrzej Pirzchałka z Opoczna, Jan Płocensis de Płocko, Jakub Pontificius de Biskupice [5], późniejszy kanonik, kustosz i dziekan św. Floryański a wreście także kanonik katedralny krakowski Mikołaj Procopiades ze Szadku, późniejszy kanonik św. Floryański Jan Prosiński z Piotrkowa, późniejszy przed r. 1530 proboszcz pajęcki Maciej Przedborius z Przed-

---

[1] Był później kanonikiem przemyskim, w naszym już wieku przekształcony na Boleszkiewicza.

[2] Pokrzywnickim nazywają go już dzisiaj niektórzy, był później drem i prof. prawa i kanonikiem katedralnym krak.

[3] Nie Cra*n*yecz, jak pisze Muczkowski, Liber promot., str. 130.

[4] Późniejszy dr. medycyny, uczył na wydziale artystycznym od r. 1517 do wiosny r. 1541, Seniorem nazywano go dopiero od r. 1535, gdy równocześnie z nim drugi mgr. Stanislaus Łowicius de Łowicz, piszący się po ojcu Bieda, „monachus Miechowiensis“, wykłady na wydziale rozpoczął. Bieda został według Liber dilig., str. 382, 444 i n., drem św. teologii w lutym r. 1552, i nie należy go łączyć z trzecim ks. Stanisławem Łowiczaninem z Łowicza, także drem teologii i już od r. 1530 proboszczem pajęckim.

[5] „Promotus in drem medicinae in Studio Paduano“ był później lekarzem, kanonikiem krakowskim, płockim i t. p.; niewłaściwie przerobili go w naszych czasach niektórzy na Biskupskiego, ze szlachty nie pochodził, pisał się Pontificius, a dla współczesnych był „plebejus“. Acta historica, I nr. 17.

borza, Andrzej Psarensis de Psary, Marcin Ratiborensis z Racibora, Stanisław Rzeczycius de Rzeczyca, Walenty Sandomirita ze Sandomierza, późniejszy kanonik św. Floryański Jakub Sieprcius de Sieprc, Jakub Siradita z Sieradza, Marcin Sokołowius de Sokołów, Jan Benedicti Solfa de Trebul Misniensis [1], Zygmunt Stężycius ze Stężycy [2], Marcin Stiriensis de Stiria, Krzysztof Stratander de Steinavia, Jerzy Ticius alias Ticenus de Tyczain, Kasper Ulmensis de Ulma, Marcin Urzędowius ab Urzędów [3], Mikołaj Wielicius II z Wieliczki [4], późniejszy kanonik św. Floryański Stanisław Wielopolensis z Wielopola, Maciej Wielunensis z Wielunia, i Aleksy Zuchta alias Suchten z Gdańska — razem więc magistrów 60.

Uczyli wreście, ale całkiem krótko, po jednem lub po kilka półroczy, Węgrzynie: Jerzy Caschoviensis i Marcin Caschoviensis z Koszyc, Melchior Csaszlocensis de Csaszlo, Andrzej Ginziensis de Ginzio, Piotr Sanctopetranus de Sancto Petro, i Piotr Varadinensis de Varadino — razem magistrów 6.

A pochodzenia szlacheckiego ilu też w tym czasie w rojnej tej rzeszy uczących na wydziale artystycznym magistrów być mogło? Niestety, znowu razem tylko 7, a wszyscy z podupadłej już szlachty drobnej: Bartłomiej Bromirski de Bromirz, Andrzej Dąbrowski, Maciej h. Lis Łącki de Łąki, Jakub Skrzetuski de Skrzetusz, Mikołaj Sokoliński alias Sokolnicki de Sokolniki, Marcin Szamowski de Szamów i Stanisław Szczawiński de Szczawino. Nie wiele też o ich losie późniejszym da się co powiedzieć. Bromirski [5] wykładając jako mgr.

[1] Później także lekarz, fizyk królewski, kanonik krakowski, wrocławski i t. p.; z dyplomem dra medycyny, według zapiski w Perlacha Almanachu, wrócił r. 1519 z Włoch: „6 Nov. 1519: dr. Ioannes Benedicti de Trebul, medicus, et dnus Ioannes Zefridi Bethman redierunt ex Italia die 6 mensis huius“. Jeszcze 1 kwietnia r. 1519 bawił w Wenecyi, rękopis bibl. Jag. nr. 812.

[2] Razem Wonsamem i Cichoszem, o czem już była wzmianka, został we wrześniu r. 1524 dr. juris canonici; później jako kanonik krakowski był 9 razy rektorem Uniwersytetu Jag.

[3] Od czasów Sołtykowicza wszystkich prawie Urzędowczyków XVI w. przezywają dzisiaj niektórzy Urzędowskimi.

[4] Później także dr. i prof. medycyny i kanonik katedralny krakowski, jako taki nawet, według Acta historica, IX 66 i 1264: „ab epo Zebrzydowski pecuniis exutus et in carcerem conjectus“. Po nim właśnie dochowały się w zbiorze rękopisów bibl. Jag. pod nrem 2482 fragmenty jego Kalendarzy rękopiśmiennych na r. 1523 i 1524, z których wyżej niektóre zapiski przytoczone.

[5] Muczkowski, Liber promot, str. 146 i 151; Acta historica, I nr. 825.

na wydziale filozoficznym, był równocześnie zwykłym fakultetu jurydycznego słuchaczem, otrzymał stopień dra praw, a gdy stan świecki na duchowny zmienił, wyszedł z czasem na archidyakona płockiego. O Dąbrowskim[1] wiadomo tylko tyle, że był później „plebanus“. Łącki[2] idac tą samą, co Bromirski drogą, jako dr. i prof. praw obojga został z czasem kanonikiem gnieźnieńskim i krakowskim, i był po kilkakroć rektorem Uniwersytetu. Sokoliński otrzymał w Krakowie ostatniego lutego r. 1527 stopień dra medycyny, ale już r. 1531 życie zakończył[3]. O Szamowskim[4] daje się tylko tyle powiedzieć, że zaledwie przez jedno półrocze, w lecie r. 1507, wykładał, i to w zastępstwie za małomieszczanina, dra Krypę z Szamotuł, widocznie jako jeden z ubogich przez niego wspieranych magistrów, ale co potem z nim się stało, nie wiadomo. Szczawiński[5] także tylko przez jedno półrocze, w lecie r. 1515, na wydziale czytał, poczem do Włoch wyjechał, skąd już w lipcu r. 1519 jako dr. praw do Krakowa wrócił[6]. Skrzetuski[7] wreście wcale niemiłe po sobie w Uniwersytecie zostawił wspomnienie. Pochodził on także z podupadłej już szlachty drobnej, która wprawdzie mieszczańskim już oddawała się zatrudnieniom, ale na szlachectwo swoje zawsze jeszcze dumną była, jak n. p. ów współczesny mu h. Jastrzębiec drukarz krakowski a potem właściciel drukarni Pod nadzieją w Wiedniu[8], piszący się szumnie w stolicy rakuskiej: „Nobilis Skrzetuski cognomine Hoffhalter“. Jastrzębczyk też nasz, widocznie bliski jakiś drukarza wiedeńskiego krewny, wykładał na wydziale artystycznym od wiosny r. 1508 do wiosny r. 1525, słuchając zaś równocze-

[1] Muczkowski, Liber promot. str. 177.

[2] Muczkowski, l. c., str. 173 i 177; Korytkowski, Prałaci i kanonicy, II 519 i nn.

[3] Razem z Adamem Brzezińczykiem i Szymonem Szamotulczykiem, o czem wyżej już była wzmianka; według zapiski w Efemerydach Stoefflera: „11 Octobris 1531: Sokolnijczki soluit debitum carnis, febri pestilenciali correptus“.

[4] Liber dilig., str. 508.

[5] Liber dilig., str. 508; Muczkowski, Liber promot., str. 153: „dr. juris Italiae“.

[6] Almanach Perlacha: „8 Iulij 1519: dr. Stanislaus Sczavinski redijt ex Italia“.

[7] Muczkowski, Liber promot., str. 136 i 147; Liber dilig., str. 494.

[8] O wydawnictwie Liber dilig., str. 12 i 20; Bandtke, Historya drukarń, III 230; Mayer, Wiens Buchdruckergeschichte, I 86 i nn.

śnie na fakultecie jurydycznym prawa, został później drem, a po przywdzianiu sukien kapłańskich plebanem i kanonikiem w Poznaniu, gdzie niebawem zasłynął jako „gravis persecutor magistrorum, qui scholis aliquando Posnaniae praefuerunt, et aliorum virorum, qui titulis doctorum et magistrorum ornati erant“. Za co wszakże w ten odpłacał się sposób byłym kolegom i uczniom swoim, i czy przypadkowo właśnie szlachectwo jego, z którego bodaj czy sobie łyki krakowskie niewczesnych jakich nie stroiły żartów, nie było tego przyczyną, nie jest wiadomo.

Rojno zatem i gwarno było za Wisneczanina w przeciągu 23 lat, od wiosny r. 1504 do Wielkanocy r. 1527, na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego: czytających i uczących, jużto w charkterze docentów bezpłatnych, zwanych extranei, już jako członków kolegium mniejszego lub większego, przesunęło się w tym czasie obok niego i z nim razem na katedrach nauczycielskich 47+11+41+60+6+7=ogółem aż 172 magistrów! Za wybitniejszymi jednakowoż między nimi i poważniejszymi żywiołami szlacheckimi napróżnoby się kto oglądał, o garstce zaś podupadłej szlachty drobnej, która się w ich rzędzie przypadkowo tylko i raczej z konieczności znalazła była, zaledwo wspominać warto, a ta reszta, to magister w magistra sami mieszczanie lub równi naszemu Leonardowi pochodzeniem synowie ubogich kmieci, to prawie jeden w drugiego: Bargiel, Cichosz, Cieśla, Garbarz, Grzywna, Kij, Kołaczek, Koza, Krawiec, Krypa, Kułap, Lis, Malek, Mazaniec, Mydlarz, Pirzchałka, Przybyło, Srolla, Wiewiórka, Wróbel... to dalej: Auctus, Aurifaber, Cantrifusor, Cerdo, Longus, Magnus, Passer, Pellifex, Pontificius, Sartor, Scipio, Smigmator, Ursinus, Vitreator... to wreście o niemieckich nazwiskach: Bederman, Fridel, Haller, Kaufman, Pechman, Wonsam...

Nie źle też, jak ze wszystkiego wnosić się godzi, powodziło się między nimi w dosyć długim tym stosunkowo czasie synowi kmiecemu i byłemu od św. Floryana żakowi: jakby swój żył i obracał się śród swoich, albo równy im we wszystkim albo mało co od nich pochodzeniem i zamożnością różny. Jakoż z wyjątkiem kilku małych z niektórymi kolegami nieporozumień, krzywić się na nich nie miał powodu, a że nawzajem bynajmniej niemiłą nie była także i dla nich jego osoba, dowodem tego najlepszym, że go

po dwakroć gremialnie dziekanem obrali swoim[1], raz na półrocze letnie r. 1510, po raz drugi zaś na kurs zimowy z r. 1523 na 1524. Przypadkowo też, gdyż nie każdemu fakultetu filozoficznego dziekanowi wydarzyło się coś podobnego, i za jednym i za drugim razem czemś wyraźniejszem lub milszem dla siebie, już to w dziejach wydziału już Uniwersytetu całego, pamięć zapisał swoję.

Jako dziekan więc z r. 1510 figuruje na umowie, zawartej ostatniego września t. r. między rajcami miasta Krakowa a przedstawicielami Uniwersytetu Jagiellońskiego, mocą której miasto Almae matri dla zaokrąglenia bursy Jeruzalem kawałek odstąpiło ziemi[2]. Umowę w imieniu Uniwersytetu podpisał ówczesny rektor a razem dr. i prof. św. teologii i kustosz św. Floryański, ks. Stanisław Biel z Nowego miasta. Podpisali ją z nim razem także dziekani wszystkich czterech fakultetów: dr. i prof. św. teologii i kanonik św. Floryański, ks. Paweł Zakliczowus z Zakliczowa, teologicznego; dr. i prof. prawa, ks. dr. Bełza z Krakowa, jurydycznego; dr. i prof. medycyny, Jan Kośmider z Ostrzesowa[3], lekarskiego; i „mgr. Leonardus de Wisnka, decanus facultatis artisticae".

Za powtórnego zaś dziekaństwa, w półroczu zimowem z r. 1523 na 1524, o wiele nawet osobiście milszej dla siebie doznał przyjemności; promowując bowiem jako dziekan w terminie popielcowym, w połowie lutego r. 1524, kilku uczniów na bakałarzy nauk wyzwolonych, zaszczycił tą godnością także syna kmiecego, Stanisława z Wisnki[4], bliskiego, jak wszystko za tem przemawia, powinowatego swego, syna jednego z Trybusków, Karpików, Baranów, Kośmiderów lub którego innego kmiecia wisneckiego, którego widocznie pomału za sobą w mury pociągnął był miejskie, którym się zaopiekował, i któremu teraz dopomógł, że za dziekaństwa jego

---

[1] Muczkowski, Liber promot., str. 150 i 176: L. de Wyszuka i L. de Wysuka; Liber dilig., str. 530.

[2] „partem areae seu locum anguli, post locum secretum bursae Jerusalem situatum... pro ampliatione ejusdem secreti, ut aquae et immunditiae cloacae defluere poterint...". Z notatek Żeg. J. Paulego.

[3] Jak wszyscy drowie i prof. medycyny z przed r. 1527, otrzymał był stopień doktorski gdzieś we Włoszech; żartowali też sobie później niektórzy z niego, że „ex Italia asinus rediit". Oettinger, Rys, nr. 116.

[4] Muczkowski, Liber promot., str. 178: Stan. de Wyszuka.

przynajmniej stopnia dobił się bakałarskiego. Był to zresztą student już starszy [1], w lutym r. 1524 dawno już musiał był ukończyć 20 rok życia, w trzy lata później bowiem, także mniej więcej w lu- r. 1527, zdybiemy się z nim jeszcze raz, ale już jako z ks. Stanisławem Wisneczaninem. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

[1] Kiedy się zapisał w poczet uczniów wydziału filozoficznego i jak było na imię chrzestne ojcu jego, nie powiodło mi się odnaleść w Metryce uniwersyteckiej na lat kilka przed r. 1524; że jednak był tu studentem a w Liber promot. nazwisko jego między bakałarzami nie znalazło się ani przypadkowo ani też skutkiem jakiegoś niezwykłego przeinaczenia, dowodzą Acta rectoralia, I 995 i 1003, w których pod r. 1523, dnia ostatniego lipca i 8 października występuje: „Discretus Stanislaus de Vysznka, studens Vniuersitatis nostre...“.

FOTOGRAFIA W SŁUŻBIE ASTRONOMII.

(Dokończenie).

III. Ostatnie prace astrofotograficzne i projekty na przyszłość.

Poznawszy metody i ulepszenia, jakie bracia Henry do fotografii astronomicznej wprowadzili, przypatrzmy się teraz choć w krótkości ich pracom, bo one do wielkiego przedsięwzięcia stały się pobudką.

Postanowiwszy sobie uciec się do pomocy fotografii przy swych pracach kartograficznych, sporządzili najprzód w tym celu na próbę objektyw 16 cm. średnicy, achromatyczny dla promieni chemicznych, a który zastósowany do ich lunety, dał im w r. 1884 pierwsze obrazy z okolicy drogi mlecznej. Wyborny i pomyślny nadspodziewanie wynik tej próby był powodem, że admirał Mouchez, dyrektor obserwatoryum, polecił im sporządzenie większego aparatu astrofotograficznego, którego część optyczną wykonać sami się podjęli, i w maju 1885 r. wykończyli. Składa się on z tuby metalowej o przekroju prostokątnym, wewnątrz której znajdują się obok siebie równoległe, a okuciem metalowem oddzielone od siebie dwie lunety, jedna fotograficzna o 33 cm. otworu a 3·43 m. odległości ogniskowej, druga zaś do kontroli służąca, o 24 cm. otworu, a 3·60 m. tejże odległości. Objektyw pierwszej lunety, złożony z 2 soczewek tj. flintowej i ze szkła koronnego, jest chemicznie achromatycznym. Przy instrumencie znajdują się wszystkie zwykłe koła miernicze, jak koło godzinne, deklinacyjne, a także

i aparat zegarowy. Po wyznaczeniu ogniska chemicznego, wyznaczyli oni następnie na mocy licznych doświadczeń czas ekspozycyi dla gwiazd od 1-ej aż do 16-ej wielkości potrzebny, i znaleźli go następujący:

dla gwiazd	1-ej	wielk.	. . 0·005	sek.	9	wielk.	. . 8·0	sek.
„	2-ej	„	. . 0·01	„	10	„	. . 20	„
„	3-ej	„	. . 0·03	„	11	„	. . 50	„
„	4-ej	„	. . 0·1	„	12	„	. . 2	min.
„	5-ej	„	. . 0.2	„	13	„	. . 5	„
„	6-ej	„	. . 0·5	„	14	„	. . 13	„
„	7-ej	„	. . 1·3	„	15	„	. . 33	„
„	8-ej	„	. . 3·0	„	16	„	. . 1 g.	20 m.

Daty w tej tablicy nie są naturalnie bezwzględnemi, lecz zmieniać się mogą w małych granicach, szczególniej z powodu wpływów atmosferycznych, a zmienią się prawdopodobnie także kiedyś skutkiem czulszego jeszcze niż dziś preparowania płyt fotograficznych. Ogromny postęp w tej mierze widzimy już teraz, zważywszy że podczas gdy np. Warren w r. 1856 potrzebował 2 do 3 min. czasu na zdjęcie gwiazd najjaśniejszych, dziś w tymże czasie gwiazdy 12 wielkości otrzymywać można.

Bracia Henry, wprowadziwszy w ład i największy porządek wszystkie szczegóły swego nowego aparatu, i takowy we wszelkich kierunkach wypróbowawszy, zabrali się do systematycznej pracy nad zastósowaniem fotografii nietylko do astronomii fizycznej, ale i matematycznej. O tych ich pracach admirał Mouchez na jednem z posiedzeń Akademii paryskiej w r. 1886, popierając swe wywody okazami, tak między innemi opowiada:

„W obserwatoryum paryskiem otrzymujemy teraz w ciągu jednogodzinnej ekspozycyi klisze obejmujące po 6^0 do 7^0 powierzchni nieba, na których reprodukowane są jasno i z nadzwyczajną czystością wszystkie gwiazdy aż do 16 wielkości w liczbie kilku tysięcy, a niewidzialne dotąd najlepszemi nawet lunetami pod naszem niebem. Otrzymaliśmy nawet gwiazdy 17 wielkości, z pewnością dotąd przez nikogo nie widziane. Obrazy gwiazd, mając średnicę proporcyonalną do ich wielkości, mogą być bezwątpienia przydatne do pomiarów fotometrycznych. Prócz gwiazd otrzyma-

liśmy także na kliszach przedmioty niewidzialne w naszych najsilniejszych lunetach, jak np. mgławicę Maia w Plejadach [1], która się tu jawi w kształcie ogona komety bardzo jasnej, dotąd nigdy niedostrzeżonej, aczkolwiek konstelacya Plejad jest jedną z najlepiej znanych na niebie. Jasną jest rzeczą, że wiele z ciał niebieskich nieznanych dotychczas, a mających ruch własny dający się poznać już w ciągu jednogodzinnej ekspozycyi, jak np. małe planety (asteroidy), komety lub satelity dotąd nieodkryte, zdradzą swój byt na niebie, znacząc na kliszy ślad swej drogi między gwiazdami stałemi.

„Skoro na obrazie fotograficznym Saturna przedłożonym Akademii, przedział między pierścieniami, który wynosi tylko 0″4, jest bardzo dobrze widzialny, można się zatem spodziewać, że otrzyma się także gwiazdy podwójne odległe od siebie o takąż ilość. A jeżeli się rozważy, że otrzymano takie obrazy pod niebem tak nieczystem i niekorzystnem dla fotografii jak paryskie, czegóż się więc spodziewać można np. w okolicach zwrotnikowych, albo w tak czystych posterunkach astronomicznych, na jakich stoi obserwatoryum na przylądku Dobrej Nadziei. Przypuszczać na pewne można, że tam chyba klisze zasiane będą gwiazdami jakby mgławicami!“

Nie w przesadnych wcale barwach, ani nie przeceniające sprawozdania rzeczy dał Mouchez Akademii. Między bowiem innemi zdjęciami fotograficznemi, dość rzeczywiście przypatrzeć się fotografii grupy Plejad, i porównać ją z dotychczasowemi mapami.

---

[1] Wspomniana przez admirała Mouchez fotografia grupy Plejad przyczyniła się rzeczywiście i nadspodziewanie podówczas do odkrycia mgławicy rzeczonej. Przy pierwszem zdjęciu tej grupy okazały się wszystkie gwiazdy regularnie okrągłe, z wyjątkiem jednej, która jakimś ogoniastym dodatkiem oszpeconą się być zdawała. Z początku mniemano, że to błąd płyty fotograficznej, gdy atoli się ten dodatek przy każdem zdjęciu powtarzał, nie można już było wtedy wątpić, że jest on w naturze i że mglistemu otoczeniu gwiazdy przypisanym być musi, acz najlepsze lunety paryskie tak długo nie były wstanie mgławicy wprost oku ukazać. Powód tego leży głównie w silnym blasku samejże gwiazdy, która w polu widzenia wyradzając rozproszone światło, czyni zarazem oko ludzkie mniej czułem na jej najbliższe otoczenie. To złe znika naturalnie przy fotograficznej płycie, nieczułej na fizyologiczne efekta — chociaż natomiast występuje inna, a mianowicie, że skutkiem długiej ekspozycyi na zdjęcie tej słabej mgławicy potrzebnej, obraz znów gwiazdy jasnej wychodzi za bardzo wielki, a przez to mgławica po większej części zostaje zakrytą.

Została ona odfotografowaną w kilku godzinach przez Henry'ch. Karta ta obejmuje 1421 gwiazd aż do 16-tej wielkości, podczas gdy taż sama okolica nieba, przedstawiona przed kilkunastu laty na mapach przez C. Wolfa, jednego z najzdolniejszych obserwatorów paryskich, obejmuje tylko 671 gwiazd aż do 13 wielkości, a potrzebowała ona kilku lat pracy ciągłej i mozolnej, — przyczem zważyć należy, że tamta posiada dokładność bezwzględną i niezaprzeczalną, do której nie może sobie rościć prawa innemi sposobami wykonana praca. Rozchodzi się tylko o zbadanie, czy otrzymać się mające z fotografij pozycye gwiazd, czyli ich względne odległości, będą mogły być wyznaczone z również pożądaną dokładnością, i czy na tych fotografiach z takąż akuratnością i ścisłością odźwierciedla się to wszystko, coby ludzkie oko, tej samej siły optycznej narzędziami uzbrojone, dojrzeć i rozpoznać zdołało, — albo innemi słowy — czy karta fotograficznie otrzymana może zastąpić karty zapomocą oka do praktycznych celów astronomicznych robione?

Co się tyczy najprzód tego ostatniego pytania, potrzeba tu przedewszystkiem w odpowiedzi na jedną, już w samej istocie rzeczy tkwiącą okoliczność, zwrócić uwagę. Otóż, fotografia daje nam świadomość o natężeniu promieni światła od ciał niebieskich pochodzących, ale tylko chemicznie działających, i to z mniejszym lub większym skutkiem, zależnie od użytych metod fotografowania; nie daje nam atoli pojęcia o sile promieni dla oka ludzkiego dostępnej, czyli optycznej, a między temi dwoma rodzajami promieni łatwo przypuszczalną mogłaby być różnica, wcale dla praktycznych celów niepożądana. Badania atoli w tym kierunku prowadzone dały uspokajającą odpowiedź. Wagner, dyrektor obserwatoryum w Kremsmünster, porównywując bardzo starannie kartę fotograficzną Plejad z kartą powyż wspomnianego Wolfa, między 124 gwiazdami tu i tam się znajdującemi, znalazł, że tylko 3 z nich na fotografii niewyraźnie wystąpiły. Czy zaś ich brak, a właściwie ich niewyraźny obraz na fotografii był następstwem chemicznego działania na płytę fotograficzną, czy też zmiany światła, lub jakiej lokalnej niedokładności użytej kliszy, czy wreszcie niedokładnego przekopiowania obrazu z kliszy na papier, o tem stanowczo nie da się powiedzieć. W każdym razie, jak widzimy, jest to stosunkowo

bardzo mały procent, na niekorzyść fotografii wypadający, a taki i przy kartografii ocznej łatwo zdarzyć się może. Prócz tego porównawcze badania Wagnera wykazały fakt i przez innych astronomów stwierdzony, że fotograficzny obraz ciał niebieskich do fotometrycznych pomiarów w przybliżeniu służyć może. Każda bowiem gwiazda przedstawia się tam jako ostro odgraniczony punkcik lub kółko, którego średnica, bez względu na czas ekspozycyi, zależy od siły chemicznego działania jej światła, a porównanie tych średnic z ocenami wielkości, wykonanemi przez Pickeringa, Pritcharda i Lindemanna zapomocą aparatów fotometrycznych, dowiodło, że, jakto już dawniej pierwszy z tych astronomów znalazł, prawdopodobna różnica między wielkościami gwiazd fotograficznie i fotometrycznie wyznaczonemi, tylko $^1/_5$ wielkości wynosi. Gdzieby się zaś znacznie większe różnice pokazały, należałoby to już albo do peryodycznej a niedostrzeżonej dotąd zmianie światła gwiazdy, albo szczególnemu tegoż ustrojeniu przypisać, co naturalnie byłoby tylko pobudką do szczegółowych poszukiwań i badań nad tem zjawiskiem.

Co się tyczy zaś pierwszego powyżej postawionego pytania, tj. czy fotografiia względne położenie gwiazd oddaje ze ścisłością w kartografii wymaganą, to o tem od dawna już nie można było wątpić, skoro tylko w ogóle daje ona ostro odznaczone i odgraniczone obrazy. Co do tych ostatnich zalet, są one rzeczywiście w pracach braci Henry'ch zadziwiające. Nawet kopie na papierze reprodukowane niemi się odznaczają, a jeszcze bez porównania więcej oryginały na kliszach szklanych otrzymane. Tak n. p. na kliszy przesłanej przez admirała Mouchez do Pudkowy, a przedstawiającej okolicę z drogi mlecznej, co do obszaru około 4^0 kwadr. nieba mierzącej, mianowicie zaś z konstelacyi Łabędzia, znajduje się 5 tysięcy gwiazd, co jest imponujące, zważywszy że karta Argelandera, najdokładniejsza z dotychczasowych, na tejże przestrzeni ma ich tylko 170, z których najmniejsze są $9^1/_2$ wielkości. Jak wielka to więc zdobycz dla astrognozyi, a w szczególności dla wszystkich badań nad budową naszego systemu gwiaździstego i rozdziału w nim gwiazd, zbyteczna nawet mówić. Otóż to takiemi pracami braci Henry'ch i widocznem powodzeniem w nich zagrzany admirał Mouchez, zyskawszy sobie poprzód wszędzie uznanie licznych astrono-

mów, którzy je widzieć i podziwiać mieli sposobność, powziął myśl wydania fotograficznej karty całego nieba, którąby wszystkie naszemi najsilniejszemi lunetami widzialne gwiazdy obejmowała, i zażądał od Akademii paryskiej, aby objęła patronat nad tem kolosalnem zadaniem, co się też i stało. Wiedząc atoli dobrze, że dokonanie takiego dzieła przechodzi siły i zasoby jednego obserwatoryum, postanowił uczynić je międzynarodowem. Bo też rzeczywiście, aby jeden zakład tę pracę w zamierzonych rozmiarach przeprowadził, o tem, jak niebawem przybliżonym rachunkiem wskażemy, nie można ani myśleć, pomijając już, że z jednego punktu ziemi nie można okiem ani żadnym innym przyrządem objąć całego nieba, i to ani nawet na równiku, — prócz tego zaś, że jak przy wszystkich obserwacyach tak i przy fotograficznych pewne wzniesienie przedmiotów fotografowanych nad horyzontem jest koniecznem, czego tam nie ma, bo okolice kołobiegunowe nieba tam tuż nad poziomem się jawią. Jeden instrument do ukończenia tej pracy wymagałby zajęcia się nią kilku pokoleń, w ciągu których z pewnością pokaże się wiele ulepszeń i udoskonaleń, a poprzednio otrzymywane rezultaty okażą się często mniej zadowalniające aniżeli nowe. Zgodzić się zaś nie można na niejednorodność w wykonaniu, gdyżby to wielce obniżyło znaczenie i wartość tej pracy, które między innymi celami ma być także dokładnym i wiernym obrazem nieba, i tym sposobem ma posłużyć za punkt wyjścia do porównań z obrazami późniejszymi, a więc i dopomódz potomnym do bogatych może wniosków.

Że przyobleczenie w ciało myśli pierwotnej a rzuconej przez Mouchez'go byłoby połączone z ogromną pracą i nakładem, przekonamy się najlepiej z następującego przybliżonego obrachunku.

Tak jak np. przy wymierzaniu szerokości i długości geogr. jakiegoś punktu na ziemi się dzieje, gdzie zależnie od ważności zadania mniejsza lub większa dokładność może nam być pożądaną, a tem samem i mniejsza lub większa mapa musi być ku temu użytą, tak pono i w astronomii przy wyznaczaniu pozycyj gwiazd się dzieje. Aby na projektowanej karcie niebieskiej wyznaczenie to z dokładnoscią dzisiejszym potrzebom astronomicznym odpowiednią odbywać się mogło, musi ona mieć stósowne po temu rozmiary, czyli skalę. Jako taką zaś przyjąć można, jeżeli jednej minucie łuku nie-

bieskiego będzie odpowiadać na mapie jeden milimetr długości liniarnej. Taką skalę przyjąwszy, nie będzie mogła jedna klisza obejmować więcej nad 2^0 kwadratowe powierzchni nieba, że zaś całe sklepienie niebieskie ma takich stopni przeszło 40 tysięcy (41,253), zatem do całkowitego jednorazowego zdjęcia fot. potrzeba będzie przeszło 20, przyjmijmy okrągło 21 tysięcy kliszy. Celem zapewnienia się o dokładności pracy i usunięcia możliwych błędów, każde zdjęcie przynajmniej dwa razy musi być powtórzonem, tak więc liczba klisz wzrośnie do 42 tysięcy. Że zaś między tak wielką liczbą, wiele z nich się nie udadzą, a przy znaczniejszych różnicach między dwoma pierwszemi zdjęciami muszą znów być zdjęcia rewizyjne robione, nie przesadzimy więc wcale rachunku, jeżeli niezbędną liczbę klisz do 50 tysięcy podniesiemy. Oddając wykonanie tej pracy jednemu zakładowi astronomicznemu, będzie on mógł, mając nad sobą tylko połowę nieba widoczną, przyjąć tylko jej połowę na siebie, czyli tylko 25 tysięcy klisz wykończyć. Obliczmy teraz czas na to potrzebny. Otóż obliczając noce i wieczory do tej pracy niekorzystne, jak pochmurne i księżycowe, nie można w naszych okolicach rachować w przecięciu więcej nad 100 nocy rocznie ku temu przydatnych; w ciągu zaś jednej nocy licząc na 3 pewne zdjęcia (z potrójną ekspozycyą według metody Henry'ch), otrzyma się ich w ciągu jednego roku razem 300. Wypada stąd, że potrzebaby na wykończenie tej pracy, połowę dopiero nieba obejmującej, 80 do 90 lat. Robić projekt na pracę, któraby przez tyle lat bez przerwy i jednostajnie była prowadzoną, można nazwać utopią, a staje on się dopiero faktycznym, jeżeli więcej zakładów do tej pracy się zabiorą i wspólnie takową należycie ją między siebie rozdzieliwszy prowadzić będą.

Ale to jeszcze nie koniec dzieła, lecz pierwsza jego połowa, stosunkowo nawet łatwiejsza niż druga. Wszystkie te zdjęcia i fotografiie będą miały dopiero swoją praktyczną dla astronoma wartość wtedy gdy zostaną wymierzone, i pozycye gwiazd na nich będących w katalog zebrane. A to znowu potężna praca! Jeżeliby się bowiem fotografowanie nieba rozszerzyło aż do gwiazd widzianych najsilniejszymi lunetami tj. aż do 16 lub jeszcze mniejszej wielkości, jak chciał pierwotnie Mouchez, to takowych można tam będzie liczyć w przybliżeniu najmniej 30 milionów, i tę to li-

czbę pozycyj im odpowiednich przyjdzie ująć w katalogi. Aby ogrom tej pracy zrozumieć, zróbmy znowu jej preliminarz rachunkowy. I tak: na jednej stronnicy in 4-to drobnym drukiem zmieści się zaledwie 300 pozycyj gwiazd; druk więc katalogu, obejmującego 30 milionów takich pozycyj, wymagać będzie 100 tysięcy stron, których licząc po 1000 na jeden tom, czyli 125 arkuszy, otrzymamy dzieło złożone ze 100 potężnych tomów! a cóż dopiero mówić o czasie potrzebnym na przeprowadzenie tych pomiarów i uporządkowanie rzeczy w katalogi! W tych ramach myśl Mouchez'go pojęta i rozszerzona słusznie po części uważaną byćby mogła jako idealnie piękna, ale omal niewykonalna, — to też, aby ona nie zawieruszyła się w krainie marzeń i ideałów, kongres astronomów, o którym zaraz mówić będziemy, wyznaczył jej ramy przystępne i z pełną nadzieją na obraz w nich się mieścić mający, oczekujące.

W taki zapewne, jak powyżej wskazany, sposób przedstawiały się rachunki zamierzonego działu omal każdemu, kto tylko najnowszemi postępami zastósowania fotografii do astronomii był obeznany, i kto tylko wiedział, do jakich możliwych granic dzieło to rozszerzyć można. Admirał Mouchez tymczasem, projektu swego wcale z oka nie spuszczając, imieniem Akademii paryskiej rozesłał w r. 1886 do licznych obserwatoryów obu półkól ziemi, tak prywatnych jak publicznych, zaproszenia na konferencyę w Paryżu odbyć się mającą, przesyłając zarazem cały program projektowanej przez się pracy, jakoteż szereg kwestyj do jej zrealizowania zmierzających.

Konferencya ta odbyła się rzeczywiście w dniach 16 do 25 kwietnia roku zeszłego 1887. Zebrało się na nią 50 astronomów z różnych krajów i części ziemi. Naradom przewodniczył Admirał Mouchez, uchwały zaś na nich w liczbie 23 paragrafów powzięte i spisane, oddane zostały pod pieczę wykonawczego wydziału z 12 astronomów złożonego. Zasadnicze uchwały w streszczeniu są następujące:

Wykonanie fotograficznej karty nieba ma być według ściśle oznaczonego planu i w zupełnie jednorodny sposób przeprowadzone. Karta ta ma obejmować wszystkie gwiazdy aż do 14 wielkości. Zamiast potrójnej ekspozycyi według metody Henry'ch, co często skutkiem chmur sprowadzałoby przerywanie rozpoczętej pracy, uchwa-

lono każdą okolicę nieba 2 razy fotografować, a czas potrzebny na jednorazową ekspozycyę przewidziano na 20 do 30 minut. Prócz tych podwójnych zdjęć trzecia ich serya ma być wykonaną dla gwiazd aż do 11 wielkości, z krótszym niż dwie pierwsze czasem ekspozycyjnym, na 3 do 4 minut liczonym, a to celem uzyskania gwiazd zasadniczych przy układaniu katalogu, a także, by z ich pomocą osiągnąć większą dokładność przy mikrometrycznych pomiarach. Wszystkie pomiary mają być zredukowane do roku 1900. Co się tyczy technicznej strony zadania, uchwalono używać narzędzi według wzoru paryskiego, w ogóle zaś tylko refraktorów. Ma to więc być luneta podwójna, jakośmy ją opisali, mówiąc o braciach Henry'ch; objektyw lunety przeznaczonej do fotografowania ma mierzyć 33 cm., drugiej zaś, którąśmy poprzednio kontrolującą nazwali, 23 cm., odległości ogniskowe obu 3·43 m.

Płyty fotograficzne dla wszystkich zakładów, biorących współudział w tej pracy, mają być z jednej fabryki sprowadzane, gdzie pod okiem astronoma w zupełnie jednorodny sposób sporządzane być winny. Celem ułatwienia pomiarów i ich ujednostajnienia, jako też celem łatwiejszego wykrycia możliwych uszkodzeń lub zanieczyszczeń warstwy żelatynowej, płyty te mają być pokryte delikatną siatką na nich odznaczoną, a która po dokonaniu zdjęcia fot. razem z gwiazdami się uwidoczni.

To są więc zasadnicze uchwały konferencyi paryskiej, których dopilnowaniem i wykonaniem, jako też ułożeniem szczegółowych instrukcyj ma się zająć, jak wspomnieliśmy, stały wydział. Pomimo że pierwotną myśl Mouchez'go i całą pracę trochę zmodyfikowano, posuwając się z nią tylko do gwiazd 14 wielkości, a więc wyłuczając z niej miliony gwiazd mniejszej nad tęż wielkości, to przecież i to przedsięwzięcie w każdym razie jest jeszcze największe z tych, jakie kiedyś w astronomii rozpoczynano, chociaż ta umiejętność już wiele takich daleko zakreślonych prac wykazać może. Odpowiednio do uchwał konferencyi modyfikują się także trochę i rachunki powyżej przez nas podane. Tak więc, klisze np. fotograficzne mają mieć po 12 cm. w kwadrat, czyli według skali przyjętej 1 mm. ich długości lincarnej na 1′ łuku niebieskiego, obejmować one mają po 4^0 kwadr. powierzchni nieba; do zdjęcia więc całego nieba, robiąc podwójną seryę klisz, według uchwały

potrzeba będzie 20626 płyt, a drugie tyle znów dla gwiazd fundamentalnych, do katalogu wejść mających, czyli ciężar całkowity samych klisz wynosić będzie około 3000 kg. Gwiazd ostatnio rzeczonych tj. aż do 11 wielkości, licząc w przybliżeniu na 3 miliony, katalog je obejmujący, choćby drukowany tak ściśliwie jak używany dziś katalog boński, gdzie 1 tom in 4-to o 400 stronach mieści przeszło 100 tysięcy gwiazd, składać się będzie z około 30 takich tomów, zaś mapa wszystkich gwiazd fotografowanych, a liczonych w przybliżeniu na 20 milionów, składać się będzie z 1800 do 2000 kart, stanowiących, jak widzimy, wcale potężny atlas!

Że nawet na wykonanie tego w granicach swoich tak okrojonego zamiaru potrzeba sił zbiorowych, fizycznych, duchowych i materyalnych, zrozumieć łatwo, — a prawdopodobnie uda się admirałowi Mouchez, któremu jak najlepsze życzenia astronomów, a nawet całego naukowego świata wtórują, takie połączenie sił do skutku doprowadzić. Zanim jednak to dzieło wspólne rozpoczętem zostanie, musi jeszcze parę lat upłynąć. Nieunikniona zwłoka powstanie stąd, że obecnie tylko kilka zakładów astronomicznych potrzebne do tej pracy instrumenta i aparaty posiadają, podczas gdy inne, zwłaszcza urzędowe, dopiero je sprawiać a przedtem jeszcze fundusze na nie wydobyć muszą. Koszta potrzebne na sprawienie takich astrofotograficznych aparatów obliczone są w przybliżeniu na 24.000 złr., dla każdego obserwatoryum w tej sprawie udział biorącego, pewny zaś współudział swój dotąd zadeklarowali: admirał Mouchez, który zarazem pozostaje prezesem wydziału, a następnie dyrektorowie Rayet z Bordeaux, Bailland z Tuluzy, Trépied z Algeru, Benf z La Plata (w rzeczypospolitej argentyńskiej) i Cruls z Rio Janeiro, gdzie cesarz brazylijski Don Pedro II, poznawszy rezultaty osiągnięte przez Henry'ch, potrzebne fundusze dać przyobiecał. Z prywatnych astronomów, znany zaszczytnie już z prac swoich w tym kierunku, Common w Londynie, także współudział swój przyrzekł.

Kończąc rzecz naszą rozważmy jeszcze doniosłość i praktyczne spodziewane pożytki dla nauki w projektowanem dziele.

Najwięcej pracy wymagająca, a przytem najwięcej niewdzięczna gałęź obserwacyj astronomicznych polega na dokładnem wyzna-

czaniu pozycyj gwiazd; jestto, porównawczo mówiąc, geografia niebieska, a ogromna nad nią praca ma tylko na razie jeden cel, tj. zbadanie praw ich ruchów. Od czasów Hipporcha (w II-im wieku przed Chr.) aż do dziś zajmowało się wielu astronomów kartografią nieba i katalogowaniem gwiazd, jak np. Heweliusz gdańszczanin, Lalande, Piazzi, Rümker, Weisse, i najpłodniejszy między nimi w tym kierunku Argelander (324.188 gwiazd), a od r. 1865 do ostatnich czasów przysporzyła ta praca zbiorowemi siłami jeszcze 130 tysięcy wyznaczonych ściśle pozycyj. Otóż fotografia w przyszłości, według myśli admirała Mouchez, ma objąć i wykonać w czasie jak najkrótszym i z precyzyą tę niewdzięczną partyę starej astronomii.

Nauka stwierdziła już dotąd zapomocą obserwacyi i analogii, że nie istnieje w przestrzeni żadne ciało nieruchome; lecz dotąd zdołała ona tylko dość niedokładnie zbadać ruch zbyt ograniczonej liczby gwiazd i naszego słońca w przestrzeni. Na te wielkie i zasadnicze pytania, które tak długo zdawały się urągać wiedzy ludzkiej i przedstawiać niepokonane trudności, ma według położonych w niej nadziei, odpowiedzieć fotografia. Niebo, odbijając się samo na naszych kliszach, dostarczy pierwszego elementu do rozwiązania naszych pytań, czyli da dla pewnego czasu i epoki pozycyę milionów gwiazd, a w tej olbrzymiej pracy nie trzeba obawiać się ani błędu, ani żadnego pominięcia. Ta to nadzwyczajna przewaga, jaką posiada bezwątpienia fotografia nad obserwacyami bezpośredniemi i badaniami zmian gwiazd co do ich wielkości i położenia, polega nietylko na wielkiej szybkości wykonania zamierzonego dzieła, a dozwalającej w kilku latach otrzymać kartę niebieską, czego usilna praca kilku wieków nie zdołała uczynić, lecz także na pewności, że przekażemy przyszłym wiekom dokument autentyczny i z bezwzględną precyzyą sporządzony o stanie dzisiejszego nieba. Dotychczasowe nasze karty i katalogi, zawierające mimo wielkich kosztów pracy i przezorności, liczne a nieuniknione błędy, a z drugiej strony tak skromne i ograniczone w swych rozmiarach w porównaniu z ogromem tkwiącego od wieków na niebie materyału, będą w przyszłości mieć tylko interes i cechę pamiątki historycznej.

Wieleby było do mówienia, chcąc przytaczać inne jeszcze zadania praktycznej astronomii, do jakich fotografia w ogólności, a zamierzone dzieło Mouchez'go w szczególności może być spożytkowane. Wspomnimy tylko choćby o jednem.

Jak wiadomo, między drogami Marsa i Jowisza odkryto dotąd (tj. do 18 kwietnia 1888) w bieżącem stuleciu 276 planet, a spodziewać się można w przyszłości i więcej. Znajome dotąd, wyjąwszy niektore przypadkowe odkrycia, były w ten sposób wynalezione, że dokładne karty pewnych okolic nieba w różnych czasach kilkakrotnie z niebem porównywano, i nowe na niem dostrzeżone przedmioty znanemi astronomowi środkami badano, czy one są gwiazdami stałemi, czy też ruchomemi, czyli planetami. Idąc tą drogą, odkryto naturalnie i odkrywają dziś tylko takie asteroidy, których wielkość czyli jasność w granicach wielkości gwiazd na karcie naznaczonych leży, a te granice, które dotąd najwięcej do 12 wielkości dochodziły, teraz zapomocą fotografii blisko do wielkości najsilniejszym tylko lunetom przystępnej, tj. do 16-tej a i dalej nawet rozszerzono. Ale to nie koniec. W wielu razach nie potrzeba już będzie fotograficznej karty w różnych czasach z niebem porównywać, co jest rzeczą wcale mozolną i dość wielkiej wprawy wymagającą z powodu ogromnej mnogości przedmiotów na niebie oku się przedstawiającej, przyczem oko odrywane ciągle od mapy do lunety i na odwrót, kontrastami oświetlenia przy tej czynności potrzebnego, wkrótce bywa znużonem, — lecz już częściowe zdjęcia fotograficzne okolic badanych wystarczą, aby w razie danym bawiące na nich planety odkryć i wynaleść. Ponieważ bowiem czas ekspozycyi poszczególnych zdjęć wynosi godzinę a nawet i więcej, planety więc na kliszach ukażą się już nie jak gwiazdy tj. jako małe punkty, lecz z powodu ich ruchu własnego między gwiazdami, jako linie, — a jedno wejrzenie na kliszę wystarczy, aby już tym rysunkiem zdradzającą się planetę jako taką rozpoznać.

Jak już z tego jednego przykładu widzimy, nie zamyśla wcale astronomia, jakby się to z pomnikowego jej obecnie zamiaru wydawać mogło, po szczęśliwie osiągniętym celu osiąść w stanie dobrze zasłużonego spoczynku, ani jej też dokonanie tego dzieła takiej przyszłości rokuje. Będzie to wieniec zasługi na jej tylowiekową pracą znużonej skroni, którym się słusznie w obec potomnych po-

szczycić będzie mogła, i który może otworzy przed nią dalsze a dotąd zamknięte podwoje wszechświata, — ale to nie będzie bynajmniej jej koroną, na którą stulecia jeszcze swą pracą prawdopodobnie pracować muszą. Dość cofnąć się myślą wstecz na minione już przed nami wieki. Wysiłki pracy i rozumu ludzkiego nie zawsze odpowiadały życzeniom jego, jakbądź szlachetnym, a pozornie wielkie zdobycze i sukcesy karłowaciały w obec ogromu nowo codziennie odkrywających się światów. Nie zabraknie z pewnością tej szlachetnej pracy nawet późnym następcom naszym. A jak nam dziś niezadowolonym z tego co wiemy i posiadamy, korne tylko czoło schylać przed majestatem wielkiego budowniczego, — tak i im, po wielu jeszcze może przyszłych wiekach, nie wypadnie jak tylko powtórzyć za nami: niezgłębione i niezliczone są cuda boże!

Dr. Wierzbicki.

ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH.

(Ciąg dalszy).

V.

Zwiedzenie innych miejscowości położonych w Indyach portugalskich.

Na drugi dzień po naszej pielgrzymce do grobu św. Franciszka Ksawerego odbyliśmy znów inną wycieczkę, tym razem dalszą, chcieliśmy bowiem zwiedzić miasto Margao, stolicę prowincyi Salcetty, (której nie należy brać za jedno z wyspą Salcettą w Bombay).

Wyjechaliśmy z Pangim o 7-ej zrana, Mgr. Agliard, Patryarcha, Mgr. Ajutti i ja, w jednym powozie, w drugim trzech młodych księży portugalskich: OO. Monteiro, Solvan i de Santos i tą samą drogą, którą jechaliśmy przed dwoma dniami do letniej rezydencyi gubernatora, przybyliśmy do miejscowości nazwanej przystanią Donny Pauli, od imienia pewnej damy, która ją kazała zrobić dla wygody mieszkańców. Jestto miejsce, obfitujące w ryby, wszędzie na okolicznych polach można było widzieć olbrzymie stosy sardynek, których używano za środek użyźniający ziemię, a które napełniały powietrze wonią bardzo nieprzyjemną.

W Donna Paula oczekiwał nas już galar i ów parowiec, holujący go, o którym już mówiliśmy. Weszliśmy na nasz galar nie bez trudu, gdyż woda była płytka i zaczęliśmy płynąć w kierunku Marmugao.

Zaledwie opuściliśmy przystań, morze wzburzone zaczęło podrzucać naszą łódź na wszystkie strony. Choroba morska dała mi się odrazu we znaki, nadto spostrzegliśmy, za późno już niestety! że zamiast kierować się ku kościołowi w Marmugao, jak to było ułożone, marynarze nasi płynęli ku tamie portowej tak, że całą go-

dzinę płynęliśmy wzdłuż prądu, który jest bardzo silny i niebezpieczny przy zachodniem wybrzeżu indyjskiem. Na szczęście byliśmy jedynie zajęci chorobą morską, która nas niemiłosiernie trapiła, i dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, jakie niebezpieczeństwo nam zagrażało, gdy nam opowiedziano, jak się kapitan portowy przestraszył, spostrzegłszy ten fatalny manewr naszych marynarzy.

Wysiedliśmy na ląd w porcie Marmugao; władze miejskie były już zgromadzone na tamie, celem powitania delegata i patryarchy. A my w jakim stanie! Blady, drżący z osłabienia w skutek choroby morskiej, musiałem się ściskać za rękę z tymi panami, i rozmawiać z nimi! Weszliśmy nareszcie do wagonów, burmistrz Salcetty dotrzymywał nam towarzystwa — burmistrz Indyanin we fraku, w białej krawatce, mówiący po francusku!... Droga wśród lasów kokosowych była bardzo przyjemną, okolica piękna, ruch pociągu, przewiew powietrza, trochę nas orzeźwiły. Wszystko zapowiadało, że to ziemia katolicka, wszędzie przy drogach i przed domami wznoszą się krzyże, na każdej stacyi widnieją piękne kościoły parafialne, o wiele piękniejsze, niż w niejednym kraju w Europie. Księża parafialni, władze i lud licznie zebrani na dworcach stacyj kolejowych witali delegata, przemawiano w różnych językach: łacińskim, portugalskim, angielskim i francuskim; na mowy delegat musiał odpowiadać, w skutek czego zatrzymywaliśmy się bardzo długo na stacyach; gdy zaś pociąg ruszał, tłum chłopaków przez jakiś czas towarzyszył nam biegnąc na wyścigi z lokomotywą. Przybywamy wreszcie do Margao; po urzędownem przyjęciu na dworcu i przemowie, wsiedliśmy w lektyki i udaliśmy się do kościoła, gdzie przyjęto delegata według zwykłego rytuału. Ciekawy musiał to być widok pochodu ośmiu lektyk, eskortowanych tłumnie przez katolików tamtejszych i kilkunastu pogan, których sprowadziła tu chęć przypatrzenia się temu niezwykłemu widowisku. Tłum był tak wielki, że o mało nas nie uduszono, ja zaś i Mgr. Ajutti musieliśmy mężnie walczyć łokciami, by się nie dać odłączyć od delegata apostolskiego i patryarchy. Kwaterą naszą było probostwo w Marmugao, gdzie gospodarz przyjął nadto w gościnę liczne duchowieństwo z prowincyi; można powiedzieć o naszym proboszczu, że gościom swym otworzył i dom i serce.

Wspaniałym jest kościół w Marmugao; wielki ołtarz rzeźbiony

i złocony, wzbudzałby zachwyt w każdej europejskiej stolicy. Przypomina on zupełnie te cudne wyroby złotnicze indyjskie, tak misternie i tak pracowicie wykończone. Udało mi się znaleść fotografię tego arcydzieła w swoim rodzaju, z której można nabrać wyobrażenia o wnętrzu kościołów w Goa, których widoków nie mogłem na nieszczęście nigdzie dostać. Szkoda tylko, że dwa przednie słupy ołtarza grzeszą brakiem poprawności w proporcyi, i psują tylko harmonię tego wspaniałego ołtarza zupełnym brakiem kształtów architektonicznych.

W samym środku najgłówniejszego placu w Marmugao wznosi się przed kościołem krzyż olbrzymich rozmiarów. Piękny przedstawiał widok, do którego niestety nie jesteśmy przyzwyczajeni w Europie, ten krzyż, będący główną ozdobą miasta! Tutaj, w Indyach portugalskich można to często widzieć.

Gdy upał zmniejszył się cokolwiek, wsiedliśmy znów w lektyki i przy dźwiękach narodowego hymnu portugalskiego, wśród okrzyków i huku niezliczonych petard, wyruszyliśmy z probostwa i skierowali do Rachol.

Lektyka uchodzi tu za najwykwintniejszy sposób odbywania podróży i o wiele odpowiedniejszy, niż powozy, ale co do mnie, to uważam ją za wymysł barbarzyński!... Lektyka goańska, „machite“ różni się od tych niedorzecznych pudeł, w których musieliśmy podróżować w Bengalu, składa się ona bowiem z dwóch siedzeń drewnianych, lekkich, umieszczonych naprzeciwko siebie i tworzy rodzaj łódki z baldachimem, służącym do ochrony od promieni słonecznych. Całość spoczywa na grubym bambusie, którą czterech silnych *cooli'ów* (tragarzy) niosą na głowie. Trzeba mieć twardą czaszkę, by unieść taki ciężar. Tragarzom daje się dobrze we znaki ten ciężar, to mi tłumaczy, dlaczego, skorośmy wyszli z probostwa, byłem formalnie oblężony przez tragarzy, dobijali się o mnie; ten zaś zaszczyt dlatego mnie a nie innego spotykał, że byłem chudy, a więc prawdopodobnie lżejszy od innych.

Podczas podróży przypatrywałem się tym biedakom. Obnażeni byli do pasa, można było widzieć jak stos pacierzowy skręcał się im i uginał pod ciężarem, który nieśli na głowie, pot spływał literalnie strumieniami po ich skórze, połyskującej i twardej, jak safian; oczy mieli utkwione przed sobą, twarz nieruchomą, bez żad-

nego wyrazu, biegli, wydając od czasu do czasu cichy jęk. Ten sposób podróżowania uważam za barbarzyński, chociaż dla tych biednych *cooli*, takim się nie wydaje. Jestto ich rzemiosło i wcale nie tak przykre, jak wyładowywanie okrętów, a zresztą zarabiają przy tem więcej, niż przy innem zajęciu.

Podróż lektyką jest nader nużąca, przytem kurz tak się nam dał we znaki, iż skorośmy ujrzeli seminaryum z okazałym kościołem, nie tailiśmy naszej radości.

Na spotkanie delegata apostolskiego wyszli wszyscy seminarzyści ze swymi przełożonymi, oraz tłumy ludności. Wysiedliśmy z lektyk i w procesyi pięliśmy się na wzgórze, na którem wznosi się seminaryum. Ks. delegat miał piękną przemowę do seminarzystów. Tak miejscowi, jakoteż i dochodzący uczniowie w liczbie 366, byli pochodzenia indyjskiego z kasty Brahminów i Chardosów, (tak tu nazywają Rajputów w Goa), tutaj bowiem, jak w ogóle wszędzie w Indyach, stanowi duchownemu poświęcają się najwyższe kasty. Cały następny dzień przepędziliśmy w tym patryarchalnem seminaryum w Rachol i byłem bardzo rad z tego, że mogłem mu się przypatrzyć zbliska, gdyż utrwaliłem się tylko w przekonaniu, że utworzenie w Indyach duchowieństwa indyjskiego nie jest tak niemożliwą rzeczą, jak to twierdzą niektórzy. Zapewne, że każdy początek jest trudny, ale oto w Indyach portugalskich całe duchowieństwo jest pochodzenia indyjskiego, i nie można o niem powiedzieć, by stało niżej pod jakimkolwiek względem od duchowieństwa europejskiego. A nawet zdarzyło mi się widzieć we Włoszech niejedną dyecezyę, w której stan duchowieństwa nie mógł się równać z duchowieństwem goańskiem.

Głównym błędem, jakiego się zwykle dopuszczają wszyscy, którzy wydają sąd swój o duchowieństwie pochodzenia krajowego na Wschodzie jest to, że porównywają je zawsze z duchowieństwem Rzymu lub innych stolic katolickich, albo z misyonarzami, którzy będąc zwykle zakonnikami, posiadają zwykle wyższy stopień doskonałości chrześcijańskiej, a nadto za ową normę porównawczą, uważają misyonarzy działających w pierwszorzędnych misyach.

Jestto wielkim błędem: nie należy czynić porównania między ogółem duchowieństwa pochodzenia indyjskiego, a wyborem duchowieństwa europejskiego, ani też porównywać świeckiego duchowień-

stwa z zakonnem, oddającem się pracom misyonarskim; aby ocenić sprawiedliwie stan duchowny pochodzenia indyjskiego, trzeba położyć na drugiej szali ogół proboszczów wiejskich europejskich dyecezyj, a dopiero wtedy można się będzie przekonać, że sprawa duchowieństwa indyjskiego nie stoi tak źle. Zapewne, że będzie im zbywało na owym subtelnym takcie w postępowaniu, owej inteligencyi, której można jedynie nabyć jako spuściznę po wiekach wyższej kultury i cywilizacyi, ale jedno i drugie nie jest niezbędnie potrzebnem księżom krajowcom, przez wzgląd na poziom umysłowy otoczenia, w jakiem pełnią obowiązki stanu swojego, a nawet gdyby ich za pomocą najstaranniejszego wychowania wtajemniczono we wszystkie te subtelności dobrego tonu, jakich salony europejskie wymagają od każdego człowieka „dobrze wychowanego", a nawet i od duchowieństwa, to nie wiedzieliby co z tem począć w tych palmowych, pierwotnych lasach, czuliby się obcymi wśród swoich i nad wszelki wyraz nieszczęśliwymi!... Trzeba się starać o odpowiednie wykształcenie tego duchowieństwa, nie zaś o przekształcenie go na modłę europejską.

W seminaryum patryarchalnem w Goa rektor był tam jedynym Europejczykiem, wszyscy zaś profesorowie i uczniowie byli rodowitymi Indyanami, i mogę śmiało powiedzieć, że seminaryum to różniło się bardzo mało od wielu tego rodzaju instytucyj, jakie miałem sposobność zwiedzić w Europie, jeżeliby zaś wypadało zaprowadzić w niem pewne zmiany lub ulepszenia, to z tego zadania nikt nie wywiąże się tak dobrze, jak sam patryarcha. Patryarcha indyjski, ks. Antoni Sebastyan Valenté, jest jednym z tych ludzi, których Bóg obdarzył szczególniejszemi łaskami, oraz zdolnościami i przymiotami tak potrzebnemi do zarządzania dyecezyą, dla której to jest niepospolitem szczęściem, iż posiada tak znakomitego zwierzchnika.

Najwięcej zajmowały mię i bawiły dzieci w tem seminaryum. Było tam z piętnaścioro chłopiąt od dziesięciu do dwunastu lat, ubranych w sutannę, z tonzurą na główce, bardzo poważnych i przejętych własną godnością. Uważali to za punkt honoru mówić po łacinie. Jeden z nich, który mi miał służyć do mszy, zapukał rano do mych drzwi i zapytał się: *Ubi vis missare* — w kościele czy też w kaplicy? Byli oni bardzo śmiali do obcych

i stawali odrazu na stopie poufałości z każdym, choć go pierwszy raz widzieli.

W niedzielę w kościele parafialnym w Pangim całe presbiteryum jest przepełnione dziećmi, przedewszystkiem chłopcami, zdawałoby się, że to miejsce jest głównie przeznaczonem dla nich. Widziałem, jak przez całą mszę klęczały przed ołtarzem, z rączkami złożonemi, nieruchomie; gdym odprawiał mszę, to zawsze klęczało ich pięcioro lub sześcioro na stopniach ołtarza. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć chłopców, zachowujących się tak przykładnie w kościele.

Wspaniały budynek, w którym się mieści obecnie seminaryum, był niegdyś kolegium OO. Jezuitów, którzy na całej przestrzeni półwyspu Salcette wystawili mnóstwo kościołów i różnych pięknych gmachów; bruk podworca spoczywa na sklepieniu wielkiej cysterny, wyschłej oddawna i do której chronili się niegdyś pierwsi wyznawcy wiary katolickiej, by uniknąć prześladowania ze strony pogan. Opuściliśmy seminaryum w piątek zrana. Łódź nasza z parowcem holowniczym czekała na nas w pobliżu kościoła parafialnego w Rachol, w odległości kilometra od seminaryum. Upał nie dozwolił nam iść pieszo, musieliśmy przeto znowu uciec się do lektyk. Ale skąd tu ich wziąść w tak małej mieścinie. Znalazło się jednak trzy. Mgr. Agliardi wsiadł do pierwszej, Patryarcha do drugiej, a gdyśmy się zbliżyli do trzeciej, okazało się, że nie było w niej siedzeń. Trzeba się godzić z losem; Mgr. Ajutti usiadł sobie w niej po turecku, ja zaś zwiesiłem obie nogi z jednej strony, i tak ruszyliśmy w podróż.

Podróż rzeką Rachol była urocza: rzeka szeroka, a okolice bardzo malownicze. Po lewej ręce mieliśmy prowincyę Salcette, po prawej zaś tę, którą nazywają „nowe zdobycze". W przystani Rachol zebrało się wiele krajowców. Zapytałem pewnego młodego księdza, czy wszyscy są chrześcijanami:

— „Nie, jest między nimi kilku pogan, można ich łatwo poznać po ubraniu".

— „Ależ oni wcale nie są ubrani!"

Pod tym względem cywilizacya stoi na wyższym stopniu w Indyach portugalskich, niż gdzieindziej w Indyach. Tam przynajmniej uznają potrzebę ubrania się na wielkie uroczystości.

Do kościoła mężczyźni ubierają się prawie po europejsku, kobiety zaś noszą białe długie płaszcze, bardzo skromne, a ładne zarazem. Młode chłopcy w żakietach i marynarkach modnych, mają buciki lakierowane i elegancki kapelusz... gdy zaś przyjdą do domu, zrzucają natychmiast z siebie te niepotrzebne i niewygodne „fatałaszki“, jak je nazywają. Również nie wolno przyjść dzieciom do szkoły bez ubrania, to też nieraz widziałem, jak tym dzieciakom zawadzał żakiet i spodeńki. Ale zaledwie wyjdą ze szkoły, zrzucają zaraz z siebie te ciężary i biegną co tchu do domu, z książkami w jednej ręce, w drugiej zaś trzymając swoje ubranie.

Arcybiskup opowiadał nam, że pewnego razu zwiedzał jako pasterz nowe dyecezye w „krajach nowo podbitych“, gdzie się jeszcze znajduje bardzo wiele pogan, a cywilizacya stoi na bardzo niskim stopniu. To też można sobie wyobrazić, jak się zadziwił, gdy zobaczył rodowitego Indyanina, który wyglądał jak pierwszy elegant europejski, we fraku, w białej krawatce i t. d. Lecz podczas gdy arcybiskup rozmawiał z kilkoma osobami, spostrzegł, że nasz elegant usiadł sobie pod palmą i rozbierał się, koszula aż mu się przylepiła do ciała z nadzwyczajnego gorąca... tak, iż musiał wezwać pewnego znajomego, by mu pomógł zdjąć tę nieszczęsną koszulę, i stanął przed arcybiskupem w stroju najpierwotniejszym... mógłbym powiedzieć nawet, że bez ubrania, gdyby nie kapelusz na głowie, którym oddał głęboki ukłon swemu pasterzowi.

Nie mogliśmy przybyć wodą do Pangim, gdyż stan wody był bardzo niski, łódź nasza nie mogła nawet zbliżyć się do brzegu. W St. Lorento przesiedliśmy się na wązkie czółno, w którem, aby zachować równowagę stojąco, należało użyć całej zręczności i siły. Powozy patryarchy czekały już na nas, przejechaliśmy wzdłuż całą wyspę Goa, i po czterogodzinnej podróży wśród najokropniejszej spiekoty, przybyliśmy wreszcie do Pangim.

Przez kilka następujących dni odpoczywaliśmy tylko. Zapewne, że ani pielgrzymka nasza do Goa, ani zwiedzanie Marmugoa i Rachol, nie byłyby nic wielkiego w Europie, ale tu, to co innego... Upał jest tu tak wielki, że byłoby to największym nierozsądkiem wyjść na po[illegible] 7 ej godzinie zrana, aż do 5-ej popołudniu, wystawienie się na [illegible]danie słońca w tym czasie naraziłoby Europejczyka na największe niebezpieczeństwo. Wszystko tu męczy

i nuży więcej i prędzej niż w Europie, i długo trzeba wypoczywać po każdem utrudzeniu. Trzeba się tu ciągle pocić, w nocy nawet spływają strumienie potu z twarzy, i trzeba mieć chustkę pod ręką, by się ciągle obcierać. Nieraz zdarzyło mi się, że gdy wieczór kładłem się spać, to poduszka była jeszcze mokrą z poprzedniej nocy. Na szczęście upał ten nie był wcale przykrym dla mnie, owszem, byłem bardzo zadowolony z tego, że mi nie było zimno. Co rano między 10-tą a 11-tą orzeźwiam się tuszem i zimną kąpielą, co jest niezbędnie potrzebne, by módz znieść upał tutejszy... Niemniej jednak zauważyłem, że upał ten bardzo osłabia... człowiek zamienia się w Indyanina, traci chęć do pracy, robi się powolnym i ociężałym.

Między Pangim a przylądkiem znajduje się mała zatoka, która służy do kąpieli morskich. Miejscowość ta nazywa się Carcinzalem. Nie jest to Ostenda, ni Trouville, gdyż goście kąpielowi mieszkają w chatkach pod palmami kokosowemi, ale powietrze jest tu czyste i zdrowe, a powiew morski dziwnie orzeźwiający. Patryarcha ma tu mały domek.

Lubię bardzo zatoki morskie i lubię obserwować to tajemnicze życie rozwijające się w nich na wybrzeżu, ale tu nie było nic do obserwowania. Mnóstwo małych raków morskich, wielkości pająków, ale tutejsze pająki są wielkie jak wróble, a te kraby są bardzo małe; z muszli kilka: drobnych ślimaków morskich, porcelanek karniolowych *(cyprea carncola)* i na tem koniec. Doznałem smutnego rozczarowania badając wody w zatoce tego półwyspu, wyobrażałem sobie, że obfitują we wszelkiego rodzaju skorupiaki. Powiedziano mi, że na południu znajduje się ich więcej.

W niedzielę dnia 22 marca byliśmy na obiedzie galowym u gubernatora; ma on tu letnią rezydencyę w uroczem położeniu na cyplu zwanym „Cabo“, który się wznosi nad morzem na granicy Aquado a Marmugoa. Z okien salonu można widzieć morze w całej okazałości. Jestto wspaniała miejscowość. Teraźniejszy pałac był dawniej klasztorem, z którego rząd wypędził zakonnice. Rozsypywał się on już w gruzy, gdy jeden z poprzedników teraźniejszego arcybiskupa otrzymał od rządu pozwolenie przerobienia go na letnią rezydencyę. Wyrestaurowawszy klasztór, który groził ruiną, obrał tam sobie mieszkanie... lecz został stąd wkrótce wy-

rugowanym przez pewnego liberalnego ministra, który uczynił z niego letnią rezydencyę gubernatora.

Dnia 25 marca była wielka uroczystość w Pangim. Telegraf przyniósł był radosną wiadomość o narodzeniu się królewicza portugalskiego, któremu nadano imię dziadka ze strony macierzyńskiej, Ludwika Filipa.

Delegat apostolski miał uczestniczyć w nabożeństwie solennem, a następnie odśpiewać dziękczynne *Te Deum;* uroczystość ta miała się odbyć w parafialnym kościele w Pangim, a nie w katedrze goańskiej, było to bowiem wygodniej dla ludu i władz, które jak zwykle miały wziąść udział w tym obrzędzie.

Gubernator przyjechał po nas do pałacu, przed kościołem stało uszykowane wojsko. Dawno już nie widziałem władz cywilnych i wojskowych biorących łącznie z duchowieństwem udział w obrzędzie religijnym. W dzisiejszych czasach popisywanie się z bezbożnością jest na porządku dziennym. Nigdy nie zapomnę, jakie wrażenie uczyniła na mnie msza, na której byłem obecny jako dziecko, jest temu przeszło dwadzieścia pięć lat, w obozie w Chalons sur Marne. Rozległy pawilon ozdobiony wojskowemi godłami osłaniał ołtarz. Trzydzieści tysięcy żołnierzy modliło się na klęczkach lub prezentowało broń, z marszałkiem Canrobert na czele... wtedy Francya była jeszcze potężnem cesarstwem i uchodziła za niezwyciężoną... Gdy wyrzuciła Boga ze szkół i z wojska, nadeszły dla niej dni trwogi i upadku: Sedan, Metz, klęski poniesione w Chinach i w Tonkinie.

Ceremonia kościelna w Pangim trwała niezmiernie długo... W kościele było tak gorąco, jak w piecu piekarskim, nie można było oddychać. Wyobraźcie sobie kilkogodzinny pobyt w kościele pozbawionym wentylacyi, pod niebem zwrotnikowem, w porze największych upałów letnich, przepełniony ludem! Byłoto istną torturą, do tego jeszcze poczciwy proboszcz odprawiający mszę św. wykonywał wszystko z tak okropną powagą, że doprowadzał tem do rozpaczy! Wytrzymał nas całe dwie godziny!... W ogólności Goańczycy lubią bardzo długie ceremonie kościelne, które się późno zaczynają. Lud jest bardzo pobożny. W kościele zachowuje się bardzo przykładnie; gdy arcybiskup przejeżdżał, padali wszyscy na kolana, by otrzymać błogosławieństwo jego. Bardzo nas to bawiło, gdyśmy

jadąc powozem widzieli przed domami gromadki nagich dzieciaków, klęczących ze złożonemi rączkami i pociesznie nabożną minką. Jeżeli arcybiskup patrzy gdzieindziej, to krzyczą co sił, by im udzielił swego „wielkiego błogosławieństwa“, gdyż małym krzyżykiem nie zadawalniają się zupełnie.

Chłopcy są zwykle zbyt niedostatecznie ubrani, za całe ubranie mają zwykle srebrny łańcuszek okręcony około pasa, za ten zatykają czerwoną chustkę, która nieco przykrywa ich nagość. Oczy nasze tak się już przyzwyczaiły do tego rodzaju ubrania, od kilku miesięcy pobytu naszego w Azyi, że nam się już nie wydaje *shoking*, ale owszem bardzo praktyczny i wygodny, a przedewszystkiem bardzo tani. Nie można powiedzieć, by tu panowała wielka rozmaitość lub malowniczość w ubiorze, jak w innych krajach na Wschodzie.

Zamówiliśmy już sobie miejsca na parowcu, który miał wyjechać dnia 24 z Marmugoa na południe, wysiąść mieliśmy w Beypur, stąd zaś mieliśmy się udać przez Coimbatore do Oatacamund w góry Neilgherries, gdzie Mgr. Agliardi kazał nająć cały *bungalow* umeblowany, by tam przepędzić porę największych upałów. Byliśmy już zupełnie zebrani w drogę, gdy depesza telegraficzna z Rzymu zmieniła zamiary nasze: trzeba było wracać do Bombayu, w skutek tego byliśmy zmuszeni pozostać kilka jeszcze dni w Pangim, by się doczekać przybycia statku towarzystwa „British India“, który co tydzień wstępował tu płynąc z Klombo do Bombayu.

(C. d. n.)

Ks. Władysław Zaleski.

STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

III. Osadnictwo na prawie niemieckiem.

Jakeśmy widzieli w poprzednim rozdziale, „jest wieś polska, rzecby można, rezultatem pierwotnego instynktowego tylko działania człowieka do utrzymania swego samobytu, bez poczucia jakichkolwiek wyższych potrzeb i bez dążenia do zaspokojenia takowych; przyciśnionego nadto mnogością danin i posług na rzecz dworu monarszego, bez rachuby i bez względu, choćby one nawet ruinę tej jednostki za sobą pociągnęły, włóczonego po najrozmaitszych sądach wojewodzińskich, kasztelańskich i całej zgrai różnych poborców i mytników w odległe nieraz miejsca, obkładanego tamże przeróżnemi karami, których egzekucya była istnem rozdrapaniem wieśniaczej fortuny, pociąganego wreszcie do tej w wysokim stopniu dokuczliwej dziesięciny snopowej, która nie dozwalała wieśniakowi zwieść sprzętu w dogodnej chwili do stodoły, dopóki nie zjawił się dziesięcinnik i dziesięciny na polu nie wytyczył, choćby sprzęt cały zgnić miał wśród słot i niepogody[1]“. W tych warunkach nie wielką miał ze wsi korzyść jej posiadacz; przy skromnych jednak na ów czas potrzebach i hojności monarchów w obdarowywaniu zasłużonych, małe korzyści z włości nie dawały się uczuć magnatom a nawet mniej zamożnemu rycerzowi. Dopiero ze śmiercią Krzy-

[1] Dr. Fr. Piekosiński. „O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce wieków średnich“. Rozpr. i spraw. akademii z posiedzeń wydz. hist. fil. tom XVIII. Kraków 1885.

woustego (1139) począł stan rzeczy się zmieniać. Polska podzielona między jego synów, targana niezgodą i domowemi wojnami nie mogła myśleć o wyprawach na zewnątrz. Nie tylko nie przybywało ludności rolnej, lecz nawet i ubywało w ciągłych wojnach domowych i wskutek napadów wrogich Niemców, Prusaków, Litwinów, Rusi, Czechów. Jakby na domiar złego, jawią się z początkiem w. XIII straszne hordy Batu-hana wszystkie południowe i wschodnie dzielnice pustosząc, po których, jak mawiano, nawet trawa nie rosła. W takich warunkach dochód z roli coraz się zmniejszał, ludność niewolnicza sama siebie zaledwo w tych klęskach wyżywić mogąca, nie wiele zbywających produktów odnieść mogła do pańskich spichrzów. Wprawdzie zwiększała się powoli ludność swobodna czynszowa, pod upadłymi władykami, którzy osiadając za czynszem na włościach kościelnych i książęcych, wskazywali drogę, gdzie należało szukać lekarstwa; od czasu do czasu znów przybywał jakiś gość z zachodnich Słowian, zmuszony przez niemieckie apostołowanie do opuszczenia swojej prastarej siedziby, lecz nie było to czemś powszechnem i wcale jeszcze na podniesienie dobrobytu nie wpływało. Zważywszy nadto liczne rozrodzenie się domów magnackich w w. XIII, łatwo zrozumieć walkę możnowładztwa z władzą książęcą, której pierwszem hasłem było uwolnić włościan z pod praw i powinności względem panującego. Największą zdobyczą, jaką szlachta polska z tej walki wyniosła, było osadnictwo na prawie niemieckiem, pierwsi wprowadzili je do Polski zakonnicy a szczególnie Cystersi i Norbertanie. Mówiąc o zakonach warto po krótce przejrzeć, które z nich i w jakim czasie w Polsce osiadały.

Benedyktyni już przez Chrobrego sprowadzeni, założyli na ziemiach polskich w wieku XI i XII opactw 9, kilkanaście mniejszych prepozytur pod ich przełożeństwem zostających i 4 opactwa żeńskie (Benedyktynki).

Kanonicy regularni w tym samym prawie co i Benedyktyni czasie: opactw 5 i liczne kolegia czyli pomniejsze klasztory.

Cystersi pomiędzy rokiem 1140—1280 założyli opactw 21 i 6 żeńskich klasztorów.

Premonstratensi (Norbertanie) od 1179—1410 — opactw męskich 7 i kilkanaście żeńskich (Norbertanki).

Templaryusze w wieku XII i XIII mieli wielkie posiadłości przeważnie w północnej Polsce położone, które w r. 1312 przeszły po ich zniesieniu w ręce Kawalerów maltańskich.

Miechowici, (Bożogrobcy. Stróże grobu Chrystusowego) zwani tak od Miechowa gdzie im pierwszy klasztor fundował Jaksa zięć Piotra Włosłowica r. 1162, założyli do końca XV w. blisko 30 klasztorów.

Dominikanie od 1223 do końca XV w. posiadają już blisko 60 męskich i kilka żeńskich klasztorów.

W tym samym czasie co Dominikanie przybywają kolejno *Franciszkanie* z tylu prawie klasztorami co Dominikanie, *Markowie* klasztorów pięć, *Augustyanie* kilkanaście i *Paulini* 10.

W XV wieku *Karmelici i Bernardyni;* pierwsi mają 6, drudzy blisko 30 klasztorów [1].

Z tego krótkiego wykazu widać, że w Polsce fundowano do wieku XVI blisko 300 mniej lub więcej uposażonych klasztorów. Nie wszystkie jednak zakony posiadały bogate fundacye, niektóre z nich, szczególnie żebracze na samych zabudowaniach klasztornych były ograniczone, lecz za to inne, szczególnie Benedyktynów, Cystersów, Dominikanów miały tak znaczne posiadłości, iż nie trudno było spotkać opata, który nie bez słuszności opatem stu wsi się nazywał.

Z pomiędzy wszystkich zakonów największe zasługi w zaludnieniu kraju nowemi wsiami i to na prawie niemieckiem położyli bezprzecznie Cystersi. Najważniejszem ich zadaniem była ciężka praca fizyczna, medytacyami pobożnemi przerywana, i umartwienie zewnętrzne. W tym to celu osiadali w dzikich i niedostępnych ustroniach lesistych, w pocie czoła pracą rąk swoich wytrzebiali lasy, i wzorowem gospodarstwem nieużytki w urodzajną glebę przemieniali. Surowy zaś żywot, jaki prowawadzili, nie dozwalał im zużywać obfitych plonów umiejętnego gospodarstwa, obficie więc napełnione spichrze cysterskie były zawsze dla ubogich otwarte, i tysiące wynędzniałej ludności znajdowały w nich w czasach klęsk i nieurodzaju ratunek od śmierci głodowej [2].

---

[1] Dr. Ant. Małecki. „Klasztory i zakony w Polsce". Przewodnik naukowy i literacki r. 1875.

[2] St. Smolka. „Mieszko Stary".

Rola wykarczowana z każdym rokiem się im powiększała, a nie mając w ówczesnych zamieszkach kogo na niej osadzać, wpadli pierwsi na myśl, aby obcych rolników z zachodu sprowadzać i wypuszczać im rolę w korzystniejszych, niż dawne włości warunkach. Nie potrzebowali sobie nawet łamać głowy nad rozwiązaniem tej kwestyi, gotowe prawo mieli w krajach niemieckich, należało tylko obcy zwyczaj na polską przeszczepić glebę.

„Lecz w czem leży tajemnica, że zakładanie wsi i miast prawem niemieckiem, tak popularnem się stało, że tak duchowieństwo jako i rycerstwo starało się jakby o wielką łaskę o uzyskanie przywileju monarszego na teuton, w czem nawet przodowali monarchowie przenosząc wsie z prawa polskiego na niemieckie lub zakładając nowe wprost na prawie niemieckiem na surowym korzeniu“ [1].

Tajemnica leżała w tem, że wieś polska przeważnie z niewolników się składająca, obciążona daninami i dosługami na rzecz monarchy i właściciela, pozbawiona nadto wszelkiego samorządu, ani swobodnie się rozwijać, ani nowych obszarów karczować nie chciała i poniekąd nie mogła. Ludność taka, pozbawiona owoców swej pracy, nie miała najmniejszego bodźca do coraz skrzętniejszego wydobywania płodów, żyła z dnia na dzień, niepewna co z nią właściciel postanowi. Wieś zaś na prawie niemieckiem osadzona przy nadzwyczaj prostej swej organizacyi, zaspakajała potrzeby tak ludności wieśniaczej jakoteż i dworu, przynosiła dalej każdemu materyalne korzyści, ktokolwiek z osadnictwem na prawie niemieckiem wszedł w związek, a więc w pierwszej linii tak dworowi jakoteż wieśniakom, w drugiej duchowieństwu i monarsze, a wreszcie całemu społeczeństwu.

Jeśli kto dostał przywilej na założenie wsi z prawem niemieckiem, wnet zjawiał się zasadźca (locator), który podejmował się sprowadzić osadników, zastrzegając dla siebie urząd sołtysa w przyszłej wiosce. Skoro przybyła pewna liczba osadników, przystępowano zaraz do umowy, czy to z klasztorem, czy z księciem; układ spisany zawierający w sobie warunki osiedlenia zostaje wręczony sołtysowi, i jest dla nowej osady rękojmią przeciw nadużyciom.

Z wyznaczonego przez właściciela obszaru wydziela sołtys

[1] Dr. Fr. Piekosiński.

każdemu osadnikowi po łanie, po największej części w kształcie czworoboku. Powierzchnię łanu trudno dzisiaj dokładnie oznaczyć, pospolicie bowiem nazywano rolę osadnika łanem, gdyż przy takich obszarach lasów i pustek, jakie u nas były, żadna co do brania i dawania ich w posiadłość nie zachodziła trudność; stąd nieraz mierzono łany na oko. Nazwy łanów były różne odnośnie do ich pochodzenia i wielkości i tak: łan sławiański liczył 15 juter czyli morgów (*jutro — juger est, quantum par boum potest in die arare*), saski, także hełmińskim i magdeburskim zwany 30, a francuski albo flamandzki 60 juter. Jutro posiadało w kwadrat 150 lub 160 łokci, odpowiadało zatem naszemu morgowi [1], 30 zaś takich juter stanowiło zwykle łan osadnikowi wydzielony.

Powierzchnia przeznaczona pod nową osadę, prawie zawsze z lasów i nieużytków się składająca, wymagała mozolnego karczowania, zanim mógł z niej osadnik korzyść jaką wyciągnąć. To też kilka i więcej lat początkowych (6, 12 lub 24) byli wolni od wszelkich opłat tak królewskich jak duchownych, oddawali tylko dziesięcinę gołębi, daninę w pszenicy dla proboszcza, na cele służby kościelnej i świętopietrze [2]. Gdy lata wolnizny minęły, winni byli uiszczać się właścicielowi z umówionych zobowiązań, o jakich później pomówię. Dostawali nadto od dworu potrzebne im bydło (załoga), które jako inwentarz stale do osady przywiązane było.

Z tego, co się wyżej o opolu powiedziało, łatwo zrozumieć, dla czego pierwszem staraniem nowej osady było wyzwolić się z pod związku opolnego, a poddać się pod rząd powiatu używającego osobnego prawa.

Głównym jednak punktem przywileju lokacyjnego było przyzwolenie na osobnego dla wsi sołtysa. Sołtysem (lokator, scultetus) bywał ten, kto osadników sprowadzał i pośredniczył w ugodzie z panem lub klasztorem. Z nim zawierał właściciel ziemi osobny układ, na mocy którego dostawał sołtys dla siebie i swojej rodziny w dziedzictwo zazwyczaj $^1/_6$ część gruntów całej osady (2—3 łanów). Był wolny od czynszu, miał prawo pobierania dochodów

[1] Maciejowski. „Hist. włościan".

[2] Joach. Lelewel. „Posiadłości kmiece dwojakiej natury". Tygodnik literacki. Poznań 1841.

z jatek, szynków, młynów i z handlu w przynależnej wiosce; był dla wsi kupcem, chociaż prawo to zwykle wydzierżawiał. Był dla wsi sędzią rozstrzygającym spory w pierwszej instancyi, „bo sołtys to prawnik zarazem; on obeznany jest ze sposobem gajenia i odbywania sądów wedle prawa niemieckiego, on zna najważniejsze przepisy tegoż prawa co do obligacyj, zastawów, prawa spadkowego i t. d., on też niewątpliwie jest instruktorem przyszłych ławników co do przepisów teutonu, boć trudno każdej osadzie postarać się o księgę prawa i o ludzi piśmiennych, coby w tej księdze przepis prawa odszukać, odczytać i zrozumieć potrafili“ [1].

Tak więc sołtys jako obeznany z prawem, a przytem przywilej lokacyjny w swych rękach mający, w którym zobowiązania osadników były wypisane, bronił swoich podwładnych od nadużyć, jakieby ze strony dworu mogły mieć miejsce. Zrozumiał dobrze stanowisko sołtysa dla wsi Kazimierz W. i dlatego statutem z r. 1368 zabronił szlachcie zagarniać sołtystwa na rzecz swojej osoby [2].

Z urzędem sędziowskim były połączone różne dochody, we wsiach wołoskich na północnych stokach Karpat położonych, pobierał sołtys (kniaź) trzeci grosz (tertius denarius) od wszystkich grzywien czyli kar pieniężnych, a kmiecie odrabiali mu pewną ilość dni w roku; z czynszu przez włościan panu na jego ręce składanego pobierał szósty denar [3]. W miarę rozległości osady i stosunkowo hojniejszego uposażenia swego był obowiązany bądź samojeden, bądź samowtór lub nawet samotrzeć na zdatnym koniu, uzbrojony, wedle przepisu przywileju, stawić się na wojnę wedle potrzeby, towarzyszyć swemu panu czy to na sądy, wiecy lub sejmy, czy na dwór, wreszcie jeździć za posyłkami pańskiemi [4]. Stąd sołtys, jako człowiek rycerski, stał na pierwszym szczeblu do szlachectwa, którego się mógł łatwo na wojnie dosłużyć. Tak korzystne stanowisko sołtysa nakłaniało i władyków-rycerzy do wstępowania w ich szeregi; a jakkolwiek przez to spadali o jeden szczebel w urzędowej hierarchii społecznej, pod względem materyalnym stawali nie-

[1] Dr. Fr. Piekosiński.

[2] Jan Januszowski. „Statuta prawa i konstytucye koronne, łacińskie i polskie z statutów Łaskiego i Herbusta zebrane...“ Kraków 1600. Str. 1075.

[3] Maciejowski.

[4] Dr. Fr. Piekosiński.

zawodnie lepiej od braci swych zagonowych. Działo się to przedewszystkiem w wieku XIV i XV, kiedy znajomość prawa niemieckiego już się rozpowszechniła, a wsie zaludniały się w tych czasach niemal wyłącznie przez wieśniaków polskich.

Wymawiali sobie dalej osadnicy, że będą mieć wspólne z krajowcami sądy kryminalne, nie zaś cywilne, które sprawowali wedle prawa niemieckiego czyli magdeburskiego. Polegało zaś ono na tem, że nadawało: najpierw przywilej na osobnego sołtysa, na wójta, który przestrzegał publicznego porządku i na sądy wiejskie, wójtowskie, które właściwie były najistotniejszą częścią prawa niemieckiego. Sądy niemieckie różnią się wielce od sądów polskich, dlatego trzeba przypatrzeć się poszczególnym ich właściwościom i kategoryom.

a) Sołtys na mocy swego urzędu sprawował władzę sądowniczą w swojej wsi, do niego odnosili się osadnicy w sprawach mniejszej wagi, które doraźnym sądem mogły być załatwiane. Obok sołtysa istniały w każdej wsi sądy wiejskie, wójtowskie, także ławniczemi zwane. W skład ich wchodziło kilku, zazwyczaj siedmiu ławników czyli przysiężnych, przez pana, wójta lub sołtysa z chłopów mianowanych, a w niektórych miejscach przez gromadę obieranych [1]. Nie cały jednak zakres spraw cywilnych i karnych należał do jurysdykcyi sądów ławniczych, nie wszystkie zresztą indywidua na prawie niemieckiem osadzone jurysdykcyi tejże ławy podlegały. Sprawy największej wagi, zwłaszcza ciężkie występki karne, za które kara śmierci lub ucięcia jakiegoś członka była przeznaczona, zachowywał książe w początkach osadnictwa dla siebie, później jednak jurysdykcya sądów ławniczych znacznie rozszerzoną została. Nieraz i dwór prywatnego właściciela zostawiał do swego rozsądzenia ważniejsze sprawy, a niekiedy i karę śmierci wyznaczał; zależało to naturalnie od rozległości sądownictwa patrymonialnego, na jakie ten lub ów magnat w swych dobrach przywilej od księcia uzyskał. Co się tyczy kar, to sądy ławnicze naznaczały za wszystkie ważniejsze przestępstwa kary cielesne, za mniejsze tylko pieniężne; coraz większe szerzenie się po kraju prawa niemieckiego sprawiło, że na ziemi

[1] Maciejowski.

naszej powoli w sferach niższych coraz więcej upowszechniać się zaczęły kary cielesne [1].

b) „Jurysdykcyi sądów ławniczych podlegali kmiecie i zagrodnicy po wsiach, a mieszczanie po miastach, lecz nie podlegali jej sołtysi ani wójtowie. Stosunek sołtysa czy wójta do dworu na prawie leńskiem był oparty. Dwór więc tylko, jako lennodawca, sołtysa czy wójta jako wasala swego sądzić był uprawniony. Przywileje lokacyjne nie pozostawiają w tej mierze żadnej wątpliwości. Oto stereotypowa formuła określająca jurysdykcyę w przywilejach lokacyjnych: uwalniamy wieśniaków z pod wszelkiej juryzdykcyi wojewodzińskiej, kasztelańskiej i t. d. tak, iż wieśniacy tylko przed swym sołtysem, sołtys zaś przed nami, zwłaszcza gdyby w wymiarze sprawiedliwości opieszałym się okazał lub opornym, odpowiadać winien. Okazała się więc potrzeba sądów dworskich, dla rozstrzygania spraw większej wagi, jurysdykcyi dworu zastrzeżonych, powtóre dla wykonywania sądownictwa nad wójtem lub sołtysem“ [2].

Pierwszą więc kategoryą sądów wyższych były sądy leńskie, jurysdykcyą nad sołtysami mające, które według prawa leńskiego składały się z sześciu co najmniej sołtysów i siódmego, któryby oskarżonego sołtysa pozwał. W dobrach duchownych składano taki sąd według potrzeby, na dworach zaś monarszych zdawien dawna odbywały się stale takie sądy, raz dla znacznej liczby wsi na prawie niemieckiem w dobrach książęcych zakładanych, powtóre dla rozsądzania spraw, które książe sobie zastrzegał. Na czele takiego sądu stał sędzia nadworny, landwójtem zwany, który z sołtysów dóbr książęcych lub innych wasali sądy leńskie składał. Siedzibą takich sądów był gród krakowski, sandomirski, sądecki i biecki, w innych składano je według potrzeby.

Także w niektórych większych posiadłościach klasztornych (np. w Tyńcu, na Zwierzyńcu) i biskupich napotykamy sądy leńskie stale, chociaż zaczęły one istnieć zapewne od w. XIV. Sądy te zapobiegały nadużyciom sołtysów względem wsi, w nich oskarżali osadnicy sołtysa o krzywdy, jakie im czynił, i sprawiedliwość znachodzili. Taki był zakres sądów na mocy prawa magdeburskiego.

---

[1] R. Hube i Fr Piekosiński.
[2] Fr. Piekosiński.

Zezwalano na nie osadnikom głównie z dwóch powodów: raz, że prawo magdeburskie było prawem zwyczajowem słowiańskiem, powtóre, w czasach wyludnienia (XIII) chodziło przedewszystkiem o osadnika, zgadzano się więc na jego wymagania.

Zdarzały się nieraz sprawy zawikłane których ława miejska ani sołtysi nie umieli rozsądzić, przepisy prawne dla niejednych były niezrozumiałe, potrzeba się było udawać do kogoś, ktoby żądanych wyjaśnień mógł udzielić. W niektórych wypadkach odnoszono się zatem do dworu książęcego, niekiedy przywilej lokacyjny dawał w tej mierze pewne wskazówki, stanowiąc, iż nowo założona osada ma się takiem samem prawem niemieckiem rządzić jak starsza za wzór jej postawiona, skąd niektóre ławy miejskie jak Kraków, Inowrocław młodszym wskazówek udzielały. Skoro jednak instancye apelacyjne nie były w prawie ściśle określone, a zwyczaj zupełną swobodę w tej mierze zostawiał, odnosiły się często wsie a niekiedy i większe miasta po objaśnienia prawne do Magdeburga i Hali, skąd nadeszłe wyroki zwano z niemiecka ortylami. Przeszkadzało to nie tylko prędszemu zasymilowaniu się ludności, lecz uwłaczało powadze monarchy, i z kraju gotówkę wyciągało, gdyż za wyroki z zagranicy nadsyłane trzeba było składać pewne opłaty (9 wiarodunków szerokich gr. pr. za Kazim. W.).

Tej niedogodności chcąc Kazimierz W. zapobiedz, ustanowił r. 1364 na zamku w Krakowie sąd leński powszechny z sołtysów książęcych, biskupich i klasztornych, któryby apelacye przyjmował i na nie odpowiadał. Sąd ten jednak (ius supremum Teutonicum in castro Cracoviensi zwany) nie długo się utrzymał, bo niektórzy sołtysi usuwali się od zasiadania w nim, a w niektórych miastach jak w Bieczu, w Nowym Sączu, Tyńcu, Goleszu, tytułują się pod koniec XIV sądy leńskie sądami wyższemi (iudicium supremum, ius supremum). Słowem, przyjąć można za normę, iż gdzie tylko wytworzył się sąd leński stale urzędujący, tam przyjął on z biegiem czasu zarazem charakter sądu wyższego dla swego juryzdykcyjnego okręgu, z tym samym składem co dawniej tj. z landwójtem na czele i Siedmiu sołtysami jako ławnikami.

Na miast ustanowienie sądu najwyższego komisarskiego większą miało [illegible]wałość. Kaźmierz W. r. 1365 postanowił, iż gdyby kto od wyroku sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku kra-

kowskim na dwór królewski chciał apelować, ma się dopraszać u króla o sąd komisarski z rajców miasta Krakowa, Sącza, Bochni, Wieliczki, Kaźmierza i Olkusza, z każdego po dwóch złożony. Takie sądy komisarskie składano według potrzeby w różnych miejscach, były one przygodne; — a tylko sąd komisarski sześciu miast (Iudicium regale sex civitatum) miał już przywilejem Kazimierza W. określoną organizacyę. Sąd ten był w całem tego słowa znaczeniu sądem najwyższym, ostatnią instancyą; od jego wyroku nie wolno było pod karą apelować, a Kazimierz Jagiellończyk dekretem z r. 1455 zagroził karą śmierci i konfiskatą mienia tym, którzyby takowe apelacye zakładać się ważyli, lub sędziów sześciu miast z tytułu wyroków w tychże sądach wydanych pozywali. Odnosiło się to jednak tylko do sądu komisarskiego w Krakowie, od innych przygodnych można było do coraz nowych apelować[1].

Przypatrzmy się teraz obowiązkom, jakie włościanin na prawie niemieckiem osadzony na siebie przyjmował. Za wydzierżawioną rolę wypłacał się już to czynszem, już to daninami lub jednem i drugiem; ludność niemiecka pieniędzmi zazwyczaj czynsz uiszczała, polska wywzajemniała się najwięcej ponoszeniem ciężarów i posług[2]. Wysokość dzierżawnego zależała od jakości gleby i rozmiaru łanów, od położenia handlowego i mnogości gotówki przez handel sprowadzonej; nie od właściciela zależało jego powiększanie lub przekształcanie, — targi rozstrzygały, w jaki sposób rolnik na rok następny uiści rentę. Edmund Stawicki przytacza w swej książce: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego“: taki układ i to dość późny, bo z r. 1449 między Piotrem przełożonym klasztoru św. Magdaleny *extra novos locenses*, a kmieciami wsi Bronisław, który brzmi: *qualiter et quomodo ordinamus et concordamus cum nostris cmethonibus de Bronisław pro oneribus, laboribus et redditibus ejusdem villae, quomodo et quid debeant solvere et laborare.* Jako powinności naznacza obrobić folwark (praedium); dzień jeden z dwóch łanów orać (rocznie); jedną podróż do Brześcia i Wrocławka w miarę potrzeby odbyć; odwieść do Płocka do klasztoru kapłony i jaja. Czynsz gotówką opłacany nie dochodził zwykle grzywny;

[1] Fr. Piekosiński.
[2] Maciejowski. „Hist. włościan“.

według Długosza, w dobrach zaś duchownych i pół grzywny nie dochodził. Daniny w naturze i posługi były różne, zastępowały one lub uzupełniały czynsz. Tu i ówdzie było w roku kilka dni pańszczyzny, w niektórych tylko miejscach jeden dzień w tygodniu, a za to nieznaczny lub żaden czynsz. Robocizny było dlatego tak mało, że rycerstwo wolało mieszkać przy księciu lub w obozie, gdzie i skrzynię prędzej i włości można było nowym podarkiem pomnożyć; żył więc przeważnie dziedzic z czynszu składanego, a dla siebie zatrzymywał ogród i rzadko łan lub dwa roli przeznaczonej raczej na utrzymanie służby lub właściciela. Poświadcza to ta okoliczność, że opiekunowie w majątkach małoletnich z czynszu i stada mieli zdawać rachunek, dochód zaś z roli folwarcznej jako mało znaczący był pominięty[3]. Pomoc na gruncie pańskim, jaką osadnik z obowiązku a nieraz z dobrej woli wykonywał, zejdzie nieledwie do drobnostki, skoro zważymy, że pan miewał pod sobą kilku, lub kilkunastu, a najczęściej kilkudziesięciu i więcej włościan. W Litwie np. na obrobienie jednej włóki dworskiej liczono siedem włók włościańskich [2].

Przebywający w dobrach królewskich i pańskich osadnicy wysyłali co 20-go zbrojno na wojnę utrzymując go wspólnym kosztem, (piechota łanowa), a gdy się ten nie stawił lub z wojny uciekł, tracił łan na rzecz nowego przybysza. Dobrze zresztą pojmował osadnik polski, że jeżeli przez co, to przez służbę wojskową zasłuży sobie na względy całego narodu, to też chętnie się jej podejmował. Zbliżony przez to do króla, mógł liczyć na jego opiekę, i za Kazimierza W. ciągle jej doznawał. Nie na rękę było szlachcie, gdy król wglądał w to, co się w ich włościach działo, rozbroiła więc lud w wieku XV, pozwalając mieszczanom tylko w własnej obronie za oręż chwytać. Okoliczność ta wpłynęła raźniej na utratę obywatelstwa kmiecego. Z piechotą takową spotykamy się jeszcze i to nie na długo w wieku XVI [3]. Prócz obowiązku służby wojskowej

---

[1] „Ustanawiamy, iż opiekun z żadnej rzeczy liczby nie będzie powinien czynić (de nullo rationem facere tenetur) jedno z czynszów i z stada". St. Wiślicki, Januszowski str. 580.

[2] T. Lubomirski. „Rolnicza ludność w Polsce". Bibl. warszawska r. 1857.

[3] Maciejowski.

mieli osadnicy jeszcze niektóre drobne powinności względem księcia (augariae) o wiele teraz mniejsze niż u dawnych chłopów czynszowych; między niemi i obowiązek trzymania załogi po grodach. Przywilejem Koszyckim z r. 1374 uwolnił król Ludwik (1170—1182) wszystkich włościan od „wszystkich danin albo podatków tak pospolitych jako osobliwych, od posług, robót“... a tylko nałożył podatek dwóch groszy od łanu „na znak najwyższego panowania“ (Januszowski. Przywileje koronne str. 5).

Następnie składali wszyscy bez wyjątku osadnicy dziesięcinę duchowieństwu lub za nią czwartą część grzywny, fertunkiem lub wiadrunkiem zwaną; wymierzano ją według obszaru roli i przychodów i zwano płożną. Nie podlegały jej jarzyny i szczepy; kto zboże choćby w ogrodzie uprawiał, płacił dziesięcinę. Sołtys i wójt płacili dziesięciny z łanu 8 groszy [1].

Każdy osadnik był osobiście wolny; skoro zapłacił czynsz na św. Marcin, odniósł do dworu umówioną daninę a duchowieństwu dziesięcinę, mógł się dowolnie przenieść w inną stronę kraju. Według umowy musiał jednak tyle lat siedzieć za czynszem, ile przedtem darmo wysiedział, wynosząc się wcześniej musiał dać zarękę, że szkoda stąd poniesiona będzie wynagrodzona, lub postarać się o zastępcę, któryby resztę czasu dosiedział, a wtedy nie mógł go nikt gwałtem zatrzymywać [2]. Mógł dowolnie synów wysyłać na naukę do miast lub do rzemiosła, czem zapobiegał nie tylko niekorzystnemu podziałowi roli, lecz przyczyniał się do wzrostu handlu i przemysłu, i do zasymilowania niemieckich mieszczan. Zapomniałem wyżej nadmienić, że wieś na prawie niemieckiem otrzymywała także kilka łanów na wspólne pastwisko i wolny wyręb w lesie dworskim na opał i budulec.

Chcąc się dokładnie przekonać, jakie ciążyły obowiązki na lokacyach niemieckich względem właściciela w w. XV, a zarazem

[1] „Umowa o dziesięcinę między Kaź. W. a Bodzantą r. 1369“. Januszowski str. 225...

[2] „Ale kiedy kmieć niemieckiem prawem jest osadzony, takowy nie będzie mógł żadnym obyczajem (modo) odejść, jedno za tak wiele lat czynsz zapłaciwszy, jako wiele wolności miał, co jednak na ten czas nie ma mu być wolno: ażby także bogatego na miejscu swem kmiecia postawił: a rolę swą dobrze wyprawił i wykopał i osiał na zimę i na lato, co gdy uczyni, wolno mu będzie odejść“. Statut Kaźm. W. Januszowski str. 1084.

udowodnić, że stanowisko chłopa było u nas pomyślniejsze niż gdzieindziej, dosyć jest otworzyć gdziebądź księgę uposażeń (Liber beneficiorum) Długosza, pisaną w trzeciej ćwierci piętnastego stulecia. W tomie III na str. 336—353 opisuje ten ojciec historyków polskich uposażenie klasztoru w Starym Sączu. Wybudował go r. 1257 Bolesław Wstydliwy za namową swej małżonki i oddał go jej i siostrom reguły św. Franciszka; w zamian zaś za dług, jaki z posagu tej świętej na wojnę przeciw pohańcom zaciągnął, oddał jej tytułem zastawu ziemię sądecką między Podolińcem, Limanową, Bieczem a Bardyjowem leżącą. Gdy zaś długu nie miał kto oddać, oddała pobożna fundatorka wspomniony zastaw na rzecz klasztoru staro-sądeckiego. Było wówczas w Sądeczczyźnie wiele osad, które były zapełnione szczątkami wielkich Morawców, tak zwanemi Słowakami[1]. Za czasów Długosza należało do klasztoru prawie 70 wsi, a panią ich lenną była każdorazowa ksieni sądecka. Czytamy tu obowiązki poszczególnych wsi i miasteczek np.:

Stary Sącz miał 50-ciu mieszczan łanowych, każdy płacił klasztorowi 20 szerokich groszy pragskich z łanu. „Każdy płaci także dla nauczyciela 6 denarów, wszyscy składają dziesięcinę w zborzu i konopiach dla biskupa krakowskiego lub na mocy ugody zamiast dziesięciny płacą wszyscy rocznie 60 marek (grzywien)". Mogłoby się komuś zdawać, że to na owe czasy była nie mała suma płacić klasztorowi 20 szer. gr. prags.; biskupowi krakowskiemu 57, a nauczycielowi $^1/_2$, czyli razem $77^1/_2$ szer. gr. pr., co z obliczenia według Fr. Piekosińskiego daje 30 złr. 90 kr., jeżeli się przyjmuje wartość kilogr. srebra 108 złr.[2] — lecz były to jedyne daniny, i czynsz ten złożywszy, żadnym innym zobowiązaniom nie podlegali; zresztą prócz roli mieli w rękach cały a nader zyskowny naówczas handel z Węgrami.

---

[1] Moraczewski. „Polska w złotym wieku".

[2] Przeciętna waga grosza = 3·113 gramów.
Szeroki grosz pragski = 3·717 „
Szkojec wynosi groszy 2.
Grzywna (marka) groszy 48.
Denarów idzie na grosz 12, 16, 18.
„O monecie i stopie menniczej w Polsce z XIV i XV wieku". Dr. Fr. Piekosiński.

Moszczenica wyższa, w której są łany nieodmierzone i nierówne, ani nie można podać liczby łanowych, którzy według jakości roli płacą czynsz. Jeden płaci 4 gr. inny 6, a inny 8 gr. Także każdy kmieć w czasie żniw pracuje pół dnia, po za żniwami zaś nie mają żadnych robocizn. Z tytułu czepu (osszyep) dają jednę miarę pszenicy; dwie miary owsa i 4 gr.... i dziesięcinę dla biskupa krakowskiego.

Podegrodzie, w którem są kmiecie łanowi, każdy płaci po 16 gr. szkojców, 1 koguta, 20 jaj i 2 sery. „Odrabiają też dwie powaby (povabas, tj. dwa dni pańszczyźniane) mianowicie jeden w lecie i jeden w zimie". Osep i dziesięcina jak wyżej. „Są tu także 3 kramy (tabernae) nie posiadające roli, tylko ogrody do nich przyległe, każdy płaci 16 szkojców. Jest tu i sołtys mający dwa łany wolne i nie płaci czynszu".

Jeszcze jedną wieś przytoczę, w której widoczna jest rozmaitość stosunków. „*Prądnik*, wieś w parafii św. Mikołaja pod Krakowem położona, w której jest 16-tu kmieci łanowych i każdy składa czynszu 16 groszy; również jest tu 5 kmieci łanowych na własność (ad proprietatem monasterii) klasztoru św. Trójcy (klasztor Dominikanów w Krakowie) płaci zaś każdy 16 groszy czynszu klasztorowi Tynieckiemu. Jest też tu sołtystwo (scoltetia) mające trzy łany (naturalnie wolne od czynszu), z których płaci dziesięcinę zboża kościołowi św. Mikołaja (na Wesołej pod Krakowem). Także co rok ma wieś dać (singulis annis tenentur villae) dwa posiłki (prandia)[1] opatowi, a sołtys trzeci; jest tu i kram (taberna) sołtysi mający pola i daje 12 marek sołtysowi czynszu, również zagrody (hortulaniae), młyn sołtysa na rzece Prądnik i płaci z niego klasztorowi Tynieckiemu cztery marki z jednym festonem, sołtys zaś pobiera z tego młyna inne 4 grzywny. Jakoż wszystkie łany kmiece składają i zwożą dziesięcinę zboża i konopi dla kościoła św. Mikołaja pod miastem Krakowem, a cena jej oszacowana

[1] Osadnicy przyjmowali raz lub więcej (2—3) razy do roku zjeżdżającego na grunt właściciela w liczbie ludzi i koni określonej, stawiali mu na stół umówione pokarmy i napoje, tudzież uraczali sługi, a koniom sypali obrok; zwało się to prandium obiad, lub za to wszystko płacili: *stationem* — „poobiedne". Maciejowski. Hist. wł.

na 25 grzywien. Takie są tu trzy folwarki (praedia, dziedziny) obywateli krakowskich, z których składają dziesięcinę wartości czternaście marek. I proboszcz od św. Mikołaja ma tu półtrzecia (duo cum medio) łana wolnego i łąki".

Jeden z owych mieszczan krakowskich sprzedał r. 1398 swój folwarczek (praedium) z pięciu łanów frankońskich składający się za dwieście pięćdziesiąt, według innego rękopismu dwieście ośmdziesiąt grzywien. Jeden więc łan kosztował grzywien 50 lub 56 [1]. Najprawdopodobniej i łan kmiecy miał tę samą wartość; a że płacił z niego czynszu 16 groszy, więcby na owe czasy dzierżawcze wynosiło 0·6% wartości roli. O wiele większą jest dziesięcina, bo skoro wartość jej od jednego kmiecia na Prądniku była 57 gr. za łan — 2·1% wartość łanu, czyli razem z czynszem 2.7%, a oprócz tego już niema żadnych danin, lub jeżeli są, to zaledwo wynoszą około czwartą część czynszu. Jeżeli zaś zważymy, że dzisiaj trzeba płacić dzierżawczego koło 5% nieraz 8% i więcej, nadto składać uciążliwe podatki, to łatwo pojmiemy, jak dalece położenie włościan za Jagiellonów było u nas korzystniejsze niż dzisiaj.

W każdej prawie osadzie obok posiadaczy łanowych spotykamy tak zwanych ogrodników czyli zagrodników; jedni z nich mieli role mniej lub więcej do kmiecych zbliżone, drudzy zaś tylko ogrody i domki, a żyli z młocki [2]. Była przytem po miastach ludność wolna nic nie posiadająca, która jako czeladź u bogatszych służyła, mając prawo wyprowadzania się z miejsca na miejsce. Ci wolni byli albo słudzy, albo hultaje; słudzy godzili się do służby na cały rok, hultaje zaś wynajmowali się na dnie i tygodnie [3], odpowiadają oni najzupełniej dawnym ratajom. Jeszcze do końca XVI wieku była wolność tych sług prawem zagwarantowana; nie wolno go było przemocą zatrzymywać, gdy umówionego czasu dosłużył, a dotychczasową służbę porzucić chciał. Pan był obowiązany dać mu świadectwo odchodne, a gdy tego nie chciał uczynić, winne były sądy ziemskie i grodzkie toż świadectwo wydać; sługi nie mającego świadectwa odchodnego nie wolno było przyjmować pod

[1] Maciejowski.
[2] Tenże.
[3] Tenże.

karą 14 a nawet już 100 grzywien [1]. Obok sług wolnych znajduje się po dworach czeladź nieswobodna, której osobami jak dawniej tak i teraz mogli panowie rozporządzać np. darować ich innemu.

Takie są warunki i właściwości lokacyj na prawie niemieckiem. Łatwo stąd zrozumieć, dla czego monarchowie przywilej [2] na nie tylko jako dowód najwyższej łaski wydawali, z drugiej strony dla czego środek ten wkrótce po jego wprowadzeniu wnet się rozpowszechnił. Osadnictwo takie nie tylko dziesięciny duchowieństwu przysparzało, ale i właścicielowi przynosiło gotówkę, zamiast dawnych nieregulowanych, a nadto nie wiele wartających danin.

Jak wyżej powiedziałem, wprowadzenie prawa niemieckiego do Polski należy się Cystersom. Już w przywileju fundacyjnym klasztoru Cystersów w Lubiążu na Szląsku r. 1175 przez Bolesława Wysokiego wydanym wyjęci są niemieccy koloniści z pod prawa polskiego. Władysław Odonicz nadając w r. 1210 Cystersom różne posiadłości w opolu Drzemięckiem dozwala im zakładać wsi na prawie niemieckiem. Taki sam przywilej nadaje w r. 1223 krzyżownikom gwieździstym w Inowrocławiu Ziemomysł książę kujawski, a Leszek Biały biskupowi krakowskiemu dla kasztelanij kieleckiej i turskiej [3]. W tym samym czasie rozszerza się osadnictwo niemieckie po Małopolsce, a za Kaźmierza W. staje się już powszechnem. Ogranicza się ono początkowo na obsadzaniu wsi nowych przybyszami z Zachodu, skąd ich albo ciężkie stosunki pańszczyźniane, albo klęski elementarne, jak np. wylewy morza w Belgii i Holandyi wypędzały. Zresztą na Zachodzie było wówczas dosyć gęsto ludności, a do Polski wabiła ich prócz przystępnych warunków urodzajność gleby. Szli więc gromadnie Flamandowie, Walonowie, Niemcy pod przewodnictwem werbowników lokatorów w XII wieku na Szląsk a w następnym do Polski. Z nimi a nawet i wcześniej przybywali Sławianie z nad Łaby szukając w nowej ojczyźnie schronienia przed naporem Niemców. Z przybyszami garnie się i ludność

[1] „Statut Stefana Batorego w Warszawie 1568 r. i Zygmunta III. 1596 r. Januszowski str. 581.

[2] Wiele takich przywilejów zebranych jest w „Sądeczyźnie“ Szczęsnego Morawskiego.

[3] Fr. Piekosiński.

miejscowa do lokacyj niemieckich; sprytniejsi władykowie uzyskują lub kupują sobie sołtystwa, a ubożsi wolą choćby równo z osadnikami osiąść na obcych gruntach niż na swej odrobinie z głodu przymierać. Prócz tego wiele wsi istniejących już od dawna na prawie polskiem przenoszono na prawo niemieckie, w czem się szczególnie panujący odznaczali; co więcej, nawet wsie nie mające przywileju na prawo niemieckie przyjmowały jego urządzenia zachowując zresztą prawo polskie. Tak więc obok niemieckich przybyszów zapełniają się lokacyje na prawie niemieckiem żywiołem narodowym, z czasem prąd ten przeważył tak, że obcy przybysze wnet się z okoliczną ludnością zasymilowali, a Polska zamiast dawnych nędznych włościan uzyskała stan kmieci zamożnych, pod względem moralnym i materyalnym do podniesienia państwa się przyczyniających. Obcy zatem zwyczaj na naszą przeszczepiony glebę przy sprzyjających warunkach odrazu głębokie w społeczeństwie zapuścił korzenie, uratował od zupełnej nędzy ludność rolniczą podając jej skuteczne lekarstwo. Wnet już prawo to przestało być wyłącznie prawem niemieckiem; Kazimierz W. przeciął związek jego z dawną ojczyzną, szczupłe jego granice nowemi prawami i przepisami rozszerzył; następni prawodawcy i właściciele tak go do potrzeb i wymagań narodu nagięli, że już w XV, XVI w. nie wielkie między niemieckiem a polskiem prawem zachodzą różnice. Zasadniczy stosunek czynszu lub stale oznaczonej robocizny wypłynął stanowczo na wierzch, osłabła powoli juryzdykcya patrymonialna, a sądy sołtysie, komisarskie — dla innych zaś grodzkie i ziemskie juryzdykcyę swoją nad włościanami rozszerzyły. Słowem, była to reakcya przeciw dążnościom możnowładztwa w wieku XIII i znakomite przyniosła korzyści dla kraju i całego społeczeństwa.

W tym stanie rzeczy zebrał się sejm we Wiślicy r. 1347 i na nim Kaźmierz W. za zgodą biskupów i możnych panów ułożył Statut Wiślicki, który dawniejsze prawa zwyczajowe określił i uzupełnił. Widać jednak z niego, że chociaż królowi chłopków dola ludu wiejskiego bardzo leżała na sercu, to jednak na niektóre ustępstwa na rzecz panów np. na ograniczenie wolnego dotąd przenoszenia się osadników musiał się zgodzić.

Nie czyni już wzmianki statut o wolnej własności kmiecej, widać że już wówczas wolni władycy przechodząc w szeregi czyn-

szowników lub sołtysów nieznaczną stanowili liczbę. Do służby wojennej obowiązuje statut duchowieństwo o ile posiada dobra ojczyste [1], (kościelne były od służby wojennej wolne), rycerstwo i sołtysów [2], ogranicza wolność kmieci w opuszczaniu wsi, ustanawiając, że tylko jeden a najwięcej dwóch poddanych może się ze wsi wynieść bez woli dziedzica. W trzech atoli wypadkach zezwala statut dobrowolnie wieś opuszczać, tj. gdyby kmieć za długi pana był fantowany, gdyby pan popadł w klątwę, lub wieśniaczce gwałt zadał; w obu ostatnich wypadkach mogła i cała wieś się wyprowadzić [3]. Gdzie zaś nie było do opuszczenia wsi żadnego z powyższych powodów, winien był zbiegły osadnik pod karą panu być zwróconym z tem wszystkiem, co uchodząc ze sobą zabrał [4], mógł się atoli od powrotu wykupić trzema grzywnami i całorocznym czynszem [5]. Zbiegłego wolno było tylko do roku poszukiwać, poczem, jeżeli pan o jego miejscu pobytu wiedział, a o niego się nie upomniał, bywał wolny [6]. Statut bierze również w opiekę mienie kmiecia tj. ruchome,

---

[1] Januszowski str. 696—697.

[2] „Ustanawiamy; aby nierozdzielnie wójtowie (quod omnes indifferenter sculteti) tak duchownych jako świeckich osób wedle ich możności na każdą wyprawę wojenną z nami jechać byli powinni". Tenże str. 699.

[3] „Gdy z odchodzenia poddanych dobra panów swych częstokroć bywają pustoszone i każone (annihilantur et desertantur), zwłaszcza gdy żadna słuszna przyczyna do tego nie jest. Dlatego zdało się nam i naszym przełożonym (baronibus) temu niebezpieczeństwu chętliwie chcący zabierzeć (huic periculo non segniter obviantibus), z któremi we współek ustanawiamy: iż nie więcej kmieci jeno jeden, albo dwa, bez woli pana onej wsi, w której mieszkają, mogą odejść; a wszakże te przypadki wyjąwszy:

Najprzód gdy pan zgwałci dziewkę albo żonę kmieciowi swemu.

Albo gdy dla występku i winy dziedzica, tam kmiecie z dóbr swoich będą złupieni.

Albo gdy w klątwie dla występku pana swego rok będą.

Albowiem w takowych rzeczach nietylko trzej albo czterej onej wsi odejść mogą, ale i wszyscy tam mieszkający, gdzie każdemu będzie się podobało". Tenże str. 1080.

[4] Tenże str. 1083.

[5] „Który zbieglec (profugus), jeśli bojąc się srogości albo gniewu pańskiego prawem przekonany, nie chciał się wrócić, tedy skazujemy, iż takowy zbiegły panu swemu trzy grzywny ma dać i czynsz całoroczny, który płacił, będzie powinien zapłacić, a tym sposobem... zbieglec ten od pana swego będzie wolen". Tenże str. 1083.

[6] Tenże str. 1083.

zabrania grabić go za dług pański[1] i wymagać od niego bezpłatnie podwód i strawy[2]. Na równość w obec prawa kładą statuta kilkakrotnie nacisk[3], spadku po zmarłym bezpotomnie kmieciu pan włości, w której ów majątek się znajdował, nie miał odtąd sobie przywłaszczać, lecz wziąwszy z masy spadkowej półtory grzywny i sprawiwszy za to kielich dla parafialnego kościoła, winien oddać ziemię i ruchomości dalszym zmarłego krewnym[4]. Za ranę kmiecą naznacza statut jednę grzywnę, a za ciężkie *(sine)* zranienie grzywien sześć[5].

Co się tyczy sołtysa, to zabronił mu statut sprzedawać gospodarstwa takiemu, któregoby pan mieć nie chciał, owszem orzekł, że obowiązkiem jego jest służyć panu włości i polecenia jego wykonywać, ale natomiast i szlachcie sołtystwa na swoją osobę nabywać zakazuje[6]. Z ustaw tych widać, że już Kaźmierz W. gdy

---

[1] „Ustanawiamy, aby za występek (poena) i obowiązek albo rękojemstwo rycerskiego człowieka, albo któregokolwiek przełożonego kmieć czyjkolwiek albo poddany nie był ciążem (non debet impignorari) albo jakimkolwiek obyczajem obowiązan (vel quovis modo astringi). Tenże str. 1093.

[2] „A tak ustanawiamy, aby ci, którzy przez gościńce jeżdżą do panów swych, albo też w sprawach swych własnych, bądź panowie, bądź szlachta, bądź któregokolwiek innego stanu i zawołania (conditionis) ludzie, nie brali potrzeb dla siebie albo dla koni, we wsiach, w karczmach, albo też na miejscach innych osobnych, i aby żadnego gwałtu nie czynili tym, którzy sprzedać nie chcą, albo sprzedać zbraniają się, ale aby każdy swych rzeczy używał wedle woli swej". Tenże str. 588.

[3] Tenże str. 135—136.

[4] Tenże str. 1093.

[5] „Kto rani kmiecia, temuż rannemu ma dać grzywnę, a panu jego, jeśli ten, który ranił i raniony są jednego pana, grzywnę całą ten, który ranił, za winę będzie powinien położyć; ale jeśli ten, który ranił i ranny dwu panów będą, tedy ta grzywna, która będzie dana za winę, niech między nie będzie rozdzielona". Tenże str. 1091. „O cięższem zranieniu". Tamże.

[6] „Gdy urząd sołtysów, jest zawżdy na służbie i na rozkazanie panów swych gotowi być i co każą czynić za prawem są powinni, tedy nie jest rzecz słuszna, aby wzięte (maiores) albo możne (potentiores) osoby na sołtystwa nad wolą panów były brane (praeter dominorum voluntatem assumantur). Dla tego to się zdało naszym Radom, aby żaden rycerski człowiek albo którykolwiek inny zacny nie kupował ani dostawał w której wsi sołtystwa nad wolę dzierżawcy (possessoris) albo pana albo patrona onej wsi; a ktoby kupił na ten statut nic nie dbając — skazujemy, aby to kupno nic nie ważyło i nikczemne było (decernimus irritam et inanem)". Tenże str. 1075.

chciał dolę ludu zabezpieczyć przeciw możliwym nadużyciom, napotkał na opór, który go zmusił do pewnych ograniczeń włościan. Adskrypcya i juryzdykcya szlachecka jeżeli nie wykorzeniona, to bardzo ograniczona, równowaga stanów coraz bardziej się ustala — wszystko to świetną przyszłość zapowiadało, i już wówczas była Polska tylko o krok od rozwiązania tej kwestyi społecznej, jaka na widownię wieku XIX. wystąpiła.

Doprowadziwszy dotąd historyę włościan w Polsce, wstrzymać się wypada w dalszem jej opowiadaniu, a ocenić stosunki poddanych w wieku XV. (C. d. n.)

Ks. Józef Waligóra.

OO. REDEMPTORYŚCI W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

Walne zwycięstwa odniesione przez Napoleona nad Prusami pod Jeną i Auerstädtem otworzyły mu drogę do Berlina. Proklamacya Dąbrowskiego wydana z kancelaryi cesarskiej w Berlinie do Polaków obudziła zapał i poświęcenie dla bohatera Zachodu, którego uważano za zbawcę upadłej ojczyzny — czekano, wyglądano z niecierpliwością jego przybycia. Już d. 7 listopada stanął marszałek Davout w Poznaniu a w jedynaście dni później w Warszawie, witany z radością i uniesieniem. Przed ich zwycięskimi orłami ustąpić musiały pruskie wojska z krajów polskich, zostawiając rząd w ręku Francuzów. Dekretem z 14 stycznia 1807 ustanowił Napoleon komisyę rządzącą, której członków zamianował, a ukonstytuowawszy traktatem tylżyckim Księstwo Warszawskie poddał je pod zwierzchnictwo Fryderyka Augusta Saskiego. Był to pan dobry i pobożny, wpływu atoli nie wiele miał na rządy; w Warszawie bowiem rezydował marszałek Davout, jako najwyższy zwierzchnik wojenny w tych krajach i pełnomocnik Napoleona.

Odetchnął kraj cały nadzieją lepszej przyszłości, odetchnęli i nasi ojcowie z pod obucha pruskiego wyzwoleni. Praca u św. Benona szła dawnym trybem, rozpoczęły się misye po dyecezyi, a O. Hoffbauer zamyślał o sprowadzeniu zakonu Redemptorystek do Warszawy, chcąc im powierzyć opiekę nad nawróconemi Magdalenami. „Nasz kościół, pisze O. Hoffbauer do jenerała Blasucci, „jest zawsze przepełniony. Spowiednicy króla i królowej saskiej, „którzy do nas przychodzą i niekiedy solenne nabożeństwo odpra-

„wiają, są zdumieni, że przy każdej Mszy św. wychodzi do sta „i wyżej Komunii. Wielu protestantów przyjmuje katolicką religię. „Mamy pobożnego króla i arcybiskupa świątobliwego. Był on nam „wprawdzie zrazu nieprzychylnym, ale teraz chce, abyśmy tylko sami „odprawiali misye w Polsce. Musiałem zaniechać przyjęcia jednego „domu w pobliżu Warszawy, gdyż spodziewam się, że lepszy otrzy- „mam od nowego arcybiskupa. Nowy generalny wikaryusz dyecezyi „Warszawskiej (Grzegorz Zacharyaszewicz) prawdziwie roztropny „i gorliwy mąż, jest największym przyjacielem i prawie ojcem Zgro- „madzenia. Użala się tylko, że nie ma nas więcej. Mamy obecnie „dziewięciu nowicyuszów i dwóch dobrych kleryków. Gdyby nas „Prusacy tak nie uciskali, byłoby grono nasze liczniejsze. Cudem „jest to, że w tych trudnych czasach, w miejscu całkiem spusto- „szonym możemy tak liczny dom wyżywić“ [1].

Ale im więcej pracowali ojcowie, tem większą wzbudzali nienawiść przeciw sobie złych, a takich było dosyć w Warszawie. Niewiara siana za ostatniego króla a protegowana przez Prusaków bujnym weszła plonem. Młode pokolenie wychowane w luźnych zasadach encyklopedystów francuskich oddawało się tylko rozkoszom i przyjemnościom życia. „Warszawa wielkiego świata, pisze ks. Prusinowski, naonczas za rydwanem tryumfalnym rewo- „lucyi francuskiej się włócząc, po orgiach Stanisławowskich rozto- „czona zepsuciem nieczystości, z pałacami pod blachą, z cudzoło- „żnicami w salonach, z rozwodami za pieniądze, nie pytała na Boga, „byle hulać, swywolić i rozkoszować“. Na ogólną poniewierkę religii i straszne rozluźnienie obyczajów uskarża się ówczesny prymas Polski, ks. Ignacy Raczyński, w liście do króla Fryderyka Augusta: „Oto najjaśniejszy Panie! pisze on na dniu 28 września „1808 r., wiara katolicka i nauka jej z nieba podana, cierpi po- „gardę i shańbienie. Młodzież zasadza umiejętność swoją na wy- „szydzaniu obrządków kościelnych, na bluźnierstwie i wyśmianiu „tajemnic wiary chrześcijańskiej i z tem jawnie się popisuje. „W starszych jakaś nieczułość względem Boga, Jego czci i wdzię- „czności ku Niemu zapomnienie, obowiązków religijnych zaniedba- „nie, w kościołach publiczne i gorszące nieuszanowanie, dni Bogu

[1] Haringer 135.

„poświęconych gwałcenia, cudzołostwa i osób bezślubnych mieszka-„nia bezkarne, wolność zdań wierze i dobrym obyczajom przeci-„wnych, książek bezbożnych sprowadzanie i ich czytanie, oszukań-„stwa i zdrady, pokrzywdzanie kościołów i zabieranie ich fundu-„szów[1]". Toż samo stwierdza memoryał przez kolegium biskupów Księstwa warszawskiego do stóp tronu podany, w którym błagają, aby wrócił religii katolickiej, jako religii stanu, należną jej powagę, a na przestępców i publicznych gorszycieli nałożył surowe kary[2].

Tymto wyuzdanym paniczom od dawna już byli solą w oku OO. Benoni. Gniewali się na nich, bo im wyrwali nie jedną ofiarę ich lekkomyślności i rozpusty, bo piętnowali prostemi słowy ich występki. To też mścili się na nich jak mogli. Szyderstwem i obelgami obrzucano ich idących do chorego, lub na inną posługę duchowną. Czekały nawet zgraje w pobliżu kościoła uzbrojone w kije na wyjście któregokolwiek z ojców, a jeśli się który pokazał, rozpoczynali oni pozorną bitkę, tłoczono się na księdza i w zamieszaniu okładano go kijmi i pięściami wśród złorzeczeń i przekleństw. Dybano szczególnie na O. Bluma, którego kazania żarliwe do wściekłości złych pobudzały. Grożono mu śmiercią — nieraz nawet przychodziła banda podpitych młodzików z pistoletami do kościoła, stawała pod amboną, śmiechem przerywała mu mowę, ukazaniem broni starała się go nastraszyć i zmusić do milczenia. Biedny ojciec w obawie utraty życia nie mógł się z domu ruszyć[3]. Niemniejszą nienawiścią ścigano O. Hübla, który jako spowiednik, przeważnie arystokracyi, niejedną duszę zbłąkaną powrócił na łono Kościoła, albo na drogę cnoty. Oburzało to małżonków i tych, którym na tym zależało, postanowiono więc przeszkodzić zbawiennemu działaniu. Dnia pewnego, donosi jedna z osób wiarogodnych, zajechała przed klasztor kareta, z której wysiadł jakiś pan zamożny i zażądał natychmiastowego widzenia się z O. Hüblem, któremu powiedział, że jedna z jego penitentek zostając w niebezpieczeństwie ży-

---

[1] Sześcioletnia korespondencya władz duchownych z rządem świeckim Księstwa warszawskiego. Służąca do historyi Kościoła polskiego. Do druku podana 1716, str. 9.

[2] Sześcioletnia korespondencya, str. 28.

[3] Haringer 130.

cia, prosi go o spowiedź. Pospieszył czemprędzej O. Hübl z posługą duchowną, ale zaledwo wsiadł do karety, jeden z będących tam panów zawiązał mu oczy, drugi skrępował mu ręce, a powóz ruszył kłusem, zmieniając co chwila kierunek drogi. Wreszcie ustał turkot miastowy, domyślił się ojciec, że są poza miastem. Stanął wreszcie powóz w nieznanem mu miejscu, przed jakąś wiejską chatą, do której go wprowadzono, rozwiązawszy mu oczy. Tu zaczęto go lżyć w najokropniejszy sposób, żądając od niego, żeby im przyrzekł, że nie będzie więcej słuchał spowiedzi wymienionych mu dam. Oparł się temu stanowczo bogobojny ojciec, choć wiedział, że się to źle dla niego skończyć może. I w istocie, kiedy pogróżki nie skutkowały, wzięto się do czynu. Na rozkaz przybyła służba z kijami i rzuciwszy świątobliwego kapłana na ziemię, długo go razami okładała wśród napomnień owych panów „a nie zawracajcie kobietom głowy...", „a nie bałamućcie nam żon i matek dzieciom..." i innych podobnych docinków i szyderstw. Skatowanego wreszcie wsadzono powtórnie do karety i odwieziono do klasztoru w towarzystwie służby [1]. Wypadek ten podkopał zdrowie sędziwego kapłana, od tego czasu począł on zapadać na piersi. Nie wyleczył się jeszcze z ran, kiedy go rozkaz arcybiskupa powołał na kapelana do szpitalu dla zarażonych tyfusem Włochów, na której to posłudze zakończył on życie.

Fakt ten pokryto tajemnicą, nie skarżyli się ojcowie, nie donosili policyi, ani o tem, ani o wszystkich innych zniewagach, jakich doznawali, a to z prostej przyczyny, bo by się to na nic nie zdało. „Policya bowiem warszawska, jak pisze ks. prymas Raczyński, dla „samych tylko złych i gorszących księży była miłosierną, ale cno„tliwych i pobożnych księży niemiłosiernie prześladowała" [2].

Z przyjściem wojsk francuskich zmienił się rząd polityczny w kraju, ale duch wrogi Kościołowi katolickiemu nie ustał, lecz owszem spotęgował się. I nie dziw, wszyscy niemal ministrowie

---

[1] Opis tego wypadku mamy od wiarogodnej osoby, opowiadał go O. Hoffbauer w jednym z klasztorów warszawskich zakonnic, z ich ust nieraz słyszała go ta, co nam ten cały wypadek w szerokim opisie przesłała.

[2] Sześcioletnia korespondencya str. 464 w dopisku.

i urzędnicy należeli do loży masońskiej. Stojący u steru najgorszy przykład z siebie dawali. Oto co pisze ks. prymas Raczyński: „Powiadano zawsze: *Regis ad exemplum totus componitur orbis.* „To przysłowie nie sprawdziło się w Księstwie Warszawskiem. „Dało się to najlepiej widzieć w kościele katedralnym stołecznego „miasta Warszawy. Cóż to za piękny dawał z siebie przykład nasz „pobożny monarcha, ile razy był przytomny nabożeństwu jakiemu! „Dosyć było patrzeć na niego, aby być przejętym żywą wiarą „o obecności Boga w świątyni Jego, aby się pobudzić do oddania „temuż Bogu najgłębszej czci i uszanowania, na jakie tylko rozu- „mne stworzenie zdobyć się może; z tem wszystkiem tak piękny „przykład żadnego wrażenia nie czynił na rodakach naszych. Przy- „chodzili oni nie dla oddania winnej czci Bogu, ale żeby dowiedli, „jak mało trzymają o najświętszych obrządkach swojej religii „i z taką nieskromnością zachowywali się w świątyni Pańskiej, ja- „kiejby sobie przez dobrą edukacyę nie pozwolili, znajdując się „w uczciwej kompanii. Śmiechy, rozmowy, świdrowania oczami, „obracania się tyłem do ołtarza, przy którym kapłan sprawował „najświętsze tajemnice, trzymanie rąk aż do zgorszenia i t. d., da- „wały poznać ludowi i duchowieństwu, że ci panowie a jeszcze „urzędnicy publiczni przychodzili do kościoła po to, aby „okazali wzgardę dla swojej religii i zaszczyt sobie robili z swego „niedowiarstwa“ [1].

Z takich ludzi składający się rząd Księstwa Warszawskiego, nie mógł być przychylnym Kościołowi. I w istocie prześcigał się on z poprzednim rządem protestanckim w uciemiężaniu Kościoła, w ścieśnianiu jego prerogatyw, w znęcaniu się nad duchowieństwem. Konstatuje to list prymasa z 28 września 1808 i użala się na ście- „śnienie praw i władzy duchownej w różnym względzie, wdawanie „się do jej rządów tak dalece, iż co rząd przeszły protestancki na „ich ograniczenie, albo złagodzenie postanowił, to wiernie i ściślej „jest utrzymywane [2]“. A memoryał biskupów wylicza cały szereg różnych nadużyć nowego rządu, przez które gorzej uciśniony został Kościół, niż za czasów pruskich. I tak zakazał rząd protestancki

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 96, 97, dopisek.
[2] Tamże str. 9.

przyjmowania kandydatów zakonom męskim, bez uprzedniego zezwolenia kamery, teraz rozciągniono zakaz ten i na duchowieństwo świeckie i zarówno poddano je uprzednim egzaminom; na obejmujących beneficya nakładano arbitralny a tak wysoki podatek, który im odejmował możność wszelką do życia, podczas kiedy Prusacy żądali od nich tylko czwartej części dochodów. Dawniej żądano co roku spisu członków pojedyńczych Zgromadzeń zakonnych, dziś nakazano go składać co kwartał. Przedtem szanowano klauzurę żeńską, nowi panowie urzędnicy pretendowali sobie prawo do wizytowania klasztorów żeńskich. Luźniejsze nadto prawa nastały co do małżeństw mieszanych, większa opieka nad apostatami księżmi, których się namnożyło bez miary, wykluczenie zupełne Kościoła ze szkoły i t. d.

Od takiego rządu pomocy nie mogli wyczekiwać OO. Redemptoryści. „To zgromadzenie zacne, przykładne, jak pisze o nich „ks. prymas, użyteczne religii i dobrym obyczajom, a najwięcej „stąd szacowane, że w szkole ich, utrzymywanej własnym kosztem „i staraniem, młodzież edukowana była i w naukach i w religii. „Z przyczyny tej swojej przykładności i użyteczności, Zgromadze„nie to popadło w nienawiść u rządu [1].

Kiedy powrócił O. Hoffbauer z podróży swej do Rzymu przy końcu 1806 r. zastał swój klasztor w wielkiem przygnębieniu. Zaciężyła na nich iście prawica Roboama. To też o tych cierpieniach, które ich spotkać miały, mawiał błogosławiony: „że nikt o nich nie wie z ludzi, i dopiero na dniu ostatecznym powtórzą się [2]“. Tymczasem zaszedł wypadek w kościele św. Benona, bez żadnej winy ojców, który jednakże fatalne za sobą pociągnął skutki. Było to w Wielką sobotę wieczorem dnia 16 kwietnia 1808 r. Skończyła się właśnie resurekcya, i lud tłumnie począł z kościoła wychodzić. Wtem nadeszło dwóch panów, obaj oficerowie francuscy, ale przebrani po świecku, z których jeden tylko miał kapelusz uniformowy, i chcieli się dostać do wnętrza kościoła. Nie mogąc się przecisnąć dla natłoku, poczęli sobie rum robić siłą i pięścią, i w istocie prze-

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 72 dopisek.
[2] Haringer 129.

darli się do środka. W kościele ścisk był daleko większy, to też gdy ich popychano i ściskano zewsząd, jeden z nich uniesiony gniewem uderzył jakiegoś mężczyznę w twarz, co tak rozgniewało kilku innych, że porwawszy oficerów wypchnęli ich przez zakrystyę na cmentarz. Tu rozpoczęła się bójka, która atoli nie długo trwała, bo zoczywszy rozruch, jakiś oficer polski dobywszy pałasza, począł bez namysłu płazować winnych i niewinnych, przyczem dostało się i naszym Francuzom, ale pomogło, bo lud się rozpierzchnął.

Spotkawszy O. Hoffbauera przy drzwiach zakrystyi, rozpoczął oficer polski z nim rozmowę, tymczasem nadbiega jeden z tamtych oficerów i uderza pięścią w głowę O. Hoffbauera. Z spokojem zwykłym odpowiedział mu na tę napaść O. Hoffbauer, radząc mu by się uspokoił, gdyż inaczej doniesie zaraz nazajutrz o tem marszałkowi Davout. Widocznie groźba poskutkowała, ale chciał on jeszcze przedrzeć się do kościoła. Powstrzymał go atoli oficer polski, pytając się go o przyczynę. Odpowiedział na to, że ma wyprowadzić niektóre panie z kościoła, przyczem wymienił panią patronowę Nowicką z córką i inne. O. Hoffbauer słysząc to, poprosił oficera polskiego, by go wpuścił i by mu ułatwić szukanie, sam je wynalazł i wezwał do wyjścia z kościoła.

Tymczasem kilku z przytomnych rozruchowi pobiegło na odwach dla sprowadzenia warty. Spieszących żołnierzy spotkał drugi z owych oficerów francuskich i rozmówiwszy się z nimi, powrócił na ich czele do kościoła. Widocznie na jego rozkaz wpadli żołnierze do zakrystyi z bronią do ataku ułożoną. Na ten widok pierzchnęli ludzie do kościoła, oni tymczasem zamknąwszy drzwi od kościoła, poczęli będących tam ojców i braci policzkować i okładać razami. Wdał się w to oficer polski, powstrzymał ich zapał i odesłał na odwach.

Strwożonych ojców i lud w kościele płaczący pocieszał jeszcze ów oficer, że nie ma żadnej obawy, dla bezpieczeństwa atoli nakazał lud wypuścić i zamknąć bramy, żeby przypadkiem nie przyszła chętka francuskim oficerom raz jeszcze powrócić. Sam zaś odchodząc, wziął z sobą braciszka jednego, któremu przydał wartę z 4 żołnierzy ze Starego miasta, na wszelki przypadek.

Nie upłynęło pół godziny, a nadszedł komendant placu w towarzystwie dwóch oficerów, tegoż oficera polskiego i drugiego

z liczniejszą jeszcze wartą. Przybywszy do stancyi O. Hoffbauera wywiedział się o wszystkiem, oglądnął miejsce wypadku i pocieszywszy ojców, odszedł, zabrawszy ze sobą obie warty, francuską i polską [1].

Zdawało się, że jeśli kto, to pokrzywdzeni ojcowie mogli być spokojni, tymczasem inaczej się stało. Owi francuscy oficerowie czy to pociągani do odpowiedzialności i bojąc się kary, czy też pragnąc się zemścić, a nie mając na kim, gniew swój obrócili na ojców, w których kościele zaszedł wypadek. Zaraz nazajutrz minister religijny zażądał od administratora dyecezyi X. Biskupa Zacharyaszewicza zbadania i opisu tego całego zajścia. Zajął się tą sprawą gorliwie i zasiągnąwszy szczegółowej informacyi w tej mierze, odpisał X. Biskup ministrowi, że zawezwawszy do siebie rektora OO. Benonów, wysłuchał jego relacyi o całym wypadku, z której się pokazuje niewinność ojców, a niegodne postępowanie z nimi oficerów francuskich. Przecząc stanowczo skardze, jakoby jeden z ojców uderzył oficera francuskiego, powołuje się na ich cnotliwe dotąd zachowanie, na „łagodność kapłańską, której wzorem to Zgromadzenie dotychczas było“, a wreszcie cytuje świadków, co będąc przytomni temu zajściu, łatwo do odkrycia prawdy posłużyć mogą.

Do listu dołączył opis całego wypadku spisany ręką O. Hoffbauera, jakeśmy go wyżej przytoczyli, a kończący się słowami:

„Tyle tylko możemy donieść z słyszenia oprócz tego, co nie-
„którzy z nas własnemi oczyma widzieli, gdyż niepodobno było
„być na każdem miejscu, a zwłaszcza, gdy się to działo w kościele,
„w zakrystyi i na cmentarzu za bramą i na ulicy; a przytem nie po-
„dobna było znać wszystkich ludzi, gdyż było ciemno. Co się nas
„tyczy, staraliśmy się uczynić spokojność, i tośmy czynili według
„możności, a zresztą każdy się starał schronić przez bojaźń“.

„Wszelkie inne doniesienia przeciw Zgromadzeniu są potwa-
„rze, gdyż jedynie tylko staramy się zachować ducha spokojności
„i porządku“.

---

[1] Sześcioletnia korespondencya. Opis powyższego wypadku podany przez JX. Rektora JXX. Benonistów str. 435—439.

Z odpisu ks. administratora jasnem było, że wyższa władza duchowna nie da się użyć za narzędzie przeciw OO. Benonom, owszem list podawał środki łatwe docieczenia prawdy, podawał świadków, jednym był J. W. Roztworowski, drugim ów oficer polski, który uśmierzył na razie tumult i sprowadził Plackomendanta — śledztwo było niebezpiecznie prowadzić, bo by się wykryła zupełna niewinność ojców, i zamiast kary trzebaby im dać jakąś satysfakcyę; a tu widocznie chodziło o potępienie ich bezwzględne. Ustała dalsza korespondencya z władzą duchowną, nie przyszło nawet do badania ojców, cała rzecz ucichła, ale nie przerwała się. Gromadziły się chmury, aby naraz wystrzelić piorunem na niespodziewających się niczego i niepoczuwających się do żadnej zgoła winy OO. Benonów.

Jeszcze za czasów pruskiego panowania starali się ich przeciwnicy dwakroć u rządu o wypędzenie ich z Warszawy. Mnożyły się denuncyacye do tego stopnia, że krótko przed przyjściem Francuzów, wezwano O. Hübla do Berlina, ażeby jako rektor domu przybył się wytłumaczyć. Złożony chorobą nie mógł tego O. Hübl uczynić, musiał go w tem zastąpić O. Jesterheim jako minister domu. Odjeżdżając z Warszawy, zabrał ze sobą sporą ilość świadectw i podpisów od osób wysoko położonych — przybywszy do Berlina na zarzuty odpowiedział ze spokojem, udowodnił, że były kalumnią bez żadnej podstawy, okazał listy wierzytelne i podpisy i wrócił nie otrzymawszy słowa nagany. I teraz spróbowano tej taktyki na nowo. Wiedziano dobrze, że u króla nie wiele wskórają, i że ten, jako pan pobożny, nigdy się nie zgodzi na podobny krok, ale była inna droga prowadząca do celu. W gronie wrogów Zgromadzenia byli ludzie wpływowi, ci więc poczęli starania czynić u marszałka Davouta, zwłaszcza znany dobrze „w religii swojej „urzędnik, którego natura nawet sama szpetnością figury i ciała „napiętnowała“ [1] (Łuszczewski, minister spraw wewnętrznych?) Oskarzenie swoje umotywowali tem, że „XX. Benoniści gwałto„wnie bardzo przeciwko zepsuciu powstają“.

Jak brzmiał memoryał Davouta do Napoleona, nie wiemy, ale faktem jest, że go podał, istnieje bowiem w korespondencyi Napo-

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 463.

leona odpis do Davouta, w którym donosi, że postanowił ich wypędzić z Warszawy. „Odczytałem, pisze on, bardzo pilnie twój „memoryał o zakonnikach osiadłych w Warszawie. Należeć oni „prawdopodobnie muszą do tego samego rodzaju jak i ci, których „wypędzić kazałem z Włoch i z Francyi. Kazałem również bardzo „silnie naprzeć na dwory niemieckie, aby i stamtąd ich wypędzono. „Uczyniłem także odpowiednie przedstawienie królowi saskiemu. „Zakonnicy ci powstali dość już dawno temu, i usiłowano rzeczy„wiście niemi zalać Francyę. Nietylko zakazałem im się wspólnie „zbierać, lecz nadto zamknąłem ich domy i odesłałem każdego do „miejsca jego pochodzenia. Nie wątpię, że król saski nakaże wy„pędzić tych mnichów z państwa polskiego. Po upływie miesiąca „zdasz mi Pan sprawę z tego, co przedsięwzięto w tym względzie“[1].

Jak widać z listu, Napoleon nie wiedział dobrze kogo wypędza. Rozprószył on wszystkie zakony kontemplacyjne we Francyi, dozwalając pozostać tylko trudniącym się edukacyą młodzieży. Redemptorystów nie było zgoła jeszcze we Francyi, a przebywający w Rzymie i Królestwie Neapolitańskiem nie spotkała żadna banicya. O kim myślał Napoleon, kiedy pisał, że „powstali oni dosyć dawno“, nie wiemy, to pewno, że do Redemptorystów to się nie odnosiło, którzy byli świeżem Zgromadzeniem. Przytem nie masz w liście żadnej wzmianki o jakowejś zdradzie, gdyż w takim

---

[1] Oto jak brzmi oryginał jego w francuskim języku:

Au Marechal Davout

Charge du 1-er Commandement de la Grande Armée, a Varsovie

Bajonne 25 Mai 1808.

...Je lu avec la plus sérieuse attention votre mémoire sur les moines établis a Varsovie. Il paraîtrait qu'ils sont de la même affilation que ceux, que j'ai fait chasser d' Italie et de France. Je fais faire les instances les plus fortes auprès des cours d' Allemagne pour qu'ils soient chassés. Je fais faire également les instances convenables auprès du roi de Saxe. Ces moines ont été créés, il y a plusieurs années, et on a essayé effectivement d'en inonder la France. Outre que j'ai défendu leur réunion, jai fait fermer leurs maisons et les ai fait renvoyer chacun chez eux. Je ne doute point, que le roi de Saxe ne donne des ordres pour chasser ces moines des états de Pologne. Vous me rendrez compte, dans un mois de ce qui aura été fait.

NAPOLÉON.

Correspondance de Napoleon I-er publiée par ordre d. l' empereur Napoléon III. Paris Imprimerie impérial 1865. Tom XVII, str. 234.

razie, inaczejby sobie kazał z nimi postąpić Napoleon. Poprostu proszą go o wypędzenie zakonu, który wystawiono przed nim jako nieużyteczny i szkodliwy, a Napoleon, co strącał królów z tronów, a nawet targnął się na najwyższą głowę Kościoła, bez najmniejszego wahania i szkrupułu zadekretował ich wygnanie. Napisał wedle obietnicy do króla Fryderyka Augusta, los więc Redemptorystów był zdecydowany.

Tymczasem u Ojców w Warszawie gotowano się do ciosu, który miał wkrótce w nich ugodzić. Przygotował do tego Pan Bóg sługę swego, w sposób nadprzyrodzony. Jednego dnia wśród oktawy Zielonych Świątek, jak to opisuje proces kanonizacyjny, odmawiał bł. Klemens Psalm 87, i kiedy przyszedł do słów: *Pauper sum ego et in laboribus a juventute mea, exaltatus autem humiliatus sum et conturbatus*, uczuł nagle a tak gwałtowne uderzenie, że zadrżał na całem ciele. A kiedy rozmyślał, coby to znaczyć miało, cios się powtórzył, ale wnet rozjaśniło mu się w duszy, poznał, że to upomnienie z góry o tem, co go spotkać miało; upokorzył się przed Bogiem, zdając się na wolę Jego i ze spokojem oczekiwał przebiegu dalszych wypadków. W istocie na drugi dzień zjawił się wysoki urzędnik policyjny, przyjaciel dobry Ojców, i zażądał widzieć się z O. Hoffbauerem. „Mój Ojcze! odezwał się do niego, „muszę Ci donieść, że dekret banicyi waszego Zgromadzenia pod„pisany został, spalcie wasze papiery i ukryjcie co macie koszto„wnego, gdyż tajemna policya czuwa, byście nic stąd uwieść nie „potrafili“. Po tych słowach oddalił się. Odebrawszy tę wiadomość, rzucił się O. Hoffbauer na kolana, dziękując Bogu i polecając siebie i cały klasztor opiece Najśw. Panny Maryi i patronów Zgromadzenia, a O. Jesterheimowi kazał popalić wszystkie listy prywatne, nie podając zgoła przyczyny. Potem zwołał wszystkich do refektarza i po krótkiej przemowie oznajmił im, co ich czeka. Płaczem i jękiem odpowiedziano mu na przemowę, tak ciężko było niejednemu rozstawać się z tą niwą, na której z takim trudem ale i z takiem błogosławieństwem dotąd pracowali. O. Hoffbauer uspokoił i pocieszył ich, wskazując w tem wolę Bożą, a potem kazał pochować kielichy i droższe ornaty, a liczne relikwie rozdzielił pomiędzy ojców. Nadto każdy otrzymał potrzebną bieliznę, szaty i pieniądze na drogę. I tak z poddaniem się Bogu, czekano na chwilę wygnania.

Dnia 18 czerwca w obu dziennikach miejscowych *Gazecie Warszawskiej* i *Gazecie korespondenta warszawskiego,* pojawił się artykuł jednobrzmiący, który donosił radośny wypadek, podpisanie dekretu przez króla Fryderyka Augusta. Z samego brzmienia poznać, że wyszedł on z pod pióra tych, co pracowali nad ich wypędzeniem. Przytaczamy go tu w całości:

„Mamy wiadomość, że Naj. król Pan nasz miłościwy wydał dekret na„kazujący ustąpić z kraju jego, członkom kongregacyi Benonistów tu w War„szawie osiadłym. Ten środek przedsięwzięty od Monarchy, którego zasady „religijne dobrze są znane, ale który umie rozróżnić fanatyzm od prawdziwego „ducha Ewangelii, musi być przyjemnym dla tych, którzy wiedzą, jak ci ludzie „niebezpieczny wpływ mieli nad pewną klasą ludu, psując obyczaje przez „obrządki bardziej jeszcze zabobonne, naruszając wierność sług i odwracając „wielką liczbę kobiet od czynienia zadość obowiązkom domowym, których „dopełnieniem powinny być powinności religijne".

„Duchowieństwo narodowe pochwali zapewne to wygnanie zgromadze„nia cudzoziemców, zajętych nieustannie przyciąganiem na siebie samych przez „sposoby nieprzyzwoite, a które prawdziwa religia potępia, tego zaufania, ja„kie ono samo wzbudzać ku sobie powinno".

„Wszyscy Polacy ujrzą z ukontentowaniem, gdy opuści ich ojczystą „ziemię korporacya nieprzyjazna wszystkim rządom, której ustanowienie zdaje „się mieć ten cel, ażeby wznieść tamę naprzeciw zasadom odradzającym, do „których szczęśliwego wpływu uczucia, powołani jesteśmy przez wielkiego pro„tektora naszego".

„Benonici warszawscy połączeni byli z wielką liczbą korporacyj znajdu„jących się po rozmaitych krajach Europy, a mających jednaką regułę i je„dnejże impulsyi posłusznych. Już kongregacye ich będące w Bawaryi, Szwaj„caryi i kraju Gryzonów, zostały stamtąd wypędzone za to, iż poduszczały „lud do buntu i wzniecały rozruchy".

„Warszawscy Benoniści, którzy także do tych dalekich intryg należeli, „podobnież i tu sobie skrycie postępowali, a jeżeli w niezbyt dawnej epoce „nie udało im się wzniecić rozruchów, stało się to dlatego, iż władza baczne „oko na nich dająca, znała wszystkie ich kroki i mogła je w niwecz obrócić, „tak przez roztropność użytych środków, jak przez moc swoją".

„Ogłosimy wkrótce szczegóły niemoralnego postępowania tych mnichów, „które lepiej jeszcze wykażą, ile zakon ten był niebezpiecznym i jak wielkiem „jest szczęściem dla kraju naszego, iż się go pozbywa.

Komentarza nie potrzeba, ażeby zrozumieć, co znaczy to powoływanie się na pobożność króla, odezwa do duchowieństwa narodowego i apelacya do patryotyzmu wszystkich Polaków. Mają to być dowody i motywy do uznania gwałtu, jako czynu odpowiedniego uczuciom wszystkich miłośników ojczyzny. Twierdzenie, że „ta korporacya nieprzyjazna wszystkim rządom", jak z jednej strony

w najwyższym stopniu niedorzeczna, tak z drugiej strony dowodem, że nie mogli być szpiegami ani Prus, ani Rosyi, ani żadnego innego mocarstwa, bo nieprzychylni wszystkim rządom. Odwołanie się na expulzyę Redemptorystów z innych krajów fałszywe. Szukał O. Hoffbauer prócz Warszawy innej niwy do pracy. Że usiłowania jego nie powiodły się ani w Szwajcaryi, ani w Bawaryi, nic dziwnego. Na przeszkodzie stał ówczesny arcybiskup i prymas Niemiec, Karol Dalberg, pod którego juryzdykcyą zostawała prócz licznych krajów północna Szwajcarya i część Bawaryi, dawniej do biskupstwa Salcburgskiego przynależna. Dalberg był zagorzałym febronianistą do tego stopnia, że go kardynał Pacca dla jego dążności odszczepieńczych przyrównał do Focyusza.

Wzmianka o rozruchach, które wywołać mieli przed niedawnym czasem Benoniści, zarówno kłamliwa jak niezręczna. Jestto prawdopodobnie przygrywka do hecy z Żydami w 1804 r. W czasie procesyi Bożego Ciała, idącej z kościoła św. Benona, Żydzi stojący na balkonach domów, przed któremi przechodziła procesya, rzucali na kapłana niosącego Najśw. Sakrament, wśród śmiechów i szyderstw, kawałkami drzewa i kamyczkami. Lud zachował się na razie spokojnie, ale po skończonej procesyi sprawił Żydom odwet krwawy, tłukąc winnych i niewinnych. Policyi ledwo się udało przytłumić rozruch, a chcąc uspokoić rozjątrzenie ludności, nazajutrz ukazał się reskrypt z kamery królewskiej obiecujący, że winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i stosownie do występku ukarani. OO. Benoniści nie mieli w tem najmniejszego udziału, ale mimo to na nich później zrzucono winę rozruchu.

Dzień 20 czerwca przeznaczono na wykonanie wyroku. Wczas zrana wyruszyło wojsko i zajęło kilka ulic ważniejszych w różnych kierunkach. Najsilniej jednak otoczono Nowe miasto, a zwłaszcza kościół św. Benona. Komendę nad wojskiem sprawował Szymanowski, adjutant Davouta, a następnie jenerał, który później bawiąc w Rzymie był przytomny rozpoczęciu procesu kanonizacyjnego bł. Klemensa, i nie mógł odżałować tego, że w młodości swojej dał się użyć za narzędzie do takiego gwałtu.

Dziwnem co najmniej, było to zbrojne wystąpienie wojska przeciw kilkunastu zakonnikom, co oporu stawić ani nie mogli, ani chcieli. Ale chodziło o lud, wiedziano bowiem jaką miłością ota-

czał on swoich ojców, obawiano się, by ten nie wystąpił w ich obronie, i by nie przyszło z tego powodu do zaburzenia.

W kościele tymczasem św. Benona odbywało się ranne nabożeństwo. Skończyła się prymarya, a jeden z ojców miał właśnie kazanie, reszta kapłanów zajęta była odprawianiem mszy św. albo słuchaniem spowiedzi, kiedy u furty stanął komisarz rządowy wraz z świtą wojskową. Wszedłszy do klasztoru, opieczętowali drzwi biblioteki, przełożonego domu i t. d., a wszystkich ojców wezwano do refektarza. Popłoch niemały powstał w kościele, wywołano wszystkich kapłanów z konfesyonałów, kaznodziei nawet dano znak, aby przerwał swą mowę. Zrazu lud nie wiedzący o niczem, nie zrozumiał o co chodzi, ale wnet oprzytomniał i jękiem i płaczem objawił swą boleść. Tymczasem zakonnikom zgromadzonym komisarz przeczytał w imieniu królewskiem dekret banicyjny:

„Fryderyk z Bożej łaski Król Saski, Książe Warszawski etc.

„Nadaremnie dotąd oczekiwaliśmy na odesłanie nam papierów „ściągających się do sprawy XX. Benonistów, abyśmy sami przed„sięwzięli ścisłe rozpoznanie ich relacyi, niemniej nad wydarzeniem „przytrafionem w ich kościele w czasie obchodu resurekcyi. Ta „długa zwłoka w oczekiwaniu, zostaje nam objaśnioną przez ode„brane od dworu francuskiego komunikacye powzięte z tychże pa„pierów przez zwierzchności w Warszawie. Gdy już z uczynionych „nam od tegoż dworu powierzeń dostatecznie okazuje się, że przy„tomność XX. Benonistów i zachowanie ich klasztoru dla księstwa „Warszawskiego są niebezpieczne, że ci duchowni sprawami pu„blicznemi, obcemi ich stanowi i jemu przeciwnemi trudnili się, „z tych powodów chcemy:

„§. 1. Aby księża Benoniści bez żadnej zwłoki z kraju księ„stwa Warszawskiego oddaleni zostali.

„§. 2. Aby dozwolona im była wolność zabrania wszelkiej „osobistej własności.

„§. 3. Aby minister spraw wewnętrznych opatrzył ich wspo„możeniem na wydatki podróży.

„§. 4. Aby ministrowie spraw wewnętrznych i policyi, zniosł„szy się z władzami francuskiemi, w obecności świadków od tychże „władz do tego przysłanych, zajęli wszystkie papiery XX. Beno„nistów, które to papiery mają być egzaminowane przez komisa-

„rzów na to wyznaczonych od tychże ministrów wraz z przyda-„nymi od władz francuskich.

„§. 5. Kościół XX. Benonistów ma być zamknięty do dal-„szych naszych rozkazów.

„§. 6. Obaj ministrowie wyżej wyrażeni, zniosłszy się z wła-„dzami francuskiemi, porę i sposób niniejszego rozkazu ułożą.

„Dopełnienie tej naszej woli naszym ministrom spraw we-„wnętrznych i policyi i o dopełnieniu uczynienia nam nieodwłocz-„nego raportu zalecamy.

„W pałacu naszym w Pilnitz dnia 9 miesiąca czerwca 1808".

Wyroku tego wysłuchali ojcowie z spokojem nie remonstrując i nie apelując ani do sprawiedliwości, ani do łaski, ale za danym znakiem przez O. Hoffbauera udali się wszyscy do swoich pokojów, i wnet każdy z nich powrócił gotów do podróży. Zajechały powozy zamknięte, komisarze oznaczali porządek, w jakim ojcowie wsiadać mają i doręczyli każdemu paszport. Ruszyły wozy, każdy w inną stronę, eskortowane przez sześciu żołnierzy, ażeby się potem zjechać na drodze do Kistrzyna, dokąd ich odstawić kazano.

Po długim dopiero przeciągu czasu, kiedy spodziewano się, że powozy opuściły już Warszawę, otworzono bramy kościoła i wypuszczono lud strwożony i rozżalony utratą nagłą ukochanych ojców. Przywołano kapłana, który wyniósł Przenajśw. Sakrament do kościoła parafialnego, a na bramie kościelnej położono pieczęcie, podobnież i na wszystkich wejściach do kościoła i klasztoru.

Taki koniec miała dwudziestodwuletnia błoga działalność OO. Redemptorystów w Warszawie. Gwałtem odpłacono im za ich pracę i poświęcenie, inaczej bowiem tego faktu nazwać nie można. Dekret wydany przez pobożnego króla, nie dowodzi żadną miarą ich winy, bo „czytając ten dekret królewski, jak pisze ks. prymas, „łatwo przekonać się można, iż niewinnie ukaranymi zostali, gdyby „albowiem choć cień winy nieprzyjaciele tego Zgromadzenia znaleść „potrafili, zapewne nie zaniedbaliby byli złośliwemi wyrazami prze-„istoczyć ją w szkaradny występek, i do umieszczenia go w dekre-„cie królewskim podać".

Nie z własnej inicyatywy zadekretował król banicyę OO. Benonów. Odebrał rozkaz z góry, któremu się sprzeciwić nie mógł.

„Prawda, że król JMCi pisze aż dwukrotnie ks. prymas, podpisał „ten dekret, ale jak to wiele go łez kosztowało, że bez wysłucha„nia skazał cnotliwych ludzi na wygnanie!...“

Nie podoba się dzisiejszym panom literatom zrzucanie na masonów i na szajkę wichrzycieli i rozpustników winy wypędzenia OO. Redemptorystów z kraju, wolą oni w zakonnikach szukać występku i na ich karb złożyć odpowiedzialność za gwałt przez Napoleona popełniony. Tymczasem przypisywanie masonom agitacyi w tej mierze, to nie wymysł późniejszych a bezwzględnych przyjaciół Zgromadzenia, ale twierdzenie oparte na poważnem źródle, bo relacyi prymasa ówczesnego, którego nikt o kłam posądzić nie może. A choć wyraźnie tego nie mówi, to całym sposobem dowodzenia wskazuje, że nikt inny tylko masoni byli sprężyną działającą w całem tem zdarzeniu. I tak, po zabraniu papierów przez policyę, zjawił się jeden z urzędników u ks. prymasa, prosząc go, by wydelegował pewnego księdza, którego mu nazwisko wymienił, jako komisarza duchownego, aby tenże był przytomny przejrzeniu papierów. Ks. prymas odmówił prośbie i wyznaczył do tej sprawy innego, ale cnotliwego kapłana. Nie podobało się to rządowi, obchodząc się bez władzy duchownej rewizyę papierów cichaczem i sam urządził[1].

Powtóre, cóż znaczy to nieodesłanie aktów ostatniego wypadku, który zaszedł w kościele OO. Benonów, do kancelaryi królewskiej, o czem wspomina wyraźnie dekret, „iż długo daremnie „król JMC. oczekiwał na to“. Poprostu cała indagacya wykazała niewinność ojców, „dlatego też miano przezorność nie odsyłać „tychże papierów królowi JMCi“. Jeśliby jakakolwiek wina była po stronie ojców, czyżby ci, którym tak chodziło o wypędzenie Zgromadzenia tego, zaniechali kroku, który mógł zdecydować o skutku ich starań? Dalej cóż znaczy ta uczta odprawiona w dzień wywiezienia ojców w loży masońskiej? Wyraźnie pisze ks. prymas, „że w loży spędzono tę noc całą na hultajce, krzykach i strzela„niu, na okazanie radości z dopiętego zamiaru“[1].

Wreszcie mimo rewizyi papierów, której dokonano po wypędzeniu, (czemuż nie przedtem, proces przecież wyprzedza karę)

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 462, 463 w dopisku.

chcąc widocznie czemś umotywować tak doraźny wymiar sprawiedliwości, nie wykryto niczego. „I lubo już kilka lat upłynęło od „wypędzenia tych nieszczęśliwych księży; publiczność jednak do „tego momentu nie wie ani o procesie, żeby im był formowany, „ani o występkach, aby im jakie były dowiedzione. Paszkwile roz„siane po dziennikach stanęły za przekonanie jurydyczne“ [2].

Prawda — obiecały gazety warszawskie ogłosić wkrótce „szczegóły niemoralnego postępowania tych mnichów“, ale ociągały się długo z dotrzymaniem obietnicy. Po rewizyi skrzętnej papierów, po zebraniu wszystkich potwarzy i plotek i po długim namyśle — w półtora niemal miesiąca okazał się artykuł i tą razą w obu dziennikach jednaki. Oto co piszą *Gazeta Warszawska* i *Korespondent Gazety Warszawskiej* pod dniem 30 lipca 1808 r.:

Ostatnia rewizya domu Benonistów w Warszawie w momencie wywiezienia onych z Księstwa Warszawskiego powiększyła dowody ich potępiające, które i tak dostarczającymi były. Z listów i papierów u nich znalezionych okazuje się, że mieli korespondencyę we wszystkich krajach Europy, a szczególniej w krajach wspólnych Francyi i Polski nieprzyjaciół. Odbierali oni z zagranicy i rozsiewali fałszywe i szkodliwe wieści, któremi częstokroć trwożyli umysły łatwowiernego ludu. Duchowni ich obrządków są wrodzonymi i najgłówniejszymi nieprzyjaciółmi każdego rządu schronienie im dającego. Przewidując i obawiając się, ażeby wkrótce odkrytymi nie byli, potępili się sami, bo będąc pewnymi wygnania wcześnie się opatrzyli w listy rekomendacyjne z Anglii, ażeby osiąść mogli w Kanadzie. W Warszawie przed zawarciem pokoju w Tylży, byli oni narzędziami korespondencyi i ułatwiali ją sekretnym agentom nieprzyjaciół. Sami dobrowolnie w jednym z listów swoich wyznali, iż im nierównie lepiej zostawać pod rządem, którego mniej baczna policya daje im wolność czynienia źle lub dobrze, podług ich upodobania. Nie zaniedbali oni najmniejszego starania do otaczania swojemi zausznikami znaczniejsze osoby kraju, by ich umysłem kierować mogli. Przywięzywali się zawsze do nieukontentowanych i oddalonych od sprawowania urzędowania publicznego i wszędzie, gdzie im tylko sposobność się wydarzyła, starali się rzucać nasienie niezgody i rozdwajać umysły. Powiększali oni, ile tylko ich możności, adherentów swojego zakonu, na których wkładali obowiązek szpiegostwa, przez co uwiadomieni byli o wszystkiem, cokolwiek się tylko wewnątrz działo familij i małżeństw, których częstokroć do zamieszania i niezgody byli powodem. Pod płaszczem religii podbili sobie umysły wielu i te odwodzili od pełnienia obowiązków, które im prawo społeczeństwa i przyzwoitego nakazuje pożycia, wiele z nich odwracali od drogi cnoty, nakazując im opuszczenie rodziców,

---

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 72 w dopisku.
[2] Tamże str. 72; 463 w dopisku.

krewnych, lub mężów, a przemieszkiwanie z nimi i towarzyszenie im pod pozorem pokuty, na co najoczywistsze mamy dowody; między temi znajdowały się i takie, których, przyznają w swoich listach, pomięszania zmysłów nabawili. Przyjmowali codziennie kobiety do swych cel, niewiasty mieszkały w ich zabudowaniach, wychowywały dzieci, których ojcowie nie byli znajomi, możnaby przytoczyć więcej świadectw, gdyby przyzwoitość nie była obrażona. Nadużywając dobrej wiary, narzucali oni opłaty pieniężne, ściągali donacye i datki. Stanowili się stróżami różnych składów i pośrednikami zwrotów uchylonych przedmiotów, które rzadko zwracali, bo szczególnie powodowanymi byli chciwością zysku, na co wiele jest jasnych dowodów.

Sposób nadzwyczajny, którym odprawiali obrządki religijne, wprowadzał mieszkańców w zabobon, zabierał czas drogi, najemnikom i ludziom z pracy rąk swoich żyjącym uszczuplał ich mały majątek przez ofiary nadproporcyonalne, wymagając już to od nich samych, jużto potajemnie od ich żon. Wielu bardzo rzemieślników i wyrobników w Warszawie osiadłych, zapominając o potrzebach domu i dzieci swoich, nieśli im prawie czwartą część dziennego zarobku. Wystawianie codziennie Prz. Sakramentu wprawiało klasę mniej oświeconego ludu w takowe mniemanie, iż te kościoły, których kapłani podobnego Benonistom nie odprawiali nabożeństwa, mniej dbałe były w dopełnianiu swoich obowiązków, co odstręczało lud od zaufania, które mieć powinien w swoich pasterzach, którzy szczególnie istotną moralność i prawdziwe prawidła wiary zaszczepiają.

Słowem mówiąc, dośćby było cierpieć dwa podobne klasztory w Warszawie, by z czasem wciągnąć lud w największy zabobon, ruinę majątku i próżnowanie, które tyle w konsekwencyi ciągnie za sobą złych skutków.

Ludzie rozsądni nie mogą pojąć, jak Benoniści potrafili tyle zjednać sobie stronników, trzeba się domyślić, że wiele osób wzięło intolerancyą, fanatyzm i maskę skromności, którą te mnichy umiały się pokrywać za dowody religii. Ten krok nie czyni zapewne honoru rozsądkowi tychże osób, ale jeżeli nie były rozsądne, są przynajmniej prostego ducha i dlatego przyznają teraz, że powierzchowność obłudna tych świętoszków była przyczyną ich błędów.

Zarzutów, twierdzeń gołosłownych jest w tym artykule mnóstwo, ale dowodu — żadnego. Zarzut uczyniony komuś, dla jurysty, historyka, a nawet dla rozumnego człowieka jest zaledwo wskazówką, w jakim kierunku ma rozpocząć badanie, by wykryć prawdę, ale nie jest żadną miarą dostateczną przyczyną do potępienia. Jeśli przeciwnicy OO. Redemptorystów chcieli, a chcieli z pewnością przekonać publiczność, że kara im wymierzona była zasłużoną, powinni byli przytoczyć, jak to przyrzekli w pierwszym artykule: „Szczegóły niemoralnego postępowania tych mnichów“. A gdzież te szczegóły — gdzież fakty, choćby jedną z licznych kalumnij niezbicie popierający? Czyż twierdzenia: „na co najoczy„wistsze mamy dowody“... „na co wiele jest jasnych dowodów“

wystarczą i przekonają kogo? Wszystkie możliwe występki przypisują tu OO. Benonom, robią z nich wyrafinowanych oszustów, zdrajców bez czci i wiary, rozpustników, a tem gorszych, że maskujących swe brudy szatą świątobliwości. Ale pocóż aż tyle na nich zwalać! Dośćby było dowieść jednej z zarzuconych im zbrodni, wykazać jedną plamę kalającą charakter ich, czy to kapłański, czy obywatelski, aby ich w opinii współczesnych i potomności poniżyć. Dośćby było z tych wielu „jasnych a najoczy„wistszych dowodów“ przytoczyć część tylko, a artykuł ten nabrałby wagi i stałby się dokumentem historycznym, a nie jak jest — paszkwilem.

A jednak posłużył on za źródło historyczne niektórym pisarzom. I tak powołuje się nań „zasłużony na polu historyi, literatury i bibliografii“ F. M. Sobieszczański, F. Skarbek, na nim też osnuł swój szkic historyczny J. I. Kraszewski i t. d. Tyle przynajmniej taktu mieli ci autorowie, że nie przytaczali zeń słów ani zdań, zostawiając to czytelnikowi; jeśli się chce prawdy dowiedzieć, niech go sobie szuka po bibliotekach, w zapylonych księgach o zżółkłym papierze i nieczytelnym druku.

Ale wróćmy się do Ojców naszych. Zasmuceni rozłąką, jaka ich spotkała przy wywiezieniu, ujrzeli poza Warszawą, że ich w jedną wiozą stronę. Po ciężkich przejściach ucieszył się O. Hoffbauer, że się ujrzał na czele swej trzódki, którą mu Bóg powierzył, ucieszyli się niemniej i zakonnicy, kiedy się znaleźli znów razem pod opieką świętobliwego Ojca i mistrza swojego. Przez całą drogę byli otoczeni strażą tak, że do nikogo przemówić, nikomu do nich zbliżyć się nie pozwolono. „I lubo król JMC dekretował, aby się „z nimi jak najuczciwiej obejść, na drogę opatrzyć, i gdzie który „życzyłby sobie jechać, tam go wygodnie odesłać. Widzieliśmy „jednak wcale przeciwne woli królewskiej obejście się z nimi, bo „ich wysłano do Kistrzyna pod strażą, jak złoczyńców jakich pu„blicznych z nakazem: aby nikomu w drodze nie było wolno ga„dać z nimi“ [1].

Przybycie ich do Kistrzyna obudziło ciekawość i zgromadziło ludność, chcącą się dowiedzieć, co znaczy ten transport duchownych

[1] Sześcioletnia korespondencya str. 72, w dopisku.

tak wielki. Spokojne, skromne a wesołe ich zachowanie się jednało im przychylność ludności tem większą, kiedy się rozgłosiła przyczyna ich wywiezienia. Protestanci gorszyli się tem postępkiem i mówili sobie: „My lepiej szanujemy naszych duchownych“, „nasi księża nie ponieśliby takiej ofiary dla religii“ [1] i t. d. Rząd jakby chcąc powetować krzywdę im uczynioną, przeznaczył im na mieszkanie dom obszerny, opatrzony we wszystkie wygody, który za przybyciem ojców przemienił się w klasztor, taki w nim zapanował duch, ład i tryb życia osób Bogu poświęconych. Miesiąc w nim przebyli, zanim przyszło pozwolenie z kancelaryi królewskiej, dozwalające każdemu, udać się dokąd zechce.

Na samym początku przybycia swego wystosował O. Hoffbauer list do prymasa, który tu w całości przytaczamy:

J. O. Mości Książe!

„Czułość ojca nie pozwala częstokroć dziecięciu kochającemu „rozrzewniać serce ojcowskie. Wszakże wdzięczność, którą winien „syn, zniewala go, aby złożył mu hołd, miarkując wyrażenie swych „uczuć.

„Dzieci i owce, lubo niegodne tego nazwiska, znamy Ojca „i Pasterza, wdzięczność więc pozwoli nam W. X. Mość złożyć „u nóg swoich za wszystkie względy, a głęboko odtąd tkwić bę„dzie, jako dotąd tkwiła pamięć onychże i powinność modlenia się „do ojca błogosławieństw, aby onychże W. X. Mość czynił zawsze „uczestnikiem.

„Los nas spotkał według woli Boga, zgadzamy się z nią. „Słodko nam cierpieć, gdyż wcale się nie poczuwamy do niczego. „Dekret nam czytano bez procesu. Dekret egzekwowano nad treść „onegoż. Dozwolona nam była wolność zabrania naszych rzeczy, jak „najprędzej nas wypędzono. Egzamina, na które kilku z księży „brano, takie były, że nawet pomyśleć jest rzecz obrzydliwa. Od„daleni od wszystkiego nie wiemy za co. Osadzeni w fortecy, jaki „los nas czeka, Bogu wiadomo. Podpisy których wymagano w War„szawie po Polakach, przeciwnemi były we wszystkiem prostemu „sumieniu.

---

[1] Haringer str. 151.

„Lecz w tem wszystkiem wola Boga, niechże więc będzie „uwielbiona. Dopuścił na nas, bośmy nie byli, jakośmy być po- „winni. Nic nam już nie pozostaje, jak tylko udać się do W. X. „Mości i prosić o wstawienie się do Króla JMCi. Jeżeli nie bę- „dzie nam dozwolony powrót do księstwa Warszawskiego, niechże „nam będą zwrócone własności i dana wolność pójścia albo do „Saksonii, albo do Alzacyi. Polecamy się łaskawym W. X. Mości „względom niegodni słudzy.

W Kistrzynie 28 czerwca 1808 r.

X. Klemens Hoffbauer, Vic. Generalis
wraz z całem Zgromadzeniem SS. Redemptoris.

Ważny to dokument. Tak nie piszą zdrajcy, ludzie bez czci i wiary, wysnuci z wszelkiego poczucia moralności, za jakich OO. Redemptorystów podawały gazety warszawskie i za jakich poczytują ich do dziś dnia niektórzy nasi literaci i historycy. Ileż tu rzewnej prostoty, ducha Bożego, zaparcia siebie! Tak pisali oni dawni wyznawcy z więzień i pustyń, na które ich skazała przemoc tyranów, za to że wiernie Bogu służyli.

Ważny to dokument, bo to *testimonium bonae conscientiae.* Cierpią bez wyrzekania, bez szemrań i skarg, bo nie mają sobie nic do wyrzucenia, cierpią z weselem, bo w tym ciosie, co zachwiał ich egzystencyę, co zniweczył ich najpiękniejsze nadzieje, co oderwał ich od pracy i niwy umiłowanej — widzą wolę Boga, karę nie dość jeszcze srogą, bo wedle miłosierdzia Boga wymierzoną, przed którą uniżają się z pokorą: w tem wszystkiem wola Boga — niechże więc będzie uwielbiona.

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Cła opiekuńcze przez *Dra Józefa Milewskiego.* Kraków 1888.

W polityce ekonomicznej naszego kraju przejawia się od pewnego czasu tendencya wyraźnie przyjaźna cłom opiekuńczym, podczas gdy nasze piśmiennictwo nie przestaje pielęgnować ideału wolnego handlu. Sfery rządzące żądają i starają się o coraz nowsze cła na produkta zagraniczne, pisarze tymczasem i dziennikarze polscy domagają się po większej części ich zniesienia, niezmordowanie przemawiając w duchu szkoły t. zw. manchesterskiej; dla dobra przeto społeczeństwa, obałamuconego temi sprzecznemi zasadami i dążeniami pożądanem było, aby fachowy, gruntownie obznajmiony z przedmiotem ekonomista uporządkował chaos pojęć i poglądów, wykazując ostatecznie, że interes kraju wymaga zastosowania hasła: „*laisser faire, laisser passer*, albo przeciwnie, uzasadniając naukowo potrzebę wytrwania w kierunku zainaugurowanym r. 1878 przez Bismarka w polityce gospodarczej Niemiec, który dziś ma za sobą prawie wszystkie rządy europejskie. Zadanie to podjął świeżo i zwycięsko przeprowadził młody profesor ekonomii politycznej na wszechnicy krakowskiej, dr. Józef Milewski, w zasadniczem dziele p. n. *Cła opiekuńcze.* Obrał on stanowisko wrogie doktrynie wolnej zamiany, zarzucając jej w ślad za uczonym niemieckim, Fryderykiem Zist: „kospolityzm, indywidualizm, materyalizm“ wprawdzie nie potępia on bezwarunkowo międzynarodowej swobody handlowania, ale chce jej na podstawie

równości, wzajemnych korzyści narodów, związanych ze sobą stosunkami handlowemi. Zwraca on uwagę na ten fakt zbyt często lekceważony przez przedstawicieli szkoły „klasycznej“, którzy znali tylko jednostkę i ludzkość, a nie uznawali organizmu narodowego, że w systemie wolnej konkurencyi kraju wyższe pod względem produkcyi wyzyskują niżej stojące narody, i żąda dla tych ostatnich prawa bronienia się przed wyzyskiem, który rodzimej pracy i krajowemu towarowi odbiera tory krajowe, doprowadzając dane społeczeństwa do obdłużenia, do ruiny ekonomicznej. Zadanie podobne tem bardziej jest uprawnione, że w ekonomii politycznej przestano już dawać wiarę teoryum liberalistów o pracach naturalnych, na które człowiek nie ma żadnego wpływu, jak również temu, iż ruchome owe prawa, pozostawione samym sobie, dążą do powszechnej harmonii. Autor na wstępie szkicuje dzieje powstania i kształcenia się polityki celnej w dawniejszych czasach. Wolnohandlowcy — pisze on — aż do przesady wyśmiewają politykę rządów w XVI i XVII w. dążącą do utrzymania zwyżki wywozu nad dowozem, a to w celu przysporzenia krajowi coraz większego zasobu kruszcu. Polityka ta jednak nie była tak śmieszną, w czasach kiedy brak pośrednika zamiany dawał się dotkliwie uczuwać ludom Europy i utrudniał ich rozwój ekonomiczny. Również zdaniem dr. Milewskiego i system merkantylny, stworzony w XVII stuleciu przez francuskiego ministra, Colbert'a, nie był pozbawiony racyi bytu; w jego myśli przewodniej leżał rozwój miast, wytworzenie w łonie społeczeństwa silnego stanu średniego, mieszczaństwa, i cel swój osiągnął. Z historyi wiemy, — dodaje pisarz — że państwa, które sobie przyswoiły merkantylizm, Francya, Prusy, urosły w potęgę i znaczenie, podczas gdy wolno-handlowa Polska, cesarstwo rzymsko-niemieckie, co niezdołało nigdy zorganizować na około swoich granic racyonalnego systemu celnego — upadły.

Przystępując do rozbioru wywodów przytoczonych przez autora w obronie dzisiejszej polityki celnej, należy przedewszystkiem podnieść ten ważny szczegół, że dr. Milewski uchwycił odcienia zachodzące pomiędzy różnemi kategoryami ceł. Rozbiera je pojedyńczo, osobne dla każdego z nich zdobywając prawa obywatelstwa. Stąd wyższość jego pracy nad działami wolnohandlowców, którzy zawsze piszą „o cłach“ ogólnikowo, potępiając je *in gremio*.

Dr. Milewski dzieli cła na skarbowe i opiekuńcze; pierwsze dążą głównie do przysporzenia państwu dochodów, mają jednak także zadanie zrównoważenia ciężarów nałożonych na produkcyę krajową w formie podatków konsumpcyjnych, nikt chyba nie zaprzeczy sprawiedliwości podobnego cła *wyrównawczego*, bez którego towar krajowy, choćby równie tanio i dobrze produkowany jak obcy, znajdowałby się w gorszych od tego warunkach bytu. Winno cło pod nazwą socyalno-opiekuńczego również przychodzić z pomocą produkcyi krajowej, w razie gdyby za granicą nieistniejące instytucye socyalne, np. przymus szkolny, ograniczenie pracy kobiet i dzieci i t. d. czyniły pracę w danym kraju droższą niż zagraniczną, zwiększały stąd koszta produkcyi krajowej, która byłaby również tanią od obcej, gdyby tych instytucyj nie wznoszono. Cło zaś opiekuńcze w formie wychowawczego nastręcza się samo przez się jako osłona produkcyi krajowej, zbyt słabej, aby mogła stawić czoło potężnej konkurencyi zagranicznej, pod taką tylko osłoną może się przemysł krajowy rozwinąć, a zarzut, jakoby producenci protegowani mieli zaniedbywać produkcyę, na postępy techniki mieli nie zważać, zbija dr. Milewski dowodząc, że dostatecznym bodźcem będzie wewnętrzna konkurencya. Wreszcie koniecznem jest w pewnych razach cło ochronne, które dąży nie do zbytu krajowej produkcyi, ale do utrzymania jej na dotychczasowej stopie, do uchronienia przed stratami, jakie istniejącemu gospodarstwu społecznemu zadaje nowo-pojawiające się współzawodnictwo. Dr. Milewski energicznie zaprecza słuszności twierdzeniu, jakoby cło każde podwyższało cenę towaru krajowego i to o całą wysokość taryfy. Cło ochronne utrzyma jedynie cenę, niezbędną do pokrycia kosztów. Tylko wychowawcze cło wywoła przeciwny skutek, ale — dodaje autor — stratę pośrednią lecz chwilową konsumentów zrównoważy donioślejsza korzyść, jaką cło wychowawcze w przyszłości przyniesie gospodarstwu społecznemu. Przytem czyni on bardzo słuszną uwagę, że społeczeństwo nie dzieli się na dwie odrębne klasy: konsumentów i producentów, i dla tego każdej jednostce nie tyle zależy na niskości cen, ile na tem, aby stosunek dwóch cen nie zmienił się. Cóż z tego — pyta dr. Milewski — że wyroby tańsze z zagranicy będzie miała prawo uboga ludność naby-

wać, jeżeli utraci zarobek w wskutek upadku przedsiębiorstw krajowych.

Osobny ustęp poświęcił autor cłom rolniczym; domaga się stanowczo cła ochronnego na zboże, w celu obrony krajowego rolnictwa przed groźną konkurencyą zamorską. Wykazuje całą czczość znanego wykrzyknika wolnohandlowców: „cło podroży chleb, z krzywdą ludzi ubogich“. Utrzymanie dotychczasowych zbożowych cen leży w interesie nietylko rolników, ale całego społeczeństwa.

Kończąc rozprawę swoją Dr. Milewski jasno i treściwie tłumaczy przyczyny dzisiejszego, ogólno-europejskiego przesilenia, i wykazuje jego związek z długoletniem panowaniem międzynarodowej konkurencyi. Do tych przyczyn zalicza produkcyę posuniętą do ostatecznych granic, obliczoną na wielką skalę, na popyt wszechświatowy, a dalej do tych przyczyn zalicza zmianę stosunków monetarnych, nagłą drożyznę złota w porównaniu do srebra. Zaznacza zarazem, że wolny handel spowodował rozrost kryzysu, nie pozwolił na zlokalizowanie go, i pragnie go widzieć ograniczonym dopóty, dopóki nie wróci się stan normalny. Dzieło dr. Milewskiego odznacza się jędrną argumentacyą, i jakkolwiek zamało uwzględnia stosunki naszego społeczeństwa, europejskie raczej biorąc za kryteryum i stanowisko bardziej teoretyczne, aniżeli praktyczne obrał aby bronić swojej tezy, jego wywody zupełnie zgadzają się z rzeczywistością, i kwestyę wyczerpują w zupełności.

Raz tylko omawiając cła rolnicze autor, zdaje się, zanadto powszechną moc daje cłom zbożowym. Na zachodzie, zwłaszcza w Niemczech są one zdolne zapobiedz złemu, — obniżce cen płodów rolniczych. Autor zapomina jednak zastrzedz, że u nas (w Galicyi i w Królestwie) nie są w stanie wywierać wpływ również dodatni, gdyż obniżkę cen w tych krajach wywołuje nie konkurencya zagraniczna na rynkach krajowych, ale raczej wyparcie ich produkcyi zbożowej z targów europejskich przez indyjską i amerykańską.

M. K. M.

Podróż do Londynu i Paryża skreślił *Stanisław Karwowski* dr. fil. Poznań 1888.

Opisy podróży co to za miły rodzaj literatury! Można weń włożyć co się chce, co się posiada, czy estetykę, czy etnografię, czy historyę, czy psy-

chologiczną obserwacyę ludzi, czy socyologię, czy z tego wszystkiego po trochu — byleby w tem wszystkiem było cośkolwiek znaczącego, coś innego niż to co jest w Bedekerze lub w podręcznikach historyi i geografii dla niższego gimnazyum, i byleby to wszystko było odbite na tle jakiejś nie zupełnie banalnej subjektywności — to już wystarcza, aby podróże były interesujące i łączyły pożytek z przyjemnością *utile dulci*.

Nie mam, jak widać, wygórowanych wymagań do opisów podróży; czy im „Podróż do Londynu i Paryża“ choć po części odpowie? Czytam od początku: godzina wyjazdu — cena biletu — upał w wagonie — kawa na stacyi... myślę zrazu, że autor tak misternie zaczyna jedno z tych „subjektywnych“ opowiadań podróży, które tak lubię... Ale gdzie tam: od początku do końca książki notowane jak w karnesiku stacye, przez które autor przejeżdżał, nazwy hoteli gdzie stawał, nazwy ulic i pomników które przypadkiem oglądał. Dodane są tu i owdzie przypiski historyczne, których autentyczność sprawdzić można w każdym szkolnym podręczniku. A uwagi i wiadomości artystyczne... oby były wypisane z Bedekera! ale są takiej miary: w Kolonii np. największą osobliwością jest katedra: „człowiek zdumiewa się patrząc na tę ogromną, przepyszną gotycką świątynię: jak jej zewnętrzny kształt tak wnętrze ogromne sprawia wrażenie“. To cały opis (i to jeden z najlepszych w tej książce) — ale jest i krytyka: „główny jednak ołtarz i kazalnica nie odpowiadają całości“. W Londynie najwięcej uderzył autora kościół św. Pawła „zbudowany w stylu g r e c k i m“ (sic!). W Paryżu najwięcej między kościołami zaimponował mu *St. Sulpice* kaplicą Matki Boskiej z freskami Lemoin'a. „Nic podobnego, mówi z prostotą, nigdzie nie widziałem! W Luwrze uderzyło go podobieństwo Murilla do Matejki. (!) Przy „Inwalidach“, zamiast opisu grobu Napoleona daje autor tabliczkę genealogiczną Bonapartów i t. p. i t. p. . Jeszcze ciekawsze od opisów pomników są opisy ludzi i obyczajów. Np. pod ciekawym tytułem „Na obiedzie u Francuzów“ czytamy te dwie charakterystyczne wiadomości: że autor był zaproszony na obiad do państwa Prieur i spóźnił się — i że pan Prieur płaci 5.000 fr. za mieszkanie — i nic więcej nie czytamy. Jednem słowem, *c'est naïf* od początku do końca — i to nam tłumaczy, jakim sposobem te zapiski dostały się do druku.

Ks. M. M.

Podręcznik prawa politycznego napisał *dr. Franciszek Kasparek*. Kraków 1888. Tom 1-szy in 8-o. Str. 458.

Polską literaturę prawniczą zbogaciło nowe wydawnictwo. Jest niem podręcznik prawa politycznego, przeznaczony przez autora dla uniwersyteckiej młodzieży prawniczej, który jednak ze względu na formę opracowania, formę nie obciążoną niepotrzebnemi szczegółami fachowo-prawniczemi, można śmiało polecić każdemu, ktoby pragnął poznać główne tylko zasady prawa politycznego. Dotychczas wyszedł pierwszy tom dzieła dr. Kasparka, który zawiera we wstępie określenia prawa politycznego, i gdzie pisarz zaznacza metodę, jakiej przy badaniu przedmiotu trzymać się będzie; dr. Kasparek chce posługiwać się równocześnie dwiema metodami, które świat filozoficzny rozdwajają, — dedukcyjną i indukcyjną, dopełniać je zaś poglądowem porównaniem stanu obecnego z dziejami przeszłości. Dalej autor opracował prawno-polityczne stosunki

społeczeństwa do państwa, i na odwrót, z uwzględnieniem praw i obowiązków obywateli w różnych krajach. Drugą część poświęcił organizacyi władzy państwa, zajmując się głównie osobą panującego; przy końcu tomu pisarz skreślił krótki pogląd o urzędach. Dr. Kasparek prawie nie występuje w roli krytyka, skąpo bardzo ze swojem odzywając się zdaniem, zadowalnia się przedstawieniem faktycznego stanu rzeczy, przytoczeniem ustaw istniejących wśród różnych ludów cywilizowanych. Wyjątkowo tylko ocenia wartość sprzecznych zdań co do udziału społeczeństwa i monarchy w rządzie, za błędne uważając zarówno ludową omnipotencyę, jak wyłączne prawo dynasty do kierowania sprawami publicznemi. Jest on zwolennikiem rządu „rządzącego“ pod kontrolą reprezentacyi narodu, a bynajmniej nie chce rządu wyłącznie wykonywującego tejże zarządzenia. Zwykle jednak woli autor porównywać zdania obcych pisarzy, dla siebie skromne wybierając stanowisko komentarza.

Co do technicznego układu dzieła możnaby autorowi zarzucić pewien brak jednolitości. Stosunki rządzące europejskimi domami panującymi rozbiera drobiazgowo, zastanawiając się nad ich częścią prawną a zwyczajową. Kwestyę zaś centralizacyi urzędów i samorządu zbiera może zbyt ogólnikowo. Specyalnie w rzeczy o galicyjskich stosunkach administracyjnych możnaby życzyć bardziej szczegółowego traktowania i samodzielnego sądu autora. Poglądu na całość dzieła wydać nie można, dopóki drugi jego tom nie wyjdzie z pod prasy; zdaje się jednak, że ze względu na ważność kwestyi objętej i sumienność pracy, policzy się do cenniejszych zabytków literatury naukowej.

M. K. M.

Z literatury rusińskiej.

Wilia ruskiego nowego roku zapisała się w pamięci Rusinów znakami niepowetowanej straty. W dniu tym przeniósł się do wieczności jeden z najwierniejszych synów Małorusi, znakomity poeta ludowy i dzielny nowelista, Józef Jerzy Fed'kowicz.

Matka Fed'kowicza owdowiawszy po pierwszym swym mężu, storonieckim parochu na Bukowinie, wyszła drugi raz za mąż za ojca naszego poety. Z tego małżeństwa było pięcioro potomstwa. Najstarszy syn Iwan, drugi nasz Józef urodzony w r. 1834 i trzy siostry. Ojciec Józefa bardzo wcześnie odumarł. Rok 1848/9 przynosi rodzinie Fed'kowiczów jeszcze boleśniejszą katastrofę. Iwan, który wrócił ze szkół i osiadłszy na ojcowiźnie, wybrany został posłem z kimpolungskiego powiatu, zaginął bez wieści. W tęsknocie za nim umierają obie starsze siostry; z całego rodzeństwa pozostaje tylko Józef, bo najmłodsza siostra, wydana za parocha w innej stronie Bukowiny, zmarła kilka lat przedtem. W r. 1852 asenterują Fed'kowicza do wojska. Pułk, w którym służył, wysłano daleko od jego stron rodzinnych.

Poeta przebył całą kampanię włoską, zmierzył pieszo całe Węgry, Banat, Kroacyę, Siedmiogród i inne kraje korony austryackiej. W roku 1863 z powodu choroby oczu zostaje zwolniony od oficerskiej służby i z małą pensyą idzie w odstawkę. Sterany wraca do kraju. Zastaje jeszcze przy życiu matkę, ale cieszy się nią niedługo. W następnym roku odumarła go i ona. Fed'kowicz osiada we wsi rodzinnej i tu piastuje różne godności autonomiczne. W r. 1864 wybierają go wszystkie gminy kimpolungskiego powiatu delegatem

do komisyi serwitutowej, w r. 1866 zostaje wójtem w Starońcu, r. 1867 powołano go na stanowisko inspektora okręgowego. Wójtem był Fed'kowicz przez lat pięć, inspektorem do 1872. Zrażony intrygami składa wszystkie godności, wyjeżdża do Lwowa zaangażowany przez Towarzystwo „Proswitę“ do redagowania książek ludowych. Ale i tu rozczarowany, przebywszy wśród niebezowocnej pracy 14 ciężkich miesięcy, wraca napowrót pod strzechę rodzinną.

Jeszcze przed powołaniem do wojska przebywał Fed'kowicz jakiś czas w Mołdawii. „Na moję dolę czy niedolę, mówi w swojej autobiografii, poznałem się tu ze sławnym malarzem niemieckim R., który mię tak ukochał, że mię zapoznał nietylko z całą siłą niemieckiej mowy i niemieckiej poezyi, ale także z językiem i gorącą poezyą Hiszpanów. Dusza tego wielkiego i osobliwszego męża tchnęła czystą, prawdziwą poezyą. On to i w moją duszę wlał to zamiłowanie do poezyi, którego dziś nie może mi już żadna siła wydrzeć z piersi. Miły Boże, gdyby nie ów straszny dla mnie 1852 rok, nie byłbym ja teraŀ sił po świecie, wśród najstraszliwszej tęsknicy, nie byłbym potrzebował rozstawać się z rodziną tego serdecznego malarza. Jakże szczęśliwie żyłem w owym domu poświęcając się tylko poezyi i nauce. Zdaje mi się, że pierwszych chwil, które w wojsku przebyłem, opowiadać nie potrzebuję. Zwolna jednak przywykłem do tego stanu, który jednak nie był dla mnie bez poezyi. Chłopięciem jeszcze będąc nauczyłem się od starszej siostry wielu kazek, opowieści i prześlicznych pieśni naszych. Siostra moja, gdy mię zapoznawała z tymi skarbami narodowymi, nie przeczuwała, że one ocalą mię w przyszłości od niejednej plagi, od niejednej zniewagi. Towarzysze moi po służbie, sami bukowińscy i czortkowscy mołojcy, pokochali tak mię za moje piosnki, że byliby żywcem rozsiekali tego, ktoby mię był czemkolwiek obraził. Dziś jeszcze wspominam te chwile wieczorne, jak bywało towarzysze moi, usiadłszy w koło przed koszarami, słuchają moich piosnek i dumek ze łzami w oczach, albo opowiadań o moich własnych wędrówkach po Wołoszczyźnie, Serbii, Ukrainie. Szczęśliwe owe czasy trwały jednak nie długo. Wkrótce zostałem *freitrem* później kapralem, a wreszcie r. 1859 oficerem. Ja bo już taką dolę czy niedolę miałem, że mię nie tylko towarzysze ale i starsi miłowali“.

W tymże roku wraca poeta z Włoch do Czerniowiec i tu poznaje się z lirykiem niemieckim Neubauerem. Neubauerowi przeczytał Fed'kowicz kilka swoich poezyi pisanych w języku niemieckim, i tem pozyskał sobie jego szczerą przyjaźń. Neubauer zapoznaje go z wielu domami w Czerniowcach, a między innemi także z rodziną Kobylańskiego, bukowińskiego Rusina patryoty. Kobylański zachęca Fed'kowicza do pisania po rusku, i już w r. 1861 drukuje w czasopiśmie swojem „Słowo na Słowo“ kilka pierwszych dumek pozyskanego poety, a także tłumaczony przez niego narodowy hymn austryacki.

Roku 1861 zostaje Fed'kowicz powołanym ze względów służbowych do Siedmiogrodu, ale już pióra nie rzuca. W Siedmiogrodzie napisał on prześliczny liryczny wiersz *Sonni mary* (Senne mary), a w ślad za tą dumką popłynęły z serca poety inne nie mniej rzewne a zawsze romantycznym nastrojem i formą iście ludową odznaczające się poezye.

Roku 1862 wydał Bohdan Dziedzicki pierwszy zbiorek jego poezyj, które rozchwycono w lot. Wiele z tych prawdziwych perełek, jakkolwiek o nieszerokiej ale bardziej subjektywnej treści, stały się bezwzględną własnością narodową. Domorośli muzycy ubrali je w szatę melodyj, i przyjęły się one od

razu w narodzie. Prawie wszystkich poezyi Fed'kowicza wyuczono się na pamięć. Spragnione umysły pochwyciły te prawdziwe kwiatki z rodzinnej niwy, lśniące świeżością, upajające wonią.

Imię Fed'kowicza stało się jeszcze głośniejszem, gdy osiadłszy w kraju ojczystym, przyjrzał się z bliska życiu ukochanego przez się huculskiego ludu i tajniki życia tego opowiedział światu w swoich nowelach. Powiastki te to wierne, często bardzo realnie pochwycone obrazki z życia tego pięknego i zawsze szlachetnego ludu o gorącem uczuciu.

Są to jego własne oryginalne utwory, sposób pisania w nich taki, że zda się, iż Fed'kowicza pod tym względem nie prędko kto inny zdoła naśladować. One to właśnie utrwaliły sławę Fed'kowicza, bo na polu poezyi talent Fed'kowicza zwichnął się, chociaż może i nie z jego winy. Zawinił w tem najwięcej pierwszy wydawca jego poezyj, Bohdan Dziedzicki, który w przedmowie swojej postawił Fed'kowicza na równi z Szewczenką. Nie będąc geniuszem a obdarzony sporą dozą ambicyi chciał Fed'kowicz usprawiedliwić wywody Dziedzickiego, zaczął wczytywać się w utwory Szewczenki; tak niewolniczo uległ ich czarowi, że późniejsze poezye ogłoszone pod pseudonimami *Hucuł Newir* albo *Jurij Horodenczuk* to już tylko niejako same przetwory większych i mniejszych poezyj ukraińskiego kobzarza. Takim charakterem odznaczają się osobliwie te poezye Fed'kowicza, które wydał Biłous w Kołomyi w r. 1867 część II i III. Niektóre inne poezye drukowane w peryodycznych czasopismach ruskich, są może bardziej wolne od ślepego naśladownictwa Szewczenki, są może bardziej oryginalne, ale z tych znowu przegląda rodzaj jakiegoś Fed'kowiczowi właściwego mistycyzmu [1].

Ugiął się poeta pod naciskiem wielu zawodów i wielu przykrości doznanych w życiu. Wróciwszy po czternastomiesięcznym pobycie we Lwowie na Bukowinę, osiadł w Czerniowcach, popadłszy prawie w zupełną apatyę. Około 1870 r. napisał dramatyczny, ale tylko pod względem języka wartość mający utwór, *Oleksa Dobusz* i zamilkł na jakiś czas zupełnie. Dopiero w 1882 r. wydaje on w Czerniowcach zbiorek niemieckich lirycznych poezyj pod tytułem: *Gedichte eines Uzulen* i tą drobną, nikłą książeczką zapisuje swe imię w sposób zaszczytny na kartach literatury niemieckiej. Od tej chwili bierze Fed'kowicz znów pióro do ręki. Wkrótce potem zakłada polityczno-literacką gazetkę, wychodzącą obecnie co tydzień pod tytułem *Bukowyna* zasilając tak ją, jak i inne ruskie peryodyczne wydawnictwa świeżemi płodami swego talentu. Wtedy to „bukowiński słowik“ odezwał się znowu, a cała halicko-bukowińska Ruś złączyła się w r. 1886 w obchodzie 25 letniej rocznicy autorskiej działalności ukochanego przez się pisarza — hucuła tem szczerzej,

---

[1] Mistycyzm ten objawia się gdzieniegdzie brakiem nadziei w Opatrzność i jakby zapomnieniem o życiu pozagrobowem. Tak np. w dumce „Preczysta Diwo radujsia Marie“, słowa te zaczynają i kończą każdą strofę. Ale strofy przybierają *crescendo* ton jakiegoś tępego i beznadziejnego smutku i bolu, tak że te niby ramki „Radujsia Maie“ wyglądają w końcu nieomal na sarkazm. Może się komuś wyda, że zawiele wymagamy ścisłości od poety, ale w poezyi, która ma trafić do ludu, i która piękną formą swoją najzupełniej się do tego nadaje, ze zdwojoną baczyć trzeba uwagą, aby struny religijnej fałszywie nie potrącić. (Przypisek Redakcyi.)

że miała go już za straconego dla narodowej literatury. W sam dzień jubileuszu, który bezsprzecznie był jednym z najpiękniejszych dni w życiu poety, Ruś jużto przez osobne deputacye, jużto listownie i telegraficznie złożyła należny hołd piewcy, który w półtora roku później miał ojczyznę swoją przyprawić o tak ciężką żałobę.

Wszystkich powieści i nowel Fed'kowicza, wliczywszy do tego i najświeższe utwory, jest ogółem około dwudziestu. Najpiękniejsze z nich wydane zostały w Kijowie w r. 1876. Oto ich szereg: „Miłość — zguba", „Kto winien?", „Strzelec", „Talianka" (Włoszka), „Safat Zinycz", „Pobratym", „Pieśń bukowińska", „Trzej jak rodzeni bracia", „Opryszek" i „Nieszczęśliwe zakochanie".

W. M.

Rosya i Europa przez *Włodzimierza Sołowiewa*. Przekład z rosyjskiego. Kraków. Nakład Heumanna, 1888.

Znany pisarz rosyjski Danilewski w dziele „Rosya i Europa" ulepił formę wrzekomo filozoficzną dla mglistych aspiracyj dzisiejszych sławianofilów rosyjskich: postawił tezę, że Rosya, jako naczelniczka słowiańszczyzny, ma stworzyć, i już stwarzać zaczyna odrębny typ cywilizacyjny, nie zapożyczający nic od romańsko-germańskiego Wschodu, a daleko wyższy od niego pod każdym względem: religijnym, politycznym, społecznym i literacko-artystycznym.

Przeciwko temu poglądowi powstał znany już czytelnikom *Przeglądu* Wł. Sołowiew w świetnym artykule umieszczonym w *Wiestniku Jewropy* i dowodzi, że twierdzenia Danilewskiego żadnej nie mają podstawy, że Rosya, acz bogata w żywotne siły i zdolności, nie wytwarza jednak i wytworzyć nie może żadnego nowego rodzaju kultury, że utwory jej ducha są daleko więcej spokrewnione z Zachodem niż się słowianofilom wydaje, a oryginalność jej w literaturze i instytucyach stanowi tylko gatunek w szeregu gatunków narodowych w Europie. O samej zaś teoryi odrębnych typów cywilizacyjnych obiecuje w najbliższym czasie coś *ex professo* napisać.

W całem przeprowadzeniu tej rzeczy, jak we wszystkiem co z pod pióra Sołowiewa wychodzi, jest wiele głębszych myśli, wiele prawd dosadnie wypowiedzianych, i niezależność ducha wznosząca się nie tylko nad względy utilitarne, ale nawet nad uprzedzenia czasu i społeczności, która go otacza.

Prawdziwą więc przysługę oddał nam p. prof. Benoni spolszczając ten znakomity artykuł i wydając go w osobnej broszurze.

X. M. M.

Różaniec N. Maryi Panny według zwyczaju Kaznodziejskiego rytmem polskim wyrażony, do druku podany R. P. 1668, przez *Wespazyana Kochowskiego* Kraków 1888. 32-ka. Str. 80. Wydanie Sodalisów Maryi w Krakowie.

W obec coraz więcej wzmagającego się gustu do nabożeństw tłumaczonych z obcych języków, wydanie książeczki zawierającej tak głęboko rodzime uczucia religijne jak ta, jest chlubnem świadectwem tychże uczuć w nowych Sodalisach.

Doskonale pojmował nasz poeta istotę Różańca, tj. że z rozmyślaniem życia Chrystusowego i N. Maryi Panny połączony być winiem; to też w 180[1] 6-cio wierszowych strofach wdzięcznie rozwija piętnaście różańcowych tajemnic.

Rytm trudny, bo po każdych dwóch 8-mio zgłoskowych wierszach idzie jeden 7-mio zgłoskowy; ale daje to dziwnie swojską kadencyę. Myśli wzniosłe choć proste, a szczerością i prawdziwie polską pobożnością nacechowane. Tak np. pierwsza strofa części radosnej:

„Witaj Matko ze wszech święta,
Którą Trójca niepojęta
Z woli swojej stanowi;
Aby przez Cię niestworzone
Słowo było narodzone
Na zbawienie człekowi". (str. 13)

Albo na Narodzenie Pańskie: jaki wzniosły lakonizm, który chyba tylko z hymnami liturgicznemi może iść w porównanie:

„Boga rodzi Panna czysta,
Pieści, tuli, grzeje ściska,
I na rękach, piastuje:
Pokarm karmi, Źródło poi
Żywot żywi, Szatę stroi
Bogu człek usługuje". (str. 23).

Z części bolesnej piękna jest strofa o ustanowieniu Najśw. Sakramentu:

„Książę chwały, Pan pokoju
Słodki Jezus niż do boju
Srogiego się wybierze,
Wprzód Krew w napój, w pokarm Ciało
Chce aby nam zostawało
Utwierdzając nas w wierze". (str. 35)

Z części chwalebnej warto przytoczyć opis tryumfalnego zstąpienia do piekieł:

„Trwóż się piekło, smuć otchłani
Czart i z śmiercią zwojowani
W pętacheś Lucyperze.
Jezus Bóg nasz zmartwychwstaje,
Tłumi duchów hardych zgraje,
Śmierć przez śmierć koniec bierze". (str. 59)

Niektóre jednak omyłki w tę staropolską poezyę się wkradły, z winy zapewne korrektora, nie dość ze starym językiem obznajmionego. I tak na str. 32, najprawdopodobniej zamiast:

„Leć mój Jezu, radzęć tu, Ty
Mądry odwlec racz dysputy"·

[1] T. j. na 150 „Zdrowaś", na 15 „Ojcze nasz" i na 15 „Chwała Ojcu".

ma być: „Lecz mój Jezu, radzęć tu, ty (dzisiejsze: „tej“)
Mądrej odwlec racz dysputy“.

Gdyby ten Różaniec (coby było do życzenia) miał zostać wprowadzony w życie, np. do śpiewania przy pracy lub w podróży, to trzebaby jeszcze pozmieniać niektóre, na dziś zbyt jowialne wyrażenia i rymy, jak np. o pozostaniu Pana Jezusa w świątyni:

„Witaj Matko, której ściele
Żal się ciężki; bo w kościele
Jezus się zawieruszy“. (str. 30)

A wartoby się temi i temu podobnemi rzeczami zająć, choćby tylko dla względów dobrze zrozumianego patryotyzmu. Każdy przyzna, że najcenniejsze skarby życia narodowego zawierają się w uczuciach pobożności rozmaitych warstw danego narodu. Otóż tę właśnie skarbnicę naszą, wziętą obecnie we dwa ognie, z zewnątrz przez prześladowców, od wewnątrz przez indiferentyzm religijny, warto ratować takiemi wydawnictwami zabytków dawnej pobożności ojców — a nie samemi tylko książkami do nabożeństwa tłumaczonemi z francuskiego. Widać, że nowi sodalisi Maryi mają gusta i tradycye dawnych.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Une grande Dame du XVIII. siècle par *Lucien Perey*. T. II. Paris Calmann-Lévy editeur. 1888.

Druga część dzieła *Une grande Dame du XVIII.* s. p. L. Perey [1], nosi na okładce imię nie już księżny de Ligne, ale hrabiny Heleny Potockiej. W pierwszym tomie fakta a z niemi i zajęcie czytelnika grupują się głównie około młodziuchnej heroiny opowieści; w drugim zaś uwaga od prywatnych osobistości zwraca się do zajść społecznych i historycznych. Dzieje się to pomimo woli autora, któryby rad dzieje serca swej bohaterki głównym uczynić dzieła przedmiotem, a nie może oprzeć się pokusie przytaczania ciekawych listów Katarzyny II i księcia de Ligne, co znów zmusza go do rozpisania się szerzej o politycznych wypadkach, dla których często przerywa ciąg opowiadania. Ogólne atoli tło dzieła stanowią prywatne korespondencye — można nawet powiedzieć, iż miejscami jest ich zbyt wiele. W każdym razie znać, iż p. Perey rozporządzał bogatym zapasem polskich rodzinnych archiwów i ko-

[1] Por. *Przegl. pow.* t. XV, str. 129—141.

rzystał z nich sumiennie i bezstronnie tak, iż książka jego nietylko dla cudzoziemców, ale i dla Polaków stanowi ciekawy przyczynek do zawikłanych dziejów XVIII wieku.

Zostawiliśmy Helenę Massalską a raczej księżnę de Ligne w chwili, gdy dwa miesiące po śmierci męża oddała niemal potajemnie rękę w. podkomorzemu kor., Wincentemu Potockiemu, przed otrzymaniem przez tegoż rozwodu z Anną Mycielską. Ta ostatnia, jak widzieliśmy, zezwoliła była na rozwód pod warunkiem, że jej jedynego synka oddadzą; aktu jednak nie podpisała i małżeństwa swego za rozwiązane uważać nie chciała i nie mogła. To też związek z księżną de Ligne, niebacznie przyspieszony przez stryja jej Massalskiego nie mógł również być zrazu uznany za zupełnie legalny, i musiał nawet w tym czasie lekkich form i lżejszych obyczajów budzić pewne zgorszenie. Nowożeńcy nie śmieli jechać do Warszawy, gdzie wszystkie sympatye zwracały się ku opuszczonej małżonce; osiedli na Ukrainie w pięknej ale samotnej Kowalówce. Samotność ta nie wadziła Helenie; zazdrosna o serce męża z pewnym trudem na pierwszej żonie zdobyte, wolała towarzystwa jego nie dzielić z nikim. W tym celu usiłowała urozmaicić mu jednostajność życia wiejskiego, wysilając wszystkie przyrodzone zdolności wykształcone jeszcze i wyrafinowane, przez kilkoletnie obcowanie z rodziną pierwszego męża. Dom w Kowalówce zimny niegdyś i opustoszały zamienił się w istne cacko pod ręką pięknej gospodyni; ogród oddany pieczy emigranta Francuza zajaśniał najpyszniejszem kwieciem. Muzyka, przechadzki, zbieranie i układanie starych sztychów, a zwłaszcza wspólne czytania zajmowały dnie całe; przytem Helena bojąc się snać, aby jej wdzięki nie spowszedniały mężowi, ukazywała mu się co dnia w odmiennym stroju, przybrana to z tatarska, to znów z kozacka, to z polska. W ogóle w stosunkach tych dwojga ludzi i to przez cały bieg ich pożycia znać pewien niepokój, znać ustawiczną obawę utraty obecnego szczęścia. Listy ich pełne są zawsze zapewnień przywiązania, Helena potrzebuje ich i do końca gwałtownie wymaga, nie masz tu swobody i bezpieczeństwa, jakie w ogóle sakrament nadaje związkom małżeńskim. Prawda, iż Helena była trzecią żoną dwakroć rozwiedzionego męża, i że z własnego doświadczenia wiedziała, jak się najświętsze węzły zrywają.

Urodzenie synka Aleksego napełniło obu rodziców radością, która u Heleny do reszty zatarła wspomnienie opuszczonej córeczki wychowującej się przy babce księżnie de Ligne. Ale i to szczęście nie długo trwało. Pani Anna Potocka wkrótce po rozstaniu z mężem wyjechała była do Paryża, dawszy wprawdzie gołosłowne przyzwolenie na rozwód, ale nie wiedząc nic o zawarciu małżeństwa między p. Wincentym a Heleną de Ligne. Przez rok cały czekała w cichej nadziei, iż mąż do niej powróci; dotąd bowiem akt rozwodowy w Rzymie zalegał, a ustawiczny brak funduszów u pana Wincentego nie dozwalał mu przyspieszenia sprawy. Naraz otrzymana z Wielkopolski wieść o zawartym ślubie i urodzeniu Aleksego uderzyła jak grom w serce biednej kobiety. Zrozpaczona napisała do biskupa Massalskiego protestując przeciw legalności małżeństwa i zapowiadając swój przyjazd do Warszawy w celu unieważnienia go, dodając, iż cofa słowo nieopatrznie dane; że aktu rozwodowego nie podpisze. Można sobie wystawić przerażenie biskupa. Sam pogrążony w polityce nie troszczył się o legalizacyę związku, na który lekkomyślnie przyzwolił, pewien zresztą, iż się o to sam pan Wincenty jak najspieszniej postara. Teraz widząc jak rzeczy stoją, zapłonął srogim gniewem, oskarżając podkomorzego nie o grzeszne niedbalstwo, co było słusznem, ale o chęć wyzyskiwania uczuć Heleny w celach pieniężnych, bez troski o jej dobre imię. Napisał doń mówiąc, iż zrywa wszelkie stosunki i że ani interesów działowych kończyć, ani dalszemi sprawami Potockich zajmować się nie myśli. Po pewnym czasie za pośrednictwem majora Hoffmana udało się p. Wincentemu cały ten gniew ukoić; biskup zgodził się na wszystko, prosił tylko ze łzami, aby przyspieszono w Rzymie sprawę rozwodu.

Było to w 1794 r. Massalski bawił naówczas w Warszawie, gdzie ważne nader gotowały się wypadki, zakończone nowym rozbiorem Polski, który biskup wraz z innymi podpisał. Przez cały ciąg sejmu czteroletniego w opozycyi stojący uważanym był zdawna za stronnika Rosyi; teraz zaś imię jego okryło się jawną niesławą. 17 kwietnia, gdy zwycięskie hufce Kościuszki zajęły Warszawę, biskup głośno oskarżony o zdradę, został uwięziony w pałacu Brühlowskim, skąd sprawa jego pod sąd pójść miała. Na nieszczęście dla niego między papierami Gubernatora Igelstroema odkryto listę

nazwisk panów polskich pensyonowanych przez Rosyą; na czele ich stało imię Massalskiego. Niektórzy, a mianowicie synowica biskupa, Helena Potocka, twierdzili później, iż cyfry pieniędzy, które brano za jurgielt rosyjski były tylko oznaczeniem indemnizacyi płaconej przez Rosyę za zabrane dobra litewskie, a lista nazwisk oznaczała właścicieli, którym podobną indemnizacyę przyznano. Bądź co bądź Kościuszko, pragnąc uniknąć niesprawiedliwości i gwałtu oddał sprawę więźniów komisyi mającej ją osądzić według wszystkich form prawnych. Rzecz wlokła się przez dwa miesiące, poczynano już sarkać na umyślne przewlekanie dochodzeń, gdy naraz rozległa się po Warszawie wieść o pobiciu Kościuszki, o wzięciu Krakowa, i o zbliżeniu się wojsk pruskich. Kościuszko miał tylko czas zamknąć się w murach stolicy. Rozpacz zarówno jak nienawiść złym bywają doradzcą. Dnia 28 czerwca wieczorem wzburzone kupy ludu zgromadziły się przed pałacem Brühlowskim, żądając wydania zdrajców, wkrótce wyłamano bramy; biskup wraz z towarzyszami porwany z więzienia przez siedm godzin ze stryczkiem na szyi wleczony po ulicach miasta, wreszcie pomimo usiłowań niektórych obywateli a pono i Kościuszki na szubienicy przed bramą katedry życie zakończył.

Wiadomość o tragicznym zgonie biskupa wielkie wrażenie sprawiła w Kowalówce. Helena cierpiąca jeszcze po urodzeniu drugiego syna przyjęła ją z prawdziwym żalem; stryj ten od kolebki zastępował jej ojca i zawsze wierną choć nieraz nieroztropną okazywał czułość. Co do roli politycznej, ta między niemi nie mogła zakłócić stosunków; o Polskę bowiem, o sprawy publiczne Helena nie troszczyła się wcale. Zamknięta w ciasnem kole swych spraw osobistych, była obojętną dla reszty świata: „ani razu“, pisze słusznie zgorszony P. Perey, nie masz w ówczesnych listach p. Wincentego i jego żony wzmianki o strasznych wypadkach wstrząsających ojczyzną“. Miłość tylko i interesa, interesa i miłość, oto jedyny temat korespondencyi pozostałej z pierwszych lat ich pożycia. Śmierć biskupa wileńskiego tem sroższym wydała się ciosem, iż przez niego spodziewano się skłonić panią Annę do podpisania rozwodu. Teraz już trzeba było p. Wincentemu działać osobiście, i postarać się o spotkanie z dawną żoną, czego Helena lękała się niezmiernie. Wynik jednak był dla niej pomyślnym. Napróżno Anna

łudziła się zrazu nadzieją wzruszenia serca męża, gorące uczucia jej odbiły się o lodowatą grzeczność p. Wincentego. Po paru przykrych dla obu stron konferencyach, biedaczka uległa; rozwód został zdecydowany, i p. Wincenty zaopatrzony plenipotencyą dawnej żony zaciągnął pożyczkę, za pomocą której uzyskał nareszcie legalne unieważnienie małżeństwa 20 listopada 1794 r., to jest w dwa lata po ślubie z Heleną Massalską.

Z tej strony troska zniknęła; pozostawały za to inne, mniejsze wprawdzie, ale trudniejsze do usunięcia. Helena miała prawo do sukcesyi po biskupie wileńskim, wszelako dobra tegoż położone na Litwie, obłożone zostały sekwestrem, jak mnóstwo innych litewskich majątków. Sekwestr ten atoli nie miał politycznej cechy; spowodowanym był przez list księcia de Ligne, który dowiedziawszy się o powtórnem małżeństwie synowej i zrobieniu przez nią darowizny z całego majątku na rzecz nowego męża, upominał się u Katarzyny o prawa wnuczki swojej Sydonii, niegdyś opuszczonej a dziś wydziedziczonej przez matkę. Jego własna fortuna skutkiem wojny w tak niepomyślnym znajdowała się stanie, iż mógł słusznie lękać się o los sieroty, gdyby ta miała kiedyś i sukcesyę matczyną utracić. W odpowiedzi na list przyjaciela cesarzowa zasekwestrowała dobra biskupie dla zabezpieczenia dziedzictwa księżniczki. Trzeba było osobiście około tej sprawy zakrzątać się; a gdy i Repnin, bawiący w Grodnie nic poradzić nie mógł, musiał p. Wincenty rad nie rad, mimo pory zimowej do Petersburga się wybrać. Katarzyna okazała się wielce uprzejmą dla polskiego magnata; niemniej przeto musiał przez cztery miesiące kołatać zanim osiągnął główny cel swojej podróży, którym teraz nie było już zdjęcie sekwestru, ale przyznanie stanowiska prawnego dzieciom Heleny. Otrzymał takowe pod warunkiem zagwarantowania w swojem i żony imieniu pewnej części dziedzictwa i kosztów utrzymania dla dzieci z poprzednich małżeństw. O wyzwolenie dóbr litewskich nie śmiał się nawet upomnieć. Listy p. Wincentego z Petersburga zawierają szczegóły o przyjęciach dworskich i o własnych jego mozolnych zabiegach. Pomimo lekkiego tonu znać, że polskiemu panu ciasno i duszno w obcej atmosferze dworskiej.

Od tej chwili spokój i szczęście zdały się na dobre zawitać do serca Heleny; bezpieczna o los dzieci, mogąca już swobodnie

nosić nazwisko męża, zmieniła zupełnie tryb życia. Bramy Kowalówki dotąd szczelnie zamknięte, rozwarły się teraz z polską gościnnością, gromadząc przyjaciół i sąsiadów, a zarazem przygarniając Francuzów zmuszonych przez rewolucyę do opuszczenia własnego kraju. Helena za powrotem z Litwy zastała była w Niemirowie margrabiego de Badens z żoną i dwiema córkami, które tu usiłowały szyciem zarabiać na życie. Ulitowała się nad niemi i przytuliła pod własnym dachem. Rodzinę księcia Volignac osiedlił p. Wincenty w przyległym folwarku, puszczonym, jak to dawniej mówiono, w łaskawą dzierżawę. Tu hr. Diana de Polignac, sławna nie z piękności, ale z dobroci i rozumu, skupiła w koło siebie liczną gromadkę dzieci swych braci. Sama nie zamężna stała się prawdziwą matką i opiekunką całej rodziny, z dziwną energią i wytrwałością prowadząc sama gospodarstwo męskie, którego zaprawdę nie mogła się była nauczyć na wersalskim dworze. Prócz nich byli hrabstwo d'Aragon przytuleni w Tulczynie i hr. Walenty Esterhazy, wierny sługa Maryi Antoniny, który z rodziną w sąsiedztwie Kowalówki zamieszkał; to też książe de Berry przyjeżdżając w te strony znalazł jakoby „małą Francyę" cały poczet emigrantów w polskiej gościnie czekających na lepsze czasy. Wiele bardzo mówiono i mówią o długu, jaki Polacy zaciągnęli u Francyi za przyjęcie naszych emigrantów z 30 i 63 roku. Wdzięczność się należy, to pewna; nie trzeba jednak zupełnie zapomnieć, iż Francuzi po części oddali nam pięknem za nadobne. Był przecież czas, kiedy emigracya francuska zalała Polskę niosąc ze sobą obfity posiew Wolteryanizmu, a tak jej, jak niestety! i jemu nie brakło na gościnnem przyjęciu. Naówczas książe de Berry szczycił się swem pochodzeniem od Maryi Leszczyńskiej; mówiono nawet, jak świadczą współczesne listy Francuzów, o małżeństwie księcia z panną Tyszkiewiczówną, późniejszą Aleksandrową Potocką, 2° voto Wąsowiczową... Dziś to wszystko poszło w niepamięć, i nie przystałoby wypominać oddanej przysługi, gdyby nam nie wymawiano dobrodziejstw, którycheśmy w zamian doznali.

W Kowalówce zabaw nie brakło; Helena urządzała zebrania, tańce, komedye i operetki, wciągając do improwizowanej trupy całe swe polskie i francuskie otoczenie. P. Wincenty rad był wesołości żony, której humor nie zawsze w tak różowem przedstawiał się

świetle; nie mniej jednak czuwał nad każdym jej krokiem z nieufnością mogącą zrazić mniej gwałtowną a delikatną naturę. Helenie zazdrość męża nie odejmowała ochoty, co dziwniejsza, zdała jej się nawet pochlebiać. Gdy podkomorzy zmuszonym był oddalać się dla interesów, zdawała mu szczegółowo sprawę z czynności każdej godziny nie szczędząc przytem konceptów i złośliwych żarcików kosztem swych gości i panien respektowych. Pewnego dnia, w chwili gdy kończyła list tego rodzaju, weselszy jeszcze od innych, zawołano ją do młodszego synka, który nagle zachorzał, a niebawem i umarł. Było to drugie dziecko, które państwo Wincentowie tracili: najmłodsze bowiem, córeczka, w sześć tygodni po urodzeniu umarło; przed oczami Heleny stanęło znów straszne widmo trzech trumien, które ją przeraziło w dzień ślubu... Zostawał jej teraz jeden tylko synek Aleksy, najukochańsze jej dziecię, łagodny, piękny, z umysłem nad wiek rozwiniętym; tegoż jeszcze roku i na śmierć tego dziecka nieszczęśliwa matka, jakby za karę swych lekkomyślnie popełnionych, ale nie lekkich win, patrzeć musiała. W chwili gdy poczęto spuszczać dziecię do grobu, w którym już brat i siostrzyczka leżeli, zerwała się Helena dotąd spokojnie jak nieruchomy posąg klęcząca, i zawoławszy okropnym głosem „Troje, tak! jest ich troje!“ i zemdlona padła na ziemię. Prorocze widzenie trzech trumien było spełnione.

Jednem z najlepszych lekarstw na wielką boleść jest praca i tę pomoc, choć z nowemi złączoną troskami, zesłał Pan Bóg znękanej Helenie. Ogromny majątek p. Wincentego wskutek wstrząśnień i zmian politycznych chwiał się i wikłał coraz bardziej; zielony stolik pożerał tysiące, a na domiar złego przyszła smutna nowina o przegraniu w Kijowie ważnego pieniężnego procesu, a dobra po biskupie wileńskim dotąd jeszcze obłożone były sekwestrem. Podkomorzy nie zdołał był tego interesu załatwić, brakło mu protekcyi, czasu, a zwłaszcza funduszów... znaczna bowiem suma ulotniła się przy zielonym stoliku. Z Litwy zatem pomocy nie było. P. Wincenty przegrał był w ostatnich czasach dość ważny proces; wyrok wydanym był przez trybunał w Kijowie pod wpływem gubernatora, hrabiego Gudowicza, który ze wszech miar podkomorzemu okazywał swą niechęć. Trzeba było myśleć o nowej wyprawie do Petersburga dla zneutralizowania raportów Gudowicza. P. Win-

centy ponownie wybrał się do stolicy dla podreperowania interesów, a Helena pozostała na Ukrainie, korzystając z chwilowej samotności dla pochwycenia w swoje ręce administracyi szerokich dóbr do Kowalówki przyległych. Widocznie długi pobyt w Paryżu za lat dziecinnych rzucił był w jej umysł zaród ładu i rządu właściwego Francuzom, a który tak dziwną stanowił sprzeczność z jej porywczą i fantastyczną naturą. W jej długich listach widzimy cały obraz smutnego gospodarstwa z owych czasów: ogólne rozprzężenie, ucisk poddanych i wyzyskiwanie właściciela przez ekonomów; rozumne, energiczne, ale spóźnione usiłowania kobiety broniącej dzielnie sprawy chłopów i swojej własnej, walczącej na każdym kroku z nadużyciami lub niedbalstwem poddanych. Niestety trudy te były daremne. P. Wincenty przybywszy do Petersburga nie mógł się doprosić prezentacyi u cesarza Pawła, a od urzędników czcze tylko zyskał grzeczności. Tenże sam urzędnik, który uroczyście zapewniał go, „że uczyni wszystko, co będzie możebne“, wysłał jednocześnie niemal rozkaz obłożenia sekwestrem Niemirowa i Kowalówki wraz ze stadniną i ruchomościami na rzecz wierzycieli...

Dalszy pobyt Heleny w Kowalówce był niemożliwym; miejsce to zresztą zawierające tyle bolesnych wspomnień przestało dla niej być miłem. Natychmiast po otrzymaniu zezwolenia męża zebrała co mogła pieniędzy i wyjechała do Petersburga, zostawiając w Kowalówce zaufaną sobie pannę Karwoską i rodzinę Badens, nie mającą innego przytułku. W Petersburgu rok cały upłynął na daremnych zabiegach. Na swoją pociechę Helena znalazła tu towarzystwo miłe i uprzejme; całe grono dawnych znajomych z Paryża i Warszawy witało ją i zapraszało radośnie. Były to jednak ciche przyjęcia. Dziecinny teroryzm Pawła doszedł był do ostatecznych granic; każdy drżał o swoją wolność, najwyżsi dostojnicy nie byli pewni jednej godziny. „Jednego dnia, pisze Helena, wychodził „ukaz broniący noszenia fraków, kamizelek i spodni; należało wdziewać rodzaj munduru, pludry i buty ze sztylpami; inny znów zakazywał okrągłych kapeluszy wszelkiego rodzaju. Raz cesarz zabraniał Akademii Umiejętności używać wyrazu *Rewolucya* mówiąc o biegu ciał niebieskich; to znów kazał na afiszach teatralnych wyraz *pozwolenie* zamiast *wolność* umieszczać. Gdy kto chciał „Petersburg opuścić, musiał trzykrotnie w gazetach swój wyjazd

„ogłosić, aby cesarz miał czas mu przeszkodzić, jeżeli taką była „jego wola. Księżna Dostojewska i mąż jej książe Wasyl prosili „o pozwolenie wyjechania do wód dla zdrowia — cesarz odmówił. „Jakiś czas potem, w nadziei że kaprys przeminął, ponowili „swą prośbę, na co dostali rozkaz wyjechania z Rosyi na zawsze „pozostawiając tamże swoje dzieci i majątek".

Tragiczna śmierć cesarza Pawła nastąpiła podczas pobytu Potockich w Petersburgu. Aleksander udzielił im pozwolenia zdjęcia sekwestru z części dóbr litewskich; podobno byłoby można było i więcej uzyskać, gdyby cała sprawa nie była źle prowadzona od samego początku. Przecież i to, co otrzymano, przydało się wielce. Na wolną część majątku znalazł się wkrótce kupiec, który zobowiązał się spłacić dług 6,000.000 złotych ciążący na całej masie sukcesyi, a zarazem wystarać się o uwolnienie reszty dóbr. Państwo Wincentowie opuścili Petersburg we wrześniu 1801 r., drogę swą kierując na Królewiec. Do Kowalówki nie było poco wracać, grunta były w sekwestrze, pałac opustoszały, sprzęty domowe, meble, cała galerya portretów familijnych, wszystko rozdrapane lub przez wierzycieli sprzedane za bezcen. Z biedą tylko zdołała panna Karwoska uratować i do Galicyi przesłać bibliotekę, sztychy i kilka cennych obrazów. W Królewcu margrabstwo de Badens zjechali się z Potockimi i towarzyszyli im do Holandyi, gdzie razem cały rok przebyli.

Notatki Heleny skrzętnie co dnia zapisywane i tu nie ustają; widać z nich jednak z wolna ziębnące stosunki małżeńskie; coraz częstsze kłótnie, dąsania się i wymówki. Wiedziała, iż mąż w powrocie do kraju ma czas jakiś przepędzić w Lipsku i tam widzieć się z dawną żoną i z synem. Myśl ta napełniała ją niepokojem. Pani Anna bawiła wówczas w Dreźnie u matki; nieszczęsna nie mogła zgodzić się z swoim losem. Pomimo rozwodu w sercu jej tkwiła przysięga małżeńska, a z nią iskierka mimowolnej, szalonej nadziei odzyskania kiedyś straconego szczęścia. P. Wincenty jednak napisał do niej chłodny bilecik mówiąc, iż z powodu nieobecności jednego ze swych plenipotentów nie może z nią obecnie żadnego interesu załatwić, i że prosi tylko, aby mu syna przysłała. Franciszek przyjechał w istocie w towarzystwie guwernera, ale to pierwsze spotkanie z ojcem odbyło się dość ceremonialnie. Franciszek skarżył

się potem matce, iż ani chwili sam na sam nie byli — Helena mogła być zadowolona. W miesiąc potem przybyła i ona do Lipska, skąd udać się mieli nie do Paryża, jak sobie gorąco życzyła, ale do Brodów, gdzie nieustające trudności majątkowe wymagały obecności p. Wincentego. Czytając dzieło p. Perey ma się dokładny obraz stanu, w jaki trzykrotne podziały, wojna, zmiany rządu, i t. p. wprawiły wielkie polskie fortuny. Niejeden magnat posiadał dobra pod trzema zaborami rozrzucone; w każdej części rząd inne miał wymagania i inne wytwarzał stosunki. Dziś już przywykliśmy do bied tego rozaju; naówczas jednak wśród wielkich wstrząśnień publicznych owo nagłe przejście ze złotej polskiej wolności do nie zliczonych szykan, trudności i ucisku, stworzyło zamieszanie, w którem tysiące średnich majątków utonęło na zawsze. Niektóre fortuny magnackie pozostały na wierzchu, ale zachwiane i poszarpane potrzebowały długiego czasu, aby się napowrót skleić w mniejszą, ale pewną całość, i módz nadal w odmiennych warunkach utrzymać się.

Pobyt w Brodach zaznaczył się ciężko w życiu Heleny. Przyzwyczajona od dzieciństwa do wygód i przyjemności, jakie dać może majątek i dobrane towarzystwo, ujrzała się nagle pozbawioną wszelkiego komfortu, w otoczeniu zimnem i ponurem, w samotności przerywanej jednostajną rozmową kilku starych urzędników i tychże małżonek. Rodzina Badens, otrzymawszy przy pożegnaniu dar stu dukatów w złocie, z Holandyi jeszcze powróciła była do Francyi. W pośród tej ciszy poczęło świtać w duszy Heleny uczucie, którego już dawno pragnęłoby się u niej odszukać ślady — tęsknota za opuszczoną córką. Śmierć młodszych dzieci zostawiła była w jej sercu pustkę, której niczem zapełnić nie mogła, zostawiła niezużyty skarb macierzyńskiej miłości. Uczucie to ożywiło się jeszcze, gdy jej mąż oddał list dla niej od Sydonii nadeszły; list już był dawny i od paru tygodni w szufladzie p. Wincentego przebywał. Helenę zraziło mocno to postępowanie męża, i tem skwapliwiej rzuciła się na pismo córki. W jakiś czas potem nadszedł list drugi; oba były nieśmiałe, pokorne, żebrzące o iskierkę owej czułości, której Sydonia nie zaznała w dzieciństwie. Helena na ten drugi list dopiero odpowiedziała z gorącością sobie właściwą. Odtąd już miała w życiu przedmiot miłości niezależnej od absorbującej namiętności dla męża.

W domu atoli życie było coraz smutniejsze, i stosunek małżeński coraz bardziej się psował. Helena zawsze porywcza, ruchliwa i kapryśna nużyła męża zatopionego w interesach; co dnia stawał się on trudniejszym do zadowolenia, a niestety! ten ustawiczny zły humor pokrywał gorsze jeszcze winy, które koniec końców musiały wyjść na jaw. Helena zrazu okazała się niby wspaniałomyślną; po pierwszym wybuchu żalu i oburzenia pogodziła się z mężem, ale cierpliwość jej nie długo trwała. Rana jątrzyła się w zazdrosnem sercu, wrodzona porywczość nie dała krzywdy w tajemnicy uchować. Poczęła na męża skarżyć się i wygadywać przed dworem... Raz pan Wincenty wszedł niespodzianie podczas podobnej rozmowy i usłyszał z ust żony obmowę i niemal potwarz na siebie rzucaną; przyszło do gwałtownej sceny, po której Helena oświadczyła stanowczą wolę rozstania. W parę dni potem otrzymawszy od męża akt donacyi, zapewniający jej przyszłość (cały bowiem jej majątek na niego był zapisany) wyjechała do Lwowa. W drodze dopiero ochłonęła z długiego wzburzenia; w miarę jak szybki chód koni oddalał ją od Brodów, wracała jej przytomność a z nią i świadomość uczynionego kroku. Miałże to być koniec dziejów owego uczucia, któremu poświęciła wszystko, własne obowiązki i sławę, szczęście i spokój biednej Anny a nawet miłość własnego dziecięcia? Żal jednak wydał jej się spóźnionym, nie miała odwagi kazać zawrócić do Brodów.

We Lwowie wysiadłszy w domu zajezdnym (nie śmiem powiedzieć hotelu) kazała o swem przybyciu uprzedzić dawną przyjaciółkę ks. Jabłonowską. Legalizacya aktu donacyi p. Wincentego i parę wizyt zajęły jej dzień pierwszy; nazajutrz czekało ją niespodziane wzruszenie. Siedząc u ks. Jabłonowskiej usłyszała nagle w przyległym pokoju głos, który całe morze wspomnień obudził w jej sercu, i ujrzała się w obec dawnego teścia starego księcia de Ligne. Przez chwilę patrzeli na siebie a potem tonąc we łzach rzucili się wzajemnie w objęcie, sam książe tak płakał, iż długo żaden z dwojga przemówić nie był w stanie. Później jednak wszczęła się rozmowa długa, poufna, serdeczna; Helena jakby odnajdowała ojca, od którego ją był jakiś szał oddzielił, zwierzyła się ze wszystkich swoich zgryzot, uczuć i boleści, książe zaś pocieszał, uspakajał i opowiadał o córce. Dziwnie to szlachetne musiało być serce,

jeśli w tej chwili żadna kropla goryczy, żaden cień wyrzutu z jego ust nie wypłynął. Gdy jednak przyszło do omówienia zamiarów i postanowień na przyszłość, ton księcia odrazu spoważniał. Zdaniem jego Helena powinna była niezwłocznie do Brodów powracać, chybiwszy obowiązkom względem pierwszego męża, musiała je przynajmniej względem drugiego do końca wypełnić, jeśli nie chciała utracić wszelkiego poważania nie tylko w oczach ludzi, ale i u własnego dziecka. Nie trudno było rozżaloną kobietę namówić do uczynienia tego, czego sama tajemnie pragnęła. Helena napisawszy do p. Wincentego list wyrażający żal za zbyt pospieszne przedsięwzięcie tak ważnego kroku i proponujący choćby tylko próbę zgodnego pożycia, pozostała trzy dni dłużej we Lwowie, cały czas niemal spędzając w towarzystwie teścia lub jego dworzan, dawnych sług i przyjaciół pierwszego męża. Odpowiedź z Brodów odebrała już po drodze w Złoczowie. Pan Wincenty oświadczył się z gotowością przyjęcia jej, prócz niego nikt w domu nie domyślał się prawdziwego charakteru podróży. Po pięciu dniach niebytności, Helena znalazła się znów, dzięki ojcowskiej dobroci księcia de Ligne, pod dachem mężowskim. Tu trzeba było nowe rozpocząć życie, pracować nad sobą, aby zawsze według rad teścia, porywczością swą i natręctwem nie dawać powodu do nowych niesnasek. Talent do rysunku posłużył jej do zapełnienia długich godzin samotności; wzięła się do farb i poczęła kopiować obrazy mistrzów uratowane z Kowalówki. Zresztą ów krótki pobyt z księciem de Ligne rozbudził był na dobre długo zastygłą strunę jej serca; korespondencya z córką, myśl o niej, stały się coraz częstsze i żywsze. Powoli też poczęły się wiązać napowrót stosunki z rodziną pierwszego męża; siostra jego księżna Clary, przy której obecnie bawiła Sydonia, pierwsza napisała do dawnej bratowej.

Tymczasem interesa majątkowe p. Wincentego lepiej się ułożyły; a Helena poczęła myśleć nad naprawieniem krzywdy, jaką niegdyś wyrządziła córce zapisem swym na rzecz męża. Z owych rozmyślań wyrósł w tej oryginalnej głowie projekt, co najmniej dziwny: wydania Sydonii za syna męża, młodego Franciszka Potockiego. Po pierwszej chiwli zdziwienia p. Wincenty na projekt się zgodził, i oboje żywo pracować poczęli nad wprowadzeniem go w życie.

Pod koniec listopada 1806 r., stanęła Helena wespół z mę-

żem w Paryżu, zmienionym do niepoznania w ostatnich latach dwudziestu. W życiu towarzyskiem obyczaj angielski zastąpił stare francuskie zwyczaje: obiady, zebrania, teatra, wszystko odbywało się inaczej i o innych godzinach. Książe de Ligne, w liście cytowanym przez p. Perey, żałuje dawnej uprzejmości i gracyi; mówi, że cnota, owa bezimienna, bezgatunkowa republikańska cnota, zabiła we Francyi wszystkie cnoty, zostawiając otwarte pole przywarom. Żałuje sztucznej elegancyi, owej *mise en scène*, pokrywającej wszelkie brzydoty — a więcej jeszcze delikatności obejścia łagodzącej przykre stosunki. Niegdyś tak mężczyzni jak kobiety wyższego świata widywali się tylko w pełnem uzbrojeniu wdzięków i to najczęściej wieczorem. „Dziś, pisze książe, pokazujemy się zrana „konno, lub w otwartym powozie z twarzą zbyt bladą, lub zbyt „czerwoną wśród wiatru, deszczu lub kurzu; wieczorem zaś chcąc „być modnymi, musimy przychodzić z włosem rozwianym i ubra„niem w nieładzie".

Państwo Wincentowie zajęli przy ulicy Caumartin piękne mieszkanie, które wnet stało się punktem zbornym najwykwintniejszego towarzystwa. Trzy razy na tydzień dawali proszone obiady odznaczające się zarówno wytwornością kuchni jak i przepychem ornamentacyi; zastawy srebrne i porcelany godne były królewskiego stołu. P. Perey opisuje szczegółowo i obszernie arystokratyczne kółko gromadzące się w salonach Potockich; były tam najświetniejsze nazwiska, piękne i urocze damy, niektóre znów niegdyś piękne a zawsze sprytne i miłe, jak pani de Boufflers, 1⁰ voto Sabrau, matka pani de Custine, margrabina de Coigny, pani de Coislin i t. p.; byli ludzie rozumni jak książe Elzear de Sabrau, jeden z najoryginalniejszych typów swojego czasu. Były podobnież i różne polityczne odcienie: ci którzy bywali u nowego dworu i ci, którzy odeń stronili, staczali tu szermierki, którym reszta uprzejmości pozostałej z XVIII w. nie dała nigdy wyjść z poza szranków przyjacielskiej rozprawy.

Tymczasem romans Franciszka Potockiego z Sydonią de Ligne postępował tem pomyślniej, iż księżniczka zdecydowaną była *a priori* przyzwolić na związek, który miał ją zbliżyć do matki, i że zalety moralne i fizyczne konkurenta mogły ją tylko w postanowieniu potwierdzić. W niewiele miesięcy młoda para, związawszy

się w Cieplicach małżeńskimi ślubami, przybyła do Paryża, gdzie Helena powitać i pokochać mogła nieznaną sobie córkę. P. Wincenty uradowany był z miłej a dowcipnej synowej; jeden Franciszek tylko czasami wzdychał — tęskno mu było do wojska, do kraju. W marcu 1808 r. otrzymał wreszcie od ojca pozwolenie zaciągnięcia się do armii francuskiej; miał w randze adjutanta towarzyszyć marszałkowi Davoust do Polski. Sydonia wyjechała wraz z mężem, przyrzekając matce swój powrót, skoro tylko marszałek rozpocznie kampanię. Tymczasem jeszcze d. 15 sierpnia pisała z Warszawy: „Bardzo tu mi jest dobrze: trzy razy na tydzień „przepędzamy wieczór u księcia Józefa, dwa razy u księżnej Sapie„żyny, raz u pani Antoniowej i Szczęsnowej Potockich. Bawię się „wybornie, wszyscy są dla mnie wielce łaskawi; co prawda jestem „w kólku rodzinnem, Warszawa bowiem pełna jest samych Potoc„kich". Gdy mąż jej wreszcie wyruszył w pole, Sydonia wróciła do matki i zastała ją zajętą kupnem pięknego zamku St. Ouen, dawnej rezydencyi królewskiej, zbudowanej na wzgórzu ponad prawym brzegiem Sekwany. Szkoda było polskiego grosza; Francuzi mądrzejsi od nas, nie kupowali pałaców za granicą podczas emigracyi, dlatego też mieli za co utrzymywać swoje rodzinne zamki za powrotem do kraju.

Wjazd sprzymierzonych wojsk w r. 1814 zastał Helenę w Paryżu. W tej lekkiej głowie zapał dla Napoleona zgasł wraz z fajerwerkami głoszącemi zwycięstwa; list jej z 4 kwietnia pisany do męża opisuje w sposób żywy i zajmujący krótką a morderczą walkę w której 12.000 Francuzów u wrót Paryża zginęło, rokowania z cesarzem Aleksandrem, a wreszcie tryumfalne wejście wojsk obcych: „Wkrótce ukazało się ośmiu jeźdźców z białą chorągwią „w ręku i białemi kokardami u kapeluszy, margrabia Lévis z sy„nem, Thibault de Montmorrency i t. d. (Helena wszystkich wy„mienia) krzyczeli: Niech żyje król! rozrzucając pomiędzy lud ko„kardy i pieniądze. Do tych za każdym krokiem przyłączali się „nowi jeźdzcy, aż liczba ich do 200 wzrosła; olbrzymi tłum jedno„głośnie dopraszał się o kokardy. Seymour konno, w angielskim „mundurze, z dwoma workami srebra przed sobą, z kieszeniami „i kapeluszem pełnemi dukatów, objechał całe miasto wołając: „Niech żyje Ludwik XVIII! a za nim lud krzyczał: Niech żyje

„król!... Nareszcie ujrzano wojsko postępujące w najlepszym po„rządku, 100.000 ludzi, których przechód miał trwać aż do nocy; „gdy ich przeszło 20.000, ukazał się cesarz Aleksander, król pru„ski, pokrewni im książęta, W. książe Konstanty, książe Schwar„zenberg, generałowie i t. d. Byłam u pani de Coislin (przy placu „de la Concorde). Każda z nas przyniosła była paręset kokard, „które rzucałyśmy z balkonu wszystkim, którzy o nie prosili. Gdy „ich nie stało, pociełyśmy własne chusteczki, spostrzegłyśmy jednak, „iż wielu ulicników brało kokardy na to, aby je dalej odprzedać. „Wkrótce w około placu ukazało się mnóstwo małych przekupniów „z koszami pełnemi kokard — po chwili wszystkie rozsprzedane „zostały... Podczas przejazdu monarchów i wojska tłum zalegał „plac cały, a z okien domów rozlegały się okrzyki: Niech żyje „Aleksander! Niech żyje Ludwik XVIII! Wracając do domu tak „byłam ochrypła, żem już mówić nie mogła... Cesarz Aleksander „nie chciał zamieszkać w Tuileriach; wysiadł u księcia Tayllerand, „który stoi na czele rządu... Nazajutrz obaj monarchowie udali „się do opery, gdzie chciano przedstawić „Tryumf Trajana", czemu „jednak sprzeciwiła się skromność Aleksandra. Dano natomiast „Westalkę, ale publiczność co chwila okrzykami przerywała śpiew „artystów. Wkrótce poczęto się domagać, aby zasłoniono orła „umieszczonego nad lożą Napoleona, ktoś z góry zarzucił nań białą „chustkę; przy końcu przedstawienia orła z muru wydarto, zdru„zgotano i pod nogami zdeptano wśród szalonego wrzasku i okro„pnych złorzeczeń..."

Nigdy może tak jaskrawo na jaw nie wyszła smutna zmienność serca ludzkiego. Czyżby każde przekonanie polityczne było tylko wrażeniem obecnej chwili? — Co do Heleny, dziwić jej się nie można: wszak u niej wszystko, prócz jednej gwałtownej miłości dla męża, było tylko wrażeniem. Toż i teraz nie może się nachwalić Rosyan, których niedawno w Polsce nienawidziła; opowiada, iż w Paryżu krążyła pogłoska, że wojsko rosyjskie jest „hordą barbarzyńców brudnych, obdartych i ohydnych". Natomiast, gdy się ukazali, poczęto zewsząd wołać: „jacyż są piękni! jacyż są grzeczni! i w koło brzmiały radośne okrzyki". Entuzyazm ten równie jak i nieprzyzwoita radość Paryżan tłumaczy się tylko strachem, jakim zbliżanie się sprzymierzonych armij napełniało Francuzów i niewy-

mownie błogiem uczuciem uspokojenia, gdy je ujrzano wjeżdżające cicho, bez najmniejszego nieporządku ni gwałtu.

O ile listy Heleny skąpe były w polityczne szczegóły tyczące spraw własnego kraju, o tyle stają się rodzajem kroniki, gdy chodzi o wypadki zachodzące dokoła niej we Francyi. Wychowana w Paryżu czuła się tu między swymi, a z krajem łączyły ją same arcysmutne wspomnienia. W Polsce wypadki dziejowe toczyły się gdzieś daleko, i później dopiero ich skutki pośrednie czuć się dawały — tu zaś opowiada o rzeczach, które widziała i słyszała osobiście, opowiada zawsze barwnie i żywo, ale często z przesadą i powierzchownie. W tymże czasie zakupno zamku St. Ouen ściągnęło na nią zaszczyt niespodziewany: Ludwik XVIII przed wjazdem do Paryża kazał ją poprosić o gościnność na nocleg. Sprawiło to niemało zachodu, gdyż zamek z obawy przed napadem wojsk obcych ogołoconym był ze wszystkich sprzętów. Prefekt policyi Pasquier przyszedł jej w pomoc z hufcem robotników; kazał mnóstwo mebli, opon i kobierców sprowadzić ze składów królewskich i w 24 godzin wszystko stało gotowe.

Tymczasem pan Wincenty bawił w kraju dla interesów. Dla Heleny to kilkomiesięczne rozstanie było istotną męczarnią, i ostatecznie nie mogąc męża się doczekać, mimo rad i próśb lekarzów, wyjechała w październiku do Brodów. Tu odebrała wiadomość o śmierci teścia, księcia de Ligne, który po wielu rozlicznych przygodach, straciwszy prawie zupełnie prawdziwie książęcą fortunę i znów choć w części ją odzyskawszy, w późnym równie jak w młodym wieku wesoły i dowcipny, umarł z przeziębienia na balu.

W lecie 1815 r. po krótkim pobycie w Wiedniu wróciła Helena z córką do Paryża, dokąd mąż miał później nadjechać. Listy jej z onego czasu pełne są jak zawsze politycznych wiadomości; były to jednak ostatnie, które w życiu pisała. Dla tej gwałtownej natury i śmierć musiała przyjść nagle. Wśród nocy 30 października napadły ją straszne boleści, w skutek których w dwanaście godzin zakończyła życie, nie czując zbliżającego się zgonu. Zwłoki jej pochowano na cmentarzu Père Lachaise.

Boleść pana Wincentego była wielką, zdało się zrazu, że z życiem Heleny całe jego szczęście zniknęło. Później jednak znalazła się pociecha i to tak dziwnej natury, że gdyby podobny fakt

zachodził w powieści, wyśmianoby autora za zbytnią bujność wyobraźni. Pani Anna pomimo doznanej krzywdy i tylu lat rozstania, zawsze mu pozostała wierną... w końcu 1824 r. przyszło między dawnymi małżonkami do nowej a całkowitej zgody. Trzeba im się było połączyć powtórnymi śluby; pani Anna, jak świadczy list jej z 8 stycznia 1825 r., zgadzała się na wszystko, i jedynie śmierć p. Wincentego przeszkodziła zawarciu tego dziwnego małżeństwa.

Tymczasem zwłoki Heleny złożone w grobie zakupionym tylko na przeciąg lat pięciu, przeniesionemi zostały d. 21 marca 1820 r. przed administracyą cmentarza do ogólnego grobu ubogich; ani córka, którą opuściła, ani mąż, którego ubóstwiała, nie troszczyli się dla jej szczątków o osobną mogiłę.

Po zapisaniu tego przykrego faktu smutnie brzmi umieszczony w notatkach spis niezliczonych sreber, porcelan, opon i klejnotów posiadanych za życia przez tę, dla której pięć lat po śmierci już ziemi na grób nie stało. Same perły, brylanty, szafiry, rubiny, szmaragdy i opale mogły stanowić skarbiec nie jednej królowej. Ogromny zbiór starych sztychów — po większej części dzieła mistrzów, 200 miniatur, 20.000 tomów dzieł cennych dopełniają spis bogactw, a zarazem i portret pięknej Massalskiej. Sąd o niej wydać nie łatwo — było wiele złego i dobrego niemało; zresztą — szczęściem dla sądzonych — wyrok tylko do Boga należy. Tutaj staraliśmy się tylko zdać dokładną sprawę z dzieła: *Une grande dame du XVIII siècle*, wycisnąć wszystko, co jest najciekawszem w tym II tomie. Istotnie, choć dzieło to jest napisane w obcym języku i przez obcego autora, choć bohaterka jego zbyt często do sympatyj naszych nie może sobie rościć prawa, i jeśliby miała służyć za przykład, to chyba za odstraszający, należało wszakże zwrócić baczniejszą uwagę na książkę p. Perey, bo jest ona jakby żywą choć smutną ilustracyą naszej historyi i obyczaju pewnej cząstki naszego społeczeństwa na schyłku przeszłego, a i na początku teraźniejszego wieku; rzuca może jaśniejsze światło niż niejedna uczona rozprawa na rozwiązanie ważnego pytania: Dlaczegośmy ojczyznę stracili?

T. W.

Rozmaitości.

Nowe wydawnictwo Akademii. Akademia Umiejętności w Krakowie powzięła zamiar wydawania przedruków rzadkich utworów literatury w językach polskim lub łacińskim pisanych, celem uprzystępnienia ich wykształconemu społeczeństwu a szczególnie uczonemu światu polskiemu.

Zadanie to przejęła istniejąca przy tejże Akademii komisya dla badań w zakresie historyi literatury i oświaty w Polsce i uchwałą swą z dnia 11-go Czerwca b. r. postanowiła zamiar powyższy, w jak najkrótszym czasie w czyn wprowadzić. Uchwalono mianowicie że:

1) „Biblioteka pisarzów polskich wydania Akademii Umiejętności w Krakowie" będzie obejmowała przedruki rzadkich utworów literatury w językach polskim lub łacińskim pisanych, przedewszystkiem XVI wieku i przeważnie takich, które nie były wydane w Bibliotece Polskiej Turowskiego, oraz dawne zabytki polskiej literatury dochowane w rękopisach.

2) Wychodzić będzie w formacie i na wzór Biblioteki Turowskiego, w zeszytach obejmujących jeden tylko utwór bez względu na jego obszerność lub kilka utworów, ale bądźto tego samego autora, bądźto odnoszących się do tego samego przedmiotu.

3) Wydawca pewnego utworu (polskiego) powinien przygotować rękopis do druku, modernizując pisownię, zachowując wszystkie właściwości językowe, objaśniając w odsyłaczach wyrazy przestarzałe, oraz podając na końcu spis alfabetyczny tych, których niema w słowniku Lindego. — Wolno wydawcy poprzedzić rzecz wstępem, który w żadnym razie nie może być osobną rozprawą ani przechodzić obszernością kilku stron druku. Wydawca dostaje zwrot kosztów przepisywania i ma prawo do honoraryum, według norm przyjętych w komisyach akademickich.

Na temże posiedzeniu wybrano komitet redakcyjny, mający kierować całem wydawnictwem. Przewodnictwo nad nim objął Prof. Dr. Stanisław hr. Tarnowski, sekretarz generalny Akademii Umiejętności. W skład komitetu weszli następnie pp. Dr. Michał Bobrzyński, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek zwyczajny Akademii Umiejętności; Dr. Józef Rostafiński, prof. Uniw. Jagiell., członek zwycz. Akademii Umiejętności; Dr. Władysław Wisłocki, kustosz biblioteki Jagiellońskiej, członek zwycz. Akademii Umiejętności, jako reprezentanci trzech wydziałów Akademii, oraz pp. Ks. Dr. Władysław Chotkowski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego i Dr. Stanisław Tomkowicz, członkowie komisyi literackiej. Sekretarzem komitetu jest Dr. Józef Korzeniowski.

Komitet rozsyła zaproszenia do wzięcia udziału w powyżej objaśnionem przedsięwzięciu Akademii. Każda wiadomość o jakiemkolwiek dziele, mogącem wejść w ramy tego wydawnictwa, będzie dla niego pożyteczną wskazówką.

Ma się wkrótce ukazać na wystąwie naszej w sukiennicach **popiersie św. Ignacego Loyoli** z terrakety, naturalnej wielkości. Jestto dzieło młodego, lecz zaszczytnie już znanego rzeźbiarza p. Tadeusza Błotnickiego. Pomijamy tu wielkie zalety wykonania, o których zwiedzający wystawę najlepiej będą mogli się przekonać — podnosimy tylko wartość historyczno-portretową, czyli autentyczność rysów Świętego. Dokonane bowiem zostało to popiersie z głowy gipsowej przywiezionej przez wypędzonych w r. 1820 synów św. Ignacego z Rosyi, a która to głowa według znawców nie może być czem innem, jak tak zwaną maską, tj. odlewem zrobionym po śmierci z twarzy Świętego. Nadto do wykończenia i nadania wyrazu, posłużyła stara, wielkiej wartości litografia z kolegium Starowiejskiego i fotografie z autentycznych portretów przechowanych w Hiszpanii i Włoszech.

Reprodukcye można zamawiać u Artysty ul. Grodzka 29, po cenach: około 10 złr. za gipsową a 25 z terrakoty.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wybory municypalne w Rzymie. — Manifestacye uliczne. — Hr. Castagnetto o nowym kodeksie karnym. — Zamachy na szkoły katolickie. — Kwestya eksterytoryalności Watykanu. — Encyklika o wolności. — Projekt prawa o stowarzyszeniach we Francyi. — Zwycięstwo katolików belgijskich w wyborach do parlamentu.

Od krańcowej demagogii tylko krok do tyranii; stara ta prawda dziejowa tak jaskrawo sto lat temu we Francyi stwierdzona, mniej zapewne jaskrawe, ale nie mniej dobitne znajduje potwierdzenie w coraz sroższem prześladowaniu Kościoła we Włoszech przez prawdziwie garybaldowski rząd Crispiego. Dawno już rzekomi wyznawcy i obrońcy wolności tak bezczelnie nie zdeptali najelementarniejszego pojęcia wolności i rzeczywistej woli ludu, jak obecnie we Włoszech; dawno już ci, co przez długie czasy nazwiskiem liberałów usiłowali zjednać sobie sympatye niedoświadczonych, tak jawnie nie zrzucili maski, wyrzekając się dawnych, obłudnych formułek o wolności i braterstwie; zmieniając je w prześladowcze edykta, nakładając na Kościół żadnymi już pozorami nie ozłocone kajdany. Kto wierzył jeszcze w parlamentaryzm, jako *palladium* wolności, a w wyborach równie do parlamentów jak do rad miejskich upatrywał objawiającą się wolę i głos ludu, tego ostatnie wybory do rzymskiej rady miejskiej musiały ostatecznie rozczarować. Rząd, który w zasadzie powinien był się zachować zupełnie neu-

tralnie, użył wszelkich możliwych sprężyn, nie szczędził ani jawnych obietnic, ani równie jawnych gróźb, byle nie dopuścić wyboru kandydatów zaleconych przez *Unione Romana*. W tym celu doprowadził Crispi do skutku oryginalne przymierze między najnieprzyjaźniejszemi sobie stronnictwami: radykali i monarchiści, socyaliści i umiarkowani liberali szli wspólnie w ściśniętych szeregach do urny; urzędnikom zakazano pod najsurowszą odpowiedzialnością wstrzymywać się od głosowania: ktoby nie rzucił swej gałki za kandydatem rządowym, ten tem samem uważanym miał być za wroga państwa; w przeddzień wyborów nadano prawo do głosowania 1300 nowym wyborcom, na których rząd bezwarunkowo mógł liczyć. Rozlepione po ulicach proklamacye głosiły: „Pójdziemy wszyscy przeciw wspólnemu wrogowi — Watykanowi“; tłumy spędzonych z całych Włoch radykałów z tem hasłem przeciągały przez ulice i z tem hasłem na ustach niesławne osiągnęły zwycięstwo. Właściwi wyborcy rzymscy w liczbie około 9000 jak zawsze tak i teraz głosowali za listą podaną przez *Unione Romana;* urzędnicy, emigranci, robotnicy przybyli do Rzymu z całych Włoch, mało zazwyczaj wyborami się zajmujący, teraz pod żelazną ręką Crispiego, stanąć musieli przy urnie jak jeden mąż, zapewniając rządowi 15.000 głosów. W obec takiej statystyki wyborczej, z góry już wiadomo dobrze, jaki będzie ostateczny rezultat; tylko, pytają słusznie katolickie a nawet nie katolickie organa, czy można te wybory nazwać rzymskimi, czy nie jest śmieszną komedyą mówić o woli Rzymu i o przedstawicielach rzymskich, wybranych wyłącznie niemal przez tych, którzy w Rzymie chwilowymi są gośćmi, tradycyj wiecznego miasta nie znają, a z jego interesami nic ich nie wiąże? Czy raczej właśnie, jak zauważa *l'Observateur Français*, ostatnie wybory uskutecznione pod hasłem: *Watykan lub Kwirynał*, nie dały nowego świadectwa żywotności kwestyi rzymskiej, wciąż jak upior stojącej i straszącej włoskich ministrów, odejmującej im przyrodzony spryt i dowcip, który wytłumaczyćby im przecież powinien, że samo już głośniejsze przypomnienie kwestyi rzymskiej jest stwierdzeniem jej istnienia, a zatem równa się dla nich przegranej?

Ubitym już torem po ogłoszeniu wyniku wyborów odbyły się po ulicach rzymskich hałaśliwe demonstracye antyklerykalne; demonstracye te na wszelki wypadek były przygotowane: w razie

zwycięstwa katolików świadczyćby miały o oburzeniu, obecnie świadczyły o radości mieszkańców Rzymu. Wśród okrzyków: „Precz z księżmi! Precz z Watykanem! Precz z klerykałami!“, udali się manifestanci, złożeni przeważnie z Piemontczyków i Toskańczyków pod okna Kwirynału, gdzie hałasowali blisko kwadrans, czekając napróżno ukazania się króla. Natomiast Mancini wygłosił z swego balkonu dłuższą mówkę, w której w entuzyastycznych wyrazach sławił: „młodych Włochów i młodzież, będącą przednią strażą postępu i ludzkości“. Oryginalną illustracyą do tego „postępu i ludzkości“ był transparent wywieszony w oknie jednej z redakcyj, sympatyzujących z manifestacyą, a przedstawiający kilku „Rzymian“ kopiących i bijących katolickiego kapłana. Policya patrzyła spokojnie na wszystkie te wybryki; dlaczegóż zresztą miałaby się niepokoić, kiedy sam Crispi, przyjmując tego samego dnia deputacyę studentów winszujących mu pomyślnego wyniku wyborów, zachęcił ich niejako do tego rodzaju manifestacyj, mówiąc dosłownie: „Ani na chwilę nie powinniśmy stracić z oka Watykanu“. „Papież, zauważa nie bez słuszności *Pall Mall Gazette* faktami tymi i słowami oburzona, nie będzie mógł ostatecznie dłużej pod takim rządem w Rzymie pozostać“.

Czyby istotnie Crispi zdążać miał do wypędzenia Papieża z Rzymu; do moralnego zmuszenia go, aby przyjął gościnność w innem jakiem państwie? Zdawałoby się to niepodobieństwem ze względu choćby na sam tylko interes Włoch; ale z drugiej strony jak wytłomaczyć sobie to coraz jawniejsze i gwałtowniejsze prześladowanie Kościoła i Papiestwa, jeśli nie ma ono na celu uczynić Papieżowi pobyt w Rzymie absolutnie niemożliwym? Jakoż od pewnego czasu pogłoski o opuszczeniu Rzymu przez Papieża uporczywie powtarzają się, a choć obecnie są to podobno tylko w zbyt bujnych wyobraźniach wylęgłe pogłoski, zaręczyć trudno, czy nie przejdą niebawem w dziedzinę rzeczywistości. Uchwalony już w izbie poselskiej nowy *Kodeks karny*, choć wprost i bezpośrednio osoby Papieża nie dotyka, łatwo bardzo jednak, zwłaszcza w obec coraz większego lekceważenia choć przez sam rząd włoski ustanowionych praw gwarancyjnych, i przeciw Watykanowi może być i niewątpliwie będzie skierowanym. Na tę zwłaszcza okoliczność zwrócił uwagę swych kolegów 87-letni dziekan senatu włoskiego,

hr. Castagnetto, w obszernem piśmie zaklinającem wszystkich dobrze myślących senatorów, aby nie udzielili swej sankcyi „bezbożnemu temu zbiorowi praw", którego jedynym widocznym celem jest walka na zabój z Kościołem. „Nie mogę wprawdzie spodziewać się, pisał sędziwy, dobrze zasłużony senator, aby pismo moje wywrzeć miało jaki wpływ na tych z moich kolegów, którzy do służby loży się zaciągnęli, bo muszą oni wedle rozkazów loży głosować; ale tym, którzy jeszcze w sercach wiarę zachowali, przypominam, że jedynie katolicyzm zapewnia Włochom odrębne znaczenie i pewnego rodzaju panowanie nad światem. Nowe prawa wymierzone przeciw duchowieństwu absolutnie są niepotrzebne, bo gdyby nawet jaki ksiądz rzeczywistej winy względem państwa się dopuścił, to i dzisiaj ma rząd w ręku najzupełniej dostateczne środki do odpowiedniego ukarania go i zapobieżenia złemu. A jakież stanowisko gotuje ten kodeks Papieżowi? Wprawdzie prawa gwarancyjne biorą w obronę Leona XIII, o ile jest Papieżem, przeciw następstwom nowego kodeksu karnego; ale tenże sam Leon XIII, o ile jest biskupem rzymskim, podlegać będzie musiał w równym stopniu, co i każdy inny książę Kościoła, opłakanym skutkom niesprawiedliwego tego prawodawstwa. Wszakże ponieważ obie te godności w jednej złączone są osobie, a kto uderza na biskupa rzymskiego, ten temsamem bije na głowę całego katolickiego świata, łatwo przewidzieć, że wszystkie katolickie ludy z oburzeniem powstaną, i przeciw potwornym tym prawom zaprotestują. Nie! nie powinniśmy, nie wolno nam zezwolić na poddanie wyjątkowym karom jednej klasy narodu, i to tak wielce względem całego narodu zasłużonej; zgadzając się na te prawa, udzielilibyśmy naszej sankcyi jawnemu prześladowaniu katolickiej wiary.

Słowa hr. Castagnetto znalazły głośny oddźwięk we wszystkich szlachetnych sercach, których dzięki Bogu! nie brak jeszcze równie we Włoszech, jak poza ich granicami. Słynny historyk Cezar Cantù w liście w gazetach ogłoszonym podziękował publicznie sędziwemu senatorowi za „odważny jego czyn, tak pięknie odbijający od tylu podłości, których musimy być świadkami; za czyn, z którego potomność pozna, że i za smutnych dni naszych nie wszyscy byli we Włoszech zarażeni podłością". W podobnym tonie odezwały się protestanckie organa jak: berlińska *Kreuz-Zeitung*,

londyńskie: *Pall Mall Gazette, Saturday Review, Guardian*, z których ostatni zwłaszcza nie ma dość ostrych słów do potępienia kodeksu i jego twórców.

„Gdyby kodeks osnuty na podobnych zasadach, pisze ta gazeta, istniał we Francyi, natenczas wszyscy pisarze i mowcy przedstawiający restauracyę hr. Paryża jako najodpowiedniejsze lekarstwo na wewnętrzne nieporządki, innymi słowami, wszyscy monarchistycznie usposobieni pisarze i mowcy mogliby zostać skazani na dożywotnie więzienie lub deportacyę do Kajenny. Gdyby podobny kodeks karny istniał w Anglii, natenczas pp. Gladstone, Morley, Wilhelm Harcourt, wszyscy liberalni kandydaci do parlamentu, wszyscy mowcy na liberalnych wiecach mogliby na resztę życia dostać się pod klucz więzienny. Wykonywanie takiego prawa we Francyi lub Anglii usprawiedliwiłoby najzupełniej wybuch rewolucyi... Z wyjątkiem jednej może Irlandyi z wieku zeszłego, żaden kraj, mający pretensyę do wolności, nie był nigdy jeszcze świadkiem takiego prześladowania; a we Włoszech jest ono tem dziwniejsze, że skierowane jest przeciw religii, uznanej w konstytucyi za religię państwową. Historya nie ma widocznie dla p. Crispiego najmniejszego znaczenia. Czyż nie widział Bismarka zmuszonego do usunięcia praw majowych; czyż nie słyszał, jak oportuniści francuscy, którzy niegdyś uważali Kościół za głównego swego wroga, wyznać musieli ze wstydem, że ta właśnie walka przeciw Kościołowi podjęta, wystawiła rzeczpospolitą na największe niebezpieczeństwo".

Rząd włoski nie tylko tych nauk, wypływających równie z współczesnej jak i dawniejszej historyi rozumieć i słuchać nie chce; lecz owszem *kodeksem karnym* nie zadowolony, coraz nowe środki przeciw Kościołowi i *Pretendentowi*, jak Crispi publicznie Papieża nazwał, z dnia na dzień wymyśla i w czyn wprowadza. Minister oświecenia Bosseli, mówiąc w parlamencie o prywatnych i publicznych szkołach, zapowiadał walkę na zabój „wszystkim tym zakładom, które hamują szlachetne dążenia młodzieży, ostudzają w niej miłość ojczyzny i naszej narodowości". Choć wyraz „szkoły katolickie" nie został wymówiony, wszyscy zrozumieli natychmiast, że o nich wyłącznie jest mowa, tem bardziej, że w tym samym czasie liberalne gazety podniosły głośmy alarm przeciw katolickim a w szczególności jezuickim konwiktom. Czy izby zawo-

tują nowe prawo przeciw katolickim szkołom, czy rząd administracyjną drogą je zwinie, to rzecz podrzędna; Crispi dostatecznie już okazał, że byle dopiąć celu, ani z uczuciem sprawiedliwości, ani z pisanemi prawami wcale się nie rachuje; a parlament włoski dał sobie również niejednokrotnie świadectwo, że ani swej godności, ani niezawisłości bronić nie umie. Prawa gwarancyjne z takim niegdyś hałasem przez parlament uchwalone, dawno bez żadnych z jego strony protestów raczej na papierze niż w rzeczywistości istnieją; dziś wręcz bez zachowania choćby najmniejszego pozoru raz po raz zostają zgwałcone, a parlament wszystkie te nie tylko Papieżowi, ale pośrednio przynajmniej i sobie wymierzone zniewagi z olimpijskim spokojem przyjmuje do wiadomości. Najnowsze, brutalne zgwałcenie praw gwarancyjnych, równa się właściwie formalnemu ich zniesieniu. Przed paru miesiącami poruszono pytanie, czy kontrakta zawierane w Watykanie i w innych pałacach apostolskich podlegają ogólnemu prawu włoskiemu, a zatem muszą być pod groźbą nieważności opatrzone stęplem państwowym i przez notaryusza rządowego stwierdzone; czy też, jak to dotychczas miało miejsce, mają być uważane za akta zagranicznego mocarstwa, dokonane po za terytorym włoskiem. Pierwszy notaryusz trybunału florenckiego, Dr. Karol Sagnoni, oświadczył się energicznie za *exterytoryalnością* Watykanu i w osobnej broszurze dowiódł, że wypływa ona bezpośrednio, owszem, że jest główną podstawą praw gwarancyjnych. Na broszurę tę odpowiedziało ministeryum skarbu oświadczeniem a raczej dekretem stanowiącym, że „prawa gwarancyjne „bynajmniej nie zapewniają Papieżowi i *pozostawionym mu do „użytku* pałacom przywileju exterytoryalności; przeciwnie, wespół „z odebraniem Kościołowi władzy świeckiej, odjęto tem samem „głowie Kościoła wszelką państwową juryzdykcyę. Dlatego kontra„kta podpisane w Watykanie nie mogą być uważane jako kon„trakta w zagranicznem państwie zawarte. Minister skarbu wycho„dząc z tej zasady uznał wszystkie te akty za prywatne i za pod„dane ogólnemu prawu stemplowemu; rozkazał również, aby akty „te w przeciągu najdalej dwudziestu dni były do ksiąg publicznych „wciągnięte pod groźbą nieważności i kar prawnie ustanowionych".

Kiedy tak wolnomularze — wrzekomi obrońcy i przedstawiciele wolności — coraz bardziej zaciskają i tak już ciasne więzy,

i coraz cięższą niewolę gotują Kościołowi i papiestwu, Kościół tymczasem żadnemi nadużyciami nie zrażony, nie przestaje prawdziwą wolność, przez Boskiego swego Założyciela w świat wprowadzoną, głosić i rozszerzać. W chwili rosnącego prześladowania, gdy nie dawno jeszcze temu tak głośno sławiony wyraz *wolność* wszędzie niemal, ale najbardziej w Rzymie, anachronizmem się być wydaje, Leon XIII podejmuje drogą tę perłę przez rewolucyę do błota wrzuconą, i w mistrzowskiem piórem skreślonej encyklice *Libertas praestantissimum naturae bonum*, przypomina, czem jest wolność, jakie jej skutki i przymioty, jaką drogą i w jaki sposób mogą ludzie jedynie prawdziwą wolność osiągnąć. Jak wszystko, co człowiek posiada, naucza Papież, tak i wolna wola ludzka jest darem Bożym, dla dobra naszego i zbawienia wiecznego nam użyczonym. Wolę tę przez grzech złamaną uleczył Boski Zbawiciel łaską swoją; uszlachetnił ją i skierował do celów wyższych, do nieba; zostawiając człowiekowi najzupełniejszą wolność, nauczył go w jaki sposób ma tej wolności dobrze i dla szczęścia swego używać. Kościół ciągnie tylko dalej przez wszystkie wieki po dziś dzień dzieło swego Założyciela; jest nie tylko obrońcą, ale jest i był zawsze źródłem należycie zrozumianej wolności. Lecz czyż Kościół z „nowożytnemi wolnościami“ nie walczy, czy ich nie potępia? Co jest dobrem i świętem w „nowożytnej wolności“, z tem Kościół nigdy nietylko nie walczył, lecz owszem, w tego obronie zawsze występował, jak świadczą nowsze i dawniejsze jego walki z wszelkiego rodzaju zwolennikami fatalizmu, czy zwali się Manichejczykami, czy Jansenistami; Kościół potępia nie wolność, lecz fałszywy liberalizm, grający tę samą rolę w obywatelskiem życiu, którą w filozofii odgrywa racyonalizm i naturalizm. Wolność, która znieść usiłuje wszelkie wyższe prawo, także każdy wedle swego widzimisię tworzyćby sobie mógł własną swą religię i moralność, prowadzi koniecznie do najzgubniejszych następstw: znosi różnicę między dobrem a złem, między prawem a bezprawiem; stanowi fizyczną siłę jako najwyższą normę i spójnię społeczeństwa. Ale sama tylko siła nigdy nie potrafi nałożyć hamulca namiętnościom ludzkim, jak tego dowodzi codzienne doświadczenie zaczerpnięte z walki z socyalistami i pokrewnemi im partyami dążącemi do przewrotu. Pod koniec encykliki omawia Papież różne rodzaje i odcienie nowoczesnej wolno-

ści: wolność religijną, prowadzącą zazwyczaj do utraty wszelkiej wolności i do niewoli grzechu; wolność słowa, prasy i nauki, do których zastosować można charakterystyczne zdanie św. Tomasza z Akwinu: Nie chcemy, aby złe się działo; nie chcemy również, aby się nie działo; ale dozwalamy, aby się działo. Nowoczesna więc wolność nie odpowiada przynajmniej w zupełności pojęciu wolności prawdziwej: a gdzie takiej szukać, kto nauczyć jej i dać ją może? Jedynie Kościół, nieśmiertelny strażnik prawdy; ustanowiony przez Boga samego stróż wszystkich dóbr i skarbów, które wespół z wolnością, pierwsze miejsce między nimi zajmującą, niezbędne są do utworzenia i wzrostu doskonałego społeczeństwa.

Encyklika o wolności wydana w chwili, w której europejska a w szczególności francuska masonerya przygotowuje się do uroczystego obchodu stóletniej rocznicy wielkiej rewolucyi — najlepszą jest odpowiedzią i nauką dla tych wszystkich, którzy sławiąc wrzekome zdobycze z 1789, zapominają, że wszystko, co było prawdziwego i wzniosłego w zasadach wówczas głoszonych, zapożyczonem było po prostu z nauki chrześcijańskiej; a to, co z nauki tej nie było wziętem, doprowadziło i logicznie doprowadzić musiało do krwawej tyranii r. 1793. Nauka ta, to spokojne a jednak pełne siły i prawdy zdemaskowanie zbyt licznych doktrynerów, którzy przekręcając pojęcie wolności — „najzacniejszego daru natury“ — w niewolnicę swoję, w broń przeciw ludzkiemu i Bożemu porządkowi chcieli ją przemienić; nie mogło się naturalnie podobać ani tym doktrynerom, ani wszystkim równie włoskim, jak francuskim, równie teoretycznym jak praktycznym zwolennikom zasad r. 1789, nie mówiąc już o zwolennikach zasad, a raczej zbrodni późniejszych. Stąd aż zbyt widoczny ambaras i niechęć rewolucyjnej prasy włoskiej i francuskiej. Z jednej strony Papież bierze w obronę wolność i wykazuje jasno, komu ją świat zawdzięcza; z drugiej strony ta wolność chrześcijańska przez Ojca św. głoszona, a której świat tyle miał i ma do zawdzięczenia, zupełnie jest różną od liberalnej, rewolucyjnej, antychrześcijańskiej wolności, której jedynymi dotychczas owocami był i jest zamęt społeczny, nienawiści jednych warstw społecznych przeciw drugim, nędza a nieraz i proste morderstwa.

Jak tę różnicę wytłumaczyć, jak czytelnikom swym oczy na

nią zasłonić? Wiele gazet, obawiając się snać, aby sam tekst encykliki nie dał czytelnikom powodu do poważnych rozmyślań, ledwie słowem o niej wspomniały, lub dały streszczenie tak niedokładne, że nie wiedzieć, czy. umyślnie znaczenie encykliki chciały sfałszować, czy też go może nie zrozumiały. Ostatnie to przypuszczenie tem jest prawdopodobniejsze, że niektóre dzienniki atakując encyklikę, wręcz przeciwne czynią jej zarzuty, wręcz ze sobą sprzeczne wydają sądy. Tak np. *Tribuna* nazywa encyklikę „tryumfem oportunizmu“; *Diritto* widzi w niej nowy dowód nieprzejednalności Papieża; *Riforma* pisze z przekąsem o „nowej akademickiej publikacyi“ i dowodzi z szczególnego rodzaju logiką, że ogłoszenie encykliki o wolności najlepszym jest znakiem zupełnej wolności papieża; *Popolo Romano* i *Fanfulla* upatrują w encyklice jutrzenkę nowej polityki klerykalnej, nowej ery, która niebawem zaprowadzi katolików do urn wyborczych; *Capitale* nie przebierając zwyczajem swoim w wyrazach, rzuca na Papieża brutalne obelgi. Podobna rozmaitość, a raczej sprzeczność zdań w prasie francuskiej, choć wyznać należy, że nietylko już katolickie, ale i wszystkie poważniejsze francuskie organa republikańskie wyraziły się o encyklice z daleko większym taktem i zrozumieniem rzeczy, niż organa włoskie. Natomiast, jako bijący w oczy przykład braku taktu i zrozumienia rzeczy, służyć mogą artykuły niektórych liberalno-żydowskich gazet wiedeńskich. Tak np. wedle bardzo rozszerzonego *N. Wiener Tagblatt*, Papież w najnowszej encyklice ogłosił światu polityczny dogmat *juste milieu*, znoszący głoszone przez Piusa IX: *Non possumus;* dał i dać chciał surową naganę wszystkim tonzurowanym i nietonzurowanym fanatykom, którzy nie licząc się z postępem wieku, uznać nie chcieli honorowego miejsca, które powszechna wolność i tolerancya zajęły w dzisiejszem społeczeństwie. Wiedeńskim żydom nie bardzo można się dziwić, że nie zrozumiawszy, lub nie chcąc zrozumieć myśli Papieża, najopaczniej ją przekręcili; smutniejsza, że niektórzy wierzący i w gruncie dobrze myślący katolicy, przez przeciwników swych nie zupełnie słusznie liberalnymi katolikami nazywani, wyzyskać usiłowali encyklikę, jako wyłączną pochwałę swych zasad. Przeciw takim tłumaczeniom, mogącym tylko rozognić dawne spory i rozterki między samymi katolikami, wystąpiły bardzo energicznie, działając wi-

docznie z wyższego polecenia, dzienniki papieskie. Pomiędzy innymi umieścił *Moniteur de Rome* na naczelnem miejscu następującą notę, która jasnością swoją i stanowczością wszystkie nieporozumienia i fałszywe komentarze powinnaby ostatecznie usunąć:

„Dowiadujemy się z rozmaitych stron o komentarzach, dążą„cych do wyzyskania encykliki *Libertas* przeciw jednemu z kato„lickich stronnictw. O ile wiemy, pismo papieskie zawiera nauki „i rady dla wszystkich katolików. Leon XIII, nie dotykając spor„nych punktów, wskazuje ogólne zasady i prawidła postępowania „dla wszystkich bez wyjątku katolików. Z nauk zawartych „w encyklice wszyscy mogą i powinni korzystać. Papież wydał „ją dla wszystkich, nie myśląc bynajmniej stawać w obronie i wal„czyć za przekonaniami któregobądź w szczególności stronnictwa".

Rządowe gazety francuskie z należnym uznaniem wyraziły się o Papieżu kruszącym kopię za wolność, o Papieżu „znającym i rozumiejącym swój wiek", jak wyraził się *le Temps*; niestety, rząd francuski bez przerwy w przeciwnym postępuje kierunku; głosząc szumne frazesy o wolności, jednocześnie coraz srożej i bezwstydniej katolików uciemięża. Wedle ułożonego przez Floqueta projektu nowego prawa „O stowarzyszeniach", czyli raczej, jak ktoś prawdziwie zauważył „Przeciw stowarzyszeniom", wszystkie bractwa, kongregacye, słowem wszystkie równie świeckie jak religijne stowarzyszenia, choćby tylko z trzech, a nie jak dotychczas z dwudziestu, osób złożone, powstawać nie mogą bez osobnego pozwolenia rządowego, przez cały przeciąg istnienia zostawać mają pod ścisłą kontrolą państwa, które nadomiar w bardzo częstych wypadkach może skonfiskować cały ich majątek. Tyrańskie to prawo podetnie byt i niemal możność istnienia, tak pięknie dziś i pożytecznie kwitnącym stowarzyszeniom św. Wincentego a Paulo, św. Franciszka Regisa; kongregacyom N. Panny; kółkom rzemieślniczym; odbierze tysiącom ubogich chleb i cnotę; — mniejsza o to, byle rząd mógł tamować akcyę Kościoła, a nie pozwalając mu świadczyć dobrodziejstw, zmniejszał jego wpływ i urok. W tym samym celu rozgłoszono po całej Francyi jakiś, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wymyślony skandal, który miał mieć miejsce w Citeaux, w domu poprawy dla małoletnich przestępców, zostających pod kierunkiem kongregacyi św. Józefa, i ponieważ oskarżono — choć

nie przekonano — dwóch zakonników o brzydką zbrodnię, zażądano z wielkim hałasem zniesienia wszystkich zakonów. W takim razie, odpowiadają słusznie katolicy, należy również rozpędzić parlament, który tak długo w murach swych gościł Wilsona; należy rozpędzić ministerya i rząd cały, o którego niejednym członku krążą nieraz najsmutniejsze, a często aż zbyt sprawdzone wieści. Biskup Treppel z datami statystycznemi w ręku dowiódł, że w ostatnich dziesięciu latach sądy wydały stosunkowo trzy razy tyle wyroków przeciw nauczycielom świeckim, co przeciw zakonnym; dla czegóż więc nie postawić wniosku żądającego zniesienia wszystkich szkół świeckich? Czyż zresztą parlament, który depcząc najświętsze uczucia ludzkości, oświadczył się za zaprowadzeniem po fabrykach przymusowego odpoczynku przez jeden dzień w tygodniu, ale z wykluczeniem niedzieli, nie zasłużył sobie oddawna na rozpędzenie? Z dnia na dzień zmieniające się rządy francuskie coraz bardziej staczają się po pochyłości, po której równie często zmieniając się staczały się sto lat temu. Przestroga to i nauka; daj Boże tylko, aby póki czas, zrozumiano ją w biednej, na wewnątrz waśniami rozdartej, na zewnątrz nielitościwie hańbionej republikańskiej jeszcze dzisiaj, jutro już może komunistycznej Francyi.

W skutek ostatnich wyborów belgijskich, nadzwyczaj dla katolików korzystnych, izba wyższa składa się obecnie z 50 katolików i 19 liberałów, a izba niższa z 97 katolików i 41 liberałów. Z taką większością będzie już mógł obecny rząd brukselski, byle na energii i konsekwencyi mu nie zabrakło, przeprowadzić nakoniec niezbędne, a oddawna obiecywane reformy społeczne w duchu katolickim.

Ks. Jan Badeni.

Listy o Rumunii.

(Dokończenie).

VI.

Na zakończenie tej seryi listów o Rumunii wypada nam wspomnieć z kolei o początkach chrześcijaństwa, jego krzewicielach

i obecnym stanie Kościoła w Rumunii. Tak co do czasu jak i co do apostoła, który pierwszy zaniósł tam światło wiary świętej, zdania są podzielone, a i tradycya sama nie przechowała nic takiego, z czegoby można pewny sąd w tej sprawie wydać. Zgodnie z pobożną tradycyą przytoczoną przez Euzebiusza [1], pierwszym głosicielem Ewangelii św. w Dacyi miał być św. Andrzej; drudzy znów przypisują to apostolstolstwo pewnemu św. Mikołajowi współczesnemu Konstantynowi Wielkiemu; inni w końcu, a zdanie to najwięcej jest rozpowszechnione, przyznają to św. Pawłowi, jak z jego własnych a nie mniej św. Hieronima i Nazyanzena słów wynika, a to jest tem prawdopodobniejsze, że *Myzya*, przez nich wspominana, była pograniczną prowincyą państwa Rzymian, którzy od początków swej rzeczypospolitej tak w czasie pokoju, jak i w czasie wojny ciągłe utrzymywali stosunki z Dako-getami.

Pomijając nawet samą tradycyę, byłoby nie mniej błędnem przypisywać Grekom a tembardziej Słowianom wprowadzenie chrześcijaństwa w koloniach Dacyi. „Chrześcijaństwo, jak powiada w swej encyklice metropolita unicki, Solutyn, a z nim zgadzają się wszyscy wybitniejsi historycy rumuńscy, pojawiło się w Dacyi jednocześnie z orłami rzymskimi, a i sama juryzdykcya kościelna, której podlegali Dako-rumuni aż do czasów Focyusza, była rzymską a nie bizantyńską. Wywodom Miklosich'a, Jirečka i niewielu innych, którzy nie zadawszy sobie trudu, aby gruntownie rzecz zbadać, przeciwnego są zdania, przeciwstawić można nietylko argumenty *a priori*, ale i silne dowody *a posteriori* jak np. świadectwo Tertulliana [2], wzmianki tu i owdzie zachowane o prześladowaniu, jakie miało miejsce w 249 r., dalej rzeźby archeologiczne z pierwszych czasów chrześcijaństwa odnalezione w środkowych częściach kraju, a w końcu liczebną przewagę wyrazów pierwotnie łacińskiego pochodzenia nad wyrazami egzotycznemi daleko późniejszemi, słowiańskiego i bizantyńskiego pochodzenia w terminologii chrześcijańskiej języka rumuńskiego, jak to stwierdzają poważne badania filologów najnowszych czasów.

Za czasów cezara rzymskiego Aureliana, kiedy wiara Chry-

---

[1] Hist. Eccl. III, 1.

[2] Contra Judaeos c. VII.

stusowa zaczynała zaledwie kiełkować, a w żadnej części tego państwa Ewangelia nie była jeszcze religią panującą, zostały ostatecznie odwołane legiony rzymskie (271 r.) z prawej strony Dunaju; w ten sposób nowa ta kolonia rzymska została wystawioną na łup różnych barbarzyńców, — najprzód pogan, później aryanów, z kolei znowu pogan, którzy przez dziesięć blisko wieków najeżdżali i pustoszyli nieszczęśliwy ten kraj, izolując go od reszty cywilizowanego świata; nic dziwnego więc, że o chrześcijaństwie krajowców zaledwie słabe zachowały się ślady, sam nawet pierwiastek dako-rzymski nie przejawia się w historyi aż do XIII-go wieku, kiedy znów zaczyna wypływać na wierzch i to jednocześnie prawie w Transylwanii, Wołoszczyźnie i Mołdawii, zmieszany już jednak z pierwiastkiem słowiańskim i zostający pod obcem panowaniem. Myzya zaś zachowała imię samejże kolonii i nazywała się już odtąd Dacyą Aureliańską, dzieliła się ona na dwie części: na Dacyę nadmorską i Dacyę środkową.

Tu Dako-rzymianie natrafili na ślady św. Pawła apostoła i drogiego mu Apolinaryusza, i wkrótce sami w okrutnych prześladowaniach przelali krew męczeńską za wiarę świętą; dość wspomnieć o męczennikach tomitańskich i sylistryjskich z 286 r., których akty męczeńskie przechowują się w Propagandzie w Rzymie. Krew męczenników i cierpienia ludu wyjednały u tronu Najwyższego tryumf nowej wierze nie tylko w Dacyi, ale i w całem państwie Konstantyna Wielkiego, a historya kościelna następnych wieków, pomimo swej niedokładności, nie pomija wzmianki o nich. Dwaj ich biskupi Protogen i Gaudenty brali czynny udział w soborze sardyjskim w IV wieku, a o sześciu innych znajduje się wzmianka bezpośrednio po koncylium chalcedońskiem w V wieku.

Za czasów pontyfikatu Innocentego I-go wszystkie kościoły tak Dacyi nadmorskiej jak i środkowej zostawały pod władzą biskupa z Tesaloniki, jako wikaryusza papieskiego; w szóstym wieku kiedy stolica biskupia z Tesaloniki została przeniesioną do miasta Justyniana, juryzdykcya kościelna, o czem wiemy z noweli XI-ej i CXXX-ej cesarza Justyniana, została przyznaną arcybiskupowi z tego ostatniego miasta nie tylko nad Dacyą Aureliańską, ale i nad Dacyą Trojańską, świeżo wydartą barbarzyńcom, — i ta nowa sto-

lica biskupia hierarchicznie przyłączoną została do Kościoła zachodniego, chociaż politycznie należała do państwa Wschodniego.

W siódmym wieku wtargnęli do Dacyi Aureliańskiej Bulgarzy rozpraszając na wszystkie strony mieszkańców latyńskiego pochodzenia, którzy widząc się wygnanymi ze swoich siedzib, zaczęli powoli zlewać się z najezdzcami, a parci coraz więcej na południe, w kraj górzysty, sami zdziczeli, tracąc w ten sposób narodową między sobą spójnię, choć co prawda nie tak dalece, aby już jej nigdy odzyskać nie mogli, gdyż niewiele później napotykamy ich, już jako sprzymierzeńców Bulgarów, zakładających razem z nimi najprzód w IX wieku, a potem w XIII państwo, krótkotrwałe wprawdzie, lecz silne, w którem szczep latyński przodował.

W tych to właśnie czasach (w XII w.) Cyryl i Metody szerzyli tam światło Ewangelii; przetłumaczyli na język słowiański Pismo św., nawrócili Bulgarów i założyli nową stolicę biskupią w Orchidzie, która wkrótce otrzymała zwierzchność nad wszystkimi kościołami. Tę władzę piastowała ona aż do XIV-go wieku, a nad kościołami starej Trojańskiej Dacyi przetrwała aż do końca w. XV-go, jak o tem świadczy akt Stefana Wielkiego, wojewody mołdawskiego, ogłoszony drukiem w *Magazin Istorie al Daciei*[1]. Takie bratanie się z barbarzyńcami szczególnie słowiańskiego pochodzenia i w takiej liczbie, że szczep latyński stanowił zaledwie nieznaczną garstkę, która jednak pomimo takiej liczebnej przewagi nie zlała się całkowicie z obcym elementem, — tłumaczy dostatecznie zobopólny wpływ, mianowicie przyswojenie tego samego alfabetu, obrządku, a z nim i schyzmy.

Romuni zarażeni raz błędami Focyusza, przeciwko którym nie potrafili walczyć z równą wytrwałością, z jaką walczyli w sprawie zachowania swej narodowości przy tak ogromnym napływie obcych im elementów, przystali do schyzmy silniej może jeszcze, niż sami Grecy i Rosyanie; była nawet chwila, przed dwoma wiekami, w której dwa województwa zdawały się być centrem słabnącej gdzieindziej ortodoksyi. Niemało z pewnością przyczyniły się do tego i niecne dążności ościennych katolickich krajów, które w ten

[1] Bukareszt 1845. Tom I, str. 277.

sposób straciły zasługę położoną w nawracaniu na prawdziwą wiarę i do jedności w wierze wszystkich błądzących, — dając tymże powód do przypuszczenia — a niemniej i dziś zakorzenione jest ono, że katolicyzm nie jest niczem innem, jak zwiastunem obcego panowania; przypuszczenie aż nadto szkodliwe, dla zwalczenia którego trzeba czegoś więcej, niż czczych frazesów.

W Romunii ortodoksya jest taką, jaką jest i w innych krajach wschodnich, a może gorszą jeszcze; jeśli w Rosyi np. albo w Grecyi duchowieństwo schyzmatyckie tak świeckie jak i zakonne w równej mierze jest zepsute, służące niewolniczo władzy świeckiej, spodlone, to w Rumunii jest ono w ogólności gorsze: ciemniejsze, więcej pomiatane w towarzystwie, więcej służalcze i daleko mniej ma wpływu na lud prosty. Sam kult nawet, czyto wewnętrzny czy zewnętrzny, nędzny i do najwyższego stopnia zaniedbany. Przed trzema jeszcze laty wyrażał się Congalniceano, — a któremu nikt nie mógł zaprzeczyć, że „od chwili narodowego odrodzenia Rumunii z pomiędzy wszystkich stanów społecznych, stan duchowny najdalej pozostał w tyle". Nie można wyraźniej i dobitniej przedstawić obrazu duchowieństwa rumuńskiego, jak to uczynił Mgr. Melchizedech, jeden z najświatlejszych biskupów tego kraju, w dziełku swojem *Papismul*[1]; obraz byłby kompletny, gdyby przew. prałat chciał był go dopełnić odmalowaniem duchowieństwa i wyższe godności kościelne piastującego.

Znaczna różnica i to ujemna, jaka zachodzi między ortodoksyą Rumunów a ortodoksyą innych krajów, polega na większym i powszechniejszym braku wiary we wszystko, co jest nadprzyrodzone, a to do tego stopnia, że wyżej wspomniany Mgr. Melchizedech w broszurze swojej *Pravoslavia* mógł słusznie powiedzieć o swoich ziomkach, że żaden z nich, mający jakiekolwiek pretensye do wykształcenia, nic nadnaturalnego nie przypuszcza i w nic nie wierzy, owszem, wątpi autor, aby się kto znalazł, coby mógł wierzyć. Nie bierzemy tu rzeczy z matematyczną ścisłością, ale chcemy zwrócić uwagę głównie na fakt, zrazu mogący się zdawać nieprawdopodobnym, który jednak stanowi jeden z przymiotów narodu rumuńskiego, tj. jego religijność. Mógłby niejeden

[1] Bukareszt 1883.

i to słusznie zapytać: jak pogodzić te dwie rzeczy: religijność Rumunów uważaną jest przez wszystkich historyków tak dawnych jak i nowszych za przymiot narodowy, z drugiej strony nie mniej pewnem jest, że sceptycyzm religijny u tego narodu doszedł do najwyższego stopnia? Każdy może powiedzieć, że Rumuni są nader skłonni do religijności: z wielką czcią i pobożnością trzymają się wielu praktyk religijnych; przy każdym ważniejszym akcie wzywają pomocy nieba; nie skąpi w jałmużnie i wspieraniu kościołów, klasztorów, instytucyj dobroczynnych, — skąd więc niedowiarstwo? Źródło tego leży w schyzmie. Wschodnia schyzma, stawszy się z czasem herezyą, postępując logicznie, według swej idei przewodniej, musiała się nareszcie skończyć, jak i wszystkie jej podobne herezye, racyonalizmem i sceptycyzmem, — nie niwecząc jednak w duszy owego nieokreślonego, że tak powiemy, instynktu religijności, który sam Stwórca wlał w dusze ludzkie, a wiekowe praktyki wzmocniły. Jako objaw tego silnego instynktu i sposób zachowania form mogą być, a w naszym wypadku są właśnie owe formy zewnętrzne kultu i niektóre praktyki religijne prawie bezwiednie spełniane, gdyż zastanowienie się nad rzeczywistą wartością tych praktyk, powstające w przesiąkłych fałszem umysłach, nietylko nie oświeca samego instynktu, nie wzbogaca go aktami wolnej woli, lecz przeciwnie, mąci go coraz więcej, wydając konsekwentnie coraz inne i cięższe błędy. Jeżeli to prędzej i w większych rozmiarach spotkało Rumunów niż inne ludy schyzmatyckie, między którymi jest jeszcze wielka liczba prawdziwie wierzących, przypisać to należy z jednej strony opuszczeniu, w jakiem przez całe wieki zostawał ten nieszczęśliwy naród, niepokojony ciągle niefortunnemi wypadkami i najazdami barbarzyńskich szczepów aż do dni naszych; z drugiej strony nie mało się przyczyniła do tego i sama narodowa przenikliwość umysłu, jakiej inne ludy schyzmatyckie, jak bulgarski, serbski i rosyjski nie posiadają.

Można sobie wyobrazić, jakie spustoszenia musiały spowodować w umysłach narodu, skądinąd już i tak do sceptycyzmu skłonnego, nowoczesne doktryny, będące tak w modzie w XIX wieku, wzmacniane do tego wpływami sekciarskimi, którym wykształceńsza młodzież rumuńska podlega przy pobieraniu nauk w najwięcej zepsutych stolicach Europy. W klasie ludzi rządzących lepsi — są

deistami w znaczeniu racyonalistycznym i panteistycznym, zawsze pod pewną okrasą ortodoksyi, uważanej za poszanowania godną tradycyę przodków; reszta spokojnie i z zimną krwią wyznaje się ateuszami, nazywając jezuityzmem nietylko wyznawanie jakiejbądź pozytywnej religii, ale nawet samo, choćby akademickie wymawianie imienia Boga. Publiczne zakłady wychowawcze i cała literatura przesiąkła temi zasadami. Od czasu gdy po całej Europie zaczął grasować pozytywny materyalizm, w Rumunii zastał bujny dla siebie grunt, i w krótkim czasie ogarnął wszystkie katedry, usiłując z każdym dniem wzmocnić swoje panowanie: wszystkie nauki, które dotychczas zostawały w stanie niemowlęctwa, jak np. filozofia i nauki przyrodnicze, obecnie, pod patronatem antispirytyzmu, doszły do rozkwitu.

Krok w krok za zepsuciem teoretycznem postępuje zepsucie moralne całego narodu. Nietylko wiara w nadprzyrodzoność, ale i wiele innych cnót znikło w społeczeństwie do takiego stopnia, że śmiało utrzymywać można, iż te cnoty nietylko się nie praktykują, ale nie wierzy się nawet w to, iżby się mogły praktykować w jakim innym kraju świata! Dziennik ministeryalny *Liberalul di Jassi* tak się wyrażał o najmniej zepsutej klasie społeczeństwa — klasie roboczej: „Chłop rumuński, który nigdy nie miał jasnego pojęcia o religii przez się wyznawanej... obecnie jest całkiem obojętnym, niedbającym o nią, niedowiarkiem. Owo obumarcie poczucia religijnego, które jedynie uszlachetniało robotnika w różnych kolejach jego życia, nie zostało niczem innem zastąpionem; pod względem religijnym zostaje on w największym zamęcie: nie masz dla niego nic wzniosłego, nic świętego, zostawiony sam sobie, bez najmniejszej iskierki światła przewodniego w tym chaosie. Ogromny rozstrój w życiu familijnem — tak wielkie zepsucie, taki brak poszanowania dzieci dla rodziców, — obojętność lub nienawiść rodziców względem dzieci i małżonków między sobą, że zbyt bolesny byłby to widok, gdybyśmy chcieli szczegółowiej malować to życie... Konkubinat wzmógł się do tego stopnia, że prawe małżeństwa uważają się tu za coś nadzwyczajnego i wyjątkowego".

Trzeba jeszcze zauważyć, że to, co *Liberalul* nazywa prawem małżeństwem, często nie jest czem innem jak uprawnionym konkubinatem, gdyż zanadto wielka zachodzi różnica między

kodeksem cywilnym a kanonami Wschodniego kościoła co do pojęcia istoty małżeństwa. Nie mało przyczynia się do tego, tak prawo nie krępujące się nigdy w udzielaniu rozwodów, jak i duchowieństwo, które, pomimo wyraźnego zakazu Kościoła, chętnie udziela swego błogosławieństwa pewnym związkom małżeńskim.

Z religijnego sceptycyzmu powstaje dziwna mieszanina tolerancyi i nienawiści, objaw zresztą dobrze znany i nie potrzebujący bliższego wyjaśnienia, który pod wrzekomym indyferentyzmem ukrywa wiele fanatyzmu tych, co ciągle proklamują wolność myśli i sumienia. Rumuni pomimo swej wrodzonej potulności i powolności, podlegają często pewnym chorobliwym drażliwościom, a najczęściej to ma miejsce tam, gdzie fanatyzm liberalny wchodzi w kolizyę z fanatyzmem focyuszowskim. Tem się tłumaczy niewyraźne, zagadkowe, a można powiedzieć wrogie prawie zachowywanie się względem katolickiego Kościoła w ostatnich latach, a szczególniej od wiosny 1886 r. aż do chwili obecnej.

Kościół katolicki (obrządku łacińskiego) liczy zaledwie 100.000 wyznawców w całem państwie, a pomiędzy tymi są prawie wszyscy obcokrajowcy tak w miastach jak i w pojedyńczych gminach wiejskich, a to ostatnie przeważnie w Mołdawii. Na czele tego Kościoła stoi arcybiskup z rezydencyą w Bukareszcie i biskup w Jasach. Duchowieństwo arcybiskupa stanowią przeważnie Pasyoniści, — biskupa, Bracia Mniejsi konwentualni, a między jednymi i drugimi nie brak i dzielnych synów Polski. Strona moralna i materyalna tych dyecezyj daleką jest jeszcze od tego, aby się mogła nazwać pocieszającą, lecz energia i zapał ich pasterzy zaczynają wydawać, w niektórych przynajmniej miejscowościach, zbawienne owoce.

To nieznaczne polepszenie, nie łatwe jest samo w sobie i nie odpowiada jeszcze potrzebom, a szczególniej nieliczne nawracania się, dalekie są od tego, aby mogły wyrównać codziennym apostazyom — to wszystko, choć tak małoznaczne, wystarczyło jednak, aby zwrócić uwagę na niewyczerpaną żywotność katolicyzmu, z której nie mogą sobie zdać sprawy ci, co nie chcą mu przyznać cechy i pierwiastku Bożego; stąd też jeśli z jednej strony to polepszenie pozyskało uznanie mniej niechętnych, z drugiej strony wzbudziło nienawiść, zazdrość i podejrzenie nieprzychylnych katolicyzmowi. Długo tajona nienawiść tych ostatnich wybuchła w końcu

w gwałtownych manifestacyach na niekorzyść katolicyzmu nie tylko w dziennikach, ale zarazem i w parlamencie i synodzie narodowym. Do tej nienawiści religijnej przyłączyły się również i namiętności polityczne, spowodowane ciągłemi poduszczeniami i wpływem Rosyi, tej głównej szerzycielki ortodoksyi.

W tej walce, która z każdym dniem większe przybierała rozmiary, rząd chciał odegrać rolę pojednawcy, co nie tylko mu się nie udało, lecz całkiem przeciwne wywarło skutki, gdyż swoją dwulicowością zniechęcił dla siebie tak katolików jak i ich przeciwników, a ci ostatni, aby zdyskredytować katolickiego monarchę w oczach narodu, nie mieli nic lepszego do zrobienia, jak przypisać jemu i jego gabinetowi, który uważany jest za narzędzie służalcze Niemiec, akcyę propagandy papistycznej, dążącej, jak się wyrażają, do zagłady wiary przodków, a z nią narodowości i niepodległości Rumunów.

Lecz jakie jest, zapyta niejeden, zachowanie się monarchy katolickiego? Przykro wyznać, lecz nie będąc jego dworzanami, wcale nie myślimy obwijać prawdy w bawełnę, tembardziej że prawda ma swoje niczem nie ograniczone prawa. Zachowanie się monarchy w tej sprawie wcale nie odpowiadało jego wielkim zdolnościom politycznym, od pierwszej bowiem chwili swoich rządów okazywał ciągłe uznanie dla religii panującej, udzielając jej różnych i rozległych przywilejów i pozwalając na wszystko, co niewybrednego nawet katolika niepomału gorszyć mogło.

Pomijając dużo innych faktów, przytoczymy tu jeden, aby choć w części dać poznać, jakie w tej sprawie było zachowanie się monarchy katolickiego. Otóż przed dwoma laty, kiedy nienawiść schyzmatyków do katolicyzmu doszła do najwyższego stopnia, odbywała się w Argez konsekracya schyzmatyckiego kościoła, jednego z pierwszorzędnych zabytków architektury kościelnej w Rumunii, po gruntownej jego restauracyi. Uroczystość odbyła się z nadzwyczajnym przepychem, gdyż z tym obrzędem kościelnym łączyła się myśl wielkiej doniosłości — ożywienia i podniesienia tak ortodoksyi, jak i narodowego ducha Rumunów. Król figurował na pierwszem miejscu, i w stósownej chwili wygłosił mowę, która słusznie czy niesłusznie uważaną była za pewien rodzaj ekscytacyi prawosławia przeciwko mniemanej propagandzie papistycznej. Po tej mowie

wszedł król do *Sancta Sanctorum* i razem z biskupami dokonał konsekracyi ołtarza, a następnie i całego kościoła. Niedawno jeszcze pisała o tem *l'Epoca*, że ten fakt tak oburzył lud i niższe duchowieństwo schyzmatyckie, że kiedy się miała odbyć podobna konsekracya katedralnego kościoła w Jasach, zachodziło niebezpieczeństwo rozruchów ze strony schyzmatyków z powodu mięszania się króla w rzeczy wcale do niego nie należące. Aby temu zapobiedz postanowiono wyłączyć katolickiego monarchę od brania udziału w obrzędzie — ale ponieważ nie mogli uczynić tego w sposób jawny z obawy obrazy osoby monarszej, musieli więc uciec się do podstępu: pozwolili mu wprawdzie namaszczać ściany kościoła, ale nie dali mu do tego potrzebnych olejów świętych.

My pojmujemy tę rzecz w ten sposób, bynajmniej tego nie pochwalając, że król z kilkoma *laxae sententiae* teologami nie widzi formalnego rozdziału między Kościołem Wschodnim a Rzymskim tj. dwóch różnych Kościołów, stąd też uważa, że w podobnym razie dozwolonem jest *communicatio in divinis*. Przyjąwszy nawet to, choć fałszywe pojmowanie stosunków tych dwóch Kościołów, nie zdaje nam się dość uzasadnionem to mieszanie się króla w obrzędy kościelne, gdyż przez to, że jest głową państwa, nie przysługuje mu jeszcze prawo wykonywania w Kościele czynności, które wyłącznie do biskupów należą.

Zresztą cała ta wojna podjęta w Rumunii przeciw katolicyzmowi, zamiast szkodzić, oddaje mu niepoślednie przysługi, wzbudza ona bowiem większe zainteresowanie się sprawami religijnemi, usuwając powoli ową ospałość moralną, która jeśli nie jest jeszcze rzeczywistą śmiercią duchową, to w każdym razie nie wiele się od niej różni. Katolicyzm za mało jest znanym w Rumunii nie wyjmując nawet klas wykształceńszych, stąd też powstają nie rzadko tak niedorzeczne zarzuty i oszczerstwa, że w innym kraju sami wrogowie religii katolickiej wstydziliby się podobnych bredni — następstwem zaś tego jest, że boska moc prawdy doznaje wielkich przeszkód i trudności w przenikaniu serc i umysłów mniej wrogo dla niej usposobionych.

Więcej wiadomości i oświaty dla schyzmatyków, wprowadzanie niektórych instytucyj i uczynków katolickiej miłości, umacnianie wierzących, podtrzymywanie ich pobożności i istniejącego elementu

katolickiego — są to konieczne środki, aby stworzyć w Rumunii zdrowy pierwiastek katolicki, około którego grupując się powoli zdrowsze cząstki, mogły z czasem cały kraj odrodzić religijnie. Co zaś do unii w obecnej chwili nie może ani mowy być o tem. Od czasu gdy Kościół panujący stał się jedynie formą zewnętrzną, po zniknięciu w nim całkowitem pozytywnych dogmatów, które były jedyną spójnią między nim a unią, i środkiem do prędszego poznania fałszu i błędów; proklamowanie się kościołem narodowym, niezależnym, mianującym się konstantynopolitańskim — to wszystko przyczyniło się do tego, aby pożądaną unię odroczyć i to na bardzo długi jeszcze czas.

Pomimo to wszystko, panujący kościół w Rumunii przeznaczonym jest na zagładę, i ten ogólny brak wiary będzie niezawodną przyczyną prędszego czy późniejszego jego upadku. Mamy jednak mocną nadzieję, że razem z tym kościołem nie zaginie narodowość Rumunów, że miłosierny Bóg raczy im policzyć tyle wieków cierpienia i ucisku, tyle walk stoczonych w obronie chrystyanizmu, — prac i znojów apostołów i męczenników, którzy przelaną krwią swoją użyźnili ten kraj.

V. B.

Z archeologicznej przechadzki po Rzymie.

Przyszłe wydawnictwa. — Dziś i dawniej. — Akademie. — Odczyt prof. Carini o znaku krzyża w dokumentach. — De Rossi. — Rzymski kwartalnik. — Dokumenta odnoszące się do historyi polskiej.

Kto był kiedykolwiek w Rzymie a pragnie podzielić się z innymi swemi „wrażeniami lub spostrzeżeniami“, na brak materyału uskarżać się nie będzie. W szczęśliwszem jeszcze położeniu, kto w roku 1888 w Rzymie się znalazł. Rok jubileuszowy — niebywały w dziejach Kościoła, wspaniałym i potężnym tryumfem Stolicy św. — wiele dostarczyć może i niejednemu już wiele dostarczył materyi do korespondecyi. Dziś jednak innemi wrażeniami podzielić bym się pragnął z czytelnikami Przeglądu; źle w górnym, dzisiej-

szym Rzymie; stąpmy do Rzymu archeologicznego, podziemnego, któremu dzisiejsi nawet najezdcy chrześcijańskiej cechy odjąć podobno nie zdołają.

Do dokładniejszego poznania pamiątek starożytnego i chrześcijańskiego Rzymu, zupełny brak w naszym języku naukowego przewodnika[1]. Zagraniczne nie zawsze wystarczają, zwłaszcza co do katakumb. Najlepszy z nich Gsell-Fels'a *Rom und Mittelitalien* polecony powagą Krausa, chociaż opisem katakumb Kaliksta zadowalnia, to o sąsiednich św. Domitylli w całości i w szczegółach same fałsze podaje. „We śnie zapewne pisał o tych rzeczach", wyraził się w rozmowie o tym przedmiocie *ks. Wilpert*, sędzia kompetentny. Nie zbyteczną tedy najnowsza praca tego uczonego *Die Katakombe der hl. Priscilla an der Via Salaria nova*[2], w ostatnim zeszycie rzymskiego Kwartalnika rozpoczęta, po której nastąpi historya innych cmentarzy p. t.: *Die Katakomben an der Via Ardeatina*, przedewszystkiem równego co do obszaru z katakumbami św. Kaliksta — św. Domitylli, lecz ze względów architektoniki i wieku przewyższającego ich znaczenie; niezbyteczną powtóre po olbrzymich treścią i ceną dziełach „księcia archeologów", *G. B. de Rossi*, gdyż one dla ogółu nieprzystępne, a wyniki jego badań i odkryć wspaniałych rozprószone w pojedynczych zrazu zeszytach, potem rocznikach *Bulletino di Archeologia Cristiana*.

Kiedy już mowa o przyszłych wydawnictwach, wypada zaznaczyć, że wśród poważnego zastępu badaczów podziemnego Rzymu, stanął i nasz rodak *ks. Dr. B...* Od dwóch lat pozostając w kolegium polskiem, w żmudnej pracy niestrudzony, poświęcił się cały temu przedmiotowi, o ile wchodzi w zakres dogmatyki, z wielkim dla nauki pożytkiem, a chlubą imienia polskiego. Na innych, czasem nawet najpoważniejszych historyków i badaczów skarżyć się musimy;

---

[1] Miło mi donieść, że jeszcze w bieżącym roku ukaże się pożądana książka, opisująca ruiny *Palatyna i Forum Romanum* na podstawie najnowszej a obszernej literatury z pod pióra jednego z członków tegorocznej do Rzymu wyprawy historycznej.

[2] Katakumby te najmniej znane dotychczas, są obecnie przedmiotem szczegółowych badań Rossi'ego i ks. Wilperta. Pierwszy zbiera napisy; drugi objaśnia jeden z najciekawszych fresków, od czasów Bozyusza niedokładnie lub nawet fałszywie tłumaczony.

samym więc nam o sobie pamiętać, historyi i sławy naszej należy bronić [1].

Niemcy w badaniach archeologicznych stoją dziś co najmniej na równi z włoskimi uczonymi. Do tego wiele przyczynia się *Campo Santo* [2], gdzie początkujący archeolog ma pod ręką bogatą bibliotekę, i stykając się codziennie z rektorem hospicyum Mgrem de Waal szybkie robi postępy w tych studyach; prócz tego może łatwiej niż ktokolwiek inny zasięgać rady i wskazówek samego Rossi'ego.

Ale nie tylko w ściśniętych szeregach niemieckich uczonych, nie tylko w wydawnictwach, o których wspomnieliśmy na początku, koncentruje się ruch archeologiczny w Rzymie; nie tylko w konferencyach nadzwyczajnych Rossi'ego w dnie świętych męczenników, ale głównie w zwyczajnych posiedzeniach dwóch Akademij tego przedmiotu, których prezesem i duszą jest znowu sam G. B. de Rossi. Pierwsza papieska *La Pontificia Accademia romana di archeologia cristiana*, która w gronie swoich członków honorowych liczy i kardynałów, zbiera się 4 lub 5 razy do roku na posiedzenia w pałacu kancelaryi apostolskiej. W maju b. r. odbyło się ich aż dwa — z powodu jubileuszowych uroczystości — pierwszemu z nich 17 maja krótka należy się wzmianka, dla inte-

[1] Jak np. uwzględniają historycy niemieccy Dzieje Kościoła w Polsce w najpoważniejszych swych pracach, wykazano gdzieindziej; o *Hergenröthere* fr. Kwart. hist. z 1880 r. II, str. 340 i 341, a więcej jeszcze *Przegląd powsz.* z marca b. r., str. 368 i 369; nadto Kwart. hist. w pierwszym zesz. b. r., str. 150—153. Tylko tyle w tym roku. I w najnowszym, bezsprzecznie znakomitym podręczniku Krausa „Lehrbuch der Kirchengeschichte" trudno znaleść w indeksie i tekście więcej nad 3 króciutkie ustępy; w drugim (str. 538, wierszy 33) o reformacyi zacytował prof. fryburski najnowsze dzieło (z r. 1860 Bartelsa o (młodszym) Janie Łaskim)! Nie jest również wolnem od tego zarzutu „Geschichte der Päpste', Pastora, podobno tom drugi, który wyjdzie w jesieni b. r., będzie już mogło bardziej nas zadowolnić.

[2] Jako hospicyum sięga ono podobno jeszcze czasów Karola W., dziś jest to rodzaj kolegium, w którem przebywają na studyach historycznych stypendyści z Niemiec jak: Koks, Brom i Hirsch, Dr. Baumgarten; inni jak ks. Wilpert oddają się archeologii. W murach *Campo Santo* gościli czas dłuższy głośnego już teraz imienia uczeni katolicy np. Dittrich z Brunsbergu i Pastor z Innsbrucka. Tu też zmarł przed dwoma laty z wielką stratą dla nauki Diekamp, i tu na przyległym cmentarzu spoczywa.

resującego wykładu Mons. Iz. Carini'go, podarchiwisty i profesora paleografii w nowej szkole watykańskiej na temat: *Signum Christi* w kodeksach i dyplomatach wieków średnich. We wstępie zaznaczył prelegent trzy epoki, na które dzieli nauka zwyczajnie historyą znaku krzyża. I tak: pierwsza obejmuje trzy pierwsze wieki chrześcijaństwa, kiedy w ówczesnem położeniu Kościoła występuje jego symbol pod osłoną rozmaitych znaków i liter np. w kształcie kotwicy, trójzęba, młota lub chowa się w kształcie litery greckiej tau ⊤; to *crux velata*. Następnie sięga wieku V, *crux semivelata*, czyli krzyż występujący dość wyraźnie w dwojakiego rodzaju monogramach; *crux decussata*, X, jako początkowa litera greckiego imienia Chrystusa Pana, i znany sławny znak krzyża Konstantyna W.: ☧ lub prawdopodobniej w tym kształcie ☧; to *crux monogrammatica* lub *monogramma cruciformis*, obok którego z obydwóch stron umieszczano niekiedy apokaliptyczną alfę i omegę, jako symbol początku i końca wszech rzeczy. W ostatniej wreszcie od VI w. ukazuje się krzyż jawny: *crux nuda*. Zauważyliśmy, że Mgr. Carini przychyla się stanowczo do zdania, które początek monogramu Konstantyna W. przed jego czasy odnosi.

Druga Akademia *Accademia di archeologia cristiana*, częstsze odbywa posiedzenia; od grudnia do maja włącznie w pierwszym tygodniu każdego miesiąca; prezesem jej także de Rossi, sekretarzem zaś prof. Orazio Marucchi, autor bardzo dobrego dziełka o *Forum Romanum* i innych prac w zakresie przeważnie pamiątek pogańskiego Rzymu. Posiedzenia te licznych ściągają słuchaczy, bo i wstęp jest dozwolonym dla obcych, i do grona jej członków należą wszyscy oddający się tym studyom, z których najczynniejsi składają sprawę ze swych poszukiwań w obec areopagu najznakomitszych archeologów. Każdy odczyt, odkrycie, hipoteza i wszelki owoc z poszukiwań, jaki przynoszą młodsi badacze, idzie pod sąd Rossi'ego, którego wyrok rozstrzyga o wartości kwestyi. I zaiste, tu dopiero poznaje się tego „książęcia katakumb" już nie tylko głęboką jego wiedzę archeologiczną, ale i rozległą znajomość historyi, jego siłę i rozum krytyczny. Przykład jeden, który zanotowaliśmy w pamięci, niechaj wystarczy. Było to na posiedzeniu w lutym b. r. Pierwszego zaś tego miesiąca piękna odbywała się uroczystość przy bramie Salaria, mianowicie założenia

pierwszego kamienia pod nowy kościół św. Patrycego, patrona Irlandyi, przy którym ma stanąć kolegium OO. Augustyanów tego narodu; poświęcenia dokonał bawiący podówczas w Rzymie arcybiskup dubliński Mgr. Wahls. Okoliczność ta nakłoniła prof. Marucchi'ego do napisania zajmującej monografii historycznej i archeologicznej o miejscowości, gdzie się ma wznieść kościół i zakład irlandzki; tu bowiem leżały owe przesławne ogrody Sallustyusza, które potem w r. 409 podczas napadu Alaryka zniszczały w pożarze do szczętu, tu przy bramie Pinciana, zamkniętej dzisiaj, stoczono walną bitwę z Gotami w r. 537; dalej za murami miasta rozciągały się jedne z najstarszych katakumb św. Pryscylli, gdzie pochowani męczennicy z prześladowania w I w. za Domicyana (81—96), bliżej zaś na *via Salaria* spoczywać mieli — jak twierdzi O. Marucchi — w osobnych grobowcach dwaj współcześni św. Patrycemu papieże: św. Bonifacy I (418-22), i św. Celestyn I (422—32), ten sam, który miał konsekrować apostoła Irlandyi na biskupa w r. 432. De Rossi jednak zauważył, że w obec prawdy historycznej poglądy O. Marucchi utrzymać się nie mogą, chociaż pięknie łączą pewne momenta przeszłości na rzecz obchodu z dnia 1 lutego. Dlaczego? Bo Celestyn I wysłał do Irlandyi nie Patryka, który w Gallii otrzymał sakrę biskupią, Palladyusz zaś jeszcze przedtem był wyświęcony wraz z 4 towarzyszami. Co się tyczy strony archeologicznej wyjaśnić potrzeba, że dwaj tylko papieże Marcellinus i Marcellus (296—309) pochowanymi zostali w katakumbach św. Pryscylli, gdyż ich następca Sylwester I (314—334) a tem więcej późniejsi jak Syryusz i Celestyn I nad ziemią, nad tym cmentarzem, w osobnych mniejszych bazylikach. *Amicus Plato, sed magis amica veritas.*

W r. 1882, równocześnie kiedy Leon XIII otwierał uczonym archiwum watykańskie, otworzono i archiwum Propagandy. Już przedtem od r. 1879 za szczególnem pozwoleniem pracowało w niem nieliczne grono historyków; między innymi *O. Pierling,* znany u nas z prac o Possewinie, zbierał materyały do dziejów Kościoła w Rosyi; *Dr. Bellesheim,* do historyi kościelnej w Szkocyi, *O. Werner* do swych atlasów misyjnych; wreszcie *Dr. A. Pieper* badał akta archiwalne z lat 1622—1700, na podstawie których opracował dzieło: o missyach przedsiębranych na północy w XVII w.;

teraz zaś podał w *Kwartalniku* studyum o temże archiwum, zapoznając czytelnika z jego znaczeniem, a badacza ze znajdującymi się w niem dokumentami. Do historyi polskiej odnoszą się tomy: 56 z r. 1629 i w ogóle dalsze do 65-go; potem 67 z r. 1627, 69 z r. 1628, 78 z r. 1631, 75 z r. 1633, 76 z r. 1634, 81 z r. 1639, 82 z r. 1640; następnie tomy: 127, 132, 135, 137, 139, 164 i 336—339 sięgają aż do r. 1864 wspólnie ze sprawami rosyjskiemi i ruskiemi.

Zboczyliśmy nieco z archeologicznych ścieżek na inne pole; tyle tu w Rzymie wielkich i ciekawych rzeczy do widzenia, podziwienia i badania, że niełatwo pokusie się oprzeć i w zawsze miłych i w zawsze pouczających przechadzkach, nie zejść nigdy z prosto do wytkniętego celu wiodącej drożyny. W rzeczywistych przechadzkach takie zboczenia — przynajmniej w Rzymie — nie nużą; w „pisanych“ nużą i nudzą zazwyczaj, ale jeśli prawdziwi archeolodzy tutejsi bynajmniej w ogóle nie stwierdzają dość upowszechnionej opinii, że każdy archeolog musi być nudnym i suchym, to archeolog dylettant temi przynajmniej wadami stara się nieraz — jak i tym razem — wcisnąć się w ostatnie przynajmniej ich szeregi.

X. J. F.

Druk ukończony dnia 25 lipca 1888 r.

DWIE KRÓLOWE.

SZKIC DZIEJOWY [1].

Mury zamku na Wawelu w ciągu kilkudziesięciu lat, kończących XV wiek, patrzały na dwie tylko niewiasty, które, posiadając prawo do korony, były paniami na owym zamku, lecz jedynie jedna z nich uwieńczona była koroną, i całe półwieku chlubnie ją dźwigała, drugą zaś koronacyjny obrzęd, należny jej, na zaraniu XVI wieku ominął, a pamięć o niej zaginęła, bo los obdarzył owe dwie niewiasty, dwie panie Wawelskiego zamku nierówną miarą szczęścia...

Dziwnemi niekiedy są losy ludzi. Jednym uśmiecha się wszystko, łatwo wszystko, los schyla się ku nim, prowadzi ich niemal własną dłonią, na wyżyny podnosi, od przepaści stoków chroni; pamięć ich na wieki utrwala... Tuż obok tych wybranych zapoznani inni; w tychże warunkach, wśród tegoż znoju, przechodzą zapomniani, skazani już na zaraniu życia na ciernie, na twardy gościniec, na obojętność współczesnych, zapomnienie potomnych. Takiemi są losy nietylko zwykłego tłumu pracowników, szarej ciżby, co się ciśnie na zwykłym poziomie pracy, ale i tych, którym los kazał się urodzić do ziemskich, wyższych przeznaczeń, których na tronie postawił, otoczył blaskiem. Lecz jakże często oni poza własnemi łzami — blasku owego nie widzą; łza bolu zaćmiewa im oczy; złotogłów im ciąży, purpura staje się tak przykrą, gniotącą

[1] Odczyty miane w Muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem, w marcu 1888 r.

ramiona, jak brzemię chróstu, spoczywające na barkach ubogiej wyrobnicy... Przeznaczenia dziwne, losy niestateczne jednako prześladują, ścigają, zamęczają królów, jak i zwykłych śmiertelników. Przypatrując się pilnie drogom przeznaczeń naszych królowych, widzimy wybitnie sprzecznemi ich losy: dla jednych życie było pochodem tryumfalnym — dla innych istotną torturą...

Jednych pamięć dzieje przechowały ze czcią, omal nie religijną, o innych historya mówi cichym szeptem, od niechcenia kreśli ich imię na karcie dziejowej. Ów lakonizm wytwarza niekiedy cień jakiś około imienia nieskazitelnego... Z czasem o imieniu zapominają nawet, a o owym, niczem nieusprawiedliwionym cieniu mówią szeroce — głoski imienia zacierają się — cień zaś wybitnie występuje...

Losy dwóch niewiast zacnych, dwóch królowych, średniowiecznej doby, stają przed nami. Zdawałoby się, iż jednakiemi powinny być ich przeznaczenia, a wszakże jak rdzennie różne były one... Obie jednako zacne, a jakże różne w pamięci potomnych, we wspomnieniach historyi...

Królowa Elżbieta, Rakuszanka, żona Kazimierza Jag., w spokoju, szczęściu, przeszła życie, i historya aureolą jej pamięć otacza; królowa Helena, jej synowa, acz w tychże warunkach postawiona, oczy nad swą dolą wypłakała, i dola ta, zaiste, pod naciskiem dziwnego *fatum* wytwarzała się.

Obie one zasłużyły na dolę dobrą: otrzymała ją wszakże tylko jedna z nich. Nie jej, lecz losów to wina. Wpatrzmy się głębiej w przezrocza kolei życia każdej z dwóch tych ukoronowanych niewiast, a zobaczymy, iż losów kaprysy niemałą w biegu ich życia rolę odegrały...

Przedewszystkiem o losach starszej z nich, o losach królowej Elżbiety, mówić będziemy. Cofnąć się przeto należy do połowy XV stulecia, do lat pierwszego dziesiątka, co upływał po nieszczęsnym warneńskim pogromie.

Zima kończąca rok 1453, a rozpoczynająca 1454, dziwnie się srożyła w swej pierwszej połowie. Mówiono, iż takiej nie pamiętają. Zwierz opuszczał swe legowisko w puszczach, cisnął się do osad, szukając pożywienia. Śnieg zawalił drogi, które, szczególnie

ku wschodowi, stały się nie do przebycia. Na wybrzeżach Dniestru całe wioski były zasypane. Zjawiska zimy tej niezwyczajnej Długosz najskrupulatniej zapisuje w swej „Historyi“. Tembardziej zjawiska te pamiętnemi się stały, iż w drugiej swej połowie, dziwnie zmienną okazała się owa zima fenomenalna. Przynajmniej w Krakowie była ona tak kapryśna, jak twierdzi kronika Długoszowa, nasuwając nam ciekawą wskazówkę, iż klimatyczne zmiany gwałtowne wcale nie są właściwością wyjątkową dni naszych.

Po dniu N. Panny Gromnicznej (1454 r.) lunęły deszcze i z obawą patrzano, azali nie rozkwitną znowu drzewa w dniach lutowych, jak to już dwukrotnie miało miejsce za Władysława Jagiełły, gdy wiosna, z końcem stycznia zieleniejąca się, sprowadziła w następstwie morowe powietrze [1]. Do wróżb i stawiania horoskopów niewiele wtedy miano czasu, acz wróżby ulubioną były zabawą epoki. Tym razem we wróżby i horoskopy nie próbowano nawet bawić się, zwłaszcza w większych ogniskach życia narodu; wypadki bowiem niemałej doniosłości wówczas właśnie rozwijały się w kraju naszym. Oczy ludzi bardziej świadomych spraw publicznych wciąż biegały naprzemian, to ku północy, to ku południowi, ciekawie nasłuchując wieści pomyślnych, a wiarogodnych, z każdego z onych przeciwległych węgłów państwa Jagiełłowego, któremu przewodniczył w owe lata król-młodzian, dwudziestosiedmioletni Kazimierz Jagiellończyk.

Wypadki, których rozwinięcia się z utęsknieniem oczekiwano — acz różnej były natury — przynieść miały pomyślność stateczną i rozwój potęgi szybko wzrastającego państwa.

Na północy, w krzyżackich grodach, gotowano się w onych dniach zmiennej zimy do połączenia się z Polską, gdyż zbrojne wystąpienie przeciw krzyżackiej przemocy już ich było od niej uwolniło. Miasta, osady większe i mniejsze Dolnego Powiśla, w liczbie pięćdziesięciu kilku, zrzuciwszy jarzmo krzyżackie, jarzmo zakonu orężnego, a srodze ich, do niezniesienia uciskającego, umyśliły były poddać się pod moc i władzę Kazimierzową. Słano przeto posłów do króla, by wyjednać dla siebie bezpieczną ostoję przyszłości, którą miało być połączenie się z Polską.

[1] Długosz.

Po znikającej szybko sannie, dążyło owo poselstwo od brzegów Drwęcy, przez Sandomierz, do Krakowa. Oczy i serca świadomszych i głębszych umysłów zwracały się ku północnym gościńcom, którymi szło to radośne poselstwo, zwiastujące przewrót, przewrót ważny, nader stanowczy w naszych stosunkach państwowych. Ujście Wisły, brzegi Baltyku, kraje za Drwęcą, na pruskiem pojezierzu, same ku Polsce wyciągały dłoń, dłoń wiekuistego przymierza na długie wieki doli i niedoli. Zaślubiny ludów i ziem Dolnego Powiśla stawały się tylko kwestyą czasu.

Był to wypadek niemałej dziejowej doniosłości owe zbliżające się zaślubiny ludów o różnych pierwiastkach plemiennych... Zanim upłynąć miały dni ówczesnego mięsopustu, zanim wiosna na dobre mogła zazielenić się, już nie tylko u wyżyn Tatrzańskich, ale nawet w północnych, litewskich kniejach, losy grodów Dolnego Powiśla stały się troską powszechną; u wszystkich były w ustach, u bardzo wielu w umyśle i sercu legły sprawą pierwszorzędną.

Lecz nie o tem jednem wyłącznie wtedy myślano i mówiono w gronie rycerstwa i przedniejszych narodu. Były i inne zaślubiny, na które niemałą zwracano uwagę: były to nie zaślubiny ludów i ziem, lecz pojedyńczego człowieka, a niemniej obfite w następstwa.

Jedyna latorośl Jagiełłowego szczepu, jedyne dynastyczne ogniwo, łączące w onej dziejowej chwili Polskę z Litwą, Wschód z Zachodem, król-młodzian zaślubił córę germańskich cezarów, wytworzył gniazdo rodzinne — można tedy było odtąd marzyć o dynastyi Jagiellonidów, dynastyi, która miała rozwinąć się, rozrosnąć, zapłonąć płomieniem krótkiej wprawdzie, lecz wielkiej chwały.

Podwaliną istnienia dynastyi stały się właśnie owe zaślubiny Kazimierza Jag. jednocześnie mniej więcej przypadające z zaślubinami Ziem i Grodów Dolnego Powiśla z państwem Jagiełłowem.

Zamiary zaślubin królewskich nie szły wprost od króla; był on już i wówczas mocno skrępowany w swem działaniu, pomysłach i planach, również w państwowych sprawach, jak i w sprawach prywatnej natury, domowego zakresu. Nawet tak niepoddający się obcym wpływom umysł, twardsza niż u innych Jagiellonidów wola, które widziano w Kazimierzu, naginały się z konieczności do woli i planów panów rady, co górować się już przyzwyczaiła od lat wielu nad wolą królewską. Na zaraniu XV w. miano w Polsce

do czynienia ze starcem, nieświadomym spraw publicznych; później z dziecięciem, młodzieniaszkiem — był nim Warneńczyk — obecnie stawało przed tłumem dążącej do władzy szlachty już nie słabe pacholę, lecz ciałem i duchem silny młodzian, najhartowniejszej woli z całej swej rodziny Jagiellończyk. A jednak i ta najhartowniejsza wola gięła się niekiedy. Nie pozwalano mu często myśleć o sobie, inni zań myśleli i układali konjuktury w sprawach jego serca i co do warunków przyszłego życia rodzinnego.

Elżbieta, przyszła jego żona, znać w księdze przeznaczeń była mu zapisaną.

Był jeszcze dziewięcioletniem chłopięciem, a już mu ją przeznaczano; acz wtedy nie mogła ona jeszcze odpaść od piersi matki i spowicia nie opuszczała, liczyła bowiem rok zaledwie pierwszy swego w przyszłości długiego żywota. Konjuktury polityczne łączyły się z matrymonialnemi zamiarami mężów, mających głos i siłę w kraju.

Statysta ówczesny, książę polskiego kościoła, Wincenty z Dębna, gdy za dni Władysława, syna Jagiełłowego, wrócił z poselstwa, jakie odbywał na dwór niemieckiego cesarza, Albrechta II, zwierzał się swym bliskim, że tło do wielkich planów politycznych zadzierzgnięte zostało; gdyż Albrecht, władnący pobratymczą dla Lechii ziemią — Czechami, gotów ją był dać, jako wiano, młodszej swej córce — Elżbiecie (wtedy dziecięciu w pieluchach). Wiano, z ziem i ludów złożone, przelać miano, do dłoni oblubieńca maluczkiej Elżbiety dopiero po najdłuższem życiu Albrechta, który nie miał synów, nie spodziewał się ich posiadania, a zięciów chciał mieć z królewskiego gniazda na Wawelu.

W gnieździe tem biegało wówczas dwoje pacholąt — synów przed paru laty zmarłego Jagiełły — starszy, Władysław, był już uwieńczony koroną Bolesławów, młodszy zaś o lat trzy od ukoronowanego, a niby władnącego brata, Kazimierz, wcale nie mógł się spodziewać korony. Przynajmniej rzeczy tak stały w latach bezpośrednio idących po zgonie Jagiełłowym.

Tajemnica dyplomatyczna Wincentego z Dębna rokowała bez zaprzeczenia nadzieje znakomite dla ówczesnej Polski. Losy Węgier i Czech spocząć miały w dłoniach Jagiellońskiej dynastyi, która się stała już naszą, rodzimą, polską dynastyą. Jedna z córek Al-

brechtowych — starsza, Anna, miała zaślubić Władysława, młodsza zaś, Elżbieta, Kazimierzowi była przeznaczoną. Węgry miały być wianem starszej, Czechy młodszej; Jagiellonidzi w ten sposób, sukcedując prawa Albrechta, cesarza niemieckiego, dziwnem losów zrządzeniem rozpościerali się coraz to szerzej ku środkowi Europy. Przynajmniej tak rzeczy zarysowywały się w umysłach naszych dyplomatów. Śmierć wszakże Albrechta, śmierć przedwczesna, w roku piętnastym życia naszego Władysława Jagiellończyka, gdy tego ostatniego ogłaszano pełnoletnim (1439 r.), powiklała całą sieć przypuszczeń, układów, konjuktur politycznych., Władysław wprawdzie posiadł później tron węgierski, lecz innemi drogi; torowały mu doń wstęp i wolny wybór narodu węgierskiego i inny zbieg okoliczności — nader niespodziany, nieco śmieszny — wdowa bowiem po Albrechcie, pani późnego stosunkowo wieku, pragnęła zaślubić pacholę dla jej starszej córki przeznaczone — stąd popieranie do tronu naszego młodziana — króla, co miał zginąć w przyszłości pod Warną.

Jeśli w księdze przeznaczeń naszego Warneńczyka było niedojście do skutku jego projektowanego małżeństwa z Anną, cesarzówną niemiecką, to projekt ożenienia Kazimierza, młodszego brata Władysławowego, z siostrą Anny, Elżbietą, nawiązany od bardzo dawna, bo jeszcze we dwa lata po zgonie Jagiełły, niespodzianie wszedł w fazę urzeczywistnienia.

Urzeczywistnienie miejsce miało właśnie w owych dniach ciepłej, fenomenalnej zimy, w dniach mięsopustnych, 1454 r., gdy przygotowywano się do wielkich godów ziem i ludów Dolnego Powiśla z Polską. Urzeczywistnienie tem większą niespodzianką było, iż Kazimierz nie okazywał wcale sympatyi dla swej narzeczonej, której nie znał i jej nie widział, a wielce mu jakoś do myśli przypadały projekta podobnego rodzaju, osnute gdzieś na pomorskich wybrzeżach przez Eryka, króla Duńskiego, a zarazem pana Skandynawskich, zjednoczonych królestw. Na Pomorzu dalszem, nadodrzańskiem wzrastało wówczas dziewczę, jak się kronikarze wyrażali, dziwnie „roztropne i mądre nad obyczaj innych białogłów“, o którem Kazimierz wiele słyszał i niemało roił, acz jej również nie widział. Była to Zofia, pani nadodrzańskiego Szczecina i Słupia, grodów jeszcze wtedy otoczonych polską ludnością. W żyłach tej księżniczki

płynęła krew polska; ojcem jej bowiem był Pomorski książę, Bogusław X, władca na Słupiu i Szczecinie, a matką Marya Ziemowitówna. Księżniczka Zofia, Polka z języka i obyczaju, wyższym umysłem, energią, podobać się mogła każdemu mężczyźnie, tembardziej młodzianowi o tak bardzo śmiałem, prawdziwie męskiem usposobieniu, jakim był charakter naszego Kazimierza, najenergiczniejszego ze wszystkich Jagiellonidów. Projekt króla Skandynawskich królestw, Eryka, posiadał dla naszego Jagiellończyka urok jakiś. Wpadł on znać w szczęśliwą chwilę do umysłu Kazimierzowego, gdyż przypominał go sobie wielekroć, nawet znacznie później, przypominał z pewnym tajemnym żalem, iż się projekt ów rozwiał, iż nie wszedł nawet w fazę dążności do urzeczywistnienia.

Projekt zaślubin nadodrzańskiej księżniczki posiadał niemało korzyści dla Polski, Zofia bowiem, księżniczka na Słupiu i Szczecinie, wnosiła piękne wiano — ujście Odry. Polska, osadzając Zofię na swym tronie, obok Kazimierza, otrzymałaby bez żadnego wysiłku część Baltyckich wybrzeży, zapewniłaby sobie wybrzeża rzeki lechickiej, odparłaby od Nadodrzańskiego Pomorza nacisk germanizmu. Polityka krajowa dobrze zrozumiana powinna była ująć ów zamiar wysnuty z głowy Skandynawskiego Eryka i w czyn go zamienić, co zresztą nie mogło się mienić trudną sprawą. Stało się jednak inaczej. Do bliższego rozpatrzenia się w rzeczonej sprawie nigdy nie przyszło; natomiast znowu z zapomnienia powstał, i dorósł do miary urzeczywistnienia, dawny, a jak na pozór zdawało się zaniechany projekt połączenia naszej, Jagiellońskiej dynastyi z domem Habsburgów. Powstał on w innej, nie w pierwotnej formie. Cesarz niemiecki, Albrecht II, gdy rzecz tę przed laty w swym umyśle układał, plany polityczne — jak wspomnieliśmy o tem — przedstawiały się dla Polski ponętnie, obecnie zmieniło się wszystko. Albrecht legł oddawna w grobie; Elżbieta, przeznaczona dla Kazimierza, nie posiadała wiana złożonego z czeskiej korony, miała bowiem małego braciszka, Władysława Pogrobowca, który wprędce po ojca zgonie na świat przyszedł, dziedziczne więc ziemie rakuskiego domu do niego przejść miały. Elżbieta, chociaż urodzona do berła, chociaż purpura cezarów kolebkę jej okrywała, była sierotą stosunkowo ubogą, sierotą dość w dzieciństwie zaniedbaną, sierotą, którą współcześni, a przyjaciele jej ojca, uważali jako nie

mającą warunków do większych w świecie powodzeń, i o takowych dla niej zwątpili, niespodzianie staje się małżonką najpotężniejszego prawie króla ówczesnej Europy, naszego Kazimierza Jagiellończyka.

Chwila, w której Jagiellończyk, ulegając naciskowi panów rady, postanowił zaślubić Elżbietę Rakuszankę, przypada na rok pamiętny w dziejach Europy, rok zdobycia Konstantynopola przez Turków. W sierpniu 1453 r., we Wrocławiu stanęło poselstwo polskie z całym blaskiem średniowiecznego przepychu; samych zbrojnych w orszaku liczono tysiąc dwieście jeźdźców. Po dziesięciodniowych obradach, na wrocławskim zjeździe, umówiono się co do wszystkich okoliczności, tyczących się małżeństwa Elżbiety. Niedziela po święcie Oczyszczenia N. Maryi P. (1454) naznaczoną została na zaślubiny, które się odbyć miały w Cieszynie. Piastowski zameczek nad Odrą — na zachodnich kończynach polskich siedzib położony, a pod względem ówczesnym państwowym należący do czeskiej, lecz nie do polskiej korony — jako punkt pośredni między państwem polskiem a czeskiem — miał być świadkiem spotkania się Kazimierza Jagiellończyka z narzeczoną. Programat ułożony na wrocławskim zjeździe uległ w wykonaniu pewnej małej modyfikacyi. Nie Kazimierz, ale jego poselstwo witało Elżbietę w Cieszynie. Zdaje się, że zupełny brak czasu na wykończenie niezbędnych przygotowań stanął królowi na przeszkodzie, by pierwotny programat urzeczywistnić. Bo też, zaiste, król ten w nieustannych a dalekich był podróżach. Jeżeli Stanisław August Poniatowski mienić się może królem, który najwięcej pisał, to bez zaprzeczenia Kazimierz Jagiellończyk był królem najwięcej podróżującym. Dalsze prowincye, jak Smoleńsk, Witebsk, widziały go wśród murów swych miast zaledwie raz, lub parę razy; ale szlaki od Krakowa do Wilna, od murów Wawelu do Torunia, pod Malborg i Elbląg, patrzały na jego poważne, zamyślone, lecz nie surowe oblicze, dziwnie wielką liczbę razy; konno, wozem, kolasą, w większym lub mniejszym poczcie sam, a nader często z żoną, przebiegał te szerokie i wówczas prawie bezdrożne przestrzenie. Tak więc i w owej epoce pamiętnej zimy, o której mówimy, gdy króla zaledwie pięć tygodni oddzielało od dnia przybycia do Krakowa narzeczonej, bawi on w dalekiem Wilnie, gdzie wśród Ponarskich wzgórzy

i w dalszych okolicach Litwy, obfitej wówczas w puszcze i zwierza poluje, aby przygotować biesiadną zastawę na swe gody weselne.

Styczniowe dnie 1454 r. już naszego Jagiellończyka widzą w długiej a uciążliwej zimowej podróży z Wilna przez Sandomierz, Nowe Miasto, Proszowice do Krakowa. W podróży ciągnął za królem jego dwór myśliwski, i niejeden zwierz padł jeszcze na gościńcu królewskim, aby pomnożyć trofea łowieckie, wiezione z Litwy na Wawel. Przy całym pośpiechu podróż odbywała się nader powoli, bo zaspy śnieżne fenomenalnej zimy wcale jej nie przyspieszały, i wreszcie, sprawy krajowe, pierwszorzędnej nieraz wagi, wstrzymywały króla na różnych zameczkach, dla obrad, bodaj dorywczych, z panami rady, co mu drogę zajeżdżali. W Sandomierzu właśnie Gabryel Bayzen, na czele poselstwa krzyżackich grodów rokosznicczych, zabiegł drogę królowi, niosąc mu poddanie się grodów Dolnego Powiśla. Był to wspaniały dar ślubny, którym los udarowywał Jagiellończyka. Radząc trzy dni w Sandomierzu nad przyjęciem lub odrzuceniem tego daru, myślą gonił ku innemu podróżnemu orszakowi, który ku murom Krakowa zbliżał się powoli od zachodu. Orszak ten, złożony z panów rakuskich, czeskich i morawskich, towarzyszył Elżbiecie. Wśród tłumnego otoczenia panów czeskich, niemieckich i morawskich, wśród zbrojnego hufcu dziewięciuset koni, co dodawało orszakowi świetności i bezpieczeństwa, widziano panie czeskie, pod których szczególną opieką jechała królewska narzeczona. Na spotkanie rakuskiego poselstwa wyjechało polskie, co do liczby jezdnych dwakroć przenoszące orszak Elżbiety, a znakomitością uczestniczących senatorów i rycerskiej młodzieży zaszczytnie reprezentowało Polskę, ku której młodziutka królewna zbliżała się z nieśmiałością i trwogą tajemną. Dwa te orszaki były to niby dwa różne światy, dwie różne sfery pojęć, obyczaju i temperamentu, które się spotkały na wzgórzu Cieszyńskiego zamku. Od owej chwili Elżbieta wchodzi do dziedzin polskiej mowy, obyczaju, tradycyj, które się dla niej stają niby rodzinnemi jej właściwościami; ukochała ona je szczerze, i przeszło pięćdziesiąt lat stała wiernie, statecznie na straży polskiego znicza narodowego.

Jedna już tylko baszta samotna, a tuż obok odnowiona, odświeżona, z ruin dźwignięta kaplica zamkowa i w proch rozsypujące się,

kute w kamieniu orły piastowskie na szczytach, węgłach baszty, a wszystko to otoczone parkiem cienistym, na górze nad Olzą — oto jedyne zabytki, jakie dzisiaj widzimy w Cieszynie z pozostałości dawnego zamku szląskich Piastowiczów. W epoce, o której mówimy, w XV wieku, szeroce się ów zamek rozpościerał na wyniosłem wzgórzu i zaliczać się mógł do większych i wspanialszych siedzib książęcych, dlatego też naznaczono go miejscem spotkania dwóch godowych orszaków — polskiego i rakuskiego — dlatego też, wśród jego murów i w przyległem mieście dwudniowy odpoczynek znalazły tłumne godowe orszaki, liczące ze trzy tysiące jezdnych, król tam nie przybył. Reprezentowali go i zastępowali przedniejsi senatorowie, a panie — Tarnowska, żona Jana Feliksa pana na Tarnowie, Tenczyńska, Ostrorogowa, panie z Szamotuł, z Czyżowa — z rąk niewiast czeskich i niemieckich odebrały cesarzównę Elżbietę, aby ją otoczyć opieką swą i towarzyszyć w podróży z Cieszyna na Wawel. Podczas wypoczynku weselnych orszaków na Cieszyńskim zameczku i dziwnie powolnej podróży przez Oświęcim, Skawinę do bram Krakowa, z gorączkowym pośpiechem toczyły się przygotowania na Wawelu do wjazdu królewskiej narzeczonej... Patrząc na ów pośpiech, zapobiegliwość w dokonywaniu przygotowań, na rozpoczęte już niejako uroczystości godowe, podczas zjazdu w Cieszynie, niepodobna było ani na chwilę wątpić, iż już jeno niewielka liczba godzin oddziela Elżbietę od chwili ślubu w katedrze krakowskiej. Stolica z niecierpliwością oczekiwała na ową chwilę. Orszaki godowe zbliżały się już ku Skawinie, wieżyce krakowskie, zarysowujące się w głębi horyzontu, witały przyszłą swą królowę — gdy niespodzianie nadbiegli gońcy królewscy wstrzymujący dalszy pochód uroczysty... Na skawińskim zameczku zatrzymano się. W ciasnem, ubożuchnem miasteczku, i wśród obwarowań szczupłego zameczku skawińskiego, wzniesionego ongi przez Kazimierza W., cisnęły się tłumy jezdnych, pieszych, kolasy, wozy, pancerze, orężni i ciury, juki i ogniska. Skawina stała się niespodzianie taborem ogromnym, który, na jedną tylko noc roznieciwszy stosy płonące, gościł tam trzy doby. Nie wielu wiedziało co to ma znaczyć; gubiono się w domysłach; cichy szept zdumienia, troski przebiegał poza ostrokołami zameczku i wśród ognisk zbrojnego taboru, iż rychło cały tabor godowy ku odwrotowi mieć się będzie, iż wprędce nadbiegną

nowi gońcy z Wawelu, z poleceniem, by księżniczka wracała tam, skąd przybyła, iż układy małżeństwa zostały zerwane. W tym szmerze domysłów było ziarnko prawdy. Uczucie niewieściego współczucia i pewien takt pań naszych, towarzyszących Elżbiecie, strzegły ją od echa tych fatalnych domysłów i starały się upozorować zwłokę potrzebą uzupełnienia niezbędnych przygotowań. W orszaku jednak niemieckim, tworzącym najbliższe otoczenie królewskiej narzeczonej, inaczej mniemano: domyślano się, iż król polski „żałuje powziętego zamiaru i myśli zaniechać małżeńskich związków“... Te domysły i obawy cudzoziemskich panów znać dość jawnie i głośno przejawiały się, gdyż Długosz wniósł je do swych roczników, nie wskazując wszakże, czy były uzasadnionemi. Inne źródła dziejowe wyraźnie zaznaczają, iż troska niemieckiego otoczenia Elżbiety nie była bez podstawy. W umyśle Kazimierza, gdzie myśl zaślubienia Elżbiety jeszcze nie ustaliła się, powstały pewne powątpiewania, chociaż, jak widzimy, dość już spóźnione. Znać znowu obraz nadodrzańskiej księżniczki Zofii, zawitał do jego myśli, wysełа bowiem gońca z ponownem zaleceniem, aby się przypatrzono raz jeszcze dążącej do Krakowa narzeczonej i zdano mu sprawę. Zdanie sprawy Kazimierzowi tak brzmiało: iż królewska oblubienica „ni do kogo prawie nie była podobna w twarzy i na wyroście“... Takie orzeczenie posła wysłanego na oględziny nie zadowalnia króla, wahanie się jego wzmaga, postanawia zerwać wszystko. We sto lat prawie po owej pamiętnej chwili w dziejach domu Jagiellońskiego, słyszano następującą relacyę o tym wypadku, opartą znać na ustnem podaniu. Czytamy w opowiadaniu z połowy XVI w. następujące szczegóły, które w dosłownem brzmieniu tak głosiły: „Król Kazimierz wezwał panów rad swych i powiedział, iż mu się ta oblubienica nie podobała, i żądał, aby mu do tego radę swą dali, jakoby jej próżen być mógł, bo jej żadnym obyczajem za małżonkę mieć nie chciał. Rada bacząc, iż ożenienie to pańskie w tak poważnym, zamożnym domu, miało być ku wielkiej sławie pańskiej i ku dobru Rzpltej, a gdzieby też wzgardzenie było, iżby to przyszło ku stracie i upadkowi koronnemu, radzili panu swemu, tak jako byli powinni, aby tego nie czynił: bo by jemu lekkość i koronie upadek uczynić to mogło. Co gdy królowi k' myśli nie było, i nie chciał odmienić w tem umysłu swego, powiedziała mu rada jego

z tej chuci, którą naonczas ku panu swemu i ku dobru Rzpltej mieli: „królu nie będzieć to!“ [1]...

Tak stanowczy opór, spotkany wśród rady królewskiej, zdawało się, iż wywoła w Kazimierzu, znanym z energii, wzmożenie się niechęci, iż król uparcie stać będzie przy swej myśli zerwania, iż niespodziana ta sprawa przy spotkaniu się dwóch potęg, jednako twardych w swem zdaniu, niby opoka, nie wytworzy pożądanego porozumienia, co później wielekroć widziano, podczas długich rządów Kazimierzowych. Zdawało się, iż wedle włoskiego przysłowia, *duro con duro non fa buono muro* (twarde z twardem muru nie wytworzy), iż iskrę porozumienia nie wykrzeszą dwie twarde wole. Stało się inaczej. Król uległ namowom rady swej, senatorów, do których przyłączał się zapewne głos królowej matki Zofii, wdowy po Jagielle. Pani ta, jak wiadomo, wpływ wywierała na sprawy publiczne, aż do chwili wstąpienia na tron Kazimierza Jagiellończyka. Energia jej znaną była powszechnie, a gniew, w który niekiedy wpadała, budził wielekroć obawy. Była w tych rysach charakteru jakby prototypem syna, syn też powodował się wolą matki. Relacya z XVI w., którą przytaczaliśmy, całą zasługę szczęśliwszego obrotu tej sprawy przyznaje królowi. „Król święty — wołano w sto lat po Jagiellończyku — dał w tem rozumowi, a radzie ich tak zgodnej a życzliwej większe miejsce, niż swemu zdaniu i afektom swoim; przestał na tem, acz mu to k' myśli bardzo nie było...“

Takie to więc narady toczyły się w królewskich komnatach na Wawelu, tak szybko przechylała się szala losów Elżbiety, podczas gdy ona w Skawinie czekała na rozwianie się mgły niepewności zawisłej nad jej głową.

Dłoń Przedwiecznego szybko odwróciła kartę jej losów. Skoro raz umilkły niepewności falujące w duszy Kazimierzowej, nic już nie stało na przeszkodzie do wjazdu uroczystego królewskiej oblubienicy do Krakowa. Nawet zmiany atmosferyczne, gwałtowne — gdyż po dniach mroźnych nastąpiły srogie ulewy — nie odroczyły ani na

[1] Rzecz pana Jędrzeja Grabie z Górki... z r. 1548, w Bibl. Pol. Turowskiego.

chwilę owego wjazdu, upamiętnionego w kronice Długoszowej. Roztoczono tu przepych niezmierny, olśniewający cudzoziemców, budzący podziw własnych tłumów. Historycy zapisywali skrzętnie imiona książąt szląskich, otaczających króla i jego matkę, i nazwiska senatorów, towarzyszących wjazdowi, i cenę rynsztunków króla i jego otoczenia. Naoczny świadek tej uroczystości, która cały dzień trwała, wyjechano bowiem na spotkanie o świcie dnia zimowego (9 lutego), a wieczorem dopiero zdołała Elżbieta wejść do izb zamkowych na Wawelu — tak opowiada o szczegółach wjazdu Elżbiety [1]: „Król Kazimierz w swojem przybraniu pełnem blasku, gdy samo siodło, wędzidło i odzienie królewskie, prócz koni nakrytych rzędami z aksamitu i złotogłowu, na czterdzieści tysięcy czerwonych złotych ceniono, wspaniale wyglądał. Przesadzali się w tym przepychu i niektórzy posłowie polscy, wystąpiwszy wraz ze swemi drużynami na koniach suto przybranych, w świetnym stroju, błyszczącym złotem i purpurą. Nie sprzyjała atoli pogoda tej uroczystości królewskiej, od rana bowiem do wieczora deszcz ulewny padał: zaczem te bogate stroje, przemokłe od słoty, w większej części poniszczały... Ze wszystkich kościołów powychodziły procesye, a z niemi wszystkie stany na przyjęcie królowej; ale nikt nie mógł dotrzymać miejsca z przyczyny ulewnego deszczu, i wszyscy przymuszeni byli jak najspieszniej uciekać do domu. Po wzajemnem przywitaniu i podaniu ręki, Zofia królowa wzięła narzeczoną królewską, Elżbietę, do swego powozu, i przy odgłosie trąb, już ku wieczorowi (dla wielkiego natłoku ludzi nie można było prędko jechać) odwiozła do zamku krakowskiego, gdzie ją u podwojów kościelnych witał Zbigniew kardynał i biskup krakowski z gronem prałatów i kanoników krakowskiego kościoła. A gdy królewna oddała pokłon Bogu, i złożyła na ołtarzu ofiarę, odprowadzono ją do pałacu królewskiego“...

Daliśmy tu głos naocznemu świadkowi, wyżej już przytaczanemu Długoszowi, chcieliśmy bowiem, aby nas tu wyręczyły, i głos i myśl XV stulecia. Świadectwa, powstające z głębin prastarej przeszłości, chociaż niekiedy zbyt lakoniczne, lub zbyteczną prostotą tchnące, stokroć więcej nauczyć nas mogą, niż daleko sięgające od-

[1] Długosz.

gadywania, lub rozumowania dni dzisiejszych, acz w formę ponętną odziane.

Zaledwie brzask dnia następnego, a była to niedziela, rozświecać zaczął od strony „Łąki św. Sebastyana“ mury okalające gród stołeczny, zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na szczyt Wawelu, na wieżyczkę zamkową, noszącą nazwę „Kurza stopa“, mieszczącą w sobie izby niezapomnianej w dziejach naszych niewiasty, królowej Jadwigi — rozpoczął się na podwórzach zamkowych gwar przygotowań do obrzędu ślubnego. Kwestya kto będzie ślub dawał — prymas, czy też kardynał Zbigniew z Oleśnicy, biskup krakowski — zajęła znaczną część dnia. Każda ze stron miała na poparcie swych praw pewną ilość słuszności[1]. A że obok każdego ze spierających się dostojników Kościoła grupowała się partya senatorów świeckich — około Zbigniewa Małopolanie, a Wielkopolanie około prymasa — spór przybrał większe rozmiary i zabarwił się współzawodnictwem odwiecznem prowincyonalizmów — wielkopolskiego z małopolskim.

Okoliczności ówczesne miejscowe, chwilowe, wynalazły drogę do załatwienia tego sporu, do wyjścia na razie z trudności.

Gościł wtedy w Krakowie, przeszło od pięciu miesięcy, zakonnik reguły św. Franciszka, mąż pełen ducha Bożego, Jan Kapistran *(di Capistra)*, który w całej środkowej i południowej Europie słynął ze swej wymowy i gorliwości w nawracaniu heretyków, grzeszników; Polska od kilku miesięcy posiadała go, i Kraków a nawet cała Małopolska brzmiały echem entuzyastycznych dlań pochwał, podziwem jego życia surowego, wielkich umartwień, a cnót iście ewangelicznych. Otóż ten mąż Boży, przedmiot ówczesnych, niezmiernego zapału owacyj, wybrany został jako pośrednik w rzeczonej sprawie. Zbigniewowi, na mocy rzeczywistych orzeczeń prawa kanonicznego, przyznał on słuszność; znać jednak nie chciano żadnego z dostojników Kościoła obrazić, a więc Jan Kapistran, za pozwoleniem miejscowego biskupa, tj. Zbigniewa, miał ślub dawać, lecz podczas obrzędu wyręczał go, jako nieumiejącego ani po polsku, ani po niemiecku, tenże Zbigniew i czytał formułę ślubnej przysięgi.

---

[1] L. c.

Po ślubie natychmiast miała miejsce koronacya Elżbiety, śpiesznie dokonana przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdyż dzień miał się już ku schyłkowi... Ośmiodniowe uczty, turnieje, festyny, sute podejmowania znakomitych panów niemieckich, węgierskich, czeskich, morawskich, którzy towarzyszyli Elżbiecie, za jej orszakiem ciągnęli do Krakowa, i po ośmiu dniach hojnie obdarowani, odjechali, zakończyły owe świetne, nadługo w polskiej stolicy pamiętne gody weselne królowej Elżbiety.

Widzieliśmy dotąd królową Elżbietę wśród gwaru rycerskiego orszaku, który ją przywiózł do Krakowa, wśród przepychu, co olśniewał zdumiewającym blaskiem swoich i obcych; poza temi akcesoryami chwili, poza tłumem dworzan, poza poważnem gronem senatu i przedniejszych matron, trudno było dojrzeć rzeczywistych właściwości owej królowej, przeszło pół wieku gospodarzącej na Wawelu... Przypatrzmy się jej jaką była w purpurze, nie w złotogłowiu, ale w życiu codziennem, na gościńcach obowiązku, w stosunku do swych najbliższych, jaką była żoną, matką, obywatelką kraju, który dla niej stał się drugą ojczyzną.

Zadanie, które mamy w tej chwili, byłoby przetrudnem, prawie niepodobnem do rozwiązania, gdyby nie maluczki traktat łaciński, który do nas doszedł z końca XV w. Traktat ten pedagogicznej treści, jak powszechnie wiadomo, nie przez królową Elżbietę, ale pod jej imieniem napisany, zawiera dużo rysów, drobnych napozór, lecz wiele mówiących dla oka, które pragnie wpatrzeć się w przeszłość, i z okruchów myśli umie odtworzyć całą duchową istotę tej, która, chociaż nie była autorką rzeczonego traktatu, była dlań wszakże natchnieniem, wskazówką, wzorem... Z myśli, pojęć, uczuć owej królowej spleciona główna osnowa tego traktaciku; ta osnowa, co mu dała barwę wybitną, barwę niespłowiałą w ciągu wieków, co wyróżnia go od secin innych rozprawek, broszur, listów średniowiecznej doby, co go cennym dla nas czyni, i ze względu na królową Elżbietę, i w ogóle. Traktat ten, czyli rozprawka pedagogiczna, w formie listu, nosząca tytuł w oryginale łacińskim: „Elżbieta królowa polska do Władysława króla Węgier i Czech, najukochańszego syna, o wychowaniu dziecka królewskiego“, napisaną była na trzy lata przed zgonem Elżbiety (zmarłej w r. 1505), a mianowicie, jak

się domyślać należy, napisaną była w owej chwili, gdy syn jej najstarszy, Władysław, żenił się z Anną de Foix, hrab. Angouleme (w r. 1502).

Rzecz to powszechnie już przyjęta i wprowadzona do dziejów literatury, jako pewnik, iż Elżbieta nie była i być nie mogła autorką owej rozprawki pedagogicznej, dała tylko do niej myśl główną, wysnuła ze swego umysłu mnóstwo rad, uwag, przestróg, które stały się wzorem, wedle których sekretarz królowej, czy też ktoś z ludzi nauki na krakowskim dworze przebywający, ułożył stosownie do wymagań ówczesnej sztuki epistolarnej, list łaciński. Nie chwila tu, byśmy bronili praw Elżbiety do autorstwa owej rozprawki pedagogicznej, niemniej jednak ona była dla takowej natchnieniem, czemu nikt nie zaprzecza i zaprzeczać nie może; a zatem w owej rozprawce, niby w zwierciedle, odbijają się pojęcia, zasady, nawet upodobania Elżbiety.

Zastanawiano się, kto był owym sekretarzem królowej, który ów list ułożył. Lecz i ta kwestya ostatecznie nie rozstrzygnięta. Czy nim ma być Erazm Ciołek, bądź Drzewiecki, jak chcą A. Przeździecki i Zeissberg, czy też Jan Sylvius Sycylijczyk, jak domyślał się Szujski, rzecz to ostatecznie podrzędna. Wszystko, co stanowi istotę rozprawy, co tworzy jej ducha, wyszło z myśli i serca królowej — sekretarz ubrał tylko owe myśli polskie, pełne rozumu i miłości tradycyi rodzinnej Jagiellońskiej dynastyi w szatę łacińskiej mowy, ozdobił krasomówską sztuką.

Elżbieta, chociaż w dzieciństwie straciła rodziców, chociaż materyalna strona jej utrzymania, jako księżniczki domu panującego, najzupełniej była, przez pewien czas przynajmniej, zaniedbaną (opiekunowie bowiem tak zapominali o sierocie, iż w dzieciństwie obuwie jej całem nie było, a sukienki liche składały jej garderobę), ale stronę umysłową uprawiano za to pilnie. Średniowieczna literatura niemiecka posiada na swych kartach chlubnie zapisane imię Heleny Kottannerin, kobiety na swój czas uczonej, która zostawiła pamiętniki w ułamkach do nas doszłe. Autorka tych pamiętników, w staroniemieckiej mowie skreślonych, niepospolita niewiasta swej epoki, była wychowawczynią naszej królowej, Elżbiety. Pamiętnik Heleny Kottannerin *(Aus den Denkwürdigkeiten der Helene Kottannerin* 1430, 1440. Leipzig — 1846), wraz z rozprawą „o wy-

chowaniu królewskiego dziecka", tworzą nieoceniony, acz maluczki materyał dla tych, którzyby zechcieli bliżej poznać się z wybitną postacią żony Jagiellończyka.

Twarde życia warunki, walka z niemi w dzieciństwie, wpatrywanie się w obraz rzeczywistych stosunków świata własnemi oczyma, lecz nie przez pryzmat obcych zapatrywań, wytworzyły z Elżbiety niewiastę o hartownej woli i większego od innych kobiet doświadczenia. Helena kształciła Elżbietę w tych umiejętnościach, które sama posiadała, a są nawet wskazówki, że uczennica pod względem summy wiadomości przewyższała mistrzynię. Elżbieta posiadała języki, oprócz niemieckiego, czeski, łacinę, węgierski, później polski, który stał się dla niej niby drugim ojczystym — falą tej polskiej mowy otoczoną była pięćdziesiąt dwa lata, bo to jest liczba lat jej w Rzpltej panowania. Nierównie szacowniejsze skarby niż wiedzę posiadała ona w zakresie pojęć moralnych, które rozwija przed okiem naszem w rozprawie o wychowaniu. Wedle jej zasad umoralnienie powinno wyżej stać nad ukształceniem, w czem jest zwolenniczką teoryj pedagogicznych włoskich z pierwszej połowy XV wieku. Ta teorya skłania ją do wypowiadania, iż dla panujących potrzebniejszą jest dobroć niż nauka Rządząc się taką zasadą, przeprowadzała ją znać w czynie, gdyż każde z jej dzieci odznaczało się zacnością, prawością charakteru; byli wśród nich może słabi, ale zawsze prawi, zawsze szanujący nić miłości, która ich łączyła ze społeczeństwem, zawsze połączeni ścisłemi węzłami braterskiej, rodzinnej miłości w jedno ognisko rodzinne, w jedną rodzinę, miłującą i poważającą siebie wz.. m. To wytworzenie rodziny zacnej, to wykształcenie z synów ludzi prawych, zdobywających miłość ludów, jest przeważnie królowej Elżbiety pracą. Głównem zadaniem jej życia nie sprawy publiczne, nie wdzieranie się do dziedziny polityki, nie tworzenie stronnictw, i stawanie na ich czele, lecz mąż i rodzina.

Wszedłszy do izb zamku wawelskiego, Elżbieta zastaje tam tradycye poprzednich królowych nie liczne, lecz dobre. Jedna nić tradycyi łączy ją z pamięcią królowej prawie świętej, królowej górującej cnotą życia, ofiarą bezbrzeżną siebie dla społeczeństwa, dla kraju, którego berło piastowała, druga wskazywała jej, żyjącą jeszcze, czynną, energiczną królowę Zofię, matkę Jagiellończyka.

Pierwsza staje się dla niej wzorem szczytnym, niedoścignionym, jej imię ze czcią wspominają, jej duch powiewał jeszcze u stóp „Czarnego Krzyża“, w katedrze na Wawelu, tam, gdzie wedle słów legendy, Chrystus własnemi usty przemówił do niej słowem otuchy, gdzie postać Chrystusa, na krzyżu bolejąca, koiła jej własny ból życia całego. Królowa Zofia nie z poza świata do niej mówiła, ale widomym cnoty była przykładem. Zaprzątały ją wprawdzie sprawy publiczne, lecz i w życiu powszedniem, codziennem, pani ta miała czas i wolę na dobre czyny. Hojność jej stała się przysłowiową, w spadku krwi do wnuków przeszła, na prawnuka spłynęła. Posiadamy wskazówki, iż matka Jagiellończyka otaczała się ubogą dziatwą, dzieweczkami, którym dawała opiekę, nieciła w ich młodocianych sercach płomyki cnót chrześcijańskich, a rozświecała ich główki wiedzą, uposażała je później szczodrobliwie, gdy za mąż wychodziły. Pierwsza to szkoła niewieścia w Krakowie, o jakiej wie historya. Szczodrobliwość królowej Zofii stała się sławną szeroce. Wiedziano nawet w dalekim Rzymie o jej opiekowaniu się ubogiemi dziewczątkami. Gdy bowiem, w r. 1451, papież Mikołaj V ogłaszał dla Polski „miłościwe lato“, wydał brewe, iż każdy odbywający pielgrzymkę do jednego z czterech kościołów w Polsce (Krakowa, Lwowa, Gniezna i Wilna) dostępuje takiegoż odpustu, jakby do Rzymu odbył pielgrzymkę, pieniądze zaś, któreby wydano na tę włoską pielgrzymkę, powinni byli złożyć w jednym z czterech wyżej wskazanych kościołów polskich, a summa ta miała być użytą w połowie dla skarbca królewskiego, jako subsydyum, „na wojnę z niewiernymi“, w połowie zaś iść powinna była dla papieża, na naprawę kościołów rzymskich, i dla królowej Zofii „na posag ubogim dzieweczkom“. Czyny miłosierdzia i cnoty prawdziwie chrześcijańsko-narodowe witały Elżbietę u progów komnat królewskich na Wawelu. Czyny poświęcenia, do których węgielnym kamieniem był czyn najszczytniejszy — poświęcenia siebie dla innych — jak to uczyniła ta, co spoczywa u lewej strony ołtarza wielkiego na Wawelu, czyny niecone później hojną dłonią królowej Zofii, długo jeszcze przyświecać miały życiu tych królowych naszych, co na zamku krakowskim gospodarzyły. Póty czynów miłosierdzia, póty dzieł cnoty czynnej, w życiu, obyczaju, na dworze królowych naszych, póki ów dwór nie zcudzoziemczał; a tak długo

był swojskim, póki się trzymał murów wawelskiego grodu. Wnuczka Elżbiety, prawnuczka królowej Zofii, wszystkim nam tak dobrze znana, Anna Jagiellonka, jest ostatnią koronowaną panią trzymającą się tego prastarego gniazda Piastów. O niej to, u jej trumny, przy schyłku XVI w. rzekł Skarga: „Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew, i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swojem dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając. Byłaś przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego, z ciebieśmy mieli nietylko pomoc i uweselenie, ale i zbudowanie. Tyś była chlubą narodu, uweselałaś poddane twoje, byłaś ludu twego ozdobą“. Takiemi to słowy Polska żegnała ostatnią panią wielkich cnót domowych z Jagiellońskiej rodziny. Cnoty te urosły jednak nie na ugorze, podścieliskiem dla nich było półwiekowe panowanie na zamku wawelskim Elżbiety, były dobre tradycye Zofii, były legendy, opromieniające wiekopomną pamięć prawie świętej królowej, tej co pierwsza niosła krzyż prawdziwej wiary nad Wilią i Niemen, która czynem, nie głębokiej nauki, nie żmudnem książkowem badaniem, ale cnotą i ofiarą, siłą ducha, zdobytego modlitwą i łzami, zaparciem się siebie, rozszerzyła potężnie miedze cywilizacyi na północno-wschodnie krawędzie europejskiego lądu. Do tej wspaniałej duchowej spuścizny, która nigdy nie ginie, a bujny plon daje dla pokoleń całych, życie Elżbiety dorzuciło niemało. (Dok. nast.)

Maryan Dubiecki.

O MASONII W POLSCE

NA ŹRÓDŁACH WYŁĄCZNIE MASOŃSKICH.

(Ciąg dalszy).

III.

Ustawa w. Wschodu Królestwa polskiego i W. Ks. Litewskiego. — Regulamin dla lóż symbolicznych. — Prace masonii polskiej od 1783—1785 r.

W lecie 1783 r. umarła Ignacemu Potockiemu żona Izabella; śmierć ta spowodowała wyjazd jego za granicę. W zastępstwie Potockiego rządził masonią Wielhorski. Ustawę Potockiego poddał on pod dyskusyą pełnomocników lóż zwyczajnych, ci zaś opatrzywszy poszczególne rozdziały swemi uwagami oddali ją do ocenienia i zatwierdzenia najwyższej kapitule. Znaczniejsze zmiany jakich się domagano były te: Cztery loże wileńskie w porozumieniu z trzema lożami warszawskiemi zażądały przez swoich deputatów [1] zmiany art. 3 tytuł „władza wykonawcza", artykułów o wyborach i wotowaniach, wreszcie artykułu o władzy sporządze-

[1] Byli nimi: Felicyan Szaniawski deputat loży wil. „Świątynia mądrości"; Wincenty Białopiotrowicz d. l. wil. „Gorliwy Litwin", Mikołaj Morawski d. l. szkockiej wil. „Doskonała jedność", Tiesby de Belcour d. l. wil. „Dobry pasterz", Marcin Żyniew d. l. szkockiej wil., „Doskonała jedność", G. d' Everhard d. l. szkockiej, „Doskonałe milczenie", Ignacy Hofmann mistrz loży poznańskiej „Orzeł biały", August Kicki d. l. grodz., „Szczęśliwe oswobodzenie", J. Tański d. loży warsz., „Świątynia Izys", Al. Szembek d. l. „Świątynia Izys".

nia tymczasowego regulaminu i tłumaczenia praw, w ten sposób: każdy nowy projekt praw powinien być przedyskutowany na sesyi w. warstatu, potem odesłany do lóż; każda loża po odbytej naradzie i głosowaniu poinformuje swego deputata przy w. Wschodzie, jak w imieniu jej ma na ten projekt prawa głosować. Jeżeli na 6 tygodni przed sesyą w. Wschodu loża swej informacyi nie przyśle deputatowi, to ten może głosować według osobistego zdania. Co do wyborów to żądano, aby namiestnika litewskiego wybierali deputaci lóż prowincyi litewskich, namiestnika małopolskiego deputaci lóż prowincyi małopolskiej, namiestnika wielkopolskiego deputaci lóż prow. wielkop. Co do elekcyi innych urzędników w. Wschodu, każdy deputat przedstawi dwóch kandydatów. Wrazie wątpliwości jak rozumieć należy prawo, w. warstat zwołuje nadzwyczajną sesyą w. Wschodu; siedmiu deputatów wystarczy do kompletu. Ci uznać najprzód muszą, że jest *periculum in mora*, i tymczasowo tylko orzekają, jak należy rozumieć tekst prawa; stanowczo i na zawsze orzeknie w. Wschód. Co do kosztów utrzymania w. Wschodu, to wszystkie loże mają takowych dostarczyć, ale każda loża sama oznacza taksę, którą corocznie na ten cel ma płacić.

Życzenia te uwzględniła w. kapituła, która dokonała ostatecznej redakcyi ustawy. Dopiero na walnej sesyi w. Wchodu d. 26. lutego 1784 r. nastąpiło uroczyste jej ogłoszenie. Mam pod ręką wierną kopię tej masońsko-polskiej konstytucyi, bardzo starannie przepisaną dla sądu sejmowego w Warszawie 1828 „w sprawie Towarzystw tajnych i pułkownika Krzyżanowskiego o zbrodnię stanu obwinionych". Nosi ona tytuł:

„Akt ogłoszenia i ustawy wielkiego Wschodu Królestwa Polskiego i wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pod Wschodem warszawskim dnia 26. miesiąca XII., roku prawdziwego Światła 5783 a pospolitej ery 26 lutego 1784.

My niżej podpisani deputowani pełnomocni sprawiedliwych i doskonałych lóż:

Katarzyny pod gwiazdą północną, pod wschodem Warszawskim.

Doskonałej Jedności, pod wschodem Wileńskim.

Stateczności uwieńczonej, pod wschodem Poznańskim.

Doskonałej Tajemnicy, pod wschodem Dubieńskim.

Świątyni Izys
Tarczy północnej
Bogini Eleuzis
} pod wschodem Warszawskim.

Litwina gorliwego
Dobrego pasterza
Kościoła mądrości
} pod wschodem Wileńskim.

Szczęśliwego Oswobodzenia pod wschodem Grodzieńskim.

Orła białego
Szkoły mądrości
} pod wschodem Poznańskim[1].

Wiadomo czynimy, iż znajdując się w dostatecznej liczbie do złożenia wielkiego Wschodu narodowego przez złączenie naszych pełnomocnych, i opatrzeni w światła mularskie w całej ich zupełności, zważając oraz iż wiele na tem krajowi zależy, aby każda jakakolwiekbądź szczególna społeczność narodowej władzy podlegała, i że interes Towarzystwa równie jak i kraju bliskiej *immediate* nad lożami zwierzchności wymaga. — My niżej podpisani, dobrze i należycie od braci naszych upoważnieni i na mocy plenipotencyi tym końcem Nam danych i w archiwach towarzystwa złożonych, ogłosiliśmy, jakoż ogłaszamy niniejsze Zgromadzenie Mularskie pełnomocnych wyż rzeczonych Lóż i tych, które z czasem ustanowione zostaną Wielkim Wschodem Narodowym, któremu nadajemy dostojeństwo, prawo i zlecamy, ażeby na zawsze było ciałem reprezentującem i najwyższą władzą towarzystwa i w Królestwie Polskiem i w Wielkiem Księstwie Litewskiem".

Ustawa składa się z 54 artykułów, oto ich treść:

Art. 1–8. Władza prawodawcza i wykonawcza, zakładania i przyjmowania lóż, sądownicza, traktowania z zagraniczną masonią, dzielenia się na departamenta, stanowienia warsztatów i komisyj jest wyłączną atrybucyą wielkiego Wschodu, który się składa z deputatów pełnomocnych od każdej loży i wielkich urzędników. „Rząd mistyczny i duchowny Towarzystwa należy wyłącznie do najwyższej kapituły". Tym sposobem masonia polska uwolniła się raz na zawsze od dependencyi od w. Loży Francyi.

[1] „Pod Wschodem" na oznaczenie, że na świecie panował obskurantyzm, ciemnota, dopiero z pojawieniem się masonii weszło światło mądrości. Dlatego też i tron mistrza każdej loży ustawiony od wschodu słońca.

Art. 9. opisuje bliżej warunki wyboru, obowiązki i przysięgę deputatów pełnomocnych.

Art. 10. „Wielcy urzędnicy"; jest ich aż 22; nazwy już nam w ogóle znajome.

Następnie od art. 11—30 opisane są przymioty, obowiązki i przysięga każdego z 22 wielkich urzędników. Wielki mistrz powinien być mularzem „wysokiemi światłami zaszczyconym, urodzeniem, przymiotami i cywilnemi lub wojskowemi urzędami znakomity; on jest prezesem wielkiego Wschodu jako władzy centralnej, departamentów i warstatów; pod jego powagą zwykli mistrzowie katedralni otwierają lożę tą formułą: „w imię wielkiego świata Budownika, pod przewodnictwem najwspan. i najdosk. w. mistrza NN. otwieram sprawiedl. i doskon. lożę" i t. d. I wszystkie akta w ten sam sposób się zaczynają, gdyż „osoba jego jest świętą". W obradach ma dwa głosy, przysługuje mu prawo mianowania drugorzędnych urzędników w. Wschodu, zawieszenia chwilowo w urzędzie wszystkich, wizytowania lóż wszystkich, zmniejszenia kary i t. p.

Art. 31. „Oznaki". Te były wspaniałe. Wielki mistrz z krzyżem na piersiach, „nakształt biskupiego", zawieszonym na złotym łańcuchu. Fartuch, rękawiczki i dalmatyczka z białego atłasu, złotem bramowana, szarfa, również biała atłasowa, frendzlami złotemi bramowana, spadająca z prawego ramienia na lewy bok. Namiestnicy noszą krzyż maltański na fioletowej wstędze, fartuch i rękawiczki z białej irchy, bramowanej wstążką fioletową z trzema różyczkami tegoż koloru, oraz szarfę fioletową atłasową, srebrnemi frendzlami bramowaną. Każdy wielki urzędnik nosi godło swego urzędu na wstążce fioletowej. Deputaci zaś lóż szkockich t. j. stopni wyższych, noszą godło swej loży na wstędze pąsowej, lóż symbolicznych t. j. niższych, na wstędze błękitnej na lewej piersi.

Art. 32. „O pracach" t. j. posiedzeniach lożowych, opisuje porządek, w jakim w. Wschód zasiada. A więc w. mistrz po środku, po jego prawej stronie siedzą: namiestnicy wielkopolski i małopolski, w. sędzia, w. pieczętarz, w. archiwista, gościnnik, w. podskarbi. Po lewej stronie w. mistrza siedzą: namiestnik litewski, w. jałmużnik, w. miecznik, w. budowniczy, rachmistrz, mowca, sekretarz, w. sekretarz. Pod ołtarzem zasiada „najpoważniejszy" w. mowca. Pełnomocni deputaci lóż zasiadają pod kolumnami po-

rządkiem dawności założenia loży, a więc, w kolumnie południowej deputaci lóż: Katarzyna pod gwiazdą północną, Stateczność uwieńczona, Świątynia Izys, Bogini Eleuzis, Dobry pasterz, Szczęśliwe oswobodzenie. W kolumnie północnej deputaci lóż: Doskonała jedność, Doskonała tajemnica, Tarcza północna, Gorliwy Litwin, Kościół mądrości, Orzeł biały, Szkoła mądrości. Dwaj wielcy dozorcowie pod kolumnami na swem zwykłem miejscu zasiadają.

Art. 33—38. „O honorach w. mistrzowi". Nawet krakowski ks. biskup nie wchodzi z taką pompą na Wawel, jak ów „najpotężniejszy i najwspanialszy" biskup masoński. Sześciu dygnitarzy loży z pochodniami w ręku z w. mistrzem obrzędów na czele, wprowadzają w. mistrza, trzymającego także pochodnię zapaloną, do loży, namiestnik i w. miecznik postępują za nim. Bracia robią sklepienie ze szpad skrzyżowanych, pod którem on przechodzi i zasiada na tronie. Podobne są ceremonie dla innych dygnitarzy; nigdzie może przedrzeźnianie katolickich zwyczajów nie jest widoczniejsze.

Art. 39 i 40. Opisuje sposób głosowania i wyborów. Oprócz w. mistrza, który ma dwa głosy, wszyscy dają głos 1. Urzędnicy wielcy w kwestyach prawodawczych mają głos tylko doradczy, w sądach i wyborach głos stanowczy. Przy wyborach każdy deputat podaje 2. kandydatów, wotowanie odbywa się sekretnemi kartkami, większość głosów decyduje.

Art. 41. Podaje model listów okólnych i pism w. Wschodu.

„Dnia... miesiąca...

r: p: ś:

Na chwałę Wielkiego Świata Budownika.
Imieniem i pod przewodnictwem Najwspanialszego wielkiego Mistrza N.
Wielki Wschód Królestwa Polskiego i W. Księstwa Litewskiego
do sprawiedliwej i doskonałej Loży N. na Wschodzie N.
Pozdrowienie, siłę i jedność".

Zakończenie zaś takie:

Jesteśmy z uczuciem najtkliwszego braterstwa
Najmilsi Bracia Wasi, najprzywiązańsi i najprzychylniejsi Bracia.

Uchwalono na powszechnem zgromadzeniu porządnie zwołanem i węzłem Braterstwa zjednoczonem, pod punktem geometrycznym od samych prawdziwych mularzy znanym, w Wielkim Wschodzie Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego, miejscu oświeconem, porządnem i mocnem, gdzie panuje równość, pokój i zgoda. Dnia... miesiąca... roku masońskiego...".

Art. 42 – 51. Omawiają skład i atrybucye „Warstatu“, który jest tem w obec w. Wschodu, czem jest prezydium w obec sejmu. Składa się z samych wielkich urzędników w liczbie 16 — siedem członków wystarczy do kompletu, i wykonuje sądowniczą władzę, wszelako wyroki jego pójść muszą pod zatwierdzenie w. Wschodu, zakłada, przyjmuje i dozoruje loże, traktuje z zagraniczną masonią, przygotowuje projekta do praw, żądać może zwołania nadzwyczajnego posiedzenia w. Wschodu; 7 urzędników i 7 deputatów wystarczy do kompletu, wystawia dyplomy, patenta i inne pisma; zarządza wszystko, co do ogólnego porządku lóż pożyteczne, ale wszystko to czyni powagą, imieniem i pod pieczęcią w. Wschodu.

Art. 51. Stanowi, aby poszczególne loże w porozumieniu z w. Wschodem ułożyły bilans wydatków na utrzymanie deputatów swoich i wielkich urzędników, i podatków, które od członków swoich na ten cel pobierać mają.

Art. 52. „O łożach prowincyonalnych“ ustanawia, aby 4 loże szkockie t. j. stopni wyższych, z „lożą matką“ pod imieniem Katarzyny pod gwiazdą północną, nosiły nazwę „prowincyonalnych“, i wykonywały swą zwierzchniczą władzę w ten sposób:

Do przewielebnej loży prow. „Doskonała jedność“ pod wschodem Wileńskim należy cała Litwa.

Do przewielebnej loży prow. „Stateczność uwieńczona“ na wschodzie Poznańskim należą województwa: poznańskie, kaliskie, gnieźnieńskie, sieradzkie, łęczyckie i ziemia wschowska.

Do przewielebnej loży prow. „Doskonała tajemnica“ pod wschodem Dubieńskim, województwa: wołyńskie, podlaskie, bracławskie i kijowskie.

Do wspaniałej loży matki, „Katarzyna pod gwiazdą północną“ pod wschodem Warszawskim, „wszystkie ziemie i kraje pod panowaniem polskiem będące, jakoteż kraje i prowincye za granicą leżące“, a więc masonia nie uznawała pierwszego rozbioru Polski.

Art. 53. Podaje loże „przysposobione“ t. j. adopcyjne, do których zapisane „siostry“ zostawać mają pod nadzorem i kierunkiem warstatu w. Wschodu. Istniejącej loży adopcyjnej w Warszawie poleca się, aby za urzędników swoich wybierała z dygnitarzy w. Wschodu.

Wreszcie art. 54., podaje rotę przysięgi każdego z w. urzędników z osobna i deputatów w. Wschodu.

Dla utrzymania jednolitości w obradach i traktowaniu spraw lóż symbolicznych o 3 stopniach wydano bardzo starannie zredagowany regulamin, którym wszystkie inne loże rządzić się miały p.t. Regulamin dla loży zwykłej spisany z rozkazu sprawiediwej i doskonałej loży Tarcza północna. Na wschodzie Warszawy 5784[1].

Według tego regulaminu masonia polska stanisławowska wyznawała deizm; czyniły to wtenczas, szczerze lub obłudnie, i inne Wschody zagraniczne. Dzisiaj wielka część masonii obywa się bez w. Budownika świata, i wyrzuciła go z swego ceremoniału. Pod względem politycznym polski Wschód skłaniał się do monarchii elekcyjno-konstytucyjnej, a przyznać mu to trzeba, że pilnie przestrzegał władzy i rządził. W rządzie tym przeważał element francusko-niemiecki, ale stara anarchia polska nie zawsze dawała się ująć w kluby nawet masońskiemu rządowi. Zobaczymy niebawem, że krom lóż warszawskich, wszystkie inne zaniedbywały się w wypłatach, i nie było sposobu przyzwyczaić je do corocznego odnowienia pełnomocnictwa swoim deputatom, tak że wreszcie dyspensować je od tego prawa musiano.

Licząc się z ówczesnem usposobieniem szlachty, w. Wschód starał się zawsze o znakomitą reprezentacyą, i powoływał na urzędy w. mistrza i namiestników osobistości z historycznem nazwiskiem i wielką popularnością. Oto skład w. Wschodu 1784 r.

W. mistrz, Andrzej Mokronowski, wojewoda mazowiecki, jenerał wojsk koronnych. — Namiestnik wielkopolski, Fr. Ksaw. Wojna, starosta stanisławowski, członek komisyi skarbu, szambelan króla. — Namiestnik litewski, Michał Ogiński, hetman w. litewski, kawaler orła białego. — Namiestnik małopolski, Michał Lubomirski, jenerał-lieutenant wojsk polskich. — W. dozorca 1., Kazimierz Rzewuski, pisarz polny koronny, kawaler orderu św. Stanisława. — W. dozorca 2., Stefan de Rieule. — W. mowca, Stanisław Potocki, podstoli koronny. — W. sekretarz, Ignacy Tański, późniejszy mi-

[1] *Réglemens pour une L. particulière rédigés par ordre de la j: et p: L. du Boudier du Nord à l' Orient de Varsovie 5784.* w 8-ce, str. 126.

nister wyznań i oświaty. — W. podskarbi, Dyonizy Genty. — W. mistrz obrzędów, Piotr Bouquet. — W. sędzia, Aubert. — W. jałmużnik, ks. Kajetan Ghigiotti, członek rady nieustającej w departamencie interesów cudzoziemskich, kawaler maltański, prałat domowy Ojca św. — W. pieczętarz, Tadeusz Witski. — W. archiwista, Mikołaj Wilczewski. — W. miecznik, Karol Berker. — W. budowniczy rachmistrz, Bronikowski, regent komisyi menniczej, szambelan j. k. m. — W. stuard, Baltazar Treter.

Urzędnicy z nominacyi w. mistrza byli: Mowca, Józef de Maisonneuf. — Sekretarz, Le Jay. — Mistrz obrzędów, Michał Kochanowski, senator-kasztelan, kawaler orła białego. — Gościnnik, Stoll. — Stuard, Jan Kajserling.

Deputaci lóż byli: z loży Katarzyna pod gw. półn., Aleksander Szembek, jenerał major wojsk koronnych, kawaler orderu św. Stanisława. — Doskonała jedność, Mikołaj Morawski. — Stateczność uwieńczona, Ignacy Hofman. — Doskonała tajemnica, Bogumił Ewerhard, członek nebalteru rady nieustającej w departamencie spraw cudzoziemskich. — Świątynia Izys, Ludwik Gutakowski. — Tarcza północna, Maurycy de Glaire. — Bogini z Eleuzis, August Ott. — Litwin gorliwy, Wincenty Białopiotrowicz, łowczy powiatu Lidzkiego. — Dobry pasterz, Thesby de Bellecourt. — Kościół mądrości, Fabian Szaniawski. — Szczęśliwe oswobodzenie, August Kicki, senator-kasztelan. — Orzeł biały, Stanisław Majaczewski. — Szkoła mądrości, Zygmunt Goebel.

W najświetniejszej dobie 1786 r. było lóż 20, przyjąwszy przeciętną cyfrę członków każdej loży 50, mielibyśmy cyfrę Masonów za krola Stanisława 1000. Ale od tej cyfry odciągnąć należy w. Wschód i 4 loże prowincyonalne, które składały się z członków lóż innych, a więc 1.000—250, = 750. Zauważyć należy i to, że większa połowa lóż jak n. p. krakowski „Przesąd zwyciężony“ liczyła zaledwie 20 członków, a więc nie mylę się, gdy twierdzę, że ogólna cyfra braci Masonów w Polsce stanisławowskiej nie przechodziła o wiele 500 członków.

Cóż ci „sprawiedliwi i doskonali“ bracia robili, jakie były „prace“ królewskiego zakonu masonii? O tem pouczą nas encykliki czyli „tablice rysunkowe“ w. Wschodu, które opatrzone podpi-

sem w. mistrza, w. sekretarza, w. pieczętarza i pieczęcią w. Wschodu[1], rozsyłane być powinny co kwartału lożom; rozsyłano je zaś od r. 1787 nierównie rzadziej. Dla zorientowania się w tym arsenale szumnych a czczych frazesów, pod których osłoną opowiedziane mizerne czyny masońskie, zestawić muszę wypadki zaszłe w tej dobie w jedną całość.

Jeszcze przed ostatecznem ukonstytuowaniem się w. Wschodu 1784, opuścił Ignacy Potocki, mecenas wskrzeszonej masonii, Warszawę; mistrzem wielkim obrano jednogłośnie Andrzeja Mokronowskiego, wojewodę podówczas mazowieckiego, i dokonano tyle upragnionej reformy. List okólny w. Wschodu z d. 5 kwiet. 1784 r., z którego ustępy przytoczymy niżej, powiadomił loże o tym szczęśliwym wypadku. Rządy Mokronowskiego trwały zaledwo kilka miesięcy. Umarł 14 czerwca 1784 r., okólnik w. Wschodu z d. 16 czerwca donosi o tem lożom i rozporządza, aby w dzień św. Andrzeja, 30 listopada, obchodzono lożę żałobną według ceremoniału, który wnet będzie rozesłany, urzędnicy zaś lożowi aby nosili na posiedzeniach czarną szarfę, bracia czarną przez ramię przewiązkę na znak żałoby. Wszystkie akta wychodzące od w. Wschodu pieczętowane będą czarnym lakiem. *Sede vacante* t. j. podczas bezkrólewia rządzić będzie wielkopolski namiestnik Wojna[2]. Na elekcyi w styczniu 1785 r., powierzono godność w. mistrza Szczęsnemu Potockiemu wojewodzie ruskiemu, który podówczas wielki mir i famę dobrego patryoty posiadał. Wnet jednak przeszedł otwarcie do obozu rosyjskiego, i stanął na czele Targowicy. Po nim objął wielki młotek w maju 1789 r. Kazimierz Sapieha, marszałek litewski czteroletniego sejmu, i dzierżył go aż do chwili upadku masonii podczas drugiego rozbioru Polski. Przy każdym nowym wyborze w. mistrza i co roku zmieniała się częściowo postać w. Wschodu, podam te zmiany, o ile źródła na to mi pozwolą.

---

[1] W pieczęci tej orzeł polski, na piersi jego tarcza, na niej pogoń litewska, pod tą zaś słońce i gwiazda; dokoła napis łaciński; *Sigil. Magist. Supr. Ordin. Mur. Lib. Ori. Polon. et Lithuan.* To znaczy: Pieczęć mistrzowstwa wielkiego zakonu Mularzy wolnych Wschodu Polski i Litwy.

[2] Teki archiw. loży Tarcza północna, t. I.

Koszta roczne utrzymania w. Wschodu wynosiły 173 #, t. j. mieszkanie 24 #, pensya brata służącego 24, opał i światło 40, kancelarya 25 #. Każda więc z 13 lóż płacić miała na ten cel po 13 # 5 złp. i 16 groszy[1]. Trybut lóż zmniejszał się co roku, w miarę jak przybywały loże nowe, a przybywały zrazu dość raźno.

Jeszcze w 1784 r. dwaj „bracia“ Mikosz i Müller założyli „Jutrzenkę bizantyńską“ na wschodzie Konstantynopola między emigracyą polską. Na wschodzie cesarsko-rosyjskiej armii założono lożę „Nieśmiertelność“; na wschodzie Lwowa „Szczerą przyjaźń“; na wschodzie Zwiahelu „Minerwę“. Donosi o tem „tablica“ czyli kwartalny okólnik w. Wschodu z d. 7 lipca 1784 r. zredagowany po francusku: „Z radością donosimy wam, że budynek, którego fundamenta przed 3 miesiącami położyliście, dźwiga się i doskonali z szybkością świadczącą dobrze o trudzie, jaki sobie zadajemy, aby odpowiedzieć godnie waszemu zaufaniu ...Z 13 lóż istniejących przy założeniu naszego Wschodu, doszliśmy w bardzo krótkim czasie do 17, i taką zyskaliśmy reputacyę regularności prac naszych, że spodziewamy się słusznie ustawicznego postępu, i będziemy wkrótce mogli wam donieść o otwarciu lóż nowych[2]...“

Nadzieja ta niebardzo się ziściła. W r. 1785, otworzono tylko jednę lożę „Orzeł pruski“ na wschodzie Insterburga i organizowano dawne. Roku 1786 zjawia się znów jedna nowa loża: „Polak dobroczynny“ na wschodzie Dubna, założona przez brata Ignacego Działyńskiego. Roku 1787, znów tylko jedna „Ciemności zwyciężone“ na wschodzie Żytomierza, i na tem koniec, tak że masonia polska w stanisławowskiej dobie nie liczyła więcej nad 21 lóż, z których kilka nie dawało żadnych oznaków życia.

Nad zachowaniem rytuału i doktryny masońskiej we wszystkich tych lożach czuwała kapituła większa przy kapitularnej loży „Katarzyna pod gwiazdą północną“ istniejąca. Skład jej roku 1785, był ten: August Ott przezes; członkowie: Genty, Aleksander Szembek, Bouquet, Morawski, Stockmann, Aubert, le Fort,

---

[1] Teka I. archiw. Tarcza północna, t. I.
[2] Tamże.

Wojna, Pütz; sekretarz, le Jay, wszyscy kawalerowie Różanego krzyża [1].

Z krótkich rządów w. mistrza Mokronowskiego nie pozostał ślad inny, jak okólnik jego polski do lóż z d. 5 kwiet. 1784 r.

„Kiedy zwykłe losów ludzkich koleje naród nasz uciskały, za szczególnem wielkiego świata Budownika błogosławieństwem światło mularskie wzrost w nim brało, towarzystwo nasze pod młotkiem przezacnego brata Józefa Hilzena kwitnące odebrało pod d. 4, miesiąca 6, roku przywróconego światła 5780 (4 sierp. 1780) od najwspanialszej metropolii londyńskiej konstytucyę wielkiej loży prowincyonalnej z przywiązanemi do tego nadaniami. Rozkrzewione staraniem i przewodnictwem bywszego wielkiego mistrza, wspaniałego i najsławniejszego brata Ignacego Potockiego, loże narodowe poznały z przekonania i doświadczenia, jak korzystną jest potrzeba towarzystwa równie jako i państwa (sic), aby najwyższej zwierzchności w kraju wolnie ustanowionej podlegały, i widząc się w dostatecznej liczbie i w światła wolnomularskie w zupełności opatrzone, przy powszechnych oklaskach na d. 2, miesiąca 12, r. p. ś. 5782 (2 lut. 1783). Wielki Wschód Królestwa Polskiego i W. Ks. L. jednomyślnie postanowiły. Lecz przeciwność najpiękniejszym zamiarom kładąca tamę przerwała niedługo pomyślność tej ustawy. Ledwośmy zaczęli kosztować spodziewanych korzyści, gdy smutne zdarzenie, oddalając od w. Wschodu wspaniałego i najsławniejszego brata Ignacego Potockiego, na niebezpieczeństwo upadkiem grożące tak wspaniałą budowę naraziło. Odebraliście najmilsi bracia w liście okólnym pod d. 20, miesiąca 7, r. p. ś. 5783 (20 wrześn. 1783), obraz obecnych na ówczas okoliczności. Przerażeni sprawiedliwą trwogą, z właściwą wolnym mularzom skwapliwością, rzuciliście się do rychłej budowy naszego ocalenia. Gdzie równość, związek i wolność wspólne łączą siły, tam wszelkie zawady łatwe są do przełamania. Przewielebni i najpoważniejsi deputowani pełnomocni wszystkich porządnych lóż Królestwa Polskiego i W. Ks. L. godni woli waszej, najmilsi bracia, tłumacze, nie spóźnili się stawić

[1] Pieczęć kapituły wielkiej: krzyż w owale z gwiazdą pośrodku. Pomiędzy ramionami krzyża z prawej strony: cyrkiel i łabędź karmiący pisklęta, po lewej stronie: orzeł polski i róża. Dokoła napis: *Sigil. Cap. Sup. Constel. sept.* t. j. Pieczęć kapituły najwyższej siedmiu świateł.

w miejscu przyzwoitem (w loży), gdzie niosąc z sobą ducha gorliwości o dobro i ustawę porządnego towarzystwa i zaufaniu waszemu dostatecznie odpowiadając, wybór wasz najlepiej usprawiedliwili. Poświęciwszy nie mało pracy na poznanie uwag od wszystkich lóż uczynionych i onych w zbiór ustaw w. Wschodu umieszczenie, dzieło to podali pod roztrząśnienie najwyższej kapitule, która potwierdzeniem swojem upoważnić je raczyła. A dopiero na uroczystem d. 26 miesiąca 12, r. p. s. 5783 (2 lut. 1784) zgromadzeniu swojem stosownie do zaszłych odmian napisaną księgę: *Akt ogłoszenia i ustawy wielkiego Wschodu narodowego* zawierającą, po rozważnem przeczytaniu, za jednomyślną zgodą podpisali i o tem przeszłym w. Wschodu urzędnikom donieśli. Zwołane od tych wielkiego Wschodu narodowego zgromadzenie zwyczajnym obrządkiem ogłosiło, iż pomienione ustawy będą odtąd i nazawsze zasadą prac Towarzystwa w Królestwie Polskiem i w W. Ks. L. Powszechna wola wasza, najmilsi bracia, w prawo zamieniona, tem jest pewniejsza trwałości swojej, że każdy z was część jej składając, staje się całości obrońcą.

„Dawszy czas słusznej ztąd radości, przystąpiliśmy do obrania głowy Towarzystwa naszego. Snadno nam się domyśleć tkliwego uczucia, które w sercach waszych sprawi wiadomość, że wiekiem, przymiotami mularskimi, sławą w ojczyźnie i obcych narodach nabytą szanowny brat Andrzej Mokronowski, jednostajnemi głosy, chociaż w sekretnem kreskowaniu, w. mistrzem w. Wschodu narodowego ogłoszony, przyjął wdzięcznie tę wysoką dostojność, pomimo osłabienia latami i pracą nadwątlonego zdrowia. On pierwsze światła mularskiego przyniósłszy do Polski promienie, (założył r. 1742 lożę w Wiśniowcu) potrafi zapewne wrócić zaćmiony blask miejsca tego utratą poprzednika, któremu tak wiele Towarzystwo nasze winne jest wdzięczności“ [1].

Vacante sede, z czasów bezkrólewia doszło nas kilka dokumentów. I tak pod d. 7, miesiąca 5, r. 5784 (t. j. 7 lipca 1784), „na chwałę wielkiego Budownika świata, pod powagą najsławniejszego deputata wielkopolski Wojny, zastępcy w. mistrza *sede va-*

[1] Teki archiw. l. Tarcza północna t. II. List pisany wyjątkowo po polsku, jako próbkę masońskiego stylu przytoczyłem dłuższe z niego ustępy.

cante, wielki Wschód narodowy wszystkim regularnym lożom, pozdrowienie, siłę i jedność — Bracia, drodzy Bracia — wierni obowiązkom na siebie przyjętym pośpieszamy z sprawozdaniem z prac naszych od zebrania naszego d. 25 miesiąca 1. (marca) aż do 24 miesiąca 4 (czerwca) roku bieżącego".

Oznajmia więc najprzód otwarcie czterech lóż nowych, o których wspomniałem wyżej.

Donosi dalej, że w. Wschód polski uwiadomił w. Wschody Francyi i Anglii o wskrzeszeniu masonii w Polsce i zawiązał z nimi stosunki.

Staraniem w. Wschodu przygotowano formularze różnych „desek rysunkowych" t. j. korespondencyi masońskiej i dokładny regulamin lożowy w trzech językach: francuskim, polskim i niemieckim, a to staraniem loży „Tarcza północna" i „Świątynia Izys" [1]. Dzień 7 maja, jako imienin JKM. uświetniono jałmużną daną podupadłej rodzinie polskiej, i wspaniałą oracyą w. mowcy Stanisława Potockiego „o cnotach i wielkich przymiotach Stanisława Augusta naszego króla". Tekst tej mowy przysyła się lożom, aby publicznie był odczytany braciom.

Na d. 24 lipca tegoż r. obchodzono lożę żałobną adopcyjną dla uczczenia pamięci świeżo zmarłego w. mistrza, Andrzeja Mokronowskiego. Król sam raczył na ten obrzęd ofiarować piękny portret nieboszczyka, który zawieszono potem w loży.

Upomina się deputatów, aby wrazie oddalenia się swego od w. Wschodu, wyznaczyli swych zastępców; aby loże płaciły regularnie swój roczny trybut, gdyż dotąd tylko warszawskie loże uiściły się z niego. Zaniedbanie tego pozbawia deputatów prawa zasiadania na wielkim Wschodzie, który znów pozbawiony „świateł" t. j. zdrowej rady i pieniędzy, rozwinąć należycie swej działalności nie potrafi, i wzniesione z takim trudem wolnomularstwo polskie upadnie.

List kończy się modlitwą:

„Oby wielki Budownik świata odwrócił ten cios od nas i od wszystkich lóż, i oddalił tę hańbę, żeśmy nie dotrzymali naszych zobowiązań, a profanom dali słuszny powód krytyki i zgorszenia".

---

[1] Jest to ten sam regulamin, którego treść podałem na str. 100.

Z tenoru tego listu, pisanego jak wszystkie dalsze po francusku, widoczna, że już w pierwszych miesiącach, z wyjątkiem Warszawy, wszędzie indziej leniwo brano się do wskrzeszenia masonii, i nie troszczono się wiele o nią.

Drugie z rzędu kwartalne posiedzenie w. Wschodu, które powinno się było odbyć we wrześniu, nie odbyło się wcale, gdyż większa część deputatów piastując urząd poselski i inne, powołaną została na sejm do Grodna.

W dniu 27. grudnia odprawiono zwykłą uroczystość „św. Jana w zimie". Deputaci loży wileńskiej „Gorliwy Litwin", loży „Jutrzenka bizantyńska" w Konstantynopolu, „Nieśmiertelności" na wschodzie cesarsko-rosyjskiej armii, nie przybyli na ten festyn z wielkim smutkiem w. Wschodu, gdyż przezto loże te stracić mogą prawo reprezentacyi, to jest wysyłania swych deputatów do w. Wschodu.

Rozgraniczono na tejże sesyi władzę praktycznego tłumaczenia ustaw masońskich, przysługującą w. Warstatowi, złożonemu z w. urzędników w. Wschodu. Tylko gdy zdania w. Warstatu są podzielone, rozstrzyga wątpliwości w. Wschód. Wnioski dotyczące ustaw masonii, rozbierane pierw będą na sesyi w. Warstatu, potem dopiero przyjdą pod obrady w. Wschodu. Upomniano ostro deputatów, aby wcześnie swoich zastępców przedstawili. Wreszcie przeprowadzono wybory w. urzędników do w. Wschodu na r. 1785. Z urny wyborczej wyszedł w. mistrzem wojewoda ruski, Stanisław Szczęsny Potocki. Ponieważ pan wojewoda rzadko przesiadywał w Warszawie, zajęty sprawami Ukrainy, przeto zastępował go w rządach „najsławniejszy" namiestnik wielkopolski, brat Wojna.

Pod d. 6, miesiąca 2, r. 5785 (6 kwiet. 1785), wydał w. Wschód list okólny do wszystkich lóż regularnych w języku francuskim. Treść jego następująca: „Rok upłynął od ukonstytuowania się w. Wschodu polsko-litewskiego. Kapituła najwyższa poczyniła ważną zmianę w konstytucyi przed rokiem przyjętej. Loże prowincyonalne składały się wyłącznie z braci szkockich (wyższych) stopni (od 4—7, albo od 4 –30) i wykonywały nadzorczą władzę nad lożami symbolicznemi (pierwszych trzech stopni). To się sprzeciwia równości masońskiej. Odtąd prowincyonalne loże składać się będą z kapituły braci stopni szkockich, z rezydentów deputowanych od lóż symbo-

licznych, z mistrzów i urzędników tychże lóż należących do jednej prowincyi. Przezto zaradzi się równości masońskiej i ułatwi się prowincyonalnej loży rządy nad całą prowincyą.

Powstała nowa loża „bizantyńska“ na wschodzie Konstantynopola, której założycielem przewielebny brat Mikosz, mistrzem katedralnym, brat Müller; wspomnieliśmy o tem wyżej.

„Loża adopcyjna „Dobroczynność“ na wschodzie Warszawy rozpoczęła swoje prace, według woli prawa, pod powagą wielkich urzędników w. Wschodu, a dała dowód swego usposobienia, prosząc w. Warstat, aby protokoły jej spisywane były po polsku, co też, jako zgodne z prawem, pozwolono. Wielki Warstat, chcąc zabezpieczyć trwałość i porządek tej loży adopcyjnej, ułożył dla niej regulamin; przyjęły go, podpisały i zaprzysięgły „wspaniałe siostry“, wydrukowano go i oto załączamy wam egzemplarz. Prace loży adopcyjnej przejrzane po każdem posiedzeniu przez w. Warstat według tenoru prawa, są rękojmią, że z dniem każdym loża ta przyczyni nowego blasku masonii polskiej“.

Nadzieja nie zawiodła. W krótkim czasie powstały trzy nowe loże adopcyjne zależne od w. loży „Dobroczynność“: w Poznaniu przy loży prowincyonalnej „Stateczność uwieńczona“ d. 11 maja 1785; we Lwowie przy loży „Szczera przyjaźń“ d. 22 czerwca 1788; w Dubnie przy loży prowincyonalnej „Doskonała tajemnica d. 25 stycz. 1786. Mistrzynią w. była krajczyna, Teresa Marcelowa Potocka[1].

Dochód kwartalny w. Wschodu wynosił 993 złp. 29 groszy, wydatki 963 złp.

Okólnik upomina bardzo poważnie wszystkich deputatów, aby w razie wydalenia się z Warszawy, zostawili zawczasu swych zastępców; upomina loże, aby dość wcześnie odnowiły pełnomocnictwo swoim deputatom i złożyły roczny trybut.

Wkońcu donosi z żalem, że według świeżo nadesłanej „deski rysunkowej“ (listu) od loży „Zgoda“ na wschodzie Medyolanu, z którą nasz Wschód narodowy braterskie utrzymywał stosunki, trzej włoscy bracia: Jan Ambroży Biraga, Wincenty Borsotti i kapitan Józef Rabuffi, hrabia na Villanowa, wyklęci i wykreśleni zo-

[1] Rękopis Skimborowicza: „Historya Wolnego Mularstwa w dawnej Polsce“.

stali z całego zakonu „przekonani o krzywoprzysięzką zdradę tejemnic i zbrodniczą profanacyą ceremonij. Wszystko, co z rąk W. Budownika świata wychodzi, wyradza się w rękach człowieka... widząc to, tylko człowiek słaby traci odwagę, ale filozof pozostaje niewzruszony w swoich zasadach".

Zapowiedź zwyczajnego festynu na dzień imienin (18 kwietnia) w. mistrza, zamyka ten list okólny.

Na św. Jana dnia 24 czerwca i 8 paźd. 1785 odbyły się znów dwa posiedzenia w. Wschodu. Zdaje o nich sprawę okólnik francuski, drukowany 24 listop. 1785 r. Dawniejsze upominania o regularne przebywanie deputatów lożowych przy w. Wschodzie okazały się bezskuteczne. „Z żałością spostrzegliśmy, słowa są listu, że deputaci wileńskich lóż: „Doskonałe milczenie", „Dobry pasterz", „Świątynia mądrości", loży grodzieńskiej „Szczęśliwe oswobodzenie", lóż poznańskich „Stałość uwieńczona", „Szkoła mądrości" i loży cesarsko-rosyjsko-wojskowej „Nieśmiertelność" i zwiahelskiej loży „Minerwa", nie zajęli miejsc swoich dlatego, że niektórzy deputowani oddaliwszy się z Warszawy, nie dali swoich zastępców, a znów niektóre loże nie odnowiły pełnomocnictwa deputatom swoim na rok bieżący". Piękny porządek i wielka zaiste gorliwość masońska! połowa lóż nie dba wcale oto, aby zachować należny związek z w. Wschodem, rządzi się i robi, jak im się żywnie podoba. Ale za to uświetnił to posiedzenie swą obecnością „najwspanialszy i najwielebniejszy brat Brühl, jenerał artyleryi koronnej. Najsławniejsi i najpoważniejsi deputaci i wielcy urzędnicy w. Wschodu patrzyli z najżywszą radością na tę kolumnę naszego zakonu zdobiącą naszą świątynię. On zaś nie zaniedbał odpowiedzieć pochlebnym dowodom naszych uczuć upewnieniem, że gotów dopełnić przy nas nieodwołalnego obowiązku, jaki każdy Mason wstępując do zakonu na się przyjmuje, i według sił służyć będzie zakonowi aż do grobu". Co do lóż wojskowych postanowiono, że tam, gdzie pułki stoją stale w jednem miejscu załogą, założone być mogą i dependują od jednej z czterech lóż prowincyonalnych, gdzie zaś pułki są ruchome, od loży macierzystej „Katarzyna pod gwiazdą północną".

Dochód kwartalny w. Wschodu 2079 złp. 15 groszy, wydatki 1634 złp. 15 groszy, pozostało w kasie 445 złp.

„Ponieważ na wiosnę 1785 r. wylew Wisły przyniósł nadbrzeż-

nym mieszkańcom Warszawy znaczne szkody, przeto na wniosek w. mowcy, brata de Maisonneuf, cztery loże warszawskie, chcąc godnie uczcić imieniny „dobroczynnego“ króla Stanisława, złożyły 100 #, które urzędnicy tych lóż rozdali powodzią dotkniętym, z taką roztropnością, że ocalili życie wielu starcom, kobietom i dzieciom śmiercią zagrożonym“.

Na sesyi w. Wschodu d. 14 paźd. brakło znów deputatów od 8 lóż, za co lożom tym dano ostrą naganę. Zdaniem brata Kickiego, loża grodzieńska nie wysyła deputata, bo nie ma swego mieszkania, a znaczniejsi jej członkowie są nieobecni. Otworzono nową lożę „Orzeł pruski“ na wschodzie Insterburga. Dowiedziano się z pociechą i zbudowaniem o pracy wielebnej loży „Szkoła mądrości“ na wschodzie Poznania, w celu oddania hołdu masońskiego najwspanialszemu i najsławniejszemu bratu Maksymilianowi księciu Brunszwickiemu, który umarł 27 kwietnia 1785, jako ofiara swego męstwa i gorliwości dla nieszczęśliwych zagrożonych straszną klęską. Pracę tę będącą zaszczytem loży (poznańskiej) i jej członków, uważamy godną pochwały publicznej i uznania wszystkich lóż regularnych“.

Dochód kwartalny 1361 złp. 18 groszy, wydatki 1293 złp. pozostało w kasie 65 złp. 18 groszy.

Rozporządzeniem w. Warstatu z 30 listop. 1785 r., obchodzono masońskie ekzekwie za brata Maksym. ks. Brunszwickiego w nadzwyczajnem posiedzeniu loży adopcyjnej d. 16 grud. o godz. 5-tej wieczorem. Książe ten był w. mistrzem masonii zreformowanej niemieckiej. Podczas powodzi 1785 r. ratując tonących sam utonął w Odrze. „Najwspanialsze siostry“ i wszystkie loże warszawskie zostały na ten festyn zaproszone. Bracia ukazać się mieli z czarną krepą przewiązaną przez ramię i rękojeść szpady. Pochwały „bohatyra ludzkości“ głosił hr. Brühl i mowce lóż miejscowych. Brat Łęski namalował piękny obraz przedstawiający śmierć księcia, zawieszony w loży. Składka zebrana na tej sesyi przeznaczona „nowemu zakładowi miłosierdzia i dobroczynności“.

Wielki Wschód narodowy wierny duchowi „braterstwa“, przesyłał i wzamian odbierał „obrazy“ t. j. katalogi lóż zagranicznych, mianowicie loży wiedeńskiej „Zur gekrönten Hoffnung“ i medyolańskiej „Concordia“ zgoda. „Ukoronowana nadzieja“ istniała w Wiedniu od 1770 r. Przesyłając swój obraz polskim braciom, pisze (po

francusku): „Obchodząc po raz piętnasty od założenia naszej loży uroczystość św. Jana z największą czcią dla naszego zakonu, i rzuciwszy okiem na czas miniony i losy masonii poza kołem i w kole lóż zjednoczonych tego kraju, (Niemiec pod panowaniem Józefa II.), przejęci jesteśmy uczuciem wdzięczności dla w. Budownika za wszystko dobre, którego nam użyczył, a zwłaszcza za to szczęście, jakie nam zapewnia w światłej i dobroczynnej mądrości naszego dostojnego monarchy (Józefa II.). Prosimy go (w. Architekta) gorąco o użyczenie nadal tego błogosławieństwa dla nas i dla całego zakonu, ażeby jeden promień jego boskiego światła oświecił także te kraje, gdzie nasi drodzy bracia przywiązani do tejże jak my doktryny, nie cieszą się takiem jako my szczęściem. Niechże nam więc wolno będzie w tej błogiej chwili prosić o waszą przyjaźń i t. d.“. Dobrze się więc działo niemieckim braciom pod egidą Józefa II. Na czele w. Wschodu niemieckiego stał panujący książe, kawaler złotego runa, c. k. koniuszy, Jan Karol Dietrichstein-Proskau; na czele w. Wschodu Austryi komandor orderu św. Szczepana, c. k. tajny radca i prezydent nadwornej komisyi dla spraw duchownych, br. Franc. Salezy Kressel. Na czele wspaniałej loży „Zum neuen Bunde“, stał jako wielki mistrz, komandor orderu św. Szczepana, c. k. tajny radca, szef nadwornej czesko-austryackiej kancelaryi, br. Tobiasz Gebler. Mistrzem loży „Ukoronowana nadzieja“, był c. k. podkomorzy, hr. Wacław Paar, sekretarzował jej redaktor gazety wiedeńskiej, Konrad Bartsch, podskarbim był c. k. podczaszy, hr. Józef Stokhamer, mistrzem ceremonii c. k. podkomorzy, pułkownik armii, porucznik galicyjskiej c. k. leibgardy, hr. Józef Sierakowski. Członkami tej loży byli: hr. Ernest Kaunitz Riedberg, kawaler złotego runa, c. k. radca, podkomorzy i naczelny dyrektor nadworny budownictwa; hr. Jan Esterhazy c. k. podkomorzy, Władysław Szekely pułkownik, br. Jakób Gontard bankier, br. de la Solaye c. k. radca tajny i referendarz nadw. kancelaryi, hr. Dominik Kaunitz c. k. podkomorzy, hr. Karol Clairfait c. k. podkomorzy, feldmarszal-lieutenant, właściciel pułku piechoty; hr. Józef Podstazky c. k. podkomorzy, Mikołaj du Four, proboszcz z Nikolksburga w Morawii, Hipolit Bołkunow sekretarz tłumacz rosyjskiego poselstwa, de la Casas, poseł hiszpański, hrabiowie: Stampach, Thurheim, Harrsch, Salm; c k. szambelanowie: hr. Kolowrath,

tajny radca hr. Bethlen Paweł, c. k. podkomorzy, hr. Montecuculi, hr. Stahrenberg pułkownik, hr. Colloredo, pułkownik szwoliżerów, hr. Wilczek, c. k. tajny radca, hr. Teleky, rotmistrz od kierasyerów, hr. Rabuffi de Villanowa oficer od huzarów (wyklęty przez medyolańską lożę), hr. Esterhazy, c. k. szambelan, Bernard Wilkowitz, kanclerz konsystorza biskupiego w Linzu, Franciszek Petran ksiądz świecki, wielu niższych wojskowych i urzędników, doktorów, artystów, kupców, księgarzy a nawet kilku kamerdynerów i służących, razem 195 członków.

Medyolańska loża „Zgoda“ liczyła 1785 r. tylko 49 braci. Mistrzem jej był komendant milicyi miejskiej, markiz Bartłomiej Calderara, a w. mistrzem prowincyonalnym, komisarz casarski we Włoszech, hr. Józef Wilczek. Wysoka arystokracya, kilku adwokatów, artystów i kupców składało tę lożę. Taki sam katalog nadesłała medyol. „Zgoda“ r. 1786. Mistrzem loży był szambelan ces tajny radca, członek rady rządzącej hr. Gaspar Kunigl; mistrzem prowincyonalnym znów hr. Wilczek. (Dok. nast.)

Ks. St. Załęski.

Z PRZESZŁOŚCI UNIWERSYTETU KRAKOWSKIEGO

WISNKA-WISTKA,

św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski.

(Ciąg dalszy).

W innej jeszcze, ale mniej już ważnej sprawie, zapisał także mgr. Leonard w tym czasie pamięć swoję dla potomności, biorąc jako świadek i jako dziekan wydziału udział przed sądem rektorskim w sporze między mieszczaninem Melchiorem Głogowitą z Głogowa, a członkiem kolegium mniejszego, Bartłomiejem Wratislawitą z Wrocławia. Spór toczył się o różne suknie i książki, a rektor ówczesny, dr. i prof. św. teologii, ks. Marcin Biem z Olkusza, załatwił go 18 kwietnia r. 1524 właśnie w obecności dziekana Leonarda i drugiego członka kolegium większego, Andrzeja Burcardiniego z Krakowa[1]: „presentibus mgris Leonardo de Vysznka, artistice facultatis decano, et Andrea de Cracouia, collegiato maioris Collegij".

Nie ze wszystkiem jednak poważnie i spokojnie upłynęło mu to drugie jego dziekaństwo, i sam bowiem, właśnie w czasie mię-

[1] Acta rectoralia, I 1030 i n. — W liczbie książek spornych obok klasyków rzymskich, jak Cicero, Horacy, Juvenalis, Persius, Sallustius, Suetonius, Valerius Max. i Vergilius, figurują także Albertus Magnus, dzieła Erazma Roterdamczyka i inne, jak „De Christi natiuitate carmen" i „Hortulus anime in asseribus". Ostatni, jak przed rokiem, w rozprawie p. t. „Historya ochrony praw autorskich", wykazał dr. Benis, stanowił w owych czasach i za granicą i u nas bardzo rozpowszechnioną książkę do nabożeństwa, i już w latach 1522/27 wyszedł w przekładzie polskim z rycinami u Wietora w Krakowie. Niestety, źródło nasze nie powiada, czy sporny ten między Głogowitą a Wrocławczykiem „Hortulus" łaciński był, czy też polski.

dzy promocyą Stanisława Wisneczanina na bakałarza a chwilą, gdy jako świadek z urzędu brał udział w sporze między Głogowitą a Wrocławczykiem, stawić się musiał, i to w roli obwinionego, przed sądem rektorskim. Oskarżał go mianowicie w kilka dni po uroczystościach promocyjnych, w lutym t. r., kolega jego z kolegium większego, mgr. Stanisław Aurifaber z Krakowa, Lubartem inaczej zwany, o czynne znieważenie posługującego sobie żaka-servitora i o jakąś słowną obrazę, co wszystko obyczajem ówczesnym w następujący w Aktach rektorskich[1] sformułowano sposób:

„Die Mercurij[2] xvij Februarij 1524. Venerabilis dni mgri „Stanislaj de Cracouia, collegiati maioris Collegij in Cracouia, ad „proposicionem occasione percussionis sui seruitoris contra Vene„rabilem mgrum Leonardum de Vijsznka, decanum facultatis arti„stice, in presencia prefati mgri Leonardi, amino et intencione litem „legittime contestantis, negando narrata, prout narrantur, et petita „fieri non debere. Et datur ad probandum vel deferendum. Pre„sentibus familia[3] dni[4]".

Odroczona przez rektora, ks. dra Biema, wytoczyła się sprawa ponownie przed jego sądem w tydzień później:

„Die Martis[5] xxiij February 1524. Venerabilis mgr. Stani„slaus de Cracouia, collegiatus maioris Collegij, citato Venerabili „mgro Leonardo de Vysznka, facultatis artistice decano, petiuit in „causa concludi in presencia eiusdem mgri Leonardi, qui impe„diendo conclusionem petiuit publicari dicta testium et eorundem „copiam, cum termino dicendi contra. Et dnus rector decreuit, „dandas copias et terminum dicendi contra octauam prefixit. Pre„sentibus familia dni et me Caspar[6], notario publico".

Ale i tym razem niezałatwioną jeszcze wznowili niebawem przeciwnicy po raz trzeci przed rektorem:

---

[1] Acta rectoralia, I 1017 i nn.
[2] = w środę.
[3] = w obecności bedelów i służby uniwersyteckiej.
[4] sc. rectoris.
[5] = we wtorek.
[6] de Nova civitate. Acta rect., I 906.

„Die Saturni [1] xij Marcij 1524. Venerabilis dni mgri Stani-„slai de Cracouia, collegiati maioris Collegij, ex vna, et Venerabi-„lis dni mgri Leonardi de Wysznka, arcium decani, partibus ab „altera, dominus terminum hodiernum ad videndum sententiam „ferri ob spem concordie ad primam iuris continuauit et proro-„gauit ex officio suo. Presentibus consiliarys dni et me Caspare, „notario publico".

Był więc trochę popędliwy nasz mgr., jak się pokazuje, i nieco porywczy w usposobieniu, a i w słowach nie bardzo miarkować się umiał, choć w r. 1524 należał już do starszych ludzi i dobrych już lat 44 mógł liczyć. Ale i kilka innych jeszcze o nim zawierają Akta rektorskie zapisek, które jużto na charakter jego, już i na dalsze losy życia wcale ciekawe rzucają światło. Treściwie, nawet zbyt może treściwie i zanadto jurydycznie sformułowane i dlatego w całości w tem miejscu powtórzone, niech zarazem choć w przybliżeniu dadzą wyobrażenie, co właściwie w niedrukowanych dotąd Aktach rektorskich Uniwersytetu Jagiellońskiego mieścić się może, i czego po nich dla dobra nauki i jej postępu, jeżeliby kiedyś do ich ogłoszenia drukiem przyjść miało, spodziewać się należy.

I tak po raz pierwszy, o ile dojść można było, spotykamy się w nich z mgrem Wisneczaninem [2] już w lutym r. 1505, za rektorstwa dra praw, ks. sufragana krakowskiego i biskupa laodycejskiego, Jana Przyjaciela z Krakowa, zwanego po łacinie Amicinus:

„Saturnj viij Februarij 1505. Venerabilis dni dris Petri de „Ilkusch ex vna et mgri Leonardi partibus ex altera. Ex decreto „domini [3] mgr. Leonardus reponet Bibliam dno drj hinc ad sabba-„tum ante Letare [4] sub censuris ecclesiasticis. Presentibus seruito-„ribus Vniuersitatis et familia dni".

Chodziło o jakąś Biblią, prawdopodobnie łacińską i drukowaną, a spór toczył się między nim a starszym już drem i prof. prawa, ks. Piotrem Ilkuszczykiem z Olkusza [5].

---

[1] = w sobotę.

[2] Acta rect., I 686.

[3] sc. rectoris.

[4] 1 marca.

[5] Był już od początku r. 1484 mgrem filozofii. Muczkowski, Liber promot., str. 91.

O wiele ważniejsze są z rzędu trzy dalsze o nim zapiski[1], z kwietnia, maja i września r. 1513, za rektorstwa dra św. teologii i kanonika krakowskiego, ks. Jana Sakrana z Oświęcimia, tego samego, przed którym w r. 1494, wpisując się w poczet uczniów wydziału artystycznego, pierwszą w życiu wykonał był przysięgę, a który teraz po raz piąty już[2] wysoki rektora Uniwersytetu krakowskiego sprawował urząd. Wisneczanin występuje i tym razem przed sądem rektorskim w roli obwinionego o obrazę słowną, a skarżącym go jest znany już nam z poprzedzającego proboszcz pajęcki przed r. 1514, mieszkający stale w Krakowie dr. i prof. prawa, ks. Leonard Cracovita:

„Iouis[3] xiiij Aprilis 1513. Venerabilis dnus Leonardus de „Cracouia, decretorum dr., iuxta relacionem Andree Sapiencie[4] cit- „tauit mgrum Leonardum Wijssnka, minoris Collegij collegiatum, „ob verba contumeliosa contra dnum doctorem per mgrum Leonar- „dum Wijssnka prolata, ipsum infamancia. Quibus dnus[5] ob spem „concordie continuauit terminum hinc ad feriam secundam proxi- „nam[6]. Presente familia dni".

Na czem właściwie obraza zależała i czy nie dotyczyła przypadkowo stosunków w stronach mgra naszego ojczystych, czy nie dotyczyła n. p. samego Pajęczna i Wisnki, nie powiada w skąpych wyrazach rzucona zapiska, strony wszakże obydwie nie pojednały się bynajmniej, jak rektor przypuszczał, a zamiast w poniedziałek 18 kwietnia jawiły się przed jego sądem ponownie dopiero w miesiącu wrześniu, i to w towarzystwie ks. dra Bełzy i mgra Jana Grodka:

„Die Veneris[7] ij Septembris 1513. Venerabiles viri dnus „Martinus Belze de Cracouia, sacrorum canonum dr., mgr. Ioannes „Grodek, in bursa Ierusalem manens, testes in causa inter Vene-

---

[1] Acta rect., I 761 i nn.
[2] Pauli, Codex, IV 185.
[3] = we czwartek.
[4] Bedela uniwersyteckiego.
[5] sc. rector.
[6] = do poniedziałku 18 kwietnia
[7] = w piątek.

„rabiles viros dnos Leonardum de Cracouia, iuris canonici drem, „ex vna, et mgrum Leonardum Wysnka de minori Collegio, parti- „bus ab altera, per dictum drem Leonardum inducti, instante mgro „Leonardo Vijsnka iurauerunt dicere veritatem in forma in pre- „sencia dicti mgri Wijsnka pro testibus de dandis interrogatorijs".

O co właściwie chodziło, znowu niewiadomo, tylko tyle bowiem z wszystkiego wypływać się zdaje, że w całem tem zajściu mgr. Leonard nie był tak bardzo winnym. Ale i w innej jeszcze sprawie przed tym samym w miesiącu maju stawał rektorem:

„Die Lune[1] secunda Maij 1513. Venerabilis dnus Leonardus „de Wijssnka, arcium mgr., collegiatus Collegy minoris artistarum, „veniens ad acta presencia, confessus est, se debere Honorabili „dno, Petro de Costrzen, lectori missarum capelle s. Thome Can- „tuariensis in ecclesia Cracoviensi, duas marcas cum decem grossis „racione missarum, ad altare eiusdem mgri Leonardi per dictum „dnum Petrum lectarum. Sufficienti calculo prehabito: quem debi- „tum dictus mgr. obligatur soluere dno Petro, pro quartali Pen- „thecosten[2] proximo sexagenam, reliqwm vero, videlicet marcam „minus grossis duobus, in vna semptimana post quartale Penthe- „costen sub censuris ecclesiasticis; qui dnus Petrus remanebit dicto „mgro Leonardo residuum candelarum ad altare dicti mgri perti- „nencium tempore resignacionis seruicij, alias a quartali proximo „futuro Penthecosten. Et in continenti dictus mgr. Leonardus „Wijssnka est de speciali mandato dni rectoris per Paulum, serui- „torem Vniuersitatis, monitus, ut satisfaciat obligacioni, qui mgr. „submisit se eiusdem monicioni. Presentibus famulis dni".

Dla szczegółów, jakie zawiera, i dla wszystkiego, co z nich w dalszem następstwie wysnuć można, zapiska ta od poprzedzających o wiele nawet jest cenniejszą i bogatszą. Wisneczanin jest według niej już w maju r. 1513 nie tylko collegiatus Collegii minoris, ale także, i to od dłuższego już czasu, wyświęconym księdzem i jako taki altarzystą w kaplicy pod wezwaniem św. Tomasza Kantuaryjskiego w katedrze na Wawelu. Jeżeli też przytem zważymy, że patronem tej kaplicy był każdorazowy biskup kra-

[1] = w poniedziałek.

[2] Zielone świątki przypadały w r. 1513 na 15 i 16 maja.

kowski [1], który ją według własnego uznania, ale tylko święconym już dawał kapłanom [2], przyjąć musimy za rzecz pewną, że mgr. nasz i ks. Leonard przy nieznanej jakiejś sposobności umiał był sobie zaskarbić niezwykłe jakieś względy u biskupa ówczesnego, Jana Konarskiego, i łaską jego szczególniejszą mógł się był poszczycić, czego pożądanym dla niego owocem było właśnie otrzymanie owej altaryi. Z zapiski wypływa zresztą dalej, że osobiście ciężących na nim jako na altarzyście obowiązków odprawiania w kaplicy św. Tomasza co tydzień mszy św. za fundatorów i dusze zmarłych, jako też innych powinności nie wypełniał, że zastępował go w tych czynnościach z ramienia jego inny ks. wikary, Piotr Kostrzeńczyk, z którym właśnie teraz do sporu przyszło. A jeżeli sam tego wszystkiego wykonywać nie mógł, toć mogło to dziać się tylko dlatego, że był nietylko członkiem kolegium mniejszego, nietylko altarzystą w kaplicy św. Tomasza, ale i inne jeszcze jakieś ciężyć na nim musiały powinności, połączone naturalnie z pewnymi dochodami ubocznymi, którym osobiście dla braku odpowiedniego czasu podołać już nie mógł, dlaczego też za zastępcami oglądać się musiał. W ogólności, za czem zapiska nasza wyraźnie przemawia, już na wiosnę r. 1513, a więc zaledwie w dziesięć lat po otrzymaniu stopnia mgra filozofii, nie źle ks. Wisneczaninowi powodzić się musiało. I kolegiatura mniejsza i wcale intratna altarya w kościele katedralnym [3] i inne jakieś zajęcia uboczne, wcale przyzwoite już, jak na owe czasy, zapewniały mu utrzymanie, do tego stopnia nawet, że mógł już teraz i drugim pomocną podać rękę, zaczem też w tem mniej więcej czasie, lub niebawem potem także bliskiego powinowatego swego, znanego już nam Stanisława z Wisnki, na naukę do Krakowa sprowadził. A że w młodszym wieku przez długie lata o chłodzie i głodzie twardą przeszedł był szkołę życia, nie dziw zatem, że obecnie już grosz

[1] Długosz, Liber benef., I 213 i n.

[2] Ani kapituła krakowska, ani biskupi, o ile to od nich zależało, nie nadawali nigdy altaryj w kościele katedralnym ludziom świeckim.

[3] Liber retaxationum beneficiorum dioecesis Cracoviensis a. 1529, z oryginalnego rękopisu przygotowany do druku przez ks. kanonika Polkowskiego i udzielony mi łaskawie do przejrzenia, oblicza dochody altaryi w kaplicy św. Tomasza Kantuaryjskiego, str. 323, rocznie na 15 marek i groszy 16. Nie o wiele mniejsze mogły być dochody te także w r. 1513.

szanować i liczyć się z nim umiał, i że nie tak łatwo go z rąk jego wydobyć potrafił nawet taki ks. Kostrzeńczyk, któremu po słuszności się należał.

Mniej ciekawą jest następująca o nim z rzędu zapiska[1], z grudnia r. 1516, za piątego rektorstwa dra praw i biskupa sufragana krakowskiego, ks. Jana Przyjaciela; trudno z niej bowiem znowu wyrozumieć, o co właściwie spierającym się stronom chodziło:

„Lune xxy Decembris 1516. Terminus hodiernus inter Vene„rabiles mgros Leonardum de Vysnka et Adam de Brzeziny[2] ad „idem faciendum ex decreto dni rectoris hinc ad feriam quartam „post festum Trium regum proximam[3] continuatur. Presentibus fa„miliaribus dni rectoris".

Ciekawiej natomiast przedstawia się zapiska[4] z października r. 1519, za drugiego rektorstwa dra praw i kanonika krakowskiego, ks. Arciszewskiego, ciekawiej o tyle, że równocześnie, jednego i tego samego dnia, stoi nasz mgr. przed sądem rektorskim w dwóch różnych sprawach, w jednej jako świadek, w drugiej zaś jako obwiniony:

„Die Lune iiij mensis Octobris 1519. Ioannis de Czersko „ad propositionem occasione wlneracionis, prout apparebat, Mi„chael de Warschavia confessus est, se wlnerasse wlneraque intu„lisse, dnusque ex confessatis eundem Michaelem pro medicinis „barbitonsori duas marcas et vnam pro expensis eidem Ioanni de „Czersko condemnauit, idemque Iohannes dixit, se recepisse mar„cam ab eodem Michaele. Et incontinenti idem Michael monitus „per Honorabilem dnum Gregorium, viccarium ad Omnes sanctos, „vt pareat huiusmodi decreto, nec non cittatus est ad declarandum „pro feria secunda post Francisci[5]. Presentibus mgro Leonardo de

---

[1] Acta rect., I 859.

[2] W rękopisie przez pomyłkę „de Brzezicze" zamiast „de Brzeziny". Jestto zresztą ten sam Adam Brzezińczyk, według Muczkowskiego Liber promot., str. 160, już od początku r. 1515 mgr. filozofii, który w lutym r. 1527, o czem wyżej już były wzmianki, otrzymał w Krakowie stopień dra medycyny.

[3] = do 7 stycznia r. 1517.

[4] Acta rect., I 888.

[5] = do 10 października.

„Wisnka et Honorabili Gregorio, viccario ad Omnes sanctos, et „me Stanislao Ioannis de Parczow".

„Honorabilis dni Gregorii ad proposicionem occasione quinque „marcarum, ex contractu promissarum, soluendi, Reuerendus mgr. „Leonardus de Wisnka negauit narrata, prout narrantur, petens, „petita fieri non debere. Et datur ad probandum vel defferendum. „Presentibus Venerabili viro dno dre Martino Belze, et me Stani- „slao de Parczow".

Pożądańsze na dalsze Wisneczanina losy rzuca światło zapiska [1] z czerwca r. 1520, za trzeciego rektorstwa ks. dra Arciszewskiego:

„Die Iouis xxviij Iunij 1520. Venerabilis dnus mgr. Leonardus „de Wisnka [2], collegiatus maioris Collegii, emit pallium olim dni „Schydlow [3], apud executores testamenti eiusdem dris Schy- „dlow, pro quatuor florenis iamque in manus dnorum Iacobi de „Erczyeschow [4], canonici Cracouiensis, et Nicolai de Coprzijwnij- „cza [5], drum decretorum, duos florenos reposuit, tercium vero pro „festo s. Michaelis [6] et quartum pro festo Circumcisionis dni [7] se so- „luturum obligauit. Presentibus familia domus et me Nicolao Ma- „thie de Sandomiria, notario publico".

Wynika z niej przedewszystkiem, że nasz ks. mgr. w czerwcu r. 1520 albo już uporał się był ze słuchaniem kilkuletnich na wydziale teologicznym wykładów, albo na wykłady te jeszcze jako zwykły fakultetu tego student od czasu do czasu uczęszczał, a spo-

---

[1] Acta rect., I 890.

[2] W rękopisie w tem miejscu „de Cracouia" przez zwykłą pomyłkę, zamiast de „Wisnka", czego dowodem następujące wyrazy: „collegiatus maioris Collegii"; innego bowiem Leonarda, oprócz Wisneczanina, w tym czasie w kolegium większem nie było.

[3] Maciej Szydłowita, niegdyś dr. i prof. św. teologii i kustosz i dziekan św. Floryański, a potem kanonik katedralny krakowski, † według zapiski w Perlacha Almanachu: „21 Decembris 1519: Mathias de Szidlow, dr. theologie insignis et predicator solemnis, mortuus, fuit canonicus ecclesie cathedr. Cracouiensis".

[4] Właśnie rektora Arciszewskiego.

[5] Mikołaj Pokrzywniczanin, dr. i prof. prawa a później kanonik katedralny krakowski, bliskim był krewnym mgra Marcina Kołaczyka z Pokrzywnicy, i prawdopodobnie także Kołaczykiem się nazywał. Pauli, Codex, IV 15.

[6] = 29 września.

[7] = 1 stycznia r. 1521.

sobiąc się pomału do egzaminów z tych przedmiotów, skorzystał ze sposobności i po zmarłym ks. drze Szydłowicie paliusz doktorski, potrzebny koniecznie przy uroczystościach promocyjnych, dla siebie nabył.

Wreście cztery inne jeszcze mieszczą się w Aktach rektorskich o nim zapiski [1], w kwietniu czerwcu i sierpniu r. 1526. Pierwsza za drugiego rektorstwa dra i prof. medycyny, Piotra Oborniciusa alias Wedeliciusa z Obornik:

„Sabbati xxj Aprilis 1526. Mgr. Leonardus Vijsnka, colle„giatus maioris Collegij, ad instanciam Honesti Mathie de Grabow, „librorum ligatoris, ad hodie cittatus, non comparens, pronucciatur „contumax, instante dicto Mathia principali".

Trzy dalsze pochodzą już z czasu, gdy godność i urząd rektora po raz piąty już sprawował biskup-sufragan krakowski, ks. Jan Przyjaciel:

„Martis xij Iunij 1526. Venerabilis vir Leonardus Wysnka, „arcium mgr., maioris Collegy collegiatus, ex decreto dni statuet „evictorem quendam Wągrzynowsky, studentem, Helie Iudeo, me„dico oculorum [2], racione cuiusdam marce pecvniarum sibi Helie „pro medicinis debite infra hinc ad sex septimanas, in defectu vero „non statuicionis dicti evictoris iurabit, quomodo non fideiussit di„etam mediam marcam pro prefato Wągrzinowsky [3]. Presentibus „familia dni".

Trzecia zresztą i czwarta w ścisłym zostają związku ze sprawą introligatora Macieja Grabowianina z 21 kwietnia:

„Die Mercury viij Augusti 1526. Ad propositionem Discreti „Mathie, introligatoris librorum, occasione sexagene pecuniarum,

[1] Acta rect., 1061 i nn. — Było ich prawdopodobnie pierwotnie więcej, niestety, Akta rektorskie dochowały się do naszych czasów w stanie miejscami bardzo zdefektowanym.

[2] Nazwisko tego „perfidi Helie Hebrei" wcale często w owych latach, od r. 1514 mniej więcej począwszy, powtarza się w Aktach rektorskich.

[3] Prawdopodobnie Nicolaus Stanislai de Wengrzynów dioecesis Płocensis, wpisany w poczet uczniów uniwersyteckich w lecie r. 1522. Metrica, II 100. — Pochodził widocznie z Węgrzynowskich h. Rawicz w Płockiem i do zamożniejszej szlachty nie należał; bliski jego krewny zresztą, Jan Węgrzynowski, został według Muczkowskiego Liber promot., str. 166 i 174, w r. 1518 bakałarzem, w r. 1522 magistrem fil., później zaś wyszedł na wikarego i kanonika łowickiego.

„sibi de mandato cuiusdam Honorabilis Stanislai de Wlodnye, ple„bani in Stara Rawa [1], per literas certas, de manu et sigillo eius„dem Stanislai factas, recipiendum commisse, mgr. Leonardus „Wysnka de maiori Collegio, animo littem legittime contestans, „confessus est, se dictam sexagenam dicto dno Stanislao de Wlo„dnye teneri et debere. Quam habita caucione sufficienti proborum „virorum de indempnitate occasione eiusdem sexagene ex decreto „dni dabit in manus dicti Mathie introligatoris, alias hic ad acta „reponet infra hinc ad quindenam sub censuris ecclesiasticis. Pre„sentibus, ut in domo".

W dwa tygodni później jawił się zatem ks. Wisneczanin ponownie przed sądem rektorskim:

„Mercury xxij Augusti 1526. Venerabilis mgr. Leonardus „Wysnka parendo decreto domini, dudum facto, sexaginta grossos „peccunie polonicalis, racione cuius per Mathiam introligatorem fuit „conuentus, hic ad acta reposuit, petens, iuxta decretum dni occa„sione eiusdem sexagene, caucione sufficienti de indempnitate sibi „prouideri, presentibus, ut in domo. Et in hanc vim literas sub „sigillo et titulo Stanislai de Wlodnye, plebani in Stara Rawa, et „manu eiusdem plebani scriptas, mandatum ad tolendam peccuniam „ab ipso dno Leonardo continentes, idem dnus Leonardus ab actis „recepit. Et hic idem Mathias paratus erat statuere fideiussores, „quos adduxerat, dummodo peccunia bona alias moneta polonica„lis daretur sibi, nec voluit Szweynijczіensem accipere, tanquam „e regno proclamatam [2], cuius erant in ipsa prefata sexagena „grossi xx. Et incontinenti prefatus Mathias quadraginta quattuor „grossos de ipsa pecunia reposita recepit, residuitatem vero sexa„gene, videlicet sedecim grossos in moneta polonicali, infra hinc „ad quindenium mgr. Leonardus Wysnka prefato Mathie se exolu„turum obligauit. Presentibus, ut in domo".

Zamiar jego wszakże, ażeby się z całej tej sprawy tanim wykręcić kosztem, a należytość fałszywą i z Polski wywołaną uiścić monetę świdnicką, nie ze wszystkiem mu się powiódł. (C. d. n.)

Dr. Władysław Wisłocki.

---

[1] Stara Rawa w Warszawskiem należy dzisiaj do parafii Jeruzal.

[2] Fałszywą monetę świdnicką wywołał z krajów Rzeczypospolitej król Zygmunt I edyktem z 21 maja r. 1518. Zagórski, Monety dawnej Polski, str. 107.

STANOWISKO WŁOŚCIAN W POLSCE.

III. Osadnictwo na prawie niemieckiem.

(Ciąg dalszy).

Co się tyczy obowiązków włościan to, jak widzieliśmy, były one nieznaczne, zasadzały się na małym czynszu lub nie obciążających wcale robociznach i drobnych daninach dla monarchy. Nic dziwnego, że przy tak małych ciężarach dobrobyt włościan się podnosił, ich położenie było szczęśliwsze niż w innych krajach, a to, co się w tej mierze da powiedzieć, można zebrać w kilku punktach:

a) obowiązek służby wojskowej ciążył przedewszystkiem na rycerstwie, lecz i osadnik chętnie jej się podejmował, bo obrona kraju zapewniała mu pokaźniejsze stanowisko w społeczeństwie, z drugiej zaś strony była rękojmią wolności i opieki monarszej. Szczególniej za wojen Jagiellonów z Krzyżakami sołtysi, wójci i kmiecie, szukając szczęścia w orężu, wielką tem krajowi wyświadczali przysługę, za co pierwsi urzędami, drudzy sołtystwami lub datkami pieniężnemi obdarzani, nierzadko i szlachectwa się dosługiwali. Na zjeździe w Jedlni r. 1430 Jagiełło potwierdziwszy powyżej przytoczony punkt przywileju koszyckiego o podatku dwóch groszy z łanu, uwolnił teraz nawet od niego sołtysów, młynarzy, karczmarzy i zagrodników nie posiadających całego łanu, nie z innej przyczyny, jak za przysługi wojenne[1]. Musieli się nawet nie pomału dobrze mieć kmiecie, powiada Szujski, skoro statut Jana Olbrachta (1496) zżyma się na ich bogaty strój i trzymanie się

[1] Januszowski. „Przywileje koronne“ str. 15.

nad stan[1]. Pracowitością i zapobiegliwością lub szczęściem na wojnie przychodzili nierzadko kmiecie do majątku własnego, rodzinnego, który bez zgody całego domu kmiecego nie mógł być sprzedawany. Stając tak na coraz silniejszych podstawach, zbliżali się tak dalece do szlachty, że się żenili z szlacheckiemi córkami, swoje wzajem za mężów szlacheckiego rodu wydając[2]. Zbliżało to niepomiernie oba stany do siebie, i niejednej późniejszej przepaści byłoby zapobiegło, gdyby temu nie stanęło na przeszkodzie od połowy XV wieku rozpowszechniające się pojęcie szlachectwa, na urodzeniu polegać mającego. Stan majątkowy włościan przedstawia się w XV i w XVI jeszcze wieku nader pomyślnie. W Mazowszu osiedleńcy na ćwierci łanu cenią swój majątek ruchomy (bydło, zboże, sprzęty) od 2 do 4 kóp groszy, na półwłoczku do 15, a na całym łanie do 20 kóp groszy. W halickiem ceniono zamożniejszego gospodarza do 30 kilku kop. gr., komornika liczono na 1 grzywnę. Zamożniejsi mają wszędzie po kilka, kilkanaście sztuk bydła, tyleż nierogacizny, a na wschodzie przeszło po 100 owiec; ubożsi zaś nawet sprzężaju własnego nie posiadają[3]. Wszystko to zależało od jakości gleby i obszaru, od bliskości miast lub traktów handlowych. Zważywszy, że kopa groszy wynosi dzisiejszych 20 złr., (a chcąc ją dokładnie z dzisiejszą wartością pieniędzy porównać, trzebaby pomnożyć przynajmniej przez 10) to przekonamy się, jak pomyślnym był stan majątkowy włościan z tej epoki.

b) Obok króla opiekowało się kmieciem duchowieństwo, szczególniej zakonne, które, acz początkowo cudzoziemskie, pod koniec wieku XIV polskie, i to w przeważnej części z włościan się rekrutujące, dawało opiekę swej młodszej braci, a trzeba i to zważyć, że miało wówczas w posiadaniu prawie $^1/_3$ część ziem polskich i szeroki, dla wielu dzisiaj niezrozumiały wpływ na umysły ludzkie. „Władza duchowna zawarowała im (kmieciom) zachowanie nie-

[1] „Dla swawoleństwa (propter deordinationem) kmiecego, którzy kmiecie jakoby żadnego prawa nad sobą nie mieli, niektórzy z nich w pychę podnoszą się, w drogich szatach chodząc i wydatki wielkie czyniąc, co ich stanowi nie przynależy...“ Tenże 1090.

[2] Maciejowski.

[3] Lubomirski. „Lud. rol.“ B. w. 1858 tom I.

dziel i świąt, wolne przystępowanie do sakramentów, szczególnie małżeństwa, zawsze mając zagajony sąd dla unieważnienia przymusowych ze strony właściciela związków. Broniła czystości obyczajów w obcowaniu gospodarzy z czeladzią, właściciela z kmieciami. Za nic mając świeckie stosunki, gromiła nieuległości wykraczających w imieniu sumienia i praw kościelnych. Ze strasznym orężem — ekskomuniką prześladowała lichwę, przez którą zamożniejszy stawiał sidła na swobodę uboższego. Szlachcica, bawiącego się lichwiarstwem kmieć zapozywał przed proboszcza, a stamtąd sprawa szła, za odwołaniem się, do konsystorza. Lichwiarzy ścigano z dyecezyi do dyecezyi; i najzaciętszego ekskomunika zwalczała. Potępiając lichwiarstwo władza duchowna masę kmieci w wolności przechowała; staranie jej o to dochodziło do tego stopnia, iż pewna dyecezya mogła się pochwalić, że tylko jeden człowiek w niej pozostał, który otwarcie żył z lichwy. Podejmując się roboty dla szlachcica, wypożyczając pieniądze, słowem we wszelkich tranzakcyach, w których najbardziej potrzeba było dobrej wiary, powątpiewając, chociaż najczęściej bezzasadnie, czy znajdzie bezstronność w sądzie ziemskim, lub z obawy narażenia się na koszta, kmieć wstępował w zobowiązania się nie inaczej, jak gdy szlachcic zrzekał się juryzdykcyi ziemskiej, a poddawał się w razie niedotrzymania umowy juryzdykcyi duchownej. Natenczas uciśniony znajdował pomocniczą dłoń w poważanem forum duchownem. W tkliwy zamieniło się zwyczaj, że juryzdykcya nad ubogim i żebrakiem z prawa należała do sądownictwa duchownego, władza duchowna opiekowała się nim, chroniła go przeciw napaści, przyjmowała do swoich aktów jego prawne tranzakcye, zabezpieczała mu osobistą wolność. Dostatecznem było okazać się żebrakiem, kaleką, ażeby pozyskać opiekę forum duchownego. Ze wzrostem sądownictwa świeckiego i pojawieniem się pisanego prawa świeckiego, juryzdykcya duchowna widziała się coraz więcej ograniczoną. Już w w. XV pozostają tylko jej szczątki, a w XVI przy rozszerzeniu się nauk prawnych i pojęć wywołanych reformacyą, juryzdykcya duchowna weszła w granice, w których teraz zostaje; nad niejednem ze smutkiem oddała prawu świeckiemu, swojemu młodszemu bratu, straż jej dawniej powierzanych interesów. Przysługa, którą czyniła kmieciowi, była rzeczywistą,

dotykalną. Odległość wieków, które za widzów miała, nie powinna zmniejszać jej ważności“ [1].

c) Kmieć osiadając na roli, dawał rękojemcę, iż nie odejdzie pierwej, aż tyle lat za czynszem odsiedzi, ile ich przedtem darmo używał; musiał mieć także rękojemcę, że załogę (tj. bydło i narzędzia do uprawy roli, zboże do obsiania wzięte od właściciela przy osiadaniu) odchodząc odda; we wszelkich umowach czy to z właścicielem, czy z duchowieństwem lub urzędem świeckim stawiał poręczyciela, iż umowy dotrzyma [2]. Kmieć ręczył za tych, z którymi go stosunki łączyły, a oni wzajem za niego. Rękojemstwo ubezpieczało swobodę, było wysoce moralizującem, bo wymagało wierności w dotrzymaniu słowa, było wielce towarzyskiem, bo wiązało stany ze sobą, było środkiem dojścia do dobrobytu, bo otwierało kredyt i pomoc, było wreszcie narodowem, bo ucisk jednego odczuwała cała rzesza rękojemcza, i o niego się upominała. Rękojemstwo ubezpieczało wreszcie publiczne bezpieczeństwo, bo występki jednostek sądem polubownym takiej rzeszy były nieraz lepiej wyśledzone i osądzone; ta sama strona dodatnia pod względem policyjnym widnieje tu jak i w opolu. Tak więc stał jeden za wszystkich i wszyscy za jednego, i to nam także tłumaczy, dlaczego trzeba było aż dwuwiekowych usiłowań, aby stosunki te nadwerężyć i zepsuć [3].

d) Wreszcie pod względem prawnym znajdował chłop opiekę w sądach ziemskich i wyższych sądach niemieckich; według tego jakiemu prawu podlegał; uciskany przez właściciela tu go zapozywał i znajdował sprawiedliwość. Wymiar sprawiedliwości był dla niego zawsze pewny i porządny, wskazuje to tyle razy wspominana w statutach równość wszystkich w obec prawa. W majętności swej był tak dalece wolnym, że ją mógł dowolnie obciążać, na co się też uskarża statut Jana Olbrachta, i dla zapobieżenia złemu ustanawia: iż wierzyciel długu przez chłopa zaciągnionego będzie się mógł odtąd tylko u jego dziedzica upominać, inaczej czyniąc podpada karze sześciu grzywien [4]. Nie wynikało z tego, żeby dziedzic

[1] T. Lubomirski: „Rolnicza ludność w Polsce“. Bibl. warsz. r. 1857 tom II.
[2] Januszowski str. 583, 633... „O rękojemstwie“.
[3] T. Lubomirski.
[4] Januszowski str. 1090.

miał za kmiecia zapłacić, lecz chcieli przez to utrudnić chłopom zaciąganie pożyczek i zaznaczyć, że chłop nie może na ziemię, na której siedział, długów robić.

Prawo Władysława Jagiełły z r. 1423 wykazuje, jak dalece chłop był posiadaczem swej zagrody, gdyż pan nie mógł opuszczonej roli oddać innemu, nie wezwawszy wprzód po kilkakroć i to sądownie zbiegłego kmiecia do powrotu [1]. Gdy miał sprawę z obcym panem, wzbraniał się odpowiadać na zarzuty, gdy pan jego nie mógł być sprawie obecnym, wiedział bowiem, że tenże ujmie się za nim, jeżeli na karę skazanym zostanie. To też pan zwykle towarzyszył kmieciowi do sądu i nie dopuszczał, ażeby był osądzony nieprawnie [2]. Stosunek ten, w zasadzie niewinny, wyszedł kmieciom na złe, gdyż z czasem zakazano chłopu na swoją rękę o krzywdy się upominać, oddano panu prawne zastępstwo jego w sądzie, przez co chłop od sądu usuniętym został.

Taką była dola ludu wiejskiego w Polsce w wieku XV; wszystko to pokazuje, że swoboda jest dawną, a tylko niewola nowożytną; stosunki braterskie wszystkich klas pomiędzy sobą były przyczyną niczem niezamąconej harmonii, i stanowiły siłę i żywotność kraju. „Charakter chłopa cechowała pobożność, pracowitość, wytrwałość i posłuszeństwo, a w trzeźwości przewyższał o wiele mieszczanina i szlachcica. Niedbały o dostatki, pieniądze, wygodę, okazywał łakomstwo chyba tylko na rzemień i żelazo, do jego rolniczych narzędzi główne materyały. Wesoły, nieswarliwy, chociaż dla żony, dzieci, czeladzi nad potrzebę surowszy. W karczmie śpiewak i tanecznik zawołany, a do zwady, kija, ale też zaraz i do zgody skory“ [3].

Lecz nie tylko dla włościan, sołtysów i właścicieli płynęły

---

[1] „Gdy sołtys albo kmieć z roli albo z dziedziny swej bez winy pana swego uciecze, takowy zbiegły ma być w sądzie wyższym i zagajonym trzykroć, a nad potrzebę czterykroć przez pana wezwan, aby do swej dziedziny się wrócił, który jeśli się nie wróci tak wołany, tedy pan owej wsi będzie mógł z oświadczeniem (cum protestatione) swoją dziedzinę innym osadzić“. Jagiełło w Krak. 1423. Tenże str. 1086.

[2] Maciejowski.

[3] Moraczewski. „Polska w złotym wieku“.

korzyści przy zakładaniu osad na prawie niemieckiem, rozlewały się one dalej, na cały kraj i społeczeństwo.

W pierwszym rzędzie zyskiwał Kościół, bo jego dochody zwiększały się dziesięcinami z nowo osadzonych i wykarczowanych obszarów; zyskiwało państwo, a najpierw pod względem ekonomicznym. Rolnik używający wolności, z zapałem uprawiał rolę, bo owoce pracy do niego tylko należały, padały ciągle pod siekierą przedsiębiorczej ręki nieprzejrzane lasy, a wykarczowana rola i uprawione pustkowia zbożem się teraz pokrywały. Swoboda włościan dozwalała im udawać się do miast na naukę i do rzemiosła. Na pierwszem polu dochodzili w kraju nie rzadko do najwyższych godności i zaszczytów, a mądrością i nauką wsławiali imię Polski poza granicami; na drugiem przyczyniali się do rozwoju miast i zasymilowania niemieckich mieszczan. Handel i przemysł rozwinął się w XV i XVI w. do niebywałego stopnia; miasta podnosiły się olbrzymio, kraj cały nad podziw zaludniał się i bogacił; a czasy Wierzynków, Bethmanów, Bonerów, Kremerów, Caccich, Dzianottych i t. d. złotemi literami zapisane są w historyi wewnętrznego gospodarstwa Polski. Tychto minionych a szczęśliwych czasów, nosi kraj nasz, a szczególnie Wielkopolska liczne ślady. Wśród starożytnych lasów nie trudno dziś rozeznać grunt niegdyś orany, w kronikach klasztornych i starych papierach znajdują się wzmianki i opisy wsi, których teraz i miejsca znaleść nie podobna. Podania o dawnej świetności, stare pieniądze wykopywane na miejscach dziś pustych i bezdrożnych, odkrywane szczątki dróg, murów, i tym podobne wskazówki są wymownem świadectwem ówczesnej zamożności, ba nawet niepojętego dla nas bogactwa krajowego i dobrobytu włościan [1].

Niemniej zyskiwał na tem kraj pod względem oświaty i moralności publicznej, które raczej z dobrobytem niż z biedą w parze iść zwykły. „W miejsce ustępującej zwolna klasy wieśniaczej pierwotnego naszego społeczeństwa, która żadnej zgoła nie zaznawszy oświaty i bez jakiejkolwiek nadziei w lepszą przyszłość, uciskana licznemi prestacyami i posługami publicznemi lub na rzecz swych

[1] T. A. F. Greveniz (tajny radca król. prus.) „Włościanie w Polsce“ (z niemieckiego). Warszawa 1818.

dziedziców, istniała niemal tylko o tyle, o ile ją zwierzęcy instynkt zachowawczy do utrzymania własnego bytu przynaglał; powstawała klasa zamożnych kmieci, która wolna od wszelkich ucisków i udręczeń, z swobodną myślą nietylko oddawała się pracy, której owoce byt jej przedewszystkiem polepszały, ale nadto, powołana do samorządu gminnego, mając czy to w sądzie ławniczym roztrząsać i rozstrzygać spory i wynajdować wyroki na zasadzie prawa niemieckiego, czy to w radzie gminnej obmyślać środki i wydawać wilkirze w przedmiocie dobra i porządku publicznego, rozwijała się umysłowo w najlepszym, bo w społecznym kierunku. Nie zaznała ona wprawdzie nauk szkolnych, lecz poznawała naukę społecznego porządku“ [1].

W sołtysach zyskało państwo klasę zamożną, pośrednią, w miejsce dawnych władyków, powoli teraz znikających, pożyteczną tak pod względem znajomości prawa, jako i w kierunku wojskowym i ekonomicznym. Sołtysa, jako żołnierza, lepiej nawet od władyków uzbrojonego cenili królowie wysoko, wynosząc go do klasy wyższej — półszlachciców; Kazimierz Wielki szczególnie usiłował, jak widzieliśmy, wyjąć ich z pod zwierzchnictwa szlachty a poddać pod juryzdykcyę sądu leńskiego monarszego, chciał sobie tę liczną klasę pozyskać, która ze swej strony, widząc w królu tarczę i obronę przeciw możebnym nadużyciom, tem silniej by stała przy boku monarszym. Szkoda tylko, że jego następcy, czy to nie pojmując tak głęboko jak Kazimierz stanowiska sołtysów, czy też w skutek rozwielmożniania się szlachty, czy z jakiej innej przyczyny nie podołali planów tych konsekwentnie przeprowadzić, przez co późniejszy a tak smutny w następstwach brak stanu średniego mógł był łatwo być usuniętym.

Wprawdzie dopiero w w. XVI i XVII wywóz produktów rolnictwa z Polski przedstawia olbrzymie cyfry, napływ monety i kolosalne bogactwa dopiero w tym czasie mają miejsce, lecz był to już stan przekwitu i rozkładu czynników gospodarczych, które wnet bezpowrotnie przepadły, bo gmach cały był już podminowany. Tymczasem wiek XIV i XV przedstawia nam dziwnie piękną har-

[1] Fr. Piekosiński. „O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce“.

monię podziału pracy na mniejsze własności, wolności ruchu ludności rolnej, czyli drobnych gospodarzy. Do tak olbrzymich rezultatów z roli wieki te, jak następne, wprawdzie nie doszły, ale za to cały ustrój społeczny nosił na sobie cechy pełnego życia. Prawodawstwo krajowe zasłaniało zarówno małych i wielkich, podatki wyrównane, równowaga stanów ustalająca się; słowem był to czas świetności Rzeczypospolitej, wolny od zarodów choroby, jakie w następnych zaraz latach dają się spostrzegać — był to punkt kulminacyjny w historyi włościan polskich. Nim z niego zaczniemy zstępować warto pokrótce przejrzeć stosunki włościańskie w innych krajach a przedewszystkiem sąsiednich; w tej mierze na krótkiej tylko wzmiance poprzestanę, bo zakres pracy niniejszej nie dozwala mi obszerniej ich rozwijać.

I tak na Rusi stosunki społeczne w następujących kształtach się przedstawiają. Najniżej stoi liczna klasa niewolników, najsurowiej traktowana; tak, że rozerżnięcie nosa było tu we zwyczaju jako znak niewoli jeszcze w w. XV; ojciec za dług zaprzedawał córkę, właściciel osobę niewolnika zastawiał starozakonnemu. Takie pojęcie niewolnictwa ustało pod wpływem prawa polskiego, które uznając w nich tylko sługi, w podobny sposób traktować ich zabraniało. Wyżej nieco stoją niewolnicy osiadli (Ordyńcy, Kalauny, Kabali), chociaż i ci do roli ściśle są przytwierdzeni i wraz z nią sprzedawani. Na trzecim stopniu stali ludzie sotni, w prawnem znaczeniu odpowiadający kmieciom polskim, z nich mógł się przenieść ten, który był nad dziesięć, dwadzieścia i t. d. sotnych i to w czasie świąt Bożego Narodzenia, zaspokoiwszy poprzednio wszelkie obowiązki i powinności. Po tych trzech idzie stan ludzi wolnych, umowami tylko skrępowanych, wreszcie bojany odpowiadający naszym sołtysom, tylko pozbawieni władzy sądowniczej, która do wieców należała. Wszystkie te stosunki tworzyły tu ogólne prawo zwyczajowe, które w wieku XV ustąpiło przed prawem polskiem[1].

O chłopach pomorskich tak pisze Kauzów w r. 1533. „Stan ich nie jest wszędzie jednostajny. Jedni mają dziedziczne osady i domy, w których mieszkają, płacą czynsze i mają oznaczone stałe powinności. Ci dobrze stoją i są bogaci, a gdy który nie chce dłużej w miejscu pozostać,

[1] Lubomirski: „Biblioteka warszawska“ r. 1858 tom I.

lub nie chce dzieciom osady zostawić, sprzedaje ją za pozwoleniem dominii, płacąc dziedzicowi dziesiąty grosz umówionej ceny. Lecz nie tak rzecz się ma z drugimi; ci co nie posiadają żadnego dziedzictwa muszą panu tyle służyć, ile tylko mogą, i on po nich wymaga; często nawet w taki sposób, iż własnych robót nie są w stanie wykonać, dlatego ubożeją i uciekają: jest między nimi przysłowie, że tylko 6 dni na tydzień pracują, a siódmego muszą listy nosić. Ci przeto chłopi nie są czem innem jedno niewolnikami, bo ich pan wypędza, kiedy chce, gdy uciekną, może ich nazad sprowadzić jako własnych ludzi“ [1]...

W Niemczech w wieku XIII i XIV było stanowisko włościan prawie takie samo jak w Polsce, bo stosunki nasze na wzór tamtych się układały. Atoli z początkiem XV wieku, prawie o sto lat wcześniej, zaczyna się byt poddanych niemieckich niezmiernie pogarszać, ucisk i zdzierstwo dochodzą do stopnia, jakiego w Polsce nigdy i nigdzie napotkać nie można. Dowodzą tego ciągłe bunty chłopskie, jakie prawie po całym kraju się podnosiły; ważniejsze z nich przypadają na lata 1434, 1476, 1502, 1513. Najgroźniejszemi były rozruchy za reformacyi w latach od 1524—26, krwią przeszło pięćdziesięciu tysięcy włościan zgaszone. U nas bądź co bądź nigdy do tego nie przyszło, a rozruchy kozackie i galicyjskie mają gdzieindziej ważniejsze przyczyny niż pańszczyznę, i porównywać je z zaburzeniami w Niemczech, okazywałoby wielką nieznajomość rzeczy. Zresztą zabiegi Czechów-Hussytów do połączenia się z Polską, unia Litwy z Koroną, a szczególnie usiłowanie Żmudzi i Prus do zrzucenia jarzma krzyżackiego, a poddania się Polsce, są niezbitem świadectwem lepszych stosunków włościańskich, niż w krajach ościennych. Poddani sąsiednich państw dobrze wiedzieli, dla czego chcą przejść pod prawa polskie, i musieli je za ludzkie, za lepsze uważać, skoro nawet wojnę w tym celu podejmowali.

IV. Przyczyny zmian stosunków włościańskich.

Wiek XVI, a nawet koniec XV przedstawia zupełnie odmienny obraz stosunków społecznych od dotychczasowego. Zmiany

[1] Pomerania.

radykalne, jakie w nim napotykamy, nie przeszły jednak od razu, bo w życiu narodów, w budowie państw nie ma gwałtownych a niezapowiedzianych przewrotów; wszystkie ważniejsze przejścia mają swoje przyczyny zdawna się gromadzące, są wypływem poprzedzających je wypadków. Nie inaczej ma się rzecz z przewrotem, jaki pod koniec wieku XV i XVI w stosunkach włościańskich nastąpił. Zmiany w kwestyi tak żywotnej od stu prawie lat zwolna się zapowiadały.

Wiek XIII jest świadkiem nieszczęść, jakie Europę nawiedzały. Upadek wpływu na Wschodzie, zgubne panowanie Fryderyka II, straszliwe wtargnięcie Tatarów do wnętrza Europy wstrząsały po kolei całe chrześcijaństwo. W XIV wieku dopiero spokojniejsze nastały czasy. Polska zabiegami Łokietka w całość połączona, gospodarnością Kaźmierza wewnątrz odbudowana, a ramieniem Jagiełły od zamachów krzyżackich obroniona, mogła odetchnąć swobodnie, i zawiązać stosunki z Zachodem i Rzymem. W wieku XV spotykamy wielu naszych ziomków na uniwersytetach zagranicznych. Zmiany wewnętrzne, jakie się w ówczesnej Europie odbywały jako to: szerzący się humanizm propagujący starożytne pojęcia filozoficzne, moralne i polityczne, mnożące się uniwersytety i książki, walka z feudalnym średniowiecznym ustrojem państwa, wywarły wpływ i na nasze społeczeństwo. Obok dodatnych korzyści ukazały się i ujemne strony, mianowicie w pojmowaniu szlachectwa i w pojmowaniu obywatelstwa. Według dotychczasowych pojęć, szlachta uważaną była za część, przednią wprawdzie, lecz nie odłączną od innych części narodu, czyli stanów. Każdy, kto ofiarnością mienia i życia poświęcał się dla dobra publicznego, wyróżniany zostawał od innych, stawał się szlachcicem. W XV jednak wieku społeczeństwo nasze stykając się na Zachodzie z ustrojem feudalnym, przypatrując się nadto ruskiemu i litewskiemu możnowładztwu, wyrobiło sobie pojęcia oparte na niemieckich stosunkach, szlachta odgraniczyła się murem od innych stanów. Wypływem tych wyobrażeń jest prawo z r. 1453, które brzmi: „Jest to niejako *implicite* kara śmierci na szlachcica, któryby się spospolitował albo spopularyzował, albo zniżył aż do wnijścia w równość brat za brat z chłopem“ [1]. Tak starannie okre-

[1] Statut. masov. ed. Bantke p. 445.

ślona i dobitnie wyłożona uchwała zmienia od razu braterskie stosunki obu stanów, i aby tem skuteczniej podziałać, zakazuje dalej pić (słusznie), ale nawet bawić się z chłopy (w karczmie), odmawiając herbowemu sprawiedliwości, gdyby w tej zabawie jaki szwank poniósł. Odtąd szlachta każdemu ludowemu mężowi zagradzała drogę, prowadzącą tam, dokąd niegdyś sama przez zasługi w czasie wojny i pokoju dochodziła. Monarcha atoli nie zważając na to uherbowniał, uposażał i uszlachcał, kogo godnym takiego dobrodziejstwa uznał, aż sejm możność tę jego ograniczył. „Ustanawiamy, aby *plebei* nie byli kreowani na szlachectwo, jedno na sejmie za wiadomością panów rad albo w wojsce — dla znacznego w męstwie swego poczynania i dzielności“ [1].

Co więcej, buta szlachty doszła do tego, że nawet podawano w wątpliwość szlachectwo przez króla nadane. Dowodzi tego ustawa Zygmunta III w Warszawie r. 1589, która zakazuje „przywodzić *in dubium* szlachectwo tych, którzy *legitime* od przodków naszych są kreowani, także i od nas“ [2]. Nic więc dziwnego, że skoro szlachta takie zajęła stanowisko względem włościanina, skoro go uważała za człowieka grubego, przez naturę samą do podlejszych posług i niewoli stworzonego, który tylko grozą i surowością da się kierować, to wcale go nie oszczędzała.

Nadto i w drugim kierunku, mianowicie w pojęciach prawnych nie mniejsza zaszła zmiana. W sądownictwie wpływ prawa rzymskiego, a w ustroju społecznym wpływ polityki Arystotelesa, przez rozwój humanizmu do Polski wprowadzony, zgubne wywarł skutki. Szczególnie Arystoteles w całej Europie olbrzymią odgrywał rolę: „tak dla naszych pisarzy politycznych on był podstawą, na której się opierali; z niego jak ze źródła czerpią oni wszyscy swoje pojęcia, swoje definicye, od niego biorą całą stronę filozoficzną swojej polityki, a do rezultatów jego spekulacyi przymierzają stan faktyczny Rzpltej. Wszystkie pojęcia: państwa, władzy, formy rządu, stosunku poddanych do rządzących etc., wszystkó to nasi statyści biorą z Arystotelesa, on jest tą studnią mądrości, z której czerpią wszyscy bez wyjątku, od najstarszego Ostroroga, aż do Warsze-

[1] „Stefan w Warszawie“ 1578. Janusz str. 555.
[2] Tenże str. 555.

wickiego“ [1]. W tych warunkach wyrobiło się nowe pojęcie obywatelstwa w zupełności Arystotelesowemu odpowiadające. Dotąd w obec prawa wszyscy byli równi, szlachcic, kmieć, włościanin zarówno w sądach sprawiedliwość i opiekę znachodzili. Wprawdzie zabicie, zranienie, lub znieważenie szlachcica surowiej niż kogo innego było karane, lecz przywilej ten wcale jeszcze w sumie praw nie przeważał. Według nowych pojęć, obywatel to człowiek posiadający ziemię, która dla niego jest podstawą pełności praw politycznych. Zajęcia i obowiązki dzielą się już na szlachetne (rzemiosło rycerskie, rolnictwo) i niskie (zajmowanie się wagą, łokciem...); z tych pierwsze tylko przystoją stanowi szlacheckiemu, dają mu prawo do uczestnictwa w rządzie, a drugie od niego wykluczają; kto zaś w rządzie uczestniczyć nie ma prawa, ten jest poddanym Rzpltej, a nie obywatelem. Rozdział więc już jest gotowy i zupełny, następstwa jego są tylko kwestyą czasu. Ponieważ starożytność widziała w państwie tylko obywateli *(cives)* i niewolników *(servi, mancipia)*, środkowego zaś stanu, jaki był u nas w mieszczanach, sołtysach i kmieciach nie znało wcale, więc i nasi polityczni pisarze nie umieją stale rozróżnić między wolnym poddanym a niewolnikiem kupionym lub na wojnie wziętym, i zasadnicza różnica tych dwu klas z czasem zupełnie się zaciera [2]. Stąd szlachcic, posiadacz ziemi i jedyny obywatel państwa, jest panem pracy a poniekąd i osoby poddanego, i może go bez mała uważać za swego niewolnika. Takie pojęcia wprowadził w stosunki społeczne humanizm, nie od razu wprawdzie je urzeczywistnił, ale powoli odarł wolnego kmiecia ze wszystkiego a oddał go panu, by korzyści, jakie tylko może, zeń ciągnął.

Do tych przyczyn wewnętrznych przybywa jeszcze jedna, to jest wygórowane stanowisko szlachty. Przyczyna tego leży z jednej strony w słabości panujących książąt w epoce podziałów, w przywilejach Ludwika i pierwszych Jagiellonów i w ich naturalnych następstwach, z drugiej zaś w położeniu geograficznem Polski, i nieszczęśliwych ościennych stosunkach. Przed wiekiem X stanowi kraj

[1] Stan. Tarnowski: „Pisarze polityczni XVI wieku“. Kraków 1886.
[2] Tenże.

nasz wschodnie wrota Europy, któremi waliła się dzicz azyatycka na Zachód. Za Piastów i Jagiellonów broni wejścia do Europy to Mongołom, to Waregom, to Turkom, nadto śmiertelne boje stacza z czyhającymi na jego byt Niemcami. Nic dziwnego, że w takiem położeniu musiało rycerstwo urość do ogromnej przewagi, skoro na niem spoczywała całość kraju i nadzieja lepszej przyszłości. Z drugiej strony ustawiczna ta walka nie pozwoliła Polsce należycie się urządzić. Za Kazimierza W. jest państwo budową najzdrowszą i najbardziej prawidłową, na stałej harmonii społecznej opartą. Adskrypcya, juryzdykcya szlachecka ujęta w karby, równowaga stanów wchodzi w życie, i najpomyślniejszą przyszłość zapowiada. Od Ludwika węgierskiego datuje się już zwrot w tych stosunkach. W przywileju Koszyckim złożone są wszystkie początki złego, bo przewaga jednego stanu nad drugim i osłabienie władzy królewskiej widnieje w nim na każdym punkcie. Późniejsi królowie zmuszeni ciągłemi wojnami do szukania pomocy w rycerstwie, muszą ją wytargowywać nowemi swobodami i przywilejami na szkodę państwa i innych stanów wydawanemi, a każda nowa koncesya staje się szczeblem do dalszej. Weźmy za przykład sejm. Zrazu wchodzi szlachta do sejmu w Korczynie r. 1404 tylko wyjątkowo, dla uchwalenia jednorazowego podatku, w r. 1464 przyrzeka Kazimierz IV nie stanowić praw i nie wydawać wojny bez zezwolenia posłów, a w cztery lata później ma prawo każda ziemia wysyłać na sejm po dwu posłów[1].

Przyczyny te zmieniały powoli pojęcia prawne, wpływały na umysły szlachty i przygotowywały grunt pod nastąpić mające uchwały. Same jednak nie mogły być bezpośrednim powodem zmian w prawodawstwie, bo chociaż działały na przekonania i powoli nakłaniały sejmujących do ustaw dla innych stanów niekorzystnych, to jednak jako dostateczny powód w obradach podawanemi być nie mogły. Przyszły im więc w pomoc inne przyczyny, zewnętrzne, mniej ważne, ale przez posłów poruszane i bezpośrednio zgubne następstwa wywołujące. Jest ich kilka:

Pierwsze między niemi miejsce zajmuje trzykrotna, olbrzymia

[1] Tenże.

kolonizacya Podola. Kraj ten przypadł Polsce na mocy unii z Litwą 1413 r. i już Władysław Jagiełło chcąc go zaludnić i podnieść zaczął całe jego obszary między panów polskich i litewskich rozdzielać. Za staraniem ich powstają odrazu liczne wsie i miasteczka, z których największym a zarazem najlepszym strategicznym punktem Podola był Kamieniec. Pięknym bo był kraj ten i tak urodzajnym, że bez przesady można go było nazwać ziemią mlekiem i miodem płynącą. Bydła posiadał taką ilość, że np. barana sprzedawano za 27 groszy dzisiejszych. Zboże podolskie szło przez morze Czarne aż do Cypru, a gdy w połowie XV wieku Turcy opanowawszy ujścia rzek zatamowali handel, produkta miejscowe tak staniały, że „zboże, powiada konstytucya sejmowa z r. 1609, które gdzieindziej płaciło: maca pszenicy — groszy 20, jęczmienia — gr. 10, owsa — gr. 4, tatarki — gr. 6, to gdy żołnierz będzie leżał na Rusi albo na Wołyniu, kopa każdego zboża ma być tak płacona jako maca. Siana wóz groszy 3[1]". Nic więc dziwnego, że tuż pod bokiem Tatarów osiadała gęsto ludność polska, chroniąc się w czasie napadów w lasy i pieczary, a przysłowie powiadało, że kto na kresach nie zginie od tatarskiej strzały, ten po latach kilku ogromnego dorabia się mienia. Kiedy w r. 1453 Turcy zdobyli Konstantynopol i na dobre się w Europie usadowili, poczyna rozwijająca się dotąd kolonizacya naraz słabnąć a najbardziej z powodu sąsiedztwa białogrodzkich Tatarów, u ujść Dniepru osiadłych. Był to tak srogi sąsiad i gość, że np. od r. 1450—1550 przeszedł 24 razy przez Podole paląc i rabując i lud do niewoli zabierając, a odwiedziny te były w skutkach tak straszne, że — jak mawiano — i trawa tam nie rosła, gdzie przeszli Tatarzy. Z tej przyczyny osadnictwo tak pięknie poczęte rychło ustaje, i tylko awanturnicy i ludzie na wszystko zdecydowani szczęścia tutaj próbują. Bronią się ci i owi gromiąc nieraz najezdców, lecz przy braku dostatecznej obrony staje się Podole gąbką wysysającą soki żywotne z Polski, a wygniataną przez Tatarów. Dopiero około r. 1537 położył koniec temu tatarskiemu gospodarowaniu rycerski Pretwic i tak się im dał we znaki, że „za pana Pretwica — spała od Tatar granica",

[1] O kolonizacyi Podola i o losach jego ludności patrz — Rolle „Zameczki podolskie na kresach" (odbicie z *Przeglądu polskiego*). Kraków 1872.

mawiał lud tamtejszy. W latach od 1566—1633 naliczyli kronikarze już tylko 11 napadów. Nadto, gdy Rzplta uznała potrzebę utrzymywać tamże 2.500 wojska kwarcianego, kraj się powtórnie zaludnia i bogacieje. Z początkiem wieku XVII broni Podola Chmielecki, nazwany przez Tatarów sabak (pies).

Z wystąpieniem Pretwica powstają na kresach warowienki i czaty strażnicze; pod ich opieką kraj się na nowo zaludnia, a wsie i miasteczka wyrastają jak grzyby po deszczu. W moc konstytucyi upełnomocniającej króla do rozdawnictwa ziemi kresowej ludziom dobrze sprawie ojczystej zasłużonym, powstają tu ogromne majętności do jednej należące rodziny. Spotykamy tu Wiśniowieckich, Ostrogskich, Zasławskich, Zamoyskich, Lubomirskich, Kalinowskich, Potockich, Koniecpolskich i tylu innych istnych małych królików. Majątki ich były tak wielkie, że np. po śmierci Janusza Ostrogskiego znaleziono w jego posiadłościach miast i miasteczek 80, wsi 2.760, czerwonych złotych 600.000, talarów twardych 400.000 różnej drobnej monety 2,900.000, łamanego srebra beczek 30, cugów i woźników 50, koni jezdnych 800, klaczy matek 4.000, samego bydła i owiec bez liku.

Obok magnatów osiadało tu mnóstwo drobnej szlachty; setki awanturników i przestępców, którychby gdzieindziej nie cierpiano, uchodzą przed sprawiedliwością na Ukrainę; z nich uformowało się wnet junackie kozactwo, które tak fatalnie zaważyło na losach Rzpltej.

Wskutek rozruchów kozackich za Jana Kaźmierza i 27-letniego panowania Turków nad Podolem, osadnictwo polskie ustaje po raz wtóry. Mnożą się bandy zbójeckie a popierane przez Moskwę i Tatarów, sprowadzają straszny okres klęsk i łupieztw na kraj ten przez Stwórcę ubłogosławiony.

Uspokoiło się wreszcie po raz trzeci; od r. 1711, po wyjściu kozactwa, kolonizacya rozwija się po raz trzeci. Przybywają tą razą Rusini i mieszkańcy podgórza karpackiego, a z nimi wraca i szlachta do siedzib swych antecesorów.

Dlaczego ludność polska na Rusi osiadła dla idei narodowych przepadła, dlaczego zaniedbana przez Polskę a wspomagana i nurtowana przez wrogów, tyle nam krwi upuściła, a w ostatku przyczyniła się do naszej zguby i swojej niedoli — na te pytania odpo-

wiedzieć, przechodzi zakres niniejszej pracy. To tylko pewna, że stosunki wschodnie są wymownem świadectwem opieszałej i o jutrze nie myślącej polityki polskiej, której skutki od razu do głębi społeczeństwa sięgnęły, bo na pogorszenie ludu przeważny wpływ wywarły.

Od r. 1413 poczyna się emigracya chłopska na Podole. Szlachta nie stawiała temu przeszkody, ani mogła, bo skoro kmieć swoje zobowiązania wypełnił, mógł się dowolnie przenieść, i nikt nie mógł go zatrzymywać, lecz i nie chciała, bo to odpowiadało jej interesom. Rody szlacheckie bowiem rozmnożyły się bardzo, potomkowie ich wskutek podziału ojcowizny coraz mniej włości a tem samem i czynszu otrzymywali. Położenie materyalne pogarszało się z każdą chwilą, wyglądano powszechnie okoliczności, któraby temu zapobiegła, i jak się tylko nadarzyła, nie ociągano się z jej wyzyskaniem. Było nią właśnie wychodźtwo. Szlachcic będąc w posiadaniu ziemi przez kmiecia zamieszkałej zajmował opuszczoną rolę, przydzielał ją do gruntów dworskich, a tak powstawały folwarki rozległe, których uprawa więcej przedstawiała korzyści niż wydzierżawianie. W całej tej przemianie nie byłoby nic złego, gdyby Rzplta wzięła była kraje kresowe w należytą opiekę i zabezpieczyła je od Tatarów, wtedy i emigracya byłaby wcześniej później ustała, a Podole stałoby się rzeczywistym śpichrzem Polski. Niestety, działo się inaczej, brak systematycznej obrony jak z jednej strony wyludniał Ruś, tak z drugiej coraz nowych osadników z kraju wyciągał. „W Wielkopolsce znikali gospodarze, znikały wsie. Było dużo takich, w których sam dziedzic tylko został przy zagrodniku... Namiętność wynoszenia się dotknęła sołtysów, karczmarzów, młynarzów, to jest zamożniejszych nawet z rolniczej ludności. Klęski, którym Ruś i Podole z najazdu nieprzyjaciela niekiedy ulegały, czasami jeszcze bardziej pociągały kmieci w tamte strony, po wojnie pilnie potrzebując osadnika; przyjmującemu grunta podawano lżejsze warunki i dłuższą wolę. Na popieliskach Rusi, biegły w rolnictwie kmieć wielkopolski swobodę, poważanie i dalekość od nieprzyjaznego mu Niemca znajdował[1]. W takich warunkach zacho-

[1] T. Lubomirski: „Rolnicza ludność w Polsce". Bibl. warsz. r. 1857 tom II.

dziła słuszna obawa ogólnej nędzy, i to tem bardziej wymagała środków zaradczych, że tu chodziło o wyludnienie kraju i o rolnictwo, jedyne źródło bogactwa krajowego. Starano się złemu zaradzić, i już od roku 1468 zaczyna się dążność, aby mnożyć osadnika. Lokatorowi, sołtysowi, któryby go sprowadził, ustępowano połowę czynszu od nowo osadzonego, a osadnikowi dożywocie na wykarczowanym gruncie. Lecz Podole zanadto było blisko i zanadto ku sobie nęciło, by ten środek biedzie zaradził; brak rąk do pracy dawał się czuć powszechnie.

„Wymagania krajowych finansów nie były bez wpływu na wprowadzenie przytwierdzenia. Pierwszy peryod naszych finansów skończył się z Piastami. Wszystkie źródła dochodów państwa przeszły w posiadanie prywatne właścicieli ziemskich. Z Jagiellonami zaczął się peryod drugi“ [1]. Na kraj nałożono podatki, a te były pięciorakie:

Czopowe, był podatek od wyrabiania trunku, pobierany od wszystkich bez rożnicy stanów; w końcu XV wieku szlachtę od niego uwolniono. Wynosił mniej więcej czwartą część ogółu poborów.

Miasta składały od kapitałów podatek hosu, który mógł wynosić część piątą ogółu poborów.

Trzecie miejsce zajmuje podatek od dochodu, podatkiem czwartej części czynszów pospolicie zwany; składali go właściciele ziemscy. Pierwszy raz wybrano go w połowie XV w., i dał piątą część całego poboru, lecz wnet, bo już w 50 lat później, spadł na kilkadziesiąt florenów.

Kwarta, podatek na utrzymanie wojska; w XVI wieku stanowi większą połowę sumy podatków, i pobierany jest tylko z dóbr królewskich i od dzierżawców tychże.

Łanowe, także poradlnem lub podymnem zwane. Płacili je dzierżawcy gruntów szlacheckich i kmiecie; stosownie do uchwały wynosiło w różnym czasie od 6 gr. do 25 florenów z łanu (floren = 24 gr.) W roku 1404 po 12 groszy od łanu, wynosiło 100.000 grzywien, następnie tak maleje, że w r. 1493 wynosi 13.000 florenów czyli 6.500 grzywien. Ponieważ do tego szlachta powalniała posiadłości folwarczne bezpośrednio przez siebie upra-

[1] Tamże.

wiane od podatku, więc skarb królewski zasilany był kwartą, uszczuplonem czopowem i łanowem [1].

Przyczyną tak wielkiego spadnięcia łanowego było niestałe zamieszkanie i emigracya kmieci, skąd poborca nie miał go od kogo ściągać, gdyż łany opuszczone i w role folwarczne zamienione były wolne od podatku. Cierpiał na tem skarb, cierpiało dobro publiczne, spodziewano się złemu przytwierdzeniem włościan zaradzić.

Prócz kwestyi podatków wchodziło włóczęgostwo w kolizyę z prawami kościoła i państwa, dawało bowiem łatwą sposobność do zaniedbywania św. Sakramentów, życia niechrześcijańskiego; stąd na synodach zalecano dawać jałmużnę tylko osiadłym; z drugiej strony mnóstwo nieosiadłych stale mieszkańców zagrażało publicznemu porządkowi, gdy przestępców ani wyśledzić, ani ukarać nie było można.

Wszystkie te przyczyny gromadziły się przez wiek cały i powoli przygotowywały zmiany, jakie nie zadługo miały zajść w ustroju społecznym. Wymagały one słusznie pewnego ograniczenia swobód włościańskich i ujęcia ich w pewne karby, i z tego względu nie można szlachcie ówczesnej czynić zarzutu. Wina właściwa leży w tem, że na zaczętej drodze przerzucono się w ostateczność, że ograniczając wolność włościan, zepchnięto ich z czasem na stanowisko niewolników. (C. d. n.)

Ks. Józef Waligóra.

[1] Tamże.

NOWOCZESNA KRUCYATA.

Odkrycia dokonane we wnętrzu Afryki przez śmiałych podróżników, nowe państwa założone nad Kongo, zajęcie wschodnich i zachodnich wybrzeży przez mocarstwa europejskie dawały otuchę wprowadzenia wreszcie oświaty i chrześcijaństwa do tego „ciemnego kontynentu“. Główną zawadą w spełnieniu tego zamiaru był handel niewolnikami, jaki Mahometanie od czasu owładnięcia wybrzeżami afrykańskiemi na wielką prowadzili skalę. Szajki łotrowskie złożone z białych i czarnych Arabów uprowadzały corocznie tysiącami dzieci i niewiasty murzyńskie z głębi Afryki, sprzedawali je na targach Maroka i Chartumu, skąd wiedziono je do innych posiadłości mahometańskich. Misye z takim trudem i nakładem założone nad Tanganiką i w innych miejscowościach środkowej Afryki w obec tych napadów, nie mogły rozwinąć swej działalności: jedno przejście dzikiej tłuszczy wystarczało do wyplenienia całych okolic. Następca św. Augustyna na stolicy Kartagińskiej, który już tyle zrobił dla swych dzieci afrykańskich, nowego postanowił użyć środka: sile materyalnej przeciwstawić również siłę materyalną, ściągnąć do Afryki rycerzy chrześcijańskich, którzyby z miłości ku P. Bogu, jak niegdyś krzyżowcy, piersiami swemi osłaniali ten czarny, nieszczęśliwy lud. Kardynał Lavigerie otrzymawszy upoważnienie i błogosławieństwo Ojca świętego, pospieszył do Paryża, by tam rozpocząć głoszenie nowej krucyaty; stamtąd uda się do Londynu i innych stolic europejskich. Chcemy czytelników naszych zapoznać z pierwszą konferencyą paryską, w której znaleść można streszczenie wszystkiego, co się obecnie dzieje na

tem polu, oraz i tego, co zrobić wypada, aby złemu stanowczo zapobiedz.

Kardynał Lavigerie podniósł głos w tym samym kościele paryskim św. Sulpicyusza, gdzie przed blisko pół wiekiem kapłańskie otrzymał święcenie. Na wstępie przypomniał, iż w tej chwili Kościół katolicki zagaja trzecią z kolei wielką walkę z niewolnictwem. Pierwszą odnieść wypada do kolebki chrześcijaństwa, kiedy nowa wiara uczyła pogan zasad braterstwa ludzi, sprawiedliwości i miłosierdzia, wypierając powoli ze społeczeństwa ostatnie ślady niewolnictwa. Po odkryciu Ameryki, wznowiło się ono wraz z nagłem wzbogaceniem ludzkości, której sumienie zwykło się wśród dostatków zamącać. Przez całe trzy wieki, Kościół pracował nad wyswobodzeniem nieszczęśliwych Murzynów, pracujących w plantacyach Ameryki, ale dopiero w bieżącem stuleciu całkowite zwycięstwo uwieńczyło długie usiłowania papieży, misyonarzy i pisarzy, których szlachetne głosy przyczyniły się do odniesienia ostatecznego tryumfu. Niewolnictwo zniknęło z kolonij, znika dziś w Brazylii, ale z łona Afryki podnoszą się dotąd skargi, stwierdzone świadectwem podróżników, obiegających te tajemnicze dotąd kresy.

Wiadomo było ogólnie, że handel ludźmi trwa w głębi czarnego kontynentu, brakło atoli szczegółów, nie domyślano się rozmiarów plagi, która zagraża całkowitem wyludnieniem żyznych i bogatych stref równikowych, a krocie nieszczęśliwych wtrąca w otchłań niedoli. Sam kardynał Lavigerie mówi, iż choć oddawna już zamieszkał był w północnej Afryce, nie znał bynajmniej gwałtów dokonywanych w podzwrotnikowych krainach. Dopiero przed dziesięciu laty, wysłani w nieznane dotąd okolice misyonarze, bliższą o panujących tamże stosunkach podali wiadomość. Wiele oni znieść i wycierpieć muszą; klimat morderczy, niedostatek, trudy apostolskie przerzedzają ich szeregi, mnożą udręczenia dobrem podejmowane sercem. Atoli najsroższą ich katuszą bywa stale niepodobieństwo zaradzenia niewolnictwu, i bezwładne przypatrywanie się stopniowej zagładzie plemienia, które dla wiary świętej zdobyć przybyli; zrazu kardynał Lavigerie nie śmiał podnosić głosu, z obawy, aby jeszcze nie pogorszyć położenia swych misyonarzy, i aby wywołaniem pomsty handlarzy ludźmi, nie pozbawić nieszczęsnych murzynów ostatniej ich opieki i pomocy. Odtąd jednak sto-

sunki wielce się zmieniły. Z jednej strony, odważni podróżnicy zerwali w części zasłony z sfinksowego łona Afryki, z drugiej mocarstwa europejskie zawarły układ międzynarodowy, rozdzielający pomiędzy siebie przyszłą arenę wpływów i podbojów. Śmielej tedy dziś dobry pasterz może się upominać o krzywdy swych czarnych owieczek, śmielej malować obrazy ich nędzy, tak krwawe a prawdziwe i z rzeczywistości wysnute.

Naprzód przypomina on, iż podczas gdy oczy Europy w inne zwracały się strony, Islamizm dokonywał cichaczem i dokonał podboju bodaj połowy całej Afryki. W jednej części wyznawcy Proroka zakładali nowe państwa, drugą zdobywali sobie faktycznie uprowadzeniem licznego niewolnika. A z pośród mnóstwa fałszów i niebezpiecznych zasad głoszonych przez Muzułmanów, może najsmutniejszą w skutkach jest doktryna rozdzielająca ludzkość na dwie kategorye, dwa szczepy odrębne, wiernych Mahometa synów, którym wypada rozkazywać i rządzić — i niewiernych, skazanych przez to samo na spodlenie i niewolniczą służbę.

Wprowadzając tedy w życie doktrynę Proroka, wyznawcy Koranu rozpoczęli na wielką skalę handel niewolnikiem i polowanie na ludzką zwierzynę. Zrazu Europa nie chciała temu wierzyć, nie widząc już w portach morskich żadnego śladu osławionego handlu, a nie pojmując dokądby się tenże był zwrócił, i ktoby w dalekiem Afryki wnętrzu znalazł gotowy odbyt dla tak znacznej liczby niewolników. Brak targowisk ludzkich na wybrzeżach utrwalał powszechne mniemanie, iż takowe istnieć przestały. Tymczasem znaleść je dotąd można we wszystkich miastach cesarstwa Marokańskiego, gdzie przybywają całe karawany niewolników publicznie sprzedawanych i kupowanych, tak przez Muzułmanów jak i przez Żydów. Oazy położone w pustyni Sahary, są także miejscem ulubionem jarmarków niewolniczych. Atoli Tombuktu głównym dotąd pozostał rynkiem handlu na ludzi. Mniej otwarcie występuje on na wybrzeżach wschodnich Afryki, zwłaszcza nad morzem Czerwonem. Publiczne ustawy i układy niby zniosły kupczenie ludźmi, potajemnie więc tylko odbywają się złowrogie dostawy, w nocy zapadają dwustronne umowy, i łodzie arabskie mkną niepostrzeżenie ku wybrzeżom Azyi, aby jej dostarczyć niewolników. Obecnie nowy prąd targowy zwrócił się i ku południowi, gdzie bitnym Zulusom po-

trzebną się stała niewolnicza służba domowa. Nic się wszelako nie równa z okropnością ludzkiego handlu, w samemże środku Afryki prowadzonym. Od granic kolonij Algierskich, aż po same granice Kaplandu i angielskich posiadłości, mnożą się krwawe zajścia i nieludzkie polowania na człowieka. Polowania te w różny odbywają się sposób. Niekiedy, zbóje żądni ludzkiej zwierzyny, zaczajają się w lasach, wypadają z poza drzew na pojedyńcze ofiary, które uprowadzają najczęściej podczas żniwa. W sąsiedztwie wielkich jezior Środkowych tego rodzaju niebezpieczeństwo tak się spotęgowało, iż żadna kobieta a tem bardziej dziecko nie śmie już oddalić się na dziesięć minut drogi od własnej osady, ponieważ wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już by do wsi nie wróciła. Bezkarność zupełna towarzyszy podobnym gwałtom. Żaden władca miejscowy nie zdolnym jest położyć końca krzywdom swych poddanych. Pamiętać należy, iż handlarze ludzkim towarem zawsze są silnie i po europejsku uzbrojeni, podczas gdy afrykańscy tubylcy nie znają innego oręża prócz kamieni, maczug, dzid i włóczni.

Ale napady na pojedyńcze ofiary nie tyle robią złego, ile uorganizowane wycieczki, podżeganie jednych plemion na drugie, haniebne przymierza mające na celu mord i łupiestwo; zresztą przymierza te nie są trwałe, wczorajsi sojusznicy jutro staną się nieprzebłaganymi wrogami. Owe hurtowne najazdy zwykle nocną odbywają się porą. Uśpioną ludność budzą wystrzały i pożar podpalonych szałasów. Przerażeni mieszkańcy próbują chronić się ucieczką, bądź w lasach nieprzebytych, bądź wśród bujnej łąk roślinności. Ale nieubłagany pościg wszędzie ich dopada; mordują nielitościwie starców lub opornych mężczyzn, uprowadzają przeważnie niewiasty i dzieci. Następnie organizuje się karawana wiodąca całą tę ludzką trzodę ku jednemu z głównych targowisk wnętrza Afryki, i wtedy zaczyna się straszny pochód, w którym znaczna część porwanych ginie okrutną śmiercią.

Wszyscy niewolnicy pieszo bywają pędzeni. Silniejszym lub oporniejszym wiążą ręce, a czasem i nogi, co każdy krok w prawdziwą zamienia mękę, na szyję zaś zakładają im t. zw. kuny, czyli kłody drewniane, nieraz łączące z sobą całe szeregi nieszczęśliwych. Przyspieszony pochód trwa przez dzień cały, zaledwie wieczorem karawana zatrzymuje się dla wypoczynku, a niewolnicy za

całe pożywienie otrzymują parę garści surowego sorga. Oczywiście, słabsze siły wcześnie się wyczerpują. Słabsi najpierw przystawają w drodze, po kilku dniach niedostatku i znużenia. Chcąc wtedy krwawym przykładem zniewolić tych nieszczęsnych do szybkiego pochodu, przewodnicy karawany zbliżają się ku słabnącym ofiarom, i drewnianą maczugą uderzają je silnie w kark. Nieszczęśliwi z jękiem padają na ziemię, i po krótkich konwulsyach oddają ducha. Oszczędzenie prochu jest główną przyczyną, dla której obrano ten doraźny sposób pozbywania się wątlejszych i brakowania niewolniczej trzody. Trwoga dodaje sił najsłabszym, ruszają więc dalej, a ilekroć ze znużenia ustają, wnet nowa egzekucya dodaje im bodźca. Jeśli zaś który z jeńców próbuje ratować się ucieczką, zręcznie zarządzona pogoń rychło go dopędza, i kaci odciąwszy mu rękę i nogę, odrąbane członki rzucają w najbliższy oczeret, wołając: „Oto przynęta dla lampartów, one cię chodzić nauczą“.

Ale handlarze ludzkim towarem posiadają osobne doświadczenie i jednym rzutem oka co wieczór odgadują, kto dalszą zniesie drogę, kto padnie bezsilny. Co wieczór też ścisły robią przegląd jeńców, a dla oszczędzenia sobie szczupłych zasobów żywności, przechodząc wzdłuż szeregów wybijają, co tylko im się zbyt wycieńczonem trudem i głodem być zdaje. Trupy pozostają tam gdzie padły, i reszta nieszczęśliwych obok martwych zwłok towarzyszów niedoli zażywa nocnego odpocznienia. Ale w tych warunkach łatwo się domyśleć na jaki sen zdobyć się można! Dzieci murzyńskie, wydarte z tego piekła poświęceniem misyonarzy, przez długi czas budzić się zwykły co noc z strasznym krzykiem. Krwawe wrażenia jak zmora we śnie nawet ich przypomnieniem nękają.

W takito sposób odbywa się pochód, trwający nieraz całe miesiące, jeżeli najazd sięgnął w dalsze okolice. Codziennie karawana się zmniejsza, codziennie nowe padają ofiary. To też słusznie powiedziano, iż możnaby odnaleść drogi handlowe wiodące przez Afrykę ku targom niewolniczym, za pomocą kości bielejących wzdłuż owych krwawych szlaków. Zaledwie połowa, trzecia lub czwarta część jeńców dochodzi na miejsce przeznaczenia. Wtedy zaczynają się inne, nie mniej ohydne sceny i frymarki. Nabywcy oglądają szczegółowo wszystkie członki wystawionych na sprzedaż niewolników, celem przekonania się jakiej się od każdego z nich

spodziewać mogą siły i służby. Patrzą im w zęby, targują się o cenę, a raz ugodziwszy kontrakt, stają się zupełnymi panami nabytego towaru. Mimo łez i krzyków zabierają matkom dzieci, odrywają żony od mężów. Zależność kupionego niewolnika staje się tem zupełniejszą, iż w Afryce równikowej nikt nie bywa pociągniętym do odpowiedzialności za katowanie lub zabicie sługi.

Umiarkowany Livingstone, którego nikt o przesadę pomawiać nie może, pisał, iż wyobraźnia nie zdoła sobie utworzyć żadnego obrazu, przybliżającego się grozą do rzeczywistości: „Darmo te straszne wspomnienia odsuwam od siebie, wciąż mnie one nagabują nielitościwie. Inne wrażenia z czasem słabną i nikną, te jedne niby nocna zmora, powracają i prześladują mnie bez przestanku".

Kardynał Lavigerie stale odrzuca powszechne twierdzenie, iż znikczemniałe plemię Chama nie ma w sobie żadnego wyższego zarodku ni pierwiastku, żadnej rękojmi możliwego podźwignięcia się z upadku. Wszakże i wśród biednych Murzynów błąka się wrodzony instynkt honoru, i nie jedna ciemna współzawodniczka starożytnej Lukrecyi, w obec utraty czci i wolności, przebija się zatrutem żelazem, byle nie przeżyć rozłączenia z małżonkiem i dziećmi.

Oto co się dzieje i powtarza ustawicznie na różnych punktach środkowej Afryki, najludniejsze okolice zamieniają się stopniowo w szerokie pustkowia. Obok obrazów wysnutych przez następcę św. Augustyna na biskupiej stolicy, nie mniej wymownie przemawiają cyfry. „Chrześcijańscy słuchacze, czy chcecie wiedzieć ile od lat dziesięciu corocznie zaprzedają w Afryce niewolników?" woła kardynał Lavigerie. Misyonarze mówią, że ich bywa co najmniej cztery kroć sto tysięcy, Cameron liczbę tę podnosi aż do pół miliona. Ale na każdego uprowadzonego jeńca, ileż przypada ofiar zamordowanych podczas barbarzyńskich łowów na lud, ile ginie w czasie pochodów? Jedni liczą cztery, drudzy pięć, inni dziesięć śmierci na każdego sprzedanego niewolnika. Cameron opowiada, iż w jego sąsiedztwie pewien handlarz polujący na pięćdziesiąt kobiet, które miał koniecznie na targ dostawić, zniszczył ogniem i mieczem do dziesięciu spokojnych osad, liczących każda około dwustu mieszkańców. Jeżeli w tym stosunku odbywa się i w innych stronach polowanie na ludzi, liczba zaprzedanych lub wymordowanych corocznie murzynów dochodziłaby

aż do dwóch milionów, zaczem po upływie lat pięćdziesięciu nastąpiłoby niezawodnie całkowite środkowej Afryki wyludnienie!

Misyonarze donoszą, iż niema jednego dnia, w którymby przez jezioro Tanganika nie przeciągały karawany niewolników. Nie dziw tedy, iż gdy tamże przybyli przed laty dziesięciu wysłańcy Ewangelii pokoju, prowincya Manyema, na której pograniczu osiedli, przedstawiała im się jako kraina żyzna i ludna, pełna kwitnących osad i pól uprawnych. Dziś siepacze najgłośniejszego z handlarzy niewolnikami, sławnego Tipo-Tipo, tak się raźnie wzięli do rzeczy, iż cała ta przestrzeń, wielka jak trzecia część Francyi, w jedno zamieniona jest pustkowie, pokryte kośćmi pomordowanych.

Niewolnictwo kolonialne wzbudziło gorliwych i wymownych obrońców zapoznanych ludzkich praw i wolności. Ale zdaniem kardynała Lavigerie, acz godne potępienia, nie zbliżało się ono pod względem okrucieństwa do handlu ludźmi, który od lat dwudziestu kwitnie w Afryce. Kolonie wymagały pracowników, ubiegały się tylko o męskiego robotnika, nie dbano o dzieci, które nie mogły sprostać trudom plantacyjnej uprawy, nie potrzebowano tam ściśle strzedz niewolników, których Ocean więził i odcinał od rodzinnych wybrzeży. W Afryce zaś, muzułmańscy handlarze rdzennie odmienili warunki kupczenia ludzkim towarem. Tu jeniec dorosły, płci męskiej, jedną ma tylko myśl: chęć i pragnienie uciec, zerwać swoje pęta, odszukać choćby miejsce spalonej osady, dognać jakie sprzymierzone pokolenie i tam używać odzyskanej wolności. Co więcej, jak powiada kardynał Lavigerie, obiecana ziemia Afrykańska, zwłaszcza płaskowzgórza środkowe, tak skupiają najlepsze warunki ciepła, wilgoci i żyzności, że dość jest kobiecej ręki aby je uprawić, i męskiego trudu nie potrzeba wcale. Chybioną więc spekulacyą byłoby porywanie dorosłych mężczyzn, których wyżywienie kosztuje, a ustrzeżenie i zachowanie w niewoli nie zawsze jest pewnem. Dzieci i kobiety daleko lepszym są interesem, pokup na nie znaczniejszy. Niema obawy, aby te wątłe i nieśmiałe istoty spróbowały ratować się ucieczką. Tymczasem wielożeństwo i rozpusta bez granic wymagają coraz liczniejszych dostaw niewieścich, dzieci zaś batogiem okładane wyrastają z czasem na sługi dobrze wytresowane.

Odkąd ten handel dostał się przeważnie w ręce muzułmanów,

praktykujących za radą proroka wielożeństwo, rozpusta władców pojedyńczych państewek urosła do zupełnego zezwierzęcenia. Mtesa, król Ugandy, i jego następca Muanga, doliczyli się 1.200 żon. Najubożsi utrzymują ich zawsze kilkanaście. Niska cena niewolnic ułatwia pomnożenie haremów. Jakże małej wagi bywa życie ludzkie w środkowej Afryce! Dziecko kupić można za garść soli, kilka kobiet za jednę kozę. Człowiek tu jest bodaj najniższą zamienną monetą. Nawet muszle jeziorne większą miewają cenę. A z pogardy tej dla ludzkiego rodzaju, wyradza się rychło i trwonienie ludzkiego życia, które gotowe zniknąć z powierzchni równikowych krain. Warto tu kilku przykładami stwierdzić owo bezprzykładne marnowanie tylu nieszczęśliwych ofiar. Pewien drobniejszy władca Bukumbi spokojnie opowiadał jednego poranku goszczącemu u siebie misyonarzowi, iż tejże nocy zamordował pięć żon swoich, i nic w tem zgoła niezwykłego nie widział. U Mtesy dzień w dzień kapitan Speke widywał po kilka nieszczęśliwych kobiet wiedzionych z haremu na miejsce stracenia. Łzy i jęki tych biednych ofiar nie wzbudzały żadnego współczucia w przechodniach, co najwięcej który z nich nad ich urodą się zachwycał, nikt słowa w ich obronie nie wypowiedział. Kaprys władcy wystarczał, aby je życia pozbawić. I tak, za podniesienie głosu w obec króla, krwiożerczy Mtesa oddawał swe ulubienice w ręce oprawcy. A przykład idący z góry dosięga i najniższych warstw. Kardynał Lavigerie przytacza między innymi fakt następujący: pora słotna tak rozmoczyła grunta na około wsi Tabory, iż noga więzła za każdym krokiem. Mimo to, pewien murzyn wypędził żonę po gałązki, przy którychby mu ugotowała wieczerzę. Zaledwie się oddaliła na kilka kroków, poczęła grzęznąć w bagnie, i po pas zapadła w błoto. Głos jej błagający ratunku darmo przeszywał powietrze, przechodnie żartowali tylko z jej opłakanego położenia. Nie mogąc doczekać się jej powrotu, mąż wyszedł, niosąc w ręku kij sękaty, aby jej sprawić łaźnię. Ujrzawszy ją z daleka, nietylko nie szukał sposobu ocalenia jej, ale jeszcze z dziką ironią rzucił jej ów kij, zalecając, aby się nim opędzała od hyjen, które niezawodnie w nocy ją nawiedzą, zaczem spokojnie do domu powrócił. Nazajutrz wszelki ślad nieszczęśliwej zniknął w zarównanem nad jej głową bagnisku.

Położenie misyonarzy jest bezsilnością okropne: nie mogą stawać

zbyt śmiało w obronie uprowadzonych jeńców, z obawy wywołania nowych zajść krwawych, nowych a nierównych starć. Jeśli im się uda wykupić kilku nieszczęśliwych, widok radości oswobodzonych a rozpaczy tych, którzy zostają w niewoli, rozrywa sprzecznem uczuciem ich serca. Oto w jakich słowach jeden z misyonarzy uskarża się swemu biskupowi:

„Naczelnik karawany, Arab, chce wyruszyć jutro z rana, a tymczasem pozwala nam wykupić kobiety i dzieci, które dzisiejszym najazdem pochwyconemi zostały. Wszystko co posiadamy, przechodzi w jego ręce. Można sobie wyobrazić radość wybranych, a jęki nieszczęśliwych, na których okup środków nam zabrakło, i którzy już okuci w kłody, gwałtem uprowadzeni jutro będą. Czemuż nie możemy wszystkich naraz wyzwolić“?!

Czyżby więc kardynał Lavigerie tylko w charakterze kwestarza rozpoczynał swą krucyatę? Uchowaj Boże! Zna on trudności epoki, powszechne zubożenie, potrzeby miejscowe, uciskiem Kościoła zwiększone. Zresztą okup pieniężny nie położy tamy złemu, gotów owszem wzbudzić jeszcze chciwość handlarzy niewolnikiem, nową sposobnością wyłudzania zysków. Jakiż więc środek obmyśleć ku wstrzymaniu tej fali niesprawiedliwości, która wyludnia całe wnętrze Afryki. Posłuchajmy głosów: Papieża, kardynała Lavigerie i jego apostolskich wysłańców. Leon XIII jednocześnie odwołał się do państw chrześcijańskich, i postanowił odrodzenie czynne maltańskiego zakonu, który w ostatnich wiekach tylko honorowem stał się był orderem. Misyonarze zapewniają wciąż, iż tylko siła zbrojna położyć zdoła kres niewolnictwu i najazdom nielitościwych handlarzy. „Wystarczyłby nieliczny oddział dobrze wyćwiczonych, uzbrojonych i zaaklimatyzowanych żołnierzy europejskich, aby w przeciągu kilkunastu dni rozbić tę szajkę zbójecką, która grasuje wśród jezior środkowej Afryki, od Tanganiki do Albert Nyanzy“. Kardynał Lavigerie podziela zdanie swych synów. W jego mniemaniu, wystarczyłby zastęp 500 do 600 zbrojnych, aby oswobodzić płaskowzgórza równikowe z plagi ustawicznych na ludzką zwierzynę polowań. Doświadczenie, acz na małą podjęte skalę, uczy o skuteczności tej jedynej metody. Stanął raz w obec kardynała mąż łączący w sobie wszystkie przymioty chrześcijańskiego rycerza: były oficer Żuawów papieskich, waleczny uczestnik ostatniej

wojny francuskiej przeciw Niemcom, pan Joubert, zwany poufale świętym Joubertem przez dawnych towarzyszów broni, postanowił u schyłku życia poświęconego obronie spraw szlachetnych, resztę dni oddać biednym afrykańskim Murzynom, i osłaniać ich przed zawisłą nad nimi grozą niewolnictwa. Od kilkunastu lat zamieszkał on przy jednym misyonarzu, w Mpala, nad jeziorem Tanganika: żyje tam samotnie i ubogo, oddychając tylko ofiarą i poświęceniem. Stał się opiekunem wszystkich sąsiednich osad murzyńskich. Z pośród neofitów pozyskanych wierze św., zebrał, uzbroił i wyćwiczył rodzaj milicyi, liczącej już do dwustu ludzi. Nie jest to zapewne żołnierz miary wojsk europejskich, ale wystarcza aby oddalać najazdy i wzbudzać postrach wśród metysów prowadzących handel niewolnikami, oraz wśród ich Ruga-Rugów, czyli zbojów używanych do polowania na ludzi.

Zdaniem kardynała Lavigerie najlepiej byłoby, aby państwa europejskie, które sobie na kongresie berlińskim wykroiły strefy wpływów i działania na mapie niezbadanego wnętrza Afryki, zobowiązały się do utrzymywania tamże siły zbrojnej, dostatecznej aby stłumić nieludzkie niewolnictwa zapędy. Gdy jednak nie bardzo można liczyć na zbiorową akcyę państwową, dlaczegóżby nie miały odżyć owe rycerskie zakony, które ongi poświęcały się wyswabadzaniu jeńców z saraceńskiej niewoli? Owi rycerze Maltańscy, św. Łazarza, Alkantary, i t. p. nie prowadzili wojen zaborczych, których Kościół nigdy nie pochwala, lecz bronili słabych, i działali ręka w rękę z Kościołem, udzielającym stałej opieki maluczkim i bezbronnym.

W gorącem domówieniu ojciec i metropolita Afryki, odezwał się do młodzieży chrześcijańskiej, aby przez nią odżyły szlachetne wielkich przodków czyny i przedsięwzięcia. Nie jest jej danem dziś jak dawni rycerze zatknąć zwycięsko krzyż w Jerozolimie, ale dlaczegóżby żądza poświęcenia, tkwiąca na dnie dusz gorętszych nie miała wywieść przynajmniej garstki bohaterów w te wydziedziczone krainy, które przez długi jeszcze czas pozostaną zamknięte dla postępów oświaty. Dlaczegóżby za dni naszych nie miały się wznowić poświęcenia, które były zaszczytem przeszłości?

Wszelako, jak to dodaje kardynał Lavigerie, należałoby na starym pniu zaszczepić niektóre odmiany, zastósowane do dzisiejszego ustroju świata. Dowody i dokumenta szlachectwa, wymagane

przez dawne ustawy rycerskich stowarzyszeń, dziś by zastąpić należało samym tylko męstwem, wyrzeczeniem, szczerą ochotą oddania życia za nieszczęśliwych braci. I tak, obok potomków wielkich rodów i nazwisk, znaleźliby się pełni poświęcenia kapłani, którzyby służyli na przemian za infirmarzy i kapelanów, stanęliby rzemieślnicy chrześcijańscy gotowi opuszczać narzędzia rolnicze, aby chwycić za miecz w obronie wolności i zbawienia bliźnich swoich, ku większej czci i sławie chrześcijańskiego imienia oraz własnej ich ojczyzny. „Pośród ogólnego dni naszych znikczemnienia, jakże ponętną jest sposobność dobrego i chwalebnego użytku własnego życia, i jedyna okazya zostawienia po sobie pamięci bohaterskiego poświęcenia, z którego zasługą stanąć można przed Panem“!

Dawni chrześcijanie uważali dzieło wykupu niewolników jako jedno z najskuteczniejszych czynników w pracy około zbawienia własnej duszy i zasługiwania sobie na wiekuiste nagrody. U nas tatarskie i tureckie najazdy przymnożyły liczbę podobnych ofiar, usiłowań i zapisów. Przodkowie nasi upatrywali w okupie niewolników najdzielniejszy środek zapewnienia sobie uczestnictwa w dziele Odkupienia. Zanim też miejscowe stosunki nie dostarczą odpowiednich środków dla utrzymywania podobnej milicyi, kardynał Lavigerie wyraża niepłonną nadzieję, iż znajdzie się dostateczna ofiarność grosza i krwi wśród społeczności chrześcijańskiej. Ale chcąc ubezpieczyć rozwój każdej dobrej sprawy, należy o niej rozpowszechnić wiadomości, nadać jej konieczny rozgłos, zainteresować do niej świat i ludzi. Kardynał Lavigerie nie do samych tylko słuchaczów Sulpicyańskiego kościoła grzmiącem i palącem przemówił słowem, a słowo to „w dobrej powiedziane chwili“, może istotnie, wedle wyroczni naszego poety, jak trąba Archanioła, ludzi i zdania ukształtować. Rzewna zaś prośba mówcy, umieszczona przy końcu jego wspaniałej konferencyi, zniewala prasę do zadośćuczynienia życzeniu dostojnego kardynała: „Jeżeli rozporządzacie silniejszym od mego głosem, jeżeli kierujecie publiczną opinią za pomocą osobnego czasopisma, zechciejcie tem skwapliwiej podać ucho na moje wołanie. Któż z was, panowie dziennikarze, w zawodzie tak delikatnym zarazem i doniosłym, nie popełnił kiedy omyłki lub błędu, z którego radby właśnie oczyścić sumienie? Do jakiegokolwiek należycie stronnictwa, do wszystkich was przemawiam,

którzy miłujecie ludzkość, wolność i sprawiedliwość, i zapewniam was, że miłosierdzie, które okażecie biednym Murzynom, popierając ich sprawę głosem waszym i pismem, zabezpieczy wam samym w dniu ostatecznym przebaczenie i zmiłowanie sprawiedliwego Sędziego"!

Jakże tu milczeć na podobne zaklęcia? Kardynał Lavigerie zobowiązał poniekąd całą prasę katolicką, całe dobrze myślące dziennikarstwo do powtórzenia słów swoich. Zamknął on je następnem przypomnieniem *z Dziejów Apostolskich:* „Czytamy w księgach świętych, iż gdy św. Paweł opowiadał Ewangelię w Azyi mniejszej, ujrzał we śnie Macedończyka, który stojąc na przeciwnym wybrzeżu, pokornie go błagał o pomoc: *Transiens... adjuva nos!* Tę to prośbę za mojem pośrednictwem dziś ku wam zanoszą niewolnicy Afryki. Chrześcijanie europejscy, zechciejcie przebyć morze, które was od nas rozdziela, i pospieszcie ku nam z ratunkiem! Św. Paweł przychylił się ku prośbie, którą we śnie usłyszał. Wyswobodził w Macedonii dusze jęczące w niewoli grzechu. Przybywajcie więc do krainy Murzynów, jedni z jałmużną, drudzy z osobistem poświęceniem, i chciejcie wyzwolić nareszcie te ludy siedzące w cieniach śmierci i smutniejszej jeszcze nocy niewolnictwa"!

Nawykliśmy wyrzekać na zawsze mętne i smętne czasy, na błędy i winy i spodlenie bieżącej epoki, i posuwamy to zwątpienie tak dalece, że nie widzimy dodatnich objawów, które nie przestają świadczyć, że złożone na dnie dusz iskry Boże nie zagasły, lecz raz po raz szlachetnym wybuchają płomieniem. Biedna, politycznie upadła Francya, dostarcza mianowicie ciągłych pocieszających i pokrzepiających przykładów. Słowa kardynała Lavigerie nie przebrzmiały tam bezowocnie, owszem wzbudziły już całe zastępy gotowych bohaterów. Do jego paryskiego mieszkania na Rue du Regard, 11, nie przestają płynąć ustawiczne i mnogie żądania wpisu do mającej się ukonstytuować zakonno-rycerskiej milicyi. Listy te, jak pisze kardynał, dobrze usposabiają dla naszej epoki zawartemi w sobie uczuciami. Pochodzą one z najróżniejszych stron i warstw społecznych. Pod jednymi błyszczą świetne historyczne nazwiska, pod innymi skromniejsze imiona chrześcijańskich robotników, lub dawnych żołnierzy, którzy pragną chwycić za oręż, aby służyć ludzkości, tak jak dotąd Francyi służyli. Szkoda, iż nie godzi się ogła-

szać drukiem tych poufnych odezw serc tchnących poświęceniem i rwących się do ofiary. Dowody, iż ów dobroczynny płomień zachował się w duszach chrześcijańskich, jest zadatkiem i rękojmią lepszej przyszłości. Ileż to charakterów do większych rzeczy sposobnych, marnieje, że nie mogą wydać z siebie nadmiaru ognia i bujnej żywotności! Zamiast te dary roztrwaniać płocho i bez celu, nadarza się sposobność szlachetnego ich zużytkowania, skierowania ich ku dobremu i wprzężeniu się w jarzmo ofiary osobistej, stokroć cenniejszej i korzystniejszej od datków i jałmużny grosza. Bywają usposobienia i charaktery, które nie godzą się z powszedniością codziennego obowiązku, a do wykolejenia się i wyjałowienia skore, giną często na manowcach, z braku szlachetnej, a nęcącej trudnością i mozołem okazyi. Każda społeczność ich miewa, nie domyślając się nieraz, iż w tych często marnotrawnych synach, tkwił może zaród na bohaterów, którymi zostać nie dało im życie. Otwiera się dziś nowe pole ofiary dla chrześcijańskiego świata, i lepsze tętna serc poruszyły się już na potężny głos dzielnego następcy św. Augustyna. Dziś jego imię na wszystkich ustach, prasa wszechświata powtarza jego słowa, zamieszcza wizerunki, a pędzel Bonnata wspaniałym portretem dzielną postać szermierza wolności Murzynów unieśmiertelnia. Nie omieszkamy naszych czytelników poznajomić z dalszym tej sprawy przebiegiem, chwytając pilnie odgłosy dziwnej w naszem chłodnem i wystudzonem stuleciu krucyaty.

M.

KARDYNAŁ JAN CHRZCICIEL FRANZELIN[1],

I JEGO ZNACZENIE W KATOLICKIEJ NAUCE.

II.

W poprzednim artykule starałem się w krótkich rysach przedstawić ś. p. kardynała Franzelina takim, jakim go znałem w ciągu 9-letniego z nim przestawania i w późniejszych, jakie z nim miałem stosunkach. Obecnie pragnę również w krótkich zarysach przedstawić jego działalność i znaczenie na polu umiejętności teologicznej. Nie zamierzam bynajmniej podawać treści jego dzieł[2], również nie czuję się ani powołanym, ani zdolnym być ich sędzią; pozostawiam to godniejszemu ode mnie krytykowi: niech sąduje głębokość i obszar prac Franzelina, niech wykazuje z jednej strony ich doskonałość, a z drugiej wykrywa braki i błędy, od których żadne ludzkie dzieło nie jest wolne; ja przedsięwziąłem tylko wykazać niektóre właściwości i charakterystyczne cechy jego kierunku

[1] Patrz *Przegl. powsz.* t. XVIII. str. 341.

[2] Drukiem ogłoszone dzieła Franzelina są następujące: *De Deo trino secundum personas.* Editio tertia. Romae 1881 in 8°. — *De Verbo incarnato.* Editio tertia. Romae 1881 in 8°. — *De Deo uno secundum naturam.* Editio tertia ab auctore iterum emendata. Romae 1883 in 8°. — *De divina Traditione et Scriptura.* Editio tertia. Romae 1882 in 8°. — *De Sacramentis in genere.* Editio tertia. Romae 1878 in 8°. — *De SS. Eucharistiae Sacramento et Sacrificio.* Editio quarta. Romae 1887 in 8°. — *Examen doctrinae* Macarii Bułgakow episcopi russi schismatici & Josephi Langen neoprotestantis bonnensis de processione Spiritus Sancti, Paralipomenon Tractatus de SS. Trinitate. Romae 1876 in 8°. — *Theses de Ecclesia.*

teologicznego, który tak się różni od wszystkich współczesnych, a pod wielu względami je przewyższa. Sądzę, że 30 lat ciągłego zajmowania się teologią w ogóle, a systemem Franzelina w szczególności, dają mi zupełną możność dobrze odpowiedzieć przedsięwziętemu zadaniu.

Uważam, iż właściwości te zawierają się w trzech punktach:

1) W sposobie traktowania nauki objawionej;
2) W systematycznem przedstawieniu tejże;
3) W genialnem pojmowaniu dogmatów.

Sposób traktowania teologii dogmatycznej może być trojaki: jednym doktorom chodzi o to, by ze źródeł Objawienia wyczerpać wszystkie, a przynajmniej względnie wszystkie prawdy wiary czyli dogmata, i zarazem dowieść, że się one istotnie w tych źródłach zawierają, jednem słowem ustalić i stwierdzić depozyt wiary *(depositum fidei)*. Tak czyni teologia pozytywna. Teologia spekulatywna przeciwnie, nie tyle stara się wykazywać co trzeba wierzyć, jak raczej usiłuje głębiej sięgnąć w rozumienie prawd wiary, i oznaczyć dokładnie ich myśl i znaczenie; a zarazem przedstawić wzajemny stosunek do siebie tychże prawd, zawisłości jednej od drugiej, i związek ich między sobą; usiłuje prawdy objawione porównywać z prawdami, które nie Objawienie, ale naturalne władze poznawcze nam podają; dalej wykazać jasno podobieństwa i różnice między dwoma tymi szeregami prawd; i nareszcie wyprowadzić stąd wnioski, czyli podać te prawdy, które choć same nie są objawione, ale z objawionych logicznie wynikają. Trzeci sposób traktowania Objawienia jest t. zw. teologia polemiczna. Ma ona za przedmiot obronę prawd wiary przed napaściami tych, co albo nie przyznają zupełnie boskiego Objawienia, albo też prawdziwą myśl prawd objawionych przekręcają lub przekształcają.

Te trzy kierunki powinnyby właściwie w nauce wiary iść równolegle i być współrzędnemi, i tego też trzymali się tak ojcowie Kościoła pierwszych wieków, jak i późniejsi doktorowie aż do naszych czasów. A mianowicie najprzód dowodzili oni prawdziwości, następnie roztrząsali znaczenie dogmatów, a w końcu rozwiązywali nasuwające się wątpliwości. Skądinąd, rzecz prosta, że w niektórych czasach i przez niektórych autorów jeden sposób wy-

datniej był uprawiany, niż drugi. Łatwo się o tem przekonać, przeglądając choć pobieżnie literaturę teologiczną ostatnich kilku stuleci. Scholastycy wieków średnich zadowalniają się po większej części dość krótkimi dowodami co do rzeczywistości Objawienia, ale za to większej pilności dokładają w zgłębianiu objawionych dogmatów. Po zjawieniu się protestantyzmu, znalazło się znów mnóstwo teologów, którzy głównie mieli na celu polemikę przeciw nowej błędnej nauce. W nowszych czasach teologia pozytywna wzięła przewagę, może nawet ze szkodą kierunku spekulatywnego, czyli zgłębiającego dogmata. Charakterystycznem w wykładach Franzelina jest: że on żadnemu z tych trzech sposobów nie dawał pierwszeństwa, lecz wszystkie łączył z sobą w właściwym stosunku. Taki sąd o Franzelinie wydał ś. p. kardynał Reisach, którego wysokie wykształcenie i głęboka erudycya najzupełniej uzdalniały do poznania i ocenienia uczonych prac Franzelina. Powiada on mianowicie: „Franzelin umiał doskonale obadwa czynniki: affirmujący i badawczy we właściwym stosunku połączyć; bez uszczerbku pozytywności, głęboko wnika w istotę dogmatów“ [1].

Franzelin nie rozumiał wcale teologii bez gruntownego i głębokiego badania; według niego samo tylko konstatujące zestawienie prawd wiary prawie nie zasługiwałoby na nazwę n a u k i wiary. Aby więc tę nazwę usprawiedliwić, nie może teologia poprzestawać na prostem tylko zsumowaniu prawd wiary i na wykazaniu, iż się w Piśmie św. i nieprzerwanej tradycyi Kościoła zawierają; powinna ona nadto zbadać głębsze ich znaczenie, określić dokładnie ich ścisły związek między sobą i wzajemną zawisłość, a przez to ukazać gmach wiary w całej jego harmonijnej i organicznej piękności. Jestto plan wykładu, który Franzelin sam sobie zakreślił [2] i który z niezmienną konsekwencyą wykonywał.

Zakres, jaki Franzelin każdemu z tych kierunków nadawał, nie wypływa bynajmniej z indywidualnego jego upodobania w jednym albo w drugim, lecz wynika z natury rzeczy, tj. z wymagania samych pojedyńczych prawd wiary. Gdy idzie o dowiedzenie

---

[1] *Arenhold.* Vorzüge der dogmatischen Traktate Franzelin. Pag. 16. Fulda.

[2] Cf. De Deo Uno. Pag. 13. — De Traditione, Prolegomenon Pag. 3.

samego faktu objawienia jakiejś pojedyńczej prawdy, bądźto że w skutek poprzednich herezyj został w wątpliwość podany, bądź że w nowszych czasach go zaciemniono, wtedy kierunek pozytywny w całej pełni wychodzi u Franzelina na scenę, z całym aparatem dowodów, z niezwyciężoną dyalektyką i krytyczną przenikliwością; wtedy Franzelin przemienia się w teologa pozytywnego, posiadającego niezwykłą znajomość całej literatury i wiedzy teologicznej, tak dawnych jak i nowych czasów, który pisma ojców Kościoła i teologów nietylko sam czytał, lecz też autentyczność ich krytycznie zbadał, a treść na wszystkie strony roztrząsnął. Jakież to np. bogactwo erudycyi zawiera się w dowodzie, że Chrystus jest Bogiem, albo, że tradycya Kościoła jest jednem ze źródeł wiary!

Gdy znów chodzi o głębsze zrozumienie jakiejś prawdy objawionej, z powodu że ją nie zawsze właściwie przedstawiano, gdyż zdania o niej są podzielone nawet w obrębie katolickiej nauki, a stąd pewne wątpliwości zaciemniają jej pojmowanie — wtenczas Franzelin znajduje się przedewszystkiem w swoim żywiole: wspaniałą swoją spekulacyą zapuszcza się w dogmatyczne głębiny, najważniejsze pojęcia wyjaśnia z nadzwyczajną bystrością i stanowczością nie tracąc z oczu ich wzajemnego stosunku i związku z sobą, a to wszystko tak gruntownie, a zarazem krótko i jędrnie, jak żaden może inny autor. Traktat *de Deo Uno secundum naturam* jest najwspanialszem i jedynem w swoim rodzaju metafizycznem studyum; również wysoką spekulatywnością odznaczają się kwestye o hipostatycznej jedności dwóch natur w Chrystusie Panu, o dzielności Sakramentów, o obecności Chrystusa Pana w Przenajświętszym Sakramencie, o istocie Mszy św. i t. d.

Co się tyczy polemiki teologicznej to Franzelin nigdy nie był polemizatorem z profesyi; gdy jednak zachodzi tego potrzeba, potrafi i w tym rodzaju być prawdziwie znakomitym. Nie polemizuje on nigdy dla tego, aby utrzymać swoje zdanie, lecz jedynie, aby wyjaśnić katolicką prawdę, utrzymać jej prawdziwe znaczenie, lub dowieść faktu jej istnienia. Robiono mu niekiedy zarzut, że walczy przeciw nieprzyjaciołom, których już dawno niema jak np. przeciw Nestoryuszowi, „przeciw któremu podjął tak zaciętą walkę i tym sposobem zmarnował tyle siły i zapału godnych lepszej i ważniejszej sprawy“. Lecz jeśli wglądniemy w treść tez o Nesto-

ryuszu, a nie zadowolnimy się samemi ich tytułami, to łatwo zrozumiemy, że Franzelinowi nie o to bynajmniej chodziło, aby Nestoryusza zbijać, ale żeby na tle heretyckiej nauki Nestoryusza przedstawić w całej prawdzie naukę katolicką. Niekiedy znów nadaje swojemu wykładowi tylko pewien koloryt polemiczny. W każdem bowiem twierdzeniu dogmatycznem trzeba przedewszystkiem odeprzeć przeciwny mu fałsz; dlatego to w samem wyjaśnieniu katolickiej doktryny podnosi Franzelin ze szczególnem naciskiem i starannością punkta potrzebne do zbicia błędnej nauki przeciwnej. Tak np. w traktacie o Wcieleniu Słowa *(de Verbo Incarnato)* owo badanie trzech pojęć: istoty, natury i osoby, któreby się mogło zdawać zbyt rozwlekłem, ma na celu zwalczenie błędnej nauki filozoficzno-teologicznej szkoły nowszych czasów, która przypuszczając dwie osoby w Chrystusie Panu, łączy je tylko w dynamiczną jedność.

Zwyczajnie polemika zajmuje u Franzelina bardzo skromne miejsce — na końcu tezy. Tam bowiem wyprowadzając odpowiednie wnioski z dowiedzionego twierdzenia, i wymieniając przeciwne im błędy dogmatyczne, tem samem zbija je dostatecznie.

Polemika w ogólności nie jest głównem zadaniem Franzelina, i dlatego nigdy się do niej nie bierze, jeśli chodzi o jakieś tylko małe różnice w pojmowaniu rzeczy. Gdy jednak te różnice potrzebne są do wyjaśnienia i obrony prawdy, wtedy prowadzi on ją z wielką zręcznością dyalektyczną, a nadto zarzuca przeciwnika takiem mnóstwem dowodów, że ten, choćby był w największym zapale, nic nie może odpowiedzieć. — Tyle o wzajemnym stosunku i granicach owych trzech kierunków teologicznych, jakie znachodzimy w dziełach dogmatycznych Franzelina.

Aby jednak właściwości jego lepiej poznać, zastanówmy się bliżej, jak się wywiązuje ze swego potrójnego zadania.

O ile jest teologiem pozytywnym, ma obowiązek udowodnić prawdy wiary ze źródeł Objawienia. Źródłami temi są: Pismo św. i słowo Boże przekazane nam przez nieprzerwaną tradycyę Kościoła.

Jakże więc Franzelin używa Pisma św.? Trudno znaleść teologa, któryby dzielniej i umiejętniej niem się posługiwał. Przywodząc jakieś miejsce z Biblii, jako odrębny i bezpośredni dowód pewnej prawdy wiary, bynajmniej nie poprzestaje on na prostem zacytowaniu tegoż, ale zarazem odsłania w niem z niezrównaną prze-

nikliwością całą ukrytą siłę ku dowiedzeniu prawdy, o którą chodzi, przekonywując jednocześnie rozum, iż prawda ta rzeczywiście w danym tekście jest zawarta. Jakże np. nieprzepartą siłę wywiera on na umysł w dowodzeniu obecności Chrystusa Pana w Najświętszym Sakramencie z obietnicy tegoż u św. Jana w r. VI [1]. Albo jak pięknie, i że tak powiem nadspodziewanie, z rozbioru słów, któremi Chrystus Pan ustanowił Najśw. Sakrament, wyprowadza z jednej strony dowód stwierdzający rzeczywistą obecność i dogmat przeistoczenia, z drugiej zaś rzuca jasne światło na istotę bezkrwawej ofiary nowego Zakonu [2].

Znakomicie też tłumaczy tekst listu św. Pawła do Tymoteusza (I. Tim. II. 1—6), z którego niezaprzeczenie wynika, że Bóg chce szczęścia wszystkich ludzi; trudności zaś i zarzuty przeciwników jasno i dobitnie rozwiązuje [3]. Równie godnem podziwienia jest wyjaśnienie słów Chrystusa Pana przywodzącego psalm 81 („Jam rzekł: jesteście Bogowie“) i dowodzącego zeń swego bóstwa i współjedności z Ojcem a odpierającego napaści Faryzeuszów [4].

Pismo św. nie jest bynajmniej systematycznym wykładem wszystkich prawd wiary, i dlatego wiele z nich są tylko z lekka napomknięte, gdyż natchnieni od Boga pisarze ksiąg świętych wiedzieli, że nie same te księgi są jedynem źródłem prawdy objawionej, ale że jest drugie, niepisane źródło. Otóż umysł mający dość pokory, aby prócz prawd naturalnych uznawać i objawione, widzi te ostatnie w Piśmie św. zawarte, choć teksty same przez się i w oderwaniu od całości uważane nie mają w sobie dokładnych tychże prawd określeń. Często jednak się zdarza, iż kilka tekstów razem wziętych, przez to, że się wzajemnie objaśniają i uzupełniają, wypowiadają jakąś prawdę dokładnie i całkowicie. Otóż Franzelin jest mistrzem w tem odgadywaniu całości z jej odłamów; w podobny zupełnie sposób jak uczony paleolog z kilku znalezionych kości z łatwością odgaduje, czy do tego, lub owego należały zwierzęcia. Cała pierwsza część traktatu o Wcieleniu *(de Verbo Incarnato)*

[1] De Eucharistia th. III.
[2] Ibid th. V, XI, XV.
[3] De Deo Uno th. XLIX.
[4] De Verbo Incarnato th. III n. 1, cf. de Trinitate th. III. n. 2.

jest taką pyszną tkaniną z słów Pisma św. wzajemnie się wspomagających, i roztaczających tym sposobem przed zdumionym umysłem czytelnika piękną całość bożej prawdy [1]. Mianowicie zbiera tu Franzelin w jedną całość wszystkie epitety, jakie Pismo św. Chrystusowi czyli Mesyaszowi nadaje, a z nich, pod jego dzielnem rozumowaniem, powstaje jedno orzeczenie: „Chrystus jest Bogiem i Synem Boga". Szczególnie zaś zwracają na siebie uwagę Franzelina dwa predykaty: *Syn Boży* i *Słowo* (λόγος), które się dziwnie a tak harmonijnie dopełniają i składają na prawdziwe pojęcie o drugiej Osobie Trójcy Przenajświętszej [2].

Częstokroć posługuje się Franzelin dla udowodnienia prawdy nietylko pojedyńczemi tekstami Pisma św., lecz także całymi rozdziałami a nawet całymi listami, które doskonale i odpowiednio do swego celu objaśnia. Tak np. kapłaństwo Chrystusowe i Jego Ofiarę na krzyżu świetnie wywodzi z listu do Żydów [3]. Z pierwszego rozdziału tegoż listu jak również z Ewangelii św. Jana, a szczególnie z jej początku, buduje znakomity dowód bóstwa Chrystusa Pana [4].

Dziewiąty rozdział listu do Rzymian najprzód wyjaśnia Franzelin za pomocą związku jego z całym listem, a następnie rozbiera dokładnie jego treść, a to wszystko w tym celu, aby dowieść, iż przeznaczenie, wskutek przewidzianych zasług *(praedestinatio post praevisa merita)* jest prawdą objawioną [5].

Na tych kilku próbkach pozytywnych dowodzeń z Pisma św. musimy poprzestać, gdyż szczupłość ram artykułu przeglądowego nie dozwala nam dłużej w tym względzie się rozwodzić. Jednego wszakże pominąć nie możemy tj. że dokładna, jaką Franzelin posiada znajomość języków: greckiego i wschodnich, w których Pismo św. w Kościele bywa czytane, daje mu szczególną możność i łatwość uwydatniania pewnych tekstów Pisma św., które tylko w oryginalnym języku, lub jakim starożytnym przekładzie posiadają owe ukryte perły prawdy Bożej, czyli prawdziwą myśl Pisma św.

---

[1] De Verbo incarnato th. II—X.
[2] De Trinitate th. XXXII.
[3] De Verbo incarnato sect. 4.
[4] Ibid. th. IV.
[5] De Deo Uno th. LXV.

Bo jakże to często się zdarza, że jeden język nie może wyrazić tego, co drugiemu wypowiedzieć najłatwiej.

Mimo tej wysokiej umiejętności i erudycyi co do Pisma św. nie traktuje go jednak bynajmniej Franzelin sucho. Owszem, znać wszędzie, iż jest względem niego przejęty dziecięcą prawdziwie pobożnością, zachwyca się jego pięknością, a zarazem prostotą i głębią, i czuć, że te same uczucia chciałby przelać w czytelnika, a także otoczyć niemi prawdy, którym to Pismo Boże daje świadectwo.

Lecz, jakeśmy powiedzieli wyżej, pozytywny teolog musi mieć wzgląd i na drugie źródło Bożego Objawienia, i z niego także swoje dowody prawd naszej świętej wiary czerpać, tj. na tradycyę Kościoła. Jakże więc Franzelin obchodzi się z tem źródłem?

Wszyscy jednozgodnie mu przyznają, że dowody z tradycyi podaje z rzadką treściwością i obfitością. I nic dziwnego. Kto zna zasady, na jakich się kardynał Franzelin sam w traktacie o Podaniu *(de Traditione)* opiera, temu się to wyda zupełnie naturalnem. Nie samo bowiem Pismo św. jest jedynym, a choćby tylko głównym skarbcem prawd wiary; jest nim zarówno i żywe nauczycielstwo. Nauczycielstwo to składa się z nieprzerwanego od czasów apostolskich szeregu powoływanych na to stróżów skarbu wiary *(depositum fidei)*, i stanowi zarazem założony przez Chrystusa urząd, który po wszystkie czasy ma prawdę objawioną w jej całej rozciągłości i w jedynie prawdziwem rozumieniu światu podawać. O każdej prawdzie, o której sądzimy, że ją Bóg objawił, u tego urzędu powinniśmy się dowiadywać. Na jego zapewnieniu sama nawet powaga czyli autentyczność Pisma św. się opiera. Tej to instytucyi boskiego posłannictwa i władzy nieomylnego nauczania w rzeczach wiary i obyczajów dowodzi Franzelin, a dowodzi opierając się jedynie na historyi i rozumowaniu, tudzież na fakcie słów Chrystusa Pana i Jego Apostołów, dowodzi tak gruntownie i nieprzeparcie, że i najzagorzalsi racyonaliści, jeśliby tylko racyonalnymi być chcieli, zgodzić się z nim muszą [1]. I tak, przez obszerne i znakomite badanie historyczne pierwszych wieków Kościoła wykazuje najprzód, jaką powagę miały zawsze faktyczne orzeczenia tej instytucyi [2]. Świadkami nad wszel-

[1] De divina Traditione th. II—VII.
[2] Ibid. th. VIII—X.

kie podejrzenie wyższymi, którzy o tem autentycznem magisteryum świadczyli, są Ojcowie Kościoła, te jasne pochodnie przez Opatrzność, nad tymże Kościołem czuwającą, zapalone, aby rozszerzały i utrzymywały dobroczynne światło wiary. Pisma ich są niewzruszonymi pomnikami i świadectwami tego, w co Kościół począwszy od najpierwszych lat swego istnienia jako w Boskie prawdy wierzył. Jakże więc te świadectwa musiał Franzelin cenić i jak je znać (a jest ich w wydaniu Migne'a do 500 tomów *in folio*), aby je tak zużytkować. Sądzę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że nie było i nie ma w naszym wieku drugiego teologa, któryby dowody z tradycyi, (zwłaszcza gdy nie ma odpowiednich z Pisma św.) równie logicznie, konsekwentnie i przekonywająco przeprowadzał jak Franzelin.

Pomimo że Franzelin, przytaczając cytaty z Ojców Kościoła, musiał się ograniczać do ram książek szkolnych, któreby mogły służyć jako podręczniki do jego wykładów, to przecież występuje u niego bardzo często znaczna ich liczba. Jednak nie gromadzi on tekstów patrystycznych bez potrzeby, ale tylko tam, gdzie ważność rzeczy tego wymaga, lub gdy ciągłość i jednostajność nauki Ojców Kościoła została przez jakiego teologa zakwestyonowaną i zaciemnioną. Wtenczas powołuje Franzelin nieraz i wszystkich Ojców, którzy o pewnym punkcie pisali, na świadków zamglonej prawdy; tak np. przytacza 40 Ojców i pisarzy Kościoła, aby udowodnić, że słowa św Pawła: *qui est supra omnia Deus benedictus in saecula*[1], zawsze były w Kościele o Chrystusie Panu rozumiane[2].

Powierzchowny rzut oka na dzieła Franzelina wystarcza, aby poznać z samych cudzysłowów ogromne bogactwo cytatów z Ojców Kościoła, które przywodzi dla udowodnienia, że Kościół uważał zawsze pewną jakąś naukę za prawdziwą, przez Boga objawioną. Co zaś w tem bogactwie najwięcej zadziwia, to że nie są to bynajmniej kompilacye i cytaty wzięte z drugiej ręki, lecz przez niego samego z pierwszego źródła tj. z autentycznych pism Ojców Kościoła zaczerpnięte i najstaranniej zbadane. Lecz nie tylko to materyalne bogactwo świadectw Ojców Kościoła jest wielką zasługą

[1] Rom. IX. 5.
[2] De Verbo Incarnato t. IX.

Franzelina, większą daleko stanowi owo głębokie wniknięcie w myśl Ojców, owa roztropność, z jaką bada wszelkie okoliczności, w których te świadectwa Ojców były pisane, aby w ten sposób odkryć prawdziwe i właściwe ich znaczenie. Widzimy to przedewszystkiem wtenczas, gdy który Ojciec Kościoła był przez współczesnych podejrzywany o zboczenie w pewnym punkcie wiary, lub o niewierność katolickim zasadom. Z jaką to np. czcią i gorliwością broni Franzelin Ojców soboru nicejskiego i ich następców od zarzutu niektórych protestantów, jakoby nie uznawali jedności liczebnej w trójosobowym Bogu[1]. To znów bierze w obronę poprzedników tychże Ojców nicejskich przeciw podejrzeniu niektórych teologów mniemających, że ci Ojcowie wespół z różnością trzech osób i różność natur w Bóstwie uznawali[2]. Podobnie dowodzi przeciw protestantom zgodności Ojców przednicejskich z późniejszymi. Protestanci bowiem zarzucają, iż przednicejscy Ojcowie udowadniali dogmat katolicki jedynie historycznemi świadectwami, tj. że tenże od Apostołów pochodzi; drudzy zaś czyli ponicejscy mieli się tylko na powagę swego urzędu nauczycielskiego w swoich dowodach powoływać[3]. Z wielkim zapałem i szacunkiem odsłania Franzelin prawdziwą myśl tych Ojców i wykazuje, że była zupełnie prawowierną nawet tam, gdzie od powszechnej nauki Kościoła na pierwszy rzut oka zdawałaby się zbaczać. Tak samo, bardzo trudne miejsca Ojców Kościoła odnoszące się do tajemnicy Trójcy św., nadzwyczaj stanowczo i jasno wykłada[4]. Udowadnia, że mniemanie, jakoby niektórzy Ojcowie mieli pewne wątpliwości co do rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Przenajśw. Sakramencie i co do przeistoczenia, są całkowicie nieuzasadnione[5]; rozwiązuje czerpane z Ojców tak pozytywne jak negatywne trudności co do liczby siedmiu Sakramentów[6]. A dowody jego tak wiele i tak

---

[1] De Trinitate th. IX.
[2] Tamże th. X.
[3] De Traditione th. X.
[4] De Trinitate th. XI.
[5] De Eucharistia th. VIII et XIV.
[6] De Sacramentis th. XIV et XX.

jasnego rzucają światła, że każdy umysł, jeśli się tylko w uprzedzeniu nie zasklepia, musi się na nie zgodzić.

Zupełnie też inaczej niż wielu teologów korzysta Franzelin z cytat Ojców, mianowicie nie szablonowo i zawsze w ten sam sposób, ale odpowiednio do specyalnych wymagań danej kwestyi. I tak, jeśli chodzi o wykazanie powszechności jakiejś nauki, tak co do czasu, jak krajów, wtenczas przywodzi świadectwa Ojców w porządku chronologicznym [1]. Innym razem wykazuje najprzód, że pewna nauka w późniejszym czasie była powszechną, a potem dopiero przedstawia, że i dawniejsze czasy tej samej nauki się trzymały, choć może nie z tą samą jasnością i dokładnością ją wykładano, a to znów dla tego, że wówczas jeszcze żadna przeciwna herezya wiernym owej prawdy nie wydzierała [2]. To znów zbiera w pewne grupy wyrażenia, a raczej, że tak powiem, wyrocznie Ojców o jakiejś prawdzie i tym sposobem świadectwo całej kościelnej starożytności stawia przed oczy [3]. W kwestyi co do liczby Sakramentów wybornie posługuje się dowodem wziętym z przedawnienia *(argumentum praescriptionis)* [4]; w innych kwestyach, jak np. o istnieniu Boga analizuje bardzo dokładnie naukę jednego lub kilku Ojców Kościoła, a następnie przytacza już w krótkości wielu innych Ojców, którzy to samo twierdzili [5].

Jeśli nauka Kościoła jest tak jasną, że nie zachodzą żadne szczególne trudności, albo jeśli dowód z Pisma św. jest tak oczywisty i pewny, że niepodobna doń nic z nauki Ojców dodać, albo jeśli pewna prawda sama w sobie nie jest pierwszorzędnego znaczenia, wtenczas dając główny dowód z Pisma św. kilku tylko Ojców przytacza w tym celu, aby było widocznem, że prawda ta w Piśmie św. zawarta, zawsze w Kościele była uznawana [6].

Z tego wszystkiego widzimy, że Franzelin zadanie teologa pozytywnego spełnia z dokładnością, jaką w dziełach dla szkoły przeznaczonych rzadko można znaleść. Wielkie mnóstwo dowodów,

---

[1] De Eucharistia th. X.
[2] De charact. Sacram. de Sacr. th. XII. — De Eucharistia th. XIV.
[3] De Sacrif. Eucharistiae th. IX.
[4] De Sacram. in genere th. XVIII.
[5] De Deo Uno th. VI.
[6] Cf. De Verbo Incarnato th. X, XII, XIV, XV.

czyli materyalne ich nagromadzenie, a zarazem niezmierna siła przekonywająca tychże wyprowadzona na jaw przez głębokie wniknięcie w ich treść, są charakterystycznymi rysami pozytywnego kierunku w teologii Franzelina.

Zapytajmy dalej, na czem polega właściwość spekulatywnego badania Franzelina?

Nie ma wątpliwości, że i w tym kierunku ogromne położył zasługi. Krótki nekrolog Franzelina umieszczony w *Literarischer Handweiser*[1] odnosi główną wartość prac Franzelina do pozytywnego jego kierunku, niemniej jednak i spekulatywną jego teologiczną działalność uwydatnia: „lecz i w teoretycznym kierunku okazał uczony Jezuita niemniejszą przenikliwość i głębokość umysłu, i stąd to umiał on wspaniałą piękność dogmatu przedstawiać nieraz w sposób porywający umysł i serce. Mógłby on w tym kierunku bez wątpienia jeszcze więcej zdziałać, gdyby mu nie przeszkadzała Wolffiniańska filozofia Storchenau'a, w której był wychowany i z której z wielką trudnością w późniejszym czasie musiał sobie torować drogę do filozofii i teologii spekulatywnej scholastycznej". Pochwała ta niepodejrzanego krytyka słusznie się Franzelinowi należy. Ale błędnem jest mniemanie, jakoby Wolffinianizm tak stanowczy wpływ mógł wywrzeć na cały jego naukowy kierunek. Kto zna historyę filozofii i jej stan w drugiej połowie naszego wieku, ten łatwo zrozumie, że o kształceniu się Franzelina na podstawie filozofii Wolffiniańskiej nie może być i mowy. Zresztą dość jasno to się pokazuje z dzieł samego Franzelina; gdyby był wykształcony na tej filozofii, i dopiero z trudnością torował sobie drogę do katolickiej scholastyki, to musiałyby się przecież odzywać przynajmniej jakieś oddźwięki tego wykształcenia, a zwłaszcza w początkowych pracach; możnaby było w nich spostrzedz jakiś przełom od Wolffinianizmu do scholastyki, musiałyby się zwłaszcza znajdować pewne filozoficzne zwroty i sposoby mówienia, które tylko za pomocą Wolffa lub ucznia jego Storchenau'a możnaby sobie wytłumaczyć. Tymczasem nic podobnego nigdzie nie spotykamy, wszędzie tylko widać doskonałą znajomość tak starej jak i nowej scholastyki.

---

[1] Münster 1887 Nr. 11.

Spekulatywność Franzelina jest przedewszystkiem głęboko katolicka, i wcale się nie zbliża do kierunku racyonalistycznego, który tak jaskrawo występuje u niektórych teologów naszych czasów. Nie wnosi on do teologii gotowych już pojęć filozoficznych, aby podług nich dopiero modelować dogmata. Ileż to szkód sprawił taki racyonalistyczny sposób postępowania w teologii! Franzelin urabia i czerpie pojęcia dogmatyczne na wzorach i ze źródeł samej wiary, analogiczne zaś do nich pojęcia rozumowe czyli filozoficzne uzupełnia i poprawia według danych z objawienia wziętych, i tym sposobem po mistrzowsku wytwarza pojęcia pełne, odpowiadające obu porządkom, tak przyrodzonemu jak i nadprzyrodzonemu. Znakomitym wzorem pod tym względem jest jego badanie różnicy między pojęciem natury konkretnej a pojęciem osoby [1].

Także treść i znaczenie dogmatu bierze Franzelin jedynie z tychże źródeł Objawienia, tak że śmiało można powiedzieć, iż wszystkie promienie światła, jakie tak Pismo św. jak i rozumowania Ojców Kościoła nad prawdami wiary, na też prawdy rzucają, koncentruje on jakoby w ognisku soczewki na danym dogmacie, i wtenczas dopiero naukowe jego tłumaczenie podaje [2].

Prócz tej cechy znajdujemy w spekulatywności Franzelina inną jeszcze nie mniej wybitną — jest on niezmiernie g ł ę b o k i i w równym stopniu w z n i o s ł y.

Głęboki, bo sięga, zdaje się, do samego dna prawdy. Przypatrzmy się tylko jego nauce o skuteczności Sakramentów tak starego jak i nowego Zakonu. Skuteczność tę wyprowadza Franzelin z istoty samych tych dwóch testamentów, a z istoty znów Sakramentu motywuje potrzebę wewnętrznej intencyi w udzielającym [3].

Rzeczy bliskie sobie z powodu podobieństwa pojęć odróżnia i odgranicza wyraźnemi liniami, skąd nie tylko zrozumienie dogmatów staje się łatwem, ale i właściwe i ścisłe ich wyrażanie możliwem. Dość jest przeczytać co mówi o przyczynie pierwszo- i drugorzędnej *(causa principalis et instrumentalis)*, fizycznej i moralnej *(physica et moralis)*, aby módz rozwiązać trudną kwestyę o Sa-

[1] Tract. de Verbo Incarnato.
[2] Cf. Tract. de Sacram. in genere.
[3] Th. XVI, XVII.

kramentach nowego zakonu jako źródłach łaski [1]. Podobnie głębokie są rozprawy o istocie i skutkach piętna, jakie niektóre Sakramenta na duszy przyjmującego wyrażają [2].

Cały wykład o Eucharystyi, czy to w znaczeniu Sakramentu, czy też Ofiary — jest jednym z najgłębszych studyów w dziedzinie teologii, w obec którego i najsubtelniejszy racyonalizm broń złożyć musi, mimo że jest to tajemnica tak bardzo dla rozumu niedościgła. Podstawy, na których Franzelin całe swoje wysokie rozumowanie opiera, są to najprostsze i najoczywistsze pewniki dyalektyczne. Tak np. aby udowodnić rzeczywistość Przeistoczenia ze słów Chrystusowych, bierze Franzelin jako fundament prawdę wszystkim, którzy się logiki uczyli, dobrze znaną o suppozycyi terminów, i stosownie do tego rozróżnia w znaczeniu zaimka „to“ *(hoc)* objektywną jego suppozycyę; zaczem sens całego zdania jest: „przedmiot, który ja tu w ręku trzymam, a który był chlebem, i według swej zewnętrznej postaci jeszcze nim jest — jest mojem Ciałem“ [3]. Również niezmiernie głęboki a przecież jasny jest wykład tej tajemnicy co do obecności Chrystusa Pana w każdej cząstce postaci; jasny, mówię, mimo wszelkie trudności, jakie natura i zmysły przeciw tej prawdzie podnoszą [4]. Głęboko też obmyślany jest znakomity wykład o ofierze, mianowicie gdy roztrząsa pytanie, co stanowi jej istotę, i jakie czynniki się składają na to pojęcie [5].

Zadalekoby nas zaprowadziło dalsze przytaczanie wybitnych przykładów głębokości umysłu Franzelina. Czas już coś powiedzieć i o wspomnianej przez nas jego wzniosłości.

Wzniosłem niezawodnie należy nazwać badanie naukowe, które najwyższe prawdy w najwyższy też i najszlachetniejszy sposób traktuje, które tajemnic wiary nie zniża do poziomu ludzkiego myślenia, lecz przeciwnie, ludzkie pojęcia podnosi i zbliża do Bożych, i tym sposobem przedstawia umysłowi czytelnika całą tych tajemnic wspaniałość i doniosłość, o ile naturalnie można tego dokazać pojęciami analogicznemi, gdyż innych tj. homologicznych o tych przedmio-

[1] De Sacramentis th. II, IX, X i XI.
[2] Th. XIII.
[3] De Eucharistia th. VI.
[4] De Eucharistia th. XI.
[5] De Sacr. fine th. II.

tach, w tem życiu mieć nie możemy. Wzniosłem dalej jest badanie, które ludzkie pojęcia oczyszcza od tak często połączonych z niemi ziemskich niedoskonałości, i w ten sposób czyni je sposobnemi, jeśli nie do wpatrywania się w Bóstwo, to przynajmniej do prawidłowego o Niem myślenia. Otóż temi przymiotami w wysokim stopniu odznacza się spekulatywność Franzelina, czyli jest ona w całem znaczeniu wzniosłą. Wzniosłymi zwłaszcza są traktaty: „O Bogu Jednym“, (*De Deo Uno*), „O Trójcy“ (*De Deo trino*), „O Kościele“ (*De Ecclesia*).

Z pierwszego z wymienionych traktatów, tezy: „o prawdzie, dobroci i piękności Boga“, tudzież „o świetle chwały“ *(de lumine gloriae)*, „o obszarze i natężeniu widzenia błogosławionego“ *(de extensione et intensione visionis beatificae)* odznaczają się szczególnie dziwną wzniosłością myśli i wyrażenia, nie tracąc przytem nic na jasności i ścisłości naukowej.

W drugim traktacie, o tajemnicy Trójcy Przenajświętszej wznosi się Franzelin prawdziwie do niedościgłych dla zwykłych rozumów wysokości, i to często przy wykładzie pojęć, które u innych autorów zwykle bardzo jałowo bywają objaśniane. Takiem jest np. tak zwana *circuminsessio* czyli wzajemne przemieszkiwanie w sobie osób Trójcy Przenajśw. (περιχορησις). Lub jakże wzniośle godzi on zupełną równość tychże Osób między sobą z ich rzeczywistemi względem siebie różnościami. Na szczególną też pochwałę zasługuje roztrząśnienie kwestyi pochodzenia *(processio)* w tejże samej tajemnicy Trójcy Przenajśw., mianowicie dlaczego druga Osoba rodzi się z pierwszej jako Syn, a trzecia od pierwszej i drugiej pochodzi jako Duch św.

Co tylko stara scholastyka miała w sobie wzniosłego, to wszystko znajdujemy u Franzelina zebrane i najumiejętniej obrobione.

Na wyższą jeszcze, jeśli podobna, wzniosłość zdobywa się Franzelin w traktacie „o Kościele Chrystusowym“ *(de Ecclesia Christi)*, w którym omawia stosunek Chrystusa do Jego św. Kościoła tj. przedstawia Go jako Oblubieńca i duchowną głowę tej społeczności, którą On jako swoje mistyczne ciało przenika i napełnia nadnaturalnem swem życiem, i nawzajem Kościół znajduje w Chrystusie swój nieskończenie wzniosły pierwowzór tak co do

swej istoty i egzystencyi, swego życia i działalności na ziemi, jako też i swego przyszłego uwielbienia w niebie.

Do tej głębokości i wzniosłości dołączyć wypada trzeci rys charakterystyczny dzieł Franzelina, tj. jego szczerą p o b o ż n o ś ć, która tak mile przejmuje umysł i serce czytelnika. Przy całej ścisłości i surowości dyalektycznej nie wpada on bynajmniej w pedanteryę; choć jest nadzwyczaj dokładnym w definicyach teologicznych pojęć, nie męczy jednak drobnostkowością. Mimo niezmiernej erudycyi i głębokiej metafizyki nie można w nim dostrzedz żadnej chęci popisania się lub olśnienia czytelnika; styl jego nosi tylko cechę głębokiej czci i dziecięcej pobożności względem wielkich tajemnic wiary. Wszędzie znać gorące pragnienie, aby piękność Boskich prawd zachwyciła umysły i zapaliła serca wiernych. Wszystko u niego jest przesiąknięte miłem, pokornem i bezwarunkowem poddaniem się pod nauczycielską powagę Kościoła. Najsilniejsze subjektywne przekonanie i pewność o prawdach wiary tak widocznie nieraz występuje, że nie tylko rozum zniewala do poddania się prawdzie, ale i serce napełnia radością z widoku piękności prawdy. To też teologia Franzelina zarówno się odznacza wielką wartością etyczną jak i gruntownością naukową. To co pewien recenzent [1] powiedział o ostatniem dziele Franzelina *de Ecclesia*, śmiało można zastósować do wszystkich jego traktatów. „U Franzelina na gruntownym pozytywnym fundamencie opiera się głęboki spekulatywny pogląd i szerokie pojmowanie roztrząsanego, wzniosłego przedmiotu. Maluje on nam Oblubienicę Chrystusową w całym blasku jej nadprzyrodzonej piękności, biorąc za tło do tego obrazu wykształconą wiarę i nadając mu natchniony i pełen namaszczenia koloryt. Tak pomyślany i wykonany traktat teologiczny mógł być tylko owocem długoletnich studyów, połączonych z głęboko religijną kontemplacyą. Oby czytanie i odczytywanie tego arcydzieła stało się dla całej następnej generacyi lewitów źródłem tej żywej miłości i powolności Kościołowi, jakiej tak znakomite przykłady daje nam w całem swem życiu, w całej działalności, a zwłaszcza w tem swojem pośmiertnem dziele, wielki teolog i świątobliwy kardynał“.

---

[1] *Morgott.* Literarischer Handweiser 1887. Nr. 12.

Co się tyczy drugiego punktu, w którym okazują się właściwości Franzelina tj. systematycznego przedstawiania nauki wiary, to ta odrębna jego cecha objawia się w dwóch szczególniej względach. Najprzód w ściśle systematycznem ugrupowaniu nagromadzonego materyału, czyli twierdzeń, które w każdym traktacie mają być dowiedzione. Nicią przewodnią tych traktatów są zawsze dla Franzelina zasadnicze dogmata danej części teologii, czyli raczej badanie ich prawdziwego, tj. katolickiego znaczenia i rozumienia. Używa on wszędzie metody syntetycznej: z pojęć ogólnych przechodzi do szczegółów, łączy w jedno pojedyńcze błyski prawdy tak, że ta w końcu, rozwinięta, harmonijnie uporządkowana i w piękną całość zlana, przedstawia się oczom czytelnika jako umiejętnie zbudowana i wspaniale ozdobiona świątynia wiary.

Ażeby na innym jeszcze obrazie system Franzelina uprzytomnić: przedstawmy sobie potężny pień drzewa wiary, to kwestya tytułowa traktatu; wyrastające z niego konary — to główne jego podziały; dalej na konarach gałęzie, a na tych liście — to pojedyńcze twierdzenia ze swemi dowodami i wnioskami, które wspaniałą całość w jej piękności ukazują. Bardzo wydatny przykład takiej struktury daje nam traktat „o Wcieleniu“ *(de Verbo Incarnato)*. Historyczna osoba Chrystusa Pana przedstawia się tu jak główny pień drzewa — kwestya: Co jest Chrystus? — i odpowiedź na nią: prawdziwy Bóg i prawdziwy Syn Boga — to pierwszorzędna odróśl. Ażeby tej prawdy dowieść, zaczyna Franzelin od najczęstszych orzeczeń Pisma św. o tymże Chrystusie: przewyższa on doskonałością i zacnością wszystkie stworzenia nieba i ziemi; własnem mu jest imię, które nigdy żadnej stworzonej istocie od Ducha Bożego nadanem nie było. Dalej, idąc do szczegółów okazuje, że wszystkie Boskie przymioty Pismo św. temu Człowiekowi przypisuje, aż w końcu dowodzi, że w Nim jest i prawdziwa natura Boska. Zagłębiając się jeszcze więcej w szczegóły, wykazuje nareszcie, czem jednak Chrystus jako Syn Boży różni się od Boga Ojca. Następnie występuje drugi konar dogmatu Wcielenia tj. człowieczeństwo Chrystusowe, którego gałęziami: prawdziwość ludzkiego ciała Zbawiciela, prawdziwa i rozumna dusza, a w końcu prawdziwie ludzkie tj. z rodu Adamowego pochodzenie. Nowy punkt wiary a zarazem trzeci konar na tem drzewie stanowi tajemnica zjednoczenia dwóch natur w je-

dnem ludzkiem indywiduum Chrystusa. Tę jedność fizyczną dwóch tak różnych natur coraz bardziej wyjaśnia, a wynikające stąd nieodzowne następstwa ze swemi dowodami stanowią osobne gałęzie tego konaru. Inne większe lub mniejsze rozgałęzienia są to dysertacye: o podwójnej woli Chrystusa Pana, i wynikającej stąd podwójnej Jego działalności; Jego świętość i bezgrzeszność; wiedza i mądrość; Jego wolność nawet co do podjęcia lub niepodjęcia śmierci za zbawienie świata, nareszcie o właściwym i należnym Chrystusowi kulcie. A na wszystkich tych gałązkach wyrasta mnóstwo określeń, prawd, wniosków, które jak kwiaty, owoce i liście stanowią gęstą koronę tego konaru. W ten sam sposób, idąc od ogólnych zarysów do szczegółów, oddziela się i czwarty konar, którym jest: „Chrystus pośrednik między Bogiem i ludźmi". *(Mediator inter Deum et homines).* A więc najprzód rozwija się ogólne pojęcie pośrednika, z którego wypływa już więcej określona nauka: jak nam Chrystus zbawienie wyjednał; w jak doskonały sposób, jak heroicznym czynem, i dlaczego ten czyn tak wielką ma wartość? Jednem słowem metoda Franzelina jest tak ściśle syntetyczną, że niepodobna zrozumieć waloru tez następnych, jeśli się nie przestudyowało poprzednich. Myśli idą jedna za drugą, powiązane ścisłą logiczną konsekwencyą, jak cegły cementem, aż do ostatniej, która jak zwornik sklepienia zamyka skończoną i silną całość wiecznotrwałej a pięknej budowy.

Innym charakterystycznym elementem metody Franzelina jest forma tez, czyli ich enuncyacye i rozwinięcie. Zawierają one w sobie cały materyał, który ma być obrobionym. Wskazują jasno i zwięźle w co należy wierzyć, i jak trzeba to w co się wierzy rozumieć; tak dalece, że tezy, chociaż same w sobie krótkie, stanowią przecież jasne i dobitne wyznanie wiary, w którem nie ma ani jednego nieuzasadnionego słowa. Każda teza jest dla siebie skończoną całością, osobnym i szczególnie ważnym artykułem wiary, w pozytywnym lub spekulatywnym zakresie. Rzeczy mniejszej wagi są również wciągnięte w tezę, ale w właściwem podporządkowaniu, tj. służą albo jako środek pomocniczy w dowodzeniu, albo jako illustracya i ozdoba, albo nareszcie jako wniosek rozszerzający pojęcie dogmatu. Dowody przeprowadza wprawdzie Franzelin z żelazną prawdziwie ścisłością logiczną, nie krępuje się jednak twardą

formą syllogizmu i scholastycznych formułek. Jeśli się trafiają jakie zarzuty lub trudności — starannie je rozbiera i rozwiązuje, albo wprost albo pośrednio *(indirecte)*. Jeśli są większej doniosłości, obrabia je w osobnych tezach, mniej ważne rozstrzyga w samem dowodzeniu, a to w ten sposób, że albo natychmiast obala ich podstawy, albo też odsyła na koniec tezy do t. zw. scholjów czyli uwag szkolnych, gdzie je bada i odpiera.

Ze sposobu w jaki Franzelin stawia oddzielne tezy, z tego jak je urządza i porządkuje ich treść, widać, że jest to badacz samodzielny zupełnie panujący nad swoim przedmiotem; mający własny pogląd, oparty na samodzielnem zbadaniu źródeł. Pokazuje się nadto, jak on szanuje swoich poprzedników, katolickich badaczy tegoż Objawienia, jak ich wywody umie przedstawić w prawdziwem i najlepszem świetle. Wreszcie na każdym kroku widnieje także wielka znajomość przeciwników i ich broni, głębokie wniknięcie w istotę i cały system ich błędów, któremi skazić i wykrzywić się starają czystą Chrystusową naukę.

Trzecim punktem charakterystyki dzieł Franzelina jest, jakeśmy to na początku wspomnieli, jego genialność w pojmowaniu i przedstawianiu prawd objawionych.

Prawdziwy geniusz nie kroczy bezmyślnie po raz wydeptanych ścieżkach swych poprzedników lub współczesnych, on szuka dróg nowych, nie dając się jednak unosić fantazyi poza granice ścisłej loiki na manowce zarozumiałego dziwactwa. Geniusz jest zawsze oryginalnym, ale nigdy oryginałem. Takim też jest Franzelin we wszystkich swoich dziełach teologicznych. Miał on sobie za chlubę, iż nie uczył nic n o w e g o, głośno zapewniał na swoich wykładach, że o to się tylko stara, ażeby to co 19-sto wiekowa przeszłość Kościoła powszechnego o wierze uczyła, swym uczniom mógł przekazać. Ale jakkolwiek to usiłowanie w jego pracach zupełnie i całkowicie się iści, — to przecież mimo jego wiedzy, stara katolicka prawda pod jego piórem w całkiem nowej występuje szacie. Jego metoda nie ustępuje żadnej z dawnych, a niejednę z nich przewyższa. Jak wysokie miał on pojęcie o zadaniu teologa-dogmatyka, sam to nam ukazuje w ulubionem przez się i często cytowanem wyrzeczeniu św. Wincentego Liryneńskiego: „O Tymoteuszu! o kapłanie! o ba-

daczu! o nauczycielu! jeśli masz z daru Bożego odpowiednie zdolności, doświadczenie, naukę, to bądź Bezeleelem duchownego przybytku Pańskiego, rzeźbij drogie kamienie Boskich dogmatów, wiernie je oprawiaj, ozdabiaj umiejętnie, dodawaj im blasku, wdzięku i krasy. Niech z twego wykładu jasno będzie rozumiane, co przed tobą niewyraźnie było wierzone. Przez cię, niech potomność ma pociechę, że pojmuje to, co przeszłość tylko czciła. Tego tylko jednak ucz, czegoś się sam nauczył, aby to, co mówisz, wypowiedziane było w nowy sposób, a nie było czemś nowem[1].

Znakomity filozof hiszpański Balmes opisuje geniusz w następujący sposób[2]: „Ludzie prawdziwie genialni odznaczają się od innych harmonijnością i rozległością swych pojęć. Gdy pracują nad jaką trudną i zawikłaną kwestyą, upraszczają i wyrównywają takową, stawiając się na wysokim bardzo punkcie widzenia, i nie tracąc z oczu idei zasadniczej i przewodniej, która im wszystko rozświeca; gdy zbijają jaki zarzut, to przenikają do początku błędu, i kilku słowami rozpraszają tuman sofizmu; gdy używają syntezy, chwytają od razu główną zasadę, która jest punktem wyjścia, i zakreślają krótko a jasno sposób postępowania; gdy coś analizują, to oznaczają dokładnie punkt, w którym należy szukać rozwiązania, poznają ukryte zależności, odkrywają za jednym razem tajemnicę przedmiotu i ukazują jego najskrytsze wnętrze".

Jeśli Balmesowi przyznajemy słuszność w tym opisie, to także musimy przyznać, że i Franzelin w swych teologicznych rozprawach jest niezwykłym geniuszem, gdyż wszystkie te przymioty w nich znachodzimy. Wszyscy, co gruntowniej i lepiej znają jego dzieła, choćby skąd inąd byli jego przeciwnikami, muszą przyznać, że genialnym jest umysł, który przenikając głębiny wiedzy, jasno i z pe-

---

[1] „O Timothee, o Sacerdos, o Tractator, o Doctor, si te divinum munus idoneum fecerit ingenio, exercitatione, doctrina, esto spiritualis tabernaculi Beseleel; pretiosas divini dogmatis gemmas exsculpe, fideliter coapta, adorna sapienter, adjice splendorem, gratiam, venustatem. Intelligatur te exponente illustrius, quod ante te obscurius credebatur. Per te posteritas intellectum gratuletur, quod ante vetustas non intellectum venerebatur. *Eadem tamen, quae didicisti, doce, ut cum dicas* ***nove, non dicas nova***". Commonit. I. C. 22.

[2] Philosophie fundamentale. Tom I, l. V, chap. IV.

wnością siebie pojmuje i przedstawia przedmiot, umysł który niczego nie pomija, każdą ciemność rozświeca, a zawsze i wszędzie w jądro rzeczy trafia.

Geniusz Franzelina okazuje się jeszcze i z tego, że najdokładniejsze oczytanie w całej tak obszernej katolickiej literaturze przeszłości, nie przeszkadza mu bynajmniej być całkowicie samodzielnym i niezawisłym.

O ścisłej harmonijności i zgodności z sobą wszystkich prac Franzelina, jakoteż o szerokich niezmiernie jego poglądach, świadczą oczywiście wszystkie jego traktaty teologiczne. Tezy jego można porównać do dobrze obrobionych kamieni budowlanych, które podług planu budowniczego razem się łączą, i dobrze spojone, silną i piękną tworzą całość. Ramy jego traktatów są tak utrafione, że żadna kwestya donioślejsza, albo przynajmniej pożyteczna dla ucznia, nie jest pominięta. Poznać to łatwo studyując dzieła wielkich teologów i porównywując je następnie z dziełami Franzelina. Co tylko dla początkującego teologa może być potrzebnem, ważnem, albo pożytecznem, to wszystko znajdzie on u Franzelina, opracowane ani zbyt obszernie ani za krótko, ale stosownie do ważności samej kwestyi o którą chodzi.

Również jasno występują w dziełach naszego autora wysokie punkty widzenia, z których na szerokie obszary swego materyału się zapatrując, w harmonijną jedność go układa, i jasnem światłem oblewa najtrudniejsze nawet kwestye. Kilka przykładów wystarczy na potwierdzenie tego zdania.

Co, i w jaki sposób sprawują Sakramenta, rozbiera Franzelin w właściwym traktacie *de Sacramentis in genere.* Aby tę kwestyę rozwiązać, wstępuje na znacznie wyższe niż sam przedmiot stanowisko. Stawia sobie bowiem pytanie: jaki jest charakter całego nowego Zakonu, i w jakim stoi stosunku do Starego. Istotny charakter i istotna różnica dwóch tych testamentow wyjaśnia mu również istotny charakter i różnicę ich Sakramentów. Wszystkie wynikające stąd twierdzenia nie są czem innem, jak tylko następstwami logicznie wypływającemi z istoty nowego Przymierza w stosunku do Starego.

W traktacie „o Kościele“ *(de Ecclesia),* aby nam prawdziwą istotę Kościoła przez Chrystusa założonego przedstawić, wznosi się

również daleko wyżej, i bada istotę Kościoła bożego w ogóle, o ile on jest powszechnem królestwem Bożem, do którego należą aniołowie i ludzie. Jedni i drudzy pod wspólną głową Chrystusem tworzą obcowanie świętych, obcowanie w tem życiu przez wiarę, a w przyszłem przez widzenie błogosławione. Stąd wyszedłszy bada Franzelin, jak się to miasto Boże rozwijało w czasach przedchrystusowych, a jak następnie przez Chrystusa osiągnęło swą doskonałość na ziemi.

Jużeśmy wspomnieli że Franzelin jest mistrzem w rozwiązywaniu zarzutów, które przeciw prawdom wiary lub ich katolickiemu rozumieniu występują. Tu jednak musimy znów uczynić o tem wzmiankę jako o przykładzie jego genialności. Czy te zarzuty są wzięte z rozumu, czy też trudniejsze wyrażenia ojców Kościoła dały do nich powód, zawsze trafia Franzelin od razu na źródło błędu. W zdaniach Ojców, bliżej nad tekstem się zastanawiając, z rozmaitych wskazówek dochodzi prawdziwej ich myśli, tak, że wszelka trudność znika, i wszelkie zarzuty stają się bezpodstawnemi.

O syntezie Franzelina jużeśmy wiele mówili w poprzednim punkcie. Co zaś do jego analizy dość będzie jednego przykładu, aby pokazać, że i w niej również był mistrzem. Jest to dysertacya o „akcie wiary“. Analizując to pojęcie wykazuje wszystkie jego elementa i wszystkie własności, a nadto bada i dochodzi, jakie władze duszy są siedliskiem i czynnikami tego aktu.

Genialność więc w pojmowaniu i obrabianiu teologicznego materyału nie może być dziełom Franzelina, a zatem i jemu samemu odmówioną.

Niech te krótkie rysy życia i prac Franzelina, na których z powodu szczupłości miejsca musiałem się ograniczyć, dopomogą światłemu czytelnikowi, aby mógł właściwy charakter teologicznych wykładów Franzelina poznać, i nabrać przekonania, że nie są one czemś zwykłem na polu teologicznej umiejętności, lecz że są dziełem niespożytej wartości, dziełem które nie przestanie wydawać trwałych owoców, bo i samo jest owocem ogromnej pracy, nieposzlakowanej sumienności i serdecznej miłości prawd boskich.

Ks. A. Langer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Puławy (1762—1830). Monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego, na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie, opracował *Ludwik Dębicki*. Tom III IV. Lwów 1888.

„Bogi i ludzie szaleją“ już nie tylko w poezyi Krasińskiego, ale za dni naszych, bo nowe pogaństwo nowe rodzi szały. Potworzono bożyszcza z wyobrażeń, czy uprzedzeń politycznych i tak nisko przed niemi uderza się czołem, że wala się ono niekiedy bezwstydem. Poczucie sprawiedliwości, miłość prawdy, szacunek dla literatury, wszystko to depcze się, poniewiera, zagłusza, jak zbrodniarz tłumi głos sumienia, aby tylko na uroczysku tego pogaństwa bożyszcze ocalało. Dla krytyka, lub sprawozdawcy najgorsze nastały czasy. Na tym lub owym zagonie wyrósł kwiat. Fetysze biją mu czołem i za bóstwo ogłaszają, a biada temu, kto powie, że to kwiat tylko, bo nazwą go zbrodniarzem, bluźniercą, szaleńcem. A niechże kto napisze nawet arcydzieło, nie wspomną nawet o niem, jeżeli autor do tej co i oni nie należy parafii.

Lękałbym się i kałamarza i pióra, a nawet *Przeglądu powszechnego*, gdyby mi dziś pisać wypadło o książce śród owych fetyszów zrobionej, ale że pan Dębicki do żadnej takiej parafii nie należy, przeto skupiam odwagę i zaczynam.

Nie przypominam dwóch pierwszych tomów *Puław*, bo złożono o nich sprawę, a publiczność czytająca już miała czas sama je poznać i należycie ocenić. Te dwa, o których mowa będzie, mie-

szczą materyał bogaty, a tak rozmaity, że i historyk, i krytyk, i dziennikarz, i powieściopisarz i malarz znajdą w tej pracy źródła, jeżeli pragną poznać ducha czasu owych lat, charakter epoki, ludzi, co wówczas żyli, spojrzeć na obyczaje i zwyczaje ówczesne. Dzieło pracowite, a przyjemne, co nie często się zdarza, ale też nie zawadziłoby mu werwy więcej, ożywienia w stylu. Autor od początku do końca tak flegmatycznie poważny, tak w togę odziany, że chciałoby się go koniecznie rozruszać. Płyniemy w tej książce jak łodzią po cichym, majestatycznym stawie; pragnie też czytelnik wyrwać się na ląd, a poprosić autora, aby go wsadził bodaj na chwilę na rączego wierzchowca, bo chciałoby się ruszyć kłusem, ożywić. Jest to wrażenie, może indywidualne, ale czemuż mi się do niego nie przyznać, jak też i do tego, że może kilkakrotnie razila w książce pewna wyniosłość, z jaką autor spogląda niekiedy na świat i ludzi. Może to wyniosłość słowa, nie duszy, nie serca, ale też może niejeden z czytelników ją uczuje i... zgniewa się na autora, bo wolno p. Dębickiemu tym tonem przemawiać *prywatnie* do tych, którzy do tego przyzwyczajeni, lub przyzwyczaić się pragną, ale *publiczność* czytająca zapewne do tego nie przyzwyczai się nigdy.

Są to wrażenia, może *tylko* wrażenia, i to wytworzone formą, nie treścią dzieła; ale choćby nawet były stokroć silniejsze, nikną, przepadają, zapomina się o nich w obec treści, w obec jej układu. Treść, to prawdziwe skarby wiadomości, szczegółów, faktów, rysów charakterystycznych i zapatrywań autora, prawie zawsze i wszędzie rozważnych, bystrych. Układ treści, uporządkowanie materyału dokonane wybornie, z rutyną dziennikarza, a ze znawstwem uczonego. To też zajrzyjmy czemprędzej do trzeciego tomu.

W pierwszym rozdziale zajmuje się autor panującą u nas za owych czasów modą oryentalizmu, a chociaż nie wyczerpał zupełnie jej objawów, zwłaszcza w poezyi; wiele dodał ciekawych do jej genezy szczegółów. W ślad zatem mówi autor o pierwszych archeologach polskich, może nieco pobieżnie w obec tytułu „pierwsi archeologowie polscy“, bo i o Chodakowskim za mało, a także nie wiele o pobudkach polityczno-narodowych, które ów zmysł archeologiczny rozniecily, ale za to nie pominął widocznie niczego, co w tym względzie z Puławami miało związek. Nie można atoli z tego

tytułu czynić autorowi zarzutu, bo gdyby chciał był *wyczerpać* każdą sprawę, każdy objaw działalności czy literackiej, czy politycznej, książka jego musiałaby zmienić tytuł z: „Puławy“ na: „Historya życia publicznego, naukowego i towarzyskiego od 1762 do 1830“. Jeżeli więc wspominamy o tem, co w książce p. Dębickiego nie zupełnie całkowite, to jedynie dlatego, by nas nie posądzono, że *bezwzględnie* poprzestajemy na tem, co nam w tej lub owej sprawie autor podaje.

Nadzwyczaj interesującą, pełną nowych, mało znanych, lub wcale nieznanych szczegółów, jest galerya postaci, przesuwających się przez Puławy, lub z Puławami mających styczność czy naukową, czy towarzyską. J. M. Ossoliński, Bogumił Linde, Dubrawski, Tadeusz Czacki, Poczobut, Groddeck, Jan Śniadecki, Albertrandy, Niemcewicz, Staszic, Stanisław Potocki, Kajetan Koźmian i t. d. przedstawieni tu w głównych rysach charakterystycznych w świetle Rembrandtowskiem.

Związek odrodzenia literatury czeskiej, do czego dwaj Polacy dają popęd, zachętę; pierwsze a i dalsze z zachodnio-południową Słowiańszczyzną stosunki nasze, skreśla autor krótkiemi słowy, ale wypowiada w nich ogrom prawdy, nauczającej nas tego, czegośmy zaniedbali, a cośmy uczynić byli powinni. Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia tego ustępu: „Nastaje chwila egzaltacyi słowiańskiej, mająca swój punkt kulminacyjny w r. 1848. Adam Rościszewski dla sprawy słowiańskiej i czeskiej poniesie ofiarę pracy i mienia. Lecz rzecz charakterystyczna, iż wszyscy co sprawą słowiańską w Polsce się zajmują, występują jako adwokaci i protektorowie, przeciw zbyt częstym uprzedzeniom opinii. *W naszych stosunkach ze Słowianami zachodnimi za mało wzajemności, za mało starania, aby zapewnić wpływ Polaków i odpowiedne naszemu rozwojowi cywilizacyjnemu stanowisko w tym koncercie ludów pobratymczych — lecz albo małoduszne uprzedzenia i lekceważenie tego ruchu,* albo reakcya jednostek, które znów przejmują się wyłącznie sprawą Czechów, jakby własną. Z bogatego skarbca rzucamy tam hojne ofiary, ale nie staramy się o zasilenie tego skarbca tem, co tam wyrasta często z naszego posiewu. *W tym stosunku bywa jakaś wyniosłość i wspaniałomyślność nie zawsze usprawiedliwiona, bo jeśli prawda, że literatura polska góruje po nad innemi wyż-*

szym poziomem i nastrojem, to ilością, darem propagandy, pobudzeniem i wciągnięciem wielkich mas ludu, ruch umysłowy i literacki w Czechach sięga głębiej i wyrastając z dołu, porusza miliony". (T. III. str. 63).

Pozwoliliśmy sobie podkreślić te słowa autora, które nam się wydają godne pamięci całego narodu, a które powinnyby stać się wskazówką dla nas, nauką, jak z jednej strony postępować z Czechami, a jak znowu u siebie w kraju rozbudzać ruch literacki, aby „sięgał głębiej, wyrastał z dołu, a poruszał miliony".

Naszem zdaniem, mogłoby w tym kierunku działać bardzo wiele, może najwięcej duchowieństwo świeckie, pochodzące w znacznej części z ludu, żyjące wśród niego, a obowiązane żyć *dla* niego. Przykłady stwierdzają, że gdzie się tak działo, lud się dźwigał pod każdym względem, powstawały biblioteki, czytelnie; rosła moralność, pracowitość, pobożność, a i dobrobyt materyalny.

Szkole krzemienieckiej poświęca autor wiele miejsca i uwagi, a słusznie wymienia korzyści i błogie skutki z jej założenia. Ale czy nie było też i cienia obok owego światła krzemienieckiego? „Wołyń i Podole żyło długo tradycyą i tym zasobem nauki wyniesionej z Kamieńca. I była odrębna cecha i piętno, po których można było poznać schodzących już dziś z widowni uczniów szkoły krzemienieckiej", powiada autor na str. 110 t. III. Prawda, że była u nich odrębna cecha, ale czy ją w całości zapiszemy w *aktywa* nasze? Przypomnijmyż sobie, że osiedlanie się w Krzemieńcu licznych rodziu, pierwotnie dla edukacyi synów, później wytworzyło tak rozbudzone życie towarzyskie, że się Krzemieniec rozbawił, a uczyć i nauczać na seryo przestał. Czy owa płytkość i jałowość umysłu na Wołyniu, pokostowana francuszczyzną i salonowością, czy owa zatwardziałość w ekskluzywności herbowej, czego i Rzewuski i Kraszewski tak liczne a tak głośne dają świadectwa, nie wykołysały się w tych latach, gdy w Krzemieńcu młodzież zaczęła mało mieć czasu do nauki, gdy go tyle było potrzeba do życia towarzyskiego? Nie uwłacza to ani twórcom szkoły, ani jej zasługom że były tam chwile dla nauk nie pomyślne, to też może i nie szkodziło bodaj z lekka o tem nadmienić.

Powiedzieliśmy, że autor jakby w świetle rembrandtowskiem przedstawia ludzi i wydarzenia; w tej chwili nasuwa się nam je-

den z rozlicznych tego przykładów. Oto na str. 120 w t. III czytamy: „Król korzystając z obecności X. Poczobuta, kazał sprowadzić z Wilna do Grodna teleskopy, lunety i inne aparaty, jakie przed paru laty Jędrzej Śniadecki przywiózł z Londynu dla obserwatoryum wileńskiego. W pogodną noc Stanisław August w otoczeniu kilkunastu senatorów i posłów, zasiadł na przygotowanym tronie pod gołem niebem, aby czynić obserwacye gwiazd, przyczem Poczobut był mu pomocnym i wskazywał mu odkryte *przezeń* (zapewne *przez siebie*), a imieniem Sobieskiego i Poniatowskiego nazwane konstelacye. Odbyło się to z wielką uroczystością, a król w dowód swego zadowolenia, nazajutrz ozdobił Poczobuta orderem Orła białego. Działo się to dnia 5 września 1793 w Grodnie, a więc we dwa dni po uchwale sejmu, zatwierdzającej traktaty drugiego rozbioru. Zaiste scena godna Szekspira — tylko, że wielki dramaturg wyczerpnął wszelkie namiętności natury ludzkiej, przedstawił poczet królów okrutnych, rozpustnych, krwiożerczych, podstępnych, szalonych lub zabobonnych, co także astrologom kazali odczytywać w gwiazdach dobre wróżby, ale nie ma tam typu monarchy, coby z podobnym spokojem i zobojętnieniem nazajutrz po akcie poniżenia i hańby, zasiadał do obserwacyi gwiazd...“

Na str. 141 znajdujemy jeden z objawów owej wyniosłości autora, z jaką traktuje niekiedy czy to „drobną szlachtę“, czy „zaśniedziałą demokratyczność“, czy też czasem z lekka i ludzi, którym nie imponowały mitry i hrabiowskie korony. „Gdy już w ten sposób *dobroć* i *wyrozumiałość* księcia była wyczerpaną, Lelewel, może ostrzeżony przez Czackiego lub Zawadzkiego, przerywa swe milczenie“. Możnaby mniemać, że Lelewel coś tu zawinił, i to zawinił bardzo w obec księcia, że to przewinienie wkładało na niego obowiązek przeproszenia, że jednem słowem „dobroć“ i „wyrozumiałość“ miały aktualny powód i objawić się i wyczerpać. Tymczasem cała historya na tem polega, że książe udzielił Lelewelowi na piśmie wiele rad i uwag, a Lelewel nie spieszył się na nie z odpowiedzią. Był to u Lelewela grzech uprzejmości towarzyskiej, grzech, który nawet dziwić nie powinien był księcia, a tem mniej wyczerpać jego *dobroć* i *wyrozumiałość*.

Rozdziały VI i VII, mianowicie: „Kraków za Stanisława Augusta i po rozbiorach“, „Lwów i Galicya“, zamykają tom III,

a takie ciekawe, tak bogate w szczegóły faktów i charakterystykę czasu i ludzi, że prawdziwie podziwiać trzeba niepospolity talent autora w budowie z archiwalnego materyału takich wyrazistych obrazów.

Pomału, bardzo pomału czytało się tom trzeci, chociaż bez przerwy prawie, bo trudno było bez potrzeby koniecznej sprawiać sobie przykrość tą przerwą; pomału czytało się, bo już, jak wspomniałem przedtem, styl, dykcya płyną *andante*, *maestoso*, ale też każdy ustęp zatrzymywał uwagę, przykuwał, i niejedną kartkę wstecz się obracało, by ją przeczytać po raz drugi. Ten jeden tom zastąpi innych prac tomów kilkanaście, ten jeden tom już jest dziełem, dającem prawo do tytułu — zasłużonego, a niepospolitego pisarza. Całe to dzieło p. Dębickiego jest więcej niż wyborną pracą literacką, bo godzi się je nazwać czynem obywatelskiej zasługi.

Pisma i korespondencye tak księcia Jenerała, jak i księcia Adama dobyte z szaf archiwalnych, wyjaśnione i ocenione raczej z pietyzmem przyjacielskiego biografa, niż ze ścisłością krytyka, zaczynają tom czwarty. Z żalem pożegnaliśmy tom trzeci, więc doznajemy tu pocieszenia, ciekawość się rozbudza, zajęcie rośnie, bo ileż to szczegółów nowych do historyi literatury! Tylko czemuż autor znowu tak *maestoso* opowiada? Niechby chociaż na chwilę uderzył *vivace*. Sam sobie winien, że pragniemy szybszego tempa, bo ciekawość podniecił aż do naprężenia, gdy w następnych rozdziałach mówi o dwóch autorkach. Komentarz Malwiny, jej powstania, jej znaczenia w literaturze — wyborny, a w tym rozmiarze i na tym poziomie — jedyny.

Czy tylko pietyzm dla księcia Adama nie unosi autora zbyt daleko, gdy mówi: (T. IV str. 271) „książe Adam należy do najlepszych stylistów polskich. Dzieło jego „Żywot J. U. Niemcewicza“, należy do wzorów mowy naszej, a chcąc poznać powagę, bogactwo i ducha języka po Skardze i Górnickim — trzeba czytać Czartoryskiego“.

Któż nie będzie wdzięczny autorowi za przytoczenie pamiętnika Zofii Zamoyskiej? Ciekawy, wielce zajmujący i nauczający, a co więcej, do godności najczystszego ideału podniesione przez autora Puławy, przedstawia nieco realniej.

Cenne anneksy, obfite w tym tomie, zawierają na końcu do-

kumenty odnoszące się do służby wojskowej ks. Konstantego Czartoryskiego.

Nie zamknęła się ta praca na tomie IV i zamknąć nie może, bo byłaby nie pełną, nie całą, to też dalszych z upragnieniem niezawodnie wyczekiwać będzie każdy, kto dotychczasowe przeczytał. „Puławy“ nie są monografią rodziny Czartoryskich, ani historyą ich działalności w pewnym okresie czasu, ale historyą epoki, historyą narodowych wysileń i upadków, błędów i cnót, i to właśnie nadaje temu dziełu wartość głęboką i doniosłą, zwłaszcza że autor uzupełnił materyał archiwalny tradycyą, gasnącą już, a więc w samą porę pochwyconą, a ta od zagłady ocalona tradycya zawiera szczegóły tak piękne, tak wzniosłe, jak np. młodociana przysięga trzech młodzieńców: Adama Czartoryskiego, Tadeusza Czackiego i J. M. Ossolińskiego. Przysięgają wytężyć swe siły, poświęcić swe życie dla dobra ojczyzny i narodu. Ileż w tem wzniosłości! Wiadomo, że dochowali wiernie młodzieńczej przysięgi aż do ostatniego tchnienia.

Dzieło p. Dębickiego zasługuje i z tego względu na uznanie i na wdzięczność polskich czytelników, że świadczy faktami, niczem zaprzeczyć się nie dającymi, iż na wierzchu naszego społeczeństwa nie była pleśń tylko i pruchno, jak stronniczość tak często bezmyślnie powtarza, — świadczy, że były tam wielkie cnoty, poświęcenia dla ojczyzny, wielkie ofiary z większej jeszcze płynące miłości. O tem świadcząc, uczy i wielkich i małych, jak spełniać obowiązek względem społeczeństwa, jak dla niego żyć i pracować.

Czesław Pieniążek.

Ks. A Brykczyński: Dom Boży, tj. praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów, na wzór dzieła ks. Montault: „Traité pratique de la construction, de l'ameublement et de la conservation des églises“, z różnych autorów zebrał... Z tablicami rysowanemi przez *Wojciecha Gersona*. Warszawa 1888. 8-vo, stron 320.

Pożądana, pożyteczna i praktyczna książeczka, jakich mało u nas wychodzi. Mówię książeczka, bo zgrabny format i stosunkowo cienki papier sprawiają, że pomimo 320 stron i tekturowej oprawy, dziełko to każdy wygodnie w kieszeni nosić może. A mieć je zawsze przy sobie powinni przedewszystkiem księża, dla których jest przeznaczone.

Samo przejrzenie spisu przedmiotów poucza, że autor wyczerpuje przedmiot w znaczeniu najobszerniejszem, daleko szerszem, aniżeli sądząc z tytułu spodziewać by się można. Mówi on bowiem nie tylko o kościele samym i sprzętach w nim będących, ale niemniej o świetle, aparatach i bieliźnie, oraz innych sprawach odnoszących się do nabożeństwa, jak pogrzeby, używanie medalików, obrazków, gromnic, szkaplerzy i różańców, a nawet dotyka sprawy sporządzania inwentarzy, spisywania kroniki parafialnej, utrzymywania plebanii, znaczenia figur przydrożnych — nie pomijając ubrania i porządku co do osoby kapłana. Jednem słowem jest to zupełne *Vademecum* dla każdego proboszcza i zarządcy kościoła, napisane systematycznie, jasno i treściwie. Dobry indeks alfabetyczny na końcu ułatwia znalezienie prędko tego, co komu na razie jest potrzebnem.

Przedmiot traktowany jest z dwojakiego punktu widzenia: obrzędowego i artystycznego. Pod pierwszym względem rzecz wydaje nam się poprostu doskonałą.

Pod względem artystycznym, książka zawiera mnóstwo wybornych rad i wskazówek — jak tego zresztą po autorze, znanym z nauki członku komisyi archeologicznej Akademii Umiejętności, oczekiwać mieliśmy wszelkie prawo. Czy na zdaniu jego można się zawsze oprzeć, bez zastrzeżeń, to inne pytanie.

Nie poprzestając na ogólnych wiadomościach z historyi sztuki kościelnej, którą z miłością się zajmuje, stara się rzeczy swej dodać aktualności i praktycznego interesu, czyniąc przy każdej sposobności zwroty do stosunków i zabytków sztuki krajowych. Przedmiot to nie nowy, dotykany niejednokrotnie, choć zawsze jeszcze za mało. Przed laty 30-tu wydało krakowskie Towarzystwo Naukowe „Skazówkę poszukiwań i badań starożytności“, której „Wskazówka do utrzymywania kościołów, cerkwi i przechowywanych tamże starożytności“ ogłoszone przez p. Wł. Łuszczkiewicza w r. 1869, jest jakoby drugiem, poprawnem i szczegółowo do zabytków architektury i sztuki zwróconem wydaniem. Tenże zasłużony p. Łuszczkiewicz niedawno znowu poruszył sprawę zachowania zabytków sztuki kościelnej u nas w szeregu artykułów umieszczonych w warszawskim *Przeglądzie katolickim*. P. Łepkowski dotknął spraw tych w swojej „Sztuce“ i licznych opisach podróży, a wiele w tymże kierunku wiadomości zaczerpnąć można z publikacyj Akademii Umiejętności, której komisya historyi sztuki przeważnie zabytkami średniowiecznej sztuki w Polsce się zajmowała. Wydano tam i opisano np. cały zastęp kościołów romańskich. Wreszcie godzi się wspomnieć tu pisemko krakowskie *Przyjaciel sztuki kościelnej*, zbyt prędko niestety zwinięte.

Ks. Brykczyński, obrawszy sobie za głównego przewodnika taką powagę, jak ks. Baslier de Montault, całe ustępy, odnoszące się do sztuki w Polsce przepisuje lub streszcza z „Wskazówki“ p. Łuszczkiewicza. I w tem poczyna sobie doskonale — niestety poza tem jednem źródłem, informacye jego nie zawsze są równie pewne, a teoretyczne określenia czasem nawet mogą się przyczynić do zaciemnienia pojęć. Trudno rozprawiać wyczerpująco, ale zapytać się godzi, czy w dziele tak poważnem należy mówić, że cechą kościoła stylu romańskiego są 3 nawy, z których środkowa dwa razy wyższa od bocznych, i okna zawsze podwójne, rozdzielone kolumną? Czy można mówić o stylu ostrołukowym u nas „od połowy XIII wieku“? Czy można ogólnie twierdzić, że plan kościoła gotyckiego opiera się na kształcie krzyża, i w dzisiejszym stanie nauki rozprawiać jeszcze o jakimś stylu „wiślano-baltyckim“, kiedy

przecież wiadomo doskonale, że cechą stylu krzyżackiego jest wyłączne używanie cegły w architekturze i wynikająca z tego konstrukcya, podczas gdy zasadą gotyku, który możnaby nazwać „wiślanym“, jest połączenie cegły z ciosem, nadające kościołom polskim właściwą i odrębną charakterystykę.

Dalej zapytałbym, na jakiej podstawie autor dopuszcza możliwość stropu drewnianego jedynie w stylu bazylikowym, jak gdyby nie wiedział, że tyle jest pięknych kościołów ze stropem w stylu romańskim, gotyckim a nawet renesansowym? Dziwić zaś już, jeżeli nie razić musi rada dawania sklepień udawanych z drzewa, zalecanie rzeźb Mayera z Monachium — przyczepione nieco zdradliwie do ustępu całkiem przeciwnego ducha, wyjętego ze „Wskazówki“ p. Łuszczkiewicza — i śmiała uwaga o witrażach w Votivkirche wiedeńskim, przedstawiających wbrew regułom „duże figury pokrajane na części ramami okna, a jednakże pięknie wyglądające“. Jak gdyby wszelkie rozumowe zasady były zbytecznemi, a pięknem było to, co się komu podoba!

W dziele tego znaczenia unikać by także należało prowincyonalizmów, niejasności stylowych i błędów, które wielką nieraz ujmę mu przynoszą. Przytoczę tylko „chwasty“ *passim* zamiast kutasy, wyrażenia: „ogień zapruszyć“, „nauka o obrazach zależną jest od biskupa“, „antepedium lub antypedium“, oraz „consilium“ *passim* zamiast antependium i concilium, nie wspominając już o dość częstych prostych błędach druku. Ale trudno mi przemilczeć jeszcze jeden szczegół.

W książce, gdzie mowa o sztuce i stylach, jeżeli są ryciny, potrzeba, aby były co najmniej prawdziwe i przyzwoite, zwłaszcza gdy wypisane, jak tutaj na tytule, nazwisko artysty, każe się spodziewać czegoś dobrego, ozdoby dzieła. Tymczasem tablice w liczbie 9 dodane do książki ks. Brykczyńskiego są wprost niemożliwe, nie tyle jeszcze pod względem odbicia, ile pod względem wyboru i przedstawienia rzeczy. Wiele rzeczy jest narysowanych niejasno, błędnie i krzywo (portal romański, wnętrze gotyckiego kościoła i portal gotycki, ołtarz roccoco), nadto, nie dają żadnego pojęcia o stylu (figury na tabl. VI), podają wzory brzydkie, a sprzeciwiające się tekstowi samemu (monstrancye z figurami świętych).

Oto niedostatki. Zalet nie zdołałbym tak prędko wyliczyć.

Na każdej stronie spotykamy zdania i uwagi, które głoskami spiżowemi radzibyśmy wyryć w sercach i przed oczyma zarządców kościołów. Całe dzieło przesiąknięte jest praktyczną znajomością rzeczy, doświadczeniem i miłością. Ona to natchnęła lub wskazała w dziejach obcych tak znakomite uwagi, jak cały wstęp książki motywujący, dlaczego to wśród zabytków sztuki średniowiecznej należy szukać wzorów dla dzisiejszej sztuki kościelnej, ona podyktowała wszystkie ustępy o znaczeniu pamiątek przeszłości i o potrzebie ich szanowania, ona tak słuszne poddała wystąpienia przeciw nieszczęsnej manii u młodych księży przerabiania i odnawiania tak częstej, i złotą maksymę, że „lepiej nie restaurować kościoła i przedmiotów w nim będących, jeżeli to nie jest koniecznem“, ona natchnęła doskonałe przestrogi co do niebezpieczeństw sprzedaży i wydawania przedmiotów, niby niepotrzebnych z kościoła, oraz rady i wskazówki co do przeróbek i odnawiań, przyczem tylko bylibyśmy pragnęli widzieć jeszcze z większym naciskiem zaakcentowaną potrzebę radzenia się przy fabrykach w kościele dobrego architekta, który i od wielu niedorzeczności uchroni

i nieraz niepotrzebnych kosztów oszczędzi na nieumiejętne restauracye, lub niemądre innowacye wykładanych.

Powtarzamy: książka mimo usterek, których wolelibyśmy nie widzieć w niej, jest z wielu miar wyborną, godną stać się naszych księży podręcznikiem, codziennnym poradnikiem i przewodnikiem, do którego odnoszenie się, jak do szczerego i rozumnego przyjaciela, w wypadkach trudnych i wątpliwych uchroni od wielu kroków fałszywych i szkodliwych, od wielu strat i od wielu zarzutów — niestety aż nazbyt często słusznych. Wszak pewną jest rzeczą, że o wiele mniej dzieł sztuki i zabytków pamiątkowych zniszczył czas aniżeli ludzie, a zwłaszcza niedoświadczeni i niemądrze gorliwi opiekunowie. Znam wypadek, gdzie proboszcz najzacniejszy 40.000 złr. utopił w długoletnich restauracyach na to, aby jeden z najpiękniejszych kościołów galicyjskich przez błędną konstrukcyę i złe pokrycie kosztownego dachu... niemal o ruinę przyprawić, z której bodaj czy go wyratują obecne usilne starania następców.

Na to wszystko zdrowe, prawdziwie złote rady znajdują się w książce ks. Brykczyńskiego. Niedziw, że zalecili ją czterej książęta kościoła polskiego. Opinie ich drukuje autor na wstępie. Najgorętszem zaleceniem a zarazem najsprawiedliwszą oceną pracy jego są słowa ks. arcybiskupa Popiela, który wysoko podnosząc zalety jej, wyraża ubolewanie, że nie podano tam więcej przykładów, z rzeczy krajowych zaczerpniętych.

Stanisław Tomkowicz.

Ustawy bursy krakowskiej (1453—1841) r. zebrał i wydał *Dr. A. Karbowiak.* Kraków 1888 w 8-ce, str. 86.

Zwyczajem średniowiecznym, jak indziej, tak, obok akademii Jagiellońskiej, którą podówczas *Studium generale* nazywano, istniały t. zw. bursy czyli gospody studenckie pod zwierzchnictwem rektora i bezpośrednim zarządem jednego z profesorów akademii. Studenci mniej majętni za małą opłatą mieli tam wikt, mieszkanie, pomoc naukową i nadzór moralny, gdyż funduszu głównego dostarczały zapisy zacnych obywateli-mecenasów nauk. Jedną z takich burs fundował kardynał Zbigniew Oleśnicki 1453 r., i nazwał ją „Jeruzalem“ podobno dla tego, że była zamianą ślubu pielgrzymki do ziemi świętej. Bez różnicy narodowości i stanu mieszkali w niej obok scholarzów niepromowanych na stopnie akademickie, bakałarzy i magistry, obok księży świeckich, alumni rozmaitych zakonów, obok Polaków, scholarze z Niemiec, Węgier i innych krajów. Była to, rzec można, bursa międzynarodowa, jedyna w swoim rodzaju z wszystkich naszych burs (str. 10, 11). Z zakonników wspomina kodeks Cystersów, Bożogrobców i Benedyktynów. Prowizorami, (dzisiaj nazwalibyśmy ich kuratorami) byli kanonicy krakowcy jak: Jan Długosz, Jan z Dąbrówki, i księża profesorowie fakultetu teologicznego; seniorami czyli rektorami bursy młodsi profesorowie fakultetu filozoficznego. Spory, acz niedokładny dla braku źródeł, poczet jednych i drugich podaje autor na str. 12, 13.

Arcyciekawy jest statut: *Statuta collegii Jerusalem*, jaki napisał dla bursy jej fundator w 65 ustawach. Wchodzą one w najdrobniejsze szczegóły nietylko co do przyjęcia do bursy lub do wyjścia z niej, do sposobu odbywania publicznych aktów naukowych i co do moralności, ale obejmują nawet takie rzeczy, jak sprzeczki przy obiedzie, wylewanie brudnej wody przez okno,

stawanie i grzanie się przy piecu, suszenie mokrego obuwia i t. p. Przekraczających te ustawy karze statut grzywną od grosza aż do fertona, który podówczas wynosił 12 złp. 7 groszy. Pomimo tego rygoru statutu, wkradały się z biegiem lat różne niewłaściwości do bursy, albo spory między władzą a podwładnymi. Dla usunięcia złego wydawali biskupi krakowscy, jako kanclerze akademii, albo osobna komisya z profesorów akademii złożona, dodatki do statutu. Takich dodatkowych uchwał jest 17; statut z r. 1492 wymierzony jest przeciw zuchwalstwu i włóczęgostwu uczniów; z r. 1494 przeciw kradzieży; z r. 1533 przeciw zbyt światowym ubiorom akademickiej młodzieży: Żaden z uczniów akademii „niechaj nie chodzi w sukni świeckiej zbyt krótkiej, lub w różny sposób powycinanej, z rękawami na pół otwartemi, albo spuszczonemi, albo innemi, z których ręce wyglądają jak u najemnych kupców albo dworaków, tak że trudno rozeznać akademika od innego światowca. Niechaj się nie waży nosić czapek świeckich wełnianych albo baranich, albo innych futrzanych z spuszczonemi ogonami koło uszu“ i t. d. str. 43. Roku 1552 wszczęła się w bursie zawzięta sprzeczka między seniorem a uczniami, że temu pierwszemu podwójną porcyę mięsa na obiad dawano. Spór ten na korzyść seniora, magistra Wendrogowskiego rozstrzygnął najprzód prowizor, Dr. Jakób z Kleparza, potem rektor akademii, Jan z Sanoka, nareszcie senat akademicki pod karą wypędzenia z bursy, gdyby kto z uczniów śmiał przeczyć prowizorowi przywileju podwójnej porcyi mięsa na obiad.

Liberalny, skłaniający się do protestantyzmu krakowski biskup, Padniewski, pozwolił 1566 r. uczniom bursy nosić ubiór, jaki się im podoba z wyjątkiem sukni *cum longis dependentiis*, z długą peleryną, i nosić broń. Oparł się temu Uniwersytet, i pozwolił tylko na drewniane pałasze dla szermierki. Z końcem XVI i z początkiem XVII w. bursa upadała coraz bardziej dla nieregularnej wypłaty procentów od sum funduszowych. Zamiast 100 uczniów, jak to chciał mieć kardynał Oleśnicki, bywało ich ledwo 20 i to źle żywionych i w walącem się mieszkaniu. Dopiero 1640 r. biskup krakowski, Zadzik, sumą 3000 złp. odnowił bursę; stała ona tam, gdzie dzisiaj nowy uniwersytet, fundusze pomnożył, zamiast 100 chciał mieć tylko 50 alumnów, i wydał osobną ordynacyę, która z małemi zmianami powtórzeniem jest statutu Oleśnickiego. W ciągu XVII i XVIII w. przybyło jeszcze 6 nowych fundacyj, ale dla częstej redukcyi monety i nieregularności wypłat, bursa cierpiała niedostatek, i szczupłą tylko żywiła liczbę alumnów. W skutek rozbioru Polski przepadła większa część kapitałów; bursa „Jeruzalem“ razem z drugą bursą filozofów biskupa Noskowskiego, nie miała więcej nad 1000 złr. rocznego dochodu. Dopiero r. 1821 wyznaczono osobny komitet, który obiedwie bursy, Jeruzalem i filozofów, złączył w jedną, i nadał jej nową ustawę, zatwierdzoną przez senat krakowski, p. t.: „Urządzenie wewnętrzne burs Jeruzalem i filozofów“.

Opracowanie „ustaw“ staranne, wydanie (w drukarni „Czasu“) ozdobne. Porównywując rygor i wybitną cechę katolicko-kościelną, jaką ustawy bursy Jeruzalem na sobie noszą, z dzisiejszym libertynizmem i swywolą akademicką, *licentia academica*, dzisiejszych wyższych instytucyj naukowych, przyjść się musi do przekonania, że tamte dawne, lubo mniej materyału naukowego podawały, wychowywały jednak ludzi, podczas gdy te dzisiejsze kształcą wprawdzie rozum, ale o serce i wolę nie dbają. *S. Z.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Mémoires et souvenirs du baron *Hyde de Neuville.* 1888.

Jeśli walki stronnicze utrudniły rozpoznanie prawdy dziejowej w bieżącem stuleciu, mianowicie we Francyi, rozświeca się ona w tej chwili mnóstwem zagrobowych zwierzeń ludzi, którzy w swoim czasie znajdowali się u steru rządów i zdarzeń. Przed kilkunastu miesiącami ukazały się poważne wspomnienia księcia de Broglie, pamiętniki hrabiego Falloux, których imiona związane są z panowaniem Ludwika Filipa; obecnie zaś rozciekawiają czytelników księgi pamiątek dwóch filarów restauracyi, p. de Villèle i barona Hyde de Neuville. Obaj ci mężowie odznaczali się nieskazitelną prawością charakteru, gorącą miłością ojczyzny i przywiązaniem dynastycznem do panującej rodziny, co ich nie zaślepiało bynajmniej na błędy pchające ostatnich Burbonów do ponownego upadku. O ile jednak Villèle w pośmiertnych zapiskach okazuje się zgryźliwym, o ile twardo i cierpko sądzi spółczesnych, o tyle Hyde de Neuville nierównie łagodniejszym bywa w zdaniach o ludziach i rzeczach, z niewolącą dobrodusznością pisząc, iż nie chciałby nikogo urazić, zwłaszcza z poza grobu. „Nie wielkiej potrzeba odwagi, aby z mogiły własnej ciskać groty, gdybym zamierzał wszystko, co wiem i com widział, opowiedzieć, jużbym to wolał za życia uczynić“... Hyde de Neuville właściwie pamiętników nie pisał. Luźne wspomnienia, notatki urywkowe, poufne zapiski oddał w umiejętne ręce swych siostrzenic, wielce rozumnych osób, które sumiennie i zręcznie rozbite fragmenta w jedną nawiązały całość. A całość to zajmująca i ciekawa. Nie darmo mógł piszący o sobie powiedzieć, iż życie jego zaiste było romansem o niezwykłych przygodach. Zapał dla nieszczęśliwej Maryi Antoniny rychło pasował młodego Neuvilla na przywódzcę spiskowców przeciw rewolucyi, a następnie i przeciw konsulatowi. Pod fałszywem nazwiskiem i przybranem charakterem uwijał się wciąż po różnych stronach Francyi, najczęściej zużytkowując swe lekarskie wiadomości celem ukrycia się zarazem i upowszechnienia wynalazku Jennera. I tak, podczas gdy Napoleon obiecywał nagrodę za dostawienie przywódzcy spisków legitymistycznych, rząd konsularny odznaczał medalem mniemanego doktora, który szczepieniem ospy całe wsie ubezpieczał od zarazy.

Można nawyknąć do niestałości życia i znaleść pewną rozkosz w gorączkowej niepewności losu. Gdy raz Hyde de Neuville z sławnym Cadondalem uchodził przed daleko sięgającą ręką rozsrożonego na opornych Bonaparte'go, dzielny ruchów Wandejskich naczelnik nagle do niego zawołał: „Jeśli kiedykolwiek prawowity król na tron Francyi powróci, sam mu poradzę, aby nas obu kazał rozstrzelać: zanadto bowiem zżyliśmy się z rolą spiskowców, i chyba nic innego już z nas nie będzie“.

Tymczasem, w obec rosnącej potęgi Napoleona, najdzielniejsi szermierze legitymizmu zrozumieli daremność próżnych wysileń, i konieczność jakiegobądź *modus vivendi.* Pani Hyde de Neuville postanowiła dotrzeć do samego zwycięzcy, ażeby otrzymać wymazanie mienia swego małżonka z listy proskrypcyjnej i zniesienia sekwestru z ich majątku. Po uciążliwej drodze, stanęła przed Napoleonem w Schoenbrunn, na kilka dni po wygranej pod Austerlitz.

Ale cesarz nowy nawet w owej chwili tryumfu nie okazał augustowej wspaniałomyślności, owszem, za warunek zniesienia sekwestru położył przymusowy wyjazd barona Hyde de Neuville do Ameryki. Spierać się z wolą potężnego władzcy nie było podobna. Małżonkowie dopłynęli tedy do Stanów Zjednoczonych, gdzie wygnaniec słodził sobie dni tęsknoty i tułactwa, z zapałem kształcąc się dalej w ulubionej medycynie. Studya te pozwoliły mu oddawać znaczne usługi bliźniemu w tych nowych krainach, pozbawionych nieraz wszelkiej lekarskiej pomocy. Żądza dobroczynności natchnęła go też myślą założenia taniej szkoły dla dzieci francuskich wygnańców, których wówczas w Nowym Jorku nie brakło.

W przeczuciu idących wypadków, zatęskniony za ojczyzną, mimo węzłów, które go z nowym łączyły światem, Hyde de Neuville powrócił w r. 1814 do Francyi. Na statku dowiedział się o upadku Napoleona i powrocie Burbonów. Tom drugi obejmuje wspomnienia z czasów restauracyi i pogodny zachód skołatanego burzami politycznemi życia. Podobnie jak książe de Broglie, który w ośmdziesiątym roku życia zamykał swe wspomnienia wykrzyknikiem: *Je tiens la vie pour bonne!* Hyde de Neuville wyznaje, iż nigdy nic, nawet nieszczęście nie zaciążyło nad jego duszą: „Wyznać mogę szczerze, iż mimo rozlicznych prób doznanych w ciągu burzliwego żywotu, zawsze byłem i czułem się szczęśliwym". Kto wie, azali ten zdrowy optymizm, nie zarażony chorobliwą melancholią wieku, nie był głównym powodem moralnej wartości owych ludzi, którzy nigdy nie zwątpili, ani o sprawie, ani o sobie.

Les Aveugles. Par *Maurice de La Sizeranne.*

Filozofia nie od dziś próbuje dociec i określić, jaki wpływ wywiera na rozwój ducha brak jednego zmysłu. Sam ociemniały, dobrowolnie wychowaniem zżywszy się z wspólnikami swej niedoli, pan de la Sizeranne puszcza w świat niepospolitą monografię kalectwa, które, zdaniem jego, nie odejmuje żadnej władzy umysłowi ani sercu, nie daje żadnej odrębności charakterom, skąd wynika, iż odkąd dobroczynne metody nauczania zrównały poniekąd ślepych z widzącymi, całem ich życzeniem jest, aby ich nie traktowano jako nieszczęśliwe wyjątki, lecz ułatwiano im przystósowanie nabytych wiadomości, i przypuszczano do udziału w czynnem i pracowitem życiu Minęły czasy, w których ociemniały fatalnie skazanym bywał na żebracze i próżniacze życie. Wynalazki Walentego Haüy i Ludwika Braille uprzystępniły niewidomym zamknięte niegdyś przed nimi arkusze nauki i sztuki. Nowa się też dla wydziedziczonych otworzyła era, w której nie tylko mile się zajmować, ale jeszcze zarabiać na własne potrafią życie. Spotęgowanie słuchu nie jednych kształci na znakomitych organistów, rozwinięcie czucia w palcach ułatwia im nie jedno rzemiosło, do którego potrzeba ręcznej zręczności. Oto tylko chodzi, aby otworzywszy im bramy wyprowadzające ich z cieniów nocy, nie wtrącać ich ponownie w pomrok bezczynności, przez niedowierzanie pozyskanym talentom i wiadomościom, i przekładanie roboty widzących nad dzieła ociemniałych. Mnóstwo ciekawych spostrzeżeń urozmaica te karty nadzwyczaj zajmujące a pełne niezwykłych rysów i anegdot, stwierdzających poprzednie autora wywody. Towarzysze niedoli pana de la Sizeranne, obsypani jego hojnemi jałmużnami, za największe dobrodziejstwo poczytywać będą niezawodnie tę

książkę, w której poważne głosy upatrują najbardziej wyczerpującą pracę, jaka do tej pory w sprawie ociemniałych napisaną została.

Le duc d'Enghien. Par *M. Welschinger.* Paris. Plon et Nourrit 1888.

Z pośród ofiar ścielących drogę do zwycięstwa cezaryzmowi nowszych czasów, żadna może tragicznością niewinnej i przedwczesnej śmierci nie równa się z losami młodego księcia d'Enghien, ostatniej odrośli dzielnego Kondeuszów domu, żadna też niesprawiedliwość krwawszego na postać Napoleona nie rzuciła cienia. Znalazł się historyk tego krótkiego i podciętego w zaraniu życia, a sumienne opracowanie charakteru bohatera pozwala odgadnąć, jaką stratę poniosła Francya w osobie rozstrzelanego w fosach twierdzy Vincennes młodzieńca. Grała w nim krew walecznych przodków, spotęgowana upokorzeniem, jakiego doznawał z powodu znikczemnienia własnego ojca, któremu wygodne w Londynie życie i namiętne zamiłowanie polowania zastępowały wszelkie wyższe ideały. Korespondencya ks. d'Enghien bardzo delikatnie uwydatnia zespolone uczucia synowskiego uszanowania i męskiego bólu, w obec zachowania się własnego ojca. Tęsknoty wygnania i przedwczesne rozczarowanie życia osładzało mu tkliwe przywiązanie do księżny de Rohan, z którą, jak się zdaje, tajemne zawarł był śluby. Listy dostojnej pani rzewne rzucają światło na dzieje tej miłości, krwawą przerwanej katastrofą. Książę d'Enghien porwanym został za granicami Francyi, na mocy fałszywej denuncyacyi. Obwiniono go o spiskowanie z Dumourier'em, kiedy tymczasem w Ettenheim bawił tylko niejaki p. de Thumery. Germański akcent użytego szpiega zlał w jednobrzmiące dźwięki dwa różne nazwiska, i ta omyłka starczyła, aby ostatniego z Kondeuszów zaprowadzić na śmierć. Na przekór większej części dziejopisów owej dramatycznej sprawy, usiłujących w pewnej mierze uniewinnić Napoleona, przypisując mu zbudzenie się sumienia, chęć wstrzymania katastrofy i cofnięcia wyroku, który niby tylko skutkiem pewnego nieporozumienia i zwłoki miał być wykonanym, p. Welschinger obciąża pamięć władzy całą odpowiedzialnością za śmierć księcia d'Enghien, i zbija porównaniem dat i danych sztuczną legendę, próbującą zmyć z imienia bohatera wieku tę krwawą skazę, którą, wedle słów poety, wciąż mu uprzytomniały rozbijające się u stóp skalistych wyspy św. Heleny oceanu fale

lui jetant le non de Condé.

Autor tej ciekawej monografii próbował skompromitować w tej sprawie i księcia Talleyrand, oskarżając go o spólnictwo w dokonanej zbrodni, którą rzekomo miał radami swemi sprowadzić. Z tego zarzutu oczyszcza go książę de Broglie przypominając, iż pamięć wielkiego dyplomaty już i tak dość jest obciążoną, aby jeszcze nowe i nieuzasadnione przypisywać mu winy. Omyłki zaś w tej mierze są tem łatwiejsze, iż książę Talleyrand wystawił swą pisaną spuściznę na nie lada próbę. Trzymał on przez długie lata przybocznego sekretarza, który nabył niebezpiecznej wprawy w naśladowaniu pisma swego pryncypała, i odesłany za jakieś przewinienie, mścił się odtąd puszczaniem w świat dokumentów, rzekomo ręką Talleyranda napisanych. Trzeba mieć wielką znajomość toku myśli i formy stylu sławnego dyplomaty, aby się nie dać uwieść zupełną tożsamością pisma...

Opis rozwiązania dramatu życia księcia d'Enghien stanowi najlepiej udane i najżwawiej opowiedziane karty niniejszej książki, może trochę tylko

za obszernej, zważywszy, iż śmierć bohatera tej opowieści zostawiła nierównie więcej śladu w historyi, aniżeli krótki jego i nie obfitujący w wypadki żywot.

M.

Rozmaitości.

Życiorys Wielkiej Damy z XVIII w. w Bibliotece Uniwersalnej. Dowiadujemy się, że wydawana w Krakowie *Nowa Biblioteka uniwersalna* zamyśla w najbliższym czasie rozpocząć druk przetłumaczonego na język polski dwutomowego dzieła: *Histoire d'une grande dame du XVIII siècle, par L. Perey. Bibliotekę* nie dawno jeszcze temu czytelnikom naszym zaleciliśmy[1]; podaliśmy również obszerny rozbiór książki P. Pereya[2]; poczuwamy się więc obecnie do obowiązku wyrażenia naszego zdania o zamierzonem wydawnictwie, nie chcąc mieć na sumieniu, jakobyśmy się w czemkolwiek do spopularyzowania tej książki w naszym kraju mieli przyczynić.

Życiorys wielkiej damy bezwątpienia dla historyka jest interesujący, dając smutny ale wierny obraz pewnej części francuskiego, a zwłaszcza naszego społeczeństwa w drugiej połowie zeszłego stólecia. Z tego też powodu i *Przegląd* obszerniej książkę tę rozebrał, przyznając jej nie małe zalety formy i stylu; zwracając uwagę na rozsiane w niej ciekawe szczegóły; nazywając ją „szkicem obyczajów najwyższych sfer XVIII w., błyszczącym i lekkim, jako ludzie, których maluje". Czy tego rodzaju szkic opłaci się na język polski tłumaczyć? Bez najmniejszego wahania odpowiadamy przecząco. Kto z *Życiorysu wielkiej damy* może korzystać, ten niezawodnie przeczytał go już po francusku, dla innych będzie on tylko skandaliczną książką, malującą w nader smutnych barwach kobietę upadłą, noszącą nazwisko głośne w naszych dziejach, ale smutną sławę przynoszącą temu nazwisku; magnata polskiego, co zapomniawszy o czci i honorze, rzucił prawą żonę, a z cudzą żył publicznie. Jakaż korzyść w *popularyzowaniu* tych nie budujących dziejów; czy pobudzą one do większej miłości dla ojczyzny, do czci dla historycznych rodów? Książka p. Perey'a, choćby nawet mogła być dla niejednego pouczająca, w każdym razie i pod żadnym względem nie jest na szersze koła publiczności obliczoną. Jeśli więc komu zależy koniecznie na tem, aby „Wielka dama", która przez całe życie aż do zbytku hołdowała lekkim francuskim obyczajom, a Polką była chyba tylko z nazwiska, choć w książce w polskim stroju mogła się swym admiratorom przedstawić, niechże drukuje polskie tłumaczenie; ale niech je drukuje w którem z ultrademagogicznych pism warszawskich, które z pewnością chętnie mu w tym celu łamy swe otworzy; niech ją ostatecznie drukuje *osobno;* ale jeżeli zapełnić niem zechce *Bibliotekę uniwersalną*, natenczas niech się nie dziwi, jeśli cofnąć będziemy musieli udzielone poprzednio *Bibliotece* zachęty i pochwały, a natomiast ostrzedz naszych czytelników, iż *Biblioteka* przestała być *uniwersalną*, bo bynajmniej odpowiednią lekturą dla wszystkich — starszych i młodszych, w gabinecie i salonie, a tem mniej w plebanii i w szkole — być nie może.

[1] *Przegląd powsz.* 1888. Marzec. Str. 395.

[2] *Przegląd powsz.* 1887. Lipiec. Str. 129—141 i sierpień 1888. Str. 252—269.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Projekt nowych praw antykościelnych we Włoszech. — Ostateczne zamiary Crispiego. — Wyjazd Papieża z Rzymu. — Municypalne wybory w Neapolu. — Nowa kampania przeciw Kościołowi we Francyi. — Mowy francuskich ministrów. — Usposobienie Carnota względem Kościoła. — Walka dzienników przeciw kardynałowi Simorowi. — Telegram biskupa Strossmeyera.

Od kilku już miesięcy nie ma dnia, w którym dzienniki nie przyniosłyby nowych jakich szczegółów, świadczących o coraz bardziej zaostrzającem się, coraz bezwzględniejszem prześladowaniu Kościoła we Włoszech. Po uchwaleniu *Kodeksu karnego*, skierowanego wręcz przeciw Kościołowi i zredagowaniu w tejże samej myśli *Prawa municypalnego*, Crispi na najbliższej, styczniowej sesyi przedstawić ma parlamentowi cały szereg nowych praw, które godnem będą uwieńczeniem rozpoczętego dzieła. Oto kilka z tych praw i projektów, jak je już dziś w najogólniejszych zarysach podają włoskie, a za nimi zagraniczne dzienniki:

1) Prawo oddające wyłącznie państwu w ręce wychowanie ludowe, czyli prawo laicyzacyi szkół.

2) Projekt do nowego prawa o rozwodach.

3) Projekt reorganizacyi dzieł pobożnych; — mówiąc dokładniej — projekt skonfiskowania ostatnich funduszów, którymi jeszcze Kościół we Włoszech rozporządza.

Jak widzimy, Crispi nie staje w pół drogi; przeciwnie, z gorączkowym pośpiechem rzuca się w wir walki na wszystkich odrazu punktach, kopiuje jednocześnie majowe prawa berlińskie, jak i radykalne dekrety paryskie. Jaka przyczyna tego „napadu wściekłości", jak się wyraża *Défense?* Czy uroczystości jubileuszowe, które będąc apoteozą papiestwa, napoiły goryczą kwirynalskich gości? Czy jawna niezgoda między moralnością, której Papież jest najwyższym stróżem i tłumaczem, a prywatnem życiem włoskiego ministra? Czy chęć ustalenia chwiejącej się władzy i ugłaskania ateuszów i demagogów, rzuceniem im na pastwę Kościoła i Papieża, skoro monarchii i króla rzucić jeszcze nie czas? Czy, jak domyśla się *Journal des Débats*, Crispi pochlebia sobie, że zmusi Leona XIII do kapitulacyi i doprowadzi go, jeśli już nie do jawnego uznania praw gwarancyjnych, to przynajmniej do upoważnienia katolików do wzięcia udziału w wyborach i pracach parlamentarnych?

Dwór i dawne stronnictwo umiarkowane bardzoby sobie podobno tego współudziału katolików życzyło, wiedząc, że bez ich pomocy nie uda się wytworzyć silnej partyi konserwatywno-monarchistycznej, na której królowi tembardziej w tej chwili zależy, że, jeśli prawda, co piszą gazety, książe Bismark domaga się usilnie od swego sprzymierzeńca wzmocnienia w parlamencie włoskim konserwatywnych żywiołów. Inna kwestya, czy droga, przez rząd włoski wybrana, doprowadzić może do tego celu; czy nie zmusi ona, jak coraz częstsze odzywają się głosy, Papieża do opuszczenia Rzymu i poszukania bezpieczniejszego przytułku? Crispi osobiście ucieszyłby się wprawdzie niemało z wyjazdu Papieża, a *Osservatore Romano* wprost nawet twierdzi, że ostatnie prześladowcze kroki przeciw papiestwu wymierzone bezpośrednio do tego celu zdążają; ale z zapatrywaniami Crispiego, podobnie jak w r. 1871, tak i dziś jeszcze niewielu tylko i to najczerwieńszych radykałów się godzi. Cóż może nam zaszkodzić wyjazd Papieża? pytają niektóre włoskie dzienniki. „Trzeba być bardzo lekkomyślnym, odpowiada „liberalny *Phare du Bosphore*, aby na seryo takie pytanie posta„wić. Wyjazd ten zadałby najprzód wielki cios materyalnej po„myślności stolicy włoskiej, bo Rzym żyje głównie z papiestwa. „Ale cios ten byłby jeszcze niczem w porównaniu z prawdopo„dobnemi następstwami w dziedzinie polityki wewnętrznej. Papież

„wypędzony z Rzymu, nie będzie mieć nadal żadnego powodu do „zachowywania jakichbądź względów dla rządu włoskiego; użyje „więc broni, którą ma w ręku: nietylko wyklnie swych wrogów, „ale na całe królestwo rzuci interdykt. Cały niemal lud włoski jest „szczerze katolicki, bo wolnomyśliciele rekrutują się wyłącznie „z mieszczaństwa i szlachty; — kiedy lud ujrzy kościoły swe zam„knięte, kiedy nie będzie mógł się spowiadać i do Sakramentów „uczęszczać, natenczas wybuch rewolucyi będzie niemal nieunikniony, „ale tym razem rewolucya skieruje się przeciw p. Crispiemu". Bezwątpienia, opuszczenie Rzymu przez Papieża, jest krokiem ostatecznym, a wszelkie pogłoski, jakoby o powziętych już w tej mierze postanowieniach, należy przyjmować z nadzwyczajną ostrożnością; kardynał Schiaffino nie wyjechał bynajmniej do Belgii, jak to doniosły niektóre dzienniki, w celu wynalezienia Papieżowi odpowiedniego schronienia; nie szukano też dotąd jeszcze takiego schronienia ani na Malcie, ani w Tyrolu; — czy jednak niebawem smutna konieczność i tego nieobrachowanego w następstwach kroku nie doradzi, czy może nawet tajemnie lub jawnie przez rząd wspierany motłoch z Włoch całych sprowadzony, nie odegra rewolucyjnej komedyi i nie zmusi Leona XIII do opuszczenia Watykanu — to inne pytanie, na które w obec całej przeszłości, dotychczasowych czynów i znanych zamiarów Crispiego, nie tak łatwo dać z góry przeczącą odpowiedź.

Najnowsze municypalne wybory w Neapolu były nowem dowodem, jak dalece dzisiejszy rząd w środkach nie przebiera, byle dopiąć swych zamiarów. Wysłany przez Crispiego powiernik i przyjaciel, Nicotera, już nie jak dotychczas intrygami, ale wprost brutalną siłą postanowił przeprowadzić i przeprowadził liberalną listę. Oczom wierzyć się nie chce, czytając w dziennikach opis gwałtów, przez popleczników rządu z jego polecenia spełnionych, o których mniemano dotychczas, że chyba tylko w jakiej rzeczypospolitej południowej Ameryki są możliwe. W jednej sekcyi liberali przystąpili do głosowania z rewolwerami w ręku, grożąc śmiercią katolikom; w innej otoczyli urny żelaznym pierścieniem, nie dozwalając absolutnie głosować żadnemu katolikowi; w innej jeszcze rzucali do urn z niewypowiedzianym cynizmem całemi garściami kartki z nazwiskami swych kandydatów, a kiedy prezes i pierwszy

skrutator zaprotestowali przeciw temu zbyt jawnemu skandalowi, wypchnęli ich z sali i — rzecz prosta — ogłosili niebawem zupełną klęskę katolików. Nadużycia tak były widoczne, że nawet znany z swych ultra-liberalnych zasad *Corriere di Napoli* z oburzeniem przeciw nim wystąpił: „Nie ma wątpliwości, wyznaje ten „pierwszorzędny organ neapolitański, że liberali zawdzięczają zwy„cięstwo jedynie presyi rządowej i hańbiącym oszukaństwom". Pytacie, odzywają się znów katolickie dzienniki, czemu nie bierzemy udziału w wyborach do parlamentu? Wybory neapolitańskie najlepszą dadzą wam odpowiedź; w uczciwej walce katolicy pewni są wygranej, ale jak walczyć ze siłą, kłamstwem i zdradą?

Figaro w rzymskiej korespondencyi streszcza dosadnie dzisiejsze położenie Kościoła we Włoszech „Płyniemy na wezbranem morzu kulturkampfu"; te same słowa z niemniejszą słusznością za stosować można i do Francyi. Jakby na dany sygnał posypały się tutaj i głośnem echem po całej Europie rozbrzmiały coraz szkaradniejsze oskarżenia przeciw duchowieństwu, zakonnikom i kierowanym przez nich szkołom. Najgłośniejsze z tych oskarżeń wymierzone przeciw zakładowi poprawczemu w Citeaux i zakładowi głuchoniemych w Soissons, okazały się niebawem haniebnemi, a jak wszelkie prawdopodobieństwo za tem przemawia, z góry przez kilku wrogów Kościoła ukartowanemi oszczerstwami. Dawni uczniowie z Citeaux wystąpili w publicznie ogłoszonym proteście bardzo energicznie w obronie swych nauczycielów; sądy wypuściły już na wolność oskarżonych; ale znaczna część dzienników, która przez wiele dni zapełniała długie kolumny: „niemoralnemi historyami w Citeaux", nie wspomniała naturalnie dla niezepsucia efektu o ostatecznym wyniku sądowego śledztwa, a „nadużycia w Citeaux" będą prawdopodobnie odtąd figurować, jako jeden z głównych dowodów przeciw zakonom i katolickim szkołom. Zresztą niema niemal dnia, żeby która z gazet nie wystąpiła z nowem jakiem odkryciem, mającem świadczyć o strasznem zepsuciu i nadużyciach panujących zwłaszcza w katolickich zakonach. Tak np. kilka prowincyonalnych gazet skomponowało cały romans o nieszczęściach i smutnych przygodach dwóch Urszulanek z Saint-Flour w Aurillac, które mimo wszelkich usiłowań nie mogły się wydostać na wolność; inne dzienniki ułożyły niemniej sensacyjny romans o Ur-

szulankach z Grenobli; a jeszcze inne doniosły z przerażeniem, że jakaś zakonnica pociągnęła parę dzieciaków za uszy. Z wszystkich tych historyj, ostatnia tylko opiera się podobno na prawdzie; komicznem tylko jest, że kiedy biedne dzieciaki stanęły przed sądem, i kazano im świadczyć przeciw Siostrom, zapanowało tak głuche milczenie, że zniecierpliwiony sędzia, targając również za uszy czy za włosy, do przemówienia je skłonił. Nie wiedzieć, — zapytać można z dziennikami, które o wiele liczniejszą wiązkę podobnych faktów podają, — śmiać się, czy płakać?

Cała ta niecna kampania przeciw Kościołowi i jego instytucyom podjęta, znajduje zachętę i podnietę nie tylko w radykalnych dziennikach, nie tylko w uchwałach czerwonej rady miejskiej paryskiej, ale nie mniej w całem postępowaniu i cynicznych mowach francuskich ministrów. Floquet, odpowiadając w Tours na wzniesione na swoją cześć toasty, zapowiedział na przyszłą parlamentarną sesyę nowy rządowy projekt o stowarzyszeniach, mający być nieodzownym wstępem do przeprowadzenia zupełnej laicyzacyi rzeczypospolitej francuskiej. Otwarciej jeszcze wypowiedział projekty swoje i swoich kolegów minister robót publicznych, Deluns Montaud:

„Obchodzimy stuletni jubileusz wielkiego a pamiętnego roku 1788; roku, w którym rozpoczęła się wielka rewolucyjna, naukowa i pozytywna kryzys, co doprowadzi nakoniec człowieka do panowania nad własnem sumieniem i rozumem, uwalniając go od więzów wszelkich teologicznych i metafizycznych pojęć, czyniąc go w ten sposób własnym swym papieżem a zarazem cesarzem".

Czy w obec takiego usposobienia ministrów, prezydent Carnot mógłby wpływem swym zwolnić dzisiejsze prześladowanie Kościoła we Francyi, choćby tego istotnie chciał i czuł potrzebę, jak się tego niektórzy z początku jego rządów spodziewali? Prawdopodobnie nie mógłby, ale sądząc z ostatniej podróży po Francyi, to rzecz bardzo wątpliwa, czy dzisiejszy prezydent, mimo pewnych dobrych chęci i prawości charakteru, rozumie, czem jest Kościół, jaka jego rola i posłannictwo na ziemi; czy w obronie Kościoła kiedykolwiek energiczniej stanie. Na bardzo pochlebną przemowę biskupa z Grenobli, Carnot odpowiedział:

„Jesteśmy rządem pojednawczym. Przekonany jestem, że ks.

Biskup o tem nie zapomnisz, i że duchowieństwo Twej dyecezyi żywi też same uczucia".

Biskup z Valence, Mgr. Cotton, przedstawiając prezydentowi kler sobie podwładny, zapewniał, że wszyscy księża gotowi są do poniesienia wszelkich ofiar dla Francyi i francuskiego ludu".

„Pragnąłbym, rzekł Carnot, posłyszeć jeszcze jeden wyraz: gotowi są do ofiar dla Francyi, ludu i naszych instytucyj".

„Przez chwilę, — opowiada to zajście *Messager de Valence* — zapanowało w sali przejmujące milczenie; poczem biskup głosem silnym odparł:

„Pozwól mi powiedzieć sobie, Panie prezydencie, że instytucye te miałyby w nas daleko gorętszych zwolenników, gdyby rzeczpospolita hasłu swemu była wierniejszą, i dała nam wszystkim wolność, dała nam wszystkim równość w obec prawa, dała nam istotne i prawdziwe braterstwo. Kler z Walencyi niezmordowanie naukę tę głosi".

„Wszak wiesz doskonale, księże Biskupie, rzekł Carnot, że tolerancya znajduje się w liczbie fundamentalnych zasad naszego rządu".

„My też z naszej strony, zakończył biskup rozmowę, nigdy przeciw tolerancyi nie wykraczamy".

Dzienniki rewolucyjne niesłychanie oburzyły się śmiałością, z jaką przemawiał biskup Walencyi; śmiałością, którą każdemu ze swych stronników poczytałyby za heroiczny, obywatelski czyn. Mniejsza o tę niekonsekwencyę; ważniejsze pytanie, czy Carnot wierzył własnym słowom, czy nie wierząc chciał tylko utartemi formułkami ratować się z trudnego położenia? Jakakolwiek odpowiedźby na te pytania wypadła, nie wzbudza ona zbyt różowych nadziei w dzisiejszym prezydencie rzeczypospolitej; Carnot sam do prześladowania pchać nie będzie, może nawet usunie jakie zbyt jaskrawe nadużycie; ale prawdziwej tolerancyi z pewnością nie wprowadzi, oprzeć się dzisiejszemu antyreligijnemu prądowi nawet nie będzie na seryo próbował.

Wielka burza, szczęściem tylko dziennikarska, zerwała się w ostatnich tygodniach przeciw tak bardzo zasłużonemu dla Kościoła węgierskiemu prymasowi, Simorowi; a burza ta podejrzeń, oskarżeń i insynuacyj zerwała się jednocześnie na tak wielu różnych punktach,

że mimowoli rodzi się podejrzenie, czy cała ta kampania z góry nie była ułożoną. Zaledwie *Pesti Hirlap* doniósł z przerażeniem swym czytelnikom, że prymas w utrzymywanem przez siebie seminaryum nauczycielskiem w Tyrnawie nie chciał uznać juryzdykcyi przysłanego przez ministeryum inspektora; aliści *Pester Lloyd* oskarżył go wręcz o karygodną słabość dla panslawistycznych machinacyj; a niebawem wszystkie żydowskie dzienniki peszteńskie i wiedeńskie umieściły zgodnie długie, sensacyjne telegramy i artykuły o „pałacowej rewolucyi“ w Ostrzyhomiu, opowiadając, że najlepszy przyjaciel prymasa i dotychczasowy jego sekretarz, *Seda*, zrezygnował z zajmowanego urzędu i myśli nawet o apostazyi; a dyrektor kancelaryi, kanonik *Rajner*, nie mogąc również pogodzić się z wojowniczym kardynałem, podał się do dymisyi. Coś się popsuło w kardynalskiem królestwie, wołała z tryumfem *Neue Freie Presse* i pokrewne jej duchem gazety; rząd węgierski nie potrzebuje wypowiadać *kulturkampfu*, którego podobno w otoczeniu prymasa nie mało się w ostatnim czasie lękano, bo wewnętrzne niesnaski lepiej od wszelkiego kulturkampfu przyczynią się do ukrócenia zbytniej a państwu szkodliwej potęgi wyższego duchowieństwa węgierskiego. Tryumf był wielki, ale krótki; ledwie dni parę upłynęło, a już okazało się dowodnie, że wszystkie oskarżenia przeciw Simorowi wypłynęły niemal wyłącznie ze zbyt bujnej fantazyi reporterów, dręczących się czem zapełnić szpalty w jałowej w sensacyjne nowiny porze letniej. Konflikt z rządem w sprawie egzaminów właściwie nigdy nie istniał, gdyż prymas, jak głośno sam oświadczył, chętnie zawsze widział w swych zakładach przedstawiciela rządu, który o postępach uczniów mógłby się sam przekonać. „W samymże Ostrzyhomiu, mówić miał prymas do kore„spondenta *N. Pester Journal*, sadzam zawsze koło siebie w czasie „egzaminów inspektora rządowego, i z wielkiemi honorami go traktuję, „aby wszyscy obecni widzieli, jakim szacunkiem otaczam przedsta„wiciela władzy rządowej. Inspektor pyta i urząd swój spełnia „w powierzonym sobie zakresie. Tak samo rzecz się miała dotąd „w Tyrnawie i tak samo mieć się będzie na przyszłość“. Na słabszych jeszcze podstawach opiera się wprost już śmieszny zarzut o sprzyjanie panslawizmowi; kardynał domaga się, aby księża pracujący między Słowakami, mówili do nich kazania w ojczystym ich

języku; nie chce i jako katolicki kapłan chcieć nie może, aby Kościół użytym być miał za narzędzie madjaryzacyi: oto cała jego wina, a raczej wielka, najwyższych pochwał godna zasługa. Wreszcie i głośna „pałacowa rewolucya“ okazała się po bliższem zbadaniu wierutną bajką, w której tyle jedynie było prawdy, że istotnie również *Seda* jak *Rajner*, obaj z powodu silnie nadwątlonego zdrowia nie mogli nadal piastować zajmowanych dotąd urzędów. Lecz choćby, słusznie uważa *Vaterland*, podane wiadomości opierały się na prawdzie, choćby *Rajner* pogniewał się z Kardynałem, a *Seda*, dlatego że nie otrzymał upragnionego stanowiska, nawet protestantem chciał zostać — cóż z tego wszystktiego wynikałoby? Nic innego, jak to, co w dziejach Kościoła nie raz już powtarzało się, a niestety! i nieraz jeszcze pewnie się powtórzy, że wdzięczność nie zawsze w parze idzie z otrzymanemi dobrodziejstwami; że ambicya niepohamowana zaślepia nieraz ludzi nawet najzdolniejszych i na samo dno przepaści ich prowadzi. Żydowscy dziennikarze chcieli rzucić kamieniem na węgierskiego prymasa; w rzeczywistości zelżyli tylko tych, których słusznie, czy niesłusznie na bohaterów swego obozu zamierzyli sobie pasować: Sedę i Rajnera.

O wiele niemilszem echem odbił się, a co najsmutniejsza, odbić się musiał i w szczerze katolickich kołach, telegram biskupa Strossmeyera do komitetu urządzającego uroczystości kijowskie. Telegram ten, o którego autentyczności wątpiły w pierwszej chwili niektóre dzienniki, sprzyjające biskupowi, ale któremu dziś zaprzeczyć niepodobna, brzmi jak następuje:

„Mam honor wziąść udział z najżywszą radością w dzisiejszej waszej uroczystości. Wiara święta, dziedzictwo św. Włodzimierza, jest zmartwychwstaniem i życiem, światłem i sławą dla wielkiego rosyjskiego narodu. Niech Bóg błogosławi Rosyi i dopomaga jej do wypełnienia w prawdziwej wierze, z pomocą Bożą, z chrześcijańskiem bohaterstwem i wszystkich innych zleconych sobie zadań i tej zwłaszcza wszechświatowej misyi, którą Bóg jej poruczył. Oto szczere pragnienie mego serca. Upraszam o wyrażenie tych moich uczuć wszystkim braciom, którym składam przyjacielskie powinszowanie i ojcowskie błogosławieństwo“.

Być może, i radzi temu wierzyć pragnęlibyśmy, że biskup Strossmeyer dobrał tylko nieodpowiednich słów do wyrażenia myśli zgodnych z godnością biskupa katolickiego, z charakterem austryackiego obywatela, z dogmatami katolickiej wiary. Przekonani je-

steśmy, że Strossmeyer nie jest ani „renegatem“, ani „zdrajcą“, jak go nazwały wiedeńskie i peszteńskie dzienniki; ale z drugiej strony nie podobna telegramu tego w zupełności uniewinnić, jak to próbuje uczynić *Vaterland*, rozbierając zdanie za zdaniem, słowo za słowem, i dowodząc sofistycznie, że każde zdanie i słowo z osobna można na dobrą stronę wytłumaczyć. Gdyby sam biskup tego rodzaju tłumaczenie podpisał, miałoby ono może jeszcze jakieś znaczenie; w dziennikarskim artykule, w obec przytoczonego tekstu telegramu, raczej szkodzi, niż pomaga. Sądząc z tego, co wiemy, gorący obrońca Słowiańszczyzny dopuścił się w zapale walki kroku co najmniej nietaktownego; a krok ten równie w Watykanie, jak w Wiedniu nie mógł wywrzeć miłego wrażenia; inna kwestya, jakie krok ten pociągnie za sobą następstwa, i czy sprawdzą się przepowiednie dzienników o bliskiem złożeniu Strossmeyera z Djakowackiej stolicy.

Ks. Jan Badeni.

Listy z nad Bałtyku.

XVI.

Dorpat. — Geograficzne położenie. — Historyczna przeszłość. — Dawne kościoły. — Zaprowadzenie reformacyi. — Universitas Gustaviana. — Dzisiejszy uniwersytet. — Zakłady naukowe; fabryki, stowarzyszenia. — Mieszkańcy Dorpatu wedle narodowości i wyznania. — Kościół katolicki. — Ksiądz Kossowski.

Zaznaczając już w pierwszym liście naszym jak wielkim jest dotąd zamęt pojęć o kresach baltyckich w zachodniej Polsce, nie wahaliśmy się wykazać powodów utrudniających rozjaśnienie nieznajomości tych ziem niegdyś polskich.

Jeśliśmy wspomnieli, iż w liczbie tych powodów niepoślednie zajmuje miejsce mania wielu piszących rozprawiania bezkarnie z wielką powagą a jeszcze większą zuchwałością o przedmiotach najzupełniej im obcych, — to na poparcie powyższego twier-

dzenia mógłby nam dzisiaj posłużyć artykuł *Dorpat*, ogłoszony w ogólnie znanej a już w poprzednim liście przytaczanej dwudziesto-kilku-tomowej „Encyklopedyi powszechnej“ Orgelbranda (Tom VII, str. 320—324). Artykuł ten bowiem stanowi istny galimatyas potwornych i najdziwaczniejszych kompilacyj i wymysłów, ukoronowanych podziałem mieszkańców tego miasta na *kasty* (sic!), czemu już chyba i w Zachodniej Polsce nikt z poważniejszych czytelników tak łatwo wiary dać nie mógł [1].

Postarajmy się oznaczyć czytelnikom w ogólnych zarysach charakter tego jedynego w krajach nadbałtyckich miasta uniwersyteckiego, z którem losy naszych okolic kresowych jak najściślej są związane.

Dorpat, miasto powiatowe a przedewszystkiem uniwersyteckie, w guberni inflanckiej czyli ryskiej, w jej części przez Estów zamieszkałej, nad spławną rzeką Embach, przez którą tu rzucono wspaniały most z ciosowego kamienia (granitu) z dumnym napisem: *Siste flumen, Catharina II jubet!*, stanowi — z wyłączeniem Rygi — gród najokazalszy w obrębie całych Inflant, w oddaleniu mil 39 od Rygi a 15 mil od stacyi Taps kolei żelaznej baltyckiej, w położeniu wzgórkowatem i niezwykle malowniczem, wytworzonem przez dolinę strumienia Embachu, a której schyłek prawy od lewego o metrów trzydzieści do czterdziestu pięciu jest wyższym, co mianowicie w miejscu zajętem przez sam Dorpat silnie się uwydatnia. Ręka ludzka okopami bardziej go jeszcze udoskonaliła.

Wytworzone tym sposobem dosyć znaczne wzgórze — obecnie tak zwany *domberg* — oraz brzegi tej najpiękniejszej części Em-

---

[1] Ciekawy ten ustęp wart dosłownego przytoczenia. „Mieszkańców Dorpatu“ — są słowa świetnego artykułu *quasi-naukowego* — „możnaby na trzy „podzielić klasy, z których dwie składają osobne kasty, trzecia zaś korpora„cyą, lubo i ta ma swoje zwyczaje i przesądy właściwe odrębnej kaście. „Dwie pierwsze są tak zwane *Fonerya (!)* czyli arystokracya i *Knotowstwo (!)* „czyli niższe mieszczaństwo — knot ma znaczyć *ignotus (!)* nieświadomca (!) — „trzecią nakoniec jest *Burszerya*, korporacya złożona z gimnazistów (!), aka„demików, profesorów, oraz z tych wszystkich, co kiedyś należeli do wielkiego „uniwersyteckiego ciała. Każda z tych klas żyje w swojem jedynie kółku, uni„kając stosunków z dwiema innemi. Więcej dobrego tonu spotyka się w Fo„neryi, więcej ruchu i życia w Burszeryi“. Obacz *Encyklopedya powszechna Orgelbranda*. Tom VII, str. 323.

bachu, przez wszystkich baltyckich uczonych za ziemię klasyczną Estów są uważane. „Tu miało niegdyś istnieć urocze siedlisko pier-„wszych ziemi mieszkańców, tu bożek poezyi *Wannemunne* wzru-„szające swe hymny wyśpiewywał, tu się gotowały *(wurden gekocht)* „rozmaite języki ludzkie, tu w pobliskim strumieniu leży błyska-„jący i śpiewający miecz Kalewida“ [1].

Był więc dzisiejszy *domberg* — obecnie własność uniwersytetu dorpackiego, zanim go muzy swoim poświęciły usługom, ni mniej ni więcej jak parnasem bogów północnych, a legenda wieszczów estońskich otoczyła go kwiecistym wieńcem poezyi, który o całych lat tysiąc jest starszym od owych cudnie tam rozrośniętych gajów i cienistych alej, przez których gałęzie oko młodego dorpackiego studenta spogląda dzisiaj z zachwytem na leżący u stóp jego „północny Heidelberg“.

Lecz już na początku XI stulecia ulotnił się ów urojony świat bogów ulegając sile rzeczywistości.

Około roku 1030 przybywa bowiem ze swoim dzikim orszakiem nad brzegi Embachu kniaź ruski imieniem Juryj — inni zwą go Jarosławem I —, wznosi tu gród warowny i nadaje mu imię „Jurjew-Liwonskij“.

Estowie, którym on pewne nakłada daniny, byli już oczywiście coś zasłyszeli o plemionach tatarskich, zbliżających się od wschodu ku zachodowi, gdyż ów przez wschodnich przybyszów nowozałożony gród nazwali oni *Tarto-Lin*, co znaczy *gród tatarski*, i zanim jeszcze zabrzmiały poetyczne skargi lirników litewskich na obcych zaborców, już sobie utworzyli estońscy „mammesi“ ową powszechnie znaną zwrotkę żałośną: „Szkoda, że mile słoneczko i do „nas od strony wschodu przybywa“!

Dwieście lat przebywają nad Embachem ruscy władcy, ale innych powinności od miejscowych tubylców nie wymagają jak opłacanie daniny, przy wybieraniu jakowej od czasu do czasu dziki ich orszak nielitościwie plądruje estońskich tuziemców. O ustano-

---

[1] Obacz: *Verhandlungen der gelehrten estnischen Geselschaft zu Dorpat.* (Dorpat i Lipsk 1846) Tom I, str. 38–47. *Estnische Sagen von Dr. F. R. Fählmann* a mianowicie artykuły dra Fählmana: *Sagen die sich auf Dorpat und seine nächste Umgebung beziehen* (str. 40), następnie *Wannemunne's Sang* (str. 42) i ciekawe w swoim rodzaju *Das Kochen der Sprachen* (str. 44).

wieniu jakichbądź rządów, o ogłoszeniu chrześcijaństwa niema nawet i mowy.

Około roku 1223 Wiaczko, wasal ruski, który czas jakiś nad brzegami Dźwiny władał był warownią Kokenhuzką, położoną w słynnej ze swej malowniczości okolicy, znanej już czytelnikom *Przeglądu powszechnego* z artykułu: *Słupi Róg i jego stosunek do poezyi ludowej Łotyszów naddźwińskich*“ [1], z której atoli za wyrządzane wszędzie do koła mordy i pożogi ostatecznie został wygnanym, — zagrabia ów tak zwany *gród tatarski*, obwarowuje go mocniej, ściąga doń awanturników, rabusiów i zbiegów najrozmaitszych, a za ich pomocą poczyna robić najazdy po kraju okolicznym, przy czem popełnia ciągłe mordy i pożogi, a okryty łupem bogatym chroni się zawsze bezkarnie do silniej teraz obwarowanej „Tartoliny“.

Nienawiść, którą pałał ku ludziom zwracała się w szczególności do owych obcych w pancerze zbrojnych „mężów żelaznych“, którzy już od lat kilkudziesięciu byli się usadowili u dolnego biegu Dźwiny, stamtąd zaś coraz bardziej posuwali się na północ, a przez plemiona estońskie „Saxami“ byli nazwani, wyrażenie jakiem zresztą Esty i dotąd oznaczają „Niemca“ w ogóle a w szczególności „pana“. Wiaczko zaś, jeszcze z czasu swego przebywania nad Dźwiną, pałał wielką nienawiścią ku rycerzom niemieckim, przeciw którym, pod pozorem przyjaźni, nieustanne knował zdrady, za co też oni gród kokenhuski z ziemią byli zrównali, a jego do sromotnej ucieczki ku stronie Moskwy zmusili.

Bezkarnie i teraz nie dozwolili rycerze katoliccy Wiaczkowi najeżdżać swych granic. Wystąpili oni przeciw niemu od strony południa z wielką potęgą, uzbrojeni w dziryty oraz najrozmaitsze narzędzia oblężnicze.

Kawaler mieczowy *Jan de Appeldern*, — brat ówczesnego biskupa liwońskiego a założyciela Rygi i jej odwiecznej katedry — dowodził tymi walecznemi hufcami. On to, wraz z dzielnym sługą swoim, Piotrem Ogusem, był pierwszym, który, po kilkutygodniowem oblężeniu, stanął zwycięsko na wałach tak zwanego „Jurjewa“ i rzucił weń pożogę.

---

[1] Obacz *Przegląd powszechny*. Tom VI, str. 200—210.

Za dzielnym wodzem ruszyły i tłumy oblegających.

Wiaczko i jego towarzysze padają pod mieczem katowskim, Jurjew czyli „gród tatarski“ obrócony w pierzynę. Jednego tylko z mieszkańców zostawiono przy życiu, i posadziwszy go na konia, odesłano do Nowogrodu, aby tam mógł głosić o tem, co stało się z Wiaczkiem.

Wprawdzie powstają teraz okoliczni Esty i niezliczone tłumy plemiom ruskich przybiegają im na pomoc od strony Pskowa i Nowgorodu; ale te tłuszcze niesforne zajmują się przeważnie plądrowaniem resztek zniszczonego już Jurjewa, gdy tymczasem kawalerowie mieczowi odbijają nieprzyjaciół i stałe w tym kraju ustanawiają rządy.

Hermam biskup lealski przesiedla się tutaj, głosząc tu po raz pierwszy naukę Chrystusa. Z rumowisk dawnego „grodu tatarskiego“ powstaje miasto nowe, zwane *Dörptem* (po łacinie *Tarbatum*) i staje się ogniwem środkowem przezwanego od niego biskupstwa derpskiego, gdy tymczasem tenże świątobliwy biskup rzymsko-katolicki wznosi na olimpie estońskim pod wezwaniem św. Dyonizego najpiękniejszy tum gotycki, jaki kiedykolwiek posiadały kraje nadbałtyckie, a którego opisowi jużeśmy w liście X parę stronnic poświęcili.

Stanowisko tak miasta jako i biskupstwa wzrasta z roku na rok. W roku 1245 wszystkie ziemie o mil kilka w około Dorpatu już najzupełniej do biskupa należą, a wkrótce wchodzą jego posiadłości aż w granicę ziem ruskich.

Następuje epoka najświetniejsza miasta. Za potrójnym murem, którym teraz Dörpt (dzisiejszy Dorpat) opasano, rozkwita nowe zupełnie życie; handel i przemysł podnoszą się, mieszczaństwo wzrasta w siłę a wkrótce tak dalece potężnieje, że się stara wyzwolić z pod władzy świeckiej biskupa i kapituły. Na brzegach Embachu wytwarza się miejsce składowe wielkiego znaczenia, zarówno na towary sprowadzane ze Wschodu dla Europy, jako też i na wytwory przemysłu flamandzkiego lub niemieckiego a przeznaczone na okolice ruskie.

Towary przychodzące ze Wschodu znaczne cła tu opłacać muszą, a cała baczność mieszczan dorpackich na to zwrócona, ażeby liczne transporta nowej sobie nie wynalazły drogi. To też czynny

biskup Frydryk najsrożej poleca wójtowi nowozałożonego na granicy ruskiej zamczyska Neuhauzeńskiego, aby pod żadnym pozorem nie przepuszczał karawan moskiewskich, dążących tamtędy przez Kokenhuzę do Rygi.

Ale i w państwie związkowem inflanckiem miasto Dorpat niepoślednie zajmuje teraz miejsce, gdyż w związku z Rygą i Rewlem czwartą tworzy kuryę, a posłów swoich na sejmy cesarstwa niemieckiego ma prawo wysyłać. Na jednym z tych sejmów w r. 1397 stwierdza uroczyście autonomię Dorpatu wielki mistrz krzyżacki, *Konrad Jungingen*, poprzednik i brat rodzony wielkiego mistrza Ulryka Jungingena, którego pomiędzy poległymi w dniu 15 lipca 1410 r. pod Grunwaldem uwiecznił pędzel Jana Matejki w znanym powszechnie obrazie historycznym.

Przywileje mocarzy tak krajowych jako i zagranicznych bronią wzrastającego coraz bardziej handlu Dorpatczan, a rada miejska otrzymuje nie tylko prawo ogłaszania bez apelacyi wyroków śmierci i bicia monety pod stemplem miastowym, ale nawet i tak zwaną *jurisdictio in nobiles*, której niejednokrotnie z wielką surowością używa.

Jedną z głównych przyczyn ówczesnej potęgi Dorpatu było niewątpliwie to, że należał do miast hanzeatyckich i posiadał warsztaty do budowy statków pośredniczących w handlu z Nowgorodem przez olbrzymie jezioro Pejpus, z którem go łączy rzeka Embach.

O wspaniałości miasta sądzić można z odkopywania fundamentów gmachów starożytnych, świadczących dosadnie o ich świetności i obszarach przez nie zajmowanych. Pomiędzy nimi dawnych kościołów katolickich naliczono dotąd aż jedenaście. Są to, oprócz wspomnianej już wyżej katedry św. Dyonizego, kościoły: *N. P. Maryi*, św. *Jana*, św. *Mikołaja*, św. *Marcina* (a przy nim klasztor nadzwyczaj obszerny), św. *Katarzyny* również z klasztorem o wielkich rozmiarach, następnie kościół zamkowy czyli tak zwana *Schlosskirche*, o której to wspaniałej świątyni wiemy, iż stała na miejscu dzisiejszego obserwatoryum astronomicznego, nakoniec nie mniej obszerne kościoły św. *Jerzego*, św. *Antoniego* i św. *Anny*. Wszystkie te domy Boże istniały jeszcze pod koniec XVI stulecia. O ich to piękności rozwodzi się pełniący podówczas obowiązki sekretarza przy wielkim kanclerzu Janie Zamoyskim urzędnik kan-

celaryi królewskiej, ksiądz Jan Piotrowski w liście z dnia 22 lutego 1582 r. do wielkiego marszałka koronnego Jędrzeja Opalińskiego, któryśmy już w innym miejscu przytaczali.

Znaczną być musiała i ludność dawnego Dorpatu, gdyż za rządów biskupich w czasie morowego powietrza zginęło 15.600 ludzi, nie zrządziwszy wielkiego uszczerbku w ludności, jak utrzymuje kronikarz.

Do końca XV stulecia nie widział Dorpat wrogów zewnętrznych przed swymi bramami, ale za to nie zbywało mu zgoła na nieprzyjaciołach wewnętrznych. Raz — w roku 1378 — pomiędzy zakonem inflancko-krzyżackim a kapitułą dorpacką wszczyna się spór o to, kto ma prawo być wybranym na biskupa? Innym razem — w roku 1396 — biskup przyzywa Litwinów i Rusinów na pomoc przeciw mistrzowi zakonu inflanckiego, który chce go zmusić do opłacania pewnej daniny.

W latach 1454 i 1477 biskup dorpacki z woli Stolicy Apostolskiej pośredniczy w układach pamiędzy arcybiskupem ryskim i prowincyonalnym mistrzem krzyżackim; wszakże wyznać należy, że w częstych zatargach pomiędzy temi najwyższemi władzami Dorpat zwykle trzymał stronę arcybiskupów ryskich, za co znowu od zakonu krzyżackiego niejednokrotnie cierpiał prześladowanie.

Gdy z upływem wieku XV wewnętrzne niepokoje nieco ucichły, nowe wielkie niebezpieczeństwo zagroziło Dorpatowi. Car Iwan III Wasylewicz, skruszywszy jarzmo mongolskie i złamawszy na zawsze potęgę rzeczpospolitej nowogrodzkiej, wtargnął z wojskiem do Inflant i wojnę rozpoczął pustosząc biskupstwo dorpackie. Dymiące gruzy krwawą jego oznaczały drogę. Mistrz inflancki Walter Plettenberg, pomimo słabych sił jakimi rozporządzał, tak stanowcze nad nieprzyjacielem pod Pskowem odniósł zwycięstwo w r. 1502, że niebezpieczeństwo przesiedlenia krajowców w głąb krain cara zupełnie usunięte zostało, a samodzielność związkowego państwa inflanckiego, do którego i Dorpat należał, nadal zapewniona. Na lat kilka zawarto przymierze, które później kilkakrotnie odnawiano. Dorpat zatem przez pół następnego wieku cieszyć się mógł stałym pokojem zewnętrznym, a przemysł i handel na nowo w nim zakwitać poczęły.

Wszelako do wewnętrznych niepokojów przyłączył się w tym czasie i ruch tak zwanej reformacyi religijnej.

Pierwsze ziarna nauki Lutra przyniósł w r. 1524 do Dorpatu prosty kuśnierz Melchior Hofman, rodem ze Szwabii, zaopatrzony własnoręcznym listem Marcina Lutra do mieszkańców Dorpatu.

Już w jesieni tego roku dwracał ten improwizowany predykant lud dorpacki od katolicyzmu. Wyznać atoli należy, że jak w Rydze tak i w Dorpacie nic nie znamionuje prawdziwej reformy religijnej. Wszystko w tym ruchu zimne, obrachowane. Bóg jest pozorem, interesa ziemskie przyczyną. Duchowieństwo, rycerze, szlachta i mieszczaństwo zajęci są wyłącznie tylko zaspokajaniem spraw doczesnych. Pomimo zaprowadzenia reformacyi luterskiej w Dorpacie, biskup przy władzy świeckiej pozostaje z warunkiem zachowania tolerancyi religijnej; pierwszy zaś i najgorliwszy predykant luteranizmu, ów sławny kuśnierz Melchior Hofman, zostaje równie gorliwym anabaptystą, wyklina uroczyście radę miejską za to, że ona go nie zatwierdza na probostwie farnem, a następnie, w sam dzień Bożego Ciała w roku 1526, za pomocą swojej hałastry otwiera drzwi do kościoła N. P. Maryi, bluźni z kazalnicy przeciw nauce katolickiej, po czem, na czele rozbestwionej tłuszczy, napada na klasztory i resztę bogatych kościołów znieważa i rabuje, a niebawem rzuca się także i na domy bogatszych mieszkańców miasta. Gdy z kolei przypuszcza szturm do zamku dorpackiego, zostaje szczęśliwie odpartym.

Następuje reakcya. Hofman raz na zawsze z miasta wypędzony, a kościoły wyznawcom luteranizmu oddane. W jednej tylko katedrze dozwolono odprawiać nabożeństwo katolickie, ale mieszkańcom Dorpatu pod surowemi karami nie dozwolono na nie uczęszczać, którego to zakazu w ciągu lat trzydziestu ściśle się trzymano, jak to wyraźnie zaznacza znany powszechnie kronikarz Arndt. Ogólną zaś cechą tak zwanej reformacyi w krajach nadbałtyckich było: zachwianie się w wierze i moralności.

Zjawisko to, naturalne zresztą, widzimy nietylko nad Bałtykiem ale wszędzie, gdzie zabłysnął wszystko pożerający ogień t. zw. reformacyi. Brak tęgości charakterów i chwiejność w zasadach — oto owoce reformacyjnych zapędów Lutra. Wyjątkowo wyrabiały się wprawdzie w gorączce walki religijnej tu i owdzie charaktery

fanatyczne, ogół społeczeństwa jednak hołdował indyferentyzmowi w rzeczach wiary, a w sprawach sumienia kierował się oportunizmem, wiodącym najczęściej na bezdroża.

Tymczasem w roku 1535 umiera dzielny mistrz prowincyonalny Plettenberg, a zaledwie zamknął oczy, nowe niebezpieczeństwo zawisło nad krajem. Nieprzyjaciel nieubłagany, nie czekając upływu 50-letniego pokoju, zaczął się gotować do wojny; pragnął bowiem skorzystać z niesnasek religijnych i zupełnego rozluźnienia obyczajów zakonu krzyżacko-inflanckiego, który nietylko utracił ducha karności, ale i dawną ciągłą gotowość do boju. Aż nadto więc uzasadnioną była treść ówczesnej piosnki wesołych „landsknechtów“:

„Im Felde zu liegen, mit Russen zu kriegen,
Das haben sie ganz vergessen.
Thun sich und das ganze Land betrügen
Mit ihrem grossen Vermessen.
Die Schwerter hängen sie an die Wand,
Die Kloppkannen nehmen sie in die Hand,
Thun ritterlich damit fechten“.

Kiedy upłynął czas przymierza z Moskwą, a car Iwan IV Wasylewicz roku 1553 wymagania daniny ponowił, zakon inflancki wyprawił do niego posłów, którzy groźby carskie obietnicami układów napróżno powstrzymać usiłowali. Iwan zniecierpliwiony wkracza do Inflant z silnem wojskiem na trzy części podzielonem.

Ziemie biskupstwa derpskiego (dorpackiego) pierwsze uległy zniszczeniu. Upadł pograniczny zamek Neuhauzeński przez mężnego Uexkülla z garstką wojowników w ciągu sześciu tygodni walecznie broniony. Po kilkutygodniowem oblężeniu Dorpatu kapitulacya zawartą została; miasto poddało się z warunkiem ocalenia życia mieszkańców. Nawpół zlutrzony biskup Herman, wywieziony do Moskwy, tam życie w ubóstwie zakończył; na nim się kończy niezależność tego biskupstwa w roku 1559, miasto zaś Dorpat w przeciągu lat 24 pozostaje w posiadaniu groźnego cara.

Tymczasem upadł i związek hanzeatycki, skutkiem czego Dorpat, jako główne miejsce składowe towarów przywozowych i wywozowych, traci zupełnie swój handel. Oprócz tego gorsza jeszcze klęska spada na jego nieszczęśliwych mieszkańców. Iwan Groźny, rozgniewany na mieszczan miasta Parnawy za to, że niby mieli zamiar poddać się Polakom, wylewać poczyna swą zemstę na wszy-

stkich nadbałtyckich mieszkańców bez wyjątku. To też i Dorpatczanie w roku 1571 uprowadzeni zostają do niewoli w głąb najbardziej oddalonych posiadłości moskiewskich. Wielka część szlachty dorpackiej kończy życie w więzieniach, a miasto pozostaje niemal bez ludności.

Uczony duński *Ulefeld*, udający się jako poseł do Moskwy w roku 1575, zastał tak zwaną *Urbs Tarbata* — o której mu mówiono, iż w niczem Lubece nie ustępuje — tak dalece zniszczoną, że noclegu po za obrębem miasta w jakiejś nędznej wiosce zmuszonym był szukać. A w roku 1576 pisze dyplomata niemiecki *Daniel Printzen von Buchau: Die Stadt Doerpt die am Flusse Embeck lieget und zwar nicht so sehr befestiget aber in einer sehr angenehmen Gegend befindlich, auch mit prächtigen Gebäuden versehen ist, bewohnet, weil die alten Einwohner entweder verjagt oder anders wo geführet worden, ich weiss nicht was für ein gemeiner russischer und scythischer Pöbel, da unterdessen, sowol die öffentlichen als auch die Privatgebäude nach und nach zerfallen*".

Takiem to miasto zastał w sześć lat później król Stefan Batory, gdy w roku 1582 skutkiem pokoju Zapolskiego Dorpat został własnością Rzeczypospolitej polskiej i stopniowo na nowo się zaludniał. Król poleca kanclerzowi Janowi Zamoyskiemu ustalenie porządku w tem mieście i jego okolicach, nadaje dzielnemu kanclerzowi po-Tyzenhauzowskie dobra *Ueltzen* w powiecie dorpackim leżące, tudzież *starostwo derpskie*. Z tego mianowicie czasu pochodzą w okolicy Dorpatu często napotkać się dające portrety Jana Zamoyskiego, którego imię u mieszkańców tamtejszych i dotąd jeszcze w wielkim jest poszanowaniu, jak o tem piszący niejednokrotnie miał sposobność przekonać się.

W tym czasie i OO. Jezuici założyli tu swoje słynne kolegium, a wspaniały tum gotycki św. Dyonizego — o którym to domu Bożym pisze urzędnik kancelaryi królewskiej ksiądz, Jan Piotrowski do wielkiego marszałka koronnego, Jędrzeja Opalińskiego w dniu 22 lutego 1582 roku, „że tak pięknego i wspaniałego kościoła „nie znaleść nigdzie w całym obszarze Rzeczypospolitej polskiej nie „wyłączając nawet samego Krakowa", — zabrzmiał potężnym głosem każącego tam Piotra Skargi.

Kiedy w roku 1600 wszczęła się wojna o sukcesyę szwedzką pomiędzy Karolem IX Sudermańczykiem a królem Zygmuntem III, Szwedzi szturmem zdobyli byli Dorpat. Lecz już 13 kwietnia 1602 roku odebrali go napowrót Polacy po długiem oblężeniu, którem dowodził nieśmiertelny Jan Karol Chodkiewicz.

Jak dalece zniszczone zostało miasto tymi częstymi szturmami, dowodzi najlepiej lustracya kościołów w roku 1613 w Inflantach odbyta. Z jedenastu wspomnianych powyżej wspaniałych świątyń dorpackich zastaje tam wizytator ówczesny, *Tecnon S. J.* tylko dwa w mieście, a jeden na przedmieściu! Wszystkie inne zupełnemu zniszczeniu uległy. Jezuici odprawiali w owym czasie nabożeństwo w kościele N. P. Maryi, gdyż tum św. Dyonizego już w roku 1598 stał się ofiarą płomieni.

W roku 1625, gdy większa część mieszkańców przez morowe powietrze wyginęła, zdobył to miasto bez żadnego wysiłku król szwedzki Gustaw Adolf, a następnie stałe w nim ustanowił rządy, zaprowadził sądy nie tylko cywilne ale i duchowne.

Wspominany przez nas częstokroć tum gotycki, którego część już w roku 1598 była splonęła, przy powtórnym pożarze w roku 1624 ostatecznemu uległ zniszczeniu, a odtąd już tylko wspaniałą stanowi ruinę. Wszakże pozostałych jeszcze parę innych kościołów odnowił Gustaw Adolf, poświęcając one wyłącznie wyznaniu protestanckiemu, którego, jak wiadomo, był bohaterem. OO. Jezuitów wypędza on sromotnie nie tylko z Dorpatu, ale i z zamku Ringen, w murach którego Jezuici dorpaccy byli urządzili gałąź swego kolegium, które tam do roku 1626 przetrwało, później zaś stało się pastwą ognia szwedzkiego.

W roku 1630 tenże król szwedzki zakłada w Dorpacie gimnazyum, które niebawem — bo już w r. 1632 — na stopę uniwersytetu podnosi i nadaje mu nazwę „Gustawowej wszechnicy“: *Universitas Gustaviana.*

Stanowisko i zasługi tej szkoły wyższej ogólnie zbyt przeceniano, zanim do właściwej miary sprowadzone nie zostały cenną i nader ciekawą pracą inflanckiego historyka profesora *Dra Karola Schirrena,* traktującą obszernie o jej przeszłości.

Jako główne fazy jej istnienia oznacza prof. Schirren lata 1632—1656, następnie zaś lata 1689—1699 i 1699—1710. Za wzór

do urządzenia tej czysto szwedzkiej akademii służył wyłącznie uniwersytet upsalski, którego wszystkie przywileje tutaj zastósowano.

Głównym celem tej szkoły wyższej było wykorzenienie resztek katolicyzmu a zaszczepienie elementu protestancko-szwedzkiego w krajach nadbaltyckich przez Gustawa Adolfa podbitych, co też praca dra Schirrena dosadnie uwydatnia.

Z dwustu w owym czasie napisanych przez uczniów uniwersytetu dysertacyj wykazuje prof. Schirren wyraźnie, iż tylko Szwedzi i Finlandczycy chętnie tu pobierali nauki, a podany przez autora regestr matrykuły akademickiej dowodzi, że zaledwie 15% przypada na uczniów inflanckich *Livones* a 1% na Kurlandczyków *Curones;* wszyscy bowiem inni uczniowie oznaczeni tam są jako *Sueci* lub jako *Finones.*

Że przez cały czas istnienia tego szwedzkiego uniwersytetu tylko dwóch tam się kształciło Kurlandczyków, wydaje się już dlatego prawdopodobnem, iż Kurlandya, będąca zawsze w zależności od Rzeczypospolitej polskiej, której szczerze sprzyjała, niechętnie synów swoich do nieprzejednanych nieprzyjaciół Polski na naukę posyłać musiała. A jak nieznaczącą była biblioteka owego „uniwersytetu Gustawowego“ widzimy już z tego, że w czasie oblężenia Dorpatu przez wojska moskiewskie zdołano ją szczęśliwie schronić we wnętrzu jednego tylko z licznych ołtarzy w Kościele N. P. Maryi.

Działo się to w roku 1656, w czasie kiedy profesorowie i uczniowie tej szkoły głównej, uciekając przed wojskami rosyjskiemi, do Rewla się byli schronili, gdzie jeszcze w ciągu kilku lat następnych kursa akademickie nie ustawały, aż nareszcie i ta słaba działalność całkowicie ustać musiała.

W roku 1689 otworzono na nowo uniwersytet w Dorpacie. Pozostał on czem był dawniej — ogniskiem elementu szwedzkiego, wpływu zaś na oświatę krajów nadbaltyckich nie wywierał niemal żadnego. Z powodu zbliżenia się wojsk nieprzyjacielskich w roku 1699 przeniesiono go nagle do Parnawy, gdzie po ostatecznem zdobyciu „Inflant szwedzkich“ przez cara Piotra Wielkiego, zamknięty został w r. 1710.

Dorpat w tej porze ciężkie przechodził koleje. Mężnie bro-

niony przez szwedzkiego pułkownika Skytta, zdobytym został w roku 1701 przez wojska rosyjskie.

W kilka lat później komendant Naryszkin bezpodstawnie obwinił ludność dorpacką o zdradę, skutkiem czego mieszkańcy miasta bez różnicy stanu, wieku i płci w roku 1708 śród trzaskających mrozów lutowych zesłani zostali na wygnanie do Wołogdy. Wielu z nich śmierć podwójnie bolesna już w drodze zaskoczyła, tym zaś, co na wygnaniu nie poumierali, dozwolił Piotr I w roku 1714 powrócić do zwalisk zniszczonego zupełnie Dorpatu.

Nie małego znaczenia dla miasta był rok 1722, w którym mu dobra miejskie patrymonialne dekretem senatu petersburskiego przywrócone zostały. Jak dalece ubogą była ówczesna rada miejska dorpacka wnosić możemy już z tego, że na opłacenie kosztów, jakie wysłuchanie owego upragnionego dekretu za sobą pociągało, zaciągnąć ona musiała *sturublową* procentową pożyczkę u landrata Loewenwolde.

Lubo tylko stopniowo zdołali Dorpatczanie wybrnąć ze stanu najzupełniejszej nędzy i ubóstwa, wszelako już w roku 1723 widzimy miejscowego burmistrza wydającego rozkaz, ażeby mieszkańcy tak nielicznych w tym czasie domów dachy słomiane zamienili na trwalsze. W roku następnym liczono w Dorpacie zaledwie sześciu radców miejskich, dwóch pastorów, trzydziestu pięciu członków izby kupieckiej *(Grosse Gilde)* i pięćdziesięciu siedmiu izby przemysłowej *(Kleine Gilde)*, co już wielkim było postępem w stosunku do roku 1721, a w każdym razie służy za dowód prawdziwej żywotności mieszczaństwa nadbałtyckiego, dźwigającego się bezustannie z popiołów i gruzów.

Od roku 1755 do 1776 miasto znowu kilkakrotnie niszczonem było przez pożary. W latach 1763—1767 poprowadzono fortyfikacye naokoło Dorpatu podług planu jenerała Villebois, który, jakeśmy to już w liście X zaznaczyli, z barbarzyńską bezwzględnością kazał zniszczyć większą część obydwu niebotycznych wieżyc, ruinę tumu św. Dyonizego w owym czasie jeszcze zdobiących. Fortyfikacye zaś tego jenerała z powodów najrozmaitszych niedogodności zupełnie zaniechane zostały. Istnieją dotąd ślady dawnych bastyonów na górze zwanej „domberg“, stanowiącej obecnie najpiękniejsze miejsce dla przechadzki.

W roku 1764 zwiedziła Dorpat carowa Katarzyna II, przy której to sposobności znaczne zapomogi pieniężne zubożałym mieszkańcom wydać rozkazano. Mimo to wszystko miał Dorpat w r. 1774 zaledwie 3500 mieszkańców a domów 570, z której to szczupłej liczby zaledwie 178 prawdziwymi były domami; reszta zaś, wedle świadectwa ówczesnego burmistrza, którym był znany inflancki historyk *Gadebusch*, przedstawiała smutny widok najnędzniejszych lepianek.

Z tegoż czasu posiadamy jeszcze inne cenne świadectwo o Dorpacie.

Znakomity berliński uczony *Jan Bernouilli* — o którego podróżach po kraju naszym tak cenne zawiera wiadomości książka Ksawerego Liskego pod tytułem: *Cudzoziemcy w Polsce*, — zwiedzając Dorpat w roku 1778, zastał go jeszcze mało do miasta podobnym. *Sonderbar genug* — pisze Bernouilli — *war mein Spaziergang unter der Trümmern der einst so wohlhabenden Stadt, über den Schutt der vollends niedergerissenen Häuser und zwischen den Materialien und Gerüsten der neu aufzuführenden. In vielen Gegenden konnte man noch gar keine Strasse recht unterscheiden; angenehm ist aber die Gegend an dem durch die Stadt laufenden Flusse Embach.* To też rzeczywiste odbudowanie Dorpatu odnieść musimy do początku niniejszego stulecia, w którym to czasie cesarz rosyjski Aleksander I założył tam uniwersytet teraźniejszy.

Jeśli Dorpat obecnie do najokazalszych miast w kraju nadbałtyckim należy i liczy przeszło 30,000 mieszkańców, zawdzięcza to przeważnie uniwersytetowi. Gdyby ten ostatni nie był podał ręki tylokrotnie ogniem i mieczem niszczonemu grodowi, widzielibyśmy dziś nad Embachem lichą mieścinę, więcej do osady niż do miasta podobną.

Historya Dorpatu jest zresztą historyą wszystkich nieportowych miast prowincyj nadbałtyckich. Większa ich liczba kwitła i rozwijała się prawdziwie za czasów zakonu krzyżacko-inflanckiego, upadała zaś i do istotnej przychodziła nędzy po licznych wojnach polsko-szwedzko-moskiewskich, a odtąd nader rzadko ze swej nicości zdołała się wydźwignąć.

Największą ozdobę Dorpatu stanowi i dotąd owo wyżej opisane urocze wzgórze, od wieków za Olimp dawnych Estów uwa-

żane, noszące obecnie nazwę „dombergu“. Mieściła się na nim niegdyś cytadela tutejsza, okrążająca zamek, pałac biskupi i katedrę gotycką, której wspaniałe szczątki jużeśmy w liście naszym X starali się wam opisać.

Dzisiaj cały „domberg“ stanowi własność uniwersytetu dorpackiego, któremu w roku 1802 przez cesarza Aleksandra I wieczyście darowanym został. Wznoszą się na nim: obserwatoryum astronomiczne, biblioteka uniwersytecka w presbiteryum olbrzymiego tumu gotyckiego zręcznie ukryta a mieszcząca w sobie 242.000 tomów, amfiteatr anatomiczny i cały szereg instytutów medycznych. Powierzchnia tego pięknego wzgórza nadzwyczaj jest obszerną i urozmaiconą. Dlatego też, pomiędzy wzniesionymi tu licznymi gmachami uniwersyteckimi, we wszystkich kierunkach umiejętną ręką rozciągnięto wspaniały park uniwersytecki, panujący dokoła nad miastem i jego wzgórkowatą okolicą.

W pobliżu „dombergu“ leżą najgłówniejsze gmachy miastowe jako: sam uniwersytet wraz z kościołem uniwersyteckim zaledwie w połowie bieżącego stulecia wzniesionym, ratusz i okazały plac ratuszowy tudzież tak zwana kolumnada, sąsiedztwo Rosyi zdradzająca, bo na wzór rosyjskich *gostinnych dworów* w obszernym czworoboku liczne magazyny kupieckie mieszcząca. Naprzeciw tej kolumnady, wśród pięknie urządzonych spacerów wznosi się pomnik rosyjskiego feldmarszałka księcia Barclay de Tolly.

Na prawo i lewo od placu Barklaya, tam gdzie w dolinie Embachu pomiędzy dalszym wysokim brzegiem i samym strumieniem więcej pozostaje miejsca, rozwija się miasto w licznych szerokich i prostych ulicach, obfitujących w kształtne a czasem okazałe budowy tak publiczne jako i prywatne; za „dombergiem“ zaś wznosi się dworzec kolei żelaznej oraz pięknie położona część miasta w parowie leżąca a ogólnie zwana „Domgraben“. Za nią, na płaskiem wzgórzu aż do dworca kolei dalsze się roztaczają ulice; pomiędzy niemi zdaleka widnieje zbór protestancki estoński o białej, wysokiej wieży.

I po drugiej stronie Embachu znajduje się jeszcze znaczna część miasta, broniona od wiosennych wylewów nowozałożonymi tamami, które zdobią piękne spacery.

W ogóle powierzchowność Dorpatu w ciągu ostatnich lat dwudziestu nie mało zyskała przez prawdziwie umiejętne założenie skwerów i spacerów w rozmaitych jego częściach, do czego się głównie miał przyczynić wieloletni rektor uniwersytetu a późniejszy prezydent miasta *(Stadthaupt)* dr. G. Oettingen, niezwykle czynny i wielostronnie wykształcony.

Skutkiem ukazu carowej Katarzyny II z roku 1783 Dorpat został miastem powiatowem ówczesnego namiestnictwa ryskiego a następnie guberni inflanckiej czyli ryskiej. Ukaz Pawła I z 18/7 maja 1798 r. postanawia założenie tutaj uniwersytetu. Rzeczywisty atoli dokument erekcyjny — o nim w liście następnym obszerniej mówić zamierzamy — zaledwie w roku 1802 dnia 24/12 grudnia, w dzień 25-letniej rocznicy swoich urodzin wydaje młody cesarz Aleksander I, i wyposaża tę nowozałożoną wszechnicę odpowiednimi dochodami. Wtedy też wzniesiono główny gmach uniwersytecki na miejscu niegdyś przez kościół N. P. Maryi zajmowanem. Odtąd niejednokrotnie go rozszerzano i uzupełniano. O rozwoju i 85-cioletniej działalności tej jedynej wszechnicy nadbałtyckiej w następnym liście obszerniej pisać zamierzam. Dziś dodam tylko, że z uniwersytetem są także połączone: szkoła medyczna oraz „Towarzystwo przyjaciół nauk przyrodniczych“ i „Uczone Towarzystwo estońskie“.

Oprócz tego posiada Dorpat kilka większych zakładów naukowych, jak np. założona tu w roku 1846 szkoła weterynarzy, gimnazyum klasyczne, dwa seminarya nauczycielskie, szkoła żeńska miastowa i kilka szkół żeńskich prywatnych, z których jedna jeszcze za czasów krzyżackich w roku 1555 była założoną.

Istnieją tu i liczne fabryki jako to: piwowarnie, znakomita fabryka kafli, fabryka cygar, sławiona ogólnie pralnia parowa i t. d. Istnieją i trzy drukarnie oraz dwie bardzo znaczne księgarnie. Dzienników wychodzi tu cztery a czasopism naukowych sześć. Ma także w Dorpacie swoje siedlisko „Towarzystwo rolnicze dla Inflant północnych“, nierównie większymi wyposażone środkami niż istniejące w Rydze takież Towarzystwo rolnicze dla Inflant południowych. Jak wielką jest działalność obu tych Towarzystw rolniczych wnosić już można z tego, iż każde z nich wydaje oddzielny kalendarz rolniczy, uwzględniający cokolwiek odmienne stosunki miejscowe Inflant północnych i południowych.

Równoległa odległość Dorpatu od Rygi, Pskowa, Parnawy, Narwy i Rewla, oraz wyborna komunikacya z temi miastami bądź wodą, bądź koleją żelazną, ułatwiają pośrednictwo w handlu krajowym. Kilka statków parowych ustala komunikacyę przez rozległe jezioro Pejpus, na którem oprócz tego liczą corocznie przeszło 700 mniejszych statków, pośredniczących w handlu zbożowym, lnianym i drzewianym.

Obrót coroczny kapitałów w dorpackim banku miejskim przechodzi 10 milionów rubli rocznie.

Gmach bankowy stanowi obecnie jednę z głównych ozdób miasta. Przychody tej użytecznej instytucyi obracane bywają przeważnie na podtrzymywanie licznych tu istniejących zakładów dobroczynnych tudzież znakomitej straży ogniowej, na czele której częstokroć już widziano profesorów uniwersytetu.

Dorpat ma sześć dorocznych jarmarków, z których najznakomitszym jest styczniowy.

Liczba przeważnie z Niemców złożonej ludności wynosiła przy ostatnim spisie dokonanym w dniu 31 grudnia 1881 roku nie więcej jak 29,974 dusz płci obojga, gdyż z powodu zimowych wakacyj przypadających w tej porze, brakowało w Dorpacie przeszło 1000 studentów uniwersytetu i około 500 młodzieży szkolnej.

Rosyan spotykamy tu głównie pomiędzy pomniejszem kupiectwem. W roku 1867 liczono ich ogółem tylko 1866 a obecnie, jak poniżej zobaczymy, liczba ta niepokaźna jeszcze bardziej stopniała. W tymże roku liczono w Dorpacie 240 Żydów, 174 Łotyszów i 9720 Estów. Ci ostatni składają przeważnie klasę służących.

Wedle najnowszych dat statystycznych — dostarczonych nam uprzejmie przez miejscowe bióro statystyczne — ludność Dorpatu składa się obecnie z 11,486 Niemców, 16,526 Estów, 1818 Rosyan, 667 Żydów, 133 Łotyszów oraz 344 innych narodowości, pomiędzy którymi przeważają uczęszczający do uniwersytetu Polacy.

Podług wyznania rozdziela się ta ludność w sposób następny: 26,823 protestantów, 2498 prawosławnych — z których atoli zaledwie 680 należy do narodowości estońskiej — 500 katolików rzymskich, 387 starowierców czyli rozkolników, 14 wyznawców religii ormiano-gregoryańskiej, 580 Żydów oraz 12 jawnych bezwyznaniowców.

Dorpat posiada obecnie trzy obszerne zbory protestanckie, z których jeden — odwieczna *Johanniskirche* — był niegdyś kościołem katolickim. Jest tu także cerkiew prawosławno-rosyjska, cerkiew prawosławno-estońska oraz, w miejscu dawnego oratoryum, kościół rzymsko-katolicki św. Jana Ewangelisty, wzniesiony w roku 1863 wraz z obszernem probostwem.

Kościół ten staraniem księdza Henryka Dołęgi Kossowskiego erygowany zaledwie przed 23 laty, w końcu grudnia 1886 roku padł ofiarą płomienia, który równocześnie zniszczył i plebanią. Musieli więc parafianie dorpaccy najmować skromne mieszkanie dla swego proboszcza, a w niem mieściło się zarazem i tymczasowe ich oratoryum, aż do czasu, w którym, dzięki ofiarności pozamiejscowych katolików, zachęcanych bezustannie przez prasę polską do składek w tym celu, — nie powstały nowy niemniej schludny kościółek i plebania, a tych ostateczne wykończenie w r. 1887 już nie wiele pozostawiało do życzenia.

Kościół rzymsko-katolicki dorpacki wchodzi w skład obszernego dekanatu petersburgskiego i należy do archidyecezyi mohylewskiej. Obsługujący go kapłan jest równocześnie kapelanem uniwersyteckim i docentem nauki rzymsko-katolickiej przy uniwersytecie.

Jak ważnem jest miejsce katolickiego proboszcza Dorpatu, będącego zarazem kapelanem i docentem najwyższej szkoły głównej w krajach nadbałtyckich, — dowiodła tego dosadnie trzyletnia działalność magistra ś. teologii księdza Henryka Dołęgi Kossowskiego, byłego nauczyciela łaciny w seminaryum mińskiem, skąd dnia 29 kwietnia 1860 roku przeniesiony został do Dorpatu na proboszcza, spełniającego równocześnie obowiązki docenta nauki katolickiej przy uniwersytecie. Wykłady o wierze katolickiej, na które do czasów księdza Kossowskiego zaledwie kilku uczniów uczęszczało, zaczynają gromadzić około katedry równie uczonego jak wymownego docenta tak nadzwyczajną liczbę słuchaczy, że zwykłe audytoryum pomieścić ich nie może, skutkiem czego zarząd uniwersytecki przeznacza na nie najobszerniejsze z audytoryów.

Gdy zaś po niejakimś czasie i to audytoryum przepełnia się słuchaczami wszelkich wyznań, wykłady dzielnego szermierza prawdy

zostają przeniesione do wielkiej auli uniwersyteckiej, gdzie stopniowo zostają one wykładami publicznymi, na które niebawem całe miasto poczyna uczęszczać, składając u drzwi sali skromną jałmużnę na mający się wznieść kościół katolicki i probostwo, które ks. Kossowski w roku 1863 pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty istotnie tam eryguje.

Nic też dziwnego, że z powodu tak pożytecznej działalności księdza Kossowskiego w Dorpacie, administrator archidyecezyi mohylewskiej wzbraniał się czas jakiś uwolnić go od tego obowiązku, gdy ówczesny arcybiskup warszawski, ks. Feliński powoływał go do Warszawy. Dnia 7 października 1863 roku mianowany rektorem akademii duchownej w Warszawie, opuścić musiał Dorpat docent ks. Kossowski, obejmując swój nowy urząd dnia 9 listopada tegoż roku, a odtąd frekwencya na wykłady o nauce katolickiej w uniwersytecie dorpackim redukuje się znowu do kilku już tylko słuchaczy, nieodżałowany zaś proboszcz i dawny docent dorpacki ksiądz Henryk Kossowski od dnia 24 marca 1884 roku dzierży pastorał biskupa Serreńskiego, sufragana płockiego, nie wypuszczając pono i pióra, którem od lat dwudziestu kilku tak dzielnie i z takim pożytkiem choć z zupełnem swojej pracy zatajeniem dla duchownego dobra wiernych władał.

Ksiądz Kossowski wszystkie swoje prace drukował bezimiennie. Ciekawszych czytelników odsyłamy do ich pobieżnego spisu, umieszczonego w wychodzącym w Warszawie *Przeglądzie katolickim*[1], zaznaczając raz jeszcze, jak wielkiej doniosłości była działalność w Dorpacie tego dziś znakomitego w kościele pasterza, który tak szczęśliwie tam był począł zaszczepiać ducha prawdziwie chrześcijańskiego, dowodząc nietylko słowem i pismem, ale i czynem, że ducha tego stworzyć nie potrafi protestantyzm, gdyż zbywa mu na wewnętrznej konsekwencyi, na posłannictwie Bożem, a więc na zdolności oddziaływania na masy. To też gdzie panuje protestantyzm, tam musi coraz bardziej zamierać żywa wiara chrześcijańska, a szerzyć się i wzmagać indyferentyzm religijny. Te zaś po-

[1] Obacz *Przegląd katolicki* z r. 1884, a mianowicie Nr. 26, str. 424.

zytywniejsze kierunki, jakie w ostatnich czasach zaczęły się tu i owdzie objawiać w łonie protestantyzmu, nie mają nic wspólnego z istotą doktryny protestanckiej, i są już wyraźnym zwrotem ku katolicyzmowi, od którego zwierzchność archidyecezalna katolicka nie powinnaby odstręczać Dorpatczanów, przesyłając tam na proboszczów i docentów księży nie mających do tego odpowiednich kwalifikacyj.

Gustaw Manteuffel.

Druk ukończony dnia 23 sierpnia 1888 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Co sądzić o wniosku ks. Liechtensteina? Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 1

Nowoczesna krucyata 363

Artykuły naukowe i literackie.

Z przeszłości uniwersytetu krakowskiego. Wisnka-Wistka, św. Floryan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski. Przez *Dra Władysława Wisłockiego* (c. d.) 16, 157, 335

O Masonii w Polsce, na źródłach wyłącznie masońskich. Przez *Ks. Stanisława Załęskiego T. J.* (c. d.) 42, 316

Fotografia w służbie astronomii. Przez *Dra Wierzbickiego* 67, 178

Zapiski z podróży po Indyach. IV i V. Przez *Mgra Władysława Zaleskiego* 81, 191

Pieśń Debory. Parafraza białym wierszem. Przez ś. p. *Ks. Zygmunta Goliana* 149

Stanowisko włościan w Polsce Przez *Ks. Józefa Waligórę* (c. d.). 201, 345

OO. Redemptoryści w Polsce. Przez *Ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.* (dok.) 221

Stronnica.

Dwie królowe. Szkic dziejowy. Przez *Maryana Dubieckiego* 297

Kardynał Jan Chrzciciel Franzelin i jego znaczenie w katolickiej nauce. Przez *Ks. A. Langera T. J.* 376

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Pius ix i Jego Pontyfikat. Napisał *Ks. Dr. Józef Pelczar.* 94

Nad Niemnem, powieść w trzech tomach. Przez *Elizę Orzeszkową.* 99

Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej. Wyjątek z obszernej pracy jeszcze nie wydanej. Napisał *Filograf* . 101

Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej. Napisał *Teodor Jeske-Choiński (B. Jasieńczyk)* 104

Cła opiekuńcze. Przez *Dr. Józefa Milewskiego.* 242

Podróż do Londynu i Paryża. Skreślił *Stanisław Karwowski* 245

Podręcznik prawa politycznego. Napisał *Dr. Franciszek Kasparek* 246

Z literatury rusińskiej 247

Rosya i Europa. Przez *Włodzimierza Sołowiewa.* Przekład z rosyjskiego 250

Różaniec N. Maryi Panny. Przez *Wespazyana Kochowskiego.* Wydanie Sodalisów Maryi w Krakowie 250

Puławy (1762—1830). Monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego, na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie. Opracował *Ludwik Dębicki. (Czesław Pieniążek)* 398

Ks. A. Brykczyński: Dom Boży, tj. praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów. Z tablicami rysowanemi przez *Wojciecha Gersona. (Stanisław Tomkowicz)* 404

Ustawy bursy krakowskiej (1453—1841) r. Zebrał i wydał *Dr. A. Karbowiak* 407

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Les origines de l'Eglise. Saint Pierre et les premières années du Christianisme par l'Abbé *C. Fouard.* 108

Henry viii and the English monasteries (Henry VIII i angielskie klasztory). Przez *O Gasquet* 113

Le procès de Galilée et la Théologie. Par *J. B. Jaugey,* prêtre. 114

Grundriss der Patrologie, oder die ältern christlichen Litteraturgeschichte, von *Dr. Johannes Alzog.* Vierte, verbesserte Auflage 115

Une grande Dame du xviii siècle. Par *Lucien Perey* . . . 252

Mémoires et souvenirs du baron Hyde de Neuville . . 409

Les Aveugles. Par *Maurice de La Sizeranne* 410

Le duc d'Enghien. Par *M. Welschinger* 411

Stronnica.

Rozmaitości:

Nowe wydawnictwo Akademii 269
Życiorys Wielkiej Damy z XVIII w. w Bibliotece Uniwersalnej. 412

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Lipiec.

Sprawy Kościoła: Pomnik Giordana Bruno. — Manifestacye przeciw rzymskiej radzie miejskiej. — Nowy kodeks karny. — Protesty biskupów. — Allokucya papieska. — Rozprawy w parlamencie. — Święto statutu. — Encyklika do biskupów brazylijskich. — Zniesienie niewolnictwa w Brazylii. — Niewolnictwo w Afryce. — Kardynał Lavigerie. — Pocieszające fakta. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . . 116
Listy z nad Bałtyku. XV: Miejska biblioteka ryska. — Starożytne księgi i rękopisy. — Dziesięciotomowy rękopis Brotzego. — Bomba Piotra W. i jej literatura. — Dzisiejszy stan biblioteki. — Dzieła polskie i o Polsce. — Dział „Livonica". — Biusty, portrety, obrazy zdobiące bibliotekę. — Geograficzne położenie Rygi. — Jej okolice i przedmieścia. — Kościoły i gmachy miejskie. — Zarząd miasta. — Liczba mieszkańców wedle wyznania i narodowości. — Szkoły i uczniowie. — Księgarnie i czasopisma. — Stowarzyszenia, kluby, instytucye. — Ogrody publiczne. — Handel ryski. — Historyczna przeszłość Rygi. Przez *br. Gustawa Manteuffla* 127

Sierpień.

Sprawy Kościoła: Wybory municypalne w Rzymie. — Manifestacye uliczne. — Hr. Castagnetto o nowym kodeksie karnym. — Zamachy na szkoły katolickie. — Kwestya eksterrytoryalności Watykanu. — Encyklika o wolności. — Projekt prawa o stowarzyszeniach we Francyi. — Zwycięstwo katolików belgijskich w wyborach do parlamentu. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 271
Listy o Rumunii. VI. 281
Z archeologicznej przechadzki po Rzymie: Przyszłe wydawnictwa. — Dziś i dawniej. — Akademie. — Odczyt prof. Carini o znaku krzyża w dokumentach. — De Rossi. — Rzymski kwartalnik. — Dokumenta odnoszące się do historyi polskiej 291

Stronnica.

Wrzesień.

Sprawy Kościoła: Projekt nowych praw antykościelnych we Włoszech. — Ostateczne zamiary Crispiego. — Wyjazd Papieża z Rzymu. — Municypalne wybory w Neapolu. — Nowa kampania przeciw Kościołowi we Francyi. — Mowy francuskich ministrów. — Usposobienie Carnota względem Kościoła. — Walka dzienników przeciw kardynałowi Simorowi. — Telegram biskupa Strossmeyera. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 413

Listy z nad Bałtyku: XVI. Dorpat. — Geograficzne położenie. — Historyczna przeszłość. — Dawne kościoły. — Zaprowadzenie reformacyi. — Universitas Gustaviana. — Dzisiejszy uniwersytet. — Zakłady naukowe, fabryki, stowarzyszenia. — Mieszkańcy Dorpatu wedle narodowości i wyznania. — Kościół katolicki. — Ksiądz Kossowski. Przez *br. Gustawa Manteuffla* 421

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Ks. M. Morawski. T. J.